



Joanna Hines



Zastąpić Carłę

Część pierwsza

WSPY GRECKIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę Carłę.

Wychodząc ze stacji metra, w kłębiącym się przede mną tłumie ludzi śpieszących jak co rano do pracy dostrzegam znajomą grzywę kasztanowych włosów opadających na smukłe ramiona, których właścicielka porusza się w charakterystyczny, nerwowy sposób — dokładnie tak, jak czyniła to Carla. Z trudem udaje mi się pohamować, by za nią nie krzyknąć: „Carla, zaczekaj!” Kiedy po pracy biegnę do domu — wcale nie dlatego, że nie mogę się doczekać, by tam się znaleźć, ani tym bardziej nie dla zdrowia, po które truchtają mijający mnie młodzieńcy i starszankowie, o nie! po tym, co stało się w Grecji, nie mnie cieszyć się dobrym zdrowiem — kiedy więc tak biegnę słabo oświetlonymi uliczkami, byle tylko pozostać przy życiu, byle dalej od furii dręczących mój umysł (ha! gdyby to było takie proste...), także wtedy, nawet wtedy, prędzej czy później moich uszu dochodzi niespokojny stukot szpilek na chodniku albo nagle otacza mnie piżmowosłodka zapach perfum, używanych przez Carłę, bądź też znikąd pojawia się echo śmiechu, jaki po raz ostami rozległ się w nabrzeżnej greckiej tawernie. Za każdym razem moje serce przestaje bić na ułamek sekundy... Za każdym razem myślę — wbrew faktom i logice — że minione miesiące przeżyłam w stanie zamroczenia i że nareszcie dochodzę do siebie... Nie opuszcza mnie nadzieja, że w końcu spotkam ją na londyńskiej ulicy, a ona, zwróciwszy na mnie spojrzenie, rozjaśni twarz w uśmiechu i powie: „Cześć, Helen. Właśnie o tobie myślałam”. Im silniejsze żywię przekonanie, że tym razem to na pewno Carla, tym boleśniej odczuwam rozczarowanie, kiedy nieuchronnie przekonuję się, że znowu się pomyliłam. Nadzieja pryska, przychodzi otrzeźwienie, jednakże ból nie przemija.

To nie Carla, głuptasie — mówię sobie. I sama się dziwię, że choć przez chwilę mogłam pomyśleć, że to ona. Carla przecież nie żyje. Wciąż mam wryty w pamięci obraz jej bezbronnego, wygiętego nienaturalnie ciała leżącego na pustej o tej porze dnia drodze, podczas gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca odbijają się czerwienią w falach morza i migoczą na liściach drzewek oliwnych. Powtarzam więc sobie w duchu: — Żadna kobieta, choćby i najbardziej do Carli podobna, nigdy się nią nie okaże. Moja Carla nie żyje.

Wiem o tym dobrze, lecz mimo to widzę ją wszędzie. Będąc w biurze sama, słyszę jej głos, docierający z pokoju obok, i natychmiast oddaję się wspomnieniom, a praca przestaje się liczyć. Kiedy mam naprawdę zły dzień, w Londynie aż roi się od sobowtórów Carli, jakby w chwili śmierci rozprysnęła się na tysiące odłamków, z których każdy utkwił w zupełnie obcych mi kobietach, przesycając wszystkie jej istotą.

Czy w ten właśnie sposób straszy się po śmierci w obecnych czasach? — w moim umyśle pojawia się nieproszone pytanie, które czym prędzej odpędzam, gdyż zakrawa na przejaw szaleństwa. Aby udowodnić sobie, że jestem przy zdrowych zmysłach, wymyślam prozaiczne wytłumaczenie tego, co widzę dzień w dzień: Carla musiała mieć całą czeredę siostr, które ją przeżyły. Całkowicie ignoruję to, że ani słowem nie napomknęła o rodzeństwie, do czego mam prawo, gdyż w Grecji nie rozmawialiśmy na takie tematy; szczerze mówiąc nie wiem o Carli nic.

Z całą pewnością nie znam żadnych faktów z jej życia, z wyjątkiem tego ostatecznego, który wszakże musi pozostać moją tajemnicą — jak dotychczas nikomu nie udało się jej zgłębić i proszę Boga, by tak już zostało. Nie znaczy to jednak, że wszyscy inni pozostają w niewiedzy; oni po prostu znają odmienną wersję wydarzeń, wersję nieprawdziwą. Tylko ja znam prawdę. Wisi ona nade mną niczym sukub, wpija się we mnie szponami, coraz bardziej utrudniając zaczerpnięcie tchu.

Tylko ja wiem, jak odeszła Carla. Tylko ja byłam świadkiem chwili, kiedy jej życie się zakończyło, moje zaś diametralnie zmieniło — chwili, która wyznaczyła nową erę: po śmierci Carli.

Nieco wcześniej tamtego dnia, o świtaniu, gdy powietrze było przejrzyste i przesycone słodyczą, można było śmiało pomyśleć, że jest się w raju, w miejscu utraconej niewinności i nadziei. Byłam wtedy kimś innym i co ważniejsze — byłam z Carłą: razem szłyśmy pustą drogą o poranku. Jej śmierć nie była wynikiem wypadku wbrew temu, co wieści akt zgonu i w co wszyscy do dziś wierzą. Nic dziwnego, że znam prawdę — byłam przy śmierci Carli.

Zatem jestem...

Nie dokończę tego zdania, sami się domyślcie.

Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, nic nie wskazywało, że czeka nas taka okropna przyszłość. Prawdopodobnie było nam pisane poznać się wcześniej czy później: i ja, i ona podróżowałyśmy samotnie, co musiało rzucać się w oczy już na lotnisku Gatwick, kiedy bladym świtem, otoczone przez hordy rodzin i zakochanych par, odbierałyśmy karty pokładowe, jednakże ja zwróciłam na nią uwagę, dopiero gdy wysiadłam z samolotu w pełne słońce Grecji.

Nagła zmiana światła, temperatury, nawet zapachu zawsze robi na mnie niewiarygodne wrażenie, a w tym roku byłam wyjątkowo spragniona ciepła i słońca, gdyż londyński smog spotęgowała długa mokra wiosna, która bardziej przypominała niekończący się listopad. Wynalazek braci Wright przeniósł nas nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie — w samolocie minęło zaledwie parę godzin, na zewnątrz przemknęły miesiące i zrobiło się lato. Idąc przez płytę lotniska do podstawionego mikrobusu

czułam się absurdalnie w rajstopach, swetrze i zamkniętych skórzanych pantoflach. Ledwie zwalczyłam impuls, by się odwrócić i zrywając w biegu nadmiar ubrań, pognać w stronę morza, którego leniwie połyskującą taflę przed chwilą widziałam z góry. Nie posiadałam się z radości: za mną zostały betonowe mury angielskiego miasta, przed sobą miałam fascynującą Grecję, raj na ziemi — przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Niczym stadko spoconych, różowonosych owiec powlekliśmy się noga za nogą do hali odbioru bagażu, gdzie oczywiście odczekaliśmy swoje, niespokojnie drepcząc w miejscu, co jak wszystkim wiadomo, stanowi syndrom turysty rozłączonego ze swym dobytkiem. Ożywiliśmy się dopiero na widok ruszającego taśmociągu; ja także wbiłam oczy w ziejący czernią otwór, licząc na to co wszyscy: że moja walizka pojawi się pierwsza. Upłynęła dłuższa chwila, której towarzyszyły trzaski i skrzypienie mechanizmu, po czym naszym oczom ukazała się sfatygowana płócienna torba, cała upstrzona naklejkami z czterech stron świata, po którą tryumfalnym gestem sięgnął mężczyzna w mniej więcej moim wieku. Zobaczyłam jeszcze, jak składa ją u stóp swej towarzyszki, zaraz jednak porwała mnie ludzka fala. Moim dotychczas flegmatycznym rodakom krew w żyłach zaczęła krążyć szybciej, jeden przez drugiego pchali się do taśmy, by jak najprędzej odzyskać swoją własność, ułożyć ją w zgrabny stos na wózku bagażowym i przejść do odprawy celnej, a potem za barierkę, gdzie czekali tubylcy ściskający tabliczki z wypisanymi grubym flamastrem nazwami, takimi jak „Solaris” czy „Hotel Afrodyta”.

Tłum rzedniał, co więksi szczęściarze byli już w drodze do swych hotelów, niedobitki porywały ostatnie torby i walizki, ja zaś czułam się coraz bardziej wykluczona z misterium; w końcu ogarnęło mnie uczucie, jakiego nie raz doświadczyłam podczas lekcji wuefu, kiedy czekałam do ostatka, żeby wybrano mnie do którejś drużyny. Taśmociąg wciąż był w ruchu, lecz z czeluści od dawna nie wyjechała żadna torba, co spowodowało szmer zaniepokojenia wśród pozostałych pariasów: starszego małżeństwa w okularach i wygodnych butach i rodziny rodem z hrabstwa York, sądząc po ich silnym akcencie, której latorośle — trzech chłopców z sitowiem zamiast włosów na głowie (tak to wyglądało z daleka) — zapewne mając na uwadze przestrogi rodziców, aby nie biegać na terenie lotniska, ścigały się w zwolnionym tempie. Na otwartej przestrzeni malcy szli gęsiego posuwistym krokiem, a kiedy pierwszy zbliżał się do rogu hali, pozostała dwójka robiła susa i zapędzała go do kąta. No i była tam jeszcze Carla. To znaczy wtedy oczywiście nie wiedziałam, jak ma na imię, zorientowałam się tylko, że podróżuje sama, jak ja.

Szczupła, a nawet lekko koścista, z niebrzydką twarzą okoloną chmurą kasztanowych włosów, zdawała się w ogóle nie przejmować możliwością utraty bagażu, choć z drugiej strony sprawiała wrażenie podekscytowanej, naładowanej jakąś nerwową energią: z zamglonym wzrokiem raz po raz to sięgała do luźno opadających kosmyków, to znów miętosila pasek od torebki. Ubrana była tak, jakby w Anglii panowało prawdziwe, a nie tylko kalendarzowe lato: miała na sobie cienkie spodnie, ażurową

szydełkową bluzkę i sandały na wysokim obcasie — wszystko czarne. Przez ten kolor, połyskujące włosy i gwałtowne ruchy przywodziła na myśl niespokojnego ptaszka.

Taśmociąg zatrzymał się z przeciągłym zgrzytem, po czym w hali zaległa nieznośna cisza. Miły minuty, lecz nie pokazały się ani nasze bagaże, ani też nikt z obsługi — najwyraźniej coś poszło bardzo nie tak. Wyjątkowa sytuacja wymagała wyjątkowych działań: zwykła brytyjska rezerwa została przełamana, dwaj mężowie zbliżyli się do siebie i niczym członkowie sztabu przed bitwą jęli ustalać strategię. Przysłuchując się jednym uchem ich wymianie zdań, zdecydowałam się podejść do samotnie podróżującej młodej kobiety. Kiedy wszakże zrobiłam w jej stronę pierwszy krok, uśmiechając się przy tym przyjaźnie, by nie wzięła mnie za natręta, ona odwróciła się ostentacyjnie i nerwowym ruchem wyjęła z torebki lusterko. Dłuższą chwilę się w nim przeglądała, po czym znów sięgnęła do przewieszanej przez ramię torebki i tym razem w jej ręku pojawił się błyszczący. Ustawiła się pod innym kątem do światła i uformowawszy usta w ciup, przeciągnęła pędzelkiem po wargach.

Zrozumiawszy aluzję, zmieniłam kierunek i zaczęłam bezmyślnie obchodzić halę czując, jak wzbiera we mnie złość. Tuż za drzwiami czekała na mnie Grecja, ze wszystkimi typowymi dla śródziemnomorskiej wyspy dźwiękami, zapachami i atrakcjami, podczas gdy ja tkwiłam w otępiającym bezruchu hali przylotów. Tak długo wyczekiwany pierwszy dzień urlopu został skażony przez czyjąś nieudolność i moją własną frustrację. Od czasu do czasu pozwalałam sobie rzucić spojrzenie na kogoś z towarzyszy niedoli, lecz większość uwagi skupiałam na zamarłym taśmociągu, starając się go przywrócić do życia samą siłą woli. W pewnym momencie najstarszy z chłopców, upewniwszy się, że nie patrzy na niego żadne z rodziców, chyłkiem wszedł na nieruchomą taśmę i zaczął na niej podskakiwać, co natychmiast przyciągnęło doń najmłodszego. Szkrab właśnie się mozolnie gramolił, leżąc brzuchem na taśmie i machając obutą w różową tenisówkę stopą, kiedy równocześnie rozległ się donośny męski śmiech i maszyneria na powrót ruszyła. Obaj chłopcy na wpół zeskoczyli, na wpół spadli, w ostatniej chwili ratując się przed wycieczką do czarnej dziury, ich rodzice zorientowali się, co się dzieje, gdy było już po wszystkim, toteż skończyło się na łagodnej burze, lecz co najważniejsze — wreszcie z otworu wychynęła moja charakterystyczna granatowa walizka.

Tak przynajmniej mi się wydawało.

Właśnie miałam sięgnąć po swą długo nie widzianą własność, kiedy kątem oka dostrzegłam obok siebie ruch — to ta kobieta, Carla, uprzedziła mnie i ucałała uchwyt od walizki.

— Bardzo panią przepraszam — odezwałam się uprzejmie, nie tracąc nic ze swej angielskiej flegmy, nawet wtedy gdy nasze ręce się zderzyły. — Myślę jednak, że to jest...

Rzuciła mi poirytowane spojrzenie swych dużych piwnych oczu.

— Och, tak mi przykro — powiedziała cicho — ale jestem pewna, że to moja walizka. — Była ujmująco grzeczna, lecz w jej głosie wyczuwało się napięcie.

Wspólnymi siłami zdjęłyśmy walizkę z taśmy.

— W takim razie może ją otworzymy — zaproponowałam, nie dając za wygraną.

— A niby dlaczego miałybyśmy...

Byłyśmy tak pochłonięte cywilizowanym wrywaniem sobie walizki i walką na słowa, że niemal przeoczyłyśmy drugą taką samą, która przejechała obok nas i teraz zmierzała w stronę otworu, by zniknąć w nim, tym razem już nieodwołalnie.

— O, nie!

— A niech mnie!...

Carla roześmiała się z ulgą, tracąc gdzieś całą swoją sztywność, po czym szczerząc radośnie zęby pognała wokół taśmy i chwilę potem już taszczyła w moją stronę bliźniaczą granatową walizę, którą ustawiła tuż obok pierwszej. Odzyskawszy nareszcie niesforny bagaż, szybko doszliśmy do tego, która walizka jest czyja, pogratulowałyśmy sobie sokolego wzroku i rączych nóg i ruszyłyśmy śladem starszego małżeństwa i rodziny z hrabstwa York w stronę odprawy celnej.

— Bogu niech będą dzięki, że nie musiałam otwierać swojej — szeptem zwierzyła się po drodze Carla. — Mam w niej prawie wyłącznie prezerwatywy. To by dopiero był wstyd... — Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, lecz zanim zdążyłam jakoś zareagować na to dziwne wyznanie, Carla dostrzegła w szklanych drzwiach swoje odbicie i wykrzyknęła: — O rany! Spójrz tylko na moje włosy! Ciekawe, gdzie tu może być toaleta?

— Zdaje się, że przed chwilą ją minęłyśmy.

— Wspaniale. Zanosi się na to, że dzisiaj nie wyjdę z hali odbioru bagażu... No to na razie. — Co powiedziawszy odwróciła się na pięcie i poszła tam, skąd przyszłyśmy.

W pierwszym odruchu chciałam na Carlę zaczekać. Dopóki nie zaczęłam z nią rozmawiać, dopóty nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ciąży mi samotność, a wyrwawszy się raz z bańki otaczającej każdego podróżującego w pojedynkę, nie miałam ochoty dać się znów w niej zamknąć. Wszelako po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że plany wakacyjne Carli znacznie odbiegają od moich, sądząc po jej imponującym zapasie kondomów, toteż wzruszywszy ramionami kontynuowałam wędrówkę ku światłu i wolnemu powietrzu.

Upierdliwi celnicy, namolni taksówkarze i przewodnicy wycieczek biegający tam i sam z obłędem w oczach — minęłam ich wszystkich i wreszcie wyszłam na zewnątrz, prosto w jaskrawe słońce południa. Przystanęłam, zaczerpując głęboko tchu i rozkoszując się chwilą. Wokół mnie unosił się wręcz namacalny upał, pulsujący w powietrzu, pieszczący niczym luksusowa kąpiel, grzejący moje blade, odziane w nylon ciało. Poruszyłam palcami u nóg w ciasnym nagle wnętrzu butów. Już niedługo, paluszki — powiedziałam do nich w myśli. — Mięciutki piasek i morska woda, a także bezbucia wolność czekają was jeszcze tego popołudnia...

Promienie słoneczne odbijały się w oknach dziesiątek zaparkowanych przy terminalu samochodów, głaskały każdą napotkaną powierzchnię. I tak rażące światło dzięki odbłaskom stawało się wprost

oślepiające, cudowne i nieskończone. Wyjęłam z torebki okulary przeciwsłoneczne i wsunęłam je na nos; wszystko wokół w jednej chwili pociemniało. Poprawiłam włosy i torebkę na ramieniu i już miałam ruszyć na podbój wyspy, kiedy poczułam, że ktoś mi się przygląda.

Udając, że dopasowuję długość paska od torebki, bezpiecznie ukryta za ciemnymi szklami okularów potoczyłam dookoła spojrzeniem w poszukiwaniu oczu tego, kto przewiercał mnie nimi na wyłot, powodując, że pomimo upału włoski na karku stanęły mi dęba niczym w przejmujący chłodem wilgotny angielski dzień.

Dokładnie naprzeciwko wyjścia z terminalu stał zaparkowany biały samochód, o który w niebdałej pozie opierał się dość wysoki mężczyzna ubrany — z równie niedbałą jak jego poza elegancją — w jasne lniane spodnie, luźną koszulę khaki i płócienne buty. W cieniu kapelusza panama skrywała się ładnie wyrzeźbiona delikatna twarz o zmysłowych ustach, na którą spadało kilka kosmyków wyblakłych rudych włosów. Całości dopełniały smukłe dłonie o długich palcach, przywodzące na myśl florenckie rzeźby aniołów — zwróciłam na nie uwagę, kiedy mężczyzna sięgnął po coś do kieszeni koszuli. Choć pozornie znudzony i zajęty czym innym — przecierał szkła okularów przeciwsłonecznych; gdy już je założył, okazały się z rodzaju tych, których używają narciarze bądź rowerzyści: pełne, zachodzące głęboko na skroń — z całą pewnością mnie obserwował. Przez ułamek sekundy sądziłam, że jest z firmy wynajmującej samochody, lecz zaraz odrzuciłam tę myśl — na pewno nie był miejscowy. Na turystę też nie wyglądał... Kiedy nasze oczy, mimo przyciemnianych szkieł, się spotkały, ani nie uciekł spojrzeniem, ani się nie uśmiechnął: po prostu dalej na mnie patrzył. Było w jego wzroku coś niepokojącego, choć z drugiej strony nie mogłabym powiedzieć, że mi się narzucał. Szybko zrozumiałam, że jeśli ktoś się już na człowieka gapi, lepiej, żeby nie zasłaniał oczu przydymionymi szklami. Wiele bym wówczas dała, żeby się dowiedzieć, czy ten mężczyzna uśmiecha się do mnie czy też łypie na mnie pożądliwie, żywi wobec mnie złe zamiary czy mną gardzi, jest znudzony czy rozbawiony, a może zwyczajnie przypominam mu jakąś jego znajomą. Gdybym tylko mogła zobaczyć jego oczy, wszystko by się wyjaśniło, w zaistniałej sytuacji jednak niczego nie mogłam być pewna.

Jeździec znikąd — pomyślałam. — W samo południe w okularach... — Gdyby nie to, że byłam z lekka zaniepokojona, wybuchnęłabym śmiechem. Zamiast tego schyliłam się po walizkę, podniosłam ją z niemalym trudem, po czym skręciłam w lewo i zaczęłam się oddalać od wyjścia z lotniska oraz tajemniczego mężczyzny. Kilka koślawych kroków dalej (walizka jakby przybrała na wadze podczas lotu) uświadomiłam sobie, że biuro wynajmu samochodów jest położone w przeciwnym kierunku, musiałam zatem zawrócić i minąwszy raz jeszcze wejście do terminalu, przejść obok białego samochodu i jego właściciela.

Mężczyzna obserwował wszystkie moje manewry z niesłabnącym zainteresowaniem, a ja czułam się coraz bardziej nieswojo.

W duchu złościłam się na siebie, że dałam się wyprowadzić z równowagi pierwszemu lepszemu chłystkowi, który ma więcej wolnego czasu niż dobrych manier, wkrótce jednak ogarnęła mnie złość na niego, że w ogóle zdołał mnie z równowagi wyprowadzić.

Na szczęście udało mi się w końcu odnaleźć biuro wynajmu samochodów, gdzie zostałam obsłużona przez dziarską dziewczynę, która tylko czekała, żebym wreszcie przestała dreptać tam i z powrotem i podeszła do niej odebrać swoje auto, co z kolei dawało jej możliwość zamknięcia biura na godzinę czy dwie, tyle, ile potrzeba, aby zjeść lunch w towarzystwie przystojnego młodego mężczyzny, być może nawet tego samego, który na mnie z istic południową swadą popatrywał. I to by było na tyle, jeśli chodzi o tajemniczych nieznajomych rzucających przyprawiające o dreszcze spojrzenia... — pomyślałam biorąc do ręki kluczyki.

Dziesięć minut później siedziałam za kierownicą zgrabnego, lecz narowistego białego fiata i robiłam co mogłam, żeby wydostać się z lotniska. Prowadziła z niego w głąb lądu szeroka droga, godna połączyć się z co najmniej trójpasmową autostradą, która jakoś mi nie pasowała do greckiej wysepki. Przez parę chwil myślałam nawet, że zaszła pomyłka przy lądowaniu, wkrótce jednak dała o sobie znać śródziemnomorska rzeczywistość. Kilka pierwszych wybojów uspokoiło mnie co do miejsca pobytu, niestety powodując także rozpaczliwą walkę z kierownicą i niemal doprowadzając do czołowego zderzenia z pnem majestatycznej palmy, jakich dziesiątki rosły wzdłuż coraz węższej szosy. Zaciśnięwszy palce wokół nagrzanego plastiku, skoncentrowałam się na jeździe. Przede wszystkim musiałam trzymać się prawej strony i chronić wzrok przed rażącymi błyskami nadjeżdżających z naprzeciwka aut. Mrużąc oczy wpatrywałam się w rozpostartą hen przede mną wstęgę czarnego asfaltu, która zdawała się topić w oślepiającym słońcu, i raz po raz zerkałam na leżące na kolanach wskazówki, jak najszybciej dojechać do hoteliku, w którym zrobiłam rezerwację na najbliższe dwa tygodnie. W chwilach desperacji ogarniało mnie przeczucie, że moje wakacje skończą się, zanim się na dobre rozpoczęły.

Oczywiście teraz żałuję, że tak się nie stało.

Szeroka, wysadzana śmiercionośnymi palmami aleja dość szybko zmieniła się w biegnącą równoległe do brzegu morskiego drogę, przy której roilo się od tawern, barów, dyskotek, tanich hoteli i pół namiotowych. Tutaj główne zagrożenie stanowili turyści, radośnie wychodzący na drogę tuż przed maską mojego fiata, tak że musiałam zwolnić do paru kilometrów na godzinę, jeśli nie chciałam odebrać któremuś z nich życia. Miejscowi kierowcy, zwłaszcza taksówkarze, mijali mnie pędem całymi stadami, trąbiąc przy tym równie przeraźliwie, co i obraźliwie.

Wreszcie droga zaczęła pomału się piąć. Kafejki i hotele rozmieszczone były znacznie rzadziej, piesi praktycznie zniknęli, toteż nieco się odprężyłam i mogłam już nawet rozglądać się wokół. Po prawej stronie miałam panoramę lazurowego morza, po lewej skaliste zbocza i parę rachitycznych drzewek — tyle zdążyłam zobaczyć, nim serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy szalony tak-

sówkarz wyprzedził mnie z zawrotną prędkością na serpentynie. Nie doszłam jeszcze do siebie, gdy zza kolejnego zakrętu wyłonił się olbrzymi autokar wycieczkowy, przez który o mały włos spadłabym w ziejący wąwóz. Po tych przygodach zaniechałam oględzin krajobrazu, mówiąc sobie, że w dole mógłby płynąć choćby i sam Jazon ze swymi Argonautami, a ja za nic w świecie nie oderwę więcej oczu od drogi. Jak się okazało — słusznie, gdyż parę chwil potem z góry wprost na mnie pędziły ciężarówki wypełnione do granic rozdrobnionymi skałami i kamieniem. Już miałam wysiąść z samochodu i kontynuować podróż pieszo, kiedy w oczy rzucił mi się drogowskaz: NEAPOLIS, u którego huśtał się na wietrze kawałek drewna z niebieskim napisem: U MANOLEGO.

Wydawszy okrzyk radości, skręciłam w wąską drogę i już za pierwszym zakrętem moim oczom ukazała się zatoczka, dokładnie taka, jaką na zdjęciu oglądałam w biurze podróży, tyle że tysiąc razy ładniejsza. Wystarczyło jedno spojrzenie na ten cud natury, żeby opuścił mnie cały stres ostatnich minut i godzin. Zapomniawszy o strachu, wzdychałam z zachwytu nad pięknem tego miejsca: błękit morza, głęboka zieleń cyprysów i połyskujące srebrem drzewka oliwne... Wspaniałomyślnie przymknęłam oko na leżący po drugiej stronie cypla kompleks wypoczynkowy rażący tandetną pstrokacizną.

Czując, jak przepelnia mnie spokój, jechałam wolniutko po świeżo wyasfaltowanej drodze prowadzącej wśród gęstej roślinności niemal do samego morza. W powietrzu rozbrzmiewały dźwięki cykad, którym akompaniował delikatny szum liści.

Wzięłam jeszcze jeden zakręt i aż sapnęłam z zachwytu: na pierwszym planie stała garstka niewielkich budynków z kamienia, gdzieniegdzie pobielonych, o tarasach porośniętych pnączami winorośli, a za nimi rozciągała się bieluteńka plaża i cudownie spokojne morze.

Dotarłam na miejsce.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cztery dni później nie byłam już tak zachwycona.

Nie znaczy to, że hotel mnie rozczarował, wręcz przeciwnie: niczego innego się nie spodziewałam. Mały, z zaledwie pięcioma pokojami i bez restauracji, według zachodnich standardów pewnie nie zasługiwał na swe szumne miano, mnie to jednak nie przeszkadzało. Prawie cały parter zajmował ogromny bar, wychodzący aż na zacieniony winoroślą taras. Stały w nim przeszklone chłodziarki z gazowanymi napojami i lodami i plastikowe stoły i krzesła, z których korzystali zarówno turyści, jak i tubylcy. Każdego ranka przez mniej więcej godzinę podawano tam śniadanie dla gości — świeże pieczywo, miejscową odmianę jogurtu z kapką miodu na wierzchu oraz pomarańcze i jabłka, które w przeciwieństwie do tych kupowanych w londyńskich supermarketach wyglądały na prawdziwe, do picia zaś mocną, gęstą kawę serwowaną w wielkich dzbankach.

Właściciele hotelu, Manolego i Despinę, oceniałam na pięćdziesiąt parę lat. On był wysoki, żyłysty i trzymał się prosto jak struna — poruszał się po swoim królestwie z godnością, lecz z oczu wyzierało mu znużenie życiem i światem, jakby był już świadkiem wszelkich okropieństw i nic nie mogło go zdziwić; tym bardziej więc kontrastował z jego zwykłą ponurością nieopisanie łagodny uśmiech, który rozjaśniał mu z rzadka twarz. Dla odmiany Despina była niska i rozłożysta, przypominała jedną z piętkatych donic rozstawionych na tarasie, poruszała się wszakże z niewiarygodną prędkością, trajkocząc przy tym bez ustanku, co sprawiało wrażenie, że jest na wszystkich wściekła, ale w rzeczywistości była tylko zajęta codzienną krzątaniem.

Kiedy się pojawiłam, Manoli wyszedł mi na spotkanie, jednakże Despina okazała nieufność — z pewnością zbiło ją z tropu, że taka młoda kobieta jak ja podróżuje samotnie. Wszyscy pozostali goście byli parami, tak więc „U Manolego” dołączyłam do małżeństwa w średnim wieku, pary starszków i czwórki młodszych ode mnie ludzi (którzy zapewne też byli połączeni węzłem małżeńskim, każda dwójka własnym), choć pierwszego dnia jeszcze o tym nie wiedziałam. Wczesnym popołudniem hotel świecił pustkami; wyspa oferowała wiele atrakcji, a obiad można było zjeść w którejś z restauracyjek Yerolimani, tuż przy zatoce. Jak się wkrótce zorientowałam, wystarczyło pół godzinki spaceru ścieżką wijącą się wokół cypla lub paręnaście minut jazdy (trzeba było wrócić na główną drogę, a potem skręcić w stronę miasteczka), żeby tam się dostać.

Pokój, który przypadł mi w udziale, położony był na tyłach domu. Okno wychodziło na część gospodarczą podwórka ze splachetkiem spalonej słońcem trawy i paroma krzakami o jaskraworóżowych kwiatach i wąskich srebrzystych liściach (nie od razu rozpoznałam w nich oleandry), poza tym rozciągał się tam sznur do prania i stało trochę skrzynek z napojami gazowanymi. Nieco dalej były mały warzywny ogródek, gdzie rosły pomidory i dynie, i coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Na podwórku rządziła, ubrana zawsze w długą po kostki czarną spódnicę i chustkę na głowie, matka Manolego, której nawet znizony do szeptu głos musiał być dobrze słyszalny na sąsiednich wysepkach. Kiedy mówiła odrobinę głośniejszym głosem, słyszano ją zapewne na stałym lądzie, a niestety robiła to często, gdyż pracując w warzywniku prowadziła niekończącą się wymianę zdań z Despiną bądź pomocą kuchenną, gdy te znajdowały się w domu. Z początku myślałam, że kłócą się straszliwie i że lada chwila poleje się krew, zaraz jednak któraś z kobiet wybuchnęła śmiechem, rozładowując napięcie (moje, ma się rozumieć), po czym starszuszka zaczęła mówić jeszcze głośniejszym głosem.

Pokój był mały, ale właściwie nic mu nie brakowało. Z dwóch wąskich łóżek zrobiono jedno większe, które zajmowało środek pomieszczenia, w kącie stała fikuśna, choć jak się okazało, niebezpiecznie rozchwierutana szafa, z sufitu zaś zwisała goła żarówka, mająca mniej więcej tyle watów, ile trzy anemiczne robaczki świętojańskie (właściciele widać nie pochwalali spędzania urlopu w czterech ścianach ani tym bardziej czytania w łóżku); we wnęce łazienkowej (w biurze podróży wielokrotnie podkreślali, że pokój będzie z łazienką) w oczy rzucały się olbrzymie połączone kurki, z których

jednak po odkręceniu ciekła wąła strużka wody, a zatyczka do odpływu była o połowę za mała w stosunku do otworu. Poza tym wszystko było okej, a zresztą kiedy odkryłam powyższe braki, było już późne popołudnie i nic nie mogło mi zepsuć humoru.

Ledwie położyłam walizkę na łóżko, zdjęłam przepocone po podróży ubranie i wyłuskawszy spośród schludnie spakowanych ciuchów nowiuteńki, głęboko wycięty supermodny kostium kąpielowy, czym prędzej go włożyłam. Narzuciłam jeszcze luźną koszulkę, wzięłam klapki na gumowej podeszwie, złapałam kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i ręcznik i już mnie nie było. Zbiegłam po schodach, przecięłam bar i z tarasu wyszłam na piasek prowadzący równiutką łachą wprost do morza. Mniej więcej w połowie plaży pozbyłam się kapelusza, okularów i koszulki i zostawiwszy na brzegu ręcznik, rzuciłam się szczupakiem w fale.

Uwielbiam pływać i jestem w tym dobra. Natychmiast doceniłam różnicę pomiędzy zatłoczonym, chlorowanym basenem w lokalnym centrum sportowym a otwartą przestrzenią Morza Śródziemnego. Przedarłam się przez kolejne warstwy niczym uważny archeolog: przy brzegu roilo się od dzieci i kolorowych materacy, dalej młodzież grała w piłkę, a ludzie w średnim wieku pływali w pontonach, za nimi pojawiła się flotylla rowerów wodnych napędzanych przez zwiotczale mięśnie staruszków, wreszcie zostałam sam na sam z zapalonymi pływakami, a krótką chwilę potem byłam już tylko ja i morze. Przewróciłam się na plecy i pozwalając się wodzie unosić, rozkoszowałam się ciepłem i barwnymi wzorami kreślonymi przez słońce na zamkniętych powiekach. Później zawisłam w wodzie pionowo i leniwie przebierając nogami, patrzyłam w stronę brzegu starając się ustalić swoje położenie. Nawet tutaj dochodziły mnie głosy, piski i radosny śmiech plażowiczów.

Stanowiące tło skały przydawały oglądanej przez mnie scenie dramatyzmu. Najwyższe wzgórze miało kształt ściętego stożka i z miejsca, z którego na nie patrzyłam, przypominało głowę byka lub bawołu (później dowiedziałam się, że miejscowi nazywają je „Odyniec”, tak więc niewiele się pomyliłam). Szczyty po obu jego bokach były bardziej strome, z urwistymi stokami, a położone najwyżej skarpy wydawały się najeżone mającymi zaraz spaść odłamkami. Pozbawione roślinności, dzikie i zimne, stanowiły rażący kontrast z radosną sceną rozgrywającą się na piaszczystej plaży. Zadarłszy głowę, przelotnie się zastanowiłam, czy ta zataczająca kręgi plamka hen wysoko może być orłem.

Brzeg, z którego tu przyplłynęłam, okazał się małą zatoczką przytuloną do większej zatoki Yero-
limani, gdzie rozciąga się urokliwe stare miasto, a za nim przystań i duży kompleks turystyczny. Przy „mojej” zatoczce był tylko jeden hotel — ten, w którym się zatrzymałam, a także parę domów, tawern i kawiarni — lecz miała ona to, co na urlopie najważniejsze: bielutki piasek, który przyciągał turystów aż z kamienistych plaż Yerolimani.

Siedziałam w wodzie ponad godzinę, nim w końcu zaczęłam torować sobie drogę w stronę brzegu: rowery wodne, pontony, materace, wreszcie baraszkujące na płyciźnie szkraby — i już szłam ociekając wodą w kierunku kupki swoich rzeczy. Włożyłam koszulkę, by ochronić ramiona przed pra-

żącym słońcem, i poczułam, jak coś drapie mnie w plecy. Z zażenowaniem uświadomiłam sobie, że w pośpiechu zapomniałam odciąć sklepową metkę od kostiumu; pięknie musiałam wyglądać defilując przez zatłoczoną plażę z kawałkiem kartonu na plecach.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że spędzanie urlopu w pojedynkę ma swoje minusy.

W ciągu następnych dni pojawiło się więcej powodów, by tak myśleć, i co gorsza były one znacznie poważniejsze niż nieodcięta metka od kostiumu.

Planując wakacje, dokładnie wiedziałam, jak je spędzę: widziałam się w roli nieustraszonej samotnej podróżniczki; zawsze takie podziwiałam będąc na urlopie w czyimś, nie zawsze miłym, towarzystwie i żalując, że nie jestem sama. Rankami miałam wymykać się wcześniej na wzgórze, zabierając ze sobą kanapki i szkicownik, w którym utrwalalabym ołówkiem powykręcane kształty drzewek oliwnych i starała się oddać surowe piękno domostw i krajobrazu. Później bym pływała albo włóczyła się po okolicy, w zależności od nastroju. Nie groziłyby mi niekończące się dyskusje, dokąd pójść albo gdzie zjeść obiad, które mogą wystawić na próbę najbardziej długotrwałą i wierną przyjaźń. Przez dwa pełne tygodnie mogłabym sobie pobłażać, a wszyscy inni — obarczeni partnerami bądź przychówkiem — tylko by mi zazdrościli wolności. Patrząc na mnie myśleliby: oto kobieta, która ma odwagę sięgać w życiu po to, czego pragnie.

No dobrze, to niezupełnie prawda. Kiedy zaczęłam myśleć o urlopie, a było to jeszcze w lutym, miałam nadzieję spędzić go wspólnie z niejakim Mike'em Barrettem, chociaż doświadczenie powinno było mnie nauczyć, że nasz związek nie potrwa wystarczająco długo, żeby doczekać wakacji. I tak cud, że udało nam się urlop zaplanować i zarezerwować bez skakania sobie do oczu — nienawidzić zaczęliśmy się później. Oczywiście, że mogłam rezerwację odwołać, jak tylko zdałam sobie sprawę, iż wspólne oglądanie filmów Davida Lyncha i chodzenie na sushi nie stanowi solidnej podstawy poważnego związku — mogłam, ale do tego czasu Mike Barrett tak bardzo zalazł mi za skórę, że nie miałam zamiaru dać mu tej satysfakcji. Zamiast z nim mogłam pojechać z którąś z przyjaciółek, ale tak się pechowo złożyło, że wszystkie akurat odkryły prawdziwą miłość i — przynajmniej chwilowo — były zajęte: nawet ja rozumiałam, że żadna z nich nie porzuci swego aktualnego księcia z bajki, żeby pojechać ze mną na dwa tygodnie do Grecji.

Skończyło się na tym, że posłałam Mike'a Barretta do wszystkich diabłów i zaczęłam przekonywać samą siebie, że wakacje w pojedynkę to coś, o czym od dawna marzyłam. Dotychczas brakowało ci odwagi — mówiłam sobie. — Los podsunął ci teraz okazję, której nie możesz zmarnować. Gdzie twoja ambicja, dziewczyno?... Chyba sama w te brednie uwierzyłam, gdyż inaczej prawda o samotnym urlopie nie byłaby dla mnie takim szokiem.

W pierwszy dzień, mimo zmęczenia podróżą, czułam się świetnie. Pełna wrażeń wcześniej poszłam spać (choć nie bez znaczenia była słaba żarówka) i zerwałam się o świcie. Przed śniadaniem zrobiłam sobie spacer, zaraz po posiłku wybrałam się popływać, odpoczywałam szkicując powykręca-

ne gałązki drzew oliwnych, po czym zmęczona rysowaniem włączyłam się bez celu i znowu wylądowałam na plaży. Byłam szczęśliwa. Po południu poszłam na piechotę do miasteczka, chodziłam wąskimi uliczkami zaglądając do sklepików i kafejek, przystanęłam na przystani, gdzie rybacy sprzedawali ryby wprost z pokładu swych łodzi. Wszystko było wspaniałe. Zrobiło mi się żal Mike'a Barretta, że nie dane mu było zobaczyć tego miejsca, i od razu poczułam się znacznie lepiej, gdyż wydało mi się to wystarczającą zemstą. Chociaż właściwie nie chciałam się już na nim mścić; byłam przecież szczęśliwa, a w takim stanie ducha trudno żywić wobec kogoś podłe uczucia. Można więc powiedzieć, że drugi dzień okazał się jeszcze lepszy niż pierwszy.

Dopiero trzeciego dnia znowu pożałowałam, że jestem sama.

Minionego wieczoru odkryłam ścieżkę prowadzącą przez zarośla i w poprzek wyschniętego strumienia wprost do wzgórz, które wypatrzyłam, kiedy po raz pierwszy wypuściłam się daleko w morze. Miejsce wydawało się nieuczęszczane i postanowiłam wykorzystać je jako bazę do opalania, przynajmniej do czasu gdy skały rozgrzeją się niemiłosiernie, uniemożliwiając leżenie na nich plackiem. Zabrawszy z hotelu tylko ręcznik, krem z filtrem, nieodłączny kapelusz i ciemne okulary oraz książkę, zapuściłam się w głąb wyspy i zdyszana wdrapałam na płaski występ skalny, wprost idealnie nadający się do kąpieli słonecznej. Kiedy stanęłam na jego brzegu, pod sobą ujrzałam krystalicznie czystą wodę i malutkie wydmy piasku na morskim dnie. Super. Nie namyślając się wiele, zanurkowałam i odpłynęłam w morze.

Wracając zauważyłam, że na „mojej” skale ktoś siedzi. Szczupły chłopak, któremu dawałam od trzynastu do trzydziestu lat. Czyżby cały czas mnie obserwował? Kiedy klapnęłam na ręcznik, spostrzegłam, że obok siebie postawił miniaturowe radyjko, z którego dochodziło rżenie w postaci greckiej muzyki pop — zdecydowanie nie mojej ulubionej. Kątem oka zauważyłam jeszcze, że jego twarz jest jakaś dziwna. Miał wyłupiaste oczy, z których każde patrzyło w inną stronę, i niesymetryczne usta, pozostające bez ustanku półotwarte. Ciemnowłosey, opalony i patykowaty, ubrany był w odbłaskowe szorty o parę rozmiarów nań za duże. Z przerażeniem pomyślałam, że gdy wstanie, jego jedyny przydziewek opadnie mu do samych stóp, wystawiając na widok publiczny jeszcze mniej apetyczne części jego anatomii.

Zdaje się, że patrzył w morze, choć trudno było to stwierdzić z całą pewnością, gdyż podczas kiedy jedno oko miał utkwione prosto przed siebie, drugie w niekontrolowany sposób omiało niebo. W każdym razie nie sprawiał wrażenia, jakby zwrócił na mnie uwagę, toteż umościłam się wygodniej przekonując się w duchu, że jego obecność to bez wątpienia przypadek i że nie ma się czym przejmować. Wkrótce zupełnie się rozluźniłam i oddychając głęboko, rozkoszowałam się ciepłem na skórze, a słońce unicestwiało ostatnie kropelki morskiej wody, jakie przyniosłam ze sobą na ląd.

Parę minut później muzyka stała się głośniejsza. Z niechęcią otworzyłam oczy i zobaczyłam, że radyjko i jego właściciel przemieścili się o jakiś metr w moją stronę. Chłopak wciąż był zapatrzony w horyzont (albo w niebo), a mnie traktował jak element krajobrazu.

Kiedy znów uchyliłam powieki, odległość między nami jakby się zmniejszyła. Nie chcąc dzielić się swoim ręcznikiem z miejscowym głupkiem i śródziemnomorską listą przebojów, uznałam, że czas, aby jedno z nas zmieniło miejsce pobytu. Niestety, nie był mi znany żaden przepis zabraniający tubylcom przesiadywania na skałach, toteż zebrałam swoje klamoty, ostrożnie zeszałam po zboczach i odnalazszy ścieżkę, skierowałam się na plażę. Odwróciłam się raz czy dwa, ale chłopak siedział jak przymurowany, a jedyną oznaką, że żyje, było wystukiwanie rytmu na kościstym kolanie; moje odejście było mu najwyraźniej obojętne. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy aby nie wyobraziłam sobie całej tej sytuacji i jego prób zbliżenia się do mnie.

Zatrzymałam się w jednej z kafejek rozrzuconych przy plaży. Popijając *limonadę* obserwowałam, jak czwórka młodych ludzi dokazuje na płyciźnie. Dziewczyny, blondynka i brunetka, tylko trochę ode mnie młodsze, siedziały swoim partnerom na barana. Zabawa polegała głównie na wydawaniu pisków i spektakularnych upadkach do wody. Po pewnym czasie mężczyźni nie pozwolili się dosiąść, lecz sami spróbowali wdrapać się na ramiona dziewczyn; wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią. Na pewno to, co robili, było ciekawsze od siedzenia w pojedynkę z pustą szklanką po *limonadzie* i zastanawiania się, po którą książkę sięgnąć, kiedy już się skończy obecna.

A potem... Niech to wszyscy diabli! Przy stoliku obok zazgrzytało odsuwane krzesło i nie musiałam nawet odwracać głowy, żeby zobaczyć, że do tej samej co ja kafejki, przypadkiem — jakżeby inaczej — zaszedł mój lowelas ze skały. Poczułam się osaczona i naturalnie ogarnęła mnie złość, choć wiedziałam, na czym polega problem. Otóż od dobrych paru lat wiele energii poświęciłam na tłumaczenie ludziom, że pomimo iż wyglądam na gimnazjalistkę, jestem już po studiach, a nawet zdążyłam zdobyć sporo doświadczenia zawodowego — co, zwłaszcza w kontaktach służbowych, niestety nie zawsze przynosiło zamierzony efekt.

Nie grzeszę wybujałym wzrostem, mam jasne proste włosy i delikatne rysy twarzy. Nawet jeśli uważam się za żyletę, z pewnością na nią nie wyglądam. Wiedziałam, że gdybym wstała i kazała mu się odczepić, roześmiałyby mi się prosto w nos. Doświadczenie nauczyło mnie, że zamiast bezpośredniej konfrontacji i okazywania złości, lepiej jest uciec się do innych, przebieglejszych metod. W tym wypadku postanowiłam wrócić do hotelu, po czym upewniwszy się, że idący moim śladem chłopak czeka na mnie od frontu, wyszłam tylnym wyjściem i podążyłam w stronę Yerolimani.

Rozwiązanie okazało się wyłącznie doraźne. Przez resztę tego i cały następny dzień chłopak łąził za mną krok w krok, bawiliśmy się więc w kotka i myszkę: ja mu się wymykałam, a on, prędzej czy później, na powrót się pojawiał. Nigdy wszakże do mnie nie podszedł ani nie zagadał, czego trochę żałowałam, gdyż wtedy mogłabym mu wygarnąć, co myślę o jego wątpliwych zalotach — a tak znała-

złam się w impasie, przepelniała mnie złość i poczucie krzywdy i nie miałam pojęcia, co z tym fantem począć. Parę razy wydawało mi się, że wlepie spojrzeń w moje piersi bądź nogi, ale zawsze robił to jednym okiem (drugie omiatało niebo albo wzgórze niczym ruchomy reflektor), tak że właściwie nie mogłam być tego na sto procent pewna.

Wreszcie odetchnęłam z ulgą. Chłopak nie pokazał się od momentu, kiedy to rankiem udało mi się złapać spojrzenie jego dobrego oka na wystarczająco długo, żeby rzucić mu wściekły błysk moich obu. Ku mej wielkiej uldze chyba zrozumiał przekaz i się odczepił.

Wieczorem, po raz pierwszy od kilku dni nie ciągnąc za sobą ogona, poszłam na — położoną około kilometra za „moją” skałą — plażę, którą z daleka zauważyłam kąpiąc się w morzu. Z bliska okazało się, że jest to miejsce spotkań miejscowych nudystów. Wprawdzie zarówno w Yerolimani, jak i przy małej zatoczce było trochę zdesperowanych plażowniczek topless, tutaj jednak praktycznie każdy bez względu na płeć paradował jak go Pan Bóg stworzył.

Odkrycie tego zakątka niezmiernie mnie ucieszyło, gdyż kilka dni opalania się w supermodnym kostiumie uświadomiło mi, że jeśli szybko nie poczynię drastycznych kroków, wróć do Anglii łaciata niczym koń Pippi Langstrump (nie wiedzieć czemu w tym sezonie najmodniejsze były kostiumy z wielką liczbą malutkich otworków). Przypomniawszy sobie achy! i ochy! przyjaciółek, które miały okazję kąpać się nago, nie mogłam się wprost doczekać, by poczuć na gołym ciele dotyk powietrza i wody.

W otoczeniu radośnie wyglądających nagusów poczułam się niezręcznie będąc wciąż ubrana. Zdjęłam pareo i natarłam kremem z filtrem ręce i ramiona, po czym rozsypawszy zapięcie kostiumu opuściłam jego przednią część i wysmarowałam piersi i brzuch. Uznawszy, że górę mam odpowiednio zabezpieczoną, wstałam i ściągnęłam kostium do reszty. Właśnie wycisnęłam sowitą porcję kremu do prawej dłoni, żeby powtórzyć operację namaszczenia, tym razem pośladków i ud, kiedy zdałam sobie sprawę, że mam widownię. Parę metrów dalej, odziany w te same odblaskowe szorty, siedział mój stary znajomy. Przyciągnąwszy kolana pod brodę oparł na nich głowę i tym razem — nie miałam co do tego wątpliwości — gapił się wprost na mnie. W ciągu zaledwie sekundy zrozumiałam, że ten ambitny chłoptaş potrafi jednym okiem wyrazić więcej niż większość mężczyzn za pomocą dwojga zdrowych oczu, przynajmniej jeśli chodzi o lubieżność. Do tego jego usta rozchyliły się bardziej niż zwykle, po czym rozciągnęły w szerokim, acz niedomkniętym uśmiechu.

Byłam zła. Co tam: zła, byłam wściekła. Już miałam do niego podejść i powiedzieć mu, co o nim myślę, a także poinstruować go dokładnie, co moim zdaniem powinien ze sobą zrobić, kiedy dotarło do mnie, że w obecnym stanie raczej nie przedstawiam groźnego widoku. Co gorsza, mogło się okazać, że chłopak tylko na to czekał — nie co dzień przecież goluteńka babka drze się na plaży w obcym języku.

Odwróciłam się więc na pięcie i ruszyłam prosto do morza. Na ogół nie myślę wiele o swojej figurze (jest z nią wszystko w porządku, choć nie zalicza się do olśniewających), jednakże ten krótki spacer od ręcznika do brzegu sporo mnie kosztował. Bardziej od gorąca pod stopami czułam każdy skrawek wystawionego na widok publiczny ciała — najdotkliwiej dały mi się we znaki blade pośladki, które z każdym moim krokiem podskakiwały niczym tylne światła samochodu na wybojach.

Z ulgą weszłam do wody, zaczerpnęłam tchu i dałam nurka. Pozostałam pod wodą tak długo, jak długo mogły to wytrzymać moje płuca. Kiedy się wreszcie wynurzyłam, całą swą wściekłość wyładowałam w energicznych wymachach kraula, torując sobie drogę wśród pozostałych pływaków. Sporo czasu upłynęło, nim wściekłość mnie opuściła, i tym sposobem wypłynęłam w morze dalej niż przy wcześniejszych okazjach. Zatrzymałam się dopiero wtedy, kiedy znalazłam się na pełnym morzu, ładny kawałek za zatoką, dokąd dopływał mało kto spośród najśmielszych pływaków — a takich tamtego dnia w ogóle nie było zbyt wielu. Odwróciłam się twarzą w stronę lądu i unosiłam się w wodzie pionowo, pomagając sobie szybkimi ruchami nóg. Z tej odległości nie sposób było dostrzec poszczególnych plażowiczów, toteż nie umiałam powiedzieć, czy mój prześladowca machnął na mnie ręką i poszedł poszukać innej ofiary, czy może wciąż jeszcze nie daje za wygraną.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, przeświecało rażącą czerwienią zza szczytu wzgórza przypominającego kształtem głowę odyńca. Wszystko poniżej spowite było już mrokiem; uderzyła mnie myśl, jak odmiennie to miejsce musi wyglądać zimą: zamiast dobrotliwych, czuwających nad okolicą skał — złowróźbna czerń i chłód kamienia.

Wstrząsnął mną dreszcz. W czasie kiedy tu płynęłam, zerwał się wiatr przypominający mi, że na Morzu Śródziemnym nawet latem sztorm może się rozpętać praktycznie w jednej chwili. Uprzymiłam sobie, że jestem daleko od brzegu i zupełnie naga, a pode mną rozciąga się bezgraniczna głębia. Czy mi się zdawało, czy wokół stóp, którymi szybko przebierałam, żeby utrzymać się w wodzie w pozycji pionowej, przepłynął chłodniejszy prąd? A może o moje kostki otarły się długiaste wstęgi glonów morskich albo coś jeszcze innego?...

Przecież byłam w tym miejscu po raz pierwszy, nie znałam ani zatoki, ani tym bardziej otwartego morza i jego prądów. Gniew przygnał mnie tak daleko od brzegu, ale kiedy gniew wyparował, zrodził się lęk. Zaczęłam się zastanawiać, czy faktycznie zdołałam wypłynąć tak daleko o własnych siłach, czy może zniósł mnie tu podwodny zdradliwy prąd. A nawet jeśli przyplłynęłam sama, prąd mógł mnie unosić, kiedy pozornie wisiałam w bezruchu. Co wtedy? Przez głowę przebiegło mi multum pytań. Jak daleko jestem od brzegu? Czy ktoś usłyszy moje wołanie o pomoc? Jak długo można wytrzymać w wodzie nocą? Czy po zapadnięciu zmroku ktoś zauważy moją nieobecność na lądzie? Czy zostanie wszczęty alarm? A może Despina uzna, że po prostu kogoś poznałam i że nie pojawię się wcześniej niż nazajutrz?... Jęłam rozpaczliwie obliczać odległość do brzegu — kilometr, półtora? A może

więcej? Ile to będzie długości basenu? Myśli mi się plątały i w pewnym momencie zaczęłam panikować — o mój Boże, czy w Morzu Śródziemnym żyją rekiny?!...

Przestań! — zgromiłam się w duchu. — Dasz sobie radę, i to z łatwością, co to dla takiej pływaczki jak ty. Tylko się uspokój, oddychaj głęboko i nie rób niczego pochopnie.

Próbowałam zastosować się do swych rad, głównie jednak starałam się nie patrzeć na brzeg, ilekroć bowiem podniosłam głowę, wydawał mi się równie odległy jak chwilę przedtem. Kiedy wykonałam niezliczoną liczbę wymachów rąk i wybić nóg, usłyszałam w oddali coś jakby szum motorówki. Zatrzymałam się i spojrzałam w stronę, z której dochodził coraz wyraźniejszy dźwięk. W moim kierunku popyrkując płynęła mała łódka. Czyżby ratownicy? Wyteżyłam wzrok, żeby przebić gęstniejącą ciemność i odległość, i z gardła wydobył mi się niekontrolowany okrzyk wściekłości. Rzuciłam się do przodu niezgrabnym kraulem.

W łódce siedział on. Rozpoznałam charakterystyczne pochylenie ramion i strzechę włosów na głowie — nie mogłam się pomylić, to był on, ten drań. Nie zostawił mnie w spokoju nawet tutaj, prawie na środku morza.

Czułam, jak ogarnia mnie panika. Być może dało o sobie znać zmęczenie, odwodnienie albo wcześniejsze ostre słońce — bez względu na powód uległam klasycznemu atakowi, jakiego obawia się każdy pływak. Wymachiwałam ramionami jeszcze szybciej i wkrótce zapewne pobiłam własny rekord. Woda i wściekłość zalewały mi oczy, umysł miałam otepiały, skupiony tylko na jednym: dopłynąć do brzegu i uciec temu draniowi. Gdyby nie nagły ból w lewej łydce, nie przestałabym płynąć nawet na bezpiecznej płyciźnie; kto wie, może sunęłabym brzuchem po piasku do połowy plaży, nim dotarłoby do mnie, że już jestem na lądzie. Tymczasem skurcz promieniował od czubków palców do kolana. Chwytając ciężko powietrze i sycząc z bólu, przyjęłam znów pozycję pionową i złapawszy lewe kolano, drugą ręką zaczęłam rozcierać mięśnie łydki i stopy na tyle, na ile w tamtych warunkach potrafiłam. Przez taflę wody spoglądałam na swe zanurzone ciało i zaniepokoił mnie jego wygląd; do tego w ramionach mnie strzykało i powoli traciłam władzę w rękach.

Rozejrzawszy się wokół, zorientowałam się, że płynąc zboczyłam na prawo i że znajduję się około dwudziestu metrów od skał, gdzie opalałam się minionego dnia. Jeśli dalej będę płynąć w tym kierunku, zdryfuję prosto na plażę, przy której stoi mój hotel — pomyślałam. Niewiarygodnie przypała mi do gustu perspektywa znalezienia się we własnym pokoju, z tym małym wyjątkiem, że wszystkie swoje rzeczy — w tym ubranie — zostawiłam na innej, odległej plaży. Być może byłam ogłupiała od nadmiaru słońca i wysiłku, nie na tyle jednak, by zdecydować się przejść przez zatłoczony o tej porze bar i minąć pełnych dezaprobaty Despinę i Manolego, mając na sobie wyłącznie nierównomierną opaleniznę i warstewkę soli z Morza Śródziemnego.

Po dłuższej chwili skurcz lekko ustąpił, umożliwiając mi dotarcie — stylem mieszanym — do skalistego brzegu. Zamierzałam tam odpocząć, a potem przepłynąć na plażę, gdzie zostało moje ubra-

nie, lecz okazało się, że przeceniłam swoje siły; nie byłam w stanie wydostać się na brzeg, nie mówiąc o pokonaniu kolejnego dystansu — trzymając się kurczowo chropawej skały, unosiłam się na wodzie i jęczałam z wyczerpania.

Przymknęłam oczy. Kula słońca skryła się zupełnie za głową odyńca, wciąż jednak świeciła dość jasno, mnie to wszakże nie pocieszało. Urokliwe wcześniej miejsce teraz zdało mi się wrogie i nieprzychylne. Chciało mi się pić, głowa pękała mi z bólu, a do tego chyba znów łapał mnie skurcz.

W końcu, nie wyszedłszy nawet na brzeg, ostatkiem sił przepłynęłam na następną plażę. Pomimo nieludzkiego bólu w plecach i sztywniejącej lewej nogi udało mi się wydostać na ciepły piasek, tam niezgrabnie się podniosłam z czworaków i zaraz potknęłam o brzdąca stawiającego wieżyczki na zamku. Jego matka na mnie krzyknęła, ale nie zważałam na to; na plaży było znacznie mniej ludzi niż wcześniej, ja jednak prułam naprzód potykając się o tych nielicznych. Podeszłam do kupki swoich rzeczy i opadłam na ręcznik. Resztką sił przykryłam się jeszcze koszulką i zanim zamknęłam oczy, zauważyłam, że zezowaty donzuan siedzi tam, gdzie siedział.

Zatem w łódce musiał być ktoś inny. Cały wysiłek na darmo — pomyślałam zamykając ze zmęczenia oczy.

Kiedy tak leżałam czując, jak na moim ciele obsycha morską wodą, powoli zaczęły do mnie docierać i inne wrażenia, będące dowodem, że tego dnia złamałam wszelkie zasady pływaka i plażowicza; w głowie mi pulsowało, raz po raz do gardła napływała fala mdłości, język miałam niczym obtoczony w suchym piasku, którego nie mogłam nawet splukać, gdyż zapomniałam przynieść ze sobą choćby małą butelkę wody mineralnej. Zdawałam sobie sprawę, że znużenie, jakie mnie ogarnęło, wynika nie tylko ze zbyt długiego pozostawania w wodzie i wszystko o czym marzyłam, to pozostać w jednym miejscu i już nigdy nie musieć się ruszać. Skóra mnie paliła, a mimo to wstrząsały mną dreszcze i robiło mi się coraz zimniej. Uchyliwszy z wysiłkiem powieki zauważyłam, że robi się naprawdę ciemno. Wiedziałam, że powinnam wrócić do hotelu, nim zapadnie zmrok.

Zmusiłam się, żeby usiąść, nałożyłam koszulkę i klapki, po czym wstałam i zawiązałam na biodrach pareo. Niepewnym krokiem ruszyłam ścieżką łączącą plażę z hotelem. Odległość nie mogła być większa niż półtora kilometra, mnie jednak zdawało się, że pokonuję dystans maratonu. Byłam tak wyczerpana, że nawet się po drodze nie obejrzałam, żeby zobaczyć, czy wciąż mam niechciane towarzystwo.

Na miejscu w hotelu zatrzymałam się na chwilę w barze pełnym gości sączących wieczorne drinki i zastanawiających się, gdzie zjeść kolację. Na samą myśl o jedzeniu z gwałtowną siłą powróciła fala mdłości, toteż kupiłam tylko trzy butelki wody mineralnej i powlokłam się do pokoju. Każdy najdrobniejszy ruch przychodził mi z wielkim trudem, mimo to pierwsze co zrobiłam, zamknawszy za sobą drzwi, to odkręciłam drżącymi rękoma nakrętkę jednej z butelek i opróżniłam ją do dna, do ostatniej kropelki. Potem wzięłam prysznic i wtarłam mleczko po opalaniu w najbardziej spieczone miejsca

na ciele, głównie pośladki i ramiona. Wygrzebawszy z kosmetyczki parę aspiryn, połknęłam je popijając drugą butelką wody i skonana padłam na łóżko, niemal od razu zapadając w najgłębszy sen swego życia.

Przespałam tylko dwanaście godzin, ale to wystarczyło. Następnego ranka obudziłam się nieco później niż w pierwsze dni urlopu, za to naprawdę wypoczęta i głodna jak wilk.

Siedząc przy śniadaniu w cieniu winorośli, w myśli raz jeszcze przeżywałam wydarzenia minionego dnia. Uznałam, że postąpiłam nieodpowiedzialnie wypływając sama tak daleko w morze. Sztorcowałam się w duchu, że niepotrzebnie aż tak się przejęłam lubieżnymi spojrzeniami zezowatego donzuana, że powinnam była zareagować inaczej, choć Bóg mi świadkiem, w tamtej chwili nie miałam pojęcia jak. Jednego wszakże byłam pewna: ten chłopak przysporzył mi już wystarczająco dużo kłopotów. Postanowiłam, że nie pozwolę, by zepsuł mi resztę długo wyczekiwanego urlopu.

Wprawdzie obiecywałam sobie, że nie usiądę za kierownicą fiata prędzej niż w dzień odlotu, lecz w zaistniałej sytuacji z dwojga złego wolałam miejscowe niebezpieczne drogi aniżeli śledzącego mnie zbrojeńca. W pokoju wrzuciłam do torby parę najpotrzebniejszych rzeczy, po namyśle dorzuciłam jeszcze „Rozmówki greckie” i ruszyłam do najbliższego większego miasta, gdzie dopóki nie zrobiło się za gorąco, oglądałam zabytki starożytności na wolnym powietrzu, a potem schroniłam się w muzeum archeologicznym, skąd wyszłam dopiero w porze lunchu. W wionącej przyjemnym chłodem kawiarni, zanim jeszcze zamówiłam coś do picia, korzystając z pomocy „Rozmówek” nauczyłam się, jak powiedzieć: „Właśnie czekam na męża. To bardzo zazdrosny mężczyzna i mistrz wagi ciężkiej. W całej Wielkiej Brytanii znany jest ze swych morderczych skłonności”.

Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że czasy gdy potrafiłam żartować z czyichś morderczych skłonności, należały do zupełnie innej ery. Ery przed Carłą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Odpracowawszy zwiedzanie i ugasiwszy pragnienie, znalazłam przytulną restauracyjkę, z której rozpościerał się widok na główną ulicę miasta. Odłożyłam na bok szkicownik i z kieliszkiem wina w ręku zasiadłam nad stertą pocztówek do wysłania.

Droga Miriam!

W rzeczywistości jest tu jeszcze piękniej niż na fotografii na odwrocie. Niestety miejscowi mężczyźni są znacznie mniej atrakcyjni...

Przez chwilę rozważałam, czyby nie umieścić pod spodem rysunku zezowatego donżuana; wiedziałam, że Miriam w lot by pojęła w czym rzecz. W ubiegłym roku pojechaliśmy razem na Sycylię i najlepsze było to, że miałyśmy z kim dzielić spostrzeżenia i przyjemności, jakie zawsze wiążą się z urlopem za granicą. Byłam pewna, że mając ją u swego boku w Grecji, potrafiłabym obrócić całą sprawę z podglądaczem w żart, niemniej...

— Cześć! Tak mi się zdawało, że to ty.

Wyrwana z zamyślenia podniosłam głowę i ujrzałam stojącą przy moim stoliku młodą kobietę. Twarz zasłaniały jej duże ciemne okulary i rondo słomkowego kapelusza, resztę ciała odsłaniała zaś skąpa sukieneczka na wąskich ramiączkach. W pierwszej chwili jej nie rozpoznałam, ale kiedy zauważyłam niesforne kasztanowe loki wymykające się spod kapelusza, już wiedziałam.

— Pomyłone walizki, jeśli mnie wzrok nie myli? Cześć! — odparłam.

— Mogę się dosiąść?

— Naturalnie.

— Na pewno? — spytała, zawahawszy się z jakiegoś powodu. — Nie czekasz przypadkiem na kogoś?

— Nie, jestem tu sama — odpowiedziałam.

— Masz na myśli tę restaurację?

— Mam na myśli cały urlop — uspokoiłam ją. — Sądziłam, że to będzie miła odmiana.

— Zupełnie tak jak ja — westchnęła, po czym jakby zrozumiałwszy ukryty sens moich słów, dodała: — Nie zawsze jest lekko, prawda?

— Święta racja — przyznałam.

Po chwili siedziała już przy moim stoliku.

— Jestem Carla Finch — przedstawiła się z uśmiechem, zdejmując okulary. Miała głęboko osadzone, bardzo ciemne oczy.

— Helen North — podałam jej rękę. — Bardzo mi miło.

Naprawdę tak myślałam. Poczułam ulgę, jakbym na bezludnej wyspie zobaczyła ślady czyichś stóp. Na godzinę czy dwie miałam zagwarantowane towarzystwo przyjaznej duszy. Cieszyłam się, że

Carla przechodziła tą właśnie ulicą o tej właśnie porze i że rzuciwszy spojrzenie na klientów restauracji, rozpoznała w siedzącej w pojedynkę jasnowłosej kobiecie kogoś, do kogo można podejść — ba, kogoś, kto ją chętnie powita, gdyż ma serdecznie dosyć robienia wszystkiego sam. Byłam tak bardzo spragniona rozmowy i śmiechu, że w duchu raz po raz dziękowałam opatrności, że Carla i ja znów na siebie wpadłyśmy.

Teraz oczywiście chciałabym cofnąć czas, chciałabym sprawić, że Carla przejdzie drugą stroną ulicy nie patrząc w witrynę restauracji, że nigdy mnie nie zauważy, nie podejdzie do mnie i nie zacznie rozmawiać. Dzień w dzień do końca życia będę żałować, że nie znalazła sobie wtedy kogo innego, żeby zabił nudę jej samotnych wakacji.

Dlatego, że dzięki temu Carla Finch byłaby dziś wśród żywych.

To zadziwiające, jak obecność drugiej osoby potrafi wszystko zmienić. Nie wątpię, że istnieją ludzie, którzy naprawdę lubią podróżować sami, w moim jednak wypadku pojawienie się Carli nie tylko mi nie przeszkadzało, ale wręcz spowodowało, że zaczęłam się zachowywać inaczej. Weźmy chociażby lunch. Wcześniej zamierzałam zamówić wodę mineralną i skromną sałatkę grecką, ewentualnie pizzę, tymczasem kiedy pojawiła się Carla, nabrałam ochoty na coś więcej. Podczas gdy my, wyposzczone przynajmniej trzydniowym milczeniem, gadałyśmy jak najęte, stoliki wokół zapełniały się ludźmi zamawiającymi całe karafki wina i półmiski pełne cudownie pachnących ryb. W końcu i my poczułyśmy się głodne.

Wkrótce na naszym stoliku pojawiło się orzeźwiające wino, zaraz potem gorąca ryba. Do dziś nie wiem, co to był za gatunek; dwujęzyczne menu informowało tylko, że to „specjalność zakładu”. Czymkolwiek była, zgrillowana nad węglem drzewnym, pokropiona oliwą i posypana ziołami smakowała wyśmienicie; kiedy się przegryzało lekko chrupiącą delikatną skórkę, żeby dostać się do soczystego bielutkiego mięsa, kubki smakowe po prostu wariowały nie mogąc się doczekać kolejnej porcji. Wino zaś miało żywiczny posmak, nie tak silny wprawdzie jak retsina, ale równie interesujący. Pite w domu bez wątpienia byłoby obrzydliwe, tam jednak, w malutkiej restauracji położonej tuż przy ruchliwej greckiej ulicy, w otoczeniu tamtejszych zapachów i dźwięków zdawało się wyborne.

W trakcie posiłku wymieniałyśmy z Carłą opowieści na temat minusów samotnego podróżowania. Zezowaty donżuan wreszcie przestał wydawać mi się groźny, więcej nawet: dostrzegłam komiczną stronę całej sytuacji.

— To dlatego, że jesteś blondynką — orzekła Carla. — Mnie z kolei zaczepiają turyści z północy.

— Serio? — byłam ciekawa jej przygód. Carla przytaknęła.

— Ot, choćby wczoraj. Poznałam taką jedną Francuzkę i pod wieczór wyszłyśmy razem, chciałyśmy trochę potańczyć, ale okazało się to niemożliwe. Najgorsi byli Holendrzy, a zaraz za nimi Duńczycy. Szczypali mnie na przemian w tyłek, tak że w końcu chciałam przypiąć tam wywieszkę...

— Wywieszkę? — zdziwiłam się.

— No, kapujesz: zakaz szczypania czy coś w tym stylu — spojrzała na mnie nieśmiało i zaraz uciekła wzrokiem.

Ciężko mi ją było rozszyfrować. W jednej chwili zdawała się pewna siebie, bezczelna nawet, a za moment zmieniała się zupełnie, jakby jej zależało, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie. Niby dlaczego chciała wyrzucić dobre wrażenie na mnie — całkowicie jej obcej osobie? Nie rozumiałam tego.

Obserwując ją przy jedzeniu zauważyłam, że niepokój, jaki przejawiała na lotnisku parę dni temu, wcale nie zelżał. Bez ustanku bawiła się okularami, to nakładając je na nos, to znów nasuwając wysoko na czoło, tak że trzymały w ryzach jej bujną grzywkę niczym chustka na głowie. Wiele razy zmieniała pozycję, aż w końcu usiadła tak, żeby dobrze widzieć ulicę i przetaczający się nią tłum; wydawało mi się, że uważnie przygląda się każdej twarzy, jakby kogoś szukała bądź się spodziewała.

Czas mijał leniwie, choć szybciej, niż kiedy byłam sama — nim się spostrzegłam, zrobiło się wpół do czwartej. Restauracja opustoszała; rozpoczęła się sjesta spędzana w zaciszu domów, biur lub hoteli. Nawet kelnerzy popadli w popołudniowe odrętwienie: ten i ów oparłszy się łokciami o kontuar baru przeglądał od niechcienia sportowy dodatek do lokalnej gazety, popalając ukradkiem papierosa i otwarcie ziewając. Nadchodził moment, kiedy musiałyśmy zdecydować, czy pójść każda swoją drogą czy też...

— Jest tu coś ciekawego do obejrzenia? — zapytałam. Carla opuściła okulary na nos i drugą ręką nerwowo poskubała ramiączko sukienki.

— Przystań jest całkiem, całkiem — odparła, ale jakoś bez entuzjazmu.

— Moim zdaniem na zwiedzanie jest trochę za gorąco — stwierdziłam.

Znów ten szybki ruch ręką i okulary znalazły się wysoko na głowie, a Carla omiotła spojrzeniem ulicę na zewnątrz restauracji. O tej porze znajdowali się tam prawie wyłącznie turyści — zgrzani, pozbawieni celu i zaniepokojeni tym, że nie wiedzą, co dalej robić.

— Niestety nie bardzo jest tutaj gdzie popływać — rzekła.

— Znam świetną plażę niedaleko Yerolimani — zdecydowałam, że podzielę się tym sekretem z Carłą, ale nie udało mi się u niej wzbudzić większego zainteresowania, toteż spróbowałam z innej beczki. — Chyba przydałby mi się krótki odpoczynek, nim ponownie usiądę za kółkiem... Zdaje się, że wypięłam trochę za dużo wina, a wołałabym nie zasnąć za kierownicą.

O dziwo, na to Carla się ożywiła.

— Mój hotel jest tuż za rogiem. Jeśli chcesz, możemy tam pójść.

— Jesteś pewna, że nie sprawię ci kłopotu? — upewniałam się, na powrót uderzając w oficjalny ton.

— Ależ skąd! — odwróciła się do mnie i przyjrzała mi się z natężeniem. Jej twarz przeciął szeroki uśmiech. — To znaczy, nie jestem umówiona z jakimś przystojniakiem, jeśli o to ci chodzi.

— W takim razie chętnie skorzystam z zaproszenia. Wstałyśmy od stolika i zapłaciłyśmy przy-
sypiającemu kelnerowi.

— Hotel jest tam — powiedziała Carla skręcając w lewo zaraz za drzwiami.

Ruch uliczny także zelżał, na ulicy było prawie pusto. Idea sjesty coraz bardziej mi się podoba-
ła, zwłaszcza że wypite wino w połączeniu z ostrym popołudniowym słońcem sprawiały, że czułam się
trochę ogłupiała. Właśnie miałyśmy skręcić w boczną uliczkę prowadzącą wprost do hotelu, kiedy
Carla wpiła mi paznokcie w ramię.

— Tutaj, szybko! — rzuciła nagłym tonem i pociągnęła mnie do wnętrza zagraconego sklepi-
ku z pamiątkami. Cały czas kurczowo się mnie trzymała, tak że nie miałam innego wyjścia jak tylko
przycupnąć wraz z nią w kącie za stojakiem z widokówkami. Zerknęłam na nią i się uśmiechnęłam; w
ogromnym kapeluszu, w ciemnych okularach, wyzierająca spomiędzy pocztówek przypominała bar-
dziej szpiega z filmu rysunkowego niż zwykłą turystkę.

O co chodzi? — paliła mnie ciekawość.

— Ciii... — zasyczała.

Chciałam się odwrócić, żeby zobaczyć, co lub kto spowodował ten alarm, jednakże nim wyko-
nałam jakikolwiek ruch, paznokcie Carli wbiły mi się w ciało jeszcze głębiej.

— Nie patrz tam, bo cię zauważą! — syknęła przez zęby.

Poczułam się dziwnie; nie wiedziałam, czy to wszystko żart czy też Carla jest śmiertelnie po-
ważna.

— Dobrze już, dobrze — wzruszyłam ramionami, wyzwalając się równocześnie z jej uścisku.
— Przecież nie ma powodów do paniki. — Rozcierając obolałe ramię, zaczęłam się przyglądać wy-
stawionym widokówkom. Od razu jedna wpadła mi w oko, taka, jakich się często nie spotyka: zamiast
wszechobecnego błękitnego nieba przedstawiała sinoszare kłęby chmur, a pod nimi skalistą wyspę z
lotu ptaka. Nie zastanawiając się wiele, kupiłam cztery takie same.

Carla także powoli wyłaniała się zza stojaka. Podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na ze-
wnątrz, po czym odwróciła się do mnie.

— W porządku — powiedziała normalnym głosem. — Droga wolna.

— Co to wszystko miało znaczyć? — dopytywałam się, kiedy kontynuowałyśmy spacer w stro-
nę hotelu.

— Och, po prostu paru palantów z zeszłego wieczoru. Nie miałam ochoty znów na nich wpaść
— odparła nonszalancko.

Hotel Carli znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Na miejscu okazało się, że stanowi
sztandarowy przykład nowoczesnej architektury. Niestety, projektant nie przewidział klimatyzacji.
Bezдушna bryła betonu, do tego ze stojącym gorącym powietrzem — najgorsze połączenie z możli-
wych.

— Myślisz, że mogłabym wziąć prysznic? — spytałam, kiedy weszłyśmy do jej dusznego pokoju.

— Jasne, czuj się jak u siebie. — Carla już zzuła sandały i właśnie wyciągała się na olbrzymim małżeńskim łożu.

— Nocą musi tu być okropnie duszno — zauważyłam.

— Pewnie tak. — Zdaje się, że Carla niezbyt dużo czasu spędzała w swoim pokoju, przynajmniej w nocy. — Ale za to jest tutaj tanio. Jedyne, czego żałuję, to że mam tak daleko do plaży... A jaki jest twój hotel? — zapytała zniecierpliwiona.

— W niczym nie przypomina tego: jest mały i staroświecki, za to położony tuż przy plaży — odpowiedziałam z dumą.

— Hmm... brzmi zachęcająco — po raz drugi ożywiła się Carla.

— Zawsze przecież możesz pojechać ze mną do Yerolimani — zaproponowałam pod wpływem impulsu. — Nie widzę przeszkód, dlaczego nie miałybyś zatrzymać się u mnie na dzień czy dwa. W pokoju jest drugie łóżko, a właściciele nie powinni oponować, jeśli tylko zapłacisz za śniadanie.

Carla zmarszczyła czoło, w skupieniu przyglądając się swoim paznokciom.

— Czemu nie? — powiedziała. — Pomyślę o tym...

Biorąc prysznic zastanawiałam się, skąd mi przyszło do głowy wysunąć tak dziwną propozycję. Bardziej naturalne byłoby umówić się na następny dzień w mieście i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Na szczęście — pocieszałam się — mój pomysł niezbyt jej przypadł do gustu...

Kiedy wyszłam z łazienki, Carla była już prawie spakowana. Wtedy po raz pierwszy poczułam ukłucie niepokoju: moja niezależność stawała pod znakiem zapytania, i to z powodu osoby, której właściwie w ogóle nie znałam.

— Pomyłona walizka — odezwałam się żartobliwie, mając nadzieję, że nie daję po sobie poznać targających mną sprzecznych uczuć. Carla po prostu dopięła zamek błyskawiczny dociskając pokrywę jedną ręką, drugą zaś ciągnąc uchwyty granatowego suwaka. Patrząc, jak to robi, przypomniałam sobie jej wcześniejszą uwagę na temat zawartości bagażu. „Mam w niej prawie wyłącznie prezerwatywy”, odbiło się echem w mojej głowie.

— Wiesz, w moim hotelu jest przeraźliwie nudno, nic się tam nie dzieje... Na pewno ci się nie spodoba.

Rozejrzała się po swojej paskudnej klitce.

— Nigdzie nie może być gorzej niż w tej dziurze — odparła.

— Chodź, zabierajmy się stąd.

Przy recepcji doszło do małej kłótni. Właściciel, otyły śniady mężczyzna o podejrzliwych oczkach, domagał się zapłaty za nadchodzącą noc, tłumacząc to tym, że Carla opuszcza pokój po przepisowej dwunastej w południe. Z początku Carla próbowała się targować, lecz wkrótce się poddała i

przystała na kompromis, który nie usatysfakcjonował żadnej ze stron. Wydając pomruki niezadowolenia, odliczyła kwotę należną za pół doby hotelowej i podała banknoty właścicielowi. Ten, również sarkając, dołączył je do trzymanyh w dłoni. Przyglądając się całej scenie, mimowolnie i ja policzyłam, ile mu w sumie zapłaciła.

Carla utyskiwała na skąpstwo Greka, jeszcze kiedy szliśmy do zaparkowanego na pobliskim placu fiata.

— Strasznie mnie zawsze wkurza — mówiła — jeśli muszę zapłacić za coś, z czego nie korzystam.

— Moim zdaniem nie przepłaciłaś.

— Nie przepłaciłam?! — Carla aż się zatrzymała i na chwilę ustał turkot ciągniętej przez nią walizki. — Ten tłuścioch śpi na pieniądzech!

— Raczej nie — zaoponowałam — skoro za cztery noce policzył ci tylko siedemnaście tysięcy drachm.

— Co? — spojrzała na mnie nie rozumiejącym wzrokiem, po czym wyjaśniła jak krowie na miedzy: — Siedemnaście tysięcy drachm to cena za półtorej doby, z czego jak wiesz, wykorzystałam tylko jedną...

— W takim razie gdzie spałaś poprzednio? Przyjrzała mi się z uwagą.

— Za pierwsze trzy noce zapłaciłam z góry — odrzekła opuszczając okulary na nos. — Czy to jeszcze daleko?

— Zaraz za rogiem.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do samochodu, okazało się, że bardzo się nagrzał stojąc w słońcu przez prawie cały dzień. Otworzyłam wszystkie drzwi, żeby się w środku chociaż trochę przewietrzyło, ale Carla znów stała się niespokojna.

— Na litość boską! — krzyknęła. — Nie jest przecież tak źle. Po prostu stąd jedźmy.

W samochodzie jej nastrój na powrót się poprawił. Mijałyśmy właśnie skupisko barów i dyskotek położonych wzdłuż wybrzeża, kiedy Carla wykręciwszy głowę, by rzucić miastu ostatnie spojrzenie, nieoczekiwanie się odezwała:

— Sayonara, ty dziwko!

— Ależ Sayonara to chluba greckiej historii — udałam, że jestem zszokowana jej uwagą.

— Może — odpowiedziała, poprawiając się na siedzeniu. — Ale mnie potrzeba piasku i morza...

Zaczęłyśmy unisono śpiewać:

Och, jak dooobrze być nad mooorzem...

Ja bez mooorza żyć nie mooogę...

Daj mi morze, daj mi mooorze!...

W towarzystwie Carli poczułam się pewniej za kierownicą; wyprzedziłam nawet jeden osobowy samochód, chociaż gwoli ścisłości muszę przyznać, że nie było to na zakręcie śmierci.

Przypomniała mi się uwaga w dzienniczku, jaką wychowawczynie wpisała mi pod koniec semestru w nowej szkole: „Helen radzi sobie o wiele lepiej, odkąd zaprzyjaźniła się z jedną z dziewczynek”. Miałam wtedy nie więcej niż osiem lat, a tu proszę: trzydziestka na karku, a ja ani trochę się nie zmieniłam.

Jechałyśmy tą samą drogą, którą przyjechałam tu po raz pierwszy, tak że mogłam Carli pokazać zatoczkę jeszcze z samochodu. Kiedy minęłyśmy ostry zakręt, przed przednią szybą niczym panoramiczny obraz rozpostarła się podkowa, wypełniona błękitem wody i obrzeżona bielą piasku. Mnie na ten widok wciąż zapierało dech w piersiach, toteż spodziewałam się podobnej reakcji po Carli, lecz usłyszałam tylko:

— Może być. To jak, pójdziemy popływać?

Więcej entuzjazmu wykazali Manoli i Despina zobaczywszy, że wreszcie nie jestem sama. Prawdopodobnie uznali, że Carla i ja znamy się od dawna i że zamierzałyśmy spędzić urlop razem, tyle że ja przyjechałam parę dni wcześniej — pozwoliłam im w to wierzyć, nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia. Z niejakim zdziwieniem obserwowałam drugą naturę Despiny, która odkryła w sobie pokłady uczuć macierzyńskich, kręciła się wokół nas niczym kwoka, a nawet poklepała mnie przyjaźnie po policzku, jak gdyby pokazując Carli, że cały czas dobrze się mną opiekowała. Carla przyglądała się temu pokazowi nieco podejrzliwie.

Niestety rychło się okazało, że z Carli jest pływaczka jak z koziego rogu trąba; wszystko na co było ją stać, to kilka słabych wyrzutów ramion, dzięki którym pokonywała parę metrów, po czym przewracała się na plecy i pozwalała się wodzie unosić. Prawdę powiedziawszy, więcej się chlapała, niż pływała, nigdy nie opuszczała płycizny, gdzie mogła sięgnąć stopami do dna, i częściej niż w morzu widziałam ją na leżaku, ze słuchawkami walkmana wetkniętymi do uszu. Zaraz w pierwszy dzień przekonała mnie, żebyśmy wynajęły dwa duże leżaki i ogromny parasol, co przynajmniej miało swoje dobre strony: w ten sposób niepodzielnie zawładnęłyśmy ocienionym skrawkiem plaży. Chciałam się zrewanżować pokazując jej skały, na których opalałam się parę dni wcześniej, ale z jakiegoś powodu Carla zaczynała czuć się niepewnie, kiedy tylko opuszczałyśmy naszą bazę, dlatego dałam za wygraną i jeśli nie pływałam, dotrzymywałam jej towarzystwa pod parasolem. Wolałam nie proponować dalszych wycieczek, gdyż nawet niewinna plaża nudystów ją zbulwersowała.

— To odrażające! — skrzywiła się, nie mogąc oderwać wzroku od części intymnych pary Skandynawów grających nieopodal w ringo. — Teraz mnie nie dziwi, że miejscowe nastolatki aż buzują od hormonów. Wiem już, dlaczego ten chłopak cię napastował...

Poczułam wzburzoną irytację. Jak ona śmie insynuować, że sama jestem sobie winna? — myślałam. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że odkąd chodzimy wszędzie w dwójkę, zezowaty donzu-

an ani razu się nie pokazał, zapewne preferując łatwiejsze, samotne ofiary. Powiedziałam więc wielkodusznie:

— Najważniejsze, że w końcu się odczepił.

— Takich ludzi należałoby wsadzać do więzienia! — wybuchnęła nagle. — To jest naprawdę obrzydliwe.

Z jednej strony Carla lubiła ryzyko, z drugiej — potrafiła być strasznie zachowawcza; jej komentarze często zбивały mnie z tropu. Nic dziwnego, przecież prawie jej nie znałam.

Pierwszego wieczoru zgodnie stwierdziłyśmy, że po sutym lunchu nie jesteśmy w stanie niczego przełknąć. Zdecydowałyśmy, że pójdziemy pieszo do miasteczka, obejrzymy starą przystań i co najwyżej wstąpimy gdzieś na drinka.

Pełne dobrych zamiarów położyłyśmy po przystani, zaszłyśmy do nadmorskiego baru na lampkę wina i już miałyśmy udać się w drogę powrotną, kiedy przechodząc koło „Tawerny Ianniego” zostałyśmy zwabione do środka. Stojący przed wejściem właściciel — Ianni, na wypadek gdyby ktoś się jeszcze nie domyślił — machał potężnymi jak u niedźwiedzia łapskami i zapewniał, że oczywiście u niego wcale nie trzeba nic zamawiać, wystarczy wejść, usiąść, napić się czegoś i po prostu mile spędzić czas. Nim się spostrzegłyśmy, na stoliku przed nami wyrosły miseczki pełne oliwek i serc karczochowych, przyniesione niepostrzeżenie przez samego Ianniego, tak że nie wypadało nam nie złożyć zamówienia. Uznałyśmy, że coś lekkiego nam nie zaszkodzi, zwłaszcza po całym tym wypitym winie...

Właśnie zabierałyśmy się do drugiego dania — a był nim okazałych rozmiarów kawał jagnięciny w pomidorach i oberżynie — kiedy z boku doleciały nas znajome dźwięki rodzimej mowy. Do stolika nieopodal przysiadła się czwórka Anglików. Dwa starsze małżeństwa w wieku wczesnoemerytalnym ze swadą wymieniały opinie na temat kompleksu wypoczynkowego, który przypadł im w udziale jako miejsce zakwaterowania i gdzie się poznali wcześniej tego samego dnia, oraz poglądy na temat tubylców. Zjednoczyło ich głębokie przekonanie, że wszyscy Grecy to bandyci, czyhający tylko, by ich oszukać, obrabować, a nawet otruć, jeśli nie wykażą należytej czujności. Oczywiście wylewność Ianniego z miejsca wzbudziła u nich podejrzenia.

— Z czego on się cały czas cieszy? — zapytała małżonka numer jeden, poprawiając obfite kształty na niewygodnym drewnianym krześle.

— Ta knajpa to bez wątpienia złoty interes — odparł małżonek numer dwa, nie widzący różnicy między dobroczynnością a turystyką. — Doskonałe położenie... Ciekaw jestem, jak mu się udało dostać pozwolenie na budowę.

Małżonek numer jeden poklepał się znacząco po kieszeni, w której bezpiecznie spoczywał grubo portfel.

— Ręka rękę myje... — odezwał się. — Cała Grecja stoi łapówkami.

— Doprawdy — prychnęła małżonka numer jeden. — Ten kraj, ci ludzie... To oburzające — oceniła, nie ścisząc nawet głosu.

Ianni, którego angielski był bez zarzutu, stał cały czas tuż za nią.

— Co za głupia krowa — wymruczała pod nosem Carla rzucając mi zawstydzone spojrzenie.

Z rosnącym zainteresowaniem przyglądałyśmy się rozwojowi wypadków. Wszyscy sięgnęli równocześnie po jadłospis.

— Tutaj jest napisane „stek wołowy” — poskarżyła się małżonka numer jeden — ale ja nie wiedziałam dotychczas na wyspie ani jednej krowy... A ty, Dominiku?

Dominik potrząsnął głową.

— Coś mi się wydaje, że prędzej to będzie stek z konia — rzekł, trącając czubek nosa palcem.

Małżonka numer dwa spojrzała na Ianniego, po czym przemówiła piskliwym głosem.

— Czy macie białe mięso? Mam ochotę na białe mięso — powtórzyła głośno i wyraźnie.

Ianni przybrał zafrasowany wyraz twarzy i założył ręce z tyłu, zapewne po to, by go nie świerzbiły; zrozumiałabym go doskonale, gdyby wyrwał któremuś z nich menu i pacnął nim w wyfiokowaną trwałą ondulację małżonki numer dwa.

— Polecałbym *barboulię* — powiedział spokojnie, po czym wyjaśnił: — Cefala. Świeżo złowiony, palce lizać...

— Och nie! Nie sądzę...

Spojrzałam na Carlę i przewróciłam oczami, wbijając zęby w soczystą jagnięcinę.

Przypuszczam, że zachowywali się tak a nie inaczej, ponieważ przerażała ich zagraniczność zagranicy. Lecz jak wytłumaczyć to, że podczas posiłku, kiedy nie skarżyli się na kiepskie zakwaterowanie bądź nie wymieniali uwag na temat przestępczych skłonności Greków, potrafili mówić tylko o jednym: o swoim życiu w Anglii. Wkrótce przy ich stoliku toczyła się zażarta dyskusja, jakie kominki są najbardziej ekonomiczne i czym najlepiej wykładać taras. Jakby tego było mało, stolik za nami okupowali rodacy, których pociechy były w wieku szkolnym.

— Posłaliśmy Emili do lokalnej podstawówki, ale mają tam strasznie niski poziom. Chcemy ją więc przenieść do szkoły Świętego Piotra, tyle że tam jest się szalenie trudno dostać, no i skończyło się na tym, że teraz wydajemy majątek na prywatne lekcje...

— Zapewniam cię, moja droga, że warto. Nasz Alfie w wieku siedmiu lat czytał jak dziesięcioletek i od tego czasu nauka idzie mu jak z płatka.

W krótkich chwilach, kiedy tamci przestawali paplać, dało się usłyszeć rozbijające się o brzeg fale. Jedząc spoglądałyśmy na morze; po światełkach można się było zorientować, gdzie znajdują się łodzie rybaków wypływających z przystani na nocny połów. Od czasu do czasu zerkałyśmy z Carlą na siebie. Był taki moment, że chciałam ją zapytać, gdzie mieszka w Anglii i czym się zajmuje, zawahałam się jednak, a potem wróciłam do jedzenia.

Nie zwracając cienia uwagi na rozgrywający się na niebie dramat śródziemnomorskiego wieczoru przechodzącego w noc, małżonek numer dwa powierzał Dominikowi sekrety rodzinne.

— Sprawiliśmy sobie jakiś czas temu te sprytne drzwi garażowe, które otwierają się do góry. Co za wygoda — rozmarzył się. — Wystarczy wychylić się z samochodu, przycisnąć guzik i bzzz... brama się otwiera. Ale ostatnio mam problemy z kręgosłupem i zastanawiam się, czyby nie dokupić pilota...

Carla oderwała wzrok od horyzontu i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— To brzmi niebezpiecznie — skomentowała.

— Masz absolutną rację — podjęłam żartobliwy ton. — Aż się prosi o wypadek...

Twarz Carli rozjaśniła się w uśmiechu.

— Otóż to, Helen. Wyobraź sobie, że mój znajomy prawie stracił głowę, kiedy jedna z takich bram przycięła mu pewnego razu szyję.

— O Boże, nie! — zakryłam usta dłonią w udawanym przerażeniu. — No ale wszystko jest możliwe... Mnie kiedyś opuszczane okno przycięło palce i nie mogłam grać na pianinie przez miesiąc!

— To musiało być dla ciebie straszne!

W tym samym czasie Dominik donośnym głosem informował swych kompanów:

— Kazaliśmy zrobić tablicę z nazwą domu. Moja żona ma na imię Konstancja, ja Dominik, toteż napis brzmi: „Kondom”.

Carla wprost dusiła się ze śmiechu.

— Jak nazywa się twój dom, Helen? — spytała mnie krztusząc się i łapiąc powietrze.

— „Sliver” — odpowiedziałam bez zastanowienia. — Naturalnie mieszkam na ostatniej kondygnacji. Mówię ci, widok z dwudziestego pierwszego piętra to jest coś!... A ty? Założę się, że masz posiadłość...

— Ja? — powtórzyła Carla i przez ułamek sekundy w jej oczach zagościł dojmujący ból. Wszakże już po chwili uśmiechnęła się szeroko i przytaknęła: — Pewnie! Dopiero się wprowadziłam do niewielkiego zamku. Pierwsze, co kazałam zamontować, to zdalnie podnoszona krata na końcu mostu zwodzonego. Świetnie się komponuje z blankami...

Zaczęłyśmy chichotać jak szalone. To chyba właśnie wtedy zdecydowałyśmy, że nie będziemy rozmawiać o prawdziwym życiu, jakie wiodłyśmy w Anglii. Oczywiście nigdy nie uzgadniałyśmy tego na głos, po prostu obie przyjęłyśmy, że tak będzie lepiej; w końcu byłyśmy na wakacjach i chciałyśmy zapomnieć o nudnej codzienności, a nie ciągnąć ją wszędzie ze sobą. Nie miałyśmy nic przeciwko temu, by się nawzajem okłamywać, pod warunkiem że nasze wymysły będą wystarczająco nieprawdopodobne.

Wszelako nie brakowało nam innych tematów. Carla sprawiała wrażenie, jakby nie wyrosła z okresu dojrzewania, co w innej scenerii byłoby zapewne denerwujące, na wysepce jednak zdawało się naturalne. Moja własna młodość była dość nietypowa, toteż z radością nadrabiałam zaległości w chi-

chotaniu i rozmowach o niczym, jakie ominęły mnie paręnaście lat temu. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, sędzę, że trzpiotowatość Carli była częścią gry i przyczyniła się do nieszczęścia, którego nadejścia w porę nie zauważyłam, lecz wtedy po prostu dobrze się bawiłam. Rozmawiałyśmy więc o naszych marzeniach i obawach, snach i strachach, o facetach i seksie, ciuchach, muzyce, filmach, a także o tym, jaki jacht chciałybyśmy mieć, jakiego rodzaju mężczyznę wzięłybyśmy ze sobą w podróż dookoła świata, i znów o seksie... Sporadycznie schodziłyśmy na problemy, przed którymi stoi współczesny świat, albo roztrząsałyśmy sens życia, lecz kiedy tylko widziałam cień różnicy zdań, prędko zmieniałam temat na bezpieczny. Nieraz godzinami mówiłyśmy o idealnym domu, ulubionym zakątku Anglii, przyjacielu doskonałym, co nieodwołalnie kończyło się dyskusją na temat mężczyzn i seksu — znowu.

Raz czy dwa dołączyłyśmy do któregoś z młodych małżeństw na drinka, jednakże większość czasu spędzałyśmy w swoim towarzystwie. Poznałyśmy się więc bardzo dobrze, lecz w inny sposób, niż to na ogół bywa, kiedy spotyka się nowego znajomego. Na przykład do samego końca nie miałam pojęcia, jaki Carla ma zawód i czy w ogóle pracuje; zresztą ja również nie zdradziłam słówkiem, czym się zajmuję. Nigdy nie pytałam jej, gdzie mieszka ani z kim, i aż do ostatniego dnia nic na ten temat nie wiedziałam. Nie usłyszałam o jej rodzicach bądź rodzeństwie, o szkołach ani o niczym, na podstawie czego zazwyczaj buduje się obraz nowo poznanego człowieka. Zdarzało się, że przez czysty przypadek którejs z nas wymusnęła się odrobina prawdy. Pewnego wieczoru, kiedy szykowałyśmy się do wyjścia, Carla założyła kolczyki w kształcie ptaszków.

— Ładne — powiedziałam z uznaniem.

— Podobają ci się? — rozpromieniła się. — Daniel podarował mi je na ostatnie urodziny... — wyznała szybciej, niż zdążyła pomyśleć.

— Daniel? — spytałam.

Przez twarz przemknął jej cień, w mig jednak się znalazła i zgodnie z naszą niepisaną umową odpowiedziała:

— No jak to? Nie pamiętasz Daniela? Przecież ci o nim mówiłam... To ten surfer, którego poznałam na Bondi Beach, no ten, co chciał, żebyśmy się kochali ślizgając się na grzbiecie parametrowej fali.

— A, ten Daniel. Jasne, że go pamiętam — odparłam. Wiedziałałam już, że jesteśmy na bezpiecznym gruncie fantazji, choćby dlatego, że z Carli była taka pływaczka, co krztusiła się przez dziesięć minut, jeśli niechący znalazła się pod wodą.

Najdziwniejsze było to, że udając przed sobą nawzajem, iż jedyne życie, jakie prowadzimy, jest tu i teraz, na wyspie, mogłyśmy się do siebie bardziej zbliżyć aniżeli kiedykolwiek indziej, zachowując konwenanse. Czuliśmy się bezpiecznie wiedząc, że gdy upłynie ostatni dzień dwutygodniowego urlopu, nigdy więcej się nie zobaczymy. Właściwie powinnam mówić tylko za siebie, ale wydaje mi się, że

obie zdawałyśmy sobie sprawę, iż nasza przyjaźń nie przetrwałaby podróży powrotnej, a co dopiero zimy w Anglii. Próbowałam sobie wyobrazić, że spotykam się z Carlą w kawiarence w Covent Garden i że oglądając zdjęcia wspominamy wakacje, ale jakoś tego nie widziałam. Prawdopodobnie nic by z tego nie wyszło... Cóż, teraz już nigdy się nie dowiem.

Tego pierwszego wieczoru wróciliśmy do hotelu spacerkiem, a drogę oświetlał nam księżyc w trzeciej kwadrze. Ścieżka prowadziła wśród gęstej roślinności, miejscami była nierówna, tak że łatwo było się potknąć, i nie odważyłabym się iść tamtędy sama — zanim zamieszkała ze mną Carla, zawsze wracałam przy gasnącym świetle dnia. Razem z nią wszakże czułam się pewniej, a równocześnie magicznie. Robaczki świętojańskie żarzyły się wśród poszycia, gdzieś w oddali zahuczała sowa, we wciąż gorącym powietrzu roztaczał się zapach sosnowych igieł i żywicy.

Było nieomal doskonale.

Spotkawszy Carlę zaproponowałam jej, by zatrzymała się u mnie przez dzień czy dwa. Mieszkając z nią razem, chwilami zastanawiałam się, kiedy uzna, że nadeszła pora się rozstać. Jednakże czas mijał, a ona nie przejawiała chęci ruszenia w swoją stronę, co wbrew moim wcześniejszym obawom i złym przeczuciom wcale mnie nie martwiło, po pierwsze bowiem zezowaty donżuan zniknął z obrazka, a po drugie Carla i ja zwyczajnie się polubiłyśmy. W końcu zrozumiałam, że obecna sytuacja odpowiada jej w takim samym stopniu jak mnie, a może nawet bardziej.

Kiedy urlop zbliżał się do końca, Carla powiedziała coś, co wyraźnie świadczyło, że nadaje się do samotnego spędzania wakacji jeszcze mniej niż ja. Wracałyśmy właśnie naszą stałą trasą z przystani do hotelu, pora była dość późna, lecz księżyc się jeszcze nie pokazał, a szkoda, bo była prawie pełnia. Na ścieżce nie było żywego ducha. Cały wieczór spędziłyśmy w tawernie Ianniego, który traktował nas jak stałe klientki i uraczył dodatkowymi kilkoma kieliszkami metaxy. W sumie wypiliśmy nieprawdopodobną ilość wina, a potem przrzuciłyśmy się na brandy. Toczyłam się wesoło ścieżką, obiecując sobie w duchu, że nazajutrz zostanę abstynentką, kiedy z tyłu usłyszałam niezadowolony głos Carli.

— Cholera! Chce mi się sikać.

— Jesteśmy prawie na miejscu...

— Ale ja nie wytrzymam — jęczała.

— No to idź w krzaki, nikogo tu nie ma — zaproponowałam.

— Jak to? Tutaj? — zdziwiła się Carla.

— Nikt cię nie zobaczy — zapewniłam.

— Obiecujesz? — zapytała jak mała dziewczynka.

— Obiecuję.

— O kurczę, chyba muszę zaryzykować. Ale pilnuj mnie, Helen.

— A przed czym dokładnie? — chciałam się dowiedzieć, ale ona już przedzierała się przez szeszczące gałązki.

— Nie idź dalej beze mnie! — krzyknęła z ciemności.

— Jestem tutaj! — odkrzyknęłam.

Jednakże nie miałam zamiaru być jej psem obronnym. Uznałam, że o tak późnej porze, kiedy pozostali goście hotelu już dawno śpią, na ścieżce nikt się nie pojawi, a nawet gdyby, to przecież jej oczy, podobnie jak moje, przywykły do ciemności. Zresztą już było widać światła hotelu. Zaczęłam iść w tamtą stronę powoli, tak żeby z łatwością mogła mnie dogonić, kiedy usłyszałam przeraźliwy krzyk. Carla się czegoś przestraszyła. Natychmiast pomyślałam o zezowatym donżuanie.

— Helen! Gdzie jesteś?! — zawołała.

— Tutaj — zatrzymałam się i odwróciłam.

— Gdzie?

— Tutaj.

— Gdzie? — sapła pędząc wprost na mnie.

— Hej, uspokój się — złapałam ją za ramię. — Nie ma potrzeby...

Wpadła na mnie z impetem.

— Obiecałaś, że zaczekasz — poskarżyła się, po czym wybuchnęła: — Ty kłamliwa krowo! Poszłaś sobie i mnie zostawiłaś! Złamałaś obietnicę! Mogło mi się stać coś złego. Jak śmiałaś mnie opuścić?!

— Rany boskie, co się z tobą dzieje? — obruszyłam się.

Carla była na skraju hysterii.

— Ty samolubna dziwko! Specjalnie mnie tam samą zostawiłaś! Mogłam zostać... Ktoś mógł mnie... Obiecałaś, że zaczekasz — powtórzyła. — Zaufałam ci!

— Czego się tak boisz? — spytałam.

— Wszystkiego. Podglądaczy i gwałcicieli...

— Dobrze, już dobrze. Przepraszam. Ale przecież nic się nie stało. Jestem przy tobie. — Objęłam ją w pasie ramieniem. — Popatrz, tam jest hotel. Na ścieżce jest prawie jasno. Wszystko w porządku.

Uspokajała się pomału. Kiedy wchodziłyśmy na teren hotelu, odezwała się cichym głosem:

— Przepraszam, Helen. Chyba mi odbiło. Ale nie jestem taka odważna jak ty. Panicznie boję się ciemności. Zawsze się bałam...

— Nigdy bym cię nie zostawiła, gdybym wiedziała — ścisnęłam jej rękę.

Później próbowała obrócić wszystko w żart, mówiła, że mnie nabierała i że tak naprawdę wcale nie boi się ciemności. Chciała mi wmówić, że udawała, żeby mnie nastraszyć.

— Udało mi się, nie? — zagadnęła, kiedy myłam przed snem zęby i nie byłam w stanie od razu odpowiedzieć. — Założę się, że myślałaś, że goni mnie jakiś szaleniec z siekierą... W rzeczywistości lubię, jak jest ciemno, pod warunkiem że znam okolicę.

Nie miałam ochoty się z nią sprzeczać, i tak wiedziałam, że jej strach był nieudawany. Cokolwiek by mówiła, ja wcześniej słyszałam panikę w jej głosie i czułam drżenie jej dłoni ściskającej moją.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie przypadkiem z moich wcześniejszych słów wynikało, że z Carlą rozmawialiśmy prawie wyłącznie o seksie — tak właśnie było. Nigdy mi nie powiedziała, czy chodziła do college'u lub na uniwersytet ani też gdzie mieszka, jednakże ze szczegółami opisała mi, w jaki sposób jej drugi kochanek doprowadził ją do pierwszego w życiu orgazmu i dlaczego te same zabiegi nie przynoszą spodziewanego efektu obecnie, przynajmniej nie zawsze. Zdradziła mi, na co przede wszystkim zwraca uwagę w nowo poznanym mężczyźnie (usta i biodra) i co ją najbardziej odstręcza (zimne ręce).

— No, tutaj takich nie spotkasz — rzekłam.

Siedziałyśmy pod parasolem na naszym kawałku plaży, którego granicę wyznaczały rozłożone szerokim kręgiem książki, kasy, butelki wody, tubki kremu, walkman, chrupki („ze względu na dużą zawartość soli”, tłumaczyła się Carla), ręczniki, czasopisma, szkicownik i widokówki.

— W takim razie: spocone ręce — wzruszyła ramionami. — Są jeszcze gorsze.

— Tym sposobem wyeliminowałaś każdego przystojniaka na tej plaży.

— Pewnie tak — niechętnie przyznała mi rację. Odruchowo rozejrzałyśmy się wokół, wyciągając szyje niczym para drapieżnych żółwi.

— A co powiesz o tym? — skinęłam głową w stronę faceta, którego zdążyłyśmy przezwąć „Android”. Wysoki, dobrze umięśniony i najwyraźniej świadomy swego nieodpartego uroku większą część dnia spędzał na ćwiczeniach, pompkach i prężeniu bicepsów, podczas gdy jego dziewczyna, mdła i wiecznie zmarznięta, dzień w dzień przeglądała ten sam egzemplarz kobiecego pisma.

Carla przyjrzała mu się z uwagą, spuszczać okulary jeszcze niżej niż zwykle, tak że zawisły na czubku jej nosa.

— Zbyt zadufany w sobie — oceniła, po czym ze smutkiem dodała: — Beznadziejny przypadek. Cały czas podziwiałby swoje wspaniałe ciało i nawet nie rzuciłby okiem na mnie... Mój facet musi mieć na moim punkcie kompletnego bzika, nim w ogóle zdecyduje się go wziąć pod uwagę.

— Dobrze mówisz. — Przewróciłam się na plecy i wpatrując w spód parasola, rzuciłam podchwytliwe pytanie: — Ale kogo byś wybrała, mając do wyboru dwa ostatnie egzemplarze rodzaju męskiego na tej planecie? Zupełnie przeciętnego ciamajdę, co by całował ziemię, po której stąpasz, czy raczej zabójczo przystojnego i sprawnego kochanka, dla którego byłabyś jedną z wielu?

Właśnie tego rodzaju pytania zadawałyśmy sobie bez przerwy. W ciągu zaledwie paru dni, z których każdy był słoneczny i ciepły, cofnęłyśmy się do wczesnej młodości. Zdarzało mi się żałować, że poznawszy Carlę zaprzepąściłam szansę na ciekawsze wakacje; nie było już mowy o porannych wycieczkach w góry i szkicowaniu. Chodziłyśmy spać późno, objedzone i nasączone alkoholem, budziłyśmy się zaś, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, do tego Carla się krzywiła, kiedy tylko zaproponowałam, byśmy wypuściły się dalej niż nasza plaża i przystań w Yerolimani. Zostawienie jej samej także nie wchodziło w grę. Po raz pierwszy w życiu prawie nic nie robiłam i jestem pewna, że gdyby urlop potrwał dłużej, zanudziłabym się na śmierć.

Tymczasem, przyglądając się szprychom i pasiastemu materiałowi parasola, czekałam, aż Carla mi odpowie.

— Obojętny przystojniak czy nieprzystojny nudziarz? — powtórzyłam pytanie i przetoczyłam się na brzuch, żeby spojrzeć na jej twarz.

Carla poprawiała okulary, równocześnie wycierając spływającą spod nich łzę.

— Nie dosłyszałam, co powiedziałaś pomiędzy nimi — zażartowała, pociągając nosem.

— Przepraszam. Słuchaj, naprawdę nie chciałam sprawić ci przykrości...

— Ależ wcale mi jej nie sprawiłaś. Po prostu zadałaś głupie pytanie, to wszystko. Naprawdę nie rozumiem, czemu się upierasz przy tych żalonych, dziecinnych grach. Idę kupić sobie colę.

Usiadła tyłem do mnie, poprawiła ramiączka kostiumu i sięgnęła po torebkę. Dłuższą chwilę w niej grzebała szukając drobnych i chusteczki higienicznej, jednakże po jej postawie, po napięciu mięśni pleców widziałam, że czuje się urażona i chce zostać sama. Zauważyłam już wtedy, gdy wracałyśmy nocą z Yerolimani, a ona spanikowała na ścieżce, że Carla reaguje atakiem, kiedy czuje się zagrożona lub zraniona.

— Chyba pójdę popływać — odezwałam się pojednawczo.

— No to idź...

W pływaniu znajdowałam ucieczkę i przyjemność. Wydostałam się z płycizny na głęboką wodę klucząc pomiędzy różnobarwnymi materacami i zastanawiając się w duchu, jakim cudem moje niewinne pytanie, niczym nie różniące się od tych, które zadawałyśmy sobie w ostatnich dniach, wywołało u Carli tak gwałtowną reakcję. Sprowadzało się do wyboru pomiędzy obojętnością a uwielbieniem — cóż w tym złego? Powoli moje myśli skupiały się na wysiłku i rytmie, regularnych wdechach i wyrzutach rąk i wkrótce nie pamiętałam o niczym z wyjątkiem wody, słońca i nieba.

Kiedy wracałam od brzegu, Carla wypatrywała mnie spod parasola.

— Długo cię nie było — powiedziała niespokojnie. — Martwiłam się. Już nawet miałam podnieść alarm u ratownika...

— Mam nadzieję, że przystojnego!

— Bez obaw, sama go wybrałam — uśmiechnęła się niepewnie, pozwalając unieść się zaledwie jednemu kącikowi ust.

Znów byliśmy przyjaciółkami, o ile tę dziwną relację, która nas łączyła, można było nazwać przyjaźnią.

Patrząc wstecz na te paręnaście leniwych dni rozświetlonych słońcem południa, coraz częściej myślę, że sposób, w jaki się przedstawiałam Carli, choć nie miał nic wspólnego z prawdą, odsłaniał moje prawdziwe ja równie dobrze, jak gdybym wyrecytowała listę faktów dotyczących swojego życia. Z jednej strony zapominałam o oddanej córce, która musiała zrobić karierę i odnieść sukces, czego odmówiono jej matce urodzonej w złym miejscu i w złym czasie. Z drugiej — przemyślałam skrawki bolesnej prawdy, zawoalowane i osłodzone, wszakże wciąż zbyt wstydlive, by odsłonić je przed zwykłymi przyjaciółmi, którzy czuliby się w obowiązku je zapamiętać. Wymyśliłam swego sobowtóra, bez więzi rodzinnych i o cygańskiej duszy, drugą Helen North, która żyła chwilą i nie musiała przed nikim za nic odpowiadać, a równocześnie zwierzałam się Carli z sekretów, jakich nie powierzyłabym nikomu innemu, czując się przy niej bezpieczna, choć teraz wiem, że było to bezpieczeństwo iluzoryczne.

Zastanawiam się nieustannie, czy to właśnie ta druga, beztroska Helen przyczyniła się do nieszczęścia. Podejrzewam też, że nie powinnam była zawierzać Carli swych sekretów; robiąc to, wszystko popsułam. Nasza nigdy do końca nie sprecyzowana zażyłość zniknęła, gdy tylko popełniłam ów katastrofalny błąd.

Wtedy jednak nie mogłam tego wiedzieć, a wyznanie prawdy wydawało mi się naturalne.

Było dość późno. Leżałyśmy już, każda na swojej części prowizorycznego łóżka małżeńskiego. Jak wszystkie poprzednie noce i ta była gorąca, lecz w szumie oleandrów za oknem czuło się odświeżający powiew wiatru. Słyszałyśmy, jak Manoli odstawia puste skrzynki po napojach nieopodal tylnych drzwi, a Despina krząta się w domu; choć ostatni goście dawno opuścili bar, oni jak co wieczór nie położyli się spać, dopóki nie przygotowali wszystkiego na następny dzień. Dochodziły nas ich stłumione głosy, pozbawione melodyjności zarezerwowanej dla turystów, gdzieś w oddali szczekał przykuty do łańcucha pies.

Ja chodziłam spać nago, przykryta jedynie cienkim prześcieradłem, Carla ubierała się do snu w nylonową koszulę nocną — i narzekała na upał. Nie miałyśmy ochoty jeszcze spać.

— Przydarzyło ci się kiedyś coś naprawdę, ale to naprawdę niedobrego? — spytała nieoczekiwanie Carla. — Coś, co wprowadziło cię w taki wstyd, że nigdy nie chciałaś o tym mówić?

Poczułam, jak napinają mi się wszystkie mięśnie.

— Może — powiedziałam.

Zapanowała cisza. Myślałam nawet, że Carla zasnęła, i zaczęłam wsłuchiwać się w odległy szum morza, zamiast baranów licząc kolejne fale.

Nagle, jakby właśnie podjęła decyzję i bała się, że zaraz ją zmieni, wyrzuciła z siebie:

— Chcesz dowiedzieć się, jakie było moje najgorsze doświadczenie seksualne?

— Pod warunkiem że nie przyprawi mnie o koszmary — zgodziłam się.

Właściwie oczekiwałam jeszcze jednej porcji fantazji z cyklu „Podrywał mnie mały zielony ludzik”, lecz coś w głosie Carli sprawiło, że uznałam, iż przynajmniej część jej opowieści jest prawdziwa.

— Nazywał się... — zawahała się, ale zaraz pewnym tonem dokończyła: — Mark. Mieszkał niedaleko mnie. Wszyscy go znali, był częścią lokalnego krajobrazu. Mimo to nikt nie wiedział, ile naprawdę ma lat. Znasz ten typ: z jednej strony Piotruś Pan, z drugiej doświadczony mężczyzna; nie sposób określić ich wieku. Mark wyglądał młodo, ale w głębi ducha był opiekuńczy i czuły, równie dobrze więc mógłby być czyimś ojcem. No i rzecz jasna był przystojny, o wąskich biodrach i wspaniałych ustach, zmysłowych, ale nie za bardzo. Wszystko było w nim w sam raz... — zamyśliła się na chwilę. — Wiedziałam, że mu się podobam, cóż z tego jednak, skoro nawet nie kiwnął palcem, by pozyskać moje względy. Po jakimś czasie uznałam, że musi być po prostu nieśmiały, toteż następnym razem kiedy na niego wpadłam w miasteczku, zapytałam, czyby się nie napił ze mną kawy. Zdziwił się, a potem nastroszył, jakbym zaproponowała coś skandalicznego. Opuściłam sobie, myśląc, że jest jednym z tych facetów, którzy nie lubią, gdy kobieta przejmuje inicjatywę. Zgoda, był atrakcyjny, ale bez przesady, nie miałam zamiaru o niego walczyć... Mniej więcej miesiąc później wpadł do mnie do domu pod jakimś pretekstem, nie pamiętam już pod jakim. Powiedział, że jego przyjaciele mają w Walii domek, i zapytał, czybym z nim nie pojechała. Prosto z mostu, bez owijania w bawełnę. Nie bawił się w podchody, zapraszanie na drinka czy na kolację; od razu wyskoczył z tygodniem w walijskich górach.

— I pojechałaś?

— Z początku nie wiedziałam, co zrobić. Jeśli mam być szczerą, to byłam na niego zła. Pewnie sobie myślał, że jestem jakimś popychadłem, którego nikt nie chce, i że jak tylko strzeli palcami, polecę za nim jak w dym. Ale z drugiej strony, w tamtym czasie czułam się paskudnie, byłam w prawdziwym dołku i nie zanosilo się na poprawę...

— Zatem pojechałaś.

— Powiedziałam mu, że muszę to przemyśleć. Odpowiedział, że nie ma sprawy, po czym dodał: „Przecież to tylko parę dni w Walii. Osobne pokoje. Gwarantuję, Carla”. — Chrząknęłam.

— Nie, Helen, naprawdę tak powiedział. Trochę nieśmiało, słodko, po staroświecku i przede wszystkim szczerze. Przyszło mi do głowy, że to może być to, że przypadkiem trafiłam na prawdziwego dżentelmena, który wie, jak sprawić, bym poczuła się wyjątkowa. Oczywiście, że się zgodziłam.

— Od samego początku wiedziałam.

— Ale on był taki delikatny i uprzejmy — ciągnęła Carla.

— Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

— Hmm — nie byłam tego taka pewna.

— Tak czy inaczej, nie umówiliśmy się na drinka ani na kolację, nic z tych rzeczy. Czułam się przez to trochę dziwnie. Tłumaczyłam sobie jednak, że nikomu by nie wyszło na zdrowie, gdyby nas razem zobaczono w miejscu zamieszkania, że Mark chce zachować dyskrecję. Ilekroć na siebie wpadaliśmy, uśmiechał się i mówił, jak bardzo się cieszy, że zgodziłam się z nim pojechać. „Wszystko załatwione”, zapewniał, a moje wątpliwości natychmiast zniknęły. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak on. Byłam zaintrygowana...

— A czy istnieli ci jego znajomi od domku w Walii? Czy też Mark ich po prostu wymyślił? — spytałam.

— Mark? — Przez ułamek sekundy sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, o kim mówię. Zraz jednak odzyskała kontenans. — A, Mark. Muszę cię rozczarować: byli jak najbardziej prawdziwi, choć szczerze mówiąc, sama też się spodziewałam, że będziemy tylko my dwoje. Wyszedł po mnie na dworzec i zawiózł swoim samochodem do willi... Tam było naprawdę pięknie: wszystkie pokoje miały widok na morze. Na dodatek pozostałe dwie pary były zupełnie w porządku. I dostałam osobny pokój, a Mark nie zrobił żadnego ruchu... przez bardzo długi czas.

Zamilkła. Niemal słyszałam jej myśli.

— No i...?

Wciąż cisza. Koło twarzy zabzyczał mi komar; na poły przysypiając zastanawiałam się, czy warto zapalać światło, wytropić go i zabić. Wtedy odezwała się Carla. Jej głos brzmiał nerwowo.

— Pierwsze dwa dni były okej. Może trochę nudne, bo tamta czwórka dobrze się znała i głównie przebywała we własnym towarzystwie, a biedny... — znów chwila wahania — ...Mark nie bardzo wiedział, co ja tam w ogóle robię, przynajmniej takie sprawiał wrażenie przez większą część czasu. Wreszcie trzeciego dnia wieczorem tamci zaczęli szykować się do wyjścia i byłam pewna, że idziemy razem z nimi, lecz Mark w ostatniej chwili powiedział: „Carla i ja chyba zjemy w domu”.

— I nawet cię wcześniej nie zapytał? — oburzyłam się.

— Nie — pokręciła głową. — Ja zresztą nie oponowałam. No cóż, sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. To znaczy, wiedziałam, że mu się podobam, takie rzeczy się po prostu czuje, i powoli on też zaczynał mi się podobać. Ale nie mogłam rozgryźć, co się dzieje, o co jemu naprawdę chodzi. Mark dziwacznie reagował na najlżejszy fizyczny kontakt; wystarczyło, żebym go lekko dotknęła, a on odskakiwał, jakbym parzyła. Jak gdyby ciągnęło go do mnie, a równocześnie odrzucało... — Po chwili ciszy podjęła: — Tak czy inaczej, tamci poszli na kolację. Słyszałam jeszcze silnik ich samochodu, kiedy zjeżdżali ze wzgórza, a potem zrobiło się zupełnie cicho. Nie zdawałam sobie sprawy, że dom stoi na takim odludziu, dopóki nie zostałam sam na sam z... z Markiem.

— I co się stało?

— Na początku nic. Zaczął przyrządzać coś do jedzenia. Jak się okazało, był szalenie skrupulatny w kuchni i chęć pomocy nazywał wtrącaniem się, toteż wręczył mi kieliszek wina, posadził na tarasie i kazał się rozkoszować widokiem... Z wnętrza domu dochodziła cicha muzyka.

— Brzmi romantycznie — skomentowałam.

— Wiem, że tak brzmi, ale wcale takie nie było, wierz mi. Coś było nie tak. Nadskakiwał mi, bez przerwy pytał, czy mi niczego nie brakuje, czy się dobrze bawię, czy jestem odprężona... ale im więcej poświęcał mi uwagi, tym bardziej niespokojna się stawałam. Może dlatego, że nagle zaczął unikać kontaktu wzrokowego, nie wiem dlaczego ani jak, ale ilekroć coś do mnie mówił, jego oczy błędziły wszędzie, tylko nie po mojej twarzy. Poczułam, jak w środku narasta we mnie panika. Niby nic złego się nie działo, ale ja czułam, że biorę udział w jakimś rytuale i że ja jako ja w ogóle się nie liczę. Jak gdybym była wyłącznie ciałem, które udało mu się upolować. Zamiast mnie mogła tam być każda inna. Albo żadna... Uwierz mi, to było najdziwaczniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek w życiu doświadczyłam.

— Wierzę ci, mów dalej — zachęciłam ją.

— Nagle zauważyłam, że rozmywają się kontury wszystkiego, na czym próbowałam skupić wzrok. Wtedy podejrzewałam, że Mark dosypał mi czegoś do wina, teraz jednak sądzę, że aby uspokoić nerwy, piłam szybciej, niż należało. Jakimś cudem udało nam się skończyć posiłek, choć nie pamiętam, co jedliśmy ani o czym rozmawialiśmy. Po kolacji Mark zaproponował, żebym usiadła na kanapie, i na chwilę mnie przeprosił. Zniknął w swoim pokoju, z którego zaraz się wyłonił niosąc czarną skórzaną torbę, taką, jakie na filmach noszą staromodni lekarze. Postawił ją na podłodze i usiadł koło mnie. „Wyglądasz cudownie, Carlo. Czy mogę cię pocałować?” spytał. Zastrzelił mnie tym pytaniem, zabrzmiało to tak, jakby co najmniej prosił mnie o rękę... Zachichotałam nerwowo i chcąc rozluźnić atmosferę, powiedziałam mu, że od dawna na to czekam, ale on nawet się nie uśmiechnął, był śmiertelnie poważny. Nachylił się i wziął moją twarz w obie ręce (zawsze uważałam, że ma piękne dłonie: szczupłe, o długich palcach i zadbanych owalnych paznokciach). Błądził nimi po mojej twarzy w ten sposób, że kciuki stykały się tuż pod brodą, a palce gładziły linię włosów... jak teraz o tym mówię, wydaje się, że to nic takiego, wtedy jednak naprawdę na mnie podziałało... Nachylił się jeszcze bardziej i już, już miał mnie pocałować, kiedy opuścił palce i zasłonił mi oczy, tak że nic nie widziałam. Zapytałam go, dlaczego to robi, ale zamiast odpowiedzieć, złożył na moich wargach pocałunek.

— I jak było?

— No... Normalnie. To znaczy przypuszczam, że było w porządku, chociaż prawdę powiedziawszy niezbyt dobrze pamiętam, gdyż przez cały czas zastanawiałam się, dlaczego zasłania mi oczy, jakby chciał coś przede mną ukryć... albo jakby nie mógł znieść, że na niego patrzę. Tłumaczyłam sobie w duchu, że pewnie jest nieśmiały, ale mimo to, kiedy już przestał mnie całować, zaczęłam się wic jak piskorz, żeby jak najszybciej odzyskać wzrok i panowanie nad sytuacją. On jednak trzymał

mnie mocno. „Nie patrz, Carla. To ważne, żebyś nie patrzyła”, usłyszałam. I tak niewiele mogłam zrobić: leżałam na mnie, jedną ręką zasłaniając mi oczy, drugą zaś gmerając w stojącej na podłodze torbie. Pomyślałam sobie, że biedak nie lubi, jak kobieta obserwuje go, kiedy nakłada prezerwatywę... Nie byłby jedyny i chociaż zawsze mnie to trochę dziwi, w tym wypadku pasowało do jego nieśmiałości i staroświeckości... Słyszałam, jak przetrząsa zawartość torby, i byłabym się nawet rozluźniła, ale właśnie wtedy na ułamek sekundy odsłonił mi oczy. Twarz, którą ujrzałam tuż przed sobą, z pewnością nie należała do dżentelmena... Nigdy w życiu nie widziałam nikogo bardziej pochłoniętego i skupionego; wyglądał jak polujący drapieżnik. Powiedziałam: „Dosyć tego...”, ale nie zwrócił na mnie uwagi, wciąż zaabsorbowany torbą i tym, co z niej wyjął. Cokolwiek to było, trzymał to za moją głowę, a ja nie mogłam się ruszyć, gdyż przygniatał mnie całym swoim ciężarem. Mimo to zaczęłam się wiercić, chciałam się uwolnić, ale on już zaczął wkładać mi coś na głowę. Leżałam bezsilnie, a on uparcie naciągał to na moją twarz. Coś ciasnego i pachnącego skórą, od samego zapachu robiło mi się niedobrze... Zgniół mi uszy, zasłonił oczy i szarpnięciem ciągnął dalej, na nos i usta...

— Boże, to musiało być okropne!

— Zaczęłam się szamotać, ze strachu dosłownie oszalałam; wiedziałam, że za moment nie będę mogła oddychać. Drapałam, kopałam i wiałam się pod nim z energią, jaka nawet mnie zadziwiła...

— A on?

— Wciąż był górą. Jak jakiś maniak robił swoje, powtarzając: „Leż spokojnie, ty dziwko, nie skrzywdzę cię. Chcę ci tylko zakryć oczy, będziesz mogła oddychać”. Ciągnął mnie przy tym za włosy, tłukł po twarzy i nadal ubierał w to ohydne coś... Byłam przerażona! Krzyczałam, choć i tak nikt nie mógł mnie usłyszeć, ale krzyk dodawał mi siły. W końcu przez przypadek udało mi się go kopnąć w czułe miejsce, skulił się z bólu, a ja wreszcie mogłam mu się wyrwać. Zerwałam to paskudztwo z głowy, pobiegłam do najbliższej łazienki i zamknęłam się na klucz. Wściekł się, słyszałam, jak wali w drzwi i krzyczy na mnie, żebym wyszła, bałam się, że zdoła wyważyć zamek, ale po chwili zaczął się uspokajać. Wrócił do salonu i mrucząc coś do siebie, zacierał ślady naszej walki. Potem znów podszedł pod drzwi łazienki i powiedział, że się nie gniewa, że wszystko jest okej, że przeprasza... „Nie miałem nic złego na myśli, ale skoro nie lubisz takich zabaw... To był tylko żart”, zapewniał. Prosił mnie, żebym wyszła, zanim wrócą tamci. zaproponował, że zrobi herbatę. Herbatę! wyobrażasz to sobie... Jakby nigdy nic zaproponował mi filiżankę herbaty! Najgorsze w tym wszystkim było to, że z jakiegoś powodu myślał, że ja gustuję w chorym seksie. Było mi niedobrze. Siedziałam zamknięta w łazience i wymiotowałam bez końca.

— Może jednak dosypał ci czegoś do wina?

— Może.

— A potem co się stało?

— Wysłałam z łazienki, dopiero kiedy wrócili jego znajomi. On ukrył się w swoim pokoju. Zamówiłam taksówkę i czym prędzej się stamtąd wyniosłam. Mam nadzieję, że nie zobaczę go już nigdy w życiu! — zakończyła z mocą.

— Wcale ci się nie dziwię.

— Nie znoszę ciemności — rzuciła nagle Carla. — Po prostu nie znoszę.

— Opowiedziałas o tym jego znajomym? — spytałam.

— Co? — spojrzała na mnie nieprzytomnie, po czym wzruszyła ramionami. — Miałam taki zamiar, ale ostatecznie nie powiedziałam ani słowa. Nie mogłam.

— Ale komuś powinnaś o tym opowiedzieć.

— Czy to coś zmieni? Zresztą, przecież opowiedziałam tobie. Rany, na samo wspomnienie zaczyna mi być niedobrze. Faj! Po co w ogóle o tym mówiłam? Wiesz co, Helen? Zmyśliłam to wszystko... Cholera, znów ten komar. Chodź, zatłuczemy go!

Carla wyskoczyła z łóżka, żeby zapalić górne światło. Całe dziesięć minut zabrało nam wytrącenie, ściganie i wreszcie eksterminacja dwóch olbrzymich komarów. Egzekucji dokonaliśmy za pomocą zrolowanej gazety, którą przywiozłam jeszcze z Anglii.

— Jak myślisz, moja czy twoja? — zapytała Carla, przyglądając się wielgachnej plamie krwi na ścianie. Obie byłyśmy nielecco pogryzione, toteż trudno było stwierdzić na pewno. Tak czy inaczej zemsta była słodka, zwłaszcza dla Carli, w której własna opowieść wzbudziła mordercze instynkty. Wyłączając światło powiedziała: — Cieszę się, że się tym z tobą podzieliłam. W ogóle dobrze mi się z tobą rozmawia...

— To miłe. — Nie miałam zamiaru mówić jej, że mam spore doświadczenie, jeśli chodzi o wysłuchiwanie koszmarów innych ludzi.

— Twoja kolej — odezwała się nieoczekiwanie Carla, kiedy na powrót znalazłyśmy się w łóżku. — Założę się, że nie przebijesz mojej historii. Wyglądasz na kogoś, komu nie przytrafiają się nie-szczęścia...

— Pozory mylą... — odparłam.

— No, dalej — popędzała mnie. — Najgorsze przeżycie seksualne.

— Nie chcesz tego słuchać. A ja nie chcę cię nudzić.

— Czemu nie? Przynajmniej łatwiej zasnąć.

— Jesteś pewna?

— Tak. Poza tym nie pozwolę ci się wykręcić. Musisz zrewanżować się swoją opowieścią...

Mogłam uzmysłwić Carli, że nikt jej nie zmuszał do zwierzeń, nie zrobiłam tego wszakże. Mogłam coś zmyślić — powinnam była coś zmyślić. Jednakże parę chwil po wysłuchaniu jej wstrząsającej, i niewątpliwie prawdziwej, historii tchórzostwem byłoby wykręcić się pierwszą lepszą bajeczką. Nie mogłam zawieść jej zaufania. Poza tym był to nieuchronny ciąg dalszy zabawy z własną tożsamo-

ścią. Prawdziwa Helen North była kobietą, do której inni ludzie zwracali się po pomoc. Helen na urlopie mogła pozwolić sobie na luksus słabości. Przynajmniej tak wtedy sądziłam.

Wspomnienie historii, jaka przyszła mi na myśl od razu, kiedy Carla poruszyła ten temat, ciążyło mi od wielu lat. Zbyt wielu. Na tym właśnie polega kłopot z sekretami. Człowiek spycha je na skraj świadomości, mówi sobie, że należą do przeszłości i że dawno się z nimi uporał, nie chce do nich wracać — lecz rzadko mu się to udaje. Milczenie i tajemnica mają sprawić, że koszmar rozmyje się i zniknie, lecz dzieje się dokładnie na odwrót: koszmar pęcznieje i rozrasta się, jak gdyby cisza i mrok wokół niego karmiły go nieustannie. Trucizna znajduje ujście, wydostaje się na zewnątrz i niszczy czyjeś życie.

W moim wypadku prawda była taka, że marzyłam, by podzielić się swoim ciężarem. Leżąc w ciemności obok Carli odniosłam wrażenie, że cały ten urlop był zaledwie preludium do mojego wyznania: nieprawdopodobna znajomość z Carłą, to że nie wymieniliśmy adresów, zaledwie parę dni do końca urlopu, kiedy to każda z nas pójdzie swoją drogą, wreszcie to, że zdradzony sekret nigdy nie zwróci się przeciwko mnie. Wiedziałam, że wyznanie tej historii nie przyniesie mi całkowitej ulgi, miałam jednak nadzieję, że przytłaczający mnie od lat ciężar zelżeje.

Nie mogłam się bardziej mylić.

— Nazwijmy ją Sasza — zaproponowałam.

— Dziwne imię... Zagraniczne?

— Brzmi dobrze w obu językach, świetnie się nadaje dla kogoś, kogo korzenie sięgają dwóch różnych krajów — wyjaśniłam.

— Ale Sasza to tak naprawdę ty? — domyśliła się Carla.

— Sasza to byłam ja — sprostowałam. — To duża różnica.

— No więc dawaj!

Zaczęłam opowiadać. Mówiłam cicho, jakbym opowiadała dziecku bajkę na dobranoc. Ze zdziwieniem przysłuchiwałam się własnemu głosowi.

— Gdzieś na południowym wybrzeżu Anglii, jakieś dziesięć, góra dwanaście lat temu, żyła sobie dziewczynka. Damy jej na imię Sasza. Miała szesnaście, może siedemnaście lat. Była pilną uczennicą, gdyż jej matka, jak każdy wygnaniec, żywiła wiarę w dobre wykształcenie, a Sasza nie chciała zawieść pokładanych w niej nadziei; wszyscy mówili, że czeka ją wspaniała przyszłość. Sasza przykładła się do nauki, ponieważ nie interesowali jej jeszcze chłopcy. Owszem, miała wielu przyjaciół obojga płci, spędzała z nimi dużo czasu podczas weekendów, ale nie wyróżniała nikogo. Niektórzy mówili, że wolno się rozwija, inni, że jest snobką, ktoś nazwał ją niepoprawną romantyczką. Sasza wiedziała swoje, ale się z tą wiedzą nie zdradzała. Zawsze umiała dochować tajemnicy.

Nie zakochiwała się w żadnym z kolegów z tej prostej przyczyny, że od dawna była zakochana w dorosłym, niemal dwakroć od niej starszym mężczyźnie, którego darzyła niesłabnącym, acz skrytym uczuciem.

Gabriel Bostok — sąsiad i aktor, wysoki, ciemnowłosy i z poczuciem humoru — nie mógł nie podobać się Saszy. Oprócz tego, że przystojny, był również pełen uroku, troskliwy i łagodny i miał doskonale podejście do dzieci i młodzieży. Miał także żonę i dwójkę dzieci, Sasza z rzadka się nimi opiekowała. Nie można było nie zauważyć (pierwsza wspomniała coś na ten temat matka Saszy), że pan i pani Bostok rzadko wychodzili gdzieś razem.

Anna Bostok była kuratorem sądowym, z natury podejrzliwa i ostra, nie miała w sobie nic z łagodności i uroku męża (matka Saszy powiedziała kiedyś, że taka kobieta nie zasługuje na utalentowanego i tryskającego pomysłami Gabriela; posunęła się nawet do stwierdzenia, że jego kariera ucierpiała z powodu braku wsparcia i zachęty, jakie otrzymałby od przyjaźniej do życia nastawionej kobiety).

Kiedy Sasza miała dziesięć lat i spadła z roweru, nie kto inny jak Gabriel zaniósł ją zapłakaną do domu i to on przemył i delikatnie oczyścił ranę, jako że matka Saszy nie znosiła widoku krwi. Od tego dnia w życiu Saszy nie było miejsca dla innego mężczyzny. Kiedy miała lat trzynaście i po raz pierwszy poszła na wagary, w centrum handlowym wpadła na Gabriela, który wprawdzie nie dał wiary jej zapewnieniom o odwołanej wizycie u dentysty, lecz mimo to zabrał ją do Burger Kinga na lunch, gdzie wymusił na niej obietnicę, że nie będzie uciekać ze szkoły nawet wtedy, gdy zbiegną się dwie lekcje geografii z rzędu, i nawet jeśli nauczycielka się na nią uwzięła. Po posiłku i rozmowie odprowadził ją do szkoły, tak że akurat zdążyła na popołudniowe zajęcia.

Pewnego dnia wpadł z wizytą, kiedy siedziała w domu sama, z napuchniętymi migdałkami i potwornym bólem głowy. Nie przeszkadzało mu, że zobaczył kościstą nastolatkę ubraną w bawełnianą koszulę nocną i wełniane skarpety, walczącą z zadaniem domowym na temat Szekspira. Zrobił jej herbatę z miodem i pomógł przy wypracowaniu, a potem wyrecytował kilka kawałków z „Romea i Julii”. Nie, nie wyrecytował — on tchnął w nie życie. Nigdy nie zapomniała tej strofy:

Światłość jej rysów gasi w moim oku

Płomień pochodni! Lśni na skroni mroku

Jak brylant w uchu etiopskiej królowej:

Skarb zbyt bogaty na ten świat jałowy!

Te niezapowiedziane korepetycje uszczęśliwiłyby Saszę, gdyby tylko umyła wcześniej głowę i włożyła bardziej twarzową koszulkę nocną.

Zanim wyszedł, Gabriel Bostok powiedział jeszcze, że ona, Sasza, jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał, że na jej widok zapiera mu dech w piersi, że kocha ją do szaleństwa i że nig-

dy nie zrobiłby jej najmniejszej przykrości, nie mówiąc o krzywdzie. Zarzekał się, że chce tylko o nią dbać i uczynić ją szczęśliwą.

Saszę wprawiło to w zdumienie i pomieszanie, niemniej uwierzyła mu — jakżeby mogła nie uwierzyć, skoro o takim wyznaniu marzyła od miesięcy, ba, lat całych.

Podniósł ją z krzesła, oplótł ramionami i pocałował w usta. Zza półprzymkniętych powiek obserwowała, jak to, o czym dotychczas tylko czytała w książkach, przytrafia się jej, Saszy, w jadalni domu rodziców. Z wrażenia zmiękły jej kolana, poczuła, jak cały świat staje na głowie.

Gabriel wyznał także, że jego małżeństwo od lat jest martwe, powiedział, że jego żona od dawna bierze sobie kochanków, a on mieszka z nią razem tylko ze względu na dzieci. W to również uwierzyła — czyż jej matka nie mówiła tego samego?

Pocałował ją znowu, namiętnie i czule zarazem, w sposób, który zapamiętała na zawsze, podobnie jak wersy z „Romea i Julii”. Szeptem zapewnił, że kiedy będą się kochać, będzie to tak piękne i cudowne jak ona sama, że nigdy tego nie zapomną.

Sasza z całą pewnością nigdy nie zapomniała swego pierwszego razu.

Gabriel był niewyobrażalnie taktowny; raz po raz powtarzał, żeby o nic się nie martwiła, gdyż nikt nigdy się o nich nie dowie, chyba że ona wyrazi na to zgodę.

Oczywiście powiedziała: tak. Zaprowadziła go na górę do swej sypialni, zdjęła z kołdry rozrzucone tam podręczniki, po czym zsunęła ze stóp grube skarpety, a z ramion nocną koszulę.

Chwilę potem zrozumiała, że naprawdę musi ją kochać. Biorąc ją w ramiona, cały aż drżał, dłonie mu się trzęsły, głos załamywał się z podniecenia.

— Boże mój — szeptał. — Jesteś doskonała. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Wiedział, że będzie jej pierwszym mężczyzną, i obawiał się, że sprawi jej ból, lecz niepotrzebnie: nie bolało ją nic a nic. Czowała się wspaniale i cudownie — dokładnie tak, jak obiecywał — i tylko od czasu do czasu pozwalała sobie na szybką myśl: A więc to tak jest... Lepsze od pływania, choć uczucie trochę podobne: jakby unosiła się na falach przyjemności.

Ale zaraz, to przecież nie tak miało być?!

Z początku myślała, że doszedł zbyt szybko. Czytała o tym w czasopiśmie, fachowo nazywało się to: przedwczesny wytrysk. Ale nie, to nie mogło być to. Dlaczego bowiem sapał, chwytając powietrze rozpaczliwie jak ryba na haczyku? Dlaczego patrzył na nią wytrzeszczonymi oczyma, a mięśnie miał napięte i sztywne?

— Gabrieliu, co się stało? Dobrze się czujesz?

Co za głupie pytania... Jakie głupie, straszne słowa... Próbował coś powiedzieć.

— Jest mi tak... Jest mi tak bar...

Później zastanawiała się, co próbował powiedzieć. Tak bardzo dobrze? A może: tak bardzo przykro?

Nagle głowa mu opadła, czołem uderzył ją w łuk brwiowy. Sasza krzyknęła ze strachu i z bólu, chciała się spod niego wydostać. Poczowała, jak jego penis wyslizguje się z jej ciała. Pewnie ma jakiś atak, napad... — przypuszczała.

A może... może umarł — przyszła jej do głowy potworna myśl.

Uwolniła się spod jego ciężaru, po czym usiadła na skraju łóżka i dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Gabriel? Gabriel?!

Wpadłszy w panikę gwałtownie go odwróciła na plecy, tak by spojrzeć mu prosto w twarz, i zaraz odskoczyła zakrywając dłonią usta.

— Gabriel... — wyszeptała.

Następne, co pamiętała, to jak stoi na dole, ubrana tylko w nocną koszulę, ledwo zakrywającą jej nagość. Ciało miała wciąż rozgrzane i pulsujące od miłości, a może z przerażenia... W domu panowała śmiertelna cisza.

Chciała zadzwonić... ale gdzie? Po lekarza? Na pogotowie? Do przyjaciółki, żeby przyszła i jej pomogła? Po księdza? I tak nie pamiętała żadnego numeru. Sasza, co do niej niepodobne, gdyż normalnie była opanowana i skuteczna, nie widziała wyraźnie tarczy telefonu. Chyba nacisnęła trzy dziewiątki, a może dwie dziewiątki i siódmkę, gdyż w słuchawce rozległ się czyjś głos, odległy i obojętny, głos należący do kogoś, kogo świat nadal stał w posadach. Dłuższą chwilę zajęło, nim była w stanie sklecić choć jedno sensowne zdanie. Zastygła ze słuchawką w ręce i stała tak, dopóki za drzwiami frontowymi nie zamajaczyła odziana w mundur postać.

A później zawrzało jak w ulu. Najpierw policja, potem pogotowie. Ojciec, którego wezwano z biura. Matka, wracająca z pracy w radosnym nastroju i bez żadnych podejrzeń, której twarz wydłużyła się w progu, kiedy zobaczyła, że w domu roi się od obcych ludzi. Żona Gabriela i jej histeria. Ciało Gabriela na noszach, twarz zakryta kawałkiem materiału. Pytania, niedowierzające spojrzenia, szok.

A jeszcze później więcej pytań. Jak do tego doszło? Jak długo to trwało? Coś ty sobie myślała? Jak mogłaś?! Pomimo rozgrywającego się wokół koszmaru i poczucia nierzeczywistości jedno do niej dotarło, nim skończył się tamten dzień: to wszystko przez nią, to jej wina, ona za to odpowiada.

W każdej innej sytuacji, kiedy czterdziestoletni mężczyzna zostanie nakryty w łóżku z szesnastolatką, winą obarcza się jego. W tym wypadku było inaczej. Gabriel nie żył. Zapłacił już niewyobrażalnie wysoką cenę za chwilę słabości. Biedny Gabriel — użalali się wszyscy. Nie zasłużył na taki los. To straszne, co go spotkało. Tragedie nie dzieją się jednak ot tak sobie, ktoś ponosi za nie winę. Zatem obwiniono Saszę. Uwiodła go. Cały czas udawała, że jest pilną uczennicą, udawała, że tego dnia źle się czuje... Specjalnie została w domu... Zawsze wydawała się przebiegłą...

Znacznie później, kiedy jej rodzice nie potrafili już przed nią ukryć, że ich małżeństwo się rozpada, Sasza zastanawiała się, czy przypadkiem wściekłość jej matki nie wynikała ze zwykłej zazdrości.

Pewnie przez cały czas sądziła, że częste wizyty Gabriela u nich w domu są dla niej, nie dla jej nieletniej córki. To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego nie okazała cienia współczucia tragicznie owdowiałej Annie Bostok, kobiecie, która pół życia spędziła wspierając swego niewydarzonego, niedojrzałego emocjonalnie małżonka.

To jednak było znacznie później. Bezpośrednio po śmierci Gabriela, wtedy gdy Sasza najbardziej potrzebowała współczucia i otuchy, których mogli jej udzielić tylko rodzice, napotkała z ich strony mur milczenia i pełne wyrzutu spojrzenia. Po tym wydarzeniu rodzice nigdy nie czuli się w jej towarzystwie swobodnie. Wszyscy wprawdzie próbowali zachowywać się naturalnie, zniknęła jednak gdzieś dotychczasowa spontaniczność.

Sasza potrafiła ich zrozumieć. Pewnego dnia wyszli rano z domu, zostawiając córkę — dzieciną, żyjącą marzeniami pilną uczennicę, która miała być ich lokatą na stare lata (co do tego nikt nie żywił wątpliwości), a kiedy wrócili parę godzin później, zamiast z nią stanęli oko w oko z zimnokrwistą lolką, oszukańczym i wiarołomnym stworzeniem, które zniszczyło dwie rodziny i nawet nie czuło wyrzutów sumienia! Gdyby tylko wiedzieli...

Wszakże nie wyobcowanie z własnej rodziny było najgorsze.

Najgorsze było to, że ludzie uważali całą sytuację za komiczną.

To taki banał: mężczyzna umierający w łóżku. Wyśmiana idea macho. Jeszcze jeden dowód, że istnieją pajęczyce zabijające partnera tuż po kopulacji. Każdy początkujący komik próbuje ułożyć dowcip na temat stosunku doskonałego, podczas którego facetowi jest tak dobrze, że myśli, że umarł i poszedł do nieba... Tyle że w tym wypadku mężczyzna rzeczywiście umarł. Chłopcy z sąsiedztwa zaczęli jej unikać albo wręcz przeciwnie, dopraszać się o względy, jakby przebywanie z nią stanowiło swoisty test na ich męskość. Niektórzy przekonywali ją nawet, żeby spojrzała na całe wydarzenie z dystansu, żeby znalazła jego zabawną stronę.

Lecz nie, ona nie widziała w tym nic śmiesznego. Ani wtedy, ani teraz. Na nieszczęście dla niej wszyscy zapominali o tym, co najważniejsze: że Sasza kochała Gabriela Bostoka, kochała go całym sercem, jak tylko prostoduszna, niezepsuta szesnastolatka potrafi. Tymczasem w ciągu jednego dnia straciła swą miłość, kochanka, rodziców i dzieciństwo. Trudno zatem oczekiwać, by w tej sytuacji dopatrywała się jakichkolwiek elementów komicznych.

Nauczyła się wszakże przeżywać swój ból w samotności. I nauczyła się milczeć.

Nawet po tylu latach nie potrafiłam o tym mówić inaczej jak tylko w trzeciej osobie. Może zmieniłam kilka szczegółów, może opuściłam to i owo, aby uczynić historię przejrzystsą. Z całą pewnością zmieniłam nazwisko Gabriela. Czasem myślę, że to przydarzyło się komuś innemu, nie mnie, i w pewnym sensie jest to prawda, gdyż tamtego dnia błyskotliwa Helen, której rokowano wspaniałą przyszłość, przestała istnieć i od wtedy nic nie przebiegało tak, jak powinno.

Nie powiedziałam Carli wszystkiego. Tylko suche fakty: gdy miałam pierwszy w życiu stosunek, mój partner zmarł leżąc na mnie i od tamtego czasu nic nie jest już takie samo. Nawiasem mówiąc, miesiącami się zastanawiałam, czy jestem wciąż dziewicą czy też nie.

W pokoju zapanowała cisza, nie przerywana nawet bzyczeniem komara. Manoli i Despina już dawno się położyli. Przykuty do budy pies przestał wyć. Kiedy skończyłam mówić, zastygłam w oczekiwaniu; bałam się, że Carla zacznie się śmiać. Nie wydawało mi się, żebym po dziesięciu latach milczenia mogła znieść taką reakcję.

Ale nie, nie roześmiała się.

— O, moja biedna Helen — odezwała się cicho. — W życiu nie słyszałam okropniejszej historii. — Bąknęłam coś zdawkowego, szukając chusteczki, żeby wysiąkać nos. — No już. Wypłacz się, to ci dobrze zrobi.

— Nie potrafię — szepnęłam przez ściśnięte gardło. — Nie znaczy to, że bym nie chciała... To było tak dawno, powinnam się z tym jakoś uporać, ale...

— Tak się zastanawiam — Carla spojrzała na mnie w ciemności — czy z czymś podobnym w ogóle można się uporać?

— Mam nadzieję — roześmiałam się ponuro.

— Biedna Helen — powtórzyła Carla.

Przez chwilę nic nie mówiłyśmy. Powoli się rozluźniałam, ogarniał mnie spokój i... ogromne zmęczenie.

— Carla?

— Tak?

— Dziękuję.

— Za co? — zdziwiła się.

— Sama nie wiem... Może za to, że mnie nie wyśmiałaś.

— Dlaczego miałabym cię wyśmiać?

— Cóż, nie byłabyś pierwsza.

— Nigdy — zapewniła mnie solennie.

— Dziękuję — powiedziałam raz jeszcze. — Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Tamtej nocy szybko zasnęłam. Czułam się pogodzona z własną przeszłością, ze światem, bo ja wiem z czym jeszcze. Spałam jak dziecko, głęboko i spokojnie. Bez obaw.

Gdybym tylko wiedziała, że w momencie kiedy człowiek się odsłoni i przestanie uważać, jest najbardziej narażony na katastrofę...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy do końca urlopu pozostały dwa dni, Carłę ogarnął niepokój.

— Chodźmy do jakiegoś klubu — zaproponowała.

— Nie — odparłam.

— Helen, nie bądź jędzą. Mam powyżej uszu Yerolimani i okolicy. Przydałoby się nam trochę rozrywki — nalegała. — Mogłybyśmy pojechać gdzieś dalej, na przykład do któregoś z tych modnych miejsc...

— Jedź sama, przecież cię nie zatrzymuję.

— Ale to twój samochód. Nie mogę tak po prostu do niego wsiąść i pojechać — marudziła.

— Przykro mi. Nie mam nic przeciwko temu, żeby wieczorem podrzucić cię do miasteczka, ale z włączeniem się po klubach dawno skończyłam.

Wiedziałam jednak, że Carli nie interesuje kolejna wizyta w miasteczku, nieraz bowiem dała mi do zrozumienia, że uważa je za nudną dziurę. Nudna dziura? Ten labirynt starożytnych wąskich uliczek, rozchodzący się od urokliwej starej przystani? Cóż, najwyraźniej Carla miała za nic historię i zwiedzanie. Szukała mocniejszych wrażeń...

— Chcesz kogoś poznać? — spytałam.

— Jakbyś zgadła. Mam ochotę na przystojnego nieznajomego...

Wyszczrzyłam do niej zęby.

— Niewiele ci zostało czasu; musisz się uwijać, żeby zdążyć go upolować.

Dochodziło południe. Spędziwszy poprzednią godzinę czy dwie na kupowaniu pamiątek, schroniłyśmy się w kafejce przy przystani i oglądałyśmy nasze łupy. Musiałam przyznać, że Carla wykazała się większą od mojej wyobraźnią: kupiła model łodzi — mały drewniany jednożaglowy kaik z miniaturową postacią marynarza dzierżącego rumpel.

— To dla Rowana — wyjaśniła, wybrawszy model spośród wielu innych i uniósłszy go tryumfalnie do góry. W innym sklepiku dopadła lalki odzianej w narodowy kostium grecki, tępo patrzącej przez siebie. — Vi się na pewno ucieszy — oznajmiła.

— Vi? — spytałam skonfundowana.

— Violet — ochoczo wyjaśniła w ferworze zakupów, rozglądając się wokół z nagle zafrasowaną miną. — Ale co kupić Lily? — mamrotała do siebie, podając lalkę do zapakowania. — Szalenie trudno ją zadowolić — odwróciła się do mnie z desperacją w oczach.

— Wygląda na to, że masz całą czeredkę — zażartowałam, ale Carla się nawet nie uśmiechnęła.

Pociągnęła mnie do sklepu obok i wskazała na ręcznie haftowany szal.

— Podoba ci się?

— Chcesz go podarować Lily? — upewniłam się.

— Tak. Jak myślisz, przypadnie jej do gustu?

— Nie mam pojęcia — rzekłam zgodnie z prawdą.

— Też mi pomoc — sarknęła.

— Trudno mi pomagać, jeśli nawet nie wiem, kim jest Lily.

— Och, to dziewczynka, którą znam...

— Ile ma lat?

— Dwanaście.

— Hmm — zamyśliłam się. — Szal raczej się nie nada. Może biżuteria?

Zaraz wszakże dowiedziałam się, że Lily nie nosi biżuterii. Nie lubiła także wachlarzy, parasolek, ceramiki, grafik ani ubrań. Wkrótce ogarnęła mnie z jej powodu frustracja: co za wybredne dziecko!

— Ale przecież musi być coś, co lubi.

— Z nią nigdy nie wiadomo. — Carla także wydawała się sfrustrowana.

— Kup jej jakiś kosmetyk i po kłopotcie.

— Wolałabym coś, co na pewno sprawi jej przyjemność — powiedziała i oddaliła się w głąb sklepowych regałów. Podczas gdy Carla przeżywała dylemat, co kupić dwunastoletniej pannicy, która z opisu przypominała starą maleńką, ja raz-dwa uporałam się z prezentami. Już dawno temu przekonałam się, że najlepiej kupować je hurtowo. Tym razem mój wybór padł na tuzin miseczek wykonanych ze starego drzewa oliwnego; choć podobne kształtem i kolorem, różniły się skomplikowanym wzorem słoików, tak że każda stanowiła cud sam w sobie, razem zaś prezentowały się jak kolekcja abstrakcyjnych malowideł, a do tego były gładkie i miłe w dotyku. Dla tych z moich znajomych, którzy nie przepadają za ozdobnymi miseczkami, bądź na wypadek gdybym nie potrafiła się z nimi rozstać, wykosztowałam się jeszcze na pół tuzina kostek drakońsko wycenionego, dziwnie wyglądającego mydła. Zdążyłam już zapłacić i odebrać ładnie zapakowane paczuszki, kiedy Carla wyłoniła się z gąszczy półek niosąc coś w rękę. Z niepewną miną podała mi mniej więcej dwudziestocentymetrową ikonę.

— Hmm... — obejrzałam obrazek ze wszystkich stron. — Nietypowy prezent, powinien się spodobać Lily — oceniłam. Naturalnie nie była to oryginalna ikona, tylko taka, jakie produkuje się masowo dla turystów, ale i tak miała w sobie coś, czego brakowało większości przedmiotów w sklepie z pamiątkami. Ta konkretna przedstawiała popiersie ciemnonicego świętego i w czasach średniowiecza mogłaby stanowić odpowiednik plakatu, jaki spotyka się w dziewczynskich pokojach. — Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby poznać mężczyznę, który do niej pozował...

— To nie dla Lily — powiedziała szybko Carla, odbierając mi ikonę i przyciskając ją do piersi.

— Dla Daniela? — spytałam, nim zdążyłam pomyśleć.

Pytanie wyskoczyło mi z ust, zanim mózg zdążył je ocenzurować; wcale nie chciałam go zadać, ale przypuszczam, że kończący się właśnie urlop sprawił, że powoli przystosowywałam się do normal-

nego życia. Założyłam pewnie, że Carla także; w końcu nie robiła tajemnicy z odbiorców pozostałych prezentów. Jednakże pożałowałam gafy natychmiast, gdy zobaczyłam wyraz twarzy Carli: mięśnie jej stężały, czoło przecięła bruzda.

— Może — odezwała się ledwie słyszalnym głosem. Idąc do kasy sięgnęła jeszcze po parasol, jaki wcześniej dwukrotnie odrzuciła, mówiąc na poły do siebie, na poły do mnie: — To musi wystarczyć. Jeśli jej się nie spodoba, trudno. — Podała oba przedmioty sprzedawcy, po czym wygrzebała z portmonetki parę monet. — Helen, pożyczysz mi dziesięć tysięcy drachm? Oddam ci, jak tylko znajdziemy jakiś bank...

W banku mimochodem zauważyłam, że dwa чеки podróżne na dwadzieścia funtów każdy były ostatnimi, jakie przed podpisaniem wyrwała z książeczki. Kiedy wychodziłyśmy na ulicę, wyrzuciła do kosza plastikową obwolutę po dziesięciu czekach, mówiąc: — No i zostałam bez grosza przy duszy.

Finanse Carli od początku naszej znajomości stanowiły dla mnie zagadkę. Pokój, w którym zamieszkałyśmy razem, opłaciłam z góry, tak że jej pozostało tylko uregulować należność za śniadania — każdego dnia rano rozliczała się z Manolim albo Despiną. Nasze wypadki do miasteczka i uczy „U Ianniego” czy w którejś z licznych tawern nie nadwierały ani mojego, ani jej budżetu — jedzenie i wino w Grecji są tanie jak barszcz. Carla nie napomknęła słówkiem o zwrocie pieniędzy za pokój i samochód, a ja nie nalegałam, gdyż spędzając urlop sama, zapłaciłabym dokładnie tyle samo, nie widziałam więc powodu, dla którego miałyby partycypować w kosztach. Mimo to nie potrafiłam się opędzić od myśli, że Carla spędza urlop nad wyraz oszczędnie. Do tego nie miała karty kredytowej — dowiedziałam się o tym, kiedy przyszło do płacenia jedyne w ciągu dwóch tygodni zawyżonego rachunku: za posiłek w „Tawernie Panoramicznej” położonej około pół kilometra za Yerolimani. Ciekawiło mnie, jak by sobie poradziła, gdyby musiała sama zapłacić za czternastodniowy pobyt na wyspie — bo oczekiwać, że niecałe dwieście funtów wystarczy, to zbyt optymistyczne podejście. Miała wiele szczęścia, że się spotkałyśmy... — pomyślałam. — Czyżby na tym polegał mój urok?... Nie była to przyjemna świadomość, toteż wolałam się nad tym głębiej nie zastanawiać.

Tak czy inaczej, kiedy siedziałyśmy w kafejce sącąc orzeźwiająca *limonadę* i z dumą popatrując na leżące obok nas prezenty, to nie pieniądze zaprzętały umysł Carli. Zdobyła opaleniznę i pamiątki, do szczęścia brakowało jej jeszcze pikantnego wakacyjnego wspomnienia, z którym mogłaby wrócić do kraju przekonana, że urlop był w stu procentach udany.

Skinęłam głową w kierunku mola, do którego przybiła właśnie łódź z turystami.

— A co powiesz na tego? — spytałam. — Przygląda się nam od dobrych dziesięciu minut. Na pewno jest tobą zainteresowany.

— Co? — Carla powiodła wokół nieprzytomnym wzrokiem.

— Kto?

— Tamten facet — sprecyzowałam, dyskretnie wskazując mężczyznę, który od dłuższego czasu kręcił się po przystani, raz po raz rzucając w naszą stronę powłóczyście spojrzenia. Był wysoki i elegancko ubrany, a nawet wydawał mi się z lekka znajomy, jednakże był za daleko, bym mogła to stwierdzić na pewno.

— Nie widzę go wyraźnie — powiedziała Carla mrużąc oczy. Powinna była nosić soczewki kontaktowe, ale unikała tego jak mogła, tłumacząc się kłopotami, jakie sprawiają podczas pływania. Teraz sięgnęła do torebki po okulary przeciwsłoneczne.

— Za późno — poinformowałam ją. — Poszedł sobie.

— Rzeczywiście, mężczyzna zmieszał się z turystami, którzy wysiedli z łodzi, po czym zniknął w tłumie i w oślepiającym blasku słońca, odbijającym się od tafli morza. — Wydaje mi się, że go już gdzieś widziałam...

— Taa... w takiej dziurze jak Yerolimani o to akurat nietrudno. — Carla zbyła mnie machnięciem ręki. Po chwili jednak cała zeszywniała. — Jak on dokładnie wyglądał? — spytała niespokojnie.

— Zwyczajnie. Chociaż prezentował się całkiem, całkiem...

— Jakiego koloru miał włosy? — drążyła Carla.

— Zdaje się, że brązowe — odpowiedziałam, będąc świadoma, że facet miał na głowie kapełusz, na dodatek patrzyłam na niego pod słońce. Z drugiej wszakże strony istniała spora szansa, że był brunetem.

— Nieważne — odprężyła się nieznacznie. — Zresztą jeden mężczyzna nas nie zadowala. Potrzebujemy drugiego dla ciebie.

— Zbytek troski — odparłam. — Mnie celibat odpowiada.

Carla popatrzyła na mnie powątpiewająco. Podniosła do ust szklanekę z *limonadą*, lecz zamiast się napić, powiedziała:

— Super... Miałam przeczucie, że się pojawią.

— Kto taki? — spytałam zaciekawiona.

— Dwóch młodych Amerykanów, którzy ubiegłego wieczoru byli „U Ianniego”. Nie zauważyłaś ich, bo siedziałaś do nich tyłem, ale mnie od razu wpadli w oko... — mówiła, spuściwszy ciemne okulary na czubek nosa. W jej głęboko osadzonych piwnych oczach pojawił się dziwny błysk.

— Carla... — zaczęłam.

— Mogę wziąć na chwilę twój szkicownik? — spytała, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze nutki w moim głosie.

— Po co ci on? — przestawałam cokolwiek rozumieć.

— Zaraz sama zobaczysz. Daj mi pięć, góra dziesięć minut. I obiecaj, że się stąd nie ruszysz.

— W porządku, dziesięć minut i ani sekundy dłużej. Potem się stąd zabieram. Jest mi gorąco i marzę tylko o tym, żeby popływać.

Wsunęła mój szkicownik to torby, przyjrzała się swemu odbiciu w witrynie kafejki, po czym wstała, wykonując kilka węzowych ruchów, żeby materiał sukienki ułożył jej się lepiej na biodrach. Jak wszystkie inne ciuchy, w których ją widziałam, i ta sukienka była skąpa i jaskrawa — i trzeba przyznać, nad wyraz Carli pasowała.

— Trzymaj za mnie kciuki — rzuciła, odchodząc od stolika.

— Ale... — chciałam ją jeszcze zatrzymać.

Carla uniosła dłoń w uspokajającym geście, po czym pokazała mi plecy i ruszyła w stronę mola. Śledziłam ją wzrokiem i z łatwością wyłuskałam z tłumu dwóch młodzieńców, ku którym zmierzała. Obaj ubrani byli w luźne szorty, rozciągnięte koszulki i sportowe buty — podobnie jak setki innych turystów w ich wieku. Ten po lewej był wysoki, dobrze umięśniony i miał wyblakłe od słońca włosy; jego ciemnowłosy kolega był bardziej krępy. Z tej odległości nie mogłam rozróżnić rysów twarzy, jednakże z mowy ciała wywnioskowałam, że są potwornie znudzeni; poruszali się leniwie, z charakterystyczną dla nudy nonszalancją. Przechodzili od wystawy do wystawy, zaglądali do sklepików, z których żaden, dałabym sobie głowę uciąć, w najmniejszym stopniu ich nie interesował, zatrzymywali się przy stojakach z widokówkami, chociaż paręnaście kroków przedtem obejrzeliby już identyczny zestaw pocztówek. Tymczasem zbliżała się do nich Carla, pełna entuzjazmu i z jasno sprecyzowanym celem. Ze smutkiem uświadomiłam sobie, że będą stanowić łatwy łup.

Kiedy powiedziałam jej wcześniej, że celibat mi odpowiada, nie kłamałam. Nie uśmiechał mi się wakacyjny romans ani sekundowanie Carli w przygotowaniach do nocy namiętności. Miałam nadzieję, że zdołam się wykręcić zrobieniem całej trójce paru zdjęć, a potem będę wolna.

Tymczasem obserwowałam, jak Carla przyśpiesza kroku i stukając obcasami po bruku, dogania Amerykanów. Poruszała się przy tym tak, jakby doskonale zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie może wyrzucić kołysanie jej bioder i delikatny ruch ramion, ledwie okrytych skąpym kawałkiem jaskrawożółtego materiału. Przez chwilę nawet pożałowałam, że nie usłyszę, jaką taktykę obrała. Jednakże i tym razem Carla mnie zadziwiła. Kiedy bowiem już się z nimi zrównała, minęła ich jakby nigdy nic, nie poświęcając im nawet przelotnego spojrzenia. Na ten widok wyrwało mi się z piersi westchnienie ulgi. Z bliska z pewnością dostrzegła jakiś szczegół — myślałam z przekąsem — taki jak nieświeży oddech albo zimne ręce, co ją odstręczyło. Chwała Bogu: będziemy mogły kontynuować nasze panięskie wakacje...

Sięgnęłam do torebki po widokówki i zaczęłam wypisywać pierwszą. Kiedy gryząc czubek długopisu podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Carla siedzi na pachołku cumowniczym pod koniec mola, na kolanie trzyma coś płaskiego i wykonuje posuwiste ruchy dłonią. Rysuje! — pomyślałam zaskoczona. Przez cały ten czas, który razem spędziłyśmy, ani razu nie widziałam, żeby Carla trzymała w rękę ołówek. Teraz wszakże postanowiła wykorzystać szkicownik jako przynętę. Skuteczną przynętę, gdyż obaj Amerykanie, dostrzegłszy dziewczynę, weszli na molo. Zatrzymali się i przez moment przy-

glądali, jak rysuje, po czym zrobili w jej kierunku parę kroków. Carla oderwała wzrok od szkicownika, udała zdziwioną ich nagłym pojawieniem się, zaraz jednak przywołała na usta uśmiech. Amerykanie podeszli jeszcze bliżej.

Chwilę potem już rozmawiali.

— Helen, popatrz tylko, kogo ci przyprowadziłam. Glen, Caddie, poznajcie moją przyjaciółkę Helen — dokonała prezentacji Carla. — Caddie to przezwisko, wszyscy tak na niego mówią... Nie chce zdradzić, jak ma naprawdę na imię — trajkotała dalej, zasypując mnie gradem informacji o nowych znajomych. — Pochodzą z Pensylwanii, ale od dwóch miesięcy podróżują po Europie, szczęściarze. Zaliczyli już Turcję, a potem wybierają się do Włoch...

Wraz z pojawieniem się całej trójki na stolik padł cień, a wysokie sylwetki zasłoniły mi widok na zatokę i morze. Poczułam narastającą złość. A niech to szlag! — zakląłam w duchu. Naruszono moją prywatność, wmanewrowano mnie w tę sytuację wbrew mojej woli.

— Cześć — przywitałam ich chłodno.

— Hej! — powiedział wyższy.

— Siemasz! — zawtórował mu grubszy.

— Możemy się dosiąść? — Prym wśród tej dwójki najwyraźniej wiódł strzelisty blondyn.

— Szczerze mówiąc... — zaczęłam, ale Carla wpadła mi w słowo.

— Ależ oczywiście, że możecie! — Nie poznawałam Carli w jej nowym wcieleniu. — Prawda, Helen?

— Nooo...

Wziąwszy moje wahanie za zgodę, przystojniak już działał:

— Chwileczkę, tylko skombinuję jeszcze jedno krzesło... Natomiast przysadzisty brunet udawał, że ma skrupuły:

— Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziliśmy... Pozbierałam z blatu widokówki i upchnęłam je w torbie.

Pozostała trójka zabrała się do przesuwania stolików i krzeseł, żebyśmy mogli usiąść razem; skrzywiłam się, kiedy metalowe nogi mebli zazgrzytały na surowym betonie patia. Glen i Caddie zamówili po piwie, Carla także. Ja pozostałam przy *limonadzie*.

— Czy to nie dziwne, że nie wpadliśmy na siebie wcześniej?... — zagaił Caddie, czyli przysadzisty brunet.

Jęknęłam w duchu, na zewnątrz jednak zachowałam kamienny spokój i jakby nigdy nic popijałam swoją *limonadę*. Zresztą nie musiałam nic mówić: Carla uwijała się za nas obie. Rozmowa zaczęła się od sztampowego „W którym hotelu mieszkacie?“, lecz wkrótce rozkręciła się, by przez „Jak długo już tu jesteście?“ i „Jak wam się podoba Yerolimani?“ zakończyć się propozycją przeniesienia się na naszą plażę, gdzie mieliśmy zamówić pizzę i pograć w bilard. Przysłuchiwałam się, od czasu do czasu

wtrącając krótkie zdanie, i moja niechęć powoli topniała. Carla wykazała się rasowym instynktem podrywaczki: obaj Pensylwańczycy byli na luzie, dali się lubić i co najważniejsze, zachowywali się ujmująco grzecznie. A Glen był do tego nieprzyzwoicie przystojny. Jasnowłosy, błękitnooki, o zgrabnym symetrycznym nosie oraz wyrazistej szczęce i wydatnych ustach, które to cechy dotychczas częściej widywałam u bohaterów dobrze narysowanych komiksów aniżeli w życiu. Kilka rzutów oka w jego kierunku pozwoliło mi potwierdzić wcześniejsze podejrzenia: w rzeczywistości był szatynem, któremu silne południowe słońce rozjaśniło włosy, nadając im płowy odcień. W ogóle miał w sobie coś z lwa: barczyste ramiona, wąskie biodra i niewiarygodnie długie kończyny porośnięte złotymi włoskami. Mając przed oczyma ten okaz męskości, trudno mi było uwierzyć, że rzucił studia prawnicze (z powodu, którego nie ujawnił) i zatrudnił się w prowadzonej przez rodzinę firmie produkującej wyroby dziane na stanowisku specjalisty do spraw marketingu, o czym nie omieszkał nas poinformować tym swoim akсамитnym głosem. Ani przez chwilę nie wątpiałam, że świetnie sobie radzi w pracy, chociaż sprzedawanie skarpetek niezbyt pasuje do nordyckiego bóstwa. Niestety, Carla wyraźnie dawała do zrozumienia, że bym trzymała ręce przy sobie, toteż nie pozostało mi nic innego, jak doszukać się pozytywnych cech u drugiego z mężczyzn.

Caddie był mniej przystojny, jednakże na wiele sposobów bardziej interesujący. Miał wąską, niemal lisią twarz i podłużne oczy w kolorze gorzkiej czekolady. Biało-niebieski pasiasty t-shirt opinał mu się na potężnych barach i karku, przywodząc na myśl marynarza z filmu o piratach albo przynajmniej kogoś, kto nie obija się na siłowni. W przeciwieństwie do Glena nadal studiował prawo, która to informacja sprawiła, że z łatwością wyobraziłam sobie jego wersję za kilka lat: bezwzględny radca prawny o zwiotczalych mięśniach i okrągłym brzuszku od zbyt wielu służbowych kolacji popijanych budweiserem.

Obu mężczyzn łączyła wyraźna zażyłość, jaką mogą się cieszyć długoletni przyjaciele albo dwie osoby, które zjechały razem kawał świata i poznały się na wylot. Z góry zażegnawali groźące chwile napięcia, smagając się ciętymi uwagami i ripostami, co sprawiało, że byli doskonałym towarzystwem także dla mnie i dla Carli. Śmiejąc się i żartując przeszliśmy do naszego hoteliku, gdzie w oczekiwaniu na zamówioną pizzę rozegraliśmy kilka partyjek bilardu. Do czasu kiedy zasiedliśmy do lunchu, moje obawy rozwiały się całkowicie, do tego stopnia, że zrezygnowałam ze zwyczajowej *limonady* na rzecz jednego czy dwóch piw. Nieodmiennie zdumiewała mnie inwencja Carli.

— Jestem piosenkarką — odpowiedziała na pytanie Caddiego, czym się zajmujemy.

Uniosłam lekko brwi.

— Poważnie?! — Glen był pod wrażeniem. — Od samego początku myśleliśmy, że jesteś artystką, ale piosenkarka... No, no — pokręcił głową.

— Rysuję, kiedy tylko znajdę wolną chwilę — ciągnęła Carla, postawiwszy sobie za cel olśnić go — i nawet wystawiłam kilka grafik w tej czy innej galerii, ale z zawodu jestem piosenkarką — po-

wiodła po nas wzrokiem. — Głównie jazzową, bo choć mam klasyczne przygotowanie, mój głos najbardziej nadaje się właśnie do jazzu... W przyszłym roku ukaże się moja pierwsza płyta.

— To znaczy, że śpiewasz w klubach? — zapytał Caddie.

— Jasne. Wszędzie tam, gdzie mi zapłacą za występ. Brałam udział w musicalach, reklamach telewizyjnych... Tylko w ten sposób można zdobyć doświadczenie, niezbędne, jeśli chce się zrobić prawdziwą karierę. Wielu ludzi sądzi, że to wyłącznie kwestia dobrego głosu, talentu, ale mało kto zdaje sobie sprawę, ile wysiłku i prób wymaga wyciągnięcie jednej nutki. Do tego show-biznes to istna dżungla. Cieszę się, że udało mi się zająć tak daleko...

— To wspaniale! — Glen wprost pożerał ją oczami.

— Musisz dla nas koniecznie zaśpiewać! — Caddie także dał się ponieść emocjom.

Ja również nie oparłam się pokusie.

— Och tak, Carla, koniecznie! Jeszcze nigdy nie słyszałam, jak śpiewasz... — wyszczebiałam słodkim głosem. Spodziewałam się, że to ją zezłości albo przynajmniej ściągnie na ziemię, jednakże zamiast się wystraszyć, że jej kłamstwo wyjdzie na jaw, zaczęła się krygować.

— No, nie wiem... Skoro nalegacie, mogę dać potem mały koncert — mówiąc to, wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

Uważaj, Carla — ostrzegłam ją w duchu — bo będziesz musiała to piwo wypić...

— A ty, Helen? — Caddie nagle zainteresował się mną.

— Prawie nic o sobie nie mówisz.

Siedział obok mnie; Carla już się o to postarała, żebyśmy wylądowali po jednej stronie stołu, podczas gdy ona i Glen po drugiej. W pewnym momencie Caddie przysunął się bliżej mnie, dotykaliśmy się ramionami i od czasu do czasu jego udo przylegało do mojego, jednakże było to niczym w porównaniu z tym, co działo się naprzeciwko, głównie za sprawą Carli, choć gwoli uczciwości muszę stwierdzić, że Glenowi jej atencje wcale nie przeszkadzały. Ani, jeśli już o tym mowa, Caddie nie wydawał się rozczarowany brakiem zainteresowania z mojej strony.

Glen rzucił mi przeciągłe spojrzenie. Zauważyłam już wcześniej, że rzadko mruga oczyma, co w połączeniu z ich przejrzystością i niebieskością sprawiało naprawdę hipnotyczne wrażenie.

— Właśnie — powiedział, uśmiechając się leniwie. — Opowiedz nam o sobie, Helen.

— O sobie? — powtórzyłam tępo.

Teraz patrzyli na mnie już wszyscy troje. Glen i Caddie z zainteresowaniem co najwyżej o jeden stopień większym niż grzecznościowe, Carla zaś z wyraźnym napięciem. Nie podobało się jej, że Glen zwrócił się bezpośrednio do mnie, kiedy palcami muskała jego złociste włoski w rozcięciu koszulki, pod pretekstem obejrzenia łańcuszka, który nosił zawieszony na szyi. Zawahałam się. Twierdząc, że jest śpiewaczką, Carla kontynuowała naszą grę w kłamstwa i niedomówienia, ja wszakże miałam po dziurki w nosie tej zabawy; zmęczyło mnie osiem dni nieustannego zmyślania. Glen i Caddie wydali

mi się prostoduszni i nie wyobrażałam sobie, by zaaprobowali wzajemne oszukiwanie się, nawet gdyby im wytłumaczyć, dlaczego obie z Carłą na nie pierwotnie przystaliśmy. Chciałam być z nimi szczerą. Poza tym tęskniłam do prawdziwej Helen North, która przypadkiem znalazła się w greckiej knajpce przy stoliku z kobietą, poznaną zaledwie parę dni temu, i dwójką mężczyzn, zupełnie jej obcych. Nadszedł moment, kiedy mogłam opowiedzieć im o swoim życiu i osiągnięciach, pracy i przyjaciółach, pasjach i domu, a także o rozrzuconej po całym świecie dziwacznej rodzinie.

Mogłam, lecz nie uczyniłam tego. Teraz myślę, że gdybym postawiła na szczerą, wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej. Sądzę także, iż powodem, dla którego zdecydowałam się ciągnąć grę w udawanie, była desperacja Carli przebijająca spod jej pozornej wesołości. Przyglądała mi się w oczekiwaniu na odpowiedź z wyrazem napięcia na twarzy, w którym nagle dostrzegłam panikę. Ona się boi, że okażę się bardziej od niej interesująca — pomyślałam. Z pewnością tak by się właśnie stało, gdybym powiedziała prawdę o sobie, gdybym jednostronnie zmieniła naszą umowę. Popsułam to, co z takim mozolem od wielu dni, a ostatnio od kilku godzin aranżowałam. W końcu to jej pomysł, jej zabawa, to ona wszystko ryzykuje, nie ja. Z jakiegoś powodu Carli zależało, by zabawa się udała. Cóż miałam do stracenia?

— O sobie? — powtórzyłam raz jeszcze, wzruszając ramionami i odsuwając talerz. — Uwiercie mi, nie chcecie tego słuchać. Jestem nudna jak flaki z olejem.

— Niemożliwe! — Caddie po dżentelmeńsku zaprzeczył.

— Wciąż jeszcze jestem niezapisaną kartą... Carla nie wytrzymała.

— Niezapisana karta? — prychnęła. — Też coś!

Glen wyglądał na zaintrygowanego.

— No to pozwól nam zgadywać. Moim zdaniem jesteś lekarką albo nauczycielką, albo robisz coś równie interesującego...

Zarumieniłam się na te dociekania, ale Carla wybawiła mnie z opresji.

— Tylko nie zgadywanki, bardzo was proszę! Przyjmijcie wreszcie do wiadomości, że niektórzy ludzie rodzą się nudni i tacy umierają... Helen w życiu nie zrobiła nic godnego uwagi.

Rzuciłam jej szybkie spojrzenie. Znałyśmy się wystarczająco długo, bym potrafiła się zorientować w jej prawdziwych uczuciach, zarówno po głosie, jak i po oczach. Tym razem za niewinną uwagą kryło się coś więcej: jad, nienawiść...

— Czyżby? — powątpiewał Glen, patrząc wprost na mnie. Skinęłam głową. — Kto by pomyślał...

Carla wykorzystała chwilę ciszy i szybko zmieniła temat. Nikt później już nie podjął urwanego wątku. Glen i Caddie popatrywali na mnie, myśląc, że tego nie dostrzegam, ale widać uznali, że zależy mi na prywatności, i nie nalegali. Najśmieszniejsze, że był to ostatni dzień mego życia, kiedy nie miałam nic, ale to zupełnie nic do ukrycia.

Tysiące razy przypominałam sobie wydarzenia tamtego dnia. Niektóre z nich bezskutecznie — przyblakły bądź nigdy nie wryły mi się wystarczająco w pamięć; inne z nazbyt wielką łatwością. Jak dziś pamiętam wyraz twarzy Caddiego, kiedy obserwował Carłę, nachyloną nad stołem bilardowym, w głowie wciąż odbijają mi się echem urywki prowadzonych przez nas rozmów... Jestem pewna, że w którymś momencie wyjrzałam z miłego chłodu knajpki na rozświetloną słońcem plażę i dostrzegłam tam przyglądającego się nam zezowatego donzuana. Śmiech z niewybrednego żartu Glena zamarł mi na ustach, gdy dziwne, niepokojące oczy młodego Greka zwróciły się na mnie; jego i tak mało atrakcyjna twarz stawała się jeszcze brzydsza, gdy obok pożądana gościła na niej pogarda. Odwróciłam się, próbując zapomnieć o tym widoku i jego obecności w pobliżu.

Graliśmy w bilard i piliśmy piwo. Barman na przemian wkładał do magnetofonu kasety z ubiegłorocznymi hitami z Ameryki i europejskimi złotymi przebojami lat sześćdziesiątych. Nad naszymi głowami leniwie wirował wentylator. W końcu, zmęczeni, rozsiedliśmy się wygodnie, gawędziliśmy i żartowali.

Z trudem przychodziło mi ocenić wiek, w jakim byli nasi towarzysze. Z początku dawałam im dwadzieścia parę lat, ale kilka mimochodem rzuconych przez nich zdań sugerowało, że są znacznie starsi; na przykład kiedy Glen mówił o poprzedniej wycieczce do Europy, powiedział:

— Razem z żoną zwiedziliśmy wtedy Paryż i Rzym.

— Jesteś żonaty? — spytała natychmiast Carla.

— Byłem — odparł Glen. — Teraz pozostają mi cotygodniowe wizyty; to znaczy, staram się jak najczęściej widywać z synkiem, ale włączenie się po świecie wcale mi w tym nie pomaga... Żałuję, że przez tyle tygodni ani razu nie zobaczę się z Glenem Juniorem. — Cokolwiek Glen mówił, nawet ta ostatnia rewelacja dotycząca jego stanu cywilnego i ojcostwa, zakomunikowane było leniwym aksamitnym głosem, z rodzaju tych, które potrafią zneutralizować nawet najstraszniejszą tragedię. I zawsze starał się rozładować ewentualne napięcie, rzucając coś w stylu: — Panno North, z przykrością muszę panią zawiadomić, że dziesięć minut temu rozpoczęła się trzecia wojna światowa i pozostało nam najwyżej pięć minut życia. Pozwoli sobie pani postawić jeszcze jedno piwo?

Po jeszcze jednym przyszło kolejne, i następne, toteż wkrótce popadłam w lekko pijackie zamyślenie, z którego wyrwał mnie głos Carli, a raczej jej słowa.

— Ja mam troje — oznajmiła.

— Mężów? — spytałam nie całkiem przytomnie.

— Dzieci, głupia — popatrzyła na mnie z politowaniem i na wszelki wypadek uściśliła: — Jednego męża i troje dzieci. — Rzuciła Glenowi szybkie spojrzenie i już łagodniejszym tonem dodała: — Jeśli mam być szczerą, ten urlop to taka mała wycieczka-ucieczka... — i widząc nasze pytające spojrzenia, wyjaśniła: — Jestem matką i żoną na wagarach.

— Poważnie? — Glen wydawał się zaskoczony.

— Ale was nabrałam — zachichotała w odpowiedzi. — Żartuję przecież... Uwielbiam dzieci, ale na razie nie mam ani jednego. W przyszłości chciałabym mieć co najmniej szóstkę.

Oho — pomyślałam i ziewnęłam — słuchajcie państwo! Zaczynałam się nudzić, głowa mi ciążyła od nadmiaru wypitego alkoholu. Wstałam, mówiąc:

— Idę popływać.

— Świetny pomysł! — wykrzyknęli unisono nasi partnerzy.

— Może być... — Carla udawała entuzjazm, ale mimo chmielowej mgiełki zauważyłam, że jest zła; dotychczas zawsze ona ustalała program dnia.

Wyszliśmy z knajpki pierwsze, gdyż panowie zamarudzili w toalecie. Carla złapała mnie pod ramię i zadała nurtujące ją od dłuższej chwili pytanie.

— Co cię, do diabła, ugryzło?

— Słucham?

— Może byś się tak przestała popisywać, co? — kontynuowała atak.

— O co ci chodzi, Carla? — nie wytrzymałam i odsunęłam się od niej.

— Dobrze wiesz o co. Niezapisana karta — wysyczała — też coś! Może ci się wydaje, że jesteś tajemnicza jak Mona Liza, co?

— No wiesz! — nie wierzyłam własnym uszom. — To ja męczę się z wami przez całe popołudnie, bo tobie się zachciało wyrwać faceta, i tak mi się odwdzięczasz? Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie wziąć obu. Ja idę popływać, a potem...

Nie dała mi skończyć.

— O nie! Nie ma mowy — wpatrywała się we mnie, jakby szukając najczulszego miejsca, w które mogłaby uderzyć. Nagle wyraz jej twarzy zupełnie się zmienił, rysy złagodniały, a na usta wypłynął promienny uśmiech, jakim obdarzyłaby mnie serdeczna przyjaciółka.

W tym samym momencie poczułam silne męskie ramię obejmujące mnie w pasie. Carla uśmiechała się do Glena, nie do mnie.

— Zagramy w siatkówkę? — zapytał. Zgrabnym ruchem wywinełam się z jego uścisku.

— Wolałabym raczej porządnie popływać — próbowałam oponować.

— Helen, nie daj się prosić! — Głos Carli także uległ zmianie, zamiast kropelek jadu czułam w nim śmiertelną słodycz. — Nie psuj nam zabawy przez swoje fochy! Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli z nami zagrasz.

— Właśnie — poparł ją Caddie. — Potrzebujemy czwórki, jak do brydża.

— A popływać możemy potem. — Glen jak zwykle chciał załagodzić sytuację.

— No, nie wiem... — ogarniało mnie przecucie, że jakkolwiek decyzję bym podjęła, zostanie jej przypisane dodatkowe znaczenie, przynajmniej przez Carlę. Nie miałam pojęcia, dlaczego zach-

wuje się jak przewrażliwiona panienka, przecież jak na razie wszystko szło zgodnie z planem, jej planem. Byłam na nią zła, lecz nie na tyle, by ryzykować niepotrzebną kłótnię; do końca urlopu pozostały dwie noce i jeden dzień i miałam nadzieję, że upłyną bez nieprzyjemnej konfrontacji.

Próbując później analizować swoje emocje, doszłam do wniosku, że dałam wtedy za wygraną, gdyż Carla pod maską pewności siebie skrywała zwykły strach. Być może obawiała się, że jej zabiegi zdadzą się psu na budę bez mojej pomocy. Zrobiło mi się jej zwyczajnie żal — choć Bogiem a prawdą nie było po temu powodu! — i uległam.

Machnęłam więc ręką i zamiast pójść popływać, zostałam z nimi na płyciźnie, lecz skłamałabym mówiąc, że dokazywanie w miłym towarzystwie nie sprawiło mi przyjemności. Robiłam jednak wszystko, by przyciągnąć uwagę Caddiego, Glena zostawiając w całości dla Carli, choć nie było to łatwe zadanie: równocześnie musiałam bowiem zadowolić jej zaborczość i nie urazić sympatycznego w gruncie rzeczy chłopaka. To balansowanie mnie wyczerpało i sprawiło, że coraz mniej lubiłam Carle.

Kiedy już wszyscy mieliśmy dość siatkówki, figli i gambad — nawet Carla, co skonstatowałam z zadowoleniem — pod byle pretekstem zostałam w wodzie i podczas gdy tamci wychodzili na brzeg, ja dałam nurka i przepłynęłam tyle, ile tylko zdołałam bez wynurzania się, kierując się w stronę otwartego morza. Na wypadek gdyby Carla miała coś przeciwko, nie zaproponowałam Glenowi ani Caddiemu, by mi towarzyszyli. Złościło mnie wszakże, iż pofolgowanie własnej zachciance, by jeszcze raz popływać w uroczej zatoczce, wymagało zastosowania fortelu. Wypłynąwszy w końcu na powierzchnię, przewróciłam się na plecy i pozwoliłam wodzie unosić. W mocno zasolonym Morzu Śródziemnym można tak dryfować godzinami, dałam się więc znosić prądowi, spod przymkniętych powiek obserwując promienie słoneczne wydostające się zza wzgórz położonych w głębi wyspy. Po dłuższym czasie skierowałam się do brzegu, a wychodząc z wody czułam, jak spływają ze mnie słone strużki i cała wcześniejsza złość.

Siedzieli w trójkę pod „naszym” parasolem. Z jednej strony Carli widziałam płową grzywę Glena, z drugiej — jeszcze bliżej — ciemną plamę włosów Caddiego. Powinna być zadowolona — pomyślałam.

— Helen! — zakrzyknął na mój widok Caddie. — Gdzieżeś się podziewała?

— Pływałam — odparłam krótko.

— Musiałaś wypłynąć na pełne morze — trudno było mi wyczuć, czy Glen żartował czy mówił poważnie. — Stąd nie było cię w ogóle widać. Martwiliśmy się o ciebie...

— Niepotrzebnie — wzruszyłam ramionami, nie chcąc znów przyciągać uwagi.

— To samo i ja im mówiłam — oznajmiła radośnie Carla.

Nabrała garść piasku i powoli wypuszczała go z zamkniętej dłoni na brzuch Glena, który leżał wyciągnięty obok niej, lekko podpierając się na łokciach. Kiedy część ziarenek wpadła mu do pępka, strzepnął je niecierpliwym gestem. Carla zacisnęła usta w wąską kreskę.

— Bardzo się cieszymy, że wróciłaś cała i zdrowa — mrugnął do mnie Glen.

— Och, dzięki — odpowiedziałam zwracając się do Caddiego, który przypatrywał mi się uważnie.

— Może zrobię wam zdjęcie? — zaproponowałam. — Wyglądacie jak zadowoleni urlopowicze z katalogu biura podróży.

Chyba sama opatrność mnie natchnęła; Carla natychmiast się rozpromieniła i zaczęła pozować. Przytulając się to do jednego, to do drugiego opalonego na złoty brąz chłopaka, wydawała się naprawdę szczęśliwa. Kiedy pstryknęłam ostatnie zdjęcie, odezwała się:

— Jak ty sobie pływałaś, my układaliśmy plany na dzisiejszą noc. W Yerolimani będzie wieczór tańców greckich. Moglibyśmy tam pójść, w czwórkę, i się zabawić.

Wszelka nadzieja mnie opuściła. W pierwszym tygodniu pobytu zaliczyłyśmy greckie tańce w „Tawernie Ianniego” i rzeczywiście nie najgorzej się bawiłyśmy, choć ani przez chwilę nie wątpiłam, że najlepiej bawił się Ianni, patrząc, jak karnie ustawieni turyści podrygują w rytm skocznej muzyki i za wszelką cenę chcą naśladować samego Zorbę. Jeśli dodać do tego skomplikowane układy, jakie przewidziała dla naszej czwórki Carla, wieczór nie zapowiadał się obiecująco.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę... — zaczęłam z wahaniem.

— Helen, nie psuj nam zabawy — poprosił Caddie. — Musisz z nami pójść.

— Tak — poparł go Glen. — Bez ciebie to nie będzie to samo.

— Czy ja wiem... — wciąż nie byłam przekonana.

— Ależ oczywiście, że z nami pójdziesz — ucięła dyskusję Carla. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałabym już trupem.

— Cóż innego masz do roboty? Chyba że wolałabyś poczytać książkę?...

Znów się spięłam; cała relaksacja w wodzie na darmo — pomyślałam. Tak naprawdę nie miałam nic przeciwko greckim tańcom ani towarzystwu Glena i Caddiego, byłam pewna, że nie będę się nudzić, denerwowało mnie jednak co innego, to mianowicie, że stałam się pionkiem w misternej grze Carli. Cokolwiek bym powiedziała, jakkolwiek decyzję bym podjęła, zawsze istniało ryzyko, że Carli się to nie spodoba... Poczułam się złapana w pułapkę. Pełna żalu i złości, lecz mimo to usidlona.

Caddie uśmiechał się do mnie, Carla wpatrywała z napięciem. Wzroku Glena unikałam jak mogłam.

— No dobrze — powiedziałam w końcu. — Pójdę z wami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Glen jest mój — oznajmiła Carla.

— Nie ma sprawy.

— Pod warunkiem że się dobrze rozumiemy.

— Wyraziłaś się całkowicie jasno, Carla.

— O co ci znowu chodzi?!

— Och, o nic, na litość boską...

— Doprawdy, Helen, czasami straszna z ciebie zołza — rzuciła Carla w drzwiach łazienki, chcąc mieć ostatnie słowo.

Przez długi czas słyszałam tylko szum wody, z nudów podeszłam więc do okna i obserwowałam zachód słońca. Czerwonawa kula skryła się powoli za wzgórze „Odyńca”. Pomyślałam, że gdzieś tam, nieco dalej w głębi lądu, Glen i Caddie także biorą prysznic i popijając piwo snują plany na nadchodzący wieczór. Wcześniej powiedzieli nam, że mają wynajęty dwupokojowy domek, który ochrzcili oborą — nie pamiętałam już, czy z powodu przestronności czy też pozostałości po poprzednich najemcach. Przyglądając się feerii barw na nieboskłonie, co najmniej dziesięć razy podejmowałam decyzję, że wykręcę się bólem głowy, i tyleż samo razy dochodziłam do wniosku, że takie posunięcie przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Poza tym miałam ochotę potaćzyć z Caddiem, podczas gdy ani trochę nie uśmiechała mi się następna pyskówka z Carlą. Chociaż z drugiej strony...

— Chyba jednak spasuję — powiedziałam pojednawczym tonem do Carli, kiedy wyłoniła się wreszcie z łazienki, otoczona obłokiem pary wodnej i zapachem mydła. Na głowie miała zakrecony turban, a jej pozbawiona makijażu twarz wydawała się starsza, czyniąc całą jej osobę delikatniejszą.

Przygwoździła mnie spojrzeniem.

— Helen, proszę cię... Bez ciebie to nie będzie to samo... Przepraszam, że zachowałam się jak głupia krowa, sama nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zawsze się wszystkim za bardzo przejmuję...

— Przejmujesz? — powtórzyłam za nią, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

Skinęła głową i ułożyła wargi w coś na kształt uśmiechu, dając mi do zrozumienia, że jest jej naprawdę przykro i że gotowa jest pójść na ustępstwa. Widząc mój brak reakcji, wzruszyła lekko ramionami i usiadła po swojej stronie łóżka, odwracając się do mnie plecami.

— Wiesz, to co powiedziałam dziś po południu, to szczerą prawdą — odezwała się niewyraźnie, z głową nachyloną nad torbą.

— To, że jesteś piosenkarką?

— Raczej ta część o byciu żoną i matką.

— Do licha, Carla! Nie zaczynaj od nowa! Pójdę z wami i zrobię co w mojej mocy, żebyś ty i Glen... no, wiesz. Ale mam serdecznie dosyć twoich kłamstw.

— Ale to nie są kłamstwa — zapewniła mnie, wyciągając coś z paszportu. — Popatrz — pokazała mi zdjęcie, nieco większe od widokówki, na którym widniała ona w towarzystwie mężczyzny i trojga dzieci.

Klapnęłam na łóżko, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

— Nabierasz mnie — wydukałam w końcu.

— Ależ skąd! Mówię prawdę, przysięgam — zniżyła głos do szeptu, jakby wyjawiała mi tajemnicę.

Wzięłam od niej zdjęcie i przyjrzałam mu się uważnie. Pięcioro ludzi na brzegu jakiegoś zbiornika wodnego. Uznałam, że to jezioro, a nie morze, gdyż pomimo rozległej, ciągnącej się po horyzont tafli wody na drugim brzegu majaczył zarys drzew. Zdjęcie zrobione było w ten sposób, że najpierw uwagę przykuwał mężczyzna, siedzący centralnie, a dopiero potem wzrok padał na otaczającą go grupkę: Carlę i dzieci. Uśmiech zdobił twarz Carli i najmłodszego dziecka, pozostali wpatrywali się z powagą w obiektyw. W tej scenie było coś dziwnego, ale nie zaprzętałam sobie głowy precyzowaniem co to takiego, gdyż znacznie bardziej nurtowały mnie implikacje tego, co przed chwilą wyznała mi Carla.

Mężczyzna z fotografii, według słów Carli jej mąż, był ponuro wyglądającym czterdziestolatkiem o zwichrzonych ciemnych włosach, zaciętych rysach twarzy i zadziwiająco jasnych, bystrych oczach. I naturalnie ładnych ustach. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie naszą rozmowę sprzed kilku dni; najwyraźniej było prawdą to, że najbardziej w facetach pociągały Carlę ładnie wycięte usta. Dwójka starszych dzieci była równie ciemnowłosa jak rodzice i prawie tak samo poważna jak ich ojciec, lecz najmłodsza, cztero- najwyżej pięcioletnia dziewczynka miała na główce masę loków blond, dzięki czemu przywodziła na myśl cherubinka. Robiąc zdjęcie osobę obdarzyła wyszczerbionym uśmiechem, a w roześmianych oczach błyskały jej figlarne ogniki; mała była urodzoną aktorką, zupełnie jak jej mama.

— Jak ma na imię? — Postukałam paznokciem w fotografię. Carla wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, o kogo pytam.

— Vi — odpowiedziała.

Wskazując najstarszą dziewczynkę, mniej więcej dwunastolatkę, strzeliłam:

— A to pewnie Lily? — Carla przytaknęła. — Czyli to będzie Rowan — domyśliłam się już bez trudu.

— Śmieszne imiona, prawda?

— Bardzo ładne imiona — poprawiłam ją. Wciąż stapałam po niepewnym gruncie, bałam się powiedzieć coś, co mogłoby ją spłoszyć. — A to w takim razie jest... — zawiesiłam głos, patrząc na usadowionego w samym środku człowieka, na którego kolanach niczym żywe srebro tkwiła malutka Vi.

— Daniel — cichym głosem dokończyła za mnie Carla.

Zatem to jest Daniel — pomyślałam. — Ten od kolczyków w kształcie ptaszków, namiętny surfer z Bondi Beach. Wystarczył jeden rzut oka na poważną twarz mężczyzny, by z łatwością przejrzeć wcześniejsze łgarstwa Carli, a przynajmniej odróżnić ziarno od plew.

— Dlaczego od nich uciekłaś? — spytałam, oddając jej zdjęcie.

Carla nie wyciągnęła nawet ręki, toteż delikatnie położyłam fotografię na jej stronie łóżka.

— Nie uciekłam, nie tak naprawdę — sprostowała. — To by było za dużo powiedziane. Po prostu potrzebowałam побыć sama, przemyśleć parę spraw... — wstała raptownie, w jej głosie zaczęła pobrzmiwać niecierpliwość. — Rany, Helen, nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy musisz być dla innych ludzi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Powoli zaczynałam się od tego dusić... — zawahała się. — Nie, to było jeszcze gorsze: ja powoli wariowałam, przestawałam wiedzieć, kim naprawdę jestem...

— Masz zamiar do nich wrócić?

— Chyba tak... Jasne, że tak! Poza tym jaki mam wybór?...

— A co z dziećmi? — Carla popatrzyła na mnie pustym wzrokiem. — Nie tęsknisz za nimi?

— Nie bardzo... No, może trochę...

— Ale przecież nie możesz ich tak po prostu zostawić! — górę wzięły nade mną emocje. — To by je zniszczyło!...

Zaśmiała się gorzko.

— Ich nic nie zniszczy! Poza tym nie znaczę dla nich więcej niż opiekunka, tyle że darmowa. Och, oczywiście, że Vi potrafi być słodziutka, zwłaszcza wtedy, gdy jej na czymś zależy, ale pozostała dwójka traktuje mnie jak popychadło.

— Niemniej...

— Cóż, Helen, czy ci się to podoba, czy nie, jako matka się nie sprawdziłam.

Byłam coraz bardziej skonfundowana. Ostatnie słowa zabrzmiały tak, jakby Carla nie widziała przed sobą żadnych perspektyw, jakby się pogodziła z tym, że zawiodła jako matka; w jej tonie nie było krztyny uzalania się nad sobą bądź oschłości, które łatwiej bym zrozumiała.

— Ależ na pewno się mylisz!...

— Może, niemniej ta trójka uważa, że jestem do bani.

Wzdrygnęłam się myśląc, że w ten sposób nie mówi się o własnej rodzinie.

— To Lily sprawia najwięcej kłopotów, prawda? — zaryzykowałam następne pytanie.

— Niezły z niej gagatek! — wybuchnęła Carla, lecz zaraz się zmiętygowała: — Ale to nie jej wina; wiele przeszła przez ostatnie lata i nic dziwnego, że od czasu do czasu pokazuje różki...

Z doświadczenia wiedziałam, że nie ma sensu pytać Carli, przez co takiego przeszła ostatnimi czasy Lily, toteż rzuciłam tylko niezobowiązującą uwagę:

— Wygląda na bardzo inteligentną dziewczynkę.

— Wdała się w ojca... Na szczęście wszyscy się w niego wdali.

Carla znów odwróciła się do mnie plecami i lekko nachyliwszy do przodu, zaczęła rozsmarowywać mleczko nawilżające na łydkach. Korzystając z okazji, raz jeszcze rzuciłam okiem na fotografię i natychmiast zauważyłam, co jest w niej niepokojącego. Daniel trzymał na kolanach Vi, którą obejmował w pasie, zapobiegając jej upadkowi w stronę fotografa, do którego się wdziała. Drugą ręką przytulał chłopca, który lekko pochylił się ku ojcu. Lily-złoźnica, co nietrudno było wykoncypować na podstawie wyrazu jej twarzy, obejmowała ojca za szyję, równocześnie przytulając się doń policzkiem. Carla stała po drugiej stronie z dłonią na ramieniu męża, co sprawiało wrażenie, jakby ona i Lily walczyły o prawo własności do rozpartego po królewsku mężczyzny. Pomiedzy Carlą a trójką dzieci nie było nawet odrobiny kontaktu fizycznego.

Wiedziałam, że to tylko fotka; chwilę później wszystko mogło ulec zmianie — Carla mogła zasiać na fotelu, dzieci mogły się wokół niej tłoczyć, wyrzucając poza nawias rodzinnej sceny Daniela. Jednakże to co wcześniej od Carli usłyszałam, utwierdziło mnie w przekonaniu, że ta uwieczniona na celuloidzie choreografia nie była przypadkowa, ba, że kryło się za nią posępne znaczenie.

— A Daniel? — zapytałam, wciąż przyglądając mu się na zdjęciu.

Niewątpliwie był atrakcyjnym mężczyzną, ale po sposobie, w jaki patrzył w obiektyw, zorientowałam się, że nie brak mu arogancji; prawdopodobnie był typem człowieka, który nie widział dalej niż czubek własnego nosa, a to już nie było ani trochę atrakcyjne. Do tego nie grzeszył delikatnością i empatią, co poznałam po tym, że zagarnął wszystkie dzieci wokół siebie, pozostawiając Carlę samą sobie. Głęboka bruzda na czole wskazywała, że ogarnęła go niecierpliwość, może nawet złość na osobę trzymającą aparat. W pewnym sensie przypominał Lily — z pewnością nie był łatwy w pożyciu.

— Co: Daniel? — Carla nadal pracowicie wcierała kosmetyk, tym razem w ramiona.

W dalszym ciągu na mnie nie patrzyła.

— Zastanawiam się, dlaczego uciekłaś od niego?

— Och, on jest do tego przyzwyczajony...

— Czyżby?

— Tak — potwierdziła. — Ale do cholery, to nie jest tak, jak myślisz. — Odwróciła się gwałtownie, uklękła na łóżku, podniosła zdjęcie, przyjrzała mu się przez ułamek sekundy, po czym odłożyła je z powrotem, białą stroną do góry. — To naprawdę niełatwo wyjaśnić, poza tym i tak byś nie zrozumiała... — wzruszyła ramionami. — Widzisz, on wiedział, że potrzebuję ucieczki, i był jak najbardziej za. Daniel i ja uwielbiamy się nawzajem... zawsze tak było, od samego początku... ale czasem zaczynamy się we własnym towarzystwie dusić... Brakuje mi powietrza, wydaje mi się, że wariuję...

— Tak, już to mówiłaś — wtrąciłam.

— Chodzi ci o Glena, prawda? — zmieniła nagle temat Carla. — Zapewniam cię, że nie ma czym się martwić; Glen się nie liczy, ważne jest co innego. Chociaż przez kilka dni chciałam przypomnieć sobie, jak to jest być nieodpowiedzialną egoistką i robić tylko to, na co się ma ochotę... Bogiem a prawdą większość ludzi postępuje tak przez całe życie, dlaczego ja miałabym odmawiać sobie drobnej przyjemności od czasu do czasu? To byłoby niesprawiedliwe. Z jakiej racji mam robić za kopcuszką, któremu nikt nie powie „dziękuję”? Miałam wszystkiego powyżej uszu, zrobiłam to, co zrobiłam, i guzik mnie obchodzi, że tego nie pochwalasz. Pilnuj lepiej własnego nosa, Helen. Jesteś ostatnią osobą, której powinnam się tłumaczyć. Nic ci do tego, co robię ze swoim życiem! — w jej głosie zaczęły pobrzmiwać nutki hysterii.

— Dobrze, już dobrze, Carla — przerwałam jej, nim zdenerwowała się jeszcze bardziej. — Masz stuprocentową rację: twoje życie to nie moja sprawa... Ojej, popatrz tylko która godzina! Ubierajmy się i chodźmy na te tańce. Umówiliśmy się, że będą na nas czekać w Yerolimani o wpół do dziewiątej.

— Jasne — poderwała się na równe nogi, okrążyła łóżko i zarzuciła mi ramiona na szyję. — Dziękuję, Helen. Zawsze wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć... Ale nie powiesz nic Glenowi? — dała niespokojnie.

— Oczywiście, że nie!

— I nie będziesz próbowała...

— Nie martw się, Glen jest twój.

— Dzięki — uśmiechnęła się promiennie, wcześniejsze zdenerwowanie poszło w niepamięć. — Caddie też jest niczego sobie...

— Mogę odwracać jego uwagę od ciebie, ale to wszystko, co planuję na dzisiejszy wieczór — powiedziałam.

Carla zachichotała. Złapała zdjęcie i nie poświęciwszy mu cienia uwagi, schowała głęboko do torebki.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz go nawet wywabić na głębinę i utopić...

— Mam szczerą nadzieję, że tak drastyczne kroki nie będą potrzebne.

Znów się przekomarzałyśmy jak kiedyś; wszystko wróciło do normy, no, może jeszcze niezupełnie, ale obie byłyśmy gotowe nad tym popracować. Tymczasem naszą uwagę zaprzętnęły bezpieczniejsze tematy: ciuchy i makijaż. Dla świętego spokoju dałam się Carli namówić na pociągnięcie powiek jej odblaskowoniebieską kredką do oczu i zrezygnowałam z włożenia białej bawełnianej sukienki na rzecz poważniejszej, granatowej, gdyż Carla wybrała białą spódniczkę i połyskliwy różowy top, poza tym nie chciałam, byśmy się prezentowały jak aktorki reklamujące dziecinne mydło. Carla jak zwykle wzięła sandaalki na niebotycznie wysokich obcasach, ja tradycyjnie wygodne klapki, w których z pewnością miałam mniejsze szanse przewrócić się w samym środku skomplikowanego śródziemno-

morskiego hołubca, a tym samym większe, by uniknąć totalnego upokorzenia w oczach Ianniego czy kto tam będzie gospodarzem wieczoru.

Wszakże rozprawiając z nią o głupstwach i doradzając, w jakiej fryzurze wygląda lepiej, cały czas czułam wewnętrzny niepokój. Zgoda, miała rację mówiąc, że jej życie prywatne to nie moja sprawa, nic jednak nie mogłam poradzić na to, że gnębił mnie sposób, w jaki wyrażała się o własnych dzieciach, a także i to, że jest mężatką od — lekko licząc — dwunastu lat. Wyczuwałam dysonans pomiędzy prawdą o niej a naszymi rozmowami o wymarzonym domu (posiadłość na wsi czy apartament w mieście?), partnerze doskonałym (obojętny przystojniak czy nieprzystojny nudziarz?), metodach wychowywania dzieci (poświęcić karierę dla dzieci czy dzieci dla kariery?), gdyż były to tematy, jakie w panińskich rozmowach poruszają młode kobiety, nie zaś mężatki z kilkunastoletnim stażem i trójką jak najprawdziwszych dzieci na karku. Nieprzyjemna była świadomość, że w pewnym sensie zostałam wystawiona; podczas gdy ja opowiadałam o swoich fantazjach, Carla bawiła się moim kosztem i oszukiwała udając, że podobnie jak ja nie ma żadnych doświadczeń.

Teraz dopadła nas nieuchronna rzeczywistość — i nie było to miłe uczucie. Mój kłopot polegał na tym, że Carla powiedziała mi wystarczająco dużo, bym zobaczyła ją w innym świetle, zbyt mało jednak, abym zdołała ją do końca rozgryźć.

Co miała na myśli mówiąc, że Daniel jest przyzwyczajony do jej ucieczek? Czyżby raz na jakiś czas zostawiała jego i dzieci i wyjeżdżała do ciepłych krajów albo chociaż do Walii? Wciąż nie potrafiłam zapomnieć o wstrząsającym przeżyciu, o którym mi opowiedziała w noc zwierzeń — wiedząc, że jest zamężna, nie mogłam się nie zastanawiać, czy doszło do niego przed ślubem czy też po ślubie; być może niefortunna przygoda była jedną z wcześniejszych, nieudanych prób ucieczki od rutyny życia rodzinnego?

Powtarzałam sobie w duchu, że mam zbyt mało informacji, by szermować opiniami o Carli, lecz cóż z tego, skoro całym swoim jestestwem czułam dla niej pogardę... Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że istnieje wiele tak zwanych „otwartych” małżeństw, zarzekających się, że w ich wypadku taka formuła doskonale się sprawdza, w przeciwieństwie do staromodnej wierności, mnie wszakże nigdy to nie przekonywało. I opowieść Carli tylko mnie w tym utwierdziła.

Nie widziałam wszakże powodu, by dać jej poznać, jakie uczucia mną targają w związku z jej osobą. Aby ukryć swą pogardę czy może raczej brak akceptacji, zachowywałam się nienaturalnie wesoło, udawałam większy, niż faktycznie czułam, entuzjazm dla wieczornej eskapady, postanowiwszy sobie, że nie zepsuję przedostatniego dnia na wyspie, co Carli najwyraźniej bardzo odpowiadało. W głębi ducha nie czułam się z tym dobrze; tłumiałam w sobie złość i żal, i coraz większą tęsknotę za Anglią i domem, gdzie czekało na mnie zwykle, prawdziwe życie.

Powinno mi być wiadome, że urlopowa idylla, na której raz pojawiła się skaza, przestaje być idyllą na zawsze.

Słaniając się na nogach, spoceni, ale roześmiani, wróciliśmy do naszego stolika, gdzie zamówiliśmy następną butelkę wina i parę piw.

— Super!

— Fantastyczne!

— Mogłabym przetańczyć całą noc!

— Lecę z nóg! — wydyszałam, opadając na najbliższe krzesło.

Sięgnęłam po stojącą w zasięgu ręki butelkę wody mineralnej i pociągnęłam solidny łyk, udając, że nie zauważam pantomimy mającej na celu przywrócić zaburzony przeze mnie układ przy stole. Carla, która „mogłaby przetańczyć całą noc”, wstrzymywała się z zajęciem miejsca, z natężeniem obserwując stojącego wciąż Glena, który jak na złość także się ociągał. Caddie z kolei zachował się jak rasowy dżentelmen i wysunął dla Carli krzesło. Zawahała się i złapawszy spojrzenie Glena, dyskretnym ruchem głowy wskazała mu miejsce obok siebie. Glen uśmiechnął się do niej szeroko, ale poza tym nie wykonał najlżejszego ruchu. Nawet Carla nie mogła w nieskończoność ignorować wysuniętego dla niej krzesła, toteż usiadła wreszcie, zaborczym gestem kładąc dłoń na sąsiednim, tak by zarezerwować je dla Glena. Jednakże w tym samym czasie Caddie był odwrócony tyłem i zawirowawszy, klapnął na nie, zmuszając Carlę do błyskawicznego odsunięcia ręki. Glen ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami i przysiadł się do mnie. Carla w ostatniej chwili opanowała wybuch złości.

Z trudem powstrzymywałam śmiech, myśląc, że Grecy to mądry naród — w ich tańcach kobiety i mężczyźni stoją w dwóch osobnych rzędach; rozegrana przed chwilą na moich oczach scena była dowodem, że przestarzałe chłopskie zwyczaje miały jednak wiele sensu. Tak naprawdę cieszyłam się, że nie interesuje mnie ani Glen, ani Caddie i że jestem bardziej widzem niż uczestnikiem wydarzeń tego wieczoru.

Podczas gdy Carla i ja przygotowywałyśmy się w naszym pokoju do wyjścia, część czasu poświęcając na rozmowę o jej rodzinie, Glen i Caddie, także u siebie, domyli się i przebrali w spodnie do kolan i świeże, wyprasowane na kant koszule z krótkim rękawem — strój swobodny, a jednak nadający się na wieczór w greckiej tawernie. Chociaż z drugiej strony, równie dobrze mogli zostać w szortach i t-shirtach: Glen wyglądałby zabójczo ubrany nawet w worek po ziemniakach, Caddiemu też nic nie brakowało... Chcąc nie chcąc musiałam przyznać, że Carla wykazała się bezbłędną intuicją wybierając właśnie ich — do tego stopnia bezbłędną, że zaczynałam żałować, iż nie jestem żadnym z nich zainteresowana bardziej niż tylko jako miłym towarzystwem na przedostatni wieczór urlopu.

Naraz Glen uśmiechnął się do mnie lazuroniebieskimi oczyma, równocześnie sięgając do moich pleców. Jego palce dotknęły gołej skóry i w jednej chwili wszystkie króciutkie włoski na karku stanęły mi dęba; zaskoczyła mnie intensywność własnej reakcji. Moment później Glen odsunął rękę.

— Przeklęte komary — powiedział. — Nie mają za grosz szacunku...

— Och, dzięki — wyskrzeczalam nieswoim głosem i natychmiast wzięłam kolejny łyk wody.

Carla rzuciła mi spojrzenie, jakim przyzwoici chrześcijanie obdarzali kobietę upadłą na chwilę przed tym, nim wygnali ją z miasta. Spróbowałam się do niej uśmiechnąć.

— Pewnie chcesz się zamienić na miejsca, Carla. Wiem, że wolisz siedzieć z plecami przy ścianie — rzuciłam.

— Jasne — nim skończyłam mówić, Carla już się poderwała na równe nogi.

Siadając obok Caddiego, powiedziałam:

— Jesteś pewien, że nigdy wcześniej nie próbowałeś greckich tańców? Świetnie sobie radziłeś... Przyjrzał mi się jakoś dziwnie.

— Y-y — pokręcił głową.

W tym samym czasie Carla nadawała do Glena:

— Wprost uwielbiam tańczyć. Dlatego tak dobrze wypadam w musicalach... Śpiew i taniec w jednym, rozumiesz — dodała. — Występowałam już w hiszpańskim i rosyjskim, może powinnam spróbować greckiego...

— Grecki musical? — zdumiałam się. — Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

— I wcale mnie to nie dziwi, Helen. Przy twojej znajomości show-biznesu... — odcięła się kąśliwie.

— Ja występowałam raz w „Oklahomie” — wtrącił Glen.

— Naprawdę? — zainteresowałam się.

— Taa... w ósmej klasie — dodał z figlarnym uśmiechem.

— Ale grałem główną rolę!

— Szkoda, że cię nie widziałam. — Carla natychmiast skorzystała z okazji, żeby mu się przypodobać.

— Mnie w szkole nigdy do niczego nie wybierali... — powiedziałam ze smutkiem.

— Nawet wiem dlaczego — bezlitośnie skomentowała Carla.

— Dziś wieczorem też ci nie szło najlepiej.

Och, ty flądrowo — pomyślałam sobie — zobaczymy, czy się jeszcze kiedyś zamienię z tobą na miejsca...

Carla jakby to wyczuła, gdyż przestała się nade mną znęcać, skupiając się jak zwykle na swojej osobie.

— Mnie zawsze przypadają główne role — chwaliła się. — Jak miałam sześć lat, w naszej szkole pojawił się łowca młodych talentów, któremu wpadłam w oko, ale moja matka się sprzeciwiła. Powiedziała, że jestem za mała i że nauka jest najważniejsza. Pamiętam, że odpowiedziałam jej wtedy, że scena to jedyna szkoła, jakiej potrzebuję, ale się nie ugięła... Nieraz się potem zastanawiałam, czy gdybym...

— Dokładnie tak powiedziałaś? — przerwał jej Caddie, wpatrując się w nią z uwagą.

— Słucham?

— Pytam, czy naprawdę użyłaś takich słów: „scena to jedyna szkoła, jakiej potrzebuję”?

— Sądzisz, że to zmyśliłam?

— Nie, ale miałaś tylko sześć lat — tłumaczył Caddie. — Jak na sześciolatkę to mocne słowa... Bardziej prawdopodobne, że kiedy później twoja matka opowiadała tę historię, wymyśliłaś swoją ripostę. A jeszcze później prawdziwa historia i twoje fantazje się zmieszały, często tak bywa.

Carłę to wyprowadziło z równowagi.

— Nie rozumiem, czemu o tym rozmawiamy.

Do akcji ponownie wkroczył Glen, chcąc załagodzić rodzący się konflikt. On i Caddie przez cały wieczór pili tylko piwo; Carla wychyliła wcześniej parę aperitifów i więcej kieliszków wina, aniżeli na nią przypadają z zamówionych dwóch butelek.

— Ależ tak, Caddie ma rację, to zupełnie normalne, że ludzie ubarwiają swoje wspomnienia... — jego głęboki głos był uspokajający. — O, chociażby ubiegłej zimy... Glen Junior bał się spać w swoim pokoju, bo twierdził, że zamieszkał tam Wielki Fu.

— Serio? — Carla się doń nachyliła, jakby to była najbardziej interesująca opowieść. — A co to jest Wielki Fu?

— Do tej pory nie mam pojęcia. Żaden inny dzieciak, z którym rozmawiałem, nigdy nie mówił o Wielkim albo choćby i Małym Fu. Junior jednak był święcie przekonany, że go widział; narysował nawet obrazek. I muszę przyznać, że był straszny...

— Biedny Junior — rozczuliła się Carla.

Wciąż mając w pamięci jej niedawne zwierzenia, zastanawiałam się, jakim cudem wykazuje troskliwość wobec obcego dziecka, równocześnie wyrażając się obojętnie o własnych.

— W każdym razie — włączył się do rozmowy Caddie — Glen Junior zapamięta Wielkiego Fu, jakby ten istniał naprawdę. We wspomnieniach wszystko jest równie rzeczywiste: to co przeżyliśmy, o czym usłyszeliśmy albo co zwyczajnie zmyśliliśmy... Część mózgu odpowiedzialna za wspomnienia nie potrafi dostrzec różnicy pomiędzy prawdą a fikcją.

Mówiąc to, położył łokcie na stole i nachylił się do przodu, tak że wydawało się, iż zwraca się wyłącznie do Carli. Był zarazem wyzywający, jak i szczerze zainteresowany — tematem i Carłą. Już jakiś czas temu zorientowałam się, że o ile Carla postanowiła stworzyć parę z Glenem (zakładając, że do tworzenia par w ogóle tego wieczoru miało dojść), Caddie upatrzył sobie ją.

Postanowiwszy spróbować raz jeszcze odwrócić jego uwagę od Carli, gdyż wiedziałam, że tego ode mnie oczekuje, powiedziałam:

— To wiele wyjaśnia...

— Co wyjaśnia? — spytał Glen, poprawiając się w krześle, by zwiększyć dystans pomiędzy nim a wiszącą nad nim Carłą.

— Hmm... — zawahałam się na chwilę. — Chodzi mi o to, że od małego dręczy mnie wspomnienie, jak wpycham swoją młodszą siostrę do studni.

— Uroczą Helen! — sarknęła Carla, nie doceniając moich wysiłków.

Nie zwracałam na nią uwagi.

— Pamiętam wszystko bardzo wyraźnie: wysokie ocembrowanie studni, swoją złość na siostrę, odbicie naszych twarzy w lustrze wody poniżej, nawet jej małe pulchne rączki kurczowo chwytające kamienie. A potem dorosłych biegnących przez podjazd i krzyczących na nas i swoje rozczarowanie i ulgę, że nic się nie stało. Najdziwniejsze jest jednak to, że nic takiego nigdy mi się nie przydarzyło. To moja matka próbowała utopić swoją siostrę w studni.

Carla znów dołała sobie wina.

— Może to u was dziedziczne — rzuciła. — Mam na myśli topienie rodzeństwa w studniach. Co czyni z was prawdziwą rodzinę Addamsów...

— Ale to po prostu nie mogło się mnie przydarzyć! — broniłam się. — Po pierwsze, mieszkaliśmy w mieszkaniu...

— I co z tego? Mogliście pojechać z wizytą do dziadków.

— Nie mogliśmy. Ich dom, ten ze studnią w ogrodzie, jest poza granicami Anglii. Owszem, oglądałam go na zdjęciach, ale nigdy tam nie byłam. Po prostu usłyszałam tę historię od matki i w jakiś sposób stała się ona moją historią, zapamiętałam ją, jakby przydarzyła się mnie, a nie jej...

— To interesujące — odezwał się milczący do tej pory Glen.

— No, i na pewno byłaś nieźle wkurzona na siostrę — dodał Caddie.

— Niekoniecznie — wtrąciła Carla lekkim tonem. — Helen morduje ludzi z błahszych powodów... Można by wręcz powiedzieć, że ma to we krwi — zakrztusiła się winem.

— Słucham?

Choć jeszcze przed momentem byłam zgrzana od tańców, wina i ciepłego jedzenia, nagle zrobiło mi się zimno, jakby ktoś wrzucił mi za dekolt sukienki kostkę lodu.

— O co ci chodzi, Carla? — Caddie potraktował jej słowa jak żart, ale uśmiechał się niepewnie.

Żołądek podjechał mi do gardła. Boże, spraw, by tego nie powiedziała — modliłam się w duchu, Carlę zaś przygwoździłam oczami i bezgłośnie zaklinałam: Nie możesz tego powiedzieć, nie powiesz tego... Byłam na siebie wściekła, że opowiedziałam jej o Gabrieli. Jak mogłam być tak głupia, tak nieostrożna? Wiedziałam, że muszę coś zrobić, żeby jej uniemożliwić zdradzenie mego sekretu — przewrócić pełny kieliszek, udać, że się duszę, zacząć śpiewać; cokolwiek, byle tylko ją powstrzymać. Poruszałam ustami, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie ani jednego dźwięku.

O mój Boże...

Nagle zorientowałam się, że Carla zapomniała o tym, o czym mówiła, zapomniała o mnie, być może nawet o tym, gdzie się znajduje. Dostrzegła coś — lub kogoś — w odległym końcu tawerny i wpatrywała się tam z wyrazem pustki na twarzy.

Określiłam się na krześle, żeby zobaczyć, co — lub kto — mnie uratowało, i od razu rzucił mi się w oczy wysoki, elegancko ubrany mężczyzna, którego widziałam niedaleko przystani. Rudowłosy mężczyzna... W głowie mi zakotłowało, byłam pewna, że widziałam go jeszcze wcześniej. Przypomniałam sobie rażące słońce, w które wyszłam z mrocznego budynku lotniska, mężczyznę opierającego się o maskę białego samochodu i jego napięte spojrzenie. Koło niego siedziała dwójka starszych ludzi, którzy pierwsi dostrzegli, że Carla i ja wpatrujemy się w nich; w odpowiedzi unieśli kieliszki i pozdrowili nas w niemym toaście.

— Znasz ich? — zapytałam Carle. Żadnej reakcji. — Czy to ktoś, kogo poznałaś w pierwszych dniach pobytu tutaj?

— Kto taki? — spytała, przenosząc na mnie wzrok, resztę uwagi zaś poświęcając wciąż odległemu krańcowi tawerny.

— Tamci? Nie... Zresztą czy oni wyglądają na turystów?... Jednym haustem wypila resztkę wina, jaką miała w kieliszku, dołała sobie kolejną porcję, po czym odwróciła się do Glena i przytuliła do niego, zmuszając, by objął ją ramieniem. Ujęła jego wolną dłoń w obie swoje i patrząc mu prosto w oczy, rzekła:

— Za chwilę zacznie się druga tura tańców. Zatańczmy razem, dobrze?

Miałam wszystkiego dość. Przerazała mnie myśl, że Carla, zrobiwszy raz aluzję do mojego sekretu, powróci do niego później. Znałam ją już wystarczająco, by wiedzieć, że jest zdolna do wszystkiego. Poza tym była pijana, a więc tym bardziej nieprzewidywalna; wcześniej zdarzało nam się wypić za dużo, ale nigdy nie doprowadziła się do takiego stanu — poruszała się jak na zwolnionym filmie, na twarz wystąpiły jej krople potu. Wprawdzie połowa gości tawerny znajdowała się w podobnym lub nawet gorszym stanie, ale stanowiło to dla mnie mizerną pociechę. Pohukując i chichocząc, trącąc stojące na drodze krzesła i zaplątując się we własne nogi, część gości zaczęła przechodzić do wydzielonego miejsca, gdzie zaraz miały się rozpocząć kolejne zmagania z greckimi tańcami.

Zauważyłam jednak, że trójka ludzi, która przykuła uwagę Carli, nie podniosła się, by dołączyć do tego wesołego pochodu. Nadal siedzieli przy swym narożnym stoliku, popijając wino i z wyraźną pogardą obserwując poczynania podochoconych amatorów rozrywki. Ianni, przejęty swoją rolą, raz jeszcze pokazywał kroki i nie zważając na tuszę, z entuzjazmem wymachiwał nogami i przytupywał. Miałam nadzieję, że te podskoki mu się opłacą — uczciwie zarabiał na każdą drachmę. Uznałam, że wystarczająco przyczyniłam się do jego funduszu emerytalnego.

— Jestem wykończona — oznajmiłam. — Wracam do hotelu.

— Nie masz ochoty zatańczyć jeszcze raz? — spytał mnie Glen.

— Nie bardzo.

— Psuja — wymamrotała Carla z głową przytuloną do piersi Glena, po czym podniosła na niego nieprzytomne oczy. — Ale my zatańczymy, prawda?

Glen jednak zignorował ją i powiedział do mnie:

— Odprowadzimy cię do hotelu, Helen.

— Nie chcę robić wam kłopotu...

— To żaden kłopot! — zapewnił.

— Ale ja chcę tańczyć — piskliwym głosem zaprotestowała Carla.

— Ja z tobą zatańczę — zaofiarował się Caddie.

— A ja odprowadzę Helen do hotelu — podchwycił Glen.

— O, nie — mruknęła Carla. — Zrobimy tak, jak powiedziałaś. Tańczyć we dwójkę to żadna zabawa, równie dobrze wszyscy możemy pójść do hotelu.

— Nie ma sprawy. — Caddie podniósł ręce, dając do zrozumienia, że jest przegłosowany. — Dajcie mi tylko chwilkę, skoczę do toalety...

Wstał, a Glen poszedł w jego ślady, wyplątując się z macek Carli. Obaj mężczyźni zniknęli na zapleczu tawerny. Nie chcąc rozmawiać ze złą jak osa Carłą, odwróciłam się i skinęłam na młodego kelnera, żeby podał nam rachunek. Czekałam przyglądałam się, jak pośród ogólnego harmideru taniec Zorby powoli zamienia się w pokraczną wersję lambady. Nagle poczułam, jak czyjeś kościste palce wbijają mi się w przedramię.

— Ładna z ciebie przyjaciółka — wysyczała mi do ucha Carla.

— Carla, uspokój się — próbowałam oswobodzić rękę, ale trzymała mnie mocno.

— Wiedziałaś, że na mnie leci, a mimo to od samego początku się na niego uwzięłaś!

— Carla, jak możesz!

— I to twoje udawanie niezdobytej księżniczki — ciągnęła nie zważając na moje protesty. — Najstarszy numer na świecie! Wszyscy to widzą...

— Mylisz się — zaoponowałam. — Glen mnie nie interesuje, ale nie możesz mnie obarczać winą za to, że ty jego także nie pociągasz... Puszczaj mnie albo...

— Tylko się posłuchaj — syknęła Carla. — Ale z ciebie nudziara! Może byś chociaż raz w życiu się zabawiła, co?

— Jesteś pijana!

— Oczywiście, kurwa, że jestem pijana! — wybełkotała. — Lub ię być pijana! Chcę być tak pijana, żeby wyrzucili nas z twojego grzecznego hoteliku i...

Przerwała w pół zdania. Na horyzoncie pojawili się Glen i Caddie, torując sobie drogę przez podrygujący tłum. W przeciwieństwie do reszty gości Ianniego, spoconych, głośnych i wyraźnie pod-

pitych, obaj wydawali się nieprzyzwoicie trzeźwi, świeży i spokojni. Kiedy do nas dołączyli, uregulowaliśmy rachunek i opuściliśmy tawernę.

Dopiero idąc w stronę ścieżki, która miała nas zaprowadzić do hotelu, uprzytomniłam sobie, że nie powinnam była zarzucać Carli pijaństwa; sama ledwie trzymałam się na nogach. Przelotnie pomyślałam, że musieliśmy zamówić trzy, a nie dwie butelki wina...

Potknęłam się o wystający kamień i byłabym upadła, gdybym nie złapała wyciągniętej w porę pomocnej dłoni. Tak się złożyło, że była to dłoń Glena, ale mnie było już wszystko jedno. Za dwadzieścia minut znajdę się we własnym łóżku, a obaj przygodnie poznani kompani udadzą się do swojej kwatery u podnóża wzgórz i przy odrobinie szczęścia nigdy więcej ich nie zobaczę. Cały ten niepotrzebnie pokomplikowany wieczór, który okazał się koszmarem, przejdzie do historii. Ha, gdyby tylko tak się stało...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wszakże tamten wieczór nie tak miał się zakończyć.

Raz jeszcze nastroje się poprawiły, kiedyśmy się przedzierali przez ciemność śródziemnomorskiej nocy w drodze na plażę, przy której położony był hotel mój i Carli; powietrze wokół spowijało nas niczym zasłona z czarnego adamaszku, zmysły oszalały głębokie żywiczne zapachy i ciche, magiczne dźwięki, które po bezmyślnym gwarze panującym w „Tawernie Ianniego” zdawały się hipnotyzować. Nieznośni turyści pozostali daleko w tyle, ich głosy i śpiewy, i zapuszczane silniki samochodów stanowiły zaledwie nieistotne tło dla szumu fal rozbijających się o pobliski kamienisty brzeg, chóru podnieconych cykad i sporadycznego pohukiwania sowy. Z łatwością oparłabym się namowom Carli, aby jeszcze nie wracać do hotelu — znacznie trudniej było mi odmówić nęcącej pieśni wyspy... Za niespełna dwie doby miałam znaleźć się z powrotem w szarej, deszczowej Anglii, gdzie czekał mnie nużący poniedziałek w pracy, toteż chciałam się rozkoszować ostatnią chwilą wolności, póki trwała.

Przystałam więc na propozycję Carli, by zatrzymać się w barze na drinka; zamówiłyśmy po kawie i butelkę wody mineralnej, chłopcy jak zwykle woleli piwo. Znaleźliśmy najbardziej oddalony stolik, poza kręgiem świateł lampionów wiszących u kolumnienek otaczających taras, i gdy siadaliśmy, metalowe nogi krzeseł zatopiły się w drobnoziarnistym białym piasku. Carla straciła równowagę, lecz przed upadkiem uratował ją Glen, który we właściwym momencie złapał ją mocno za rękę, błyskając przy tym zębami w uśmiechu. Nawet wtedy, gdy już usadowiła się wygodnie na miniaturowej zdradzieckiej, ruchomej wydmie, wciąż trzymał jej dłoń w swojej, nie przestając się uśmiechać. Carla zdawała się szczęśliwa.

— Piękna noc — odezwałam się cichym głosem.

Cieszyłam się szczęściem Carli, przepełniały mnie radość i spokój. Leniwie przyglądałam się łodziom rybackim, których światła wylały się z ciemności, jednakże nie potrafiłam ocenić, czy znajdują się blisko brzegu czy też na pełnym morzu — mrok połykał przestrzeń, igrając z pojęciami kierunku i odległości.

Carla nuciła pod nosem:

Summertime, and the living is easy,

Fish are jumping, and the cotton is high...

Zaskoczyła mnie. Miała piękny, lekko ochrypy głos, w którym wibrowało od uczucia, a lekko zawodzące nuty idealnie wpasowywały się w nastrój wieczoru.

Oh, your daddy's rich, and your ma is good-looking,

So hush, little baby, do-o-o-n't you cry-y.

Nim doszła do ostatniej zwrotki piosenki Gershwin, uwierzyłam, że rzeczywiście jest zawodową piosenkarką; pomijając doskonały słuch; znała wszystkie słowa, co nie zdarza się często.

— To było śliczne, Carla — powiedziałam szczerze.

— Dziękuję — uśmiechnęła się do mnie.

Glen i Caddie także dołączyli się do pochwał.

— Świetnie śpiewasz...

— Zaśpiewaj coś jeszcze...

Carla odrzuciła włosy do tyłu i jedną po drugiej zaśpiewała „Midnight” i „Fish Gotta Swim”; nuciliśmy melodię razem z nią, włączając się w trakcie refrenu (chłopcy udawali, że jej akompaniują — Caddie na bandzo, a Glen na perkusji), jednakże głównie słuchaliśmy. Kręgiem wokół nas stanęli pozostali goście baru i wysłuchawszy w ciszy kolejnej piosenki, „I'm a Fool for Love”, zaczęli bić brawo. Na obrzeżu sporego tłumku stała Despina, którą głos Carli wywabił z kuchni, i uśmiechała się, kiwając głową z aprobatą.

Carla promieniała. Z dłonią w ręku Glena, oklaskiwana przez nieznanymi wreszcie dostawała to, na czym tak bardzo jej zależało: uwagę i uznanie. Nabrałam otuchy, umacniając się w przekonaniu, że katastrofa została zażegnana i wieczór pomimo wszystko okaże się udany, toteż gdy zauważyłam zezowatego donżuana czającego się w cieniu budynku, posłałam w jego stronę szeroki uśmiech. Pewnie niepotrzebnie, bo i tak wpatrzony był w Carłę.

— No, wystarczy na jeden wieczór — odezwała się niczym rozkapryszona diwa — bo inaczej stracę głos. — Do nas zaś rzuciła: — To co teraz robimy?

Odpowiedzi udzielił Caddie, choć niezupełnie na temat.

— Myśleliśmy, żeby jutro wynająć łódź. Chciałybyście z nami popływać?

— Ja bardzo! — z entuzjazmem zareagowała Carla.

— Ja też — dołączyłam do niej.

Pozostali goście powoli się rozchodzili. Para nowych urlopowiczów zmierzała w stronę brzegu; słyszeliśmy, jak rozmawiają, a potem wszystko zagłuszył plusk wody.

— A teraz? — nie dawała za wygraną Carla.

Glen tylko coś mruknął, ja zaproponowałam, żebyśmy się przeszli, Caddie zaś miał ochotę popływać.

— To rozumiem! — ucieszyła się Carla. — Już biegnę po kostium...

Glen się zreflektował.

— Hej, Caddie, chyba przesadziłeś! Nie mamy kąpielówek.

— Cholera, rzeczywiście... — zasepił się niedoszły pływak. Zrobiło mi się go żal, więc rzuciłam:

— Zawsze możemy pójść na plażę obok...

— Co masz na myśli? — zainteresował się Glen, przyglądając mi się uważnie.

— Tam nie potrzeba kostiumów — wyjaśniła w moim zastępstwie Carla.

— To plaża nudystów — potaknęłam.

— Super! — rozchmurzył się Caddie. — Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz pływałem na golasa... — I dodał: — Mówicie chyba o plaży tuż przy naszym domku.

— Ale czy znajdziemy ją po ciemku? — zmartwiła się Carla.

— Bez problemu — uspokoiłam ją. — To najwyżej dziesięć minut drogi, poza tym prowadzi tam prosta ścieżka. Zajmie nam to krócej niż spacer z Yerolimani, a przecież stamtąd nieraz wracaliśmy po ciemku.

Widziałam, że się waha, ale się nią nie przejmowałam — dotychczas zbyt wielką wagę przywiązywałam do jej fochów.

Cały wieczór przebiegał po jej myśli, wszystko zmierzało do upragnionego przez nią finału, sądząc po pieszczotach, jakimi z nieobecną miną obdarzał ją Glen, podczas gdy ona trzymała mu rękę na kolanie — uznałam, że najwyższa pora pomyśleć o sobie. Od czasu pierwszego, niefortunnego wypłynięcia w morze nieustannie chodziło mi po głowie, by powtórzyć wyczyn w bardziej sprzyjających warunkach, a jakie warunki byłyby bardziej sprzyjające niż ta spokojna noc? Carla pragnęła namiętnej przygody, ja chciałam raz jeszcze popływać w Morzu Śródziemnym: drżałam z podniecenia na samą myśl o dotyku granatowej wody na mojej nagiej skórze, podczas gdy księżyc oświetlać mi będzie drogę.

— No dobrze — powiedziała w końcu Carla, wiedząc, że jest w mniejszości. I jakby to była jej decyzja, zakomenderowała:

— Urządzimy sobie na tej odludnej plaży piknik. Weźmiemy parę piw i...

— Żadnego piwa — zaprotestowałam automatycznie. — Alkohol i głęboka woda się nie lubią, a my i tak wypiliśmy już za dużo...

— Rany, zrzedzisz jak własna ciotka! — wykrzyknęła Carla.

— Nie jestem zupełną idiotką, nawet jeśli ty tak uważasz. Nie mam najmniejszego zamiaru pić przed pływaniem, ale dlaczego nie mielibyśmy się napić potem?

Kupiliśmy więc w barze kilka butelek piwa, a ja dodatkowo — wody mineralnej, gdyż nagle uświadomiłam sobie, że mimo wypitej kawy wciąż jestem lekko pijana i muszę coś z tym zrobić. Niestety kiedy weszliśmy na ścieżkę, Caddie wyciągnął skądś butelkę greckiej brandy i puścił ją w obieg. Niepomna na własne przestrogi wzięłam solidny łyk, aż w nosie mnie zakręciło, ale chwilę potem poczułam, że mam jaśniejszą głowę. Wiedziałam, że to tylko pozory trzeźwości, i obiecałam sobie w duchu, że nie będę wypływać na głębinę, zresztą — po co?

Mniej więcej w połowie drogi, w miejscu gdzie ścieżkę zwartym szpalerem otaczały strzeliste cyprysy, przez które nawet światło księżyca przebijało się z niejakim trudem, chłopcy oznajmili, że udają się do toalety. Nim się spostrzegłyśmy, zagłębili się w gęstwinę, zostawiając nas same na ścieżce.

— O co im chodzi z tą toaletą? Ja po prostu pójdę kawałek w tę stronę...

— Co to było?! — pisnęła Carla i przywarła do mnie całym ciałem, nie pozwalając mi się ruszyć. Nawet z tak bliska nie potrafiłam rozróżnić rysów jej twarzy.

— Co znowu? — spytałam niecierpliwie.

— Czy to ty mnie dotknęłaś przed chwilą?

— Słucham?

— Coś się o mnie otarło — w głosie Carli pobrzmiwała panika. — Coś tu jest!

— Nie wygłupiaj się, Carla. To pewnie tylko ćma... Pokręciła głową, rozglądając się wokół.

— Mnie się zdawało, że to czyjaś ręka — mówiła szeptem. — Słyszysz? Ktoś tu dyszy. — Drżała cała ze strachu.

— Wyobraźnia płata ci figle. Niby kto miałby za nami iść?

— A mało to dziwaków?

— Jakich znowu dziwaków? — niecierpliwiłam się coraz bardziej.

Jednakże czułam, jak i mnie udziela się panika. Zaczęłam słyszeć czyjś oddech, szelest na poszyciu, wydało mi się, że dostrzegłam za nami jakiś ruch.

— Nie wiem — powiedziała bezradnie. — To może być ktokolwiek. Choćby ten twój stary znajomy... Romeo czy jak mu tam, widziałam go, jak się kręcił koło hotelu...

Roześmiałam się z przymusem.

— A on tu po co?

Udawałam pewność siebie, lecz ogarnął mnie strach i odeszła ochota, by oddalić się choćby o centymetr od Carli; wołałam zostać z nią tam, na ścieżce, i zaczekać w jej trzęsących się objęciach, aż

chłopcy wrócą z „toalety”. Sama zresztą się do niej przytuliłam, kiedy usłyszałam zbliżające się kroki i czyjś głos.

— Gdzie, do cholery, jest ta cholerna ścieżka?! — zaklął Caddie.

Wypuściłam nieświadomie wstrzymywane powietrze i odetchnęłam z ulgą. Carla podbiegła do Glena i Caddiego i zarzuciła im obu ręce na szyję.

— O mój Boże — żaliła się — tak się bałyśmy... Myślałyśmy, że ktoś za nami idzie... Dlaczego was tak długo nie było? Mało nie umarłam ze strachu!

Pomimo ciemności zauważyłam malujące się na ich twarzach zdziwienie. Prędko się odwróciłam i zaczęłam maszerować w stronę plaży. Byłam na siebie zła, że uległam fobii Carli, i jeszcze bardziej zła na nią, że nie darowała sobie odegrania Kobiетки w Potrzebie. Złościłam się nawet na chłopców, za to, że gdy już im minęło pierwsze zdziwienie, przybrali pozę zblazowanych macho. Ledwie bowiem odeszłam parę metrów, dobiegł mnie głos Caddiego.

— Hej, Helen! Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

— Oczywiście, że nic mi nie jest — odparłam i przyspieszyłam kroku.

Nagle wypadłam z cienia drzew wprost na osrebrzony światłem księżycy piasek plaży. Zwolniłam czując, jak cały strach i złość mnie opuszczają, a ich miejsce zajmuje podniecenie. Serce nie waliło mi już z przerażenia, lecz z zachwytu.

Na plaży nie było żywego ducha. W zasięgu wzroku żadnego domu, baru, zupełnie nic, tylko morze srebrzystego piasku przechodzące w połyskującą granatową tafelę wody. Na spokojnych falach kołysały się trzy łodzie rybackie, jednakże były zbyt daleko od brzegu, by dało się dostrzec sylwetki rybaków. W głębi lądu migotały światła położonych u podnóża wzgórz willi, rozsianych pośród gajów oliwnych. Z rzadka tylko przejeżdżał gdzieś w oddali samochód, przerywając ciszę delikatnym warkotem i rozjaśniając na moment ciemną ścianę drzew.

Zrzuciwszy po drodze klapki, podeszłam do samego brzegu i pozwoliłam leniwym falom dosięgnąć moich stóp. Rozkoszowałam się ciepłem wilgotnego piasku, obserwując, jak woda igra z jego ziarenkami, zachęcając mnie do zabawy. Nie chcąc czekać na pozostałych, szybko rozpięłam sukienkę i odszedłszy nieco od brzegu, opuściłam ją z ramion, po czym zdjęłam biustonosz i figi i położyłam na jednej kupce razem z klapkami.

Zamknęłam oczy i cieszyłam się poczuciem wolności; byłam tylko ja, księżyc i morze... Zrobiłam krok do przodu i wokół moich kostek zawirowała przyjemnie nagrzana woda.

— Hej, zaczekaj na nas!

— Właśnie, Helen, zaczekaj!

Nie miałam chęci na nikogo czekać, a już na pewno nie na Carlę. Słyszałam, jak przekomarza się z Glenem i Caddiem, wyskakując z ubrania; nawet tę chwilę musiała zepsuć swym pseudoaktorstwem. Obejrzałam się, kiedy zanuciła pierwsze takty „Striptizerki” z musicalu „The Rocky

Horror Show", by zobaczyć, jak wymachuje białym stanikiem i rzuca nim w Glena, który podobnie jak Caddie stał na jednej nodze i ściągał spodnie i bokserki. Chwilę potem zanurkowałam, tracąc ich z oczu, i płynęłam pod wodą tak długo, jak długo wytrzymały mi płuca.

Już kiedy się wynurzałam, by zaczerpnąć tchu, wiedziałam, że wypity alkohol znacznie ograniczył wydajność tego narządu, podobnie zresztą jak mój zdrowy rozsądek, co otrzeźwiło mnie w jednej chwili.

Odwrociłam się, żeby ocenić odległość, jaką pomimo wszystko udało mi się pokonać, i kątem oka dostrzegłam ruch po prawej, na porośniętych cyprysami skałach, skąd przed chwilą przyszliśmy. Moich uszu dobiegł plusk, jakby coś wpadło — albo jakby ktoś skoczył — do wody. Uznałam, że to Glen albo Caddie, i z dezaprobatą pokręciłam głową; tylko wariat poważyłby się skakać na główkę po nocy, do tego w nie znanym sobie miejscu.

Płynąc powoli do brzegu, zauważyłam, że cała trójka chłapie się na płyciźnie, niedaleko miejsca, w którym zostawiłam swoje ubranie, i zdziwiło mnie, że Glen (albo Caddie — którykolwiek z nich nurkował na odległym krańcu plaży) tak szybko dołączył do pozostałych. Być może przywidziało mi się — pomyślałam. — Zresztą, co za różnica...

Przewróciłam się na plecy i unosząc leniwie na wodzie, przyglądałam miriadom białych punkcików rozrzuconych po całym niebie, których tysiakkroć silniejszy, lecz odległy blask wydawał się bledszy od dumnego księżyca w pełni. Ciepła woda obmywała moje nagie ciało niczym zmysłny kochanek, podczas gdy ja starałam się zapamiętać każdy szczegół, każde najdrobniejsze doznanie, werbalizując je w myśli i zmieniając doświadczany cud we wspomnienie, tak bym kiedyś mogła komuś powiedzieć: „Koniecznie musisz tego spróbować... To jak uprawianie miłości z morzem. Wiem, myślisz pewnie, że mówię jak sfrustrowana stara panna, i przyznaję, że nieco za dużo wtedy wypiałam, ale mimo wszystko... Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś podobnego. Niezwykle erotyczne, a zarazem niewinne przeżycie..." Ubierając owe doznania w słowa, poczułam niesmak: dlaczego, u licha, nie potrafię dać się porwać chwili, dlaczego zawsze muszę wszystko analizować?...

Spróbowałam wyłączyć umysł; leżąc na plecach utkwiłam wzrok w jednym wybranym punkcie — gwiazdzie, a może planecie, nigdy nie umiałam ich rozróżnić — i skoncentrowawszy się na nim, odbierałam wrażenia tylko ciałem. Ciekawe, w pewnym momencie wydało mi się, że nie jestem zanurzona w wodzie, lecz spowita dziwnym chłodnym jedwabiem...

Nagle poczułam twarde przedmiot tuż przy ramieniu, nie, nie przedmiot, to czyjaś ręka zacisnęła się na moim barku. Wrzasnęłam, przewracając się równocześnie na brzuch, usta znalazły się pod wodą, a krzyk zamienił w chmurę bąbelków. Krztusząc się walczyłam, żeby się oswobodzić z uścisku, starałam się przyjąć pozycję pionową, przodem do atakującego. Zalewała mnie adrenalina i byłam gotowa się bronić.

Błysnęła blond czupryna Glena, w promieniach księżycy prawie zupełnie biała, i jego wyszczerzone w uśmiechu zęby.

— Ty sukinsynu! O mało mnie nie utopiłeś!

— Przepraszam — powiedział, ale widać było, że wcale mu nie jest przykro. Roześmiany przyglądał mi się, kiedy parskałam i potrząsałam głową. — Już lepiej? — spytał.

— Nie — odburknęłam.

Przesunął się o milimetry i zakrył moje usta swoimi. Zamarłam w bezruchu, a kiedy jego język rozsuwał moje wargi, zdaje się, że jęknęłam z rozkoszy.

— Nie gniewaj się, Helen — powiedział odsuwając się ode mnie, znów tylko odrobinę. — O niczym innym nie myślałem przez cały wieczór.

— Boże, co za banał!

— Być może — odparł — ale to szczerą prawdą.

Delikatnym ruchem odplynęłam od niego jakiś metr, opadłam na plecy i przycisnęłam podeszwy stóp do jego piersi, co go zaskoczyło. Ratując się przed pójściem pod wodę, złapał mnie za kostkę.

— Nie wolno kopać — oznajmił poważnym tonem.

— Bo co? — zapytałam przekornie.

— Bo... — wymacał moje kolano, złapał mocno i zaczął mnie do siebie przyciągać.

Jednakże ja już się nie bałam.

— A wy co, potopić się chcecie czy co?

— Cześć, Caddie — rzucił Glen, puszczając moje kolano.

— Raczej to drugie — odpowiedziałam na zadane pytanie.

— Słucham?

— Nieważne — wzruszyłam ramionami, wciąż uśmiechając się szeroko.

— Czyżbym w czymś przeszkodził? — zmieszał się Caddie.

— Tak.

— Nie.

Glen i ja odezwaliliśmy się prawie równocześnie.

— Och, rozumiem... A co tam się znowu dzieje?...

Spojrzeliliśmy w stronę brzegu. Carla coś do nas krzyczała, w jej głosie pobrzmiwała złość i strach.

— Szybko, niech mi ktoś pomoże! Nie mogę wyczuć dna... i coś tutaj jest, ociera się o moje nogi! O Boże, to chyba ośmiornica! Pomocy!! Gdzieżeście się podziali?...

— Zostawcie ją — ostudziłam chłopców. — Udaje, jak zwykle.

Glen przyjrzał mi się badawczo, ale Caddie już płynął w stronę krzyczącej Carli.

— Może udaje, a może nie. Lepiej sprawdzę... — wyrzucał miarowo ramiona w eleganckim kraulu.

Zrobiło mi się głupio, że zbagatelizowałam krzyki Carli.

— Chyba też powinniśmy tam popłynąć... — zaproponowałam słabym głosem.

— Cddie sobie poradzi — równie słabo zaproponował Glen.

Chwilę potem płynęliśmy śladem Cddiego, który na odległość uspokajał Carlę.

— Wszystko w porządku, Carla, już do ciebie płynę!

— Pośpiesz się! — doszedł nas jej przeraźliwie cienki głos. — Już nie mogę... zaraz utonę — piszczała, a kiedy Cddie do niej dopłynął, już normalnym tonem powiedziała: — Chwała Bogu, tak strasznie się bałam...

Glen odwrócił się do mnie.

— No i wszystko dobrze się skończyło.

— Wspaniale — skomentowałam.

Przestaliśmy płynąć, obserwując scenę z pewnego oddalenia. Wykonując minimum ruchów, byle się utrzymać na powierzchni, przysłuchiwaliśmy się, jak Carla plecie trzy po trzy, jakie to niebezpieczeństwo jej groziło, podczas gdy w rzeczywistości cały czas była zaledwie parę metrów od brzegu. Odżyła moja wcześniejsza podejrzliwość; zgoda, wiedziałam, że kiepska z niej pływaczka, jednakże nawet ona nie mogła być aż tak beznadziejna!

Tymczasem Cddie wynosił Carlę na brzeg, trzymając ją w ramionach.

— Mój kolega namiętnie ogląda „Słoneczny patrol” — wyjaśnił Glen.

Cddie posadził Carlę na piasku, ona zaś zarzuciła mu na szyję ramiona i obdarzyła długim pocałunkiem.

— Uratowałeś mnie! Jesteś cudowny! — wysapała, po czym znów przypięła się do jego ust.

— Wygląda na to, że Carla także zna ten serial — rzuciłam.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że Glen trzyma mnie za rękę. Nie mówiąc ani słowa, zaczął mnie do siebie przyciągać. Zmieniłam lekko pozycję, by móc widzieć jego zbliżającą się twarz, te niesamowicie niebieskie oczy utkwione w moich własnych. Tym razem, kiedy mnie pocałował, byłam przygotowana. Ba, byłam gotowa i chętna. Przejechałam czubkiem języka po wnętrzu jego ust.

— Słone — wyszeptałam.

— To dobrze — odszepnął.

Niechętnie przestaliśmy się całować, kiedy usłyszeliśmy wołanie od brzegu.

— Hej, wy tam. Idziemy do domku!

— Zabieramy brandy, wy weźcie piwa, dobra?!

Pomachaliśmy im i odkrzyknęliśmy:

— W porządku!

— Zaraz do was dołączymy!

Przyglądaliśmy się ich oddalającym się sylwetkom; Caddie obejmował Carlę ramieniem, ona co parę kroków przystawała, żeby dać mu całusa.

— Wygląda na to, że jej się podoba — ocenił Glen.

— Dokąd oni idą? — spytałam.

— Pewnie do naszego domku... To jakieś dziesięć minut drogi stąd, tuż przy szosie. — Przez chwilę odprowadzaliśmy ich wzrokiem w milczeniu, po czym Glen przerwał ciszę: — A my na czym skończyliśmy?

— Właśnie dochodziliśmy do sedna...

— A, już pamiętam.

Objął mnie mocno ramionami, kładąc dłonie na moich łopatkach i przyciągając do siebie, tak że oparłam się mu na piersi, i pocałował mnie po raz trzeci tego wieczoru. Unosząc się w wodzie, z łatwością objął mnie także nogami, krzyżując stopy tuż nad moimi pośladkami, dzięki czemu znalazłam się jeszcze bliżej niego. Czułam, jak ociera się o mój brzuch, jednakże chciałam czegoś więcej.

Nigdy nie podjęłam świadomej decyzji, że będę się kochać z Glenem. Kiedy przed kilkunastoma minutami wchodziłam naga do wody, byłam przekonana, że kulminację wieczoru stanowić będzie flirt z Morzem Śródziemnym. Wszakże odprowadzając wzrokiem przytulonych Carlę i Caddiego, znikających w rozcykanych zaroślach u szczytu plaży, wiedziałam, że jeśli tylko Glen zechce czegoś więcej, z radością mu się oddam.

Ta pewność mnie zadziwiła. Nigdy nie byłam typem podrywaczki, jeszcze mniej interesowały mnie jednonocne przygody. Chęć uprawiania seksu z kimś, kogo poznałam zaledwie parę godzin wcześniej i nawet nie znałam jego nazwiska, stała w sprzeczności z wyobrażeniem, jakie zawsze miałam o sobie. Mimo wszystko było warto... Jeśli się dobrze zastanowić, taka decyzja była logiczną konsekwencją snutych przez tydzień fantazji, że tam, na wyspie, mogłyśmy zostać, kim tylko chciałyśmy. Od tego był już tylko mały krok do złudzenia, niebywale pociągającego złudzenia, że można przeżyć godzinę czy dwie czystej przyjemności, niezbrukanej myślami o związkach, poważnym angażowaniu się i kto ma pierwszy zadzwonić. Za dzień czy dwa ten krótki moment, kiedy moje i jego życie się splotło, miał być przeszłością; ja miałam wrócić do swego świata, a on... cóż — do reszty wakacji, a potem do domu, do Glena Juniora i sprzedawania skarpetek w Pensylwanii. Tu i teraz były nasze ciała, mokre i śliskie, tak różne i jeszcze sobie nie znane...

Nie chcę się powtarzać, ale każdy przynajmniej raz w życiu powinien znaleźć się zupełnie nagi w rozgrzanym południowym morzu, sam na sam z wszechświatem. I każdy, jeśli tylko to możliwe, przynajmniej raz w życiu powinien uprawiać miłość tak, jak czynią to delfiny. A mam nadzieję, że właśnie tak to czynią — dla ich dobra. Dokładnie tak, jak zrobiliśmy to my, Glen i ja, tamtej nocy.

Obdarzaliśmy się pocałunkami, poznawaliśmy nawzajem swoje ciała, zdając się wyłącznie na zmysł dotyku i smaku, po czym znów zatapiał się w przeciągłym pocałunku. Unosiłam się na wodzie, na plecach, podczas gdy jego usta drażniły mi piersi, sutki, węzowym ruchem przesuwał się coraz niżej, aż na granicy powietrza i wody zaczęły pieścić gładkie sklepienie ud i brzucha, a delikatne palce cały czas gładziły, badały i zapuszczały się w niezbadane zakątki. Czułam się podniecona, zaspokojona i udręczona równocześnie.

Później odwróciłam się na brzuch i unosząc się tuż obok niego, ujęłam w dłonie jego głowę i złożyłam mu na ustach długi pocałunek. Następnie zanurkowałam, przepłynęłam pod nim i wynurzyłam się na powrót, by pocałować go jeszcze namiętniej.

Dziwne, że właśnie w tym momencie zorientowałam się, iż jest mi zimno. Musiałam być w wodzie już ładnie kilkadziesiąt minut, skumulowane w morzu ciepło dnia powoli się ulotniło, wokół zapadła naprawdę głęboka noc. Wstrząsnął mnie dreszcz, potem drugi. Podpłynęliśmy do pływnicy, gdzie Glen objął mnie ciasno ramionami i wymruczał wprost w moje ociekające chłodną wodą włosy:

— Moja syrena zmarła... — Przycisnął się do mnie całym ciałem i dodał: — Pragnę cię, Helen. Chodźmy do domku...

— Dlaczego nie tutaj? — spytałam.

Przez chwilę rozważał ten pomysł, wyraźnie ze sobą walcząc, jednakże w końcu wypuścił mnie z objęć, wyszedł na brzeg i zaczął zbierać swoje rzeczy.

— Widzisz, ja jestem z Pensylwanii — wyjaśnił ze smutkiem. — My tam kochamy się pod dachem i na porządnym łóżku. Chodź, Helen, to naprawdę niedaleko.

— No dobrze — zgodziłam się, sięgając po sukienkę.

Materiał przykleił się do mokrej skóry, lecz szybko zrobiło mi się ciepło, kiedy ruszyliśmy w stronę domku. Nim zagłębiliśmy się w gąszcz krzewów i niskich drzewek, odwróciłam się, by raz jeszcze spojrzeć na magiczną plażę.

— Zaczekaj — powiedziałam do Glena i wskazując na opromienioną jasnym światłem księżycą, pustą, jeśli nie liczyć trzech oddalonych od brzegu łodzi rybackich, zatoczkę, dodałam: — Czy to nie cudowny widok?

Przez chwilę oboje kontemplowaliśmy go w milczeniu.

— Bliski ideału — przytaknął Glen wzdychając i pociągnął mnie lekko w stronę łądu. W tamtej chwili, rzucając morzu ostatnie spojrzenie, pożałowałam, że jednak nie kochaliśmy się w wodzie. Glen, jakby czytając w moich myślach, rzekł: — Wiesz, Helen, to się sprawdza tylko w filmach... prysznic, wodospady i takie tam. Ja i mój mały czujemy się pewnie tylko na łądzie.

„Mój mały.” Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, jęknęłabym z rozpaczy. Ale w tej samej chwili ręka Glena sięgnęła do moich włosów, żeby poprawić jakiś niesforny kosmyk, a ja zdziwiłam się, że przy dotyku nie poleciały iskry. Wciąż patrzył w stronę morza, tak że widziałam jego twarz z

profilu, poświata księżycy wydobywała z mroku jego krótki prosty nos, wyraźnie wycięte usta, sterzącą od soli blond grzywkę, mocne mięśnie szyi. Poczul na sobie moje spojrzenie i przyjrzał mi się, marszcząc brew.

— Wszystko w porządku, Helen? — spytał, ocierając mi z policzka łzę.

— Tak — odparłam ze ściśniętym gardłem. — Po prostu łatwo się wzruszam...

— Podobnie jak ja... Chodźmy.

Glen ani trochę nie przesadził, mówiąc wcześniej, że ich domek przypomina oborę. Nawet z zewnątrz i po ciemku sprawiał nie najlepsze wrażenie: ledwie pobielony nierówny sześcian z betonu, który niczym statek Obcych wylądował na uroczej greckiej wysepce. W środku ktoś postawił niechlujną ściankę dzielącą go na dwie części. W pierwszej, zawierającej zlew i kuchenkę, wisiała goła żarówka, mimo pozamykanych okien cała oblepiona różnym skrzydlatym paskudztwem. W drugiej domyśliłam się sypialni; prowadzące do niej drzwi były na głucho zamknięte, co w obecnej sytuacji nawet mnie urządziło. Dostrzegłszy w rogu niskie łóżko uznałam, że albo któryś z chłopców preferował oddzielne pokoje, albo przemyślnie dokonali przemeblowania przed wyjściem na tańce.

Glen zachowywał się z właściwą sobie flegmą.

— Podać ci ręcznik, Helen? A może chcesz coś zrobić z włosami?

— Nie, dzięki.

— To może napijesz się drinka? Chyba że wolisz piwo albo kawę...

— Nie, naprawdę, nie rób sobie kłopotu.

Stał na środku pomieszczenia, przypatrując mi się z leniwym uśmiechem na twarzy. Przemierzyłam dzielącą nas przestrzeń i położyłam mu na piersi dłoń, czerpiąc radość z uczucia ciepła, jakie wydzielalo jego ciało w połączeniu z parującą koszulą. Niecierpliwie zaczęłam wyciągać ją zza paska spodni.

— W tej chwili mam ochotę tylko na jedno — rzekłam.

— Powiesz mi na co? — spytał.

— Domyśl się.

Zniżył głowę, ustami sięgnął mojego czoła, pocałował mnie w brwi, czubek nosa, wreszcie w usta. W uszach mi tętniło, skwapliwie wygięłam ciało tak, aby lepiej się dopasować do strzelistej sylwetki Glena. Posuwaliśmy się w stronę łóżka, całując się coraz gwałtowniej i szarpiąc sobie nawzajem ubranie, co raczej prędzej niż później skończyło się tym, że zaplątaliśmy się o własne nogi i porzucone części garderoby. Wciąż spleceni i złączeni pocałunkiem opadliśmy na materac. Glen właśnie odpinał mi zamek sukienki, kiedy drzwi od sypialni otworzyły się z hukiem.

— Och, przepraszam, nie chciałam wam przeszkadzać...

— Cześć, Carla...

— Usłyszałam, jak wchodzicie, i pomyślałam sobie, że lepiej wezmę sobie szklankę wody, zanim... no, wiecie... To zajmie tylko chwilkę.

— Nie ma sprawy.

Usiedliśmy na wąskim łóżku i opierając się plecami o ścianę, śledziliśmy poczynania Carli. Na sobie miała za duży na nią t-shirt Caddiego, ten marynarski z kołem sterowym na froncie, sięgający jej aż po kolana, na twarzy zaś pełną zadowolenia minę właściwą ludziom po udanym stosunku.

Poczułam, jak ręka Glena wędruje ukradkiem do moich pleców. Chwilę potem zręczne palce odpięły haftki biustonosza i zaczęły masować delikatne miejsce tuż obok łopatk. Oparłam się mocniej o ścianę, żeby zwiększyć przyjemność. Glen właściwie odczytał mój ruch, gdyż przesunął rękę w stronę wzgórka piersi, czym wydatnie przyspieszył mój oddech. Pojawienie się Carli zamiast zniszczyć czar chwili, spotęgowało go. Wymuszona dodatkowa zwłoka czyniła napięcie niemal niemożliwym do zniesienia. Myślałam tylko o jednym, jeśli w ogóle byłam jeszcze w stanie myśleć; usta miałam nabrzmiałe od pocałunków i pożądania, na twarz z pewnością wypłynął mi wyraz błęgiego rozanielenia.

— Już mnie nie ma — rzekła Carla, odwracając się od zlewu.

— Bawcie się dobrze... — Spojrzała na nas, balansując pełną szklanką wody. Na ułamek sekundy oczy jej pociemniały i zagościła w nich żądza zemsty, albo tylko tak mi się zdawało, gdyż chwilę potem już szła w stronę sypialni z miną sfinksa. Mniej więcej w pół drogi zatrzymała się i poszukała mojego wzroku.

— Mam nadzieję, że go ostrzegłaś, Helen — powiedziała jakby nigdy nic, posyłając mi wymuszony uśmiech.

— Ostrzegłam? — powtórzyłam bezmyślnie, czując, jak przechodzą mnie ciarki.

— No wiesz, o tym, że jesteś prawdziwą *femme fatale*.

— Mmm... — zamruczał Glen, pieszcząc ustami moje ramię. Dziwne, że nie poczuł chłodu, jaki w tej samej sekundzie zaczął ode mnie bić.

— Carla...!

— No co ty, Helen? — zarechotała paskudnie. — Przecież to nic takiego... Powinnaś Glenowi koniecznie o tym opowiedzieć, jestem pewna, że się uśmieje, podobnie jak ja.

— Z czego, Carla? — dobiegło z sypialni.

— Później ci powiem, Caddie! — odkrzyknęła, złowieszczo mrużąc oczy.

— Nie — chciałam być stanowcza, lecz z gardła dobył mi się ledwie szept. Zaczynałam mieć problemy z oddychaniem. Z trudem powtórzyłam: — Nie, Carla! Nie wolno ci tego zrobić!

— Co takiego? — zdziwiła się fałszywie, a do Caddiego powiedziała uspokajającym tonem: — Już idę, skarbie! — I znów odwróciła się do mnie: — Na wszelki wypadek uprzedź Glena, żeby uważał. Niby wygląda zdrowo, ale nigdy nie wiadomo, zwłaszcza z takim pakerem jak on... Lepiej dmu-

chać na zimne i tak dalej... Dobrze, już dobrze — podniosła do góry wolną rękę — przecież tylko żartuję. No, to dobranoc.

Zamknęłam oczy. Trzask drzwi, trzeszczenie sprężyn w pokoju obok, ściszone głosy i śmiech.

— O co jej chodziło, kochanie? — Glen przerwał na chwilę całowanie mojego karku. Przekrzywił głowę i patrząc mi prosto w oczy, zaczął gładzić wewnętrzną stronę moich ud. — Już sobie poszła, odpręż się.

— Przestań! — odepchnęłam jego dłoń.

— To dlatego, że pali się światło? — spytał zaskoczony. — Zaczekaj moment, już gaszę.

— Nie, światło nie ma tu nic do rzeczy. Przepraszam...

— W takim razie co się stało?

— Nie mogę ci tego wyjaśnić — powiedziałam wstając.

Glen westchnął ciężko i położył się na wznak. Obserwował mnie spod przymkniętych powiek, jak przemierzam pomieszczenie szybko i cicho niczym kot i stoję pod drzwiami do sypialni. Sprężyny znów zaczęły jęczeć, tym razem bardziej rytmicznie. W tle rozległ się tubalny śmiech Caddiego:

— Żarty sobie stroisz! — między jednym wybuchem śmiechu a drugim.

— Przysięgam, że to prawda! — piskliwy głos Carli. Sięgnęłam do klamki.

— Hej! — zaprotestował Glen. — Nie powinnaś tam wchodzić.

Bezgłośnie oparłam czoło o framugę.

— Masz rację...

— Czy to przez nią? — chciał wiedzieć Glen. — Nawiasem mówiąc, nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówiła.

— To bez znaczenia.

Odsunęłam się od drzwi, byle dalej od nieprzeparanej pokusy, żeby...

— Skąd ta pewność?

Wzruszyłam ramionami, nie śmiąc spojrzeć mu w oczy. Zbierało mi się na wymioty, czułam do siebie wstręt. Gdzieś zniknęła ta beztroska istota, która w świetle księżyca pieściła się z przystojnym nieznanym, namiętność prysnęła, rozbryzgnięta paroma słowami. Serce wciąż mi waliło, jednakże nie z podniecenia. Teraz już nie...

— Chyba już pójdę — powiedziałam grobowym głosem.

— Nie, Helen, zaczekaj. — Glen podniósł się z łóżka i podszedł do mnie. Wzrok miałam utkwiony w podłogę, ale i tak dostrzegłam jego porośnięte jasnymi włoskami uda i płaski brzuch wyzierający zza rozchełstanej koszuli. — Nie możesz tak po prostu uciec — ciągnął, próbując objąć mnie w pasie. Odtrąciłam jego rękę. — W porządku — poddał się — żadnego dotykania. Ale przynajmniej powiedz mi dlaczego, wyjaśnij...

— To nie ma sensu.

— Chodź, napijemy się — nie dawał za wygraną.

— No dobrze — przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

Sądziłam, że poda mi szklanek wody, jednakże nalał kieliszek brandy dla mnie, sam zaś pociągnął solidny łyk z butelki. Byłam w takim stanie, że alkohol, który normalnie palił mi gardło, spłynął niepostrzeżenie w dół przełyku, mimo że wychyliłam cały kieliszek naraz, w nadziei na... sama nie wiedziałam na co — jakkolwiek stan byłby jednak lepszy od tego, w którym się znajdowałam. Niestety po pierwszym kieliszku nic się nie zmieniło, toteż pozwoliłam sobie nalać drugi.

— Co się dzieje między tobą i Carlą? — spytał Glen.

— Nic takiego — odparłam wymijająco. — Ledwie się znamy...

— Mnie się wydawało, że się na ciebie uwzięła.

— Nie, naprawdę wszystko było w porządku aż do dzisiaj. Po prostu jest zazdrosna... Upatrzyła sobie ciebie, wiesz...

— Taa... Tyle że ona wpadła w oko Caddiemu, nie mnie. Czemu pozwalasz jej sobą pomiatać?

— Przypuszczam, że jest mi jej żal.

Dopiero mówiąc te słowa, uzmysłowiłam sobie, że to prawda. Chociaż, paradoksalnie, w tamtej akurat chwili ani trochę jej nie żałowałam. Litowałam się nad sobą, na nią zaś byłam zwyczajnie zła.

Glen wyrwał mnie z ponurych rozmyślań.

— A o co chodziło z tym całym ostrzeganiem?

— O nic. Słuchaj, Glen, to naprawdę nie ma żadnego znaczenia... Jest mi przykro, że...

— Niepotrzebnie — znów się uśmiechał. — Przecież ty tu decydujesz.

Niech to szlag! — pomyślałam. To, że do końca zachowywał się jak dżentelmen, czyniło wszystko trudniejszym. Ciekawe, czy wiedział o tym i zachowywał się tak celowo.

— Pójdę już — powtórzyłam.

Ku mojemu zdziwieniu Glen się postawił. Wytłumaczył mi, że jest środek nocy, ciemno choć oko wykol, a ja nie znam okolicy. Do tego — perorował — hotel na plaży będzie na pewno zamknięty na cztery spusty i co wtedy? Przenocuję na tarasie? Będę się dobijać do drzwi? Jeśli już koniecznie muszę iść, to tylko pod jego eskortą i koniec dyskusji.

Moje protesty tylko go zirytowały. Czułam się paskudnie, będąc zmuszona poddać się jego namowom, lecz nie widziałam innego wyjścia: za nic nie chciałam, by po numerze, jaki mu wykreśliłam, Glen drugie pół nocy spędził na chodzeniu w tę i w tę po wyspie, chroniąc moją niewinność — tak to przynajmniej widziałam.

Zatem zgodziłam się zostać w domku do świtu. Zaoferował mi łóżko, mówiąc, że może się przespać na podłodze albo w fotelu, ale ja miałam dość jego szarmanckości, którą uznałam za kolejny przejaw wyrafinowanej zemsty, i nalegałam, byśmy dzielili materac.

— Jak chcesz — mruknął.

Po raz pierwszy tej nocy wydał mi się odległy i zimny, choć prawdopodobnie był tylko zmęczony. Napił się jeszcze brandy, po czym ułożył się twarzą do ściany i niemal natychmiast zapadł w sen.

Leżałam jak trusia, bojąc się go obudzić najłżejszym gestem. Oczekałam, aż zacznie oddychać głęboko i miarowo, i dopiero wtedy przesunęłam się na skraj materaca, gdzie zamarłam i znów wyteżyłam słuch. Po krótkiej chwili ciszy podjął miarowe sapanie przez nos. Uspokojona, jednym ruchem przerzuciłam nogi na podłogę i poczułam orzeźwiający chłód terakoty. Nachyliłam się do przodu, opierając głowę na rękach; za oczami mnie łupało, w miejsce mózgu ktoś włożył mi watę, język miałam suchy i drętwy niczym kołek. Bez dwóch zdań: przesadziłam z pićciem. Jutro zamiast cieszyć się ostatnim dniem urlopu, będę leczyć gigantycznego kaca — pomyślałam smętnie. — Dobrze mi tak, należy mi się, za wszystko... O mój Boże!

Chciało mi się pić jak jeszcze nigdy w życiu. Ostrożnie podeszłam do zlewu, ale przy pierwszej próbie odkręcenia kranu metal zaczął piszczeć, a rury dudnić.

— C-coo? — wymamrotał Glen.

Szybko zakręciłam kran. Byłam półprzytomna, ale jeden cel miałam jasno wytyczony: za żadne skarby nie wolno mi obudzić Glena. Po pierwsze chciałam się wymknąć bez konieczności wysłuchania kolejnej pogadanki na temat bezpieczeństwa na wyspie, a po drugie... hmm... nie pamiętałam co po drugie. Tak czy inaczej Glen musiał zostać w łóżku.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu wody mineralnej czy choćby zwietrzałego piwa, ale nic nie stało na widoku. Trudno, musiałam ugasić pragnienie za pomocą brandy, której butelka znajdowała się w zasięgu ręki, a do tego była otwarta — dobrze, nie będzie niepotrzebnego hałasu, co w tamtej chwili wydawało mi się najważniejsze. Usiadłam przy niewielkim stoliku i piłam z gwinta. Faj, nigdy nie przepadałam za brandy, ale nie miałam wyboru. Kiedy w głowie zaczęło mi wirować, a w uszach szumieć, podparłam się łokciami i przymknęłam powieki.

Być może straciłam przytomność.

Zamrugłam oczyma i jęknęłam; czułam się dziesięć razy gorzej niż przed klinem, pod czaszką waliły mi teraz młoty pneumatyczne. Nawet mizerne światło wstającego dnia docierało wprost do mózgu i raniło neuron po neuronie. Zaraz, zaraz — światło wstającego dnia? Obiecałam Glenowi, że nie wyjdę przed świtem, a skoro switało, mogłam wyjść. Myślenie nadal szwankowało, ale te fakty umiałam powiązać. Wstałam.

Za wszelką cenę chciałam opuścić domek. Znaleźć się z dala od Glena, Caddiego i przede wszystkim — Carli. W głowie odbijało mi się echem niedowierzające „Żarty sobie stroisz!” Caddiego i piskliwe „Przysięgam, że to prawda!” Carli i ich śmiech, okrutny głośny śmiech. To niemożliwe, żeby opowiedziała mu o Gabrielu, nie zrobiłaby tego... Nie mogła tego zrobić.

Ale w takim razie z czego tak się śmiali? — zapytał cichy głos w moim umyśle.

Zresztą to moja wina: wręczyłam prawie nieznałomej kobiecie broń, a ona nie zawahała się jej użyć w dogodnym dla siebie momencie. Niech ją wszyscy diabli! — wybuchnęłam w duchu.

— Nie miała prawa tak postąpić. To było jak zdrada, jak...

No i co z tego? — znów ten cichy głos.

Ogarnął mnie wstyd, ciemny i lepki jak ropa. Oczyma wyobraźni zobaczyłam na sobie znaki ostrzegawcze: UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO! TRZYMAĆ SIĘ Z DALEKA!

„Przecież to nic takiego...”

Do licha, jak mogła mi to zrobić? Po co wywlekła ten brudny sekret?

Było znacznie chłodniej; na godzinę przed brzaskiem nawet nad Morzem Śródziemnym robi się zimno. Nie zastanawiając się wiele, zdjęłam z oparcia krzesła męską koszulę i zarzuciłam ją na ramiona. Przy samym wyjściu nałożyłam klapki na nogi i bardzo, bardzo cicho nacisnęłam klamkę, zaklinając drzwi, by nie zaskrzypiały. Chwilę potem byłam na zewnątrz.

Księżyc zdążył już zająć i choć nad horyzontem różowiła się poświata wschodzącego słońca, na dworze było wciąż ciemno. Walcząc z nudnościami i wszechogarniającym pragnieniem, stałam chwiejnie bez ruchu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Ostrożnie zrobiłam krok, potem następny. Wreszcie poczułam pod stopami gładszą powierzchnię, asfalt albo beton, niewątpliwie prowadzący do szosy.

Odetchnęłam z ulgą, uznawszy, że szosa będzie bezpieczniejsza niż ścieżka przez chaszczę, którą zśliśmy w nocy; poza tym niechęcią napawała mnie myśl o powrocie na bezludną plażę. Trzymanie się cywilizacji było jedynym sensownym wyborem — miałam dość komplikacji jak na tę noc, na domiar złego głowa bolała mnie coraz bardziej, w gardle suszyło. Jak najkrótszą drogą dojść do hotelu, na miejscu wypić butlę wody, paść do własnego łóżka, nic więcej nie potrzebowałam do szczęścia...

— Helen, zaczekaj na mnie!

Krzyk i tupot nóg dosięgnęły mnie, kiedy skręcałam na szosę wijącą się wzdłuż wybrzeża. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, zatrzymałam się w pół kroku. Carla!

Po chwili wahania podjęłam marsz, coraz szybszy, w końcu niemal biegłam drogą wiodącą do Yerolimani.

— Helen, zaczekaj! Gdzie ci tak spieszo? Boże, moja głowa... Co myśmy robili zeszłego wieczoru?... Ciekawe, czy było warto? — Zrównała się ze mną, dysząc z wysiłku. Wyglądała równie paskudnie, jak ja się czułam: tusz do rzęs i odblaskowa niebieska kredka do oczu spłynęły jej aż na policzek. Miała na sobie swoją białą spódniczkę i różowy top, nieco sfatygowane, na głowie zaś, zapewne jako trofeum, czapkę bejsbolową Caddiego, spod której wystawały jej rozczochrane włosy.

— Caddie okazał się lepszy, niż myślałam, bardziej namiętny — paplała, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami. — Marzę o prysznicu i świeżych ciuchach, nie mogę pozwolić, żeby zobaczył

mnie rano w takim stanie... Wybieramy się przecież na przejażdżkę łódką, pamiętasz? Pewno będzie fajnie... No, Helen, przyznaj, że dobry towar wybrałam...

— Zamknij się, Carla! Po prostu się zamknij!

— Co cię ugryzło? — zdziwiła się. — I nie krzycz tak, ja też mam kaca, wiesz?...

Odwrociłam się gwałtownie i stanęłam z nią twarzą w twarz. Wciąż było ciemno, tak że nie widziałam jej wyraźnie, dobrze jednak wiedziałam, co czai się w jej oczach: zadowolenie, podłość, tryumf.

— Powiedziałaś mu o wszystkim, może nie?

— Komu powiedziałam? — zdziwiła się Carla.

— Opowiedziałaś Caddiemu o tym, z czego zwierzyłam ci się któreś z poprzednich nocy...

— O twoim pierwszym razie? — zapytała lekko, jakby to było bez znaczenia. — Prawdę mówiąc nie pamiętam... podobnie jak większości wydarzeń zeszłego wieczoru... — zachichotała.

— Ale to możliwe. A co, masz coś przeciwko temu?

— Świetnie, kurwa, wiesz, że mam! I właśnie dlatego wszystko wypaplałaś! Wiedz, że nie miałaś prawa tego zrobić!

— Uspokój się, bo jeszcze ci żyłka pęknie... Wielkie rzeczy — prychnęła. — I jeśli chodzi o ścisłość, nic nie wypaplałam... mieliśmy z Caddiem ciekawsze zajęcia, skoro już musisz wiedzieć, co robiliśmy.

— Łżesz, Carla!

— A ty co tak dramatyzujesz? — odgryzła się. — Nie wyszło ci z Glenem? A tak ładnie razem wyglądaliście — szydziła.

— Doskonale wiesz, że nie o to chodzi. Poza tym to ty zrobiłaś wszystko, żeby popsuć nam zabawę.

— Ja? A co ja mam z tym wspólnego? Doprawdy, nie widzę powodu do hysterii. To ty zagięłaś parol na Glena, widziałam to od samego początku i dlatego przerzuciłam się na Caddiego. Ale nie możesz mnie winić za to, że Glen okazał się zimny jak wąż, podczas gdy Caddie stanął na wysokości zadania. Tak to już bywa... Fortuna kołem się toczy.

— To nie fortuna, tylko ty!

— Może mu się zwyczajnie nie podobałaś...

— Celowo nam przeszkodziłaś!

— Ciekawe, jak do tego doszłaś, ty mała podstępna...

— Powiedziałaś mu o mnie, ostrzegłaś go, a obiecywałaś mi, że nikomu nigdy nie powiesz! — wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

— Nie przypominam sobie żadnych obietnic. Boże, o co my się w ogóle kłócimy?...

Położyła dłoń na moim ramieniu.

— Zostaw mnie! — krzyknęłam, otrząsając się.

— Na litość boską, Helen, spójrz tylko na siebie. Nie przesadzasz trochę? Wyluzuj się, rozchmurz, przestań brać wszystko tak cholernie poważnie. Co z tego, nawet jeśli powiedziałam o tobie i tym biedaku, który wyzionął na tobie ducha? To jeszcze nie koniec świata, wiesz? — Ponownie położyła mi rękę na ramieniu. — Co się z tobą dzieje, Helen? Nie znasz się na żartach?

Uderzyłam ją.

Nie mocno, przynajmniej tak sędzę, gdyż nie chciałam jej zrobić krzywdy, nie chciałam jej nawet uderzyć — nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam. Zamierzałam tylko strząsnąć jej dłoń, dać jej do zrozumienia, że nie chcę, by mnie dotykała. Lecz moja ręka poszybowała wysoko w górę, palce szeroko się rozczapierzyły i przygotowana do odepchnięcia Carli dłoń niczym błyskawica przecięła otaczającą nas ciemność i plasnęła o policzek. Może tak właśnie było. Może źle wymierzyłam w ciemności i zamiast w ramię uderzyłam ją w twarz. Sama nie wiem.

Wiem jednak, że Carla przeraźliwie krzyknęła, przypuszczam, że bardziej ze strachu niż z bólu, a potem rzuciła się na mnie, jedną ręką łapiąc mnie za włosy, a drugą rozorując mi ostrymi paznokciami policzek, tuż pod okiem.

— Ty... Jak śmiesz!... — plunęła na mnie, celnie.

Zasłoniłam twarz dłońmi. Nie chciałam z nią walczyć, nie chciałam zrobić jej krzywdy; nawet ten pierwszy, być może przypadkowo jej wymierzony policzek wystraszył mnie bardziej niż ją. Pragnęłam tylko uciec, znaleźć się daleko od niej...

Lecz ona nie puszczała. Chwyciłam ją za nadgarstki, żeby odciągnąć jej mordercze dłonie od swojej twarzy, ale ona była silniejsza, wciąż szarpała mnie za uszy, biła po ustach. Którąś stopą kopnęła mnie w łydkę, przy czym obie straciłyśmy równowagę i się przewróciłyśmy. Upadłam biodrem na pobocze, ostre kamienie wbiły mi się boleśnie w ciało; równocześnie poczułam przejmujący ból w ramieniu. Carla krzyczała jeszcze głośniejsze niż przedtem.

A potem — przysięgam, że to prawda, choć wiem, że nikt nigdy w to nie uwierzy... — Z tego co było potem, nie pamiętam już nic.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudził mnie ból. Na czaszce zaciskało mi się niewidzialne imadło, pod powiekami kłuły setki malutkich igielek. Jeszcze nim otworzyłam oczy, jęknęłam przeciągle i w ustach poczułam pył, pod policzkiem ostre kamyki. Lewą dłonią wymacałam żwir, prawa spoczywała na czymś miękkim, jak poduszka bądź... ciało. Przypomniałam sobie, że kładłam się koło Glena — czyżby to był on? Spróbowałam się poruszyć, lecz mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa, ignorując sygnały wysyłane z odzyskującego świadomość mózgu.

Na rany Chrystusa, ile ja wytrzymałam? — pomyślałam z odrazą.

Bolało mnie dosłownie wszystko: kark, plecy, ramiona, nogi; nawet paznokcie i włosy zdawały się krzyczeć z cierpienia, a każde uderzenie serca sprawiało, że się krzywiłam i błagałam w duchu, żeby to się wreszcie skończyło. Po bardzo długim czasie, kiedy pozostawałam w bezruchu, udało mi się zgiąć palce prawej dłoni. Lepiły się do czegoś. Czegoś zimnego i twardego. Jednakże przedramię nadal spoczywało na miękkości.

Nagle mięśnie zwiotczały od wysiłku i znów zapadłam w odrętwienie. Bębenki w uszach pękały mi od świergotu ptaków, przyczyniając dodatkowych cierpień. Proszę, uciszcie się... — myślałam. — Dajcie mi spokój, chcę spać. I niech mnie wreszcie przestanie boleć.

Skoncentrowałam się, siłą woli zmuszając ciało do ruchu. Wkrótce leżałam na plecach, wyczerpana, walcząc z opornymi powiekami. Jedna próba, druga, wszystko na nic... Wreszcie ujrzałam niebo. Głęboki błękit, na którym nisko zawieszona była niewielka tarcza — gwiazdy albo planety, samotnej jak ja. W słabym świetle dostrzegłam jeszcze daleką linię wzgórz, czarnych i odpychających. Na twarzy poczułam chłodny powiew wiatru.

Co ja tutaj, u licha, robię? — pomyślałam. I zaraz się zastanowiłam: — I gdzie w ogóle jestem?

Nie zważając na pulsujący ból głowy rozejrzałam się wokół siebie. Leżałam na drodze. Na pustej drodze — stwierdziłam po chwili. Po przeciwnej jej stronie ciągnęły się kamienie i skałki, przechodzące w skaliste wzgórza, po tej — drzewa, porastające łagodne zbocze schodzące ku morzu.

Obok mnie zaś... ta miękkość, którą wyczułam zaraz po przebudzeniu. Carla wciąż odpoczywała, spała czy co tam można robić, leżąc na twardej nawierzchni.

— Boże, Carla... — zaczęłam i urwałam, zbierając siły.

— Co myśmy robiły?

Nagle stanęły mi przed oczyma wydarzenia, jakie rozegrały się na drodze: Carla goniąca mnie od domku, kłótnia, szarpanina i... upadek.

Z niedowierzaniem uświadomiłam sobie, że nieprzytomna byłam najwyżej parę minut, może krócej, sądząc po kolorze nieba — słońce wciąż jeszcze nie wzeszło. W głowie odbijały mi się echem

nasze krzyki, pamiętałam wykrzywioną w złości twarz Carli, swój ból, lecz powoli wspomnienia się rozmywały, odpływając w nicość. Zresztą nie byłam pewna, czy to wspomnienia czy pijacki sen.

Uniosłam się na łokciach i z niemałym trudem usiadłam.

— Carla, nic ci nie jest?

Najwyraźniej i ona straciła przytomność, upadając albo w wyniku szoku w połączeniu ze skutkami przepicia, dokładnie jak to było w moim wypadku. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy obie miały rozbite głowy.

— Carla?... — dotknęłam jej ramienia. W trakcie szarpaniny musiałam jej naciągnąć daszek czapeczki głęboko na czoło, gdyż zasłaniał teraz pół twarzy. Uniosłam go i zamarłam. Ciemne oczy Carli wpatrywały się we mnie ze spokojem. Rzuciłam się do tyłu, tłumiąc okrzyk przerażenia. — Rany, Carla, ale mnie nastraszyłaś... — Nie poruszyła się nawet. Dostrzegłam, że wysoko na czole, tuż za linią włosów, jej głowę pokrywa ciemna, lekko opalizująca substancja. Nie potrafiłam się przemóc, żeby ją zetrzeć.

— Carla, musisz wstać, jesteś ranna... Chodź, wrócimy do domku chłopców... — Nadal żadnej odpowiedzi. Potrząsnęłam ją za ramię. Jej głowa chyba się lekko poruszyła. — No dobrze — powiedziałam nieco głośniejszym głosem, niż zamierzałam. — Jesteś wciąż słaba. Przesunę cię na pobocze, na wypadek gdyby ktoś tędy przejeżdżał. Dasz sobie radę przez te parę minut, kiedy ja pójdę sprowadzić pomoc? Zaraz wrócę z Glenem albo Caddiem — do mojego głosu zakradała się panika.

Zdałam sobie sprawę, że ciężko oddycham. Z trudem zmieniłam pozycję i natychmiast opadłam na kolana, poczuwszy rozdzierający ból pod czaszką. W prawej ręce wciąż coś trzymałam. Spory, kanciasty kamień. Niewiele myśląc chciałam go odrzucić, ale kiedy podniosłam rękę, by wziąć zamach, zobaczyłam, że całą dłoń, nawet nadgarstek, mam upapraną w ciemnej kleistej substancji, takiej samej jak...

Zmusiłam się, żeby przyjrzeć się dokładniej. Kamień, właściwie odłamek skalny, niczym przyśrubowany tkwił w zagłębieniu mojej dłoni. Na jego powierzchni wykwitł jakiś wzór... żyłkowanie?... nie, raczej coś go pokrywało... mech albo porosty... ..albo krew.

Krew Carli. O mój Boże, wciąż doń przyłączone były jej włosy, a nawet skrawki skóry w miejscach, gdzie ostre kandy wbijały się w jej ciało. Zaczęłam się dusić, w gardle wyrosła mi wielka kula, jakbym chciała wyrzucić z siebie to wszystko: krew, włosy i naskórek drugiego człowieka, które niczym oskarżenie tkwiły w mojej zdrętwiałej dłoni.

Z czworaków podniosłam się na nogi, przełożyłam kamień do lewej ręki i wkładając w to całą siłę, jaka mi jeszcze została, odrzuciłam go precz. Poszybował najpierw w górę, ze świstem przeciął rzeńskie powietrze i zniknął w koronach drzew, opadając daleko w dole. Oburzone takim potraktowaniem ptaki poderwały się na chwilę z gałęzi, zatrzepotały niezadowolone skrzydłami, po czym zajmując bezpieczniejsze miejsce, podjęły ogłuszający świergot.

Przykucnęłam przy Carli i odwróciłam jej głowę w swoją stronę. Spod sińców i zakrzepłej krwi przebijał odblaskowy niebieski kolor, jej oczy patrzyły prosto przed siebie, czyli na mnie. Nieraz widziałam to pełne wyrzutu spojrzenie.

— Nie!!! — zawylałam. Z gardła wydobywały mi się nieludzkie dźwięki. — Och, nie, nie, nie! Carla, proszę... tak mi przykro... Ja nie chciałam... Obudź się, Carla... Wszystko będzie dobrze, sprowadzę pomoc... Carla, proszę cię, nie umie... — klęczałam za jej głową, krztusząc się, zachłystując, błagając ją:

— Carla, przecież wiesz, że to nienaumyślnie... Wstań, Carla, proszę cię...

Wreszcie dotknęłam jej głowy, twarzy. Na moich rękach pojawiła się świeża krew. Skóra Carli była nienaturalnie chłodna.

Ogarnęła mnie panika, niczym kleszczami ściskając mi płuca, udaremniając zaczerpnięcie tchu. Przerazenie znalazło ujście w zwierzęcym krzyku:

— Neeee!!!

Ujęłam jej głowę w swoje dłonie, ułożyłam na kolanach i zaczęłam kołysać, marząc, bym była w stanie wmusić w nią życie, sprawić, że zatrzepocze powiekami i się uśmiechnie...

— Carla, tak mi przykro... Nie rób mi tego, proszę... O Boże, Boże, Boże, pomóż mi... niech mi ktoś pomoże — słowa przeszły w przerywany szlochem jęk.

Łzy mieszały się z potem i śluzem. Łzy przerażenia i żalości — nad sobą, nie żalu nad Carłą. Myślałam tylko o sobie. Bełkotałam i zawodziłam, rozsmarowując po twarzy krew, brud i łzy, czując, jak panika narasta we mnie z siłą huraganu.

Nagle w przejrzystym powietrzu poranka rozległ się odległy dźwięk i z każdą chwilą potężniał. Samochód? Czy samolot?

Uniosłam głowę w stronę jaśniejącego nieba, na moment oślepiło mnie odbijające się w szczycie wzgórza słońce i wydało mi się, że odrywam się od ziemi i szybuję nad wijącą się szosą. Przez ułamek sekundy, a zarazem przez całą wieczność, byłam orłem utrzymującym się w przestrzeni na szeroko rozpostartych skrzydłach. Z przerażającą dokładnością widziałam każdy szczegół rozpościerającej się poniżej sceny: na skraju drogi leżała kobieta w połyskującym różowym topie i białej spódnicy, stopy miała wygięte pod nienaturalnym kątem, jednakże wciąż oplecione pasczkami delikatnych sandałków. U jej głowy ktoś klęczał — druga kobieta, ubrana w granatową sukienkę, kołysząca się i zawodząca w pierwotnym przerażeniu. Oderwawszy wzrok od dwu ludzkich sylwetek, spojrzałam przed siebie i w oddali na drodze zobaczyłam rosnącą w oczach ciężarówkę.

W ułamku sekundy z wysokości wróciłam do swego ciała. Nachyliłam się i wsunawszy dłonie pod pachy Carli, próbowałam ją podnieść, łudząc się, że pozbędę się jej równie łatwo jak wcześniej kamienia. Była jednak zbyt ciężka, ciążyła mi w rękach i na sumieniu... Z wielkim trudem udało mi się przeciągnąć ją w stronę pobocza. Kiedy zsunął się któryś z sandałków, opuściłam jej ciało na drogę i

nieomal potykając się o wyciągnięte bezwładnie ramię, czym prędzej umieściłam but z powrotem na stopie, po czym wyprostowałam się i czujnie rozejrzałam wokół. Omiatając wzrokiem szosę, gorączkowo oceniając sytuację i szukając z niej wyjścia, kątem oka zauważyłam, że dotykając bluzki Carli, ubrudziłam ją krwią z własnych rąk. Łkając zdałam sobie sprawę, że nie zdołam jej ukryć; nawet jeśli przeciągnę ją jeszcze parę metrów, w kępę porastających zbocze drzew — myślałam — ktoś ją odkryje prędzej czy później, za godzinę albo za dzień. Co wtedy?... Odpowiedź sama pojawiła się w moim umyśle: Wtedy wszystko będzie wskazywać na to, że zabiłam ją ja...

Wstałam. Carla nadal leżała, radośnie biało-różowa, bujne kasztanowe włosy zakrywały jej twarz. Wyglądała, jakby spała. Znów opadłam koło niej na kolana.

— Carla, zbudź się! Przecież wiesz, że jest mi przykro. No już, obudź się...

Wszystko na darmo, oczywiście. Carla nie żyła, ja ją zabiłam, a za chwilę ktoś nadjedzie i znajdzie mnie przy jej ciele. Zobaczy jej krew na moich rękach, powiąże fakty i nim się spostrzegę, zostanę wtrącona do więzienia i moje życie się skończy...

Nie. Nie pozwolę na to!... Nikt nie może mnie tutaj zobaczyć. Nie teraz, nie tak... Wciąż mogę uciec, ratować się... Przynajmniej spróbować... postarać się, by mnie nie zobaczono.

Warkot silnika ciężarówki był coraz głośniejszy. Zerwałam się na równe nogi, niejasno zdając sobie sprawę, że powinnam coś jeszcze zrobić, ale nie potrafiłam się skupić. Musiałam uciekać, ale nie umiałam ot tak zostawić Carli samej; wydawała się taka krucha. Pomyślałam: O mój Boże, przecież nie mogę jej opuścić, ona nie zna nawet słowa po grecku... — Z piersi wydarł mi się jęk. — Jakaż jestem głupia! Nie przejmuj się Carlą — mówiłam sobie. — Zostaw ją, ratuj siebie! Masz niewiele czasu, ciężarówka zaraz tu będzie.

Zaczęłam iść, wracałam tą samą drogą, którą tu przyszłyśmy. Staralam się zapanować nad sobą, zachowywać się normalnie. Powtarzałam sobie w duchu, żeby nie biec, bo to wzbudzi czyjeś podejrzenia, jednakże strach gnał mnie do przodu. Potykałam się, upadałam, po czym znów wstawałam i biegłam dalej. Za plecami słyszałam warkot ciężarówki. Zmusiłam się do jeszcze szybszego biegu, choć nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Wyobrażałam sobie, że pływę, jeden wyrzut za drugim, właśnie tak, dobra dziewczynka. Unosiłam się, frunęłam, stopy nie dotykały nawierzchni, lecz wciąż wydawało mi się, że jestem za wolna. Uciec stąd, byle dalej od...

Nie wiedziałam, dokąd biegnę. Chciałam znaleźć się w miejscu, w którym byliśmy, zanim to się stało. W bezpiecznym miejscu. Nie zastanawiając się, co robię, skręciłam i pobiegłam dalej ścieżką prowadzącą do domku chłopców. Mimo że byłam już spory kawałek od drogi, słyszałam silnik ciężarówki, jakby znajdowała się tuż za mną. Uszy i głowę wypełnił mi ogłuszający hałas, w bezradnym geście obrony uniosłam ręce, by się osłonić, i wtedy doszedł mnie przeraźliwy, przeciągły dźwięk klaksonu i zaraz pisk hamulców, wizg opon na suchej nawierzchni, wreszcie zgrzyt metalu o kamień.

A ja dalej biegłam, minęłam w pędzie domek, przedarłam się przez gaj oliwny, chaszczę i wysoką trawę, wybiegłam na otwartą przestrzeń, przecięłam łacę piasku i skierowałam się prosto do morza, do podnoszącego się nad horyzontem słońca, oświetlającego mi promieniście drogę. Strząsnęłam ze stóp klapki, zanurzyłam się po kolana, potem po pas w wodzie, wreszcie rzuciłam się do przodu i zaczęłam płynąć.

Płynęłam, żeby zapamiętać.

Niestety, zapomnienie nie przychodzi łatwo.

Nie raz później myślałam, że jeśli w ogóle miałam wtedy jakiś plan, było nim wypłynięcie na taką głębinię i tak daleko od brzegu, żebym utraciła wszystkie siły i zamiast wrócić na ląd, musiała unosić się do czasu, aż wyzionę ducha. Zdziwiająco, że woli przetrwania, jaka z wielką siłą objawiła się, kiedy odkryłam, że Carla nie żyje, towarzyszyła równie silna chęć autodestrukcji — czymże innym bowiem było zmuszenie się do płynięcia póki sił, a potem jeszcze dalej, tak by nic już nie zależało ode mnie.

Wszakże droga, którą wybrałam, nie prowadziła wprost do słońca... Tam gdzie zatoka przechodziła w otwarte morze, kołysały się na falach trzy zakotwiczone jachty. Z łatwością je ominęłam i popłynęłam dalej, w duchu składając dzięki, że godzina jest jeszcze wczesna i nikogo nie ma na pokładzie. To znaczy — tak myślałam. Jakiś czas potem, właśnie gdy zaczynałam tracić siły, posłyszałam za sobą plusk wiosel i twardo brzmiący, obco brzmiący głos.

— *Guten Morgen!* Dzień dobrzy... Czy potrzebuje pani pomocy, *Fräulein*? — W szoku wciągnęłam powietrze z odrobiną wody. Spodziewałam się, że pierwsze ludzkie słowa, jakie usłyszę, będą brzmiały: „Stać! Jesteś otoczona!” Tymczasem zamiast bezwzględnego policjanta zwrócił się do mnie ktoś, dla kogo ten dzień dopiero się zaczął, tonem, jakby nic ważnego nie zdążyło się wcześniej wydarzyć. Przewróciłam się na plecy i spojrzałam wprost w opaloną twarz mężczyzny, wyczernioną na mnie zza burty małej łódki. Musiałam mu się przyglądać całkiem bezmyślnie, gdyż odkładając wiosła, dodał: — Do lądu jest daleko. — A kiedy wciąż milczałam, zapytał: — Mówi pani po angielsku? Albo francusku, duńsku...?

— Jestem Angielką.

Moje pierwsze wypowiedziane od wypadku słowa zabrzmiały prawie normalnie. Przynajmniej mężczyzna w łódce tak je odebrał. Skinąwszy głową, zaproponował:

— Wejdzie pani na pokład?

— Nie, dziękuję. Jestem dobrą pływaczką.

Niezbyt przekonany, widząc wszakże, iż nie ma potrzeby mnie ratować, ujął wiosła w dłonie i cicho oddalił się w stronę swego jachtu. Wciąż leżąc na plecach, patrzyłam za odpływającą łódką i czułam, jak ogarnia mnie niewysłowiony smutek. Miły, opiekuńczy Niemiec w średnim wieku leniwie wiosłował przez spokojne wody zatoki, krople wody opadały z czubków wiosel z powrotem do wody,

skrząc się w promieniach słońca niczym złociste paciorki, a mnie było smutno. Nie rozumiałam wtedy dlaczego, wiedziałam tylko, że wiele bym dała, żeby móc popłynąć razem z nim, do jego zwykłego poranka, lecz przecież nie mogłam. Łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach, ich sól mieszała się z solą morza.

Spokojnymi, wyważonymi ruchami dobił równoległe do jachtu, zabezpieczył wiosła i wspiąwszy się pod drabince na pokład, starannie przywiązał łódź. Odwrócił się, by mi pomachać, i zniknął po drugiej stronie jachtu. Zwykle, naturalne gesty i czynności dla niego były początkiem kolejnego letniego dnia, mnie uświadomiły, jak głęboka przepaść dzieli mnie od normalnego życia.

Po raz pierwszy poczułam smak wygnania z raju.

Odwracając się na brzuch, zanurzyłam twarz w wodzie, żeby obmyć łzy. Nie chciałam, by ktoś zobaczył, że płakałam. Wiedziałam już, że ucieczka jest niemożliwa, że nie mam innego wyjścia, jak tylko wrócić. Choć ja straciłam z oczu mężczyznę z jachtu, byłam pewna, że on mnie nadal obserwuje; nie co dzień przecież widzi się na pełnym morzu ubraną w sukienkę kobietę płynącą z zapalem przed siebie.

Znużona i zbyt wyczerpana, by myśleć, popłynęłam w stronę brzegu.

Wlokąc obolałe ciało w górę niewielkiego zbocza, na którym stał domek Glena i Caddiego, napominałam się w duchu, że potrzebny mi plan. Byłam świadoma tego, że muszę wybiegać myślą do przodu, planować, przewidywać postępowanie innych i podejmować adekwatne decyzje. Nie potrafiłam jednak uczynić najmniejszego intelektualnego wysiłku, mózg miałam jak zamrożony, umysł sparaliżowany przez szok. Wciąż nie wierzyłam w to, co się stało, zaprzeczałam faktom, nie umiając ich zaakceptować.

W głębi ducha wszakże znałam prawdę — bezwzględną i przerażającą.

Otwierając drzwi domku uświadomiłam sobie, że nim nastanie wieczór, znajdę się za kratami greckiego więzienia. Na samą tę myśl, której konsekwencją byłaby utrata całego mego dotychczasowego życia, zatrzęsłam się w duchu i czym prędzej ją od siebie odsunęłam. Chwała Bogu — westchnęłam — że nakazana instynktem ucieczka się nie udała. Zresztą jak miała się udać? Byłam na wyspie, a stamtąd nie było ucieczki! Poniewczasie zrozumiałam, że o mały włos sama bym się skazała: uciekając przyznawałam się do winy. Moją wyłączną nadzieją było zachowywać się jakby nigdy nic, jakby nic się nie stało.

Problem polegał na tym, że zdążyłam już zapomnieć, jak wygląda normalne życie.

Wewnątrz domku panowała cisza, jeśli nie liczyć bzyczenia owadów i miarowego posapywania Glena przez sen, co jeszcze bardziej wyprowadziło mnie z równowagi. Gdzieś w oddali zajęczała syrena, a może tylko mi się zdawało... Ból głowy odezwał się ze zdwojoną siłą, w uszach mi dzwoniło, w gardle paliło z pragnienia. Na poły na jawie, na poły we śnie przeżywałam raz jeszcze to, co się stało o

poranku; urywane słowa, fragmenty obrazów, krzyki i echo... Chwilami słyszałam głos Carli. W stanie, w jakim się znajdowałam, wszystko było możliwe.

Zauważyłam, że drzwi do sypialni są uchylone. Podeszłam do nich na palcach i zajrzałam do środka. Caddie spał na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękoma. Odwracając się zauważyłam stojącą przy drzwiach butelkę wody mineralnej, prawie pełną. Wzięłam ją, zaniiosłam do stolika i napełniłam szczerze szklanekę. Wypiłam jedną, po chwili jeszcze dwie. Choć umierałam z pragnienia, organizm się zbuntował. Ledwie zdążyłam wybiec z domku i dopaść drzwi wolno stojącej toalety, kiedy pobudzony żołądek i jelita równocześnie dały upust przejmującym mnie od dłuższego czasu uczuciom.

Drżąc jak w febrze, pokryta lepłą warstwą potu doczołgałam się do domku.

Przy stole kuchennym siedział Caddie. Miał na sobie opadające bokserki, szczękę pokrywał mu cieniem poranny zarost.

— Dobrze się czujesz? — zapytał ziewając.

— Zdarzało mi się czuć lepiej — odparłam.

Podeszłam do zlewu, żeby opłukać twarz, z wdzięcznością wzięłam z rąk Caddiego ręcznik i starannie się wytarłam. Czułam, że bieliznę i sukienkę mam wciąż mokre, do tego nieprzyjemnie sztywne.

— Zdaje się, że ostatni wieczór postanowił wziąć na mnie odwet... — zażartowałam wisielczo.

— Taa — mruknął Caddie. — Zrobię kawę — zapowiedział, ale nawet się nie poruszył. Rozejrzał się tylko wokół i spytał:

— Widziałaś Carlę?

Odwróciłam się do zlewu, całą uwagę poświęcając ręcznikowi, i dopiero gdy skończyłam go składać w zgrabną kostkę i odłożyłam na blat obok, powiedziałam:

— Myślałam, że jest z tobą — pod koniec zdania głos mi się lekko załamał.

— Była ze mną, ale wyszła tuż po tobie. Przebudziłem się na moment jakąś godzinę temu, może trochę więcej...

Zareagowałam błyskawicznie.

— Naprawdę? Nigdzie jej nie spotkałam.

— Źle. Za szybko, o wiele za szybko. Muszę być ostrożna.

— Ale... — zaczął Caddie, lecz urwał, kiedy od strony łóżka rozległ się jęk, a potem przekleństwo.

— Kurwa, czemu nie dacie człowiekowi spać? — Glen przerzucił nogi za brzeg materaca, postawił stopy płasko na podłodze i przejechał palcami po włosach. — Do licha, przecież jest dopiero wpół do ósmej.

Wyglądał zabójczo nawet na kacu i kiedy był cały wymięty. Gapiłam się na niego jak sroka w gnata, z niedowierzaniem przyglądając się jego przystojnej fizjonomii i rozbrajającemu uśmiechowi,

myśląc, że zaledwie parę godzin wcześniej nie miałam większych problemów jak to, czy pójść z nim do łóżka czy nie.

— Przepraszam — powiedziała skwapliwie. — Nie chciałam cię obudzić.

— Nie marudź, tylko śpij — zbył go Caddie.

— Mnie już zresztą nie ma — dodałam.

— Tak wcześnie idziesz? — spytał Glen wbijając we mnie jasne oczy.

— Pierwszy raz wyszła jeszcze wcześniej — poinformował go Caddie.

Znów błyskawiczna odpowiedź:

— Pomyślałam sobie, że jak popływam z samego rana, zrobi mi się lepiej. Carla widać nie szukała mnie nad wodą. — Głos zrobił się nagle wysoki. — Pewnie poszła w stronę drogi, myśląc, że tam mnie dogoni. Tamtędy byłoby szybciej. To znaczy, ona nie wiedziała, że poszłam popływać. Gdybym się z nią wcześniej zobaczyła, tobym jej powiedziała, że idę na plażę, ale jej nie widziałam ani razu.

— Może — odezwał się Caddie łapiąc mnie za dół sukienki. — Hej, co ci się przytrafiło?

— Co? — szarpnęłam się, ale nie wypuścił materiału z ręki. Krew. Zobaczył krew na mojej sukience.

— Pływałaś w ciuchach? — zapytał, puszcżając rąbek wolno.

— A, to. Tak, jest mokra. No wiesz... Człowiekowi się wydaje, że na Morzu Śródziemnym nie ma fali, a tu nagle omal go nie powala ściana wody. Nieopodal brzegu przepływał jakiś stateczek i prawie mi zerwał sukienkę...

— To byś dopiero ładnie wyglądała!...

— O tak — zmusiłam się do uśmiechu. Do rozmowy włączył się Glen.

— Lepiej ją przepłucz, bo sól zniszczy materiał — poradził jak prawdziwy fachowiec, znający się na wyrobach dziewiarskich.

Wstał i na bosaka podszedł do zlewu. Poruszał się w ten charakterystyczny sposób — powoli, szeroko rozstawiając nogi, jak prawie każdy mężczyzna po ciężkiej nocy. Odkręcił kurek i nalał sobie szklankę wody, czemu nie towarzyszyły prawie żadne dźwięki ze strony armatury i rur.

— No więc... — zaczęłam. — Chyba już wrócę do hotelu. Carla... — odkaszlnęłam — Carla pewnie się zastanawia, gdzie się podziewam.

— Napijesz się kawy przed wyjściem?

— Nie, dzięki. Do śniadania zawsze podają kawę.

— To o której się spotkamy? — chciał wiedzieć Caddie.

— Spotkamy? — powtórzyłam jak echo, czując, że serce zaczyna mi walić.

— No wiesz, wycieczka łódką...

— A, tak. Całkiem zapomniałam.

Wycieczka! Robiłam co mogłam, żeby wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, ale zupełnie się pogubiłam. Caddie nie czekał, aż pozbięram myśli.

— To może my przyjdziemy do was o pierwszej, góra wpół do drugiej. Zjemy razem pizzę czy coś i wynajmiemy łódź na późne popołudnie. Co ty na to?

— Dobrze. To znaczy wspaniale! — wykrzesalam z siebie entuzjazm, nie potrafiąc nawet wyobrazić sobie godzin dzielących mnie od teraz do późnego popołudnia. — Carli pewnie też się to spodoba. Jak wrócę do hotelu, zorientuję się, na co ma ochotę...

Mówiąc te słowa niemal sama uwierzyłam, że to prawda. Rozmowa z Glenem i Caddiem była taka zwykła, przebiegała tak gładko. Żaden z nich nawet nie przeczuwał, że gram przed nimi, jak nie grałam jeszcze nigdy w życiu. Ani przez moment mnie nie podejrzewali. A może nie było o co mnie podejrzewać? Może kiedy wrócę do hotelu, Carla będzie tam na mnie czekać? Oczywiście wyobraźni zobaczyłam ją, jak siedzi przy którymś stoliku na wolnym powietrzu, być może nawet przy tym samym, przy którym siedzieliśmy wczorajszego wieczoru i przy którym dała popisowy koncert? Na mój widok uniesie wysoko na czoło ciemne okulary, lekko przepitym głosem zapyta: „Gdzieżeś się, u licha, podziewała całe rano? Martwiłam się o ciebie”. Tak, to na drodze wcale się nie wydarzyło. To był tylko zły sen, koszmar spowodowany nadmiarem alkoholu i za długim przebywaniem na słońcu, brakiem snu i moją mściwą naturą. Carli nic nie jest — myślałam.

— Czeka na mnie w hotelu. Miłosierny Boże, spraw, żeby tak właśnie było...

— Helen, dobrze się czujesz?

— Co? — rozejrzałam się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

— Cała drżysz. Chyba nie powinnaś tyle pić. — Glen patrzył na mnie z pobłażliwym uśmiechem w oczach, na brodzie błyszczały mu kropelki wody, którą przed chwilą opryskał sobie twarz.

— Och nie, wszystko w porządku. To mi przejdzie... Wystarczy, że wezmę porządny prysznic i zjem śniadanie, a znów będę w formie. Nic się nie martw, Glen. To tylko niewinny kac... — trajkotałam jak katarynka. W duchu na siebie krzyczałam, kazałam się sobie zamknąć, trajkotanie z pewnością nie było naturalne, przynajmniej nie dla mnie, zaraz się wyda, że coś jest nie tak... A mimo to ciągnęłam: — Morze o poranku postawiło mnie na nogi, wiecie, od razu przejaśniło mi się w głowie... Sami powinniście spróbować. Najlepszy środek na kaca... Chociaż przyznaję, że wciąż czuję się nietęgo. Ale to minie, zapewniam was.

— Mam nadzieję. Ja sam czuję się, jakby przejechał po mnie walec.

Wszystko było w porządku. Glen się uśmiechał, nie zauważył niczego podejrzanego. Może była jeszcze dla mnie szansa... Nagle, już kiedy wychodziłam, Caddie rzucił pytanie:

— Hej, nie widziało któreś z was mojej kraciastej koszuli? Jestem pewien, że zostawiłem ją na tym krześle.

Bezwiednie sięgnęłam ręką do gołego ramienia. Właśnie z tego krzesła zabrałam męską koszulę wychodząc z domku o świcie, jeszcze w ciemnościach. Nie mogłam wykluczyć, że była to kraciasta koszula. Właściwie jestem pewna, że była w kratę. Pamiętałam, że narzuciłam ją na ramiona, zapewne wciąż miałam ją na sobie, kiedy Carla dogoniła mnie na drodze. Czyżby zsunęła mi się z pleców, kiedy upadłam? Czy leżała teraz gdzieś zaplamiona krwią Carli? A może spadła mi, dopiero gdy biegłam w stronę morza? Tak czy inaczej, jeśli ją ktoś znajdzie, nie będzie dla mnie ratunku...

Rozmyślania przerwał mi spokojny jak zawsze głos Glena.

— Pewnie Carla ją sobie pożyczyła.

— Taa... — zgodził się Caddie. — Pewnie tak. Z pewnością zabrała moją czapkę bejsbolową.

Kiedy Caddie to mówił, byłam już za drzwiami. Na dźwięk jego słów przed oczyma stanęła mi twarz Carli, kiedy uniosłam lekko daszek jej czapki, żeby przekonać się, że tylko się ze mną drażni, przypomniałam sobie jej puste, rozszerzone źrenice. Wspomnienie uderzyło we mnie niczym czyjaś pięść, zgięłam się wpół, nie potrafiąc złapać tchu. Tylko siła woli sprawiła, że nie klapnęłam na ziemię, lecz szybkim, coraz szybszym krokiem oddalałam się od domku. Cieszyłam się, że nikt nie może zobaczyć wyrazu mojej twarzy.

Kiedy szłam ścieżką w stronę hotelu, dzień wstawał czysty i piękny, tak że nie sposób było wierzyć w nocne strachy. Nawet z zarośniętego, mrocznego miejsca, gdzie minionego wieczoru Carla zaczęła panikować w ciemności, zniknęły wszelkie złowrogie cienie; przeistoczyło się ono w jasną plamę światła, w której tańczyły żółtoskrzydłe motyle. Otuchą napawało mnie także, iż Glen i Caddie zachowywali się zupełnie naturalnie, niczego nie podejrzewając. Bliska byłam wierze, że wszystko będzie dobrze.

Niestety, tylko bliska...

Uspokoiwszy się miarowym rytmem marszu, analizowałam przedstawienie, które dałam przed paroma minutami. I wychwytywałam swoje potknięcia. Już przy pierwszym oblał mnie zimny pot. Głupia, głupia, głupia — przeklinałam się w duchu, może nawet na głos. Po co twierdziłam, że zostawiłam ubranie na plaży, skoro mężczyzna z jachtu widział mnie pływającą w sukience? Powiedziałam niepotrzebne kłamstwo! Boże złoty, czemuś mnie stworzył taką idiotką? Dlaczego musiałam to powiedzieć? Przecież prędzej czy później ktoś przesłucha Niemca i wtedy wyjdzie na jaw, że skłamałam. A wiadomo, że ten, kto nie ma nic do ukrycia, nie ma także potrzeby kłamać. Zaczną więc coś podejrzewać, zasypywać mnie podchwytliwymi pytaniami, dojrzą poczucie winy w mych oczach, wyrzuty sumienia wypisane na czole, a potem...

O mój Boże, nie. Nie, nie, nie...!

Zmyliłam krok, potknęłam się o wystający korzeń drzewa. Nic dziwnego, oczy zalewały mi łzy. Szłam za szybko, mamrotałam sama do siebie. Zamknij się, Helen — gdybym mogła, tobym się spoliczkowała. — Po prostu się zamknij!! Sama się zdradzasz, ułatwiasz im robotę. Chyba nie chcesz, że-

by cię zapuszkowali, co? Wciąż masz jeszcze szansę, na razie nikt cię o nic nie podejrzewa. Ale musisz zachowywać się przytomnie. Musisz myśleć. Myśl — nakazałam sobie w duchu.

Kraciasta koszula. Gdzie się podziała? Po coś ją wkładała? Ani do ciebie nie należała, ani jej nie potrzebowałaś. Coś ty sobie w ogóle wyobrażała?... Za późno, by cokolwiek zmienić, nie przejmuj się więc koszulą, skup się na tym, co naprawdę ważne. Widzisz, już dochodzisz do hotelu, nie możesz nagle zawrócić i zacząć szukać jakiejś głupiej koszuli. I tak wszyscy uznają, że to Carla ją pożyczyła, podobnie jak czapkę bejsbolową. Zachowaj spokój, tylko to może cię uratować. W nocy byłaś z Glenem, rano poszłaś popływać, teraz wracasz do swojego hotelu. Spodziewasz się tam spotkać Carlę. Zagraj to dobrze, a nikt niczego się nie domyśli...

A jednak... Przecież ktoś skojarzy fakty. Bardzo prawdopodobne, że kierowca ciężarówki widział mnie, jak uciekam z miejsca zbrodni. A jeśli nie on — mógł mnie widzieć ktoś inny, jakiś ranny ptaszek, turysta lubiący poranne przebieżki albo miejscowy pasterz, albo... zresztą nieważne kto. Ktoś mógł wszystko widzieć. Jak zaczęłyśmy się z Carlą kłócić, potem bić, jak podniosłam kamień i roztrzaskałam nim głowę Carli. Ktoś na pewno widział, jak ją morduję. Dowiedzą się i nic ani nikt mi nie będzie w stanie pomóc.

O, widzisz! Już jest dla ciebie za późno.

Przed hotelem stoi wóz policyjny, duży i niski z maską pomalowaną na niebiesko, białym dachem i drzwiami, jego błotnik pobłyskuje złowieszczo w przedpołudniowym słońcu.

Czekają na ciebie.

Przyjechali po ciebie.

Nie! Nie dam rady przez to przejść, zaraz pęknie mi głowa. Chcę do mamy, do domu...

Niech mi ktoś pomoże, proszę...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Strach dotyka na najróżniejsze sposoby. Od chwili kiedy zobaczyłam zaparkowany przed hotelem wóz policyjny, dzień rozsypał się na fragmenty, odłamki, z których tylko część utkwiała mi w pamięci, inne zaś wspomnienia, niczym prześwietlone fotografie, są ledwie czytelne. Jedne wyrazistością, drugie zmuszając do wysiłku wciąż przyprowadzają mnie o sążnisty ból głowy, ilekroć je nieopatrznie przywołam.

Idę jak automat w stronę hotelu. Poruszam się, lecz umysł mam wyłączony, nasączony strachem i wyłącznie nim zaprzątnięty. Na spotkanie wychodzą mi Despina i matka Manolego, z niezwykłą wyrazistością widzę wszystkie szczegóły, na przykład to, że stara Greczynka ma na stopach łapcie, którymi szura po piasku, wzbijając tumany pyłu.

Zatrzymuję się. One nadal przecinają plażę, zbliżając się do mnie z każdą chwilą.

Twarze mają poważne.

A więc jednak... Czuję, jak na moich nadgarstkach zaciska się zimny metal kajdanek. Czy uda mi się wytrzymać to, co nieuchronnie mnie czeka?...

Staruszka zaczyna do mnie mówić, szybko i głośno, lecz nie rozumiem ani słowa. Nagle wyrzuca ręce w górę i wybucha szlochem. Równocześnie przemawia, zawodzi i wymachuje rękoma. Despina burczy coś do niej, po czym ujmuje mnie pod ramię.

— Chodź — odzywa się łamaną angielszczyzną. — Złe wieści.

Nie mam wyboru.

W barze jest tłoczno; prawie wszyscy goście, zamiast opuścić hotel zaraz po śniadaniu, zostali, żeby obejrzeć przedstawienie do końca. Przedstawienie pod tytułem „Ujęcie angielskiej turystki”.

Miejscowi, którzy normalnie przychodzą pograć w tryktraka i pogapić się na morze i zachodnie kobiety nieco później, już się jakoś zwiedzieli i również okupują swoje stoliki. Manoli uwija się za kontuarem, podając spragnionym sensacji kawę w malutkich filiżankach, a nawet alkohol. W kącie siedzi zezowaty młokos, który uganiał się za mną po wyspie... mój Boże, kiedy to było? Nigdy wcześniej nie widziałam tego miejsca tak ożywionego. Jednakże na mój widok zalega cisza.

Wtedy ich dostrzegam. Dwaj policjanci, ubrani w jasnoniebieskie koszule i nieco tylko ciemniejsze spodnie — młody, bardzo młody, jeszcze z mlekiem pod nosem, ma płowe włosy i delikatne rysy; starszy, około pięćdziesiątki, nosi okrągłe okulary i wyglądem przypomina nauczyciela. Podchodzi do mnie z poważną twarzą.

— Panienko. Proszę. Może pani usiądzie.

Zimny metal dotyka mojego ciała. To tylko krzesło. Wokół gromadzą się zaciekawione twarze. Patrzę na starszego policjanta wyczekująco.

— Bardzo żałuję — mówi. — Jest wypadek.

— Tak — odzywam się.

Wiem. Jednakże to „wiem” wypowiadam tylko w myśli, nie na głos.

— Przyjaciółka panienki... Carla Finch... — urywa. Ciekawe, czy słyszą, jak wali mi serce? Czuję, że zaraz znów będzie mi niedobrze. Wstrzymuję oddech, milczę. Przed oczyma mi ciemnieje, twarz policjanta powoli znika. Czeka na jakąś moją reakcję, wreszcie wzdycha. — Niedobry wypadek — oznajmia. — Nie żyje.

— O mój Boże — mówię.

Nagle dociera do mnie panujący wokół hałas. Ludzie krzyczą jeden przed drugim. Ktoś mnie dotyka, kładzie mi dłonie na ramionach, nie przestając mówić podniesionym głosem. W całym tym zamieszaniu niemal umknęło mi znaczenie tego, co powiedział policjant, wreszcie przebija się do mojej świadomości i zapala iskierkę nadziei.

Ze zdziwieniem przysłuchuję się samej sobie.

— Przepraszam, powiedział pan: wypadek?

— Tak, bardzo niedobry. Żałuję... — powtarzając słowa starszego kolegi, młody policjant zakłada ciemne okulary, spod których wypływa samotna łza.

Wyjaśnięć udziela ten drugi. Miejscowy kierowca ciężarówki wracał z położonego pięć mil dalej kamieniołomu z porannym urobkiem. Przyczepa była pełna, lecz nie przeciążona (co czasem się zdarza, lecz nie tym razem — dodaje). Kierowca zaklina się, że nie prowadził szybko, kiedy dostrzegł coś na drodze. Natychmiast zaczął hamować i odbijać kierownicą w prawo, żeby ominąć to coś, choć nie wiedział co to takiego, gdyż słońce jeszcze nie weszło (w tym miejscu zapewniał, że jego reflektory działają bez zarzutu). Przód ciężarówki uderzył w skałę i się zatrzymał, ale tylnymi kołami zarzuciło. Mocno zarzuciło, tak że nic nie mógł poradzić. A potem cały ładunek kamienia spadł.

Poprawiając okulary, cichym głosem pociesza mnie:

— Sądźmy, że ona nic nie wie. Lekka śmierć.

Znów zapada pełna szacunku cisza, przerywana jedynie brzękiem szkła. Wypadek.

Podnoszę wzrok i dostrzegam swoje odbicie w wypolerowanej osłonie ekspresu do kawy. Oczywiście mam wciąż zastraszone, sino podkrążone, rozbiegane, lecz usta mi się rozchyliły. Boże, to niemożliwe! Ale to prawda: na twarz wypłynął mi uśmiech.

Przestań się uśmiechać! — krzyczę na siebie w duchu. — To nie wypada, nie w takiej chwili. Domyślą się, że masz coś na sumieniu, sama wszystko zepsujesz. Mimo wysiłków nie potrafię nad sobą zapanować. Jeszcze chwila, a wybuchnę śmiechem. Wypadek — czepiam się tego słowa jak tonący brzytwy. — Oni myślą, że Carla miała wypadek!

— To szok — ocenia Manoli. — Ona ma szok.

Kiedy podaje mi filiżankę czarnej jak smoła kawy, jego dłoń lekko drży.

Iskierka nadziei bucha płomieniem. Mój instynkt samozachowawczy ożywa. Od tej chwili zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby wyjechać z wyspy jako wolny człowiek, wrócić do swego życia w Anglii. Nie dam się złapać!

Nadzieja sprawia, że zaczynam się zachowywać racjonalnie.

W skrócie opowiadam policjantom o wydarzeniach minionej nocy. Mówię im, że ja, Carla, Glen i Caddie byliśmy na plaży. Że pływaliśmy, a potem Carla i Caddie ruszyli przodem do domku, ja z Glenem zaś dołączyliśmy do nich nieco później. Czuję się, jakbym opowiadała film, który niedawno widziałam i który uważam za godny polecenia. W powstającej na gorąco nowej wersji wydarzeń przełotnie zobaczyłam Carlę po wejściu do domku, ale to był ostatni raz, kiedy ją widziałam. Wstałam wcześniej rano, żeby popływać. Przypuszczam, że ona wyszła zaraz po mnie, ale nie wiedząc, że poszłam na plażę, skierowała się w stronę drogi, a potem... potem...

— Tak, tak — klepie mnie po grzbiecie dłoni starszy policjant. — Proszę się nie ekscytować. Wiemy, jak umarła.

— Co teraz? — pytam. — Powiecie jej rodzinie?

— Pan Finch przyjeżdża na wyspę zeszłego wieczoru. Już wie. Szok dla niego.

— Mąż Carli jest tutaj, na wyspie? — nie wierzę własnym uszom. Co to ma znaczyć?

— To wielka tragedia — przytakuje policjant.

Wprawdzie zapisywałam moje słowa w notatniku kołowym, ale na pożegnanie oznajmiam, że przyjdzie spisać zeznania, kiedy się uspokoję. Nazywa to czczą formalnością. Chwilę potem obaj wychodzą.

Lepiej się od brudu.

Czuję się tak, jakbym przesiąknięta na wylot krwią Carli, morską wodą, własnymi łzami i wymiocinami wytarzała się w kurzu. Myję się i myję, lecz kolejne porcje brudu opuszczają moje pory, wydaje mi się, że nigdy już nie będę czysta, mimo to nadal szoruję się zawzięcie. Wbrew zaleceniom władz wyspy, by oszczędzać wodę, spędzam pod prysznicem ponad godzinę, zmywając z siebie najdrobniejszy nawet ślad, jaki mógłby mnie zdradzić w tych wspaniałych czasach, kiedy wystarczy włókienka z ubrania albo jeden marny włos, żeby zbudować oskarżenie. Usuwam ze skóry każdy kryształek soli, każde ziarnko piasku, każdą plamkę krwi. A potem myję się jeszcze raz od nowa.

W umywalce cały czas moczy się moja sukienka i bielizna. Wolalabym się ich pozbyć, ale to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Po wyjściu spod prysznica piorę je więc starannie, wielokrotnie zmieniając wodę, później równie dokładnie płuczę i sprawdzam centymetr po centymetrze, czy nie został jakiś obciążający ślad. Po rozwieszeniu do wyschnięcia sprawdzam ponownie.

Wreszcie nie ma już nic więcej do zrobienia. Zdaję sobie sprawę, że lecę z nóg. Przysiadam na skraju łóżka i niemal tracę przytomność z wyczerpania, jednakże tuż przed zamknięciem oczu zauważam żółtą sukienkę Carli, tę, w której poderwała Glena i Caddiego koło przystani, tę samą, którą zrzu-

ciła z siebie wczoraj wieczorem przygotowując się na tańce. Zrywam się z krzykiem. Carla jest wszędzie. Na nocnym stoliku leży jej kosmetyczka, z której wysypały się tusz, szminki, róż, podkład, cień, pilniki i miniaturowe flakoniki perfum. Na stole zakupione w Yerolimani prezenty: ikona, model łodzi i parasolka dla Lily, którą tak trudno zadowolić, czekają ładnie zapakowane, by Carla zabrała je do Anglii i wręczyła komu trzeba. Spod poduszki wystaje książka, którą jej pożyczyłam, otwarta na stronie, gdzie skończyła czytać, mniej więcej w jednej trzeciej tekstu — przypominam sobie, że resztę chciała przeczytać w samolocie, powiedziała, że warto mieć zapas lektury na wypadek porwania... W uszach dźwięczy mi jej śmiech, wtórujący tym słowom.

Wypadam z pokoju, zbiegam po schodach wprost w szeroko rozwarte ramiona Despiny.

— Jesteś przemęczona — mówi do mnie. — Dam ci tabletkę, po której zaśniesz. Sen dobrze ci zrobi.

— Nie mogę... Nie umiem — jąkam się nieporadnie. — W pokoju są rzeczy Carli...

— Znajdziemy dla ciebie inny pokój — zapewnia mnie.

— Dziękuję... Och, i czy mogłabym dostać aspirynę? Głowa mi pęka...

— Oczywiście, oczywiście. Zaraz poszukam. Chodź ze mną.

Później, około dwunastej w południe, siedzę w barze i bezmyślnie gapię się w morze. Pole widzenia przecinają mi pstrokate parasole plażowe, wielkie dmuchane piłki i obnażone ciała w odcieniach od bladego różu do ciemnego mahoniu. Wszyscy zachowują się, jakby nic się nie stało. Naturalnie jest gorąco, jak w każdy poprzedni dzień, ale ja nie mogę przestać się trząść. Sama nie wiem, czy jest mi zimno czy też...

Matka Manolego co chwila przynosi mi coś do jedzenia — a to czarkę zupy, która pachnie jak rosół, jest jednak mętna, a to aromatyczne paszteciki albo przynajmniej słodyczne. Jakiś czas potem przychodzi Despina i cmokając i kręcąc głową, zabiera potrawy nienaruszone. Słyszałam, jak starsze małżeństwo konfidencjonalnie poinformowało Manolego, że na Anglików dobroczynny wpływ ma herbata. Z konieczności Manoli stał się ekspertem w parzeniu tego boskiego nektaru.

Od czasu do czasu wstaję, by udać się do toalety, po czym wracam na swoje miejsce. Boję się, że jakiegokolwiek działania podejmę, cokolwiek uczynię, od razu będzie widać, że jestem winna. Nie wiem, co w mojej sytuacji robiłaby osoba niewinna, toteż na wszelki wypadek nie robię nic.

Po południu do hotelu przychodzą Glen i Caddie. Wyglądają, jakby ktoś przeciągnął ich przez wyżymaczkę. Mówią, że odwiedził ich starszy policjant z jakimś żółtodziobem, którzy przyjęli od nich zeznanie.

Zamawiają u Manolego piwo i przysiadają się do mojego stolika. Piją wierząc się, wyraźnie nie wiedzą, co powiedzieć. Sądzę, że pojawili się tutaj z obowiązku, uważają, że winni są mi wsparcie, chociaż woleliby się znaleźć dziesiątki kilometrów ode mnie. Z drugiej jednak strony nie mają zbyt dużego wyboru — gdzie indziej mogliby pójść, co mogliby robić w chwili takiej jak ta? Zachowują się

dziwnie, ponieważ plan ich wakacji nie przewidywał nagłej śmierci kobiety, której właściwie nie znali, ale z którą jeden z nich przespał się ostatniej nocy.

Dociera do mnie, że ich wakacje właśnie się skończyły, choć sama znalazłam się we wszechświecie, gdzie słowo „wakacje” nie figuruje w słowniku. Nawet jeśli będą kontynuować podróż i udadzą się do Włoch i Hiszpanii, tak jak planowali, nic już nie będzie dla nich takie samo. Czuję się winna i jest mi ich żal. Nie zasłużyli na to, aby ich wplątać w śmierć Carli. W wypadek Carli — poprawiam się w duchu, gdyż od tej pory tak powinnam o tym myśleć.

Kiedy tak siedzę w barze i mieszam łyżeczką herbatę, której i tak nie wypiję, nie odczuwam wyrzutów sumienia w związku z Carłą, gdyż Carla przestała istnieć dla mnie jako osoba. Stała się imieniem, słowem, pustym dźwiękiem. W najgorszym razie czymś, co może przysporzyć kłopotów. Niczym więcej. Z pewnością nie jest już prawdziwą, żyjącą kobietą z krwi i kości, która ma swoje przywary, często się śmieje i mówi głosem, co w zależności od jej nastroju może być matowy i ochrypły, cienki bądź przenikliwy. „Carla” przestała być kimś, kogo znałam.

— Rany, po prostu nie mogę w to uwierzyć — odzywa się po raz nie wiadomo który Caddie. Siedzi na plastikowym krzeselku z plecionym oparciem i wpatruje się w scenę na plaży. Przeczesuje wzrokiem tłum półnagich sylwetek, jakby spodziewał się, że kogoś z nich rozpozna, jakby wśród graczy w siatkówkę, kiepskich pływaków przy brzegu czy wzbijających tumany piachu biegaczy była ta jedna osoba, którą chciałby teraz zobaczyć żywą.

— Co ona, do diabła, robiła na tej drodze?! Jak mogła nie zauważyć wielkiej ciężarówki? Nie usłyszeć rżącego silnika? Sądzicie, że zemdlą tam czy co?

— Nie da się tego powiedzieć — uznaje Glen. Podczas gdy Caddie roztrząsa problem w nieskończoność, Glen radzi sobie inaczej: po prostu siedzi bez ruchu, marszcząc brew i wolno pijąc piwo.

— Gliniarz powiedział, że była na drodze do hotelu — ciągnie Caddie. — To mnie od razu zastanowiło. Gdyby stała albo szła, powiedziałaby, że była w drodze do hotelu. „Na” sugeruje, że siedziała albo nawet leżała.

— Gliniarz kiepsko mówił po angielsku — zauważa Glen.

— Trudno w tej sytuacji czepiać się jednego słówka.

— Ale ona piła — upiera się przy swoim Caddie. — Strasznie dużo wypila zeszłego wieczoru, nawet więcej niż ty, Helen... — patrzy na mnie. — Jednak żeby aż zemdleć?...

— To rzeczywiście dziwne — przyznaje Glen.

— Powinni wiedzieć coś więcej po sekcji — dodaje Caddie.

— Co? — rzucam tonem ostrym jak brzytwa. — Sekcja? Jaka znowu sekcja? — dopytuję się z paniką w głosie.

— Muszą zrobić sekcję — wyjaśnia Caddie — żeby ustalić przyczynę zgonu.

— Ale po co? Przecież wiedzą, dlaczego umarła. To przez ciężarówkę, przez to, że kierowca stracił panowanie nad tylnymi kołami. A potem upadły na nią kamienie. Kierowca ją widział, ale nie był w stanie zahamować na czas, zarzuciło tylnymi kołami i ją uderzyło. Nagła, lekka śmierć, jak powiedział policjant. Po co tu jakaś sekcja?

— I tak będą pewnie chcieli wiedzieć coś więcej — nie ustępuje Caddie. — No wiecie, choćby zawartość alkoholu we krwi...

— Nasienie — wtrąca niespodziewanie Glen.

— Chryste! — jęczy Caddie i przejeżdża otwartą dłonią przez usta.

— Nie martw się — pociesza go Glen. — Przecież już im o tym powiedziałeś.

— Taa... Ale mimo wszystko. To takie bezosobowe i...

— Caddie szuka właściwego słowa — i kliniczne. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ją wyciąga ją z jakiejś lodówki w kostnicy, rzucają na stół i kroją na kawałki, żeby uzyskać materiał do analizy...

— Przestań, Caddie! — krzyczy na niego Glen. — Helen ma już dość, nie musisz jej dodatkowo denerwować!

— Racja. Przepraszam, Helen, nie wiem, co mnie napadło...

— Caddie uśmiecha się do mnie przepraszająco.

Wkrótce obaj się do mnie uśmiechają. Patrzcie tylko, biedna Helen, nie można jej denerwować...

Ja tymczasem rozmyślałam o sekcji. Że też nie przyszło mi to do głowy wcześniej! Już byłam pewna, że mi się uda, a tu nagle — sekcja. Dowiedzą się, jak Carla naprawdę umarła, zostanie wszczęte dochodzenie. W żołądku mi się przewraca, do mdłości dołączają dreszcze, gorsze niż kiedykolwiek.

— Co się dzieje? — pyta Caddie zauważywszy samochód podjeżdżający do hotelu.

Jest w jego pojawieniu się coś złowieszczonego. Hamuje z piskiem opon, ze środka wysiada mężczyzna, po którym od razu poznać, że ma władzę — siwowłosa, o grubo ciosanej twarzy zawodowego boksera i brzuchu wylewającym się zza paska. Stanąwszy na podjeździe, powolnym ruchem podciąga spodnie, które zaraz na powrót opadają nie znalazłszy punktu oparcia. Choć nie ma munduru, wiem, że to policjant. Jeśli wcześniej myślałam, że wariuję ze strachu, jak nazwać uczucie, które ogarnia mnie teraz na jego widok?

Rzuca spojrzenie w stronę naszego stolika, prześlizguje się po nas wzrokiem i chociaż bez wątplenia wie, kim jesteśmy, podchodzi do Manolego, żeby się przywitać i zamienić parę słów. Dochodzą nas głośne, lecz niezrozumiałe urywki zdań. Chwilę potem posuwistym krokiem przemieszcza się w naszą stronę. Przedstawia się jako kapitan Markazenis i wymownym gestem wskazuje czwarte krzesło. To, na którym powinna teraz siedzieć Carla. Zwraca się do każdego z nas z osobna.

— Pani jest Helen North?

— Tak.

— A pan nazywa się Glen Paxton?

— Tak, panie kapitanie.

— W takim razie to pan będzie Cyryl Drossky?

— Tak, proszę pana.

Caddie wpatruje się w twarz policjanta z natężeniem, rosły jak dąb mężczyzna odwzajemnia spojrzenie. Mnie się wydaje, że z oczu jednego do drugiego przepływa energia, coś jak wyładowanie elektryczne. Skóra na bladej twarzy Caddiego jest napięta do granic — czy w ten sposób objawia się niepokój? Rejestrując, co dzieje się wokół mnie, równocześnie myślę w duchu: A więc Caddie to Cyryl Drossky. No, no.

Wciąż poruszając się jak na zwolnionym filmie, policjant wysuwa sobie krzesło i siada. Zaczyna mówić, równie niespiesznie jak przedtem się poruszał, podsumowując to wszystko, co z własnej woli opowiedzieliśmy dwóm funkcjonariuszom wcześniej. Od czasu do czasu zahacza spojrzeniem o mnie albo Glena, głównie jednak jego wzrok utkwiony jest w Caddiem. Kończy przemowę słowami:

— ...i panna Finch udała się z panem do pańskiej willi, gdzie odbyliście stosunek.

Caddie bezwiednie ociera pot perlący mu się nad górną wargą.

— Pańscy podwładni już mnie przesłuchiwali — mówi.

— Tak, wiem. Był pan bardzo chętny do współpracy.

— Czy została już zrobiona sekcja?

— Na razie czekamy na lekarza. Ma przyjechać dziś wieczorem.

— Czy coś jest nie tak? — pyta Caddie i zaraz dodaje: — Proszę pana?

— Być może — pada krótka odpowiedź.

Czekamy na ciąg dalszy. On się nie śpieszy, wreszcie rzuca pytanie:

— Czy ktoś zgubił koszulę? W kratę?

Zapada nie zmacona niczym cisza. Po kilku długich chwilach Caddie odzywa się ledwie słyszalnym głosem:

— Carla pożyczyła sobie moją czapkę bejsbolową — mówi.

— Sądzę, że to ona wzięła moją koszulę...

Wargi policjanta drgają, jakby w uśmiechu.

— Kraciasta koszula z amerykańską metką została dzisiaj znaleziona przez jednego z moich podwładnych. Leżała niedaleko miejsca, gdzie zginęła panna Finch, a dokładnie w połowie drogi pomiędzy tym miejscem a willą, gdzie obaj panowie mieszkacie.

— Pewnie ją upuściła... Czy dostanę ją z powrotem?

— Przykro mi, ale nie. Na kołnierzyku i lewym rękawie jest krew. Musimy zrobić testy. Jeśli okaże się, że to pana krew — wbił wzrok w Caddiego — będzie pan musiał złożyć dodatkowe zeznania. Teraz poproszę o państwa paszporty. Pod żadnym pozorem nie wolno państwu opuścić wyspy, o

zmianie miejsca pobytu należy mnie natychmiast informować. Podejrzewamy, że śmierć panny Finch nie nastąpiła w wyniku wypadku...

Opiera się o krzesło i lekko unosi ramiona, jakby mówiąc: „Cóż mogę zrobić? Takie są przepisy”. Zaraz wszakże jego twarz rozciąga się w uśmiechu. W tej samej chwili uświadamiam sobie, dlaczego tak bardzo się go boję. Po pierwsze, jest dobry w swojej pracy. Po drugie, naprawdę ją lubi.

Cddie resztę popołudnia spędził rozmawiając przez telefon. Skontaktował się z amerykańskim konsulem i miejscowym prawnikiem, który jako tako władał angielskim. Zadzwoił także do innego prawnika, lepiej mówiącego po angielsku, tyle że mieszkającego poza wyspą, i do ambasady w Atenach. Teraz próbuje się połączyć z kimś w Stanach, tak by nie zostać obciążonym kosztem międzykontynentalnej rozmowy.

Cały jest napięty i poszarzały z niepokoju. Co rusz przekłada słuchawkę z ręki do ręki, wycierając mokrą od potu dłoń o szorty. Wie, że jest niewinny, jednakże dzięki studiom prawniczym wie także, że niewinność to za mało.

Manoli stoi za barem i przygląda mu się, polerując szklanki. Już dawno przestał donosić mi świeżą herbatę, a jego dobroduszna gadatliwość gdzieś się ulotniła; nagle stał się milczący i uważny. Dopóki wierzył, że chodzi o wypadek, dopóty był współczujący i pomocny; teraz gdy sprawy przybrały poważniejszy obrót, zmienił się nie do poznania. Widzi, że policja podejrzewa Cddiego, ale na wszelki wypadek ma oko na nas troje — wszyscy jego zdaniem jesteśmy zamieszani w tę paskudną historię.

Słyszę, że głos Cddiego staje się jeszcze bardziej nerwowy.

— Tak, tak... wiem. Tyle że tutaj jest chyba inaczej. Cały problem polega na tym, że nie mam pojęcia, jak działa ich system...

Z trudem przychodzi mi znieść bliskość Cddiego. Choć wiem, że nie mogą go oskarżyć o morderstwo, gdyż nie miał z nim nic wspólnego, i tak przykro mi patrzeć, jak się wiję i męczy. Oczywiście w każdej chwili mogę przerwać jego katusze, wystarczyłoby jedno moje słowo. Przyznanie się do winy, obojętne komu. To nie powinno być trudne. Nie martw się, Cddie — mogłabym na przykład powiedzieć. — Wiem, że to nie ty zabiłeś Carlę. Skąd wiem? Widzisz, to co mówiłam do tej pory, niezupełnie było prawdą. Wpadłam w panikę i zaczęłam kłamać. Zmierzam do tego, że tam byłam, razem z nią, kiedy to się stało...

Nie, nie mogę tego powiedzieć, jeszcze nie. Może później, kiedy nie będzie żadnego innego wyjścia... Teraz zbyt boli mnie głowa i chyba znów zbiera mi się na wymioty. Poza tym wciąż istnieje szansa, że nie będę musiała nic mówić...

Tak czy inaczej nie mogę tutaj zostać. Chyba pójdę popływać.

Na górze przebieram się w kostium i zarzucam na ramiona koszulową bluzkę, czarną jak żałoba i jak moja rozpacz. Przez pomyłkę kieruję się do swego starego pokoju, dopiero w ostatniej chwili

przypominam sobie, że Despina znalazła dla mnie inny, znacznie mniejszy, w którym mieści się tylko łóżko, za to nie ma w nim śladów Carli. Zresztą i tak wszystkie jej rzeczy zostały gdzieś zabrane; nie wiem gdzie i nie chcę tego wiedzieć. Podejrzewam jednak, że policja położyła na nich łapę. Albo mąż Carli — ten, który przyjechał wczoraj wieczorem.

Skrawkiem mózgu, nie zaprzątniętym rozważaniem mojej sytuacji, analizuję fakt przybycia pana Fincha i wychodzi mi, że jego pojawienie się na dwa dni przed odlotem Carli nie ma krztyny sensu. Ale przecież dziś nic nie ma sensu. Wciąż nie rozumiem, jak mogłam zrobić to, co zrobiłam. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej należałam do świata rządzonego logiką, w którym przyczyna poprzedzała skutek, a ludzie byli przewidywalni. Ja byłam przewidywalna. Dziś jednak rządzi moim życiem pokrętna logika snu, a właściwie koszmaru. Wszystko jest możliwe i nic mnie już nie dziwi.

Kiedy przechodzę przez bar, kierując się w stronę wyjścia na taras, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, Glen wstaje i mówi:

— Idziesz popływać? Pójdę z tobą, bo inaczej tu zwariuję... Bezczynność mnie wykańcza.

— Jasne — kiwam głową, chociaż nie w smak mi jego towarzystwo. Czyjekolwiek towarzystwo. Zdaję sobie jednak sprawę, że muszę zachowywać się normalnie. Nie „normalnie” normalnie, bo przecież w zaistniałej sytuacji wszyscy zachowują się nieco dziwnie, ale tak, żeby nie było po mnie poznać, że lada moment spodziewam się aresztowania za zabicie przyjaciółki.

— Dobrze.

— Boże, co za dzień — wzdycha Glen, stając u mojego boku.

— Wprost trudno mi w to wszystko uwierzyć... — uśmiecha się do mnie smutno, chcąc wyrazić swoje współczucie. Nagle spojrzenie mu się wyostrza, przypatruje mi się z uwagą. Sięga dłonią do skraju mojej twarzy, odgarnia kosmyk włosów. Drzę pod jego dotykiem. — Skaleczyłaś się, Helen. Jak to się mogło stać?

— Nie pamiętam... to znaczy nic nie zauważyłam... — Oczyma wyobraźni widzę wykrzywioną grymasem nienawiści twarz Carli, bąbelki śliny w kącikach jej ust; przypominam sobie jej ostre paznokcie drące mi policzek.

— Wygląda to tak, jakby kot cię podrapał.

— A, rzeczywiście! Schyliłam się, żeby pogłaskać któregoś, i drań mnie drapnął — mówię szybko.

— Hmm... — Glen się zamyśla. — Wiesz, tutaj niektóre zwierzęta mają wściekliznę. Powinien cię obejrzeć lekarz.

Pewnie tak — zgadzam się z nim w duchu. — Tyle że lekarz od razu pozna, że to nie pazur kota przejechał po moim policzku. Zacznie coś podejrzewać i...

— Może później — wzruszam ramionami. — W tej chwili nie mam na nic siły.

— Och. — Glen na powrót przybiera współczujący wyraz twarzy. — Rozumiem.

Zauważam, że Caddie nam się przygląda. Czoło ma zmarszczone, głęboko pobrużdżone. W jego wzroku dostrzegam podejrzliwość, pewnie się już domyślił, że cały dzień opowiadam kłamstwa. Kiedy nasze oczy się spotykają, odwraca się i mówi do słuchawki:

— Mógłbyś to dla mnie zrobić? Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Nie potrafię rozgryźć obowiązujących zasad, są tak inne niż u nas...

Nawet woda nie przynosi ukojenia. Jest ciepła i mętna; czuję się, jakbym kąpała się we własnym pocie. Jak gdyby całe morze zostało zbrukane moją zbrodnią. W głowie odbija mi się echem spanikowany głos Caddiego: „Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Nie potrafię rozgryźć obowiązujących zasad, są tak inne niż u nas...”

Wiem, co powinnam zrobić: zwierzyć się komuś, przyznać do winy i ponieść konsekwencje. Tak postąpiłby każdy przyzwoity człowiek. Jednakże ja przestałam wierzyć, że jestem przyzwoitym człowiekiem, po tym, co na drodze zrobiłam Carli dziś rano. W tym nowym szalonym świecie, jaki zaczął się o poranku, jestem agresywna i niosę zniszczenie. Lecz nie mogę patrzeć na cierpienie Caddiego i siedzieć z założonymi rękoma, obserwując, jak wije się i miota niby robak na haczyku.

Zanurzwszy się wykonuję wolne ruchy; nie chcę wypłynąć daleko w morze i starannie omijam innych pływających, unikając jakiegokolwiek kontaktu. W myśli rozważam, jak postąpić. Chciałabym móc wyznać mroczną prawdę nadętemu kapitanowi, lecz zbyt go boję. Komuś wszakże muszę powiedzieć. Pytanie: komu? Z pewnością nie Caddiemu; nie zniósłabym jego spojrzenia — szoku zmieszanego z odrazą i żalem, jego pełnych wyrzutu słów: „Jak mogłaś pozwolić, żebym przez to przeszedł?” Już prędzej Glenowi.

Nagle wpada mi do głowy pomysł. Może jednak uda mi się ocalić Caddiego bez narażania własnej skóry... Jeśli powiem tylko część prawdy — wystarczająco wiele, by ochronić Caddiego, lecz za mało, aby samej obciążyć się winą. O tym, że Carla podążyła moim śladem, kiedy opuściłam domek, wciąż pijana i ledwo trzymając się na nogach. Że się potknęła i upadła, kalecząc się przy tym (stąd krew na koszuli); że widziałam, jak ociera twarz (to pewnie wtedy koszula spadła jej z ramion). Nawet o tym, że się kłóciłyśmy, że zezłościła się na mnie i zamachnęła, a ja lekko ją odepchnęłam, w obronie własnej. Nie wiem, co stało się potem — powiedziałałabym — bo zaczęłam biec w górę zbocza, żeby się od niej uwolnić; być może przewróciła się od mojego ciosu, chociaż naprawdę był lekki, ona jednak nie stała pewnie na nogach, a może znów się potknęła i przewróciła, próbując mnie ścigać. Być może była ogłuszona i nie słyszała nadjeżdżającej ciężarówki i dlatego nie zdążyła umknąć na czas...

Powtarzam wszystko od początku, bezgłośnie poruszając ustami. No dobrze, ale dlaczego nie powiedziałam tego przy pierwszym przesłuchaniu? Ponieważ wciąż byłam wyprowadzona z równowagi przez kłótnię i przepychankę na drodze i po prostu nie chciałam o tym mówić... Zdaję sobie sprawę, że moja opowieść ma słabe punkty, ale lepsza taka niż żadna. Caddie zostanie oczyszczony z zarzutów, a mnie nikt nie zacznie nawet podejrzewać.

— Glen! — wołam. — Glen!! Muszę z tobą porozmawiać.

Z pochmurną miną brnie przez pływającą, zmierzając ku mnie.

— Wracam do hotelu — oznajmia. — Nie powinienem zostawiać Caddiego samego.

— Ale...

— Idziesz ze mną? — przerywa mi obcesowo, odwracając się w stronę brzegu.

W pytaniu nie ma wrogości, lecz w jego zachowaniu wyczuwam dystans i oziębłość, których wcześniej nie było. Wygląda tak, jakby i on spędził ostatnie minuty rozmyślając nad czymś, dochodząc do jakichś wniosków i podejmując decyzje. Pewnie wini mnie za to, że odciągnęłam go od Caddiego w potrzebie, zachęciłam, by się oddalił i miło spędził parę chwil, podczas gdy jego przyjaciel przeprowadza niekończące się rozmowy telefoniczne. Może nawet obarcza mnie winą za całą tę paskudną sytuację, przez którą wspaniale zapowiadające się wakacje zostały nagle przerwane. Przecież gdybyśmy, Carla i ja, ich nie poznały, kontynuowałyby swoją podróż bez przeszkód. Widzę, że żałuje, że mnie poznał, że pływał ze mną nago w świetle księżyca, że całował moje ciało i pragnął się ze mną kochać.

Wiem, że nie mogę mu powiedzieć o Carli.

— Zaraz cię dogonię — mówię zatem, ale jego już nie ma.

Nieco później po południu jestem wciąż na plaży i zauważam, że na tarasie hotelu pojawił się nieznajomy, którego jednak bez trudu rozpoznaję.

Daniel Finch wygląda starszy niż na zdjęciu, ale to mnie nie dziwi — kogo nie zmieniły wydarzenia ostatnich kilku godzin? Dziwi mnie co innego: włosy, które na zdjęciu wydawały się smolście czarne, są znacznie jaśniejsze, najwyżej brązowe.

Stoi na tarasie i patrzy na plażę; być może szuka mnie. Odruchowo sięgam do guzików bluzki i starannie je zapinam. Materiał przylega do wilgotnej skóry, ale to nic: za parę minut wyschnie. Wsuwam stopy w klapki, z których wcześniej wytrząsnęłam najdrobniejsze ziarenko piasku.

Mąż Carli — myślę.

Nie jestem gotowa na to spotkanie. Nie było go w scenariuszu, nie mam pojęcia, jaką rolę odegrać. Ale nie mogę też zostać na plaży w nieskończoność, sprawdzając, czy wszystkie guziki mam zaapięte, zwijając ręcznik w schludny rulon i utykając go to pod jedną, to znów pod drugą pachą. Prędzej czy później muszę wrócić do hotelu. Co ja mam mu, u licha, powiedzieć?

Kiedy patrzy na przeciwny kraniec plaży, rzucam mu szybkie spojrzenie. Co on tu robi? — na wierzch wypływa dręcząca mnie cały czas myśl. — Po co przyleciał na wyspę, na którą „uciekła” jego żona? I dlaczego od razu do niej nie przyszedł, tylko zwlekał ze spotkaniem? To dla mnie zbyt skomplikowane. Łudzę się, że nie będę musiała z nim rozmawiać. Mam nadzieję, że przyszedł do hotelu po jej rzeczy i zaraz sobie pójdzie. Dlaczego miałby rozmawiać z kimś, kogo jego żona tu poznała?...

Za jego plecami, oparci o kontuar baru, stoją Glen i Caddie. Milczą. Czy Finch z nimi rozmawiał? Raczej nie, a to oznacza, że ze mną także nie będzie chciał nawiązać rozmowy.

Wreszcie zbieram się w sobie i kieruję do hotelu. Słońce świeci mi prosto w oczy, ale już niedługo zajdzie za grzbiety wzgórz i zapadnie całkowita ciemność. Wczoraj o tej samej porze Carla i ja siedziałyśmy w naszym pokoju. Carla niedwuznacznie dawała mi do zrozumienia, że ma na Glena chrapkę. A teraz...

Powinam minąć Daniela Fincha i pójść dalej. Ba, powinam także minąć Glena i Caddiego, nie zamieniając z nimi ani słowa. Moja maska kruszy się powoli i wiem, że nie zdołam dłużej udawać. Lada moment pozór niewinności pryśnie. Z całą pewnością nie mogę odezwać się do męża Carli.

A jednak nie mam innego wyjścia.

Daniel Finch opuścił taras i już zbliża się do mnie. W pewnym momencie zbacza nieco z drogi, żeby nie nastąpić na dziewczynkę śpiącą na kocu z opalonymi nogami zgiętymi w pulchnych kolanach, podczas gdy jej matka nieopodal pakuje plażowy dobytek do wielkiej pasiastej torby, zaraz wszakże wraca na kurs i zmierza wprost na mnie.

Zaczynam panikować; gorączkowo zastanawiam się, czy mam się doń uśmiechnąć w normalny, przyjazny sposób czy też okoliczności naszego spotkania wykluczają takie zachowanie — niewątpliwy dowód na to, że mam coś do ukrycia.

— Helen North? — pyta.

— Tak — odpowiadam, zdecydowawszy się jednak nie uśmiechać. Mimo to kąćki ust mi drgają; to nerwy.

— Jestem mężem Carli. — Wyciąga do mnie rękę. — Daniel Finch.

Odwzajemniając uścisk mówię:

— Tak, wiem.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, toteż wyjaśniam:

— Wczoraj wieczorem pokazała mi pańską fotografię. Tę, na której jesteście oboje razem z dziećmi.

— Ach tak... — urywa, po czym niepewnie dodaje: — Sądziłem, że w czasie urlopu udawała, że jest panną.

— Tak, to też... przynajmniej na początku.

— Przejdzie się pani ze mną kawalek? Chciałbym zamienić parę słów, ale na osobności, a o to w barze raczej trudno. Wszyscy są tu bardzo mili, ale... — nie kończy, macha tylko ręką.

— Oczywiście — przystaję na jego propozycję.

Wolnym krokiem idziemy wzdłuż plaży. Wiem, że każdy, kto jest w barze, obserwuje nas uważnie; spojrzenia wbijają mi się w plecy niczym miniaturowe igielki. Dochodzimy do odległego miejsca, gdzie piasek jest tak wysuszony, że trzeba się przezeń przedzierać jak przez pustynię, nie sposób tam normalnie iść. Brnąc po kostki, po raz pierwszy zauważam porzucone plastikowe butelki i tor-

by zaśmiecające ten nieprzychylny zakątek, a także wytrwale czepiającą się podłoża cienką trawę i podobne do stokrotek, tyle że żółte kwiaty.

Zarówno otoczenie, jak i postać idącego koło mnie Daniela Fincha rejestruję bezwiednie. Wi-dzę, że jest ubrany tak, jakby był w Anglii: w dżinsy i koszulę z długim rękawem, który podwinął do łokcia, na stopach ma pełne buty. Dostrzegam ciemne włoski przedramion i brak obrączki na serdecz-nym palcu. Mogę koncentrować się na szczegółach, bo cały czas idziemy w milczeniu. Nagle to ja przerywam ciszę.

— Tak mi przykro z powodu Carli — wybucham, choć wypowiedane słowa nie grzeszą oryginalnością. — To musi być dla pana straszne. Taka tragedia. Wprost trudno mi jest sobie wyobrazić... — urywam w pół zdania, kiedy Finch raptownie staje.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Jest ode mnie wyższy mniej więcej o głowę. Podniósł-szy nieznacznie wzrok dostrzegam zgrabną, wyrazistą twarz, na której uczucia muszą być wy-malowane nawet w zwykłych warunkach, a co dopiero dzisiaj. Ból, jaki wyziera z jego oczu, jest nie do zniesienia. Wzdrygam się. Jego spojrzenie wędruje po mojej twarzy.

— Tak — mówi cicho. — Dziękuję pani.

Odwraca się i kontynuuje wędrówkę, a ja wlokę się za nim. Cały czas się zastanawiam, co chce ode mnie usłyszeć. Z pewnością nie tylko niezręczne kondolencje.

Znów przerywam ciszę.

— Nie znałam Carli długo, ale...

— Jak długo? — wtrąca pytanie.

— Nieco ponad tydzień...

— Zatem nie pamięta jej pani z Anglii?

— Och, nie — odpowiadam. — Poznałyśmy się tutaj. To znaczy widziałyśmy się w samolocie i kiedy wpadłyśmy na siebie w mieście... Na lotnisku doszło do małego zamieszania z powodu naszych bagaży, zamieniłyśmy parę słów, no a potem obie chyba uznałyśmy, że spędzanie wakacji w pojedyn-kę to żadna przyjemność, i...

— Była sama? — znów czujne pytanie.

— Tak — potwierdzam. — Wie pan, turyści z północy bywają bardzo natrętni, Carla miała dość ich wątpliwych zalotów... Ja czułam mniej więcej to samo, więc postanowiłyśmy połączyć siły. Za-mieszkałyśmy razem, w moim hotelu. Wydawało nam się to idealnym rozwiązaniem naszych proble-mów.

W trakcie mojej przemowy znów się zatrzymaliśmy; gdybyśmy uszli jeszcze parę kroków, we-szlibyśmy na drogę prowadzącą na następną plażę, a nie było takiej potrzeby — miejsce, w którym się znaleźliśmy, było wystarczająco odludne. Nikt nie mógł nas tutaj podsłuchać.

Finch skrzyżował ramiona na piersi i wetknął dłonie pod pachy, zapatrzył się w otwarte morze. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Może wydać się pani dziwne, że o to pytam... Czy Carla sprawiała wrażenie, że jest szczęśliwa?

— Szczęśliwa?... Tak, chyba tak. Dobrze się razem bawiliśmy, jeśli o to panu chodzi. Niewiele robiliśmy. Carli zupełnie wystarczało przesiadywanie na plaży i krótki spacer do Yerolimani od czasu do czasu.

— Zatem nie odniosła pani wrażenia, że była czymś zdenerwowana?

— Raczej nie — odpowiadam i po namyśle dodaję: — Może trochę niezadowolona, ale tylko trochę, jednakże na pewno nie zdenerwowana ani nie nieszczęśliwa.

— Niezadowolona? — powtarza, dając do zrozumienia, że chciałby usłyszeć coś więcej.

Milczę. W pamięci próbuję odtworzyć, co dokładnie Carla powiedziała mi ubiegłego wieczoru na temat swej rodziny, życia w Anglii i męża! (Nie przychodzi mi to łatwo, ponieważ najpierw muszę znów uznać Carlę za osobę.) Pamiętam, że mówiła coś o duszeniu się i byciu niedocenianą, ale składam to na karb nadmiaru obowiązków, jaki bywa udziałem większości kobiet. Pamiętam także, jak zapewniała mnie, że Daniel ją uwielbia, że zawsze tak było. Ona nie żyje — myślę — a ten mężczyzna pogrążony jest w bólu. Jeśli wystarczy mi nieco nagiąć jej słowa, żeby mu ulżyć, tak właśnie zrobię.

— Wyrażała się o panu z wielkim uczuciem. Nie mogła się doczekać powrotu do domu. I naturalnie tęskniła za dziećmi.

— Naprawdę? — wydaje się zaskoczony.

— Tak.

— Zatem nie była w depresji.

— W depresji? — tym razem ja się dziwię. — Nie, tego bym nie powiedziała...

Finch oddycha z ulgą.

— Chwała Bogu.

Ruszamy w stronę hotelu, każde zatopione we własnych myślach. Mnie nie dają spokoju jego dziwaczne pytania. Czy ulżyło mu, kiedy się dowiedział, że ostatnie dni życia Carla spędziła dość miło? Dlaczego wspominał o depresji? Czyżby podejrzewał, że jego żona mogła celowo stanąć na drodze rozpędzonej ciężarówce? Ta ostatnia myśl sprawia, że krew zaczyna żywiej krążyć mi w żyłach.

— Wiem, że to nie moja sprawa — mówię pośpiesznie — ale dlaczego nie przyszedł pan z wizytą zaraz po przylocie na wyspę?

— Słucham? — patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem; widać, że myślami był gdzieś daleko. Kiedy moje pytanie dociera do jego świadomości, na czole pojawia mu się bruzda. — Miałem taki zamiar, ale lot był spóźniony. Do tego doszła przesiadka w Atenach i kiedy się już znalazłem na wy-

spie, było późno, a ja padałem z nóg. Na pewno byśmy się pokłócili, a tego nie chciałem. Zresztą był u niej Paul, ale zabroniłem mu mówić, że przyleciałem, zamierzałem jej zrobić niespo...

— Paul? — nie daję mu skończyć.

— Tak, Paul Waveney. Carla o nim nie wspomniała? — Kręcę przecząco głową. Finch mi nie dowierza, ale wyjaśnia: — To nasz sąsiad. Jego ciotka ma na wyspie willę, dlatego Paul często tu bywa. Tym razem spodziewał się, że przyjedziemy oboje i zatrzymamy się u nich, ale kiedy pojawiła się sama Carla i wydało się, że ja nic nie wiem o jej wycieczce, posprzeczali się. Carla wybiegła bez słowa, a Paul zaraz do mnie zatelefonował. Żałuję, że nie przyleciałem od razu, ale byłem na nią zły i postanowiłem jej dać nauczkę. Zmieniłem zdanie trzy dni temu, po drugim telefonie od Paula. — Zawałał się, nim dokończył: — Przypuszczam, że opowiadała pani, iż mieliśmy pewne problemy...

— Nie, nie wydaje mi się — zaprzeczam, cały czas myśląc, że z jego słów przebija fałsz, jakby recytował niezbyt dobrze przygotowaną rolę. Tak czy inaczej to co mówi, nie ma najmniejszego sensu. Zaraz przypominam sobie jednak, że nic nie ma już sensu. — W takim razie po co pan przyjechał? Przecież jutro miała wracać do domu.

— No tak, ale ja o tym nie wiedziałem, prawda? Byłem przekonany, że zrobiła sobie dłuższą przerwę...

Na usta cisną mi się następne pytania, ale jesteśmy już pod hotelem, co mnie w pewien sposób cieszy. Finch opowiada o Carli tak, jakby była żywym człowiekiem, a to powoduje u mnie gęsią skórę i miesza mi myśli. W piersi czuję ciężar, coraz trudniej jest mi oddychać.

Kiedy jesteśmy już na tyle blisko, że widzę wewnątrz baru, dostrzegam sylwetki Glena i Caddiego. Choć siedzą do mnie bokiem, na wysokich stołkach przy kontuarze, wydaje mi się, że prowadzą ożywioną rozmowę. Potrafię się domyślić, o czym gadają — o mężu Carli depczącym im po piętach, obserwującym ich i oceniającym... Zerkam na Daniela Fincha, potem znów na nich; dwaj młodzi Amerykanie przy tym mężczyźnie wydają się jeszcze młodszy — i bezbronni. Zastanawiam się, ile Finch wie na temat ostatniej nocy Carli, czy policja powiedziała mu o niej wszystko?

— Paul czeka na mnie w samochodzie — mówi Finch, wrywając mnie z zamyślenia. — Dziękuję za pomoc. Zapytam policję o pani adres i zawiadomię panią o pogrzebie...

Zamieram na dźwięk tego słowa, na głos mówię jednak dzielnie:

— To bardzo miło z pańskiej strony.

Zamiast się pożegnać, odwraca się w stronę morza, opuszcza wzrok na piasek i półszepetem pyta:

— A tak przy okazji, który z nich to był?

— Który z nich? — powtarzam, chociaż wiem, o co mu chodzi.

— Carla spędziła ostatnią noc z jednym z nich, prawda?

— Tak, ale on...

Przerywa mi.

— Który?

— Caddie. Ten z ciemniejszymi włosami.

Kiwa głową, mięśnie szczęki ma napięte, lecz panuje nad sobą, kiedy mówi:

— Bardzo pani dziękuję. Naprawdę pomogła mi pani.

Odchodzi szybkim krokiem w stronę zaparkowanego w cieniu samochodu. Z tej odległości nie sposób rozróżnić rysów twarzy mężczyzny siedzącego za kierownicą, nawet kiedy odwraca się, by skinieniem powitać wsiadającego Fincha. Zresztą prawie od razu zapala silnik i odjeżdżają. Migają mi jasnorude włosy, nienaganne ubranie i elegancki kapelusz panama.

Chwilę potem biały samochód znika w tumanie wzniesionego przez koła kurzu.

Wkrótce Glen, Caddie i ja przekonujemy się, że człowiek postawiony w obliczu tragedii kurczowo trzyma się rutyny, choć ta dawno przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy robi się ciemno, jak co dzień rozważamy, dokąd pójść na posiłek, mimo że żadne z nas nie będzie w stanie nic zjeść. Jednakże alternatywa, czyli pozostanie w hotelu w oczekiwaniu na kolejny ruch policji, zdaje się najprostszą drogą do obłędu.

Właśnie gdy mamy wejść na ścieżkę prowadzącą do Yerolimani, Caddie rzuca spojrzenie w kierunku drogi i jego twarz w mgnieniu oka szarzeje.

— O mój Boże — czytam z jego warg.

Nadjeżdża samochód kapitana. Zatrzymuje się gwałtownie, po czym z wnętrza wynurza się potężna postać policjanta. Kiedy widziałam go poprzednio, był pewny siebie i zawzięty; teraz jest wyraźnie zły, twarz ma pociemniałą z gniewu. Prawdę powiedziawszy, kapitan Markazenis wygląda tak, jakby zaraz miał popełnić morderstwo, a nie rozwiązać zagadkę zabójstwa popełnionego przez kogo innego.

Rzuca w naszą stronę wściekłe spojrzenie, po czym przystaje przy barze, gdzie Manoli nalewa mu kieliszek jakiegoś alkoholu. Rozmawiają, a właściwie kapitan mówi, szybko i popędliwie, a Manoli potakuje, przybrawszy wyraz twarzy, z którego można wyczytać, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Stoimy jak wryci. Nawet nie próbujemy udawać, że zajmuje nas rozmowa; po prostu stoimy i czekamy. Porażeni niepewnością i strachem, zbyt tchórzliwi, by wykazać inicjatywę, liczymy na to, że kapitan wyjawi nam powód swej wizyty.

Po ciągnącej się w nieskończoność chwili odstawia kieliszek z głośnym stukiem, po czym poprawia spodnie zamasztyłym ruchem i podchodzi do nas swym charakterystycznym, kołyszącym się krokiem.

Przesycone złością oczy prześlizgują się po mojej twarzy, na ułamek sekundy zatrzymują na Glenie, by spocząć na Caddiem.

— Panie Drossky — odzywa się wreszcie — ma pan bardzo dużo szczęścia.

— Jak to?

— Zostało postanowione, że dochodzenie należy umorzyć. Panna Finch zginęła w wypadku — to ostatnie słowo wypluwa. — Śmierć nastąpiła w momencie, kiedy uderzyła ją ciężarówka i spadły na nią kamienie.

— Przeprowadzono sekcję zwłok?

— Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci było uderzenie kamieniami z ciężarówki, którego panna Finch doznała w głowę. Koniec historii. — Jest wyraźnie wściekły, że osobiście musi nas o tym poinformować. — Powtarzam: zostało postanowione, że śmierć nastąpiła w wyniku wypadku. Dochodzenie umorzono.

— Jezu... — Caddie wypuszcza wstrzymywane w płucach powietrze. Patrzy z niepokojem na kapitana Markazenisa, obawiając się, że to jakiś okrutny żart albo co gorsza, pułapka.

Glen nie daje mu dojść do słowa.

— Czyli nie ma podstaw sądzić, że w sprawę zamieszane były osoby trzecie, czy tak? — pyta bezpośrednio policjanta.

— Moim zdaniem... ale nikogo nie interesuje moje zdanie. Kto inny postanowił, że śmierć nastąpiła w wyniku wypadku.

— Ale koszula... — zaczynam niepewnie.

Odwraca się błyskawicznie w moją stronę, rzucając przez zęby:

— Jaka znów koszula? — W tej samej chwili wiem, co go doprowadziło do takiej wściekłości: wyższy rangą policjant odsunął go od sprawy, przeforsował swoje zdanie. Wyciąga z kieszeni nasze paszporty. — Kazano mi je zwrócić.

Caddie opuszcza głowę, zasłania dłońmi oczy. Cały drży. Przypuszczam, że płacze z ulgi.

Policjant odwraca się do odejścia.

— Jej mąż zabiera ciało do Anglii. A wy... wy też możecie jechać do domu.

Część druga

LONDYN, ANGLIA

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Celem mojej podróży był zakątek Anglii, którego nie znałam. Tuż za Exeterem zjechałam z głównej drogi i kierując się rozpostartą na kolanach mapą, wybrałam szosę wiodącą wśród skalistych wzgórz i zalesionych niecek południowego Devonu. Nie spodziewałam się tak wielkiego ruchu; patrząc przed siebie, na zatłoczoną jezdnię pełną zmotoryzowanych urlopowiczów, traciłam z oczu mapę, w konsekwencji czego dwukrotnie zgubiłam drogę i groziło mi, że nie zdążę na czas. W pewnym momencie znalazłam się na polnej drodze, tak wąskiej, że gdyby z naprzeciwka nadjechał samochód, miałabym problem z jego wyminięciem, zwłaszcza że pobocze porastały wybujałe żywopłoty wysokości dwupiętrowego autobusu. Ściana pionowej zieleni ograniczała pole widzenia i zapowiadała tajemnicę.

Zerknęłam na zegarek; miałam jeszcze dwadzieścia minut w zapasie, a według mapy byłam prawie na miejscu. Ogarnęło mnie dziwne podniecenie. Znajdowałam się w miejscu, które znała Carla, jechałam drogą, po której ona jeździła, podziwiałam krajobraz, który był jej bliski. Zbliżałam się do domu Carli. Do jej świata.

Jechałam na pogrzeb.

Trzy dni temu zelektryzował mnie krótki telefon. Poinformowano mnie, że pogrzeb Carli Finch odbędzie się w piątek w wiejskim kościółku w Devonie, i zapytano, czy życzę sobie, by zorganizowano dla mnie miejsce w jednym z samochodów zabierającym żałobników z Londynu.

„Bardzo dziękuję, ale nie”, odpowiedziałam myśląc równocześnie, że jeśli w ogóle pojedę, to wyłącznie sama. W końcu nikt inny nie znaczył w jej życiu tak mało — albo tak dużo, w zależności od punktu widzenia — jak ja. Czułam przy tym, że moja obecność na pogrzebie Carli byłaby szczytem hipokryzji. W piątek rano nadal się wahałam; właściwie nigdy nie podjęłam świadomej decyzji, że tam pojedę, po prostu w pewnej chwili pomyślałam, że jest ładny dzień, w sam raz na przejażdżkę, i że zawsze mogę zawrócić. Nieco później uznałam, że nie zrobię nic złego podjeżdżając pod sam kościół — zaparkuję w jakimś oddaleniu i nawet nie wysiądę z samochodu. A potem przyszło mi do głowy idealne rozwiązanie: nie pokażę się podczas nabożeństwa żałobnego, ale przejdę z tłumem na cmentarz, żeby zobaczyć, jak opuszczają trumnę do grobu i zasypują ją ziemią. To właśnie najbardziej chciałam zobaczyć; potrzebowałam pewności, że Carla jest pochowana i że nikt więcej nie będzie ba-

dał jej ciała, doszukując się prawdziwej przyczyny zgonu. Wtedy nareszcie przestałabym się bać, że ktoś kiedyś znów zacznie mnie wypytywać o jej ostatni dzień...

Choć wiem, że to zabrzmiało makabrycznie, muszę przyznać, że kiedy wzięłam ostatni zakręt i zobaczyłam kościół, z kanciastą wieżą i zapchanym samochodami podjazdem, poczułam, jak napęnia mnie optymizm.

Jeszcze trochę — pomyślałam — i ten koszmar się skończy...

Podobnie myślałam wsiadając do samolotu, zapinając pasy bezpieczeństwa i rzucając ostatnie spojrzenie połyskującemu morzu i malejącym figurkom na plaży; lecąc do domu byłam szczerze przekonana, że moje kłopoty się skończyły. Glen i Caddie szarmancko zaproponowali, że odprowadzą mnie na lotnisko, kiedy jednak odmówiłam, wyraźnie się ucieszyli. Wydarzenia ostatnich dwóch dni wszystko zmieniły. Każde z nas przeżyło je na swój sposób i po swojemu sobie z nimi radziło. Najbardziej potrzebowaliśmy samotności. Zresztą nie mieliśmy już o czym rozmawiać, tyle tematów stało się nagle tabu. Rozpaczliwie pragnęłam się od obu mężczyzn uwolnić, w obawie że nagle powiem o słowo za dużo albo że pogubię się w opowiedzianych kłamstwach.

Caddie przez cały wieczór nie odchodził od telefonu. Wsłuchiwał się w wypowiedziane na kontynencie cyniczne komentarze, wykrętne odpowiedzi i przedłużające się chwile ciszy, by dojść do wniosku, że na nasze szczęście nadgorliwy kapitan Markzenis został jakimś cudem poskromiony. Być może wyniki sekcji zwłok były na tyle niejasne, że ktoś uznał, iż lepiej śmierć Carli potraktować jako wypadek drogowy, oszczędzając wszystkim zachodu. Albo co jeszcze bardziej prawdopodobne, chciano uniknąć skandalu na początku sezonu, zapobiegając tym samym lawinowemu odwrotowi turystów. Lub też rodzina kierowcy ciężarówki była na tyle wpływowa, że udało im się oczyścić go z zarzutów zabójstwa. W przeciwieństwie do Caddiego nie byłam ciekawa powodów, dla których kapitan zrezygnował ze swego oskarżenia; w zupełności mi wystarczyło, że jesteśmy wolni.

Sama nie wiedząc jak, przyczyniłam się do potwornej tragedii, której ogromu wciąż jeszcze nie pojmowałam, a mimo to wyglądało na to, że cało uniosę skórę. Nikt nie zamierzał mnie aresztować ani nawet ponownie przesłuchać. Nie czekała mnie rozprawa, wyrok ani więzienie. Zostanie mi oszczędzony widok zszokowanych przyjaciół i zdruzgotanej rodziny. Moje życie pozostanie nie zmienione. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że wiele wody upłynie, zanim uporam się z tym, co zaszło, i że rany na mej duszy długo pozostaną niezabliźnione, ale w gruncie rzeczy już się cieszyłam na myśl o powrocie do normalnego życia.

Niestety rychło się okazało, że moja egzystencja daleka jest od normalności. Symptomy takie jak kłopoty z zasypianiem i brak apetytu zamiast mijać, tylko się nasilały. Mimo to, nieprzytomna z wyczerpania, po kilku dniach „odpoczynku” wróciłam do pracy, licząc, że jak w przeszłości, tak i teraz moje wymarzone zajęcie stanowić będzie panaceum — w końcu już parokrotnie mnie wyleczyło z grypy czy chandry. Nie tym razem jednak. Na domiar złego moi współpracownicy z łatwością się do-

myślili, że poza zwykłym pourlopowym rozleniwieniem dolega mi coś jeszcze, coś, co stanowi prawdziwą przyczynę takiego a nie innego mego zachowania. Przyznałam więc, że poznana podczas urlopu znajoma zginęła nagłą i bezsensowną śmiercią i że czuję się temu winna. Że gdybym nie poszła rano popływać, ale udała się drogą do hotelu, dogoniłaby mnie i byłybyśmy razem, kiedy pojawiła się ciężarówka, a wtedy do wypadku prawdopodobnie by nie doszło.

Okazali mi współczucie i zrozumienie. Powiedzieli, że zauważają u mnie objawy szoku, który często z opóźnieniem dopada ludzi, i inne typowe zaburzenia posttraumatyczne, a do tego ich zdaniem cierpiałam na poczucie winy, dlatego że przeżyłam, no i wciąż byłam pogrążona w bezdennym smutku. Szefowie kazali mi wziąć dodatkowy tydzień wolnego. Wszyscy radzili, bym skorzystała z pomocy specjalisty. Z początku protestowałam, ale nawet będąc otumaniona nieszczęściem i skonfundowana, wiedziałam, że w obecnym stanie stanowią dla nich tylko niepotrzebne obciążenie, uniemożliwiam im wykonywanie pracy, sama nie przynosząc nikomu pożytku. Ich wyrazy współczucia odbierałam jako wysublimowaną torturę — przecież nie zasługiwałam na nie! Zgodziłam się więc pójść do domu, zapowiedziałam jednak, że wrócę zaraz po weekendzie.

To było dziesięć dni temu. Dziesięć długich dni, podczas których bezsenność się nasiliła, apetyt nie powrócił. Czułam się coraz gorzej.

To wtedy odebrałam ten telefon.

— Carla Finch zostanie pochowana w piątek o czternastej trzydzieści na cmentarzu w Burdocku — poinformował mnie nieznajomy kobiecy głos. — Daniel prosił, żebym przekazała pani wiadomość. Mogę też zorganizować transport...

— Bardzo dziękuję, ale nie. Wolę pojechać sama.

— Po pogrzebie odbędzie się stypa. Daniel chciał zaprosić wszystkich do domu, ale wybiliśmy mu to z głowy. Gości będzie zbyt wielu, żeby się tam pomieścili, dlatego ostatecznie wynajęliśmy salę.

— Oczywiście.

— Zatem do zobaczenia.

— Tak.

Już odkładając słuchawkę, wiedziałam, że nigdzie nie pojedę. Pomijając wszystko inne, nie czułam się na siłach, żeby prowadzić samochód (kiedy ostatnio wybrałam się do sklepu na sąsiedniej ulicy, niemal spowodowałam wypadek) — byłam zbyt rozkojarzona, a Devon był zbyt daleko.

A jednak w piątek rano włożyłam ciemną letnią garsonkę, wzięłam z półki mapę drogową, wsiadłam do samochodu i ruszyłam spod domu. Sama byłam zdziwiona naturalnością tych wszystkich czynności, nawet jazda nie sprawiła mi problemu — widać wyznaczwszy sobie właściwy cel potrafiłam skupić na nim uwagę. Czułam się tak, jakby podróż do miejsca, w którym żyła Carla, była tym, na co cały czas czekałam, co powinnam była zrobić, podczas gdy inne czynności okazywały się niemożliwe do wykonania, gdyż po prostu nie miały związku z Carłą.

W tamtej chwili sądziłam, że pożegnanie Carli w jej ostatniej drodze umożliwi mi postawienie grubej kreski pomiędzy tym, co było, a przyszłością.

Tak myślałam.

Podjeżdżałam w stronę kościoła bardzo powoli, z uwagi na wąską drogę i nerwy, i z ulgą przystanąłam za masywnym kombi, które całe było pokryte charakterystycznym dla okolicy rdzawym pyłem. Wyłączyłam silnik, zerknęłam w lusterko, sięgnęłam po torebkę i... uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie wysiąść z samochodu.

Nogi miałam jak z ołowiu, niezdolne do najlżejszego ruchu. W żaden sposób nie uda mi się dostać do kościoła — myślałam. — Co mam zrobić? Oblewały mnie fale gorąca, jedna gorsza od drugiej, powoli ogarniała panika. Szaleństwem było tu przyjeżdżać... Co ja sobie w ogóle wyobrażałam? Przecież prędzej czy później załamie się na oczach wszystkich, zacznę krzyczeć, sama się wydam w ich ręce, bełkocząc o tym, co zrobiłam, wyjawiając prawdę. Powinnam natychmiast odjechać — uznałam. Jednakże wystarczył rzut oka we wsteczne lusterko i już wiedziałam, że drogę ucieczki mam odciętą. Za mną ustawił się potężny samochód terenowy, jego przedni błotnik nie dalej niż dziesięć centymetrów od mojego tylnego. Im bliżej kościoła, tym bardziej się zwężała droga, toteż każdy parkował gdzie mógł — wszystkie samochody miały odjechać w tym samym czasie, nikt więc nikomu nie blokował drogi, co zrozumiałabym bez trudu, gdybym potrafiła wtedy logicznie myśleć. Niestety jedyne, co przyszło mi do głowy, to że celowo odcięto mi odwrót: znalazłam się w pułapce.

Panika się pogłębiała. Ostry ból przeszył mi pierś, w uszach dudniło. Patrząc prosto przed siebie zauważyłam, że ze stojącego tuż przede mną kombi wysiada starsze małżeństwo — dziadkowie albo może nawet rodzice Carli, na pewno ktoś, kto ją dobrze znał, sądząc po bólu malującym się na ich twarzach. Nieprzerwany strumień żałobników płynął w stronę rozwartych wrót kościoła, smucąc się z powodu utraty Carli. Smucąc się przeze mnie. Po tym co uczyniłam, jak śmiałam pojawić się wśród nich? Szydzić z ich smutku, udając swój? Chwytałam powietrze otwartymi ustami, jak ryba wyrzucona na brzeg, lecz mimo to się dusiłam, ani jedna cząsteczka tlenu nie docierała do płuc.

Dobry Boże — modliłam się w duchu. — Spraw, żebym stąd zniknęła. Niech się rozplynę w powietrzu...

Nagły dźwięk, postukiwanie czyjegoś paznokcia w szybę, przerwał panującą we wnętrzu samochodu ciszę. Podskoczyłam ze strachu, odwracając się do bocznej szyby. Stojący obok drzwi mężczyzna lekko się nachylał, a jego twarz była koszmarnie znajoma, jakbym zapamiętała ją ze złego snu.

Opuściłam okno.

— Przepraszam — powiedział marszcząc brew. — Przestraszyłem panią?

— Chyba się zamyśliłam — odrzekłam zmuszając się do uśmiechu.

Przybrałam rozluźniony wyraz twarzy, lecz nie uśmiechałam się radośnie — było nie było to pogrzeb, musiałam wejść w rolę.

Wyglądał na starszego, niż go zapamiętałam, no ale przecież nigdy nie widziałam go z tak bliska. Kiedy po raz pierwszy na niego spojrzałam, w jaskrawym słońcu zaraz po wyjściu z lotniska, oceniłam go na trzydzieści parę lat. Teraz dodałam mu w duchu całą dekadę. Tak, miał co najmniej czterdzieści dwa lata, skórę na twarzy cienką jak pergamin i równie bladą, a mimo to na swój sposób był intrygujący. Otaczała go aura świetlistości, uroku i niepewności, co w innych okolicznościach mogłoby mnie zainteresować. Jednakże musiałam się mieć na baczności. Czy to na pewno przypadek, że ustawił się tuż za mną? A może specjalnie wyczekał, aż podjadę, i zagroził mi drogę? Ale dlaczego? Wewnętrznie drżałam z przerażenia, że zaraz zostanę zdemaskowana. Wszystko we mnie krzychało: „Zostaw mnie w spokoju!! Odejdź!” Zaraz wszakże spokojniej pomyślałam: Nie, nie odchodź, przecież muszę cię przekonać, że jestem niewinna...

— Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale...

— Paul, prawda?

— Paul Waveney — skinął głową. — A pani to Helen North — bardziej stwierdził, niż zapytał. Rozejrzał się wokół i dodał: — Chyba powinniśmy już wejść. Nabożeństwo rozpocznie się za pięć minut. Nie wypada się spóźnić.

Przytrzymał otwarte drzwi samochodu, a ja wysiadłam (w którymś momencie nogi straciły ociążałość ołowiu i na powrót były zrobione z ciała). Kiedy chciałam zamknąć samochód na klucz, ręka drżała mi tak bardzo, że dwukrotnie nie trafiłam do zamka.

— Pogrzeby mnie deprymują — wytłumaczyłam się. — Pana nie?

Oczy Paula spoczęły na mojej twarzy, nim odpowiedział.

— Nie, przynajmniej nie zawsze. Czasem pogrzeb może być... — zawiesił głos, szukając właściwego słowa — ...ulgą. Oczywiście w wypadku Carli to czysta tragedia.

— To właśnie miałam na myśli — zapewniłam go szybko.

Szedł u mego boku, kiedy żwirową alejką zmierzaliśmy do wrót kościoła. Choć jego obecność wyprowadzała mnie z równowagi, napominałam się w duchu, żeby nie dać tego po sobie poznać. Zauważył, że nikogo tu nie znam, i chce być zwyczajnie uprzejmy — uspokajałam się. — Nie ma powodu do obaw.

Paul miał rację: wszyscy już byli na miejscu. Zwalniali przed wejściem, witając się ściszonymi głosami i kurtuazyjnie przepuszczając w drzwiach. Moment, kiedy mogłam jeszcze zawrócić, minął bezpowrotnie; ludzka rzeka porwała mnie — przerażoną, lecz całkowicie niezdolną do oporu.

Wciąż z Paulem u boku przekroczyłam kamienny próg i znalazłam się w przejmującym chłodem mrocznym wnętrzu. W nozdrza uderzył mnie mdły zapach kwiatów, uszy poraził zawodzący jęk organów, musiałam wyteżać wzrok, by dojrzeć głowy nieznanym ludzi zwróconych w stronę ołtarza. Nagle wyrosła przy mnie obca kobieta i jej oczy rozszerzyły się — ze zdumienia bądź olśnienia.

Czyżby wiedziała, kim jestem? Dlaczego tu jestem? Nie, przywitała się tylko z Paulem, mnie zupełnie ignorując. Masz wybujałą wyobraźnię — powiedziałam sama do siebie.

— Nikt nie ma pojęcia, czemu tu jesteś. A może jednak?...

Ktoś podał nam książeczki z psalmami i wskazał wolne miejsca po prawej stronie. Paul przystanął, żeby przepuścić mnie przodem, nie wiedząc, że wolałabym siedzieć bliżej przejścia. Jedno po drugim wcisnęliśmy się w wąską ławkę, którą zajmowała już potężnie zbudowana para. Kobieta skinęła głową, milcząco witając się z Paulem, i rzuciła mi zaciekawione spojrzenie.

Tylko spokojnie — mówiłam sobie w głębi duszy.

Cały kościół przystrojony był szlachetnymi kaliami, wyniosłymi różami oraz pospolitym lyszczcem polnym i jaśminem, w powietrzu unosił się ich ciężki, słodkawy zapach. Już na zewnątrz miałam kłopoty z oddychaniem, a ścisk, upał i mdląca woń kwiatów ani trochę nie polepszyły sprawy.

Wydawało mi się, że na samym przodzie dostrzegam sylwetkę Daniela Fincha, na ile mogłam go rozpoznać z tyłu tylko po zarysie ramion i głowy. Natychmiast się zastanowiłam, czy i dzieci biorą udział w pogrzebie — Lily, Rowan i Violet, lecz zaraz napomniałam się w duchu, by o nich nie myśleć. Zamiast się więc rozglądać w ich poszukiwaniu, wpatrzyłam się w schodki wiodące do ołtarza, na których także ułożono olbrzymie bukiety. Zaniepokoiło mnie, że trumna nie stoi jeszcze na katafalku. Czyżby w ostatniej chwili policja zatrzymała ciało? Nadgorliwy przedsiębiorca pogrzebowy zauważył coś podejrzanego i zawiadomił władze, i teraz...

Gorączkowe rozmyślenia przerwał mi huk zatraskiwanych drewnianych wrót kościoła. Zdaje się, że słyszałam, jak opada rygiel, lecz nawet gdybym się odwróciła, nic bym nie zobaczyła, gdyż wszyscy obecni zaczęli wstawać, podczas gdy wysoki, odziany w białe szaty proboszcz sunął nawa pewnym krokiem.

Dotarłszy przed pierwsze ławki odwrócił się i zaczął przemawiać. Wyrzucał z siebie oklepane słowa o życiu, śmierci i zmartwychwstaniu, od czasu do czasu wplatając w nie imię Carli. W którymś momencie rozległ się szeleszczący dźwięk, nieprzyjemnie spotęgowany przez echo, kiedy równocześnie otwarte zostały śpiewniki. Organista uderzył w klawisze. Odurzająca mgła, która podnosiła się z kwiatów, zatykała mi nos i usta, uniemożliwiając oddychanie.

— Dobrze się pani czuje? — Paul zwrócił się do mnie, kiedy reszta zgromadzenia zaczynała śpiewać.

— Trumna — odszepnęłam przez ściśnięte gardło. — Gdzie jest trumna?

— Ciało Carli zostało poddane kremacji dobre kilka dni temu. Urna z jej prochami stoi koło tego wielkiego bukietu... Nabożeństwo jest dopiero dzisiaj dlatego, że część rodziny nie zdążyłaby inaczej na pogrzeb.

Prochy... co za cudowne słowo.

— No tak. Jak mogłam zapomnieć...

Ręką ciężką jak ołów sięgnęłam do śpiewnika i otworzyłam go na właściwej stronie. Litery skakały mi przed oczyma, tekst się rozmywał i był nieczytelny... dopiero po dłuższej chwili uprzytomniłam sobie, że jest do góry nogami. Mimo to poruszałam wargami, udając, że śpiewam, choć w piersi mnie dusiło i za nic nie zaryzykowałabym wydobywania głosu. Cały czas myślałam przy tym: Carla została poddana kremacji... nigdy nie będzie już żadnej sekcji zwłok. Nie ma ciała, nie można go więc ekshumować. Carla naprawdę odeszła. Obróciła się w proch... Wszystko skończone. Jestem już bezpieczna.

Powinłam była zatem poczuć ulgę, gdyż to czego obawiałam się przez niemal miesiąc, zostało unicestwione wraz z ciałem Carli. Dlaczegoż więc jej nie czułam? Czemu kręciło mi się w głowie, a przed oczyma wirowało, jakbym zaraz miała zemdleć?

Skupiłam się na wdechach i wydechach, na szczęście psalm się wkrótce skończył i usiedliśmy na powrót w ławkach. Jakiś starszy mężczyzna podszedł do pulpitu, otworzył niewielką książeczkę i zaczął z niej czytać. Rozumiałam tyle samo, ile dotarłoby do mnie, gdyby nagle zaczął mówić językami, zresztą nie słuchałam go, wciąż skupiona na rytmie swoich oddechów — głęboki wdech, długi wydech; powoli się uspokajałam, przekonując się, że muszę wytrzymać jeszcze góra pół godziny (w końcu ileż może trwać nabożeństwo żałobne!) i będę mogła stąd odejść, na zawsze. Wrócić do swojego życia, pewna, że nikt nigdy się nie dowie, co uczyniłam Carli.

Zatem to naprawdę koniec.

...Starszy mężczyzna wraca do swej ławki, ludzie podnoszą się, żeby zrobić mu przejście, przez chwilę panuje zamieszanie, wreszcie wychodzi kobieta odziana w czarną jak noc suknię i takiż kapelusz z woalką zakrywającą górną połowę jej twarzy. Kładzie na blacie książkę i unosi głowę, by ogarnąć spojrzeniem zgromadzonych. Z gardła wydobywa mi się jęk.

Przy pulpicie stoi Carla.

Odzyskane przed zaledwie chwilą poczucie rzeczywistości wymyka mi się jak przesypujący się między palcami piasek...

Jednakże kiedy kobieta podniosła woalkę i zaczęła czytać, uświadomiłam sobie, jak wielką pomyłkę popełniłam. Z pewnej odległości mogłam ją wziąć za Carłę — miała taką jak ona drobną twarz i głęboko osadzone oczy, takie same wyraziste i przykuwające uwagę rysy, równie imponującą kasztanową fryzurę. Zdradził ją wszakże głos. Lekko ochryply, co przywodziło na myśl Carłę, był równocześnie donośniejszy i bardziej opanowany. Takiego głosu nie powstydziałaby się aktorka.

— Kto to? — spytałam Paula.

— Leonie Fanshaw, starsza siostra Carli — odparł cicho. — Pewnie zna ją pani z telewizji, można ją zobaczyć na prawie każdym kanale. Zdumiewające podobieństwo, nie sądzi pani?...

— Tak.

Zatem rzeczywiście była aktorką. Jej głos dźwięczał w murach kościoła, nie mogłam więc nie usłyszeć słów recytowanego przez nią wiersza:

Ja harcować będę na niebie z niemymi ptakami,

Nocą zaś będę mdłym światłem gwiazd.

Nad mogiłą tą nie stój w żalobie,

Nie usnęłam na wieczność w swym grobie...

Głos się jej załamał przy słowie „mogiła”, a ostatnia linijka zginęła wśród urywanego szlochu, jednakże Leonie Fanshaw była dobrą aktorką: umiała płakać i recytować w tym samym czasie. Pod koniec mówiła tak cicho, że właściwie nie powinno być jej słychać gdyby nie to, że w kościele każda żywa dusza wstrzymała oddech. Fraza „nie usnęłam na wieczność” zawisła w powietrzu i trwała tak w ogólnym milczeniu. Z bukietu ustawionego na wysokości mojej ławki w zwolnionym tempie opadł płatek jednej z kalii, a kiedy dotknął posadzki, zdało mi się, że rozległo się donośne echo. Zaraz po tym ktoś siedzący tuż za mną pociągnął nosem. Wkrótce dźwięk powtórzył się w kilku miejscach, a gdy siostra Carli zamykała książkę i z opuszczoną głową schodziła z podwyższenia, żałobnicy zaczęli się wiercić w poszukiwaniu chusteczek i wycierać oczy.

Ja siedziałam bez ruchu jak sparaliżowana. Czułam, jak w środku coś we mnie narasta. Czymkolwiek to nowe uczucie było, napawało mnie przerażeniem.

Nabożeństwo jednak toczyło się swoim trybem. Proboszcz powstał, organista podjął psalm „Bóg pasterzem i gospodarzem”, wszyscy dźwignęli się z miejsc — ja także, gdyż choć nie czułam własnych nóg, uniosłam się razem z siedzącym po mojej lewej Paulem i kobietą o bujnych kształtach, z którą sąsiadowałam po prawej stronie.

Opuściłam wzrok na ławkę i zatrzymałam go na dołączonej do książeczki z psalmami ozdobnej karcie z wypisanym na niej:

CARLA JANE FINCH née FANSHAW po którym to napisie następowały znamienne daty.

Ludzie wokół śpiewali psalm. Smutek, jaki wywołał w nich wiersz wyrecytowany przez Leonie, znalazł ujście w przejmującej interpretacji starożytnych słów, będących zarazem poddaniem się, jak i zawierzeniem. W tej krótkiej chwili wierzących i niewierzących zjednoczyła szczerza nadzieja, że Carle czeka jeszcze coś dobrego po tragedii, jaka ją spotkała na greckiej drodze, i tym, czego doświadczyła w angielskim krematorium. W głowie dudniły mi słowa: „Chociażbym chodził ciemną doliną...” i „Nie usnęłam na wieczność...” Cała byłam zdrętwiała. Czułam się jak Judasz, złoczyńca, powód ogólnego smutku i zniszczenia. Nie potrafiłam oderwać oczu od dat. Carla umierając miała trzydzieści siedem lat, była prawie dziesięć lat starsza ode mnie i przynajmniej kilka od tego, co jej dawałam. Przerażała mnie ostateczność daty jej śmierci, poza którą nie ma już nic...

Wzdłuż kręgosłupa ciekła mi zimna strużka potu. Na twarzy czułam napierający zewsząd wręcz materialny zapach pyłku kwiatowego. Do ust zaczęła mi napływać ślina. Nagle postaci stojących w

rzędzie przede mną osób rozchyliły się na boki, jak celnie trafione kręgle. Łokciem uderzyłam o coś twardego, dłonie ześliznęły się z drewna, a może z kamienia... Wianuszek zaciekawionych twarzy przyglądał mi się ze zdziwieniem (usta wciąż ułożone w ciup jak do śpiewu, a może było to „O!"). Jeszcze do niedawna na wysokości moich oczu, wazon z kalamami i witrażowe okno, na którego tle stał, poszybowały do góry, ja zaś zaczęłam podziwiać śnieżnobiałe sklepienie świątyni. Rychło jednak ogarnęła mnie piekielna ciemność i pozostał tylko wszechobecny zapach kwiatów i głos setki ludzi kończących psalm.

— Co się stało?

— Zemdląłeś.

— Och...

Siedziałam na suchej darni, oparta o coś solidnego i chłodnego. Paul stał tuż obok, paląc papierosa. Zauważyłam, że gdzieś się podziwała jego marynarka, a krawat miał poluzowany. Chwilę mi zajęło, nim zrozumiałam, że zarzucił mi marynarkę na ramiona. Poruszyłam nogami, żeby przyjąć wygodniejszą pozycję.

— Musiałeś mnie stamtąd wynieść? — spytałam zakłopotana. Przytaknął.

— Całe szczęście, że jesteś lekka jak piórko.

— Straciłam ostatnio na wadze — powiedziałam odruchowo i zaraz tego pożałowałam.

— Jakies pięć kilo od wakacji, zgadza się?

— E, nie — zaoponowałam, chociaż wiedziałam, że ma rację. — Zresztą od dawna się nie wazyłam.

— Ja potrafię ocenić czyjąś wagę na oko — rzekł Paul.

— Zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Znow poczułam falę mdłości i na moment przymknęłam oczy. Z wnętrza kościoła dobiegały uspokajające dźwięki organów, a zaraz po nich przejmujące tony dość niezwykłego jak na tę okazję instrumentu. Paul przekrzywił lekko głowę, jakby chciał lepiej słyszeć.

— To Daniel — oznajmił.

— On umie grać na saksofonie? — otworzyłam oczy szeroko ze zdziwienia.

— Między innymi... — Paul poprawiał właśnie węzeł krawata. Zauważyłam, że kiedy spomiędzy chmur wychynęło słońce, opromieniając od tyłu jego rude włosy, wygląda, jakby nosił złocistą koronę.

Cieszyłam się, że nie jestem tam, gdzie saksofon zawodził lamentując nad zmarłą tragicznie i przedwcześnie młodą kobietą. Co za stosowne requiem — pomyślałam.

Nachyliłam się nieco do przodu, by zsunąć z ramion marynarkę Paula, po czym mu ją podałam. Musiałam czymś się zająć, czymś prozaicznym i banalnym, żeby nie dać się porwać melodii dochodzącej ze świątyni.

— Dziękuję za pomoc — powiedziałam spokojnym, jak mi się wydawało, głosem. — Wewnątrz było za gorąco, no i ten skondensowany zapach kwiatów... Teraz czuję się znacznie lepiej — dodałam. — Powinieneś wrócić do środka.

— Nabożeństwo już się prawie skończyło — odparł Paul. — Lepiej zobaczymy, czy uda nam się skombinować filiżankę herbaty, nim do bufetu rzuci się zgłodniały i spragniony tłum.

— Ale ja wcale nie mam zamiaru...

Przerwał mi w pół słowa.

— Zaufaj mi, Helen — złapał mnie za rękę i pomógł wstać. Nie uszło mojej uwagi, że jest zaskakująco silny. — Po prostu mi zaufaj — powtórzył. — Znam się na tym.

Wciąż jeszcze trochę oszołomiona, dałam się Paulowi zaprowadzić do położonego nieopodal domu, w którym miała się odbyć stypa. Z każdym postawionym krokiem ogarniało mnie coraz większe poczucie nierzeczywistości, mimo to szłam i rozmawiałam, sprawiając, mam nadzieję, normalne wrażenie. Wewnątrz jednak przechodziłam przemianę — niewidoczną dla postronnego oka, lecz jakże znaczącą! Czytałam niegdyś o tym, jak gąsienica nieruchomieje i otaczając się kokonem, zamienia w poczwarkę, jej ciało dosłownie rozpuszcza się w coś podobnego do pierwotnego bulionu, z którego powstaje ważka albo motyl. Tak właśnie się czułam, od kiedy zemdlałam w kościele, tyle że zachodząca we mnie transformacja nie miała zaowocować niczym delikatnym i pięknym. To co rodziło się we mnie, było szpetne i znacznie groźniejsze.

I przez cały ten czas moja powłoka udawała, że nie trapi mnie nic poważniejszego niż drobna niedyspozycja na pogrzebie przyjaciółki...

Dom, do którego doszliśmy, był obszerny, prawie zupełnie pusty i porażał brzydotą. Na nasz widok trzy starsze kobiety, pełniące funkcję bufetowych, zerwały się na równe nogi, sądząc, że pogrzeb się już skończył, a ja z Paulem stanowimy forpocztę żałobników. Dowiedziawszy się, jaki jest prawdziwy powód naszego pojawienia się i że reszta pokaże się nie wcześniej niż za kwadrans, zajęły się mną troskliwie.

— Proszę sobie tu usiąść w kąciку, tak żeby była pani bezpieczna, kiedy przyjdzie reszta... w przeciwnym razie stratowaliby panią, biedactwo — wyrzekała jedna z nich, z mocno skręconą trwałą na głowie i w kwiecistym spodniemie, nalewając mi przy tym herbatę. — Jak to dobrze, że Paul był w pobliżu... Musi pani wiedzieć, że jest w wyśmienitych rękach... Ale wciąż coś blado pani wygląda, zaraz podam kawałek szarlotki, którą upiekła Sandra, od razu poczuje się pani lepiej. No, chyba że Paul zaopiekuje się panią na dobre, jak tymi swoimi sierotami...

Obawiałam się, że do końca stypy nie uwolnię się od jej towarzystwa i pod czujnym okiem będę musiała zjeść każdy okruszek cudownej szarlotki o właściwościach leczniczych, ale na szczęście ktoś odwołał opiekuńczą staruszkę do ekspresu do herbaty, przy którym poluzował się kurek czy coś, tak że wreszcie zostaliśmy z Paulem tylko we dwoje.

— O czym ona mówiła? — spytałam.

— Och, pewnie chodziło jej o to, że jestem ostatnią deską ratunku dla zwierzków porzuconych w okolicy. Wszystko się zaczęło od jednego czy dwóch szczeniąt, ale teraz prowadzę już istną menażerię. Jeszcze trochę ciasta? — podsunął mi paterę z najapetyczniejszym kawałkiem szarlotki w moją stronę.

— Nie, dziękuję. Naprawdę nie jestem głodna.

— Chyba niewiele ostatnio jadasz. A może się mylę?

— No cóż, jeśli mam być szczerą... Znów wpadł mi w słowo.

— Wiem, że to dla ciebie trudne, ale powinnaś o siebie dbać.

— Zjem konia z kopytami, jak wrócę do domu... — kłamstwa przychodziły mi coraz łatwiej.

Przyglądał mi się, jakbym rzeczywiście była jednym z jego pacjentów.

— Śmierć Carli stanowiła dla ciebie spore przeżycie, mam rację?

— Hmm, przypuszczam, że tak. Zwłaszcza dlatego, że byłam z nią, tuż zanim...

— Rozumiem cię. Sam czuję to samo.

— Tak? — Nie chciałam o tym rozmawiać, ale nie przychodził mi do głowy żaden pomysł, jak zmienić temat.

Kiwnął głową.

— To pewnie dlatego, że się obwiniam o jej śmierć.

Jedną ręką trzymałam spodeczek, drugą — postawioną na nim filiżankę. Nagle porcelana zaczęła o siebie uderzać i pobrząkiwać, więc odstawiłam obie rzeczy na drewnianą podłogę, tuż u swoich stóp.

— Ty się obwiniasz? — spytałam, nie patrząc na niego.

— Oczywiście. Po pierwsze, Carla nigdy by nie pojechała na tę wyspę, gdyby nie ja... — wciąż patrzyłam na własne stopy, a Paul wyjaśniał dalej: — Moja ciotka i jej mąż kupili na wyspie willę, a ja byłam ich częstym gościem i Carla o tym wiedziała, gdyż nieraz opowiadałam jej i Danielowi o urokach Grecji. Kiedy ciotka zaproponowała, żebym przy następnej sposobności przywiózł znajomych, od razu pomyślałam o nich, nigdy jednak nie sądziłam, że Carla zdecyduje się pojechać na wakacje bez Daniela.

— Mówił coś o jakichś problemach... — wtrąciłam.

— Tym bardziej powinni byli pojechać razem! — powiedział z mocą Paul. — Mogliby wykorzystać okazję, że są sami, i naprawić to, co się między nimi popsło, zamiast pozwolić, by sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

— Kto to może wiedzieć...

— Teraz to i tak nieważne. Jestem winny, bo gdybym nie podsunął jej tego pomysłu, nigdy by tam nie pojechała, a gdzie indziej nic by się jej nie przy...

Tym razem ja mu przerwałam.

— Ależ nie możesz się obwiniać, Paul! — zaproponowałam.

Prawdę mówiąc odniosłam wrażenie, że jego naciągane poczucie winy jest tylko pretekstem, żeby wzbudzić litość i współczucie u słuchacza. Ze wszystkich ludzi na świecie wybrał sobie najgorszą rozmówczynię.

— Może z logicznego punktu widzenia nie — nie poddawał się łatwo. — Czasem i ja powtarzam sobie, że widać tak musiało się stać i nie miałem z tym nic wspólnego... — Nagle zmienił nieco temat: — Wiesz, że niektórzy wierzą, że godzina ich śmierci jest zapisana? Że kiedy właściwy czas nadejdzie, nic nie można poradzić? Jeśli to prawda, Carlę mogła zabić ciężarówka na wyspie albo coś zupełnie innego zupełnie gdzie indziej, ale i tak byłaby dziś martwa bez względu na to, czybym ją zaprosił czy też nie... Co o tym sądzisz?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — odparłam wymijająco.

— Ale przyznasz, że to diabelnie ciekawe? To znaczy, jeśli godzina naszej śmierci rzeczywiście jest gdzieś zapisana, sposób, w jaki umieramy, nie ma najmniejszego znaczenia, prawda? — Paul patrzył na mnie wyczekująco, spodziewając się komentarza, lecz ja nie wiedziałam, do czego zmierza. Dlaczego mi to wszystko mówił? Czyżby cały czas był świadomy, co mnie gnębi, i bawił się ze mną, igrając z moimi strachami? Lecz skąd by znał prawdę? Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął nie zrażony: — W takim razie nawet to, co my nazywamy wypadkiem, tak naprawdę wcale nim nie jest, gdyż jest z góry przesądzone, a co za tym idzie nieuniknione, a „nieunikniony wypadek” to przecież oksymoron. Z tego by wynikało, że jeśli nawet jeden człowiek jest winien śmierci drugiego, w rzeczywistości wcale za nią nie odpowiada, gdyż był tylko narzędziem w rękach Losu.

Nie chcąc odpowiadać od razu, by nie zdradziło mnie drżenie głosu, schyliłam się i poprawiłam stojące u moich stóp filiżankę i spodeczek, po czym wyprostowałam się i spojrzałam Paulowi prosto w oczy. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że cały czas obserwował mnie uważnie, jakby szukając śladów reakcji na mojej twarzy. Poczułam się tak, jakby poddawał mnie jakiemuś testowi, ba, jakby mnie torturował, sprawniej od niejednego wytrawnego kata, gdyż w przeciwieństwie do zwykłego oprawcy wiedział dokładnie, gdzie zaboli mnie najbardziej. Zadawałam sobie w duchu pytanie, czy ten dziwaczny temat wyniknął przypadkowo czy też Paul od samego początku prowadził rozmowę tak, by go poruszyć. Niepokoiło mnie, że był na wyspie, kiedy to się stało. Rozmawiał zatem z kapitanem Markazensem. Być może dowiedział się o kraciastej koszuli, o tym, że sprawa, choć umorzona, nie przestała budzić podejrzeń.

Ostrożnie dobierając słowa, wreszcie się odezwałam:

— Chcesz przez to powiedzieć, że nawet jeśli jedna osoba zabija drugą, nie ponosi za to winy?

— W rzeczy samej — przytaknął.

Ogarnęły mnie dreszcze. Paul nadal wpatrywał się w moją twarz, szukając śladu emocji. Zmusiłam się, żeby dodać:

— Mylisz się, Paul. Ludzie zawsze są odpowiedzialni za to, co robią, i muszą ponieść konsekwencje.

— Czyżby? — zdawał się rozczarowany, obronnym gestem założył ręce na piersi.

— Możemy zmienić temat? — zaproponowałam.

— Naturalnie. — Wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie, jakby odsunął od siebie nie mile myśli. — Jestem ci winien przeprosiny. Często zapominam, że ludzie nie lubią rozprawiać na takie tematy.

— W chwili takiej jak ta faktycznie może się to wydawać nie na miejscu...

— Masz rację, Helen.

Uznałam, że nadszedł czas, bym i ja zadała parę pytań.

— Dlaczego nie podszedłeś do nas, kiedy siedziałyśmy obok przystani, i nie porozmawiałeś z Carlą?

— Ponieważ nie chciałem, by mnie zobaczyła.

— A to czemu?

— Bo znów mogłaby mi się wymknąć.

— Znów? — powtórzyłam, nie bardzo rozumiejąc.

— Tak — pokiwał głową. — Carla wiedziała, że jej szukam.

— A dlaczego jej szukałeś?

— Po prostu chciałem wiedzieć, gdzie jest.

To do niczego nie prowadziło. Zmieniłam taktykę.

— Czekaleś na nią na lotnisku, prawda? Uśmiechnął się lekko.

— Zgadza się. Byłem ciekaw, czy to pamiętasz.

— Kiedy spotkałam ją ponownie na wyspie, wyraźnie kogoś unikała — spojrzałam na niego oskarżającym wzrokiem.

— Tak, mnie.

Przypominałam sobie, jak zdenerwowana była Carla, kiedy siłą wciągnąwszy mnie do sklepu z pamiątkami chowała się za stojakiem z widokówkami. Powiedziała mi wtedy, że chce uniknąć spotkania z jakimiś Duńczykami, którzy narzucali się jej w poprzedni wieczór, ale właśnie dowiedziałam się, że nigdy nie było żadnych namolnych duńskich turystów. Carla ukrywała się przed Paulem Waveneyem. Powoli zaczynałam coś podejrzewać.

— Z jakiego powodu Carla się ciebie bała?

— Carla się mnie bała? — Paul zrobił wielkie oczy. — Droga Helen, nie znałaś Carli na tyle dobrze, by wiedzieć, że ona zawsze wszystko wyolbrzymiała. Wprawdzie Leonie występuje na scenie, ale to Carla jest urodzoną aktorką. — Twarz mu posmutniała, kiedy się poprawiał: — To znaczy: była.

Nie usatysfakcjonowana jego odpowiedzią, ponowiłam pytanie:

— Niemniej wołała cię unikać. Dlaczego?

— Myślałem, że wiesz. Czekaając na nią na lotnisku, spodziewałem się, że będzie jej towarzyszył Daniel. Okłamała mnie.

— Okłamała cię... A potem co się stało?

— Zezłościłem się. Carla doskonale wiedziała, jaki mam stosunek do niej i do Daniela, i tylko dlatego że chwilowo uciekła od niego, nie powinna była uciekać także ode mnie. Musiała wiedzieć, że nie popieram rozwodów.

— Może jej krokami kierował Los, tak samo jak przy śmierci — przypomniałam ponuro jego wcześniejsze słowa.

— To nie to samo! — wykrzyknął i zaraz ściszył głos.

— Carla była świadoma, że nie popieram jej ucieczki... Kiedy dowiedziałem się, że Daniel nawet nie wie, gdzie ona się podziała, po prostu ogarnął mnie szal.

— Niby dlaczego? — spytałam niewinnie. — Przecież to nie była twoja sprawa.

Zignorował moją uwagę.

— Oświadczyłem jej, że przy pierwszej sposobności powiem Danielowi, że jest na wyspie. Dlatego właśnie próbowała zniknąć mi z oczu. Nawet nie wiesz, ile czasu straciłem, by ją odszukać u ciebie w hotelu... Tamtego ranka, kiedy ty mnie zauważyłaś, a ona nie, podjechałem do Yerolimani tylko po to, żeby się upewnić, że wciąż tam jest, bo Daniel szykował się do wyjazdu, miał przylecieć tego samego wieczoru. Byłem pewien, że od razu się z nią spotka, ale z nie znanych mi powodów postanowił to odłożyć do następnego dnia. Teraz żałuję, że nie poinformowałem Carli o przyjeździe Daniela, ale wtedy chciałem, żeby z samego rana miała miłą niespodziankę... Pewnie będę się zadreślał do końca życia, że gdybym jej powiedział, toby... no wiesz... — Paul urwał.

Nie wypowiedziane przez niego słowa zawisły między nami. Gdyby lot Daniela nie był opóźniony... Gdyby zdecydował, że pojedzie od razu do Yerolimani... Gdyby, gdyby, gdyby...

O mój Boże, czemu tak właśnie się nie stało?

Na zewnątrz rozległ się gwar głosów. Bufetowe zajęły swoje pozycje za ekspresem do herbaty i paterami z ciastem. Do sali wkroczył pierwszy z żałobników, nie przerywając prowadzonej w czasie drogi rozmowy.

— ...wyjątkowa.

— Zatyłował ją „Pieśń dla Carli” — piskliwym głosem oznajmiła towarzysząca mu kobieta.

— Czyż to nie urocze?

— Mowa Leonie była wspaniała — dodał staruszek, w którym rozpoznałam tego samego, co wysiadał z samochodu zaparkowanego przed moim. — No ale każdy jej występ jest wspaniały, prawda, moja droga? Słyszałaś może, jak recytowała sonet

Szekspira na kanale czwartym w zeszłym tygodniu? — westchnął przeciągle i zakończył: — Co za wyjątkowa rodzina!

— O, tak. Biedna Carla — to znów jego towarzyszką, znów dyszkantem. — O, popatrz! Kanapki z pastą jajeczną! Czuję się jak na zabawie szkolnej...

Oderwałam od nich wzrok i zauważyłam, że Paul wciąż mi się przygląda — z uwagą i troską.

— Nawet nie tknęłaś herbaty — powiedział z wyrzutem.

— Wystygła.

— Przyniosę ci świeżą.

— Nie, nie trzeba — zatrzymałam go na miejscu.

W sali zrobiło się tłoczno. Bufetowe wraz z ekspresem zniknęły za ścianą gości, z której raz po raz ktoś się wyłamywał. Kiedy opuściła ją kobieta w czarnym słomkowym kapeluszu, moim oczom ukazał się Daniel Finch. Nie widziałam go z tak bliska od czasu pobytu na wyspie i nagle jego męskie, zacięte rysy przypomniały mi gorączkę i horror tamtego ostatniego dnia. Z trudem zmusiłam się, by pozostać myślami w teraźniejszości. Dzisiejszy Daniel Finch trzymał w jednym ręku filiżankę herbaty, w drugim małą trójkątną kanapkę. Stał pomiędzy dwiema poważnymi kobietami w średnim wieku, lecz patrzył na mnie. Patrzył i marszczył brew.

Wśród rozgłośnego gwaru rozległ się dziecięcy okrzyk:

— Violet, znów upaprałaś sukienkę ciastkiem!

Wstałam. Koło Daniela wyrosła jak spod ziemi mała figurka o bujnej blond czuprynie. Mężczyzna automatycznym ruchem sięgnął i ją przytulił dodającym otuchy gestem.

Jedno z pograżonych w smutku dzieci Carli. Natychmiast pomyślałam o pozostałych — gdzie są Rowan i Lily?

— Muszę stąd wyjść — oznajmiłam Paulowi. — W tym tłumie nie ma czym oddychać. Poczekałam na zewnątrz, aż samochody zaczną odjeżdżać.

— Pójdę z tobą — zaofiarował się Paul.

— Nie — odparłam stanowczo. — Byłeś dla mnie bardzo miły, ale teraz chciałabym zostać sama.

— Sądzisz, że dasz radę prowadzić?

— Och, jestem tego pewna...

Niczego nie byłam pewna z wyjątkiem tego, że nie mogę znieść obecności Paula Waveneya. Podejrzewam, że nie dałby się łatwo zbyć i poszedłby moim śladem, gdyby nie zatrzymała go atletka, która w trakcie nabożeństwa siedziała w tej samej ławce co my.

W drzwiach zaczepiła mnie jakaś kobieta o pucołowatej twarzy.

— Czy to pani zasłabła w kościele? — spytała.

— Tak, bardzo przepraszam za kłopot. Już mi lepiej.

— Co za szkoda, że ominął panią występ Daniela. Jego „Pieśń dla Carli” była kulminacją nabożeństwa. Tak się wzruszyłam...

— Nie wątpię.

Idąc w stronę samochodu, zastanawiałam się, dlaczego wszyscy traktują pogrzeb, jakby to było przedstawienie. Dlaczego nikt nie wspomina Carli?

Otworzyłam drzwi i z ulgą usiadłam na fotelu kierowcy, nogi zostawiając na zewnątrz. Staralam się oczyścić umysł z myśli. Ze wszystkich myśli. Wróciło do mnie uczucie przemiany — podczas gdy moja powłoka kreowała rolę wrażliwej przyjaciółki zmarłej, przyjaciółki, która mdleje na pogrzebie, w środku, głęboko pod tą fasadą, następowała rewolucja: moje prawdziwe ja było odtwarzane, modelowane i przygotowywane do ponownych narodzin. Bałam się tego, kim się stanę, lecz w tamtej chwili mogłam zrobić tylko jedno: nie myśleć o niczym.

Jakiś czas potem — zapewne nie upłynęło więcej niż dwadzieścia minut — z transu wyrwało mnie trzaśnięcie drzwi i szum silnika. Uświadomiłam sobie, że znów przysnęłam z otwartymi oczami; organizm w ten sposób dopominał się odpoczynku, którego umysł odmawiał mu o zwykłej porze.

Obok mnie pojawił się Paul, podzwaniający kluczykami od samochodu.

— Bob i Frances stoją za mną, ale już się zbierają. Potem ja odjadę i będziesz wolna — uśmiechnął się do mnie życzliwie i w jednej chwili opuścił mnie wcześniejszy dokuczliwy niepokój; znów byłam pewna, że jego zainteresowanie wynika wyłącznie ze staroświeckiej uprzejmości. — Na pewno sobie poradzisz?

— Tak, dziękuję. Zawahał się.

— Szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach. — Powiódł ręką dookoła. — To co się ostatnio stało, było zbyt okropne, żeby tak od razu się ze wszystkim uporać...

— Tak, to prawda.

— Carla sprawiała wrażenie, że jest szczęśliwa z tobą, Helen. Niech to stanowi dla ciebie jakieś pocieszenie. Przeżyła w szczęściu swoje ostatnie dni...

Nie! — krzyczałam w myśli, odjeżdżając spod kościoła. — Mylisz się, Paul. Strasznie się mylisz. To, że była szczęśliwa, czyni wszystko jeszcze trudniejszym do zniesienia...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z podróży powrotnej do Londynu nie pamiętam prawie nic; skoncentrowałam się na mechanicznych czynnościach, gdyż tylko w ten sposób mogłam zapanować nad narastającą we mnie falą smutku.

Jednakże tama runęła, kiedy zaparkowałam w bocznej uliczce niedaleko mojego mieszkania. Wsiadając z samochodu, czułam cieknące mi po policzkach łzy; gdy wchodziłam do mieszkania, nie mogłam już opanować szlochu. W tej istnej eksplozji płaczu znalazły ujście długo tamowane smutek i ból, które odczuwałam od chwili, kiedy uzmysłowiłam sobie, że Carla nie żyje, lecz które musiałam zepchnąć w głąb siebie z obawy, że zostanę oskarżona i osądzona. Teraz płakałam, nie zważając na nic — mogłam pozwolić, żeby łkanie targało moim ciałem, by łzy paliły mi twarz i rozdzierały serce. Z pewnością nie okazywałam w ten sposób zwykłej żałoby; to co czułam, było znacznie głębsze od żalu, przypominało bardziej odrazę do ohydnej zbrodni, bądź też żrący wstyd, i nic dziwnego, że cierpiałam fizyczny wręcz ból.

Powoli docierało do mnie, że we wszechświecie powstała próżnia w miejscu, w którym teraz powinna się była znajdować Carla — z mojego powodu.

Boże — modliłam się w duchu — to nie może być prawda... To nie ja ją zabiłam, to do mnie niepodobne. Musi być inne wyjaśnienie jej śmierci.

Bez względu na to, jak usilnie starałam się znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, jak bardzo cierpiała moja dusza i gryzło mnie sumienie, nie mogłam ignorować faktów. Równie bezlitosnych jak dowody. To ja zabiłam swoją przyjaciółkę. Ja, Helen North, odebrałam życie drugiemu człowiekowi. Nie ma dla mnie wytłumaczenia, nie ma łaski. Nigdy już nie będę tą Helen, za którą całe życie się uważałam...

Tamtej nocy zaczęły mnie dręczyć koszmary.

Właściwie jeden koszmar, nieco tylko inny każdej nocy. Śniła mi się kobieta — raz była to Carla, kiedy indziej znów moja matka, a za pierwszym razem, zupełnie nie wiem dlaczego, moja siostra. Ja trzymałam coś w ręce — kawałek cegły czy skały, i waliłam nim w głowę towarzyszącej mi kobiecie, lecz ona za nic nie chciała umrzeć. Twarz miała już zupełnie roztrzaskaną, a jednak patrzyła wciąż na mnie i układała usta w kolejne pytania: Co jest z tobą nie tak, Helen? Dlaczego robisz mi krzywdę? Przecież byłyśmy przyjaciółkami...

Decydując się zasnąć, oddawałam się we władanie horrorowi, zawsze temu samemu, z niewielkimi wariacjami. Którejś nocy śniło mi się, że usiłuję wepchnąć odciętą głowę Carli do jakiegoś pojemnika, czegoś nie większego niż puszka na herbatniki, a jednak — mimo potwornych obrażeń — ta głowa wciąż i wciąż wyskakiwała na wolność. Im dłużej z nią walczyłam, wpychając krwistą masę do

środku, tym żywiej wydostawała się na zewnątrz, zarzucając mnie przy tym pytaniami: Dlaczego, Helen? Dlaczego mi to zrobiłaś?

Pewnego wieczoru, mniej więcej miesiąc po pogrzebie Carli, zdecydowałam się zażyć tabletkę nasenną, w nadziei że tym sposobem uniknę koszmaru. Jedynym efektem działania leku była zmiana scenariusza snu — tym razem mój umysł odtworzył krok po kroku wydarzenia tej nocy, kiedy zmarła Carla. Śniło mi się, że wędruję wijącą się wzdłuż wybrzeża szosą wiodącą do Yerolimani. Słyszałam wołającą za mną Carłę. Kiedy mnie dogoniła, położyła mi rękę na ramieniu, lecz ja ją odtrąciłam. Powiedziała: „O co chodzi, Helen? Nie znasz się na żartach?”, a zaraz potem moja ręka poszybowała w górę i opadła na jej policzek. Carla krzyknęła, rzuciła się na mnie i przejechała paznokciami po mojej twarzy. Zakryłam się rękoma, ale ona nie dawała za wygraną, zamiast drapać, kopnęła mnie celnie w łydke. Łapiąc się za obolałą nogę, zobaczyłam wykrzywioną z wściekłości twarz Carli, kropelki śliny zbierające się w kąciu jej ust. Nadal szepczone, upadłyśmy na drogę; chcąc złagodzić wstrząs wyciągnęłam dłoń, która natrafiła na coś twardego i spiczastego. Palce oplotły odłamek skały. „Ty suko!” wrzasnęła Carla i usiadła na mnie okrakiem, unosząc obie ręce, by mnie uderzyć, ale ja byłam szybsza. Wkładając w to całą swoją siłę, wyrzuciłam dłoń z kamieniem do przodu i uderzyłam Carłę w bok głowy. Tuż poniżej linii włosów od razu wykwitła czerwona plama. Carla zatoczyła się do tyłu. Wykorzystując chwilę przewagi, zerwałam się na równe nogi, popchnęłam ją i nachyliwszy się nad nią, zamachnęłam znowu.

Raz i jeszcze raz, i znów. Uderzałam dopóty, dopóki nie ogarnęła mnie ciemność i zemdlona nie leżałam tuż obok niej.

Przerażenie spowodowało, że wybudziłam się z ciężkiego snu spocona od stóp do głów. Sił miałam tyle, że zdołałam dowlec się do łazienki, gdzie zaraz zwymiotowałam.

Czy tak właśnie było? — w udręczonej głowie tłukły mi się pytania. — Czy to był tylko sen, czy też tabletkę nasenną w jakiś sposób dotarła do prawdziwych wspomnień i wywlokła je na wierzch?

W następnych tygodniach co noc śniłam ten sen, za każdym razem minimalnie inny; scena śmierci Carli była jednak zawsze ściśle związana z faktycznymi wypadkami, które dobrze zapamiętałam, tak że szybko straciłam orientację, co jest prawdą, a co rojeniem udręczonego umysłu. Zaczęłam się zastanawiać, czy wydarzenia na drodze aby na pewno miały miejsce w rzeczywistości — przecież mogły mi się tylko przyśnić. Zaczęłam także wierzyć, że prawdą było to, co opowiedziałam Caddiemu, Glenowi i greckiej policji. Że nigdy nie szłam tamtą drogą, że z domku powędrowałam prosto na plażę, a Carla wracając o świcie do hotelu napotkała na swej drodze rozpędzoną ciężarówkę, której kierowca mimo rozpaczliwych prób nie zdołał uniknąć zderzenia; wóz uderzył w skałę i w Carłę, zabijając ją na miejscu.

Oczywiście myślałam tak tylko w krótkich chwilach pomiędzy snem i jawą, tylko wtedy przez moment wierzyłam, że nie maczałam palców w śmierci Carli — były to jedyne chwile wytchnienia od

niekończącego się koszmaru, niestety zbyt rzadkie i zbyt krótkie, żeby mogły mi przynieść prawdziwą ulgę.

Z upływem czasu, kiedy lato ustępowało jesieni, powoli zaczęłam rozumieć, że nigdy nie będę w stanie wrócić do życia, jakie prowadziłam przed wyjazdem na urlop. Przedsmak wygnania poczułam jeszcze w Grecji, gdy wypłynąwszy daleko w morze obserwowałam nieświadomego niczego Niemca na jego łodzi; teraz całe moje życie stało się jednym wielkim wygnaniem. Niedysiejsza Helen North przestała istnieć (chwilami wątpiłam, czy kiedykolwiek istniała), a nawet najmniejszy po niej ślad budził niepokój, przypominając o kimś, kto na dobre zniknął, i kłując w oczy tym, co zostało bezpowrotnie utracone. Starzy znajomi, ulubione miejsca, zwykłe zajęcia — wszystko stanowiło torturę. Zrezygnowałam zatem z pracy, kazałam odłączyć telefon, lecz to nie wystarczyło. Przyjaciele, którzy musieli przecież słyszeć maksymę o piekle wybrukowanym dobrymi chęciami, mimo to nie ustawali w wysiłkach, żeby mnie uratować przed sobą samą. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wyprowadzić się z mieszkania, nie pozostawiając nowego adresu.

Znalazłam niewielkie dwupokojowe lokum — dość nowoczesne, dość brzydkie i całkowicie pozbawione charakteru. Prowadził do niego długi, pomalowany na kremowo korytarz, wyłożony poplamionym chodnikiem, wzdłuż którego czaiły się drzwi pozostałych lokatorów, równie nietowarzyskich jak ja (kiedy zdarzyło się nam spotkać na schodach, wbijaliśmy wzrok przed siebie i przemykaliśmy bez słowa powitania). Z okien miałam widok na wąską uliczkę, straszącą pustkami o każdej porze dnia, oraz opuszczone zakłady drukarskie otoczone wysokim ceglany murem. Nieraz wyglądając na zewnątrz myślałam, że jednak znalazłam się w więzieniu...

Przeprowadzając się, pozbyłam się starych mebli, a drobniejsze i mniej wartościowe przedmioty oddałam na cele dobroczynne. Po pierwsze, tamte książki, obrazy i bibeloty należały do kogoś innego. Po drugie, pragnęłam znaleźć się w nieskażonej niczym pustce. Porządki w nowym mieszkaniu rozpoczęłam od zwinięcia dywanów i wyszorowania podłóg, ścian i sufitu. Lecz nawet wtedy nie wydawało mi się wystarczająco czyste; podejrzewam, że dostałam na tym punkcie obsesji. Nakupiłam szczotek, ścierek, gąbek i druciaków. Zaopatrzyłam się we wszelkie znane mi środki czystości. Porobiłam zapasy szarego mydła i wybielacza. A potem całymi dniami kłęczałam, szorując, namydlając i płuczac każdą wolną powierzchnię. Wiele godzin poświęciłam usunięciu cienkiej jak nitka, rdzawej plamy na dnie umywalki. Każdy zakamarek łazienki wyczyściłam za pomocą szczoteczki do zębów i wacików kosmetycznych. Kiedy wchodziłam do mieszkania, uderzał mnie ostry zapach amoniaku, od którego niemal traciłam przytomność.

Po dwóch tygodniach takich zabiegów zdecydowałam, że pora pomalować mieszkanie na jasny kolor. Kupiłam olśniewająco białą farbę i sama naniosłam ją na ściany i sufit — dwukrotnie. Kiedy druga warstwa farby wyschła, zauważyłam, że na dziewiczej czystości zdążył pojawić się kurz i brud, tak więc zaczęłam myć wszystko od nowa. Nawet wtedy w przebłyskach zdawałam sobie sprawę, że to

obsesja, ale będąc zajęta pracą fizyczną, byłam na tyle otepiała, że nie czułam bólu psychicznego — i byłam za to wdzięczna. Zresztą nie potrafiłam usiedzieć na miejscu; pomimo nieustającego zmęczenia czułam, że mam niespożyte pokłady energii. Kiedy więc nie pracowałam fizycznie, biegałam. Jogging stał się moim narkotykiem, a ja poznałam najdalsze parki Londynu. Kiedy i to nie wystarczało, zapisałam się na siłownię, gdzie podnosiłam ciężary, przemierzałam kilometry na mechanicznej bieżni albo rowerze stacjonarnym tak długo, aż każdy mięsień wołał o zmiłowanie. Najwięcej jednak pływałam; pokonywałam jedną długość basenu za drugą, zapominając o tym, gdzie jestem i ile czasu upłynęło.

Oczywiście wiedziałam, że wszystkie moje działania są żalostną próbą ucieczki od siebie samej; w otepieniu szukałam zapomnienia, w czystości — wymazania win. Chciałam uwolnić się od tego, co mnie prześladowało, a ciało nie mogło nie usłuchać sygnałów wysyłanych z mózgu: „Uciekaj! Nie daj się złapać”.

Jak było do przewidzenia, zwrot nastąpił w momencie, kiedy zabrakło mi funduszy. Musiałam znaleźć pracę. Podpisując kontrakt z agencją pracy czasowej, dałam wyraźnie do zrozumienia, że interesują mnie wyłącznie zajęcia krótkoterminowe, najlepiej zastępstwa nie przekraczające trzech tygodni w jednym miejscu. Na szczęście z poprzedniego życia wyniosłam niezłą umiejętność pisania na maszynie i obsługi edytora tekstu, toteż praca, choć nieregularna, zapewniała mi minimum potrzebne do egzystencji. Zresztą wydatki miałam niewielkie: czynsz, jedzenie, opłata za siłownię i basen. Włosy ścinałam krótko, dla wygody i oszczędności, nie sprawiałam sobie nowych ubrań, gdyż nie chodziłam do kina ani po kawiarniach, no i z nikim nie utrzymywałam kontaktu.

Teraz przypuszczam, że gdyby wówczas był przy mnie ktoś, kto pokazałby mi wyjście z klatki, którą sama sobie zbudowałam, z radością bym z niego skorzystała. Nikogo takiego jednak przy mnie nie było. Spodziewałam się, że smutek odczuwany po śmierci Carli i w pierwszych tygodniach po jej pogrzebie, z czasem zmaleje, jak każdy inny żywiony dotychczas żal. Wszelako rychło się przekonałam, że zupełnie inaczej ma się sprawa z winą. Ona, zamiast maleć, z każdym dniem rosła, karmiąc się moimi wyrzutami sumienia. Co rano budziłam się z niewyobrażalnym ciężarem na piersi, który z czasem stał się nieodłączną częścią mnie. Potrzebowałam kogoś, kto by mi powiedział, że jestem bez winy, że to był wypadek, w najgorszym razie chwila szaleństwa całkowicie poza moją kontrolą, równocześnie wiedząc, że nigdy bym w to nie uwierzyła.

Zdarzało się, że ogarniał mnie gniew, co było o tyle pozytywne, że w takich chwilach zapomniałam o dręczącej mnie winie. Gniewałam się na Carlę — za to, że sprowokowała mnie do czynu, o jaki nigdy bym się nie podejrzewała; na siebie — że odbierając życie Carli, zniszczyłam także własne. Przed wszystkim jednak czułam bezsilną wściekłość na wszechświat, w którym coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć.

Pewnego wieczoru, spacerując bez celu po zalanym deszczem mieście, znalazłam się pod kościołem katolickim. Przystanęłam na zewnątrz, wypatrując jakichś oznak życia, ale nikogo w pobliżu

nie było, mimo to nie weszłam do środka. Później wiele razy wracałam w to miejsce, wreszcie odważyłam się przekroczyć próg świątyni. W głowie roilo mi się od obrazów, których naoglądałam się w filmach — że wchodzę do konfesjonału, klękam przy drewnianej kratce i wyznaję grzechy bezosobowej postaci siedzącej po drugiej stronie. Wyobrażnia podsuwała mi nawet słodki smak wybaczenia, rozsądek wszakże przywoływał do rzeczywistości: Zastanów się, jak to działa. Przede wszystkim musiałabyś być katoliczką, stosować się do ustalonych rytuałów. Poza tym niby dlaczego miałabyś dostać rozgrzeszenie? I czy to przywróciłoby Carlę do życia i na łono jej rodziny?

Jakakolwiek myśl o Carli czy jej bliskich powodowała niewyobrażalny ból. Robiłam co mogłam, by o nich nie myśleć, lecz jak na złość w tygodniach, które nastąpiły po pogrzebie i w których miałam nadzieję (o, słodka naiwności!) dojść do siebie, wszystko przypominało mi o tym, co zrobiłam. Każdy nagłówek w gazecie, każde hasło na billboardzie, nawet słowa znanych piosenek zdawały się skierowane wprost do mnie — jakby ktoś uparł się, żeby mi przypominać o mej podłości.

KOBIETY ZABÓJCZYNI — TYLKO U NAS! NAJNOWSZY NUMER „FAKTÓW” JUŻ W KIOSKACH! ODKĄD UMARŁA, NIC NIE JEST TAKIE SAMO! — WYWIAD Z RODZINĄ OFIARY. CZYTAJ STRONA 4. CZY WIDZIAŁEŚ JUŻ „OBLICZE ZŁA”? MORDERCZYNI WCIELA SIĘ W SWĄ OFIARĘ, WIEDZIE JEJ ŻYCIE... KANAŁ 4, SOBOTA, GODZINA 22.45.

Ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, co przeżyłam pewnego dnia po pracy. Wracałam do domu, jak zwykle pieszo, i po drodze postanowiłam coś przekąsić. W lokalu, do którego weszłam, grało radio. Czekałam na posiłek i słuchałam jednym uchem, kiedy nagle padło imię „Carla”. Nie wiedziałam, czy to przejaw szaleństwa czy też zostałam odkryta. Stałam się czujna, lecz jako że nic więcej się nie działo, uznałam, że to zwykły zbieg okoliczności — przecież są tysiące kobiet o tym imieniu i któraś z nich mogła poprosić o swoją ulubioną piosenkę albo też wielbiciel chciał jej zrobić przyjemność. Głos prezentera ucichł i rozległy się pierwsze takty melodii. Rozpoznałam ją od razu i równie błyskawicznie jej dźwięki przeszyły mi duszę. Czułam się tak, jakby od pogrzebu upłynęło parę minut, nie miesięcy, a smutna, chwytająca ze serce kompozycja przez cały ten czas odbijała się echem w moim obolałym wnętrzu. Jedyne różnica była taka, że wtedy zagrano ją na saksofonie do wtóru organów, tym razem zaś na pianinie, flecie i perkusji. A w tle kobiecy głos recytował słowa, których nie mogłam nie pamiętać.

*Nad mogiłą tą nie stój w żałobie,
Nie usnęłam na wieczność w swym grobie.
Jam teraz wiatrem, co dmie we wsze strony,
Jam miriadami błysków, jakimi skrzą lody...*

Do stolika podeszła kelnerka z zamówionym przeze mnie daniem i postawiła je na niezbyt czystym plastikowym obrusie. Zdaje się, że chciała coś powiedzieć, ale zobaczyła wyraz mojej twarzy i zamiast tego miękko głosem spytała:

— Dobrze się pani czuje?

W odpowiedzi kiwnęłam tylko głową, więc kobieta wzruszyła ramionami i odeszła. Opuściłam wzrok na stojący przede mną talerz, na którym w morzu tłuszczu pływały frytki i smażone jajko.

Jam promieniem słońca życiodajnego,

Jam jest kroplą deszczu jesiennego...

Wiersz czytała Leonie Fanshaw, a jej modulowany głos ładnie wplatał się w akordy — to głośniejszy, to znów cichszy. Tak zwykła rzecz, a tak strasznie deprymująca.

Gdy rankiem wstaniesz, zbudzona hałasami,

Ja harcować będę na niebie z niemymi ptakami,

Nocą zaś będę mdłym światłem gwiazd.

Nad mogiłą tą nie stój w żałobie,

Nie usnęłam na wieczność w swym grobie...

Muzyka ucichła i znów odezwał się prezenter, chociaż mnie akurat nie musiał mówić, czego wysłuchaliśmy.

— To była „Pieśń dla Carli”, niespodziewany hit tego miesiąca. Muzykę skomponował mąż, a słowa czytała Leonie Fanshaw, siostra zmarłej niedawno Carli Finch. A teraz już...

Wstałam wkładając pod talerz banknot pięciofuntowy i opuściłam bar nie tknąwszy jedzenia.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, stałam przed komisariatem, przyglądając się, jak przez frontowe szklane drzwi przechodzą umundurowani funkcjonariusze obojga płci. Zastanawiałam się, czy to nie najlepsze rozwiązanie: wejść i się przyznać. Na wyspie wydawało mi się, że najważniejsze to nie dać się złapać, teraz wiedziałam, że na wolności nie zaznam spokoju ducha ani na jawie, ani nawet we śnie. Doszłam do wniosku, że wszystko — łącznie z więzieniem — będzie lepsze od katuszy, jakie od miesięcy przeżywam. Spłać swój dług — powiedziałam sobie.

— Może wtedy zaznasz trochę spokoju...

Podeszłam parę kroków w stronę przeszklonych drzwi i raptownie się zatrzymałam. Przed oczyma stanął mi Daniel Finch i jego dzieci. Przecież moje przyznanie się do winy spowoduje, że całe dochodzenie ruszy od nowa, otwierając rany, które dopiero zaczęły się goić. Moje zeznania wyciągną na światło dzienne każdy szczegół z ostatnich godzin życia Carli. Jakie mam prawo za cenę własnego spokoju narażać ich na ból? — myślałam, odwracając się i szybkim krokiem odchodząc w ciemność londyńskiej ulicy.

Po weekendzie agencja wysłała mnie do pracy w kancelarii prawnej. Znalazłszy się sam na sam w biurze z jednym z prawników wypytałam go o różnice pomiędzy morderstwem a zabójstwem.

— Z morderstwem mamy do czynienia wtedy, kiedy ktoś zabija drugą osobę z premedytacją — wyjaśnił. — Zabójstwo zaś to nieumyślne spowodowanie śmierci. Prokurator nieraz nieźle się namęczy, nim udowodni morderstwo...

— A co z sytuacją, gdy ktoś nie pamięta, jak to się stało? Bo na przykład stracił przytomność?

— Przypuszczam, że obrona mogłaby stawiać na nieumyślne spowodowanie śmierci, do tego przy ograniczonej poczytalności. Ale to grozi dłuższym wyrokiem i zamknięciem w zakładzie bez klamek... A czemu o to pytasz? — zaciekawiał się.

— Och, tak sobie. Czytam właśnie kryminał... Prawnik nachylił się nad moim biurkiem.

— Mógłbym opowiedzieć ci znacznie więcej... Na przykład dziś wieczorem...

— Nie, dziękuję — odpowiedziałam.

Nalegał. Moja niewiedza i kobiecość (pomimo krótkich włosów) wzbudziły w nim opiekuńcze uczucia prawdziwego mężczyzny. Chciał być wspaniałomyślny i szarmancki, chciał mi po prostu pomóc. Ja jednak podejrzewałam go o najgorsze: o to, że w duchu mnie żałuje, a świadomość, że ktoś mi współczuje, nie mając pojęcia, kim w rzeczywistości jestem, stanowiła dla mnie dodatkową męczarnię. Ludzie postrzegali mnie jako atrakcyjną, zdolną młodą kobietę i widząc, że jestem w dołku albo mam kłopot, pragnęli sprawić, bym poczuła się lepiej. Nie zdawali sobie sprawy, że wewnątrz mnie zaszła przemiana, którą sama uświadomiłam sobie dopiero podczas pogrzebu Carli, że przeistoczyłam się w kogoś złego i brzydkiego, kogoś, kto bez powodu potrafi odebrać życie przyjaciółce.

Jak do tego doszło? — zapytywałam się raz po raz, przekopując pamięć w poszukiwaniu śladów obecnej Helen w swojej przeszłości. Jak przez mgłę pamiętałam napady dziecięcej furii i ataki złości, które wtedy wydawały się niegroźne, wręcz typowe dla rozkapryszonych dzieci, lecz które w świetle ostatnich wydarzeń nabierały przerażającej wymowy. Przypomniałam sobie słowa nauczycielki: „Nieładnie, Helen. To naprawdę było okrutne zachowanie. Nie wyrośnie z ciebie nic dobrego...”, nie zważając na to, że nawet dziś wiedziałam, że zostałam wtedy fałszywie oskarżona, a prawdziwa winowajczyni siedziała tuż obok, z czerwoną ze wstydu twarzą i zbierającymi się na rzęsach łzami. Dziś ten niesprawiedliwy werdykt leniwej nauczycielki poczytywałam za omen, a ją samą za umiejacą czytać przyszłość.

Toczona na progu komisariatu walka sprawiła, że poczułam się jeszcze gorzej. Pogrążyłam się w smutku i rozpaczy, litując się nad sobą i zupełnie zapominając o cierpieniu, jakiego przysporzyłam rodzinie Carli. Gdy przed oczyma stawały mi jej dzieci, rozpacz sięgała dna i robiłam co mogłam, by znaleźć inne wyjaśnienie tego, co się stało. Nie, to nie ja ją zabiłam! — mówiłam sobie. — To niemożliwe! Wtedy na drodze musiał być ktoś jeszcze: jej zazdrosny mąż albo wściekły Paul, jakiś podły Grek, a może nawet Caddie! W końcu Carla i Caddie spędzili razem poprzednią noc, policja miała podstawy, żeby go podejrzewać, a ja tak naprawdę nic o nim nie wiedziałam! Może się pokłócili, może uciekała przed nim, biegnąc za mną i wołając mnie, bym na nią zaczekała. Równie dobrze mogła uciekać przed Danielem, Paulem albo zboczonym Grekiem... Och, czyżby? — szydziło moje drugie, bardziej racjonalne ja. — A co powiesz o kamieniu, który miałaś w dłoni, kiedy odzyskałaś przytomność? Pamiętasz, cały był unurzany w jej krwi i tkankach... — Broniałam się, lecz coraz bardziej nieudolnie i

bez przekonania: — Może chciałam ją chronić? Podniosłam kamień, żeby uderzyć atakującego, ale on się uchylił, a kamień trafił Carlę... — Nawet ja w to nie wierzyłam.

W końcu nadszedł październik. Jak co roku opadły liście wirowały na chodnikach w świetle jesiennego słońca. Wszakże ja wolałam spacerować po ciemku. Osiągnęłam taki stan, że było mi wszystko jedno; przenosiłam się z jednego biura do drugiego, dzień za dniem spędzając na pracy, bieganiu, pływaniu. I sprzątaniu mieszkania tak często, że ręce miałam przeżarte od środków chemicznych.

Tygodniami nie przejmowałam się swoim bezpieczeństwem, ba, rozpatrywałam, czyby nie skończyć ze sobą, ale i tę drogę ucieczki miałam zamkniętą. Ilekroć przychodziły mi do głowy samobójcze myśli, tyle samo razy przypominała mi się moja rodzina — dziwaczna i rozczłonkowana na trzech kontynentach, a jednak wciąż na swój nietypowy sposób mnie kochająca i dbająca o mnie. Nie mogłam im tego zrobić. Zresztą odebranie sobie życia zawsze wydawało mi się aktem niezwykle egoistycznym, w którego wyniku jedna osoba osiąga spokój kosztem tragedii wielu innych. Za nic nie chciałam, by ból i poczucie winy, jakie przypadły mi w udziale, przeszły za moją sprawą na tych, których kocham. Jednakże wypadek to co innego... Nawiasem mówiąc, nie szukałam samej śmierci, ile raczej jakiegokolwiek wytchnienia od doświadczanej minuta po minucie udręki. Tak, wypadek byłby w sam raz; jakieś obrażenia, nawet niezbyt poważne, czysty i jednoznaczny ból połamanych nóg czy rąk w miejsce targających mną w nieskończoność wyrzutów sumienia.

Nie chcę powiedzieć, że prowokowałam los, ale na pewno nie unikałam niebezpiecznych sytuacji. Spacerowałam po zmroku w podejrzanych zaułkach i uprawiałam jogging w opustoszałych parkach. W ostatniej chwili wskakiwałam do ruszającego autobusu, przebiegałam ruchliwe jezdnie, nie rozglądałam się w prawo i lewo przed przejściem przez ulicę i zawsze trzymałam się zewnętrznego skraju chodnika. Chyba jednak chronił mnie jakiś czar — wychodziłam ze wszystkiego bez szwanku.

Aż do pewnego październikowego popołudnia, kiedy to zeszłam z krawężnika wprost pod nadjeżdżający motocykl. Kurier rozwożący przesyłki w ostatniej chwili skręcił z piskiem opon, ale i tak jakąś metalową częścią rozorał mi łydkę.

— O Boże! — wyjąkałam, opadając na kolana i z niedowierzaniem patrząc, jak z rany strumieniem wypływa ciemna krew.

W tym samym czasie motocyklista walczył z pojazdem; straciwszy równowagę sunął przygięty do ziemi i zatrzymał się dopiero na samym środku skrzyżowania. Wokół rozległ się przeraźliwy wizg, kierowcy hamowali ze zgrzytem, żeby wypadek nie zamienił się w karambol. Wygrzebawszy się spod motocykla, mężczyzna kopnął go z pasją, po czym kuśtykając podszedł do mnie i zaczął wymachiwać pięściami osłoniętymi grubymi rękawiczkami.

— Próbujesz się zabić czy co? — krzyczał.

— Przepraszam...

— Lepiej popatrz na mój motor! — przerwał mi brutalnie i nieco łagodniej dodał: — Popatrz na siebie. Nie mogłaś patrzeć, gdzie leziesz? Miałem zielone światło... Rany, niemal cię przejechałem... oboje mogliśmy już nie żyć... — Mężczyzna wyraźnie utykał, ale nie umiał ustać w miejscu.

— Przepraszam — powtórzyłam. — To moja wina.

Zerwał z głowy kask, odsłaniając tym gestem nieciekawą twarz czterdziestoparolatka o porośniętej szczecina szczęce. Z oczu nie mógł się pozbyć wyrazu szoku.

— Co jest z tobą? Ślepa jesteś czy co? — marudził dalej, zerkając na mnie.

Widać było, że krzykiem odreagowuje stres.

— Tylko popatrz na swoją nogę! Jak sobie pomyślę, że o mały włos bym cię zabił... — nie do końca.

— Naprawdę mi przykro. Nie przejmuj się mną. Ty też sobie coś zrobiłeś...

— Oczywiście, że sobie zrobiłem! — wydarł się znowu.

— Ale mniejsza o moją nogę. Lepiej na siebie uważaj w przyszłości, dziewczyno. Jeśli nie siebie, to kogoś na pewno prędzej czy później zabijesz...

Niezdarnie podniosłam się na nogi i zaproponowałam, że pokryję koszty naprawy motocykla. Kurier powoli się uspokajał, wreszcie machnął ręką mówiąc, że pal licha motor, jest firmowy, a poza tym zbudowany niczym czołg, i że najważniejsze, że mnie się nic nie stało. Podszedł do nas ktoś jeszcze, zawołał dla mnie taksówkę i na odjezdne pouczył, żebym poszła z tą raną do lekarza, bo jeszcze wda się zakażenie; będąc w stanie lekkiego szoku, obiecałam to solennie i odjechałam.

„Kogoś na pewno prędzej czy później zabijesz...” powiedział kurier, złoścąc się na mnie. W ostatniej chwili ugryzłam się w język, żeby nie odpalić: „Nie ma strachu. Już to zrobiłam”.

Zarówno kurier, jak i przechodzień, który zatrzymał taksówkę, byli dla mnie mili, pomimo że sama sobie byłam winna. Widząc, jak troszczą się o mnie, choć wcale nie muszą, wrzeszczałam w duchu: Dajcie już spokój, ja na to nie zasługuję! To nie mnie powinno być wam żal...

Ale zwiodła ich moja niewinna twarz; skąd mieli wiedzieć, jaka jestem naprawdę?

Taksówkarzowi kazałam się zawieźć do wynajętego mieszkania, z którego nie wyszłam przez następne trzy dni. Rana na łydce faktycznie była głęboka, ale stosunkowo czysta, zresztą cieszyła mnie, gdyż związany z nią ból przynosił ulgę w cierpieniu znacznie dotkliwszym. Przyglądając się, jak dwa kawałki poszarpanej skóry zbliżają się do siebie i łączą, jak formuje się strup, nie mogłam wyjść z podziwu, że są powierzchowne rany, których proces leczenia można zobaczyć, będąc świadkiem ich zanikania. Szkoda, że te same zasady nie stosują się do obolałego wnętrza.

„Lepiej na siebie uważaj w przyszłości, dziewczyno. Jeśli nie siebie, to kogoś na pewno prędzej czy później zabijesz...”

Zaszałam za daleko. Nie tylko przerwałam życie Carli w kwiecie wieku i zniszczyłam swoje, ale najwyraźniej miałam destrukcyjne skłonności.

Kiedy pierwszej nocy po wypadku z motocyklem zapadłam wreszcie w niespokojny sen, znów przeżyłam wydarzenia na greckiej drodze o poranku. Carla rzuciła się na mnie z oczyma pałającymi wściekłością, a ja broniąc się, uderzyłam ją. Mocniej niż ona mnie, gdyż byłam od niej silniejsza. I znacznie bardziej wściekła. „Suka!” wrzeszczałam, bijąc ją raz po raz. „Ty podła suko!”

Obudziwszy się, wciąż czułam do niej wściekłość. Niech cię diabli, Carla — myślałam, gwałtownie łapiąc oddech. — Dlaczego mnie sprowokowałaś? Dlaczego wyciągnęłaś ze mnie najskrytszy sekret, żeby potem wykorzystać go przeciwko mnie? Przecież było ci wszystko jedno, z kim się przepisz, z Glenem czy Caddiem, chodziło ci tylko o udane zakończenie wakacji, o seksualny akcent wprost z twych chorych fantazji, które snułaś, gdyż czułaś się niepewna. Potrzebowałaś pocieszenia, co za różnica z kim? Za kogo ty się w ogóle miałaś, żeby uciec od męża i trójki dzieci, nie mówiąc im, gdzie jedziesz, a potem przez całe dwa tygodnie udawać pannę? — Tak, to przez jej kłamstwa stało się to, co się stało. Jej kłamstwa sprawiły, że do dziś nie mogę się otrząsnąć z koszmaru. Nigdy wcześniej, zanim ją poznałam, nie znalazłam się w podobnie okropnej sytuacji. — Kim ty, do diabła, byłaś, żeby mnie tak unieszczęśliwić?!...

Wyrzekając w duchu na Carlę, byłam świadoma, że dopuszczam się niewybaczalnego grzechu oskarżając swoją ofiarę o popełniony przeciwko niej czyn — o własną zbrodnię, ale nie zważałam na to. Przyznawałam sama przed sobą, że ją uderzyłam, ale robiłam to w obronie własnej — ona zaatakowała mnie pierwsza. Może nawet próbowała mnie zabić, a w takim wypadku nie miałam innego wyjścia jak tylko jej się przeciwstawić — także siłą. Ciekawe, czy zdarzyło się jej to wcześniej — zastanowiłam się nagle. — Czy była agresywna wobec innych?

Reszta nocy zeszła mi na rozmyślaniach, a kiedy noc przechodziła w błądy świt późnej jesieni, gniew mnie opuścił, choć pytania pozostały. Tak mało wiedziałam o życiu, które własnoręcznie przerywałam. Gdzieś tam w świecie istniało miejsce, które w tej samej chwili powinna zajmować Carla, a mimo to ja nie wiedziałam o niej prawie nic.

Dotychczas wierzyłam, że ból przeminie, kiedy tylko zdołam usunąć Carlę ze swoich myśli, a przynajmniej przestanę o niej myśleć bez ustanku. Tę wiarę nagle zastąpiło przekonanie, że gdybym tylko dowiedziała się więcej o niej samej i świecie, w którym żyła, mogłabym się z nią uporać raz na zawsze — z nią i z tym, co jej uczyniłam.

Wraz ze wstającym nowym dniem dla mnie zrodziła się nowa nadzieja.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Proszę szukać domu nad wodą — powiedział mi sprzedawca w sklepie, kiedy zatrzymałam się w wiosce, żeby zapytać o drogę.

Wjeżdżając do Burdocku klęłam w żywy kamień na wąskie szosy, ale kiedy niecały kilometr za wioską skręciłam w stronę „wody”, jak ujął to sklepikarz, i znalazłam się na ścieżynce szerokości nitki, wciągnęłam powietrze, jakby to mogło uczynić także samochód szczuplejszym i bardziej zdatnym do poruszania się w tej okolicy. Pobocze porastały wysokaśne żywopłoty Devonu, bujne i soczyście zielone wtedy, gdy byłam tu ostatnim razem, na pogrzebie Carli, teraz zaś straszące nagimi kikutami gałęzi i ogołoconymi z liści pędami bluszczu. Wziąwszy ostatni zakręt wyjechałam na otwartą przestrzeń, na której wzrok z łatwością sięgał horyzontu, cienkiej linii, gdzie wody zalewu łączyły się z niebem, i od razu zobaczyłam stojący samotnie dom.

Było wprawdzie wczesne popołudnie, lecz powoli zaczynała się już robić szarówka, a znad rzeki podnosiła się mgła. Wyłączyłam silnik i zapatrzyłam się w rozciągający się przede mną widok. Niechętnie przeniosłam wzrok na dom i zauważyłam, że na podjeździe stoi ubłocone kombi. W dalszym ciągu nie wysiadałam z samochodu, choć nie wiedziałam, na co czekam ani jaki będzie mój następny krok. Wkrótce poczułam, że robi mi się zimno, lecz tylko mocniej otuliłam się płaszczem i kontynuowałam obserwację. Napis na bramie głosił: SANDPIPER COTTAGE, co brzmiało bardzo szumnie i wcale się nie dziwię, że nikt nie używał tej nazwy. Dom wyglądał na wybudowany w okresie międzywojennym jako letnisko dla bogatej rodziny z miasta. Miał spadzisty, zwieńczony szczytami dach, wysokie okna otwierane staromodnym zwyczajem do góry, a sporą część jego konstrukcji stanowiło drewno pomalowane na ciemnozielony kolor. Detale te sprawiały, że całkiem zwyczajna bryła budynku nabrała intrygującego charakteru.

Dom postawiono na samym brzegu rozległego zalewu, jako jedyny jak okiem sięgnąć. Za niewielkim wzgórzem, na którego zboczach pasły się owce, leżała wioska Burdock — z kościołem, pubem, sklepem oraz ciągnącymi się w przeciwną stronę starymi szeregowcami i nowoczesnymi bungalowami. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, był akurat odpływ i rzeka wiała się schludnie srebrzystą wstęgą poza domem, odsłaniając szeroki teren przybrzeżny, nad którym kołowały mewy i jeszcze jakieś ptaki (nie umiałam ich rozpoznać). Poza nimi nigdzie wokół nie było żywego ducha. Przeciwny brzeg porastały gęste lasy i pola, ciągnące się aż po horyzont. Po chwili zastanowienia oceniłam, że morze znajduje się na lewo, jakiś kilometr czy dwa za Burdockiem. Skądś wiedziałam, że pobliskie wybrzeże szczyli się wielką liczbą domków letniskowych, jednakże parę kilometrów odległości czyniło znaczącą różnicę. Tutaj panowała cisza i spokój, przerywane jedynie piskami polujących ptaków. Takie miejsce znała i ukochała Carla.

To tutaj był dom Carli.

Przyjrzałam się ponownie budynkowi, jego solidnej, lecz równocześnie oryginalnej i bezpreten-sjonalnej architekturze, sugerującej komfort. Na kominie siedziała mewa i z wyżyn spoglądała na mnie, przechylając zabawnie łebek.

„Nie usnęłam na wieczność w swym grobie...” — przeszedł mnie dreszcz, kiedy słowa monore-cytacji wróciły do mnie echem. W taki ponury dzień jak tamten, późną jesienią i w zapadającym zmierzchu, łatwo było uwierzyć, że umarli nie odchodzą, i wszędzie widzieć ich duchy.

Podjąwszy nagle decyzję, wysiadłam energicznie z samochodu i podeszłam do bramy. Nie mia-łam pojęcia, po co to robię ani też jak wytłumaczę swoje przybycie, kiedy ktoś odkryje moją obecność — w tamtej chwili napawałam się świadomością, że oto wreszcie tu jestem, na progu świata, który na-leżał do Carli. Po raz pierwszy od miesiący czułam, że postępuję właściwie, kiedy minąwszy rozwartą bramę, podeszłam do drzwi frontowych i zapukałam.

Pięć minut później nadal stałam na progu domu, czekając, aż ktoś mi otworzy. Pukałam od fron-tu i okrążywszy budynek, od tyłu także, wiedząc, że w środku ktoś jest — nawet przez zamknięte drzwi i okna dochodziły mnie dźwięki muzyki, a od strony kuchni rzucił mi się w oczy staromodny emaliowany czajnik, którego pokrywka podskakiwała wesoło na ogniu. Leżący pod stołem kundel, przypominający bardziej hienę niż psa, podniósł na mnie łeb i szczeknął raz, na przywitanie bądź gwo-li ostrzeżenia, po czym na powrót zwinął się w kłębek, by dokończyć przerwany sen.

Prawdopodobnie dałabym za wygraną, gdyby nie ten czajnik na ogniu. I torba z wysypującymi się zakupami, leżąca na blacie stołu. I stłumiona muzyka, a właściwie na okrągło grany ten sam kawa-łek, ze sporadycznymi tylko przerwami, jakby grupa muzyków ćwiczyła gdzieś w najbardziej oddalo-nej części domu. Wydawało mi się, że słyszę klarnet, perkusję i smyczki. Czyżby cała orkiestra miała tutaj próbę, a nie było komu wyłączyć gazu pod czajnikiem? — pomyślałam.

Patrząc przez szybę w drzwiach na wewnątrz kuchni, ze smutkiem wyobraziłam sobie, że ktoś się z niej wymknął tylko na moment, z zamiarem rychłego powrotu, lecz niestety został wbrew sobie za-trzymany. Wszystko wyglądało tak, jakby Carla położyła zakupy na stole, nastawiła wodę na herbatę, po czym wyszła na chwilę, żeby... Z napięcia wstrzymałam oddech. Spodziewałam się, że lada minuta drzwi wiodące z holu do kuchni otworzą się i stanie w nich Carla. Zobaczy, że woda się wygotowuje na gazie, i podbiegnie do kuchenki, żeby ją wyłączyć. „Cześć, Helen”, powie. „Już myślałam, że nie przyjedziesz. Pewnie jesteś wykończona podróżą... Napijesz się herbaty czy wolałabyś coś mocniej-szego?”

Nie. Kogo jak kogo, ale Carli tu na pewno nie zobaczę. Mogę się jedynie wpatrywać w miejsce, które powinna zajmować...

Zapukałam w szybę ponownie, wreszcie sięgnęłam do klamki i ją przekreśliłam. Ustąpiła bez trudu. Znalazłam się od razu w kuchni, której część przy drzwiach musiała służyć także jako przedpo-

kój, gdyż wchodząc potknęłam się o porzucone na wycieracze kalosze. Z gardłem ściśniętym strachem przeszłam dalej na palcach.

— Halo? — rzuciłam w próżnię. — Jest tu kto?

Pies znowu uniósł łeb i leniwie otworzył oczy, żeby spojrzeć, kto przeszkadza mu w drzemce. Od niechcienia poruszył parę razy ogonem. Z bliska wydawał się jeszcze większy i strasznie kosmaty, przywodził mi na myśl nieudaną krzyżówkę pudła z labradorem. Nagle postanowił wstać, wyszedł spod stołu, po czym wygiąwszy grzbiet, rozprostował przednie łapy i sztywno podszedł do mnie. Zamiast jednak mnie pogonić, z ufnością włożył kufę i wilgotny nos prosto w moją opuszczoną dłoń.

— Jesteś w domu sam? — zapytałam go.

Zamachał bez przekonania ogonem, ziewnął przeraźliwie i pokuśtykał na wielką, niezbyt czystą poduchę, na której wcześniej spał.

— Hop! Hop! Jest tu kto? — powiedziałam głośniejszym głosem. Żadnej odpowiedzi. Tylko muzyka się nieco zmieniła — zamiast klarnetu wiodącą melodię wygrywał teraz ksylofon.

Podeszłam do kuchenki i podniosłam czajnik — był prawie pusty i posykiwał przy najlżejszym przechyleniu. Przeszłam go na inny palnik i zgasiłam gaz, po czym odwróciłam się i rozejrzałam po kuchni. Pomieszczenie było przestronne i widać było, że ktoś zamierzał urządzić je z głową, lecz ambitne zamiary spełzły na niczym, albo prawie na niczym. Być może ten ktoś stracił zapał, a może zabrakło mu pieniędzy na dokończenie dzieła.

Być może ten ktoś pojechał do Grecji na wakacje i nigdy stamtąd nie wrócił...

Ściany zostały pomalowane na intensywny niebieski kolor, a jedną całą zabudowano półkami, na których pyszniła się kolekcja zabytkowej ceramiki. Przy dokładniejszych oględzinach zauważyłam także dowody niedawnej działalności, przerwanej w połowie. Czyjaś ręka rozpoczęła krojenie okazałego bochenka chleba na trójkątne kroniki, nieopodal pojemnika na pieczywo stało otwarte naczynie z paszтетem czy pastą mięsną. No i na stole leżała torba, z której wysypywały się artykuły spożywcze: ciastka i herbatniki, chrupki, cukierki ślazowe i batoniki czekoladowe. Nie wątpiłam, że Daniel Finch jest dobrym ojcem, ale jego wyobrażenia o zdrowej żywności były moim zdaniem co najmniej dziwne... Wkrótce jednak mój wzrok padł na wystające spod paczki parówek kolorowe baloniki, które wiele wyjaśniły: najwyraźniej w tym domu czyniono przygotowania do dziecięcego przyjęcia. Dalszych dowodów dostarczyła mi półka na przeciwległej ścianie — stały na niej rządkiem, ładnie wyeksponowane, kartki z życzeniami. Na dwóch widniała duża cyfra „6”. Sięgnęłam po najbliższą i otworzywszy ją, przeczytałam: „Najlepsze życzenia urodzinowe dla Violet od kochającej Janet”. Odłożyłam ją na miejsce, wiedząc, że albo muszę się ujawnić, albo opuścić dom bez dalszej zwłoki.

Wydawało mi się, że muzyka dobiega od frontu domu. Przeszłam zatem do holu i zerknęłam kolejno do jadalni i salonu — oba pokoje były duże z takimiż oknami wykuszowymi, z których rozciągał się urokliwy widok na zalew — jednakże nikogo w nich nie było. Wróciłam się zatem i weszłam

w mały korytarzyk prowadzący z kuchni do pralni i spiżarni na dole, które również były puste. Ze-
szłam jeszcze kilka schodków i znalazłam trzecie drzwi, które mogły prowadzić do garażu. Były tylko
lekko uchylone, lecz nim pchnęłam je na oścież, muzyka raptownie ucichła, a w jej miejsce odezwał
się męski głos.

— I wracamy do łącznika. La la-la-la, pauza, la la-la-la, ten kawałek, rozumiemy się? Ale tym
razem poproszę flet... Co znowu? — zakończył niecierpliwie w odpowiedzi na moje pukanie.

— Słucham? Zaczekaj chwilę, Doug.

Leciutko pchnęłam drzwi. Na ścianie naprzeciwko wisiał plakat filmowy oprawiony w antyramę,
a w jej szkle odbijała się sylwetka klęczącego w drugim końcu pomieszczenia mężczyzny, który
nachylał się nad czymś, co przypominało mi olbrzymią klawiaturę. Zajrzawszy głębiej dostrzegłam, że
Daniel Finch ogląda wideo, teraz ściszone, i równocześnie rozmawia przez telefon.

— Dzień dobry. Nazywam się... — podniosłam nieco głos.

— Dzień dobry! — przywitał się Finch, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem, po czym
wydał westchnienie ulgi. — Już myślałem, że nie przyjedziesz... No, nie śpieszyłaś się, co? Zaraz się
tobą zajmę, tylko uzgodnię to i owo z Dougiem, to nasza ostatnia szansa dogrania szczegółów przed
poniedziałkowym spotkaniem w studiu. Zacząłem przyrządzać kanapki, więc dla ciebie nie zostało
wiele do zrobienia. Wszystko czeka w kuchni...

— W porządku — odparłam, wycofując się i mówiąc do odbicia w szklanej tafli. Zanim się od-
wróciłam i poszłam na górę, zapytałam jeszcze: — A co z parówkami?

— Co? — zapytał Finch nieco nieprzytomnie. — Ach, parówki... Też kupiłem. Zaraz wszyscy
tu będą. Nie, Doug, klarnet wchodzi gdzie indziej, już ci przecież mówiłem. W tym miejscu są instru-
menty dęte i wokale... — z głośnika znów popłynęła muzyka.

Przechodząc przez hol zauważyłam migające światełko automatycznej sekretarki, sygnalizujące
wiadomość, którą zapewne zostawiła firma cateringowa przepaszając za opóźnienie lub nawet nie-
możność realizacji zamówienia, jednakże Daniel Finch był zbyt zaabsorbowany, aby zwrócić na to
uwagę, i wskutek zadziwiającego zbiegu okoliczności wziął mnie za przyslaną mu do pomocy osobę.

„Zaraz wszyscy tu będą...” Przyśpieszając kroku, by jak najprędzej znaleźć się za drzwiami
kuchni, potknęłam się o niski próg i opuściwszy wzrok, zauważyłam, że deski podłogi noszą ślady nie-
zliczonych stóp przemierzających wytarte szlaki pomiędzy stołem a kuchenką, lodówką a zlewem.
Przez ułamek sekundy mignęły mi (a może wyobraźnia znów spletała mi figła i tylko mi się wydawało,
że je widziałam) czarno-złote sandałki, postukujące obcasami, podczas gdy ich właścicielka kręciła się
jak fryga przygotowując przyjęcie dla swej córeczki. Nie zastanawiając się nad tym i w ogóle niewiele
myśląc, zdecydowanym krokiem podeszłam do stołu i opróżniłam do końca torbę z zakupami, w której
jak się okazało, skrywało się jeszcze pięć paczek parówek. Jak gdybym nie robiła nic innego przez całe
życie, naturalnym gestem włączyłam piekarnik, po czym wyłożyłam wszystkie parówki na specjalną

blachę, którą znalazłam w szafce pod zlewem, ponakłuwałam skórkę parówek widelcem i wsunęłam blachę do piekarnika.

Pasiasty jak hiena stwór z zainteresowaniem śledził spod stołu moje poczynania, nie ruszając się jednak ze swej pachnącej zmokłym psem poduchy.

Ja również nie poświęcałam mu wiele uwagi, zajmąwszy się bochenkiem chleba, od którego należało odciąć pokaźny kawał, zmiętoszony podczas wcześniejszych prób jego pokrojenia. Przyjrząwszy mu się krytycznie, wyrzuciłam go do kosza, podobnie jak dwie uprzednio ukrojone pajdy, które z pewnością nie zmieściłyby się w buzi żadnego znanego mi dziecka, a nie przypuszczałam, żeby dzieci w Devonie miały większe buzie. Zanim zabrałam się do podzielenia reszty bochenka na równiutkie kromeczki, wyjęłam jeszcze z lodówki kostkę masła i włożyłam na moment do piekarnika, żeby lepiej się smarowało.

Problemy napotkałam przy komponowaniu kanapek. Ze zgromadzonych w kuchni produktów wywnioskowałam, że Daniel Finch zamierzał nakarmić Violet i jej małych gości hałdą parówek i pasty rybnej. Być może cała rodzina Fincha przepadała za takimi specjałami, lecz mnie wydawało się mało prawdopodobne, żeby zaproszone dzieci z chęcią je spałaszowały. Zaczęłam się zastanawiać, co podałyby dzieciom na podwieczorek Carla, gdyby tu teraz była. Przetrzęsąwszy szafki znalazłam nieco masła orzechowego i miodu na dnie dwóch pokaźnych słoików, w koszyku na owoce leżały trzy banany. Część kanapek posmarowałam słodkościami, na innych położyłam cieniutkie krążki banana, po czym poprzekrawałam je na zgrabne trójkąty. Bananowe kanapki pamiętałam jeszcze z własnych urodzin, podobnie jak *babovkę*, którą przyrządzała moja mama i za którą moi przyjaciele przepadali na równi z moją rodziną. Poukładałam kanapki na dużych niebieskich talerzach, a potem sięgnęłam po torebki z chrupkami: pootwierałam je i wysypałam zawartość do miseczek. Przygotowałam także kilka paczuszek z batonikami w środku, żeby dzieci miały co zabrać do domu. Kiedy kończyłam zawijać ostatnią w ozdobny papier, z piekarnika doszedł mnie zapach upieczonych parówek, toteż wyjęłam je, żeby ostygły. W tym momencie psisko zdecydowało się ruszyć ze swego legowiska i już nie odstępowało mnie na krok, deptając mi po stopach swymi potężnymi łapskami. Wykładając parówki na pergamin zauważyłam, że jedna ma brzydkie pęknięcie, z którego wypływa aromatyczny tłuszcz; rzucawszy szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, przełamałam ją na pół i wkrótce zarówno ja, jak i pies oblizywaliśmy się ze smakiem.

Przez cały ten czas czułam się naprawdę dziwnie. Częściowo jak dobra wróżka, która nagle pojawia się w chmurze czarodziejskiego pyłu, by służyć pomocą akurat we właściwej chwili, częściowo zaś jak uzurpatorka, która cichcem zakradła się do czyjegoś domu, by domagać się nienależnych jej praw. W głowie coraz donośniej tłukło mi się: Co ty tutaj w ogóle robisz?! Co będzie, jak wyjdzie na jaw, kim jesteś?...

Nagle grająca wciąż w tle muzyka ucichła jak nożem uciął, rozległ się za to donośny głos Daniela.

— Mógłbym liczyć na filiżankę herbaty? Woda chyba dawno się zagotowała...

— Już się robi! — odkrzyknęłam, ale zagłuszyło mnie włączone na powrót nagranie i nie sądziłam, żeby Daniel mnie usłyszał.

Pomyślałam, że właściwie powinnam była mu powiedzieć, że tylko moje pojawienie się uratowało czajnik, a może i całą kuchnię od katastrofy. Najwyraźniej Daniel Finch tracił poczucie czasu, kiedy komponował.

Postawiłam więc czajnik ponownie na kuchence, nalawszy doń uprzednio wody, i czekając, aż się zagotuje, zajęłam się nadmuchiowaniem baloników. Wiążąc je potem parami, a niektóre po trzy i pięć, zastanawiałam się, czyby ich nie umocować u wejścia, tak aby Violet miała miłą niespodziankę, kiedy przyjdzie do domu. Czy tak właśnie Carla uczciłaby urodziny najmłodszej córki? — myślałam, nie mogąc się zdecydować, jak postąpić. Na razie postanowiłam uporać się z drugim opakowaniem baloników, żeby wszystkie były nadmuchane, nim pojawią się dzieci, choć przeszkadzał mi gumowy posmak w ustach, a w płucach zaczynało brakować powietrza.

— Kim pani jest? — usłyszałam za plecami.

Odwracając się, wypuściłam trzymany w rękę balonik, który posykując przeleciał zygzakiem w poprzek kuchni i wylądował pod stołem. Pies uniósł leniwie łeb, by stwierdzić, że mokra szmatka to jednak nie parówka, po czym ziewnął i na powrót ułożył pysk na przednich łapach.

— Ładnie leciał — powiedział Daniel z uznaniem, kiwając głową w stronę oklapłego balonika — ale nadal nie wiem dzięki komu.

Ubrany w czarne spodnie i w obszerny sweter, którego rękawy, jak zauważyłam, strzępiły się lekko na końcach, wydał mi się większy, niż kiedy widziałam go poprzednio.

— Helen North — przypomniałam mu.

— Helen? — zdziwił się. — Byliśmy umówieni?

— Nie. Jestem... Byłam przyjaciółką Carli.

— A gdzie jest Angela?

— Nie mam pojęcia — odparłam. — Ktoś nagrał wiadomość na sekretarce. Może to była ona.

— Bardzo możliwe — zgodził się ze mną Daniel. — To dla niej typowe, spóźnić się w taki dzień... — urwał nagle i zaczął przewiercać mnie wzrokiem na wylot. — Proszę wybaczyć, jeśli coś mi umknęło, ale czy my się znamy?

— Byłam na pogrzebie.

— Ach tak — wciąż mi się przyglądał. — Może stamtąd panią zapamiętałem.

— I byłam z Carłą, kiedy straciła życie... — Zamarłam i natychmiast się poprawiłam: — Zanim straciła życie.

— Oczywiście. Już pamiętam! — Daniel sięgnął po kanapkę. — Wracala pani z plaży, kiedy poprosiłem panią o chwilę rozmowy. Spacerowaliśmy nad brzegiem morza... Wydaje mi się, że wtedy wyglądała pani trochę inaczej.

— Ścięłam włosy.

— Tak, to pewnie to... — westchnął ze smutkiem na wspomnienie tragedii, której memento stanowiłam.

— Pukałam, ale nikt mi nie otworzył — zaczęłam się tłumaczyć. — Czajnik stał na gazie i woda się wygotowywała, więc ja...

— Proszę popatrzeć! — skinął w stronę kuchenki. — Teraz też się gotuje.

— Napije się pan herbaty? — spytałam.

— Z przyjemnością. Ekspresowa jest w szafce nad tosterem... yhy — zakrztusił się kanapką. — Co to jest?

— Plasterki banana, ale reszta...

— Chryste! — przerwał mi. — Co za niecodzienny pomysł!

Podszedł do kosza na śmieci i uniósłszy wieko, cisnął wzgardzoną kanapkę na opakowania po parówkach.

— Te z pastą rybną są na największym talerzu — pośpieszyłam z informacją.

— A, to co innego — wziął sobie od razu dwa trójkąci i złożył je razem. — Sądzi pani, że wystarczy dla wszystkich?

— Pod warunkiem że pan nie zje większości, nim pojawią się dzieci. A tak przy okazji, o której zaczyna się przyjęcie?

— Nie mam pojęcia, ale myślę, że niebawem. Janet zabrała je na pływalnię... A to oznacza, że zdąży pani dorobić kanapek. Gdzieś tu powinien być chleb tostowy...

— Ile w sumie będzie dzieci? — wpadłam mu w słowo.

— Sześcioro. Może dziesięcioro. No i moja trójka. Czyli cały tabun. — Ugryzł kęs. — Wyśmienite! Nie wyobrażam sobie imprezy bez pasty łososiowej, a pani? — rzekł, po czym rzucił mi dziwne spojrzenie i spytał: — Przyjechała pani z powodu urodzin Vi?

— Tak, naturalnie, Carla o nich wspominała, no i...

Z ulgą usłyszałam dzwonek telefonu, który wybawił mnie od ciągnięcia tych nieprzekonujących wyjaśnień. Daniel popatrzył na mnie z niedowierzaniem, sięgnął po następne dwie kanapki i wyszedł do holu odebrać rozmowę. Chcąc się czymś zająć, poszukałam ostatniego bochenka chleba i wzięłam się do szykowania kolejnej porcji kanapek, jednakże nie mogłam nie słyszeć tego, co mówił Daniel, zwłaszcza że jego słowa stawały się coraz głośniejsze.

— Cześć, Angie! Co się stało? Nie, nie dostałem żadnej wiadomości, przecież wiesz, że popołudniami pracuję... Tak, są z Janet. Ale kiedy ty przyjedziesz? Co takiego?! No to odwołaj! Nie, ja nie

mogę odwołać przyjęcia, w końcu to są jej urodziny! Nie możesz tak po prostu... Co? No dobrze, jakoś sobie poradzę. Tak, tak, dam sobie radę, ale Vi będzie niepokieszona. Nie, wcale nie staram się wzburzyć w tobie wyrzutów sumienia... Jedzenie? Wszystko jest już prawie gotowe. Zaczęłam przygotowania wcześniej, a potem pojawiła się przyjaciółka Carli i je dokończyła... Skąd mam wiedzieć dlaczego? Może chciała... Co za różnica? Czyli przyjedziesz późnym wieczorem... Jutro?! Do cholery, przecież uzgadnialiśmy wszystko tygodnie temu i obiecałaś, że... Nie, nie ma mowy, wchodzę do studia w poniedziałek o dziewiątej rano. Nie, wyobraź sobie, kurwa, że nie mogę, mamy wynajętą trzydziestoosobową orkiestrę, jak sobie wyobrażasz ich odwołanie? Wcale nie przeklinam, poza tym dzieci nie ma w domu. Nie! Tym razem to ty musisz zmienić swoje plany! Ja nie mogę... Szlag by to!!

Daniel wrócił do kuchni, kończąc kanapkę i oczyma miotając iskry, ja zaś myślałam sobie, że jeśli zawsze rozmawia z opiekunką w ten sposób, nic dziwnego, że jest zdany tylko na siebie, gdy przychodzi do urodzin któregoś dziecka.

— Cholerne babsko! — poskarżył mi się, zawzięcie pracując szczękami. — Myśli tylko o sobie. A co ja mam powiedzieć?

— Czyżby coś ją zatrzymało?

— Nic, co byłoby ważniejsze od urodzin Vi! Gdyby tylko chciała, już dawno by tutaj była.

— Daleko mieszka? — spytałam Daniela, myśląc przy tym, że jeśli Angie to jego dziewczyna, to nie zasypiał gruszek w popiele.

— W Londynie. To zaledwie cztery godziny drogi! Vi będzie tak bardzo rozczarowana...

— Rzeczywiście nie wygląda to najlepiej... — powiedziała ugodowo. Ułożyłam kanapki w zwartą kupkę, żeby odciąć skórkę. Unosząc nóż, zaproponowałam: — Mogę zostać parę godzin i pomóc. Jeśli pan chce.

— Świetnie — ucieszył się i zaraz dodał: — Szczerze mówiąc na to właśnie liczyłem. — Oczyma nadal błędził po mojej twarzy, jakby szukał odpowiedzi na dręczące go pytanie. W końcu rozciągnął usta w rozbrajającym uśmiechu. — Ale proszę nie odcinać skórki, to najlepsza część kanapki. No więc, Helen, jak pani sobie radzi z organizowaniem przyjęć dla dzieci?

— Hmm... Sama nie wiem. Brak mi praktyki.

— Cóż, a ja widzę, że ma pani wrodzony talent. Proszę tylko popatrzeć na te baloniki — obdarzył mnie kolejnym szerokim uśmiechem. Pomyślałam, że zdecydował się być wobec mnie uroczy i gdybym tylko była wówczas podatna na męski urok, zawojowałby mnie do szczętu. Niestety, paraliżował mnie strach przed poznaniem dzieci Carli. Tymczasem Daniel przybrał poważny wyraz twarzy. — Mnie to nie robi różnicy — wrócił do tematu niesłownej Angie — ale żal mi Vi. W końcu to jej pierwsze urodziny bez matki, a ma dopiero sześć lat...

Poczułam falę mdłości i musiałam wesprzeć się o blat stołu.

— Pomogę na tyle, na ile umiem — rzekłam.

— To cudownie. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że się pani pojawiła!... — Oboje nastawiliśmy uszu na dźwięki dochodzące sprzed domu: zgrzyt kół na podjeździe, trzaskanie drzwiami, podniecone piski. — Oho, to pewnie oni. Janet z dziećmi — wyjaśnił. — Od początku było wiadomo, że przygotowania nie pójdą gładko, toteż gdy zaproponowała, że zabierze je na basen, zgodziłem się z wielką ulgą. Idę o zakład, że padają z głodu.

— Z pewnością — przytaknęłam.

Właśnie otwierałam paczkę z papierowymi serwetkami, kiedy w holu rozległ się tupot dziecięcych stóp i okrzyk:

— Mamuś, mamuś, mamuś!

— To Violet — zupełnie niepotrzebnie poinformował mnie Daniel.

— Ale przecież ona nie... — chciałam powiedzieć: „nie żyje”, ale urwałam w pół słowa.

Być może Angela faktycznie jest jego obecną przyjaciółką i choć mnie wydawało się to nieco przedwczesne, dzieci mówią do niej „mamo”. Mimo wszystko zrobiło mi się żal Carli, lecz zaraz upomniałam się w duchu: — Też coś. Kto jak kto, ale ty z pewnością nie masz prawa mieszać się w życie jej rodziny.

Tupot kroków zbliżał się do kuchni.

— Chodźcie tutaj! Za mną! Mamuś, już jesteśmy! — Violet wpadła do kuchni na czele swych przyjaciółek. Zresztą i tak poznałabym ją ze zdjęcia, które pokazała mi w Grecji Carla. Filigranowa dziewczuszka z brnatnymi lokami i przeogromnymi szaroniebieskimi oczyma, emanująca radością życia i entuzjazmem. — Maamuś — darła się wniebogłosy — zobacz, co dostałam... — Na mój widok stanęła jak wryta, po czym błyskawicznie odwróciła się do ojca. W progu stanęły trzy małe dziewczynki, przyglądając się całej scenie wyczekująco. Violet zwróciła się do Daniela: — Gdzie jest mamuś?

— Kochanie, mama zadzwoniła jakąś godzinę temu i powiedziała, że nie da rady dziś przyjechać. Coś jej wyskoczyło...

— To znaczy, że się spóźni? — spytało dziecko.

— Powiedziała, że być może uda jej się przyjechać jutro, ale...

— Jutro! — powtórzyła Vi, a oczy jej się zaszklily, tymczasem Daniel kończył:

— ...ale bardziej prawdopodobne, że będzie w domu dopiero w poniedziałek.

— Rozumiem — odparła dziewczynka głuchym głosem. Uleciało z niej całe podniecenie, a na rękach zaperliły się łzy. Przez chwilę ze sobą walczyła, tak że na policzkach wykwitły jej dwie ciemnoczerwone plamy, po czym zebrała się w sobie i powiedziała: — Nic nie szkodzi. I tak nie przypuszczałam, że przyjedzie. Wiedziałam, że będzie musiała spotkać się z jakimś głupim klientem, zawsze tak jest... — Nagle podbiegła do psa, uklękła przy nim i objęła go za potężną szyję. — Och, Tygrysku, Tygrysku! Tak bardzo cię kocham! — Wypryżulawszy ulubieńca, zerwała się na nogi i złapała

najbliżej stojącą przyjaciółkę za rękę. — Chodź, Tamsin, pokażę ci mój pokój. Mam własny, wiesz? Zawołamy resztę i poskaczemy po łóżku, bo u mnie w domu wolno skakać po łóżkach!

I już jej nie było. Śladem Vi podążyły pozostałe dziewczynki, na schodach rozległ się ich tupot, a chwilę później zajęczały sprężyny materaca w sypialni. Z góry dochodził radosny śmiech małych akrobatek.

— Biedna mała Violet — westchnął Daniel. — To naprawdę niesprawiedliwe.

— Ale... — zająknęłam się. — Ona nazywa ją ma...

— Mamuś. Wiem. Angie tego nie znosi. Powtarza zawsze: „Mów do mnie Angel, kochanie” — sparodiował kobiecy głos. — „Wszyscy tak do mnie mówią.”

— A Carla?

Daniel zmarszczył brwi.

— Co: Carla? — spytał.

— Chodzi mi o to, że była ich matką i w ogóle...

— Macochą — poprawił mnie.

— Słucham? Przyjrzał mi się z uwagą.

— No tak, mogłem się tego spodziewać. Co Carla pani powiedziała?

— Powiedziała, że... To znaczy, ja uznałam... wydawało mi się... — nie mogłam zebrać myśli. Próbowałam przypomnieć sobie, czy Carla kiedykolwiek dała mi wyraźnie do zrozumienia, że Lily, Rowan i Violet są jej dziećmi, czy też ja wyciągnęłam taki, jak się okazało daleko idący wniosek z jej luźno rzucanych uwag.

— Carla powiedziała pani, że jest ich matką? — kręcił głową Daniel.

— Nie wiem, nie pamiętam dokładnie. — Nagle poczułam się bardzo zmęczona, usiadłam na stołku. — Być może nie powiedziała tego wprost, ale ja odniosłam takie wrażenie.

— Carla i ja pobraliśmy się dwa lata temu, osiemnaście miesięcy po tym, jak uprawomocnił się mój rozwód z Angelą. — Zmarszczka na czole pogłębiła mu się, kiedy dodawał: — Carla nie miała własnych dzieci.

Po przyjęciu Daniel oznajmił, że jego zdaniem wszystko poszło świetnie. Nieco mnie to zdziwiło, bo jedna z dziewczynek, puciołowata Simone, najadła się za dużo cukierków ślazowych i połowę imprezy spędziła w łazience wymiotując, a któryś z braci Kylie przytrzasnął sobie palec drzwiami chcąc się ukryć w komórce pod schodami podczas zabawy w chowanego, co oczywiście skończyło się tym, że był najłatwiejszym graczem do odnalezienia, gdyż zawodził długo i przeciągle nawet po tym, jak już go stamtąd wyciągnęliśmy. Znowuż Violet postanowiła za wszelką cenę dobrze się bawić, mimo nieobecności matki, i wprost tryskała energią graniczącą chwilami z histerią. W pewnym momencie Daniel nie wytrzymał jej pisków i szlochów i westchnąwszy ciężko, wziął małą na ręce i wciąż popłakującą zaniósł na górę, żeby się uspokoiła, podczas gdy ja musiałam czymś zająć resztę dzieci.

Na szczęście z odmętów pamięci wygrzebałam jakąś starą grę, zdaje się, że nazywało się to „głuchy telefon”, i przez dziesięć minut panował na dole względny spokój. Kiedy Violet do nas dołączyła, miała zaczerwienione oczy i nadal pociągała nosem, ale była już o wiele spokojniejsza i w takim stanie dotrwała do końca przyjęcia. Nie wiedziałam więc, jakie kryteria stosuje Daniel przy ocenie dziecięcych przyjęć, lecz właściwie byłam skłonna mu przyznać rację — kiedy było już po wszystkim.

Musiałam także przyznać, że jest dobrym organizatorem, nawet jeżeli większość jego działań sprowadzała się do wyręczania się innymi. Przykładowo udało mu się namówić Janet, panią w średnim wieku o zniszczonych trwałą włosach, tę samą, która wcześniej zabrała dzieci na basen, żeby została i pomogła przy podwieczorku, chociaż ona chciała wracać do domu, do kogoś, o kim mówiła „Maluch”, a kto okazał się po prostu niewielkim psem, do tego chorowitym. Wracając do samego przyjęcia, ja także byłam pewna, że nikt z obecnych długo nie zapomni szóstych urodzin Violet, i to nie tylko z powodu niedyspozycji Simone, obrażeń Kyliego czy hysterii solenizantki. Nawet nie z powodu mnóstwa kanapek z pastą mięsną i rybną, którym nie podołali mali goście. To Daniel uczynił ten dzień wyjątkowym.

Kiedy zszedł do nas, prowadząc Violet za rękę, oznajmił, że czas na specjalną zabawę. W czasie kiedy ja zmagalam się ze zgrają dzieciaków nie mogących usiedzieć na miejscu przy głuchym telefonie, do domu wróciło rodzeństwo Violet. Janet napomknęła wcześniej, że się spóźnią, gdyż chcieli uniknąć najazdu małych barbarzyńców, jak nazywali kolegów i koleżanki Violet. Widać jednak Rowan nie potrafił zrezygnować z ekstrawyżerki, bo przyjechali nieco wcześniej. Chłopiec okazał się przysadzistym ośmiolatkiem o odziedziczonych po ojcu ciemnych włosach i oczach, nad wiek poważnym i samodzielny. Cztery lata od niego starsza siostra była jego przeciwieństwem — szczupła i niespokojna, z niespożytą energią, która działała mi na nerwy, dopóki nie uświadomiłam sobie, że to dlatego, iż jej zachowanie tak bardzo przypomina mi Carlę. Lily i Rowan chwilę przyglądali się, jak walczę starając się zapanować nad nieokiełznaną dzieciarnią, wreszcie popatrzyli po sobie znacząco i obdarzyli mnie spojrzeniem pełnym pogardy, po czym zniknęli w kuchni, żeby wyjść co lepsze kąski.

Powtarzałam sobie w duchu, że to nie są dzieci Carli, tylko jej pasierbowie, jednakże potrzebowałam więcej czasu, żeby oswoić się z tą informacją.

Daniel stanął na końcu rzędu dzieci i kiedy wypadła jego kolej, głośno powiedział:

— Wszyscy idą za mną.

Dzieciaki wybiegły za nim w podskokach i wkrótce z pomieszczenia w piwnicy doszła mnie i Janet kakofonia dźwięków. Popatrzawszy po sobie, i my skierowałyśmy się na dół, gdzie Daniel właśnie wyjaśniał dzieciom, na czym polega jego specjalna zabawa. Otóż była to historia, którą należało opowiedzieć nie za pomocą słów, lecz dźwięków. Historia Daniela mówiła o małpce, która uciekła z zoo i przeżyła mnóstwo ciekawych przygód. Zaczęła się od delikatnych akordów pianina w wykonaniu Daniela, mających oddać spokojne, lecz nudne życie małpki w klatce. Później włączyła się Violet na

flecie prostym, który najwyraźniej nie był jej obcy, dodając do usypiających dźwięków klawiszy prze-
rywane nerwowe piszczenie fujarki, reprezentujące ciekawość małpki i jej pragnienie przygód. Wraz z
rozwojem historii każde dziecko dostawało do ręki jakiś instrument i miało wygrać na nim dźwięki
obrazujące dalsze losy małpki. W pracowni Daniela leżało zatrzęsienie dziwnych instrumentów, z któ-
rych większości nigdy nie widziałam ani nie potrafiłabym nazwać — coś jak egzotyczne grzechotki,
piszczałki i bębny... tak, tych ostatnich było najwięcej. Oprócz nich dostrzegłam także klakson wy-
montowany ze starego samochodu i zwykły gwizdek, który cieszył się największą popularnością wśród
małych artystów. Janet i ja zostałyśmy posadzone na krzesłach z tyłu i dostałyśmy po baloniku do na-
dmuchania, które miałyśmy uwolnić w kluczowym momencie historii, „piosenkorii”, jak nazywał ją
Daniel. Na dany znak wypuściłyśmy je z rąk, a one poleciały pijanym zygzakiem wydając obsceniczny
dźwięk, co doprowadziło malców do niepowstrzymanego chichotu.

— Helen North na balonikach! — oświadczył poważnym głosem konferansjera Daniel, rzucając
w moją stronę ukradkowy uśmiech.

Śmiechom i piskom nie było końca, toteż Daniel znów zagrał na pianinie, doprowadzając histo-
ryjkę do szczęśliwego — i cichszego — finału. Lily i Rowan stanęli w drzwiach w tej samej chwili,
kiedy małpka wracała do zoo, do rodziny, zaspokoiwszy swą ciekawość świata i pragnienie przygód,
przynajmniej na razie. Całość uwieńczyła małpia kołysanka, którą zegrali w duecie Daniel i Lily — on
jak zwykle na klawiszach, ona na flecie.

Violet wdrapała się ojcu na kolana, kiedy uderzał ostatnie akordy, starając się je dopasować do
roztrzępanych dźwięków wydobywanych z fletu przez Lily, i wyglądała na niebiańsko szczęśliwą,
czemu właściwie się nie dziwiłam. Obserwowałam tę scenę uważnie, uświadamiając sobie, że Daniel
— z początku interesujący dla mnie wyłącznie z powodu jego związku z Carlą — jest samoistnym,
fascynującym bytem, który potrafi znaleźć się w każdej sytuacji i nawet wśród małych przyjaciół naj-
młodszej córki emanuje wspaniałomyślnością i dobrocią. Zastanowiło mnie, co takiego odnalazła w
nim Carla, że zdecydowała się go porzucić dla wątpliwych atrakcji samotniczych wakacji, nieważne,
że tylko na dwa tygodnie. Przecież sama przyznawała, że szalał na jej punkcie. Dlaczego więc go zo-
stawiła?

— Chwała Bogu, że to już koniec — powiedział Daniel, mocując się z korkiem tkwiącym upar-
cie w butelce wina, którą trzymał między kolanami.

Było wpół do dziewiątej, wszyscy goście zostali odebrani przez rodziców, a solenizantka wbrew
protestom, że ani trochę nie jest zmęczona, natychmiast po położeniu się do łóżka zapadła w głęboki
sen. Lily i Rowan oglądali w salonie telewizję, a Janet wreszcie udało się wymknąć do słabującego
Malucha. Tygrys jak zwykle okupował swoją poduchę, sprawiając wrażenie, że jest w stanie perma-
nentnej śpiączki. Daniel wreszcie otworzył butelkę, nalał wina do dwóch kieliszków i podał mi jeden z
nich.

— Proszę. Zasłużyłaś na to — bez zbytnich ceregieli przeszedł ze mną na ty. Nie miałam nic przeciwko, po tym co razem przeżyliśmy tego dnia...

— Dziękuję, ale chyba powinnam się zbierać. Czeka mnie daleka droga.

— Dokąd?

— Do Londynu — odparłam.

— Ależ nie możesz jechać tak daleko po nocy! — zaprotestował Daniel. Kiedy chciałam coś powiedzieć, nie dał mi dojść do słowa: — Możesz przenocować u nas. Łóżko w pokoju gościnnym zawsze mamy przygotowane, czasem korzysta z niego Angie. Zresztą musisz zobaczyć okolicę w świetle dnia... Tutaj naprawdę jest pięknie.

— Sama nie wiem — wahałam się.

Upił spory łyk ze swego kieliszka i obdarzył mnie zamyślonym spojrzeniem.

— Nie masz na jutro zaplanowanego czegoś w Londynie, prawda?

— Nie...

— Ani kogoś? — upewniał się Daniel.

Nie wiedziałam, do czego zmierza, ale zgodnie z prawdą odpowiedziałam:

— Nie.

— No więc sama widzisz — oznajmił z tryumfem w głosie.

— Po prostu musisz zostać na niedzielę. A co z poniedziałkiem?

— Dlaczego pytasz?

— Bez powodu — odrzekł.

Naogłądałam się jego sztuczek dość w ciągu tego dnia, żeby wiedzieć, że jest inaczej. Powiedziałam więc:

— Jestem zatrudniona w agencji pracy czasowej. Zlecenia są nieregularne i na przyszły tydzień nie mam jeszcze nic nagranego.

— W takim razie... — dolał sobie wina i zmienił temat.

— Umieram z głodu, a ty? Może zjedlibyśmy omlet, na przykład z sałatką? W lodówce musi być parę jajek i jakieś warzywa. Ale ostrzegam, że nie najlepiej mi wychodzi robienie omletów, za bardzo przypominają jajecznicę...

— Ja mogę je usmażyć, jeśli chcesz.

— Super! — ucieszył się i poprowadził mnie do kuchni, mówiąc po drodze: — Wiesz, tak się zastanawiam... Skoro nie masz żadnych obowiązków w Londynie w najbliższych dniach, może byś u nas została, przynajmniej do czasu, zanim pojawi się Angie?

— Wydawało mi się, że ma przyjechać jutro — bąknęłam.

— Mam taką nadzieję. Ale sama widzisz, że na urodzinach Violet też miała być i jej się nie udało. Wcale się więc nie zdziwię, jeśli i jutro nie da rady... Prawdopodobnie przyjedzie dopiero w ponie-

działek, bo wtedy ma zabrać dzieci i odwieźć je do dziadków w Somersecie, ale może zjawić się dopiero w ciągu dnia, a problem leży w tym, że ja muszę być w Londynie od rana. Prawdę mówiąc, będę musiał wyjechać o piątej nad ranem! Prosiłem o pomoc Janet, ale ona ma własne kłopoty ze swoim psem, a poza tym jej matka ma umówioną wizytę u lekarza i Janet na pewno będzie chciała z nią pojechać. Daję słowo, nie będziesz musiała tu wiele robić. Jutrzejszy dzień dzieciaki spędzą ze mną, więc będziesz mogła udać się na wycieczkę i pozwiedzać okolicę, zrobić sobie takie małe wakacje... Tak naprawdę zależy mi na poniedziałku i wtedy chciałbym, żebyś...

Daniel nie przestawał mówić, a ja wpatrywałam się w zawartość lodówki, dziwną zbieraninę produktów, z których część zapewne kupiła jeszcze Carla. Półki i szuflady sprawiały wrażenie, jakby od miesiący nikt ich nie opróżniał ani nie mył. Uderzyła mnie myśl, że stoję w tym samym miejscu, w którym wiele razy stała Carla zastanawiając się, co ugotować.

Przez chwilę miałam wrażenie, że powietrze wokół mnie zgęstniało, jak gdyby nie chciało, bym opuściła to miejsce.

— Dobrze — powiedziałam. — Zostanę.

Odwróciłam się i zdążyłam zobaczyć, jak głęboka zmarszczka przecinająca czoło Daniela wygląda się, a na jego twarz wypływa uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lodowaty wiatr szczypał mi policzki, kiedy szybkim krokiem szłam w stronę morskiego brzegu. Orzeźwiająca, mrowiąca skórę zimno w dziwny sposób przynosiło mi jednak ulgę. W czasie odpływu pokaźna część plaży leżała odkryta, lecz przy takiej pogodzie tylko kilka zbłąkanych mew i jeden czy dwaj zrezygnowani właściciele psów przemierzali szeroką łachę piachu. Raz po raz uderzał we mnie silny powiew wiatru, lecz ja tylko wystawiałam twarz do przodu, czerpiąc z tortury przyjemność, mimo że oczy wypełniały mi się łzami. Cieszyłam się, że dla odmiany katuje mnie żywioł znacznie potężniejszy i silniejszy od mojej psychiki, pierwotna siła, której nie sposób się oprzeć, lecz z którą można przynajmniej się zmierzyć. Walcząc z kolejnymi podmuchami zdołałam dojść nad sam brzeg, gdzie wsłuchałam się we wszechobecny ryk morskich fal. Żałowałam, że wiatr nie potrafi wywiać z mojej głowy wszystkich myśli ani uwolnić mojego umysłu od nieznośnego cierpienia.

Na plażę udałam się za radą Daniela. Wcześniej cały ranek spędziłam na doprowadzaniu kuchni do porządku; najpierw poruszałam się jak myszka, nie chcąc nikogo kłuć swoją obecnością w oczy, rychło jednak przekonałam się, że nikt się mną nie interesuje. Zresztą chyba tylko Violet wiedziała, że nie wróciłam do Londynu — z samego rana wpadła do kuchni, żeby zanurkować pod stół i objawszy Tygrysa za szyję, opowiedzieć mu o wczorajszym przyjęciu i prezencie, który Angela obiecała jej

przywieźć: cudownym kucyku, który miał być jak żywy. Oczywiście widziała mnie, lecz nie odezwała się do mnie słowem, jakbym była dla niej niewidzialna.

Właściwie wcale mi to nie przeszkadzało.

Znacznie bardziej zmartwiła mnie łatwość, z jaką Daniel wmanewrował mnie w opiekę nad dziećmi, a równocześnie zaintrygował jego całkowity brak zainteresowania moimi motywami i osobą. Co nieco wyjaśniły wydarzenia ostatnich godzin: porządki dwukrotnie mi przerwało stukanie do tylnych drzwi, za każdym razem inna kobieta z wioski „wpadła, żeby przynieść coś dla Daniela i dzieciaków” (jedna zostawiła ciasto z melasą, druga paszteciki rybne), a Daniel potraktował to jak coś najnaturalniejszego pod słońcem, jakby był tyranem z Orientu przyjmującym daniny od swych wasali. Hmm, więc to dzięki temu funkcjonuje gospodarstwo domowe Finchów — pomyślałam. Zdziwiło mnie tylko, że żadna z ofiarodawczyń nawet nie mrugnęła okiem na mój widok. Za dobrą monetę przyjęły informację, że byłam przyjaciółką Carli i przyjechałam na kilka dni, żeby pomóc — ich zdaniem każdy by tak postąpił, w końcu Daniel miał swoją pracę i trójkę dzieci na głowie, więc jak mało kto potrzebował pomocnej dłoni. W duchu się zżymałam, że gdyby to samotna matka musiała pogodzić wychowywanie dzieci i wolny zawód, z pewnością nie wzbudzałyby litości wśród lokalnych dobroczyńców.

Jeszcze pół roku temu poczułabym się oburzona takim podejściem, podobnie jak skwapliwym wykorzystaniem pierwszej osoby, która się nawinęła pod rękę, jednakże tak bardzo chciałam zająć miejsce Carli, choćby na parę dni, że przymknęłam oko na autokratyzm Daniela.

Kiedy ja sprzątałam, Daniel siedział w swojej pracowni, lecz od czasu do czasu wpadał do kuchni, żeby złapać coś do jedzenia, a to wczorajszą kanapkę, a to kawałek ciasta z melasą, lecz nie zamienił ze mną ani słowa. Dopiero około drugiej, kiedy przygotowywał Violet do wizyty w domu jej przyjaciółki, rzucił do mnie w przelocie:

— Daj spokój tym garom, Helen. — Chwilę przedtem zabrałam się do szorowania wołających o pomstę do nieba rondli i foremek, które znalazłam w spiżarni obok kuchni. — Zaraz się ściemni. Najwyższy czas, żebyś poznała okolicę. Idź cały czas tą ścieżką — machnął ręką w kierunku okna — a dojdiesz na plażę. Tylko ubierz się ciepło. — Zapiął płaszczyk Violet i już go nie było.

No i dlatego byłam teraz na plaży i idąc wzdłuż brzegu żałowałam, że nie mogę opuścić swego miałkiego, udręczonego żywota, choćby rzucając się w spienione i ryczące odmęty.

I zastanawiałam się, ile razy Carla tędy szła i czy podobnie jak ja obserwowała fale i mewy i zadzierała głowę, żeby przyjrzeć się ciężkiemu ołowianemu niebu, na którym tu i ówdzie pojawiał się złoty błysk słońca. Wiele bym wtedy dała, żeby się dowiedzieć, czy przejmujący chłód wiatru i jej sprawiał przyjemność. Z oczu ciekły mi łzy, z powodu rozbryzgującej się w powietrzu piany morskiej i wirujących drobinek piasku, a może także z innych przyczyn. Przestałam cokolwiek widzieć, trudno mi się było skoncentrować w ogłuszającym ryku zlewających się w jedno morza i wiatru. Wyobraża-

łam sobie, że posuwam się tunelem w przestrzeni, wyłobionym przez ciało Carli, jakbym wciąż wyraźnie widziała smugę, za którą muszę podążać, gdyż jest to silniejsze ode mnie. Gdyby Carla nie zginęła na tamtej drodze — myślałam — czy stałaby tutaj, gdzie ja teraz stoję? Czy widziałaby to, co mnie otacza, słyszała te same dźwięki, które właśnie rozdzierają mi uszy?

Czy to było jej miejsce?

— Witaj, Helen. Tak właśnie myślałam, że to ty...

Wokół panował nieopisany szum wiatru i morza, toteż głos z tyłu mnie zaskoczył. Odwróciłam się raptownie, zapominając, że twarz mam moką od łez.

— Och, Janet. Dzień dobry — powiedziałam wreszcie.

— Wystraszyłaś mnie.

Stojąca przede mną kobieta była zakutana w obszerny płaszcz i szal i miała naciągnięty głęboko na oczy kapelusz, tak że parę chwil mi zabrało, nim rozpoznałam w niej osobę, która minionego dnia pomagała podczas przyjęcia Violet.

— Prawda, że to cudowne? — zapytała, a kiedy nie odpowiedziałam, wyjaśniła: — Mam na myśli zimowy sztorm. Mój Boże, ależ jest zimno! Ty chyba już przemarzłaś do szpiku...

— Nieważne — wzruszyłam ramionami.

— Carla nie znosiła wiatru — poinformowała mnie Janet.

— Naprawdę? — Cóż innego mogłam powiedzieć?

Janet skinęła głową i podjęłyśmy wspólny spacer. Tuż przy jej lewej nodze truchtało wielkie bydlę, wyglądające na jakąś odmianę psa myśliwskiego, starając się wykorzystać poły płaszcza Janet jako wiatrochron; uszy leżały mu płasko na czaszce i widać było, że nie podziela entuzjazmu swej pani dla sztormów.

— Gdzie Tygrys? — zapytała nagle.

— Nie chciał ze mną wyjść. Zdaje się, że niezbyt lubi spacerować.

— Tak — westchnęła Janet. — Biedak cierpi na reumatyzm. Paul chciał mu podać jakieś specjalne lekarstwo, ale Daniel się nie zgodził.

— Paul?

— Wydawało mi się, że się znacie... Widziałam, jak rozmawialiście podczas pogrzebu.

— Nie miałam pojęcia, że Paul jest weterynarzem — odparłam.

— Cóż, przynajmniej w pewnym sensie. To znaczy chodził na studia, ale w którymś momencie dopadły go wyrzuty sumienia z powodu tych wszystkich rzeczy, jakie weterynarz musi robić... no wiesz: zabijanie zwierząt hodowlanych, usypianie domowych... Teraz zajmuje się tylko leczeniem, ale znaczna część jego terapii jest, delikatnie mówiąc, nieortodoksyjna. Ale zwierzęta za nim przepadają, a on sam gotów jest się zerwać w środku nocy, żeby do jakiegoś pojechać.

Przypomniałam sobie, że Janet śpieszyła się wczoraj do swego ulubieńca, toteż zapytałam:

— A czy twój piesek czuje się lepiej?

— Niestety nie. Nie chciał z nami pójść na spacer, a musisz wiedzieć, że Maluch przepada za spacerami. Prawda, Wielgusie? — poklepała psisko po wielkiej głowie. — Tęsknimy za nim, co? — Pies podkuilił tylko bardziej ogon. Janet zwróciła się znów do mnie: — Dobrze się znałyście z Carlą? — spytała.

— Poznałyśmy się w Grecji — rzekłam ostrożnie, nie wiedząc, czego mam się spodziewać.

— Ach tak... — Janet zmarszczyła brwi. Przez kilka chwil szłyśmy w milczeniu, walcząc z napierającym wiatrem i własnymi myślami. — Tak bardzo mi jej brak... Zawsze spacerowałyśmy razem, wiesz? Zimą człowiek czuje się tutaj strasznie samotny...

— Mieszkasz gdzieś w pobliżu? — zapytałam, byle coś powiedzieć.

— Tam — wskazała ręką odległy kraniec plaży. — Widzisz ten domek z niebieskimi okiennicami? Właściwie dlaczego miałabyś mnie nie odwiedzić? Będziesz miała możliwość odtajnić, nim udasz się w drogę powrotną ... — Chciałam odmówić, ale Janet w tej samej chwili dodała: — Carla zawsze do mnie wpadała na filiżankę herbaty, ilekroć zawędrowała na plażę.

— Dobrze — powiedziałam. — Z największą przyjemnością.

Kiedy znalazłyśmy się w sieni, Janet zaczęła zdejmować kolejne warstwy ubrań, odsłaniając się cał po calu niczym mumia. Poprzedniego dnia nie poświęciłam jej wiele uwagi, zbyt zaabsorbowana hordą dzieci wokół, jednakże dziś patrzyłam na nią z rosnącym zainteresowaniem: była w końcu pierwszą osobą, która przyznała, że brak jej Carli.

Janet mogła mieć koło sześćdziesięciu lat i poznać było, że niegdyś była piękną. Wciąż trzymała się prosto, może dlatego, że była niewielkiego wzrostu i solidnie zbudowana. Siwe włosy z pojedynczymi pasemkami brązu miała upięte w kok, który przytwierdziła szpilkami na samym czubku głowy, tak że wyglądał niczym połówka wisienki na szczycie ciastka. Zauważyłam też mocne, choć spracowane dłonie.

— Zaraz nastawię wodę na herbatę — oznajmiła zdjawszy ostatni sweter. — Proszę, czuj się jak u siebie.

Weszłyśmy do głównego pomieszczenia, którego część wydzielono na kuchnię. Stała tam mała lodówka, kuchenka gazowa i kilka szafek. W ogóle cały dom wyglądał, jakby rozpoczął swój żywot jako domek letniskowy, dość dawno temu. Poluzowane szyby w oknach brzęczały przy każdym silniejszym podmuchu wiatru, powietrze przesycone było zapachem terpentyny i mokrej psiej sierści. Wszędzie wisiały i stały obrazy.

— Ty je namalowałaś? — spytałam, podnosząc jeden z sof, żeby zrobić dla siebie miejsce. Przedstawiał siwoniebieską mewę w cyrklującym locie i namalowany był farbami olejnymi.

— Tak — odparła Janet. — Ten, który trzymasz, jest najnowszy. Jak ci się podoba?

— Jest wspaniały!

Wiedziałam, co mówię; sama zapełniłam niezliczone strony szkicownika własnymi wypocinami i potrafiłam poznać rękę prawdziwego artysty. Inna sprawa, że nie chciałam zrazić sobie kogoś, kto znał Carlę.

Janet kręciła się jeszcze chwilę po kuchni, przyrządzając herbatę i zagadując do nieszczęśliwie wyglądającej białej, ale niesamowicie brudnej kulki, która musiała być Maluchem, wreszcie opadła na stojący naprzeciwko sofy, wyściełany miękką poduchą fotel i rzuciła:

— Opowiedz mi o sobie, Helen.

Milczałam. Cóż mogłam powiedzieć poczciwej Janet? Za nic nie zdobyłabym się na prawdę o tej zdesperowanej, szarpanej namiętnościami kobiecie, jaką byłam od czasu pobytu w Grecji, a wcześniejsza Helen North jawiła mi się jako duch, równie jak on nierealna, gdyż nigdy nie przejrzała tkwiących w niej skłonności.

Janet nie miała jednak zamiaru dać za wygraną.

— Jesteś stąd? — podpowiedziała.

— Mieszkam w Londynie — odparłam zdawkowo i znów popadłam w milczenie.

— Hmm, zdaje się, że jesteś jedną z tych niezwykle rzadkich osób, które nie przepadają za mówieniem o sobie — skomentowała moją wypowiedź z uśmiechem.

— Po prostu nie mam wiele do opowiedzenia.

— Och, to większości ludzi nie powstrzymuje przed głędzeniem o sobie całymi godzinami... Jeśli będziesz się tak zachowywać, wywołasz podejrzenia.

Był to prawdopodobnie żart, ale ja zareagowałam nerwowo.

— Naprawdę nie ma mnie o co podejrzewać. Przypuszczam raczej, że jestem zwyczajnie nudna.

— Nigdy w to nie uwierzę — zaproponowała Janet. — Wyglądasz na wszystko, tylko nie na nudziarę. Bardzo się cieszę, że poznałam kogoś, kto cenił Carlę. O mój Boże, jak ja za nią tęsknię — powiedziała raz jeszcze. — Ubiegłej zimy przychodziła do mnie prawie codziennie, potrafiłyśmy przegadać długie godziny.

— Gdzie siadała?

— Na sofie, dokładnie tam, gdzie ty teraz siedzisz. — Janet, nawet jeśli się zdziwiła moim pytaniem, nie dała tego po sobie poznać. — Tyle że zazwyczaj zdejmowała buty i podwijała nogi pod siebie. Czasami siadała na podłodze. Nie przepadała za krzesłami...

— Jak to dobrze czegoś się o niej dowiedzieć... Sama mówiła mi bardzo niewiele, nie wiem prawie nic o jej rodzinie.

— Nie? — Janet uniosła brwi, podnosząc kubek do ust, i spoglądała na mnie znad jego brzegu. Jej spojrzenie było stalowoniebieskie i bardzo bezpośrednie. — Powiedz mi, Helen, czy Carla sprawiała wrażenie osoby pogrążonej w depresji podczas tych ostatnich dni?

Ogarnęło mnie uczucie déjà vu, po krzyżu przeszły ciarki. Dokładnie to samo pytanie zadał mi Daniel w trakcie naszej pierwszej rozmowy, jeszcze w Grecji.

— Czemu pytasz? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie. — Czyżby Carla była w depresji przed urlopem?

— O, tak — pokiwała głową Janet. — Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak smutnej. Od kiedy straciła dziecko...

— Dziecko? — wpadłam jej w słowo. — Jakie dziecko?

— To ty nic nie wiesz?

— Nie.

— Myślałam, że ci powiedziała. Nie rozumiem, czemu to przed tobą zataiła...

— Prawdę mówiąc nigdy nie rozmawiałyśmy o takich rzeczach... — Przypomniały mi się nasze dziewczynskie rozmowy o tym, ile będziemy miały dzieci, kiedy już wyjdziemy za mąż za naszego księcia z bajki. A tu najpierw się dowiedziałam, że Carla przez cały czas była mężatką, a teraz to... Zupełnie zbita z pantafyku, powiedziałam: — Ale Daniel mówił, że Carla nie miała dzieci.

— Nie, to prawda, i w tym właśnie tkwił problem. Poroziła w marcu. Wprawdzie była dopiero w drugim miesiącu, ale dla niej to już było dziecko... Masz dzieci, Helen? — potrząsnęłam tylko przecząco głową, a Janet kontynuowała: — Gdybyś nosiła kiedyś w sobie płód, wiedziałabyś, że w pewnym momencie przestaje być tylko płodem, a zaczyna być normalnym, prawdziwym dzieckiem, odrębną istotą, tyle że wciąż wewnątrz ciebie. W wypadku Carli ta chwila przyszła bardzo wcześnie, być może jak tylko dowiedziała się, że jest w ciąży. Ona tak gorąco pragnęła tego dziecka, choć Daniel był cały czas przeciwko.

— A to dlaczego?

— Po prostu nie chciał więcej dzieci. Mówił, że dochował się trójki i to wystarczy, i pewnie miał do tego prawo, ale biedna Carla nie miała ani jednego, przynajmniej nie swoje własne. Oczywiście, że próbowała stać się matką dla pasierbów, ale oni nie byli zainteresowani. Nikt nie powiedział jej marnego „dziękuję”, chociaż prowadziła im dom, gotowała i prała. Nieraz się o nią martwiłam... no wiesz, że zrobi jakieś głupstwo.

„Jakieś głupstwo” — odbiło mi się echem w głowie i natychmiast przeniosłam się myślami na wyspę. Czy gdyby udało mi się przekonać samą siebie, że Carla miała myśli samobójcze, pogodziłabym się z tym, co się stało? Co za szalony pomysł!

— Rzeczywiście nie wydawała się zachwycona swoim życiem — odezwałam się po dłuższej chwili. — Była niezadowolona i niespokojna, ale nie w depresji. I zdecydowanie nie wyglądała na kogoś, kto chce popełnić samobójstwo.

Rozmawiając z Janet zsunęłam buty i podwinęłam nogi pod siebie. Było mi wygodnie, jakbym odnalazła długo nie noszony ciuch i włożywszy go stwierdziła, że wciąż pasuje jak ulał. Grzałam ręce

o kubek z herbatą i wsłuchiwałam się w wyjący na zewnątrz wiatr, mówiąc sobie w duchu, że tak właśnie zachowywała się Carla, kiedy żyła.

— Tak... — ciągnęła zamyślona Janet. — Poronienie to była ostatnia kropla. Raz czy dwa napomknęła mi, że zaczyna się zastanawiać, czy to wszystko ma sens. Jesteś pewna, że nigdy o tym z tobą nie rozmawiała?

— Na pewno nie.

— To dziwne... — Janet ściągnęła brwi w skupieniu. — Właśnie przypomniałam sobie, co wczesną wiosną powiedział mi Paul. Wtedy uznałam, że plecie bez sensu, wyśmiałam go, ale kto wie... Krążyła plotka, że Carla nie poroniła, że to Daniel zmusił ją do aborcji.

— Ależ to okropne! — krzyknęłam. — Przecież on by nie mógł...

— Wiem, dlatego właśnie nigdy nie dałam temu wiary. Zgoda, Daniel jest samolubny i trudny we współżyciu, ale moim zdaniem nie jest tyranem. Nie potrafię sobie wyobrazić, by dopuścił się czegoś równie okrutnego...

Niemal się roześmiałam. Któż lepiej ode mnie wiedział, jak bardzo pozory mylą!

— Nigdy nie wiadomo — rzekłam tylko. — Tak czy inaczej Carla ani razu mi o tym nie wspomniała, a jestem pewna, że coś takiego bym dobrze zapamiętała.

Ale już kiedy te słowa opuszczały moje usta, nie wiedziałam, czy mówię prawdę. Przecież ostatnio pamięć nieustannie płatała mi figle w odniesieniu do ostatnich chwil na drodze i innych wydarzeń także. Nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek powiedziała mi, że jest matką dzieci Daniela, czy też był to mój wymysł, bo widziałam ich razem na zdjęciu, a Carla kupiła dla nich prezenty.

Janet odstawiła głośno kubek.

— Daniel nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Paul musiał coś pokręcić.

— Myślisz, że Carla zwierzyłaby się Paulowi? — spytałam wiedziona nagłym impulsem.

— Hmm — zastanowiła się Janet. — Właściwie czemu by nie? Paul ma mnóstwo przyjaciół, łatwo się z nim rozmawia...

Pozostałam nieufna. Przyszło mi bowiem do głowy, choć nie podzieliłam się tym z Janet, że Carla mogła celowo nakarmić Paula udramatyzowaną wersją jej pożycia z Danielem. To, że zabawa w zmyślanie była dla mnie czymś nowym, nie oznacza, że Carla także nie miała w tym wprawy — przecież mogła to robić od dawna. Albo prawda była jeszcze prostsza: Daniel Finch, na zewnątrz uroczy roztrzepany artysta, faktycznie był okrutnym egoistą.

— Czy Carli się tu podobało? — spytałam. — Mnie wydawała się bardziej mieszcuchem.

— O, to prawda... — przytaknęła Janet. — Ale nie można jej odmówić tego, że przynajmniej próbowała się przyzwyczać. Wiedziała, że ten dom wiele znaczy dla Daniela i dzieci, i starała się dostosować. Przypuszczam, że sama nie wiedziała, na co się porywa, i z czasem po prostu ją wszystko

przerosło. Jak dziś pamiętam, że siedziała tam gdzie ty i wyżałała mi się na to czy tamto. Biedna Carla — zakończyła z westchnieniem Janet.

„Biedna Carla.” Siedziałyśmy w milczeniu, zatopione we własnych myślach, słuchając brzęczenia szyb w metalowych ramach. Błądząc wzrokiem po ścianach i wiszących na nich obrazach zauważyłam, że wyraz twarzy Janet się zmienił, a w jej oczach pojawiło się coś dziwnego. Nie patrzyła już na mnie, łagodnie dając do zrozumienia, że możemy zostać przyjaciółkami, lecz oceniała jak obiekt na szkiełku, coś, co jej nie widzi i nie potrafi odwzajemnić spojrzenia. Albo jak... zwłoki. Wzdrygnęłam się, kiedy nagle się odezwała.

— Helen, czy nie sprawiłoby ci to kłopotu, gdybyś zgięła rękę w łokciu i oparła na niej głowę... nie, troszkę wyżej... o, właśnie tak — zerwawszy się z fotela niczym młoda dziewczyna, podeszła do mnie, żeby pokazać mi, pod jakim dokładnie kątem powinnam zgiąć rękę i jak oprzeć głowę. — Mam nadzieję, że się nie gniewasz... — i mówiąc to przesunęła moją stopę o paręnaście centymetrów na sofie. — Już! — zawołała zachwycona. — Że też nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam.

— O czym? — spytałam, niewiele rozumiejąc.

— O Carli — odparła z przeciwległego końca pokoju, gdzie przesuwała kolejne obrazy oparte o ścianę. — Przed jej wyjazdem zaczęłam malować jej portret i do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że go nie skończyłam. Tak bardzo chciałabym mieć coś, co będzie mi ją zawsze przypominać. No, jest — ucieszyła się i odwróciła do mnie. — Twarz mam prawie skończoną, ale resztę ledwie naszkicowaną. Gdybyś została tu trochę dłużej, mogłabyś mi pozować. Jasne, że masz inne rysy twarzy, no i zupełnie inne włosy, ale jesteście mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała. A ja nie potrafię narysować człowieka inaczej jak tylko z natury. Jak ktoś mi nie pozuje, obraz jest jakiś taki nierealistyczny, a ja chcę, żeby Carla wyglądała jak żywa.

— Mogę zobaczyć? — spytałam z drżeniem serca.

— Naturalnie.

Podniosła obraz i obróciła go w moją stronę, trzymając przed sobą na wysokości piersi jak tarczę. Rzeczywiście, większość była ledwie naszkicowana i z tej odległości wydawała się niebieskoszarą plamą, ale twarz Carli z charakterystyczną grzywą kasztanowych włosów była nie do pomylenia z nikim innym. Wydatne usta, głęboko osadzone oczy, pytające spojrzenie. Patrzyła na wskroś pokoju, który tak dobrze знаła i lubiła, oskarżając mnie, swoją zabójczynię.

W piersi czułam ucisk, który falami wędrował w stronę krtani, tak że nie potrafiłam wydusić z siebie słowa.

— Tak bardzo chciałabym go skończyć — podjęła Janet. — Wiem, że to głupie, przecież w ten sposób nie przywołam jej do życia... — głos się jej nagle załamał.

W zapadającym półmroku wydało mi się, że pokój wypełnił się Carłą, w taki sam sposób jak mogłby wypełnić się muzyką albo zapachem lilii. Zamarłam w bezruchu. Naszła mnie stuprocentowa

pewność, że gdyby tylko żyła, siedziałyby właśnie tutaj — w tym pokoju, na tej sofie, w takiej samej pozycji jak ja teraz.

Kiedy w sieni rozległo się pukanie, podskoczyłam trącając kubek z herbatą i rozlewając płyn na podłogę. Odwróciłam się gwałtownie, żeby zobaczyć, kto wszedł, i znalazłam się oko w oko z Paulem Waveneyem. Jego twarz pobieliała, ściągnięta przejmującym wyrazem szoku.

Janet odstawiła portret na ziemię i zawołała radosnym głosem:

— Hej, Paul, nie wpuszczaj nam tu całego zimna z dworu! — i zaraz dodała: — Ojej, zrobiło się prawie całkiem ciemno. Już zapalam światła...

Paul przekroczył próg i zamknął starannie drzwi, ale widać było, że wciąż jest wstrząśnięty.

— Witaj, Paul — powiedziałam cicho.

— Helen, czy tak? Co za niespodzianka! Czy uwierzysz, że przez ułamek sekundy myślałem, że jesteś...

Urwał w pół słowa, ale ja i tak wiedziałam, co chciał powiedzieć. Kiedy ujrzał mnie od tyłu w zapadającym zmroku listopadowego dnia — zarys moich ramion i głowę opartą na dłoni — przez niewiarygodnie krótką chwilę był przekonany, że widzi zmartwychwstałą Carlę. Z powodu, którego jeszcze sobie nie uświadamiałam, poczułam wypełniającą mnie satysfakcję, ba, poczucie tryumfu nawet, nie przejmując się tym, że Paul pomyślał, iż widzi ducha, co wyraźnie było poznać po jego minie.

Podszedł do nas, uścisnął mi dłoń i grzecznie odmówił na pytanie Janet, czy nie napiłby się herbaty. Znów nad sobą panował, choć w oczach majaczył mu cień i raz po raz zerkał na mnie, jak gdyby chciał się upewnić, czy aby na pewno nie jestem duchem. Choć wcześniej dawałam mu czterdziestkę, taki wystraszony i skonfundowany wydawał się znacznie młodszy — i bezbronny. Janet powiedziała mi, że ludzie lubią z nim rozmawiać, i zdaje się zaczynałam pojmować, dlaczego tak jest. Paul wyglądał na człowieka, który rozumie, co to ból i cierpienie, na kogoś, kto przeszedł swoje w życiu.

— Przykro mi, Janet, ale nie mogę zostać dłużej. Paru przyjaciół przychodzi do mnie na drinka o szóstej. Pomyślałem sobie tylko, że skoro przejeżdżam nieopodal, wpadnę zobaczyć, jak się miewa Maluch.

— Jak to ładnie z twojej strony, Paul — wzruszyła się Janet.

— Wprawdzie przywiozłabym go do ciebie jutro, ale nie wiem o której, bo muszę odwiedzić mamę do lekarza...

— No więc może obejrzę go teraz, co ty na to? — zaproponował z ciepłym uśmiechem.

— Och tak, bardzo proszę.

Wyjęli Malucha wspólnymi siłami z jego koszyka i położyli na stole pomiędzy kubkiem po herbacie a stertą gazet. Janet przestępowała z nogi na nogę, kiedy Paul badał psa przemawiając doń łagodnym tonem.

— Wydaje mi się spokojniejszy, odkąd podaję mu te krople od ciebie, ale wciąż jest jakiś nie-swój... I nadal boli go lewy bok, na wysokości żeber.

Paul w tym czasie delikatnie rozwarł szczęki zwierzęcia, zajrzał mu do pyska, obejrzał oczy i uszy. Teraz przebiegał mu palcami po grzbiecie i bokach. Obserwowałam jego zgrabne, delikatne ręce, podczas gdy pies bez oporu poddawał się badaniu, raz tylko zaskowyczał z bólu i zdziwienia, kiedy Paul nieoczekiwanie ucisnął jakieś miejsce na białym wełnistym boku.

— Przepraszam za to, staruszk — przemówił do niego Paul.

— Już po wszystkim. Masz tutaj szmakosa. Tak, tak, Wielgusie, dla ciebie też mam jednego, żebyś nie urządził nam tu sceny zazdrości... — Pozwolił, by drugi pies wziął mu z dłoni chrupkę, i odwrócił się do Janet. — Niestety, nie polepszyło mu się tak, jak miałem nadzieję. Wciąż może się okazać, że to nic poważnego, i wtedy dojdzie do siebie za dzień czy dwa, ale równie dobrze może mu się nagle pogorszyć... Decydująca będzie najbliższa doba.

— To straszne — załkała Janet.

— Najlepiej by było, gdybym mógł go mieć pod stałą obserwacją... — zastanowił się. — Co powiesz na to, żebyśmy go ze sobą zabrali? Pójdzie ze mną, prawda?

— Przecież wiesz, Paul, że cię uwielbia.

— No to postanowione. Spędzi noc u mnie, a ja rano dam ci znać, jak się miewa, dobrze?

— Ale tylko pod warunkiem, że to dla ciebie nie jest zbyt wielki kłopot — krygowała się Janet. Zaraz jednak miłość do psa wzięła górę. — Najważniejsze to postawić właściwą diagnozę, prawda? Mam nadzieję, że te bóle mu miną, ja po prostu nie mogę patrzeć, jak się męczy.

Oczy Paula złagodniały, kiedy podnosił psa i przytulał go do piersi. Delikatnie gładził zmierzwioną sierść.

— Nie będzie więcej cierpiał, możesz być pewna — rzekł z mocą.

Wyjrzałam przez okno i zerwałam się na równe nogi.

— Ojej, ale się zasiedziałam. Już prawie ciemno. Lepiej będę się zbierać.

— Nie jesteś samochodem?

— Został na podjeździe Daniela. Paul się skrzywił.

— To tam się zatrzymałaś? — spytał.

— Owszem — przytaknęłam. — Ale jutro już wyjeżdżam. Zjawiłam się akurat wtedy, kiedy potrzebna mu była pomoc przy organizowaniu przyjęcia Violet, no a potem jakoś tak wyszło, że zaproponował, żebym została do przyjazdu Angeli. Daniel musi być w Londynie wcześniej rano... — tłumaczyłam.

— Jeszcze jedna ofiara — rzekł lekkim tonem i zwróciwszy się do Janet, zapytał: — Nie przestrzegłaś jej?

Janet uciekła wzrokiem, wruszając przy tym ramionami, i zabrała się do przygotowywania wyprawki dla Malucha.

— Przed czym?

Bardzo chciałam się dowiedzieć, co jest grane, ale Paul nie miał ochoty udzielić mi wyjaśnień. Powiedział tylko:

— Podwiozę cię, Helen. Na dworze jest za ciemno na spacer, zwłaszcza jeśli się nie zna okolicy.

— Co za obsługa! — radosnym tonem podsumowała Janet. — Domowe wizyty w niedzielny wieczór, prywatny ambulans, a do tego taksówka. Czego nam więcej potrzeba do szczęścia? — gruchała, byle tylko nie myśleć, że zaraz się będzie musiała rozstać ze swym ulubieńcem. — Paul ma rację, Helen. Jest za późno, żebyś sama wracała na piechotę. Powinnam była o tym pomyśleć i cię nie zatrzymywać, ale zupełnie zapomniałam, że nie znasz okolicy, no i... cóż, Carla uwielbiała spacerować po ciemku. Zawsze powtarzała, że miejsca takie jak to nabierają szczególnego uroku w ciemnościach. No, Paul. Wszystko gotowe.

Coś mnie uderzyło w słowach Janet, ale nie potrafiłam określić dokładnie co. Dopiero później, szykując się do snu, zdałam sobie sprawę, że wizja Carli lubiącej się w nocnych spacerach kłóciła się z moim o niej wyobrażeniem, jakie wyniosłam z Grecji. Dlaczego tam łapała mnie w panice za rękę, obawiając się otulającej nas miękkiej czerni niewielkiego zagajnika, a tu po zmroku przechadzała się brzegiem morza jakby nigdy nic, chociaż okolica była o wiele mniej przyjazna? Czyżby jej strachliwość była udawana, podobnie jak stan paniński? A może bała się tylko w nieznanym otoczeniu? Obie możliwości należało wziąć pod uwagę, mimo to czułam, że za uwagą Janet kryje się coś więcej.

Być może Carla doświadczyła czegoś, co wywołało w niej obawę przed ciemnością czy raczej przed czymś, co może ją w ciemności spotkać.

A może po prostu miała przeczucie...

— Cóż cię sprowadza w nasze strony, Helen? Na pogrzebie Carli odniosłem wrażenie, że nie marzysz o niczym innym, jak tylko o tym, żeby stąd uciec...

Zesztywniałam. Pytania zawsze wywoływały we mnie taką reakcję, tyle że ostatnio uległa ona spotęgowaniu. W wątym świetle padającym z deski rozdzielczej ledwie widziałam zarys głowy Paula, odwróconej w moją stronę, czułam jednak, że na mnie patrzy. Nie odwzajemniłam spojrzenia, oczy miałam wbite w drogę przed nami, wąską, krętą i opadającą, tak że bardziej przypominała tor saneczkowy niż jakąkolwiek, choćby i najpodlejszą szosę.

— Nic szczególnego — odparłam, starając się nadać głosowi zwykłe, lekkie brzmienie. — Choć właściwie może było wiele powodów... Chciałam sprawdzić, jak Daniel i dzieci radzą sobie bez Carli. I zobaczyć miejsce, w którym spędziła ostatnie lata życia. Potrzebna mi była chwila oddechu od Londynu. Nic szczególnego, jak powiedziałam... — urwałam nagle, zdawszy sobie sprawę, że moja

odpowiedź była za długa, a przez to nienaturalna. Sama słyszałam w niej fałszywe nuty i ze strachu rozbolał mnie żołądek.

— I jaki zapadł wyrok?

— Wyrok? — powtórzyłam bezmyślnie.

— W sprawie Daniela.

— Jestem tutaj zaledwie dzień... — Wiedziałam, że muszę ważyć każde słowo: przecież Paul i Daniel mogli być najlepszymi kumplami. — W domu panował zamęt, bo wszyscy spodziewali się Anieli, a ona opóźniła swój przyjazd.

— Jak ci się układa z dziećmi? — padło następne pytanie.

— Prawie ich nie widziałam.

— No to szczęściara z ciebie. Carla miała z nimi piekło, a Daniel nigdy się nie zdobył na to, żeby wziąć jej stronę. Mimo że była jego żoną — dodał po chwili z gorzką nutą.

— O co chodziło z tym przestrzeganiem mnie przed czymś? — zmieniłam temat na bezpieczniejszy, a przynajmniej bardziej mnie w tej chwili interesujący. — Przed czym twoim zdaniem miała mnie ostrzec Janet?

— Nie przed czym, a przed kim — sprostował Paul. — Przed Danielem, oczywiście.

— A to dlaczego? — zdziwiłam się. — Mnie wydaje się całkiem w porządku.

— O, tak. Nie wątpię, że potrafi użyć całego swego uroku, kiedy mu to odpowiada. Co w ogóle powiedziała ci o nim Carla?

— Nic — odparłam krótko.

— Nie mówiła ci o Danielu? To niewiarygodne! — Paul się przez chwilę namyślał. — A o tym, że miała zatrzymać się w willi mojej ciotki, ci mówiła?

— Nie — pokręciłam głową. — W ogóle nie rozmawiałyśmy o naszym prawdziwym życiu. To był taki niepisany pakt... O tobie też nie wspominała. Cały czas byłam przekonana, że podróżuje sama, tak jak ja.

— Coś podobnego! — szczerze się zdziwił Paul. Siedział odwrócony do mnie bokiem, silnik stukał na jałowym biegu.

Staliśmy na podjeździe Daniela. — Nie wspomniała o mnie nawet słówkiem? — upewniał się.

— Zgadza się — potwierdziłam.

— Dziwna z niej była dziewczyna. Chwilami myślałem, że większość czasu spędza w wymyślonym przez siebie świecie. Mnie na przykład naopowiadała mnóstwo różnych rzeczy o swoim małżeństwie, nie zawsze dobrych, toteż mam nadzieję, że nie wszystko było prawdą. A jednak ilekroć widzę Daniela, chcę go o to zapytać, choć naturalnie tego nie robię. Co było, minęło, jak to mówią... — Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać za uszami Malucha, leżącego na tylnym siedzeniu. Po chwili ciszy Paul dodał: — Biedna Carla, nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

— Dziękuję za podwiezienie — wykrztusiłam, czując, jak w gardle rośnie mi gula.

Paul jakby nie zauważył, że głos mi się zmienił.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Udanego pobytu, Helen. A, i weź sobie do serca moją radę: nie daj się wessać w życie Finchów.

— Wessać?

— Tak, wessać. — Jego głos pozostał lekki, niemal żartobliwy, toteż trudno mi było ocenić, czy mówi poważnie czy też nie. — Daniel potrafi być niebezpieczny. Na ogół trzeba się wystrzegać takich jak on, słodkich z wierzchu, a wewnątrz... — nie dokończył. — Zresztą sama zobacz, co przytrafiło się Carli.

— Przecież to był wypadek — powiedziałam, mimo że w ustach miałam zupełnie sucho.

— Nikt nie mówi, że nie...

Otworzyłam drzwiczki i wewnątrz samochodu zalała fala światła. Odwróciłam się do Paula; przez ułamek sekundy patrzyliśmy sobie w oczy niczym wspólnicy. Paul wie — pomyślałam czując, jak ogarnia mnie przerażenie. Moment później byłam już na zewnątrz, a Paul sięgał do klamki, żeby zamknąć za mną drzwi.

— Do zobaczenia, Helen — powiedział z uśmiechem.

Zarówno uśmiech, jak i pożegnanie były całkowicie naturalne, jednakże dręczące mnie poczucie winy spowodowało, że doszukiwałam się w nich podtekstów i moja panika z każdą chwilą rosła.

Kiedy okrążałam dom, żeby wejść kuchennymi drzwiami, nie mogłam powstrzymać drżenia.

*

Podgrzane paszteciki rybne zniknęły w okamgnieniu. Do ciasta dorobiłam napędce trochę kremu i chwilę potem nie było już ani okruszka. Mimo moich wysiłków nikt nie zaszczycił mnie marnym „dziękuję”. Wzruszyłam ramionami i wyjrzałam przez okno, by stwierdzić, że wiatr, tak porywisty nad samym morzem, tutaj zdaje się mniej gwałtowny. Właściwie spodziewałam się, że zaraz po kolacji zostanę w kuchni sama, żeby uporać się ze zmywaniem, ale wyjątkowo nikomu się nie śpieszyło — Daniel i dzieci wciąż siedzieli przy stole, każde z nich pogrążone we własnych myślach. Po raz pierwszy odkąd się u nich zjawiłam, spędziłam w ich towarzystwie więcej czasu i wreszcie mogłam się dokładnie przyjrzeć całej czwórce. Violet pozwoliła, żebym pomogła jej wycinać papierowe ludziki, które ona kolorowała, a kiedy to jej się znudziło, założyła cały ich rząd ojcu na głowę niczym koronę. Pomyślałam wtedy, że kto jak kto, ale Daniel Finch z pewnością mi nie zagraża. Ciemne włosy miał zasłonięte przez odblaskoworóżowe spódniczki ludzików, których wątle nóżki majtały mu nad brwiami — wyglądał zupełnie niegroźnie, jak Guliwer otoczony przez filigranowe tancerki.

Violet uwijała się wokół niego jak fryga, poprawiając mu ludziki i włosy na głowie, gestem starej małej sięgając do kołnierzyka jego koszuli i strzepując niewidoczne pyłki. Najwyraźniej należała do dzieci, które wymagają kontaktu fizycznego, o czym się zdażyłam przekonać wcześniej, kiedy

czekając na kolację przysiadła mi na kolanach i nawet grzecznie słuchała bajki, lecz już za chwilę oglądała moje kolczyki, odsuwała mi włosy za uszy i błędziła paluszkami po wnętrzu mojej dłoni. Daniel okazał się mniej cierpliwy ode mnie: mając dość jej uwagi, zdjął ją delikatnie z kolan i ściągnął papierową koronę.

— Od paru dni nie słyszałem, jak grasz na flecie — powiedział. — Może powinnaś trochę poćwiczyć?

Violet wymknęła się z kuchni, by zaraz wrócić z instrumentem i nutnikiem, na którego okładce wymalowana była dwójka uśmiechniętych brzdąców. Kiedy upuściła książeczkę na stół, delikatna fala powietrza poruszyła jedną z części modelu jachtu, nad którym pracował Rowan, co oczywiście wywołało jego protest i płacz Violet, ale Daniel sprawnie zapanował nad sytuacją. Parę chwil później Violet zaczęła grać, na co z kolei wyrwała się z zamyślenia Lily, zakrywając uszy rękoma i wydając przeciągły jęk. Niepewna sześciolatka rzuciła pytające spojrzenie w stronę ojca, który uśmiechnął się do niej szeroko i zapewnił:

— Bardzo dobrze ci idzie, graj dalej.

— Faj, muzyczka dla niemowlaków — skrzywiła się Lily, odrywając się na dobre od tego, co właśnie robiła, choć nie sposób było ocenić, czy pisze, czy też może raczej rysuje, gdyż starannie zakryła ramieniem kartkę papieru, nad którą się od dłuższej chwili bez ruchu pochylała.

Z tego co dotychczas zauważyłam, niełatwo by mi było pokochać Lily. Nie miała w sobie nic ze swej młodszej siostry: nie posiadała ani jej gorączkowego wdzięku, ani czulej natury. Zamieniła ze mną najwyżej parę słów, a i to nie z własnej woli, pozwalając mi się domyślać, że ma po dziurki w nosie przewijających się przez dom kobiet, zatrudnianych przez ojca w charakterze opiekunek. W wieku dwunastu lat czuła się wystarczająco dorosła, by nie potrzebować opieki, jednakże brak jej było doświadczenia, aby zająć się Violet i Rowanem w razie potrzeby. Ignorując mnie dawała wyraźnie do zrozumienia, że moja obecność nie jest przez nią mile widziana. Nie wiedziała, biedaczka, że choć jeszcze rok temu uznałabym jej zachowanie za niegrzeczne, teraz było mi bardzo na rękę, kiedy mnie nie zauważano — gdybym tylko mogła, stałabym się niewidzialna. Albo jeszcze lepiej: dzięki magicznej sztuczce zajęłabym miejsce Carli, tak że nikt nawet by nie podejrzewał, że do domu zakradł się intruz.

Tymczasem Violet grała na flecie, Lily stroiła miny oddając się bez reszty temu, co akurat robiła, a Rowan nie żałując kleju starał się połączyć małe kawałki plastiku w całość przypominającą jacht. Daniel, założywszy ręce za głowę i odchyliwszy się na krześle, spoglądał na pogrążone w pracy dzieci, jakby i on zapomniał o mojej obecności. Przypatrując mu się bez obawy, że mnie na tym złapie, czując się niemal jak w czapce niewidce, ze zdziwieniem zauważyłam, że moje ciało po raz pierwszy od tamtej nocy z Glenem reaguje na mężczyznę. Otrząsnęłam się, kiedy Violet głośno zatrzasnęła

książkę z nutami. Rzuciła ojcu szybkie spojrzenie, po czym zagrała kawałek, który natychmiast rozpoznałam.

— O, nie! — wykrzyknęła Lily, przewracając oczami. — Tylko nie to! Nie mogę słuchać tego gówna!

Violet przerwała, z trudem tłumiąc płacz. Nieobecny duchem Daniel nie zareagował.

— Mnie się bardzo podobało, Violet — oznajmiłam. — Zagraj to, proszę, do końca. Z przyjemnością cię posłucham.

Daniel rozciągnął usta w uśmiechu, choć myślami był wciąż gdzie indziej. Podniesiona na duchu Violet otarła łzę z policzka i podniosła flet do ust, by wydobyć pierwsze, przejmujące takty „Pieśni dla Carli”.

— Ale przecież to dno! — Lily nie dawała za wygraną, jej siostra także. — No powiedz, tato, czy to nie najgorsze dno i wodorosty? — Rzuciła mi wyzywające spojrzenie i zaczęła wybrzydzać: — Ohydne, wstrętne dno... Fuj! No dobrze, Vi, graj to badziewie, skoro musisz.

Violet się jednak poddała, opuszczając obie ręce wzdłuż ciała.

— Ech, zamknęłabyś się, Lily! — warknął Daniel. Musiałam mieć pytajniki w oczach, bo roześmiał się i wyjaśnił: — Lily ma rację. „Pieśń dla Carli” z początku miała być czymś zupełnie innym... No wiesz, artysta też musi z czegoś żyć i nie może wybrzydzać przy wyborze zleceń. Tuż zanim umarła Carla, pracowałem akurat nad muzyką do reklamy pewnego znanego produktu, ale w ostatniej chwili postanowiłem wykorzystać ją jako requiem, a zleceniodawca musiał się zadowolić innym kawałkiem. Zresztą cały czas uważałem, że to dla nich za dobre.

— No i tak Carla dostała piosenkę z odzysku! — obwieściła Lily z tryumfem. — Biedna Carla, ciekawe, czy jej się to spodobało? I czy przedtem używała tego „znanego produktu” — szydziła bezlitośnie dziewczynka, szukając aprobaty w oczach ojca.

— To by było do niej podobne.

— Ale przecież zmieniłem tę muzykę — zaprotestował Daniel.

— Ciekawe, czy aniołki też używają... sami wiecie czego — odezwał się milczący do tej pory Rowan.

— Oczywiście, że nie, głupolu! — Lily popatrzyła na niego z wyższością. — Przecież aniołki są rodzaju męskiego, no i już mają skrzydełka... — roześmiała się z własnego żartu.

— To znaczy, że Carla jest teraz chłopakiem? — zapytał poważnie Rowan.

— No dalej, Violet — zachęcała siostrę Lily. — Może nam jeszcze zagrasz pieśń dla kondomu?

Violet jednak nie słuchała, cisnęła fletem o podłogę i rozbeczała się na dobre.

— Płacz, dziecino, płacz — zanucili Lily i Rowan unisono, lecz ucichli, gdy tylko zobaczyli wyraz twarzy Daniela, i zaraz pilnie wrócili do swoich zajęć.

Daniel wziął Vi na ręce i zaniósł ją do salonu, gdzie stało pianino. Chwilę później rozległy się delikatne dźwięki klawiszy, do których dołączył nieśmiały flet. „Pieśń dla Carli”, oczywiście. Ledwie przebrzmiały ostatnie nuty, muzycy zaczęli od nowa, tyle że tym razem to flet był wiodącym instrumentem, a Daniel akompaniował mu cicho na pianinie.

„Nie usnęłam na wieczność w swym grobie...”

Rowan wciąż majsterkował, nie zwracając uwagi na dochodzącą z salonu muzykę, ale Lily okazała wreszcie ludzkie uczucia. Kiedy podniosła głowę, nos miała zaczerwieniony i dziwny grymas na twarzy, jak gdyby koniecznie chciała nad sobą zapanować, lecz nie potrafiła.

— Denna piosenka dla Carli — wymruczała gorzko, do nikogo w szczególności.

Pociągnęła nosem i z niezadowoleniem zorientowała się, że się jej przyglądam.

Nocą wiatr się uspokoił. Nie mogąc zasnąć, długo wsłuchiwałam się w odgłosy domu: skrzypienie desek podłogowych, piszczenie rur, trzaskanie drzwi. W którymś momencie zerknęłam na zegarek — była za kwadrans piąta. Chwilę potem na podjeździe zawarczał silnik samochodu, żwir zachrząścił pod kołami; Daniel, tak jak zapowiadał, wyruszył w drogę do Londynu. Od tej pory, aż do przyjazdu Angeli, byłam sam na sam z dziećmi.

Spójrz na to z innej strony — napomniałam się w duchu.

— Przynajmniej jesteś użyteczna.

Zapadłszy ponownie w niespokojny krótki sen, jeszcze raz przeżyłam dobrze sobie znany koszmar. Znow mi się śniło — a może to mózg odtwarzał naprawdę przeżyte wydarzenia — jak walczę z kimś na szosie, słyszę krzyki i sama krzyczę, wreszcie jak dostrzegam roztrzaskaną głowę Carli i krew wszędzie wokół. Obudziłam się rozdygotana i podparłszy się na łokciu, sięgnęłam do włącznika nocnej lampki.

W domu panowała niczym nie zmacona cisza. Na poddaszu, w oddzielnych sypialniach, spali Lily i Rowan. Pokój Violet był za ścianą, jednakże nie dochodził stamtąd najłżejszy dźwięk. Daniel wyjechał — przypominałam sobie i jęknęłam. — O Boże! Jestem w domu sama z trójką dzieci, dopóki nie pojawi się ich matka.

Zaczęłam sobie czynić wyrzuty. Po co się na to zgadzałam? Dlaczego pozwoliłam, by ktoś mi zaufał, skoro sama sobie nie ufałam? Przecież gdyby Daniel Finch wiedział, kim naprawdę jestem, co zrobiłam, nie wpuściłby mnie za próg swego domu, o powierzaniu dzieci mojej opiece nawet nie mówiąc! Za wszelką cenę chciałby je przede mną chronić! Tymczasem, o ironio! to Paul ostrzegał mnie przed nim. Roześmiałam się ponuro. To ja powinnam była chodzić z ostrzeżeniem wymalowanym na czole. Z paniką pomyślałam, co będzie, jeśli któreś z dzieci mnie zdenerwuje. Jeśli znow stracę kontrolę nad sobą i w ataku szału zrobię komuś krzywdę, może nawet coś jeszcze straszniejszego niż to, co uczyniłam na wyspie, a potem o wszystkim zapomnę? Co wtedy? Do czego tak naprawdę jestem zdolna?

Nie potrafiłam zasnąć do samego rana. Leżałam pod kołdrą i kocami, trzęsąc się z zimna, jakie mnie ogarnęło ze strachu i dlatego, że ogrzewanie włączało się dopiero o siódmej. Miałam nadzieję, że do tego czasu Angela będzie już w domu. Modliłam się, żeby przyjechała, zanim wstaną dzieci, i robiłam wszystko co w mojej mocy, by nie roztrząsać możliwych scenariuszy... Nie! Nawet o tym nie myśl!... — krzyczałam na siebie w duchu.

Chciałam stamtąd uciec, zostawić w spokoju tych bezbronnych, ufnych ludzi, ale przecież nie mogłam, musiałam poczekać na Angelę. Weź się w garść — powtarzałam sobie. — Uważaj, żeby nie wpaść w złość, za nic w świecie nie trać panowania nad sobą...

Czułam się pobudzona w ten sam niezdrowy sposób, który zmuszał mnie do niekończącego się przemierzania ulic Londynu i szorowania wynajętego mieszkania, aż skórę na dłoniach miałam zdartą prawie do kości. Wiedziałam, że muszę znaleźć ujście dla rozpierającej mnie energii i chęci działania.

Podjąwszy nagłą decyzję, wyskoczyłam z łóżka i pośpiesznie się ubrałam. Chwilę potem byłam już na dole, w wionących chłodem pustych pomieszczeniach. Ta cisza i bezruch ponownie przypomniały mi, kim jestem i co zrobiłam. Znajdowałam się w domu, który niegdyś tętnił życiem, gdzie ludzie śmieli się i przekomarzali, i zajmowali swymi sprawami. Z bólem uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę miała nawet takiego życia, jakie wiedli teraz. Byłam wygnanecem, znalazłam się na marginesie życia.

Zajmij się czymś! — Nareszcie posłuchałam własnej rady. Weszłam do kuchni i zaczęłam opróżniać lodówkę. Była ogromna i mieściła niezliczone, dawno zapomniane paczuszki, zużyte do połowy puszki i naczynia z niezidentyfikowaną zawartością. Jeśli się przyłożę — oceniłam — zajmie mi to co najmniej godzinę. Resztą wolnego czasu będę się martwić później.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Nudzi mi się — ziewnęła ostentacyjnie Lily.

— Mnie też — skwapliwie dołączył do niej Rowan.

Violet siedziała u mnie na kolanach i pokazywała mi muszelki zgromadzone w ozdobnym pudełeczku. Teraz, zaniepokojona, podniosła na mnie wzrok.

— Co chcielibyście robić? — spytałam.

— Nie wiem — odparł Rowan.

— Ty coś wymyśl — rozkazującym tonem powiedziała Lily. — To twoje zadanie sprawić, żebyśmy się nie nudzili.

— Moim zadaniem jest opiekować się wami, a to niezupełnie to samo, moja panno.

— Nie jestem twoją panną — odszczeknęła się Lily, po czym dodała buńczuczny tonem: — I lepiej coś, kurde, wymyśl.

Kiedy tylko się zorientowali, że Daniel wyjechał, Lily i Rowan znacznie wzbogacili swoje słownictwo. Violet jednak pozostała równie niewinna jak zawsze. Czując wzbierającą w powietrzu burzę, objęła mnie za szyję i przytuliła policzek do mojej twarzy.

— Moglibyśmy pójść na spacer — zaproponowałam.

— Nuuuuda — skwitowała Lily.

— A poza tym pada — dodał jak zawsze praktyczny Rowan.

— No to może coś namalujemy...

— Nuuuuda — powtórzyła swoją kwestię Lily.

— Cholerna nuda — poparł ją brat.

— A co powiecie na pichcenie?

— A niby co mielibyśmy upichcić? — wreszcie odrobina zainteresowania.

— Na przykład naleśniki.

Violet się rozpromieniła, ale Lily straciła już zainteresowanie całą sprawą.

— Nie ma mowy. Carla non stop robiła naleśniki. Faj! — wzdrygnęła się ostentacyjnie.

— Naleśniki są do dupy — wyraził swoją opinię Rowan.

Rozpatrywałam, czyby nie zwrócić im uwagi, że nie powinni używać takich słów, ale ostatecznie zrezygnowałam z tego pomysłu. Miałam ich pod opieką tylko przez kilka godzin, a poza tym raczej nie nadawałam się na kryształowy charakter, mogący posłużyć dzieciom za wzór...

Wymyślałam kolejne propozycje.

— Lunch gdzieś poza domem?

Lily zastrzygła uszami.

— Gdzie dokładnie?

— A mamuś? — Violet zrobiła wielkie oczy. — Jak mamuś przyjedzie i nas tu nie będzie, nie zaczeka na nas i sobie pojedzie...

— Zanim ona przyjedzie, to jeszcze ho, ho — kwaśno, lecz rozsądnie oceniła Lily. — Przecież zawsze się spóźnia.

— Ale obiecała!! — Violet zaczynała histeryzować.

— Powiedziała, że będzie między czwartą a piątą — sprecyzowałam. Angela zadzwoniła koło dziesiątej i wyjawiała swoje plany Lily, która potem przekazała je mnie. — Przyrzekam, że wrócimy do trzeciej, i w ten sposób na pewno się z nią nie miniemy. Co wy na to?

— Gdzie? — Lily była bardzo konkretną osobką. Rowan także przyglądał mi się z zainteresowaniem.

— Ja nie znam okolicy — przypomniałam im. — To wy mi powiedzcie, gdzie tu można dobrze zjeść.

— Moglibyśmy pojechać na hamburgera — wybąkała Violet bez przekonania.

— Albo na rybę z frytkami — wtrącił Rowan, ale nawet rzucając swoją propozycję patrzył poważnie na Lily.

Przez twarz przemknął jej chytry uśmieszek. Ujęła ręką kosmyk włosów i zaczęła nim kręcić w palcach.

— Blisko nie ma nic ciekawego — oznajmiła.

— W takim razie ciekawe, czemu to miejsce uchodzi za atrakcję turystyczną? — nie dałam się jej podejść.

— Ale nie w listopadzie — zripostowała. — Jasne, jest tu parę smażalni ryb, no i hotele, ale przecież nie ma nic nudniejszego niż lunch w restauracji hotelowej.

— Zatem co proponujesz? — postanowiłam wysłuchać ją do końca.

— Pewnie się nie zgodzisz...

— Dalej, Lily, wyduś to wreszcie. Przecież widzisz, że chcę wam sprawić frajdę...

— To nie o to chodzi, że lubię to miejsce czy coś — zarzekała się — ale jest niedaleko. Parę razy mijaliśmy je samochodem, pamiętacie — zwróciła się do rodzeństwa. Pokiwali głowami. — Mówię o takim przydrożnym barze, gdzie jest mnóstwo atrakcji dla dzieci... — i wdała się w dłuższe wyjaśnienia, jak tam dojechać.

Kiedy skończyła, zapytałam:

— To co, jedziemy tam?

Zamiast odpowiedzi zobaczyłam tylko ich plecy, jak jedno przez drugie biegli do holu po kurtki.

Zanim dojechaliliśmy do baru wymalowanego w charakterystyczne białoczerwone barwy, deszcz rozpadał się na dobre, ale dzieciom to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie: z każdym kilometrem tryskały coraz większą energią, a kiedy wysiadaliśmy, pchały się jedno przez drugie, wyraźnie

podniecone czekającą je ucztą. Cała trójka ruszyła pędem przez asfaltowy parking w stronę drzwi baru, pokrzykując i śmiejąc się radośnie, a mnie nagle zastanowiło, czy aby na pewno nigdy tu wcześniej nie byli. Odpowiedź dostałam prawie natychmiast, gdy zobaczyłam, jak karnie się ustawili w ogonku przed tabliczką PROSZĘ CZEKAĆ, AŻ KELNER WSKAŻE STOLIK. Wyglądało na to, że byli tu stałymi bywalcami, prawdopodobnie Angela zabierała tu swoje pociechy, żeby uczcić jakieś mniej rodzinne okazje. Lily, uosobienie niewinności i słodyczy, poprosiła kelnerkę o konkretny stół w rogu, a kiedy ta z uśmiechem wyraziła zgodę, pognąła na przedzie rodzeństwa, żeby zająć najlepsze miejsce. Oczywiście Rowan i Violet nie chcieli być gorsi i doszło do małej przepychanki, w wyniku której dwoje starszych dzieci usiadło na kanapie przy oknie, a biedna Violet musiała się zadowolić krzesłem koło mnie. Była jednak tak zaaferowana tym, że wyszliśmy z domu, iż nawet nie protestowała i z powagą studiowała menu, przysłuchując się, jak Lily i Rowan przerzucają się nazwami potraw i ich możliwymi kombinacjami; sytuacja przerosła ją dopiero wtedy, kiedy musiała wybrać pomiędzy paluszkami rybnymi a hamburgerem, ale zaraz się rozchmurzyła, gdyż zaproponowałam, że ja wezmę to, z czego ona zrezygnuje, i wtedy będziemy mogły się wymieniać. Wreszcie udało nam się zamówić, a dzieci jak na komendę zapytały, czy mogą pójść do toalety. Pięć minut później były już z powrotem, pachnące mydłem w płynie i z zaróżowionymi twarzami.

Zachowywaliśmy się, jakbyśmy byli na wakacjach czy wagarach, i w miłym nastroju wróciliśmy do domu.

Telefon w holu mrugał lampką sygnalizującą wiadomość. Uznawszy, że być może zostawiła ją Angela, informując o jeszcze jednym opóźnieniu, albo że Daniel chciał się dowiedzieć, jak spisują się jego dzieci, podniosłam słuchawkę do ucha i wcisnęłam przycisk z kopertą.

„Ojej, znów ta straszna maszyna — poskarżyła się Janet.

— A tak bardzo chciałam pogadać z kimś żywym... No więc — zaczęła i urwała. W tle rozległ się odgłos wydmuchiwanego nosa, a kiedy Janet ponownie się odezwała, krztusiła się od płaczu. — Jestem u mojej mamy, dopiero wróciliśmy ze szpitala, i właśnie usłyszałam od Paula, że... Chodzi o Malucha... Że nie jest najlepiej... A właściwie, to jest tragicznie i..."

Nie usłyszałam nic więcej, gdyż wyrwano mi z ręki słuchawkę, i to z taką mocą, że aż trzasnęło mi w nadgarstku. Odwróciłam się, zszokowana, żeby zobaczyć czerwoną z wściekłości i wykrzywioną gniewem twarz Lily.

— Jak śmiesz odsłuchiwać nasze wiadomości! — krzyczała.

— To jest mój telefon i mój dom, a ty jesteś wstrętnym, wtrącającym się we wszystko szpiegiem! Nie wściubiaj nosa w nie swoje sprawy!

Wygłosiwszy tę tyradę, przyłożyła słuchawkę do ucha i rzuciła mi wyzywające spojrzenie. Zatakowała mnie tak niespodziewanie i z taką siłą, że nie miałam czasu, by powściągnąć własną złość.

— Nie bądź śmieszna, Lily — odezwałam się, nie panując nad głosem, w którym pobrzmiwały histeryczne nutki. — Muszę dowiedzieć się, o co chodziło Janet... Mówiła coś o swoim psie, a to przecież żaden sekret!

— Wcale nie musisz! — odszczeknęła. — O, już wymazałam!

— Lily! — upomniałam ją z groźbą w głosie. — Janet była zdenerwowana, chciała z kimś porozmawiać. Jaki jest do niej numer?

— A skąd ja mam to wiedzieć? — rzuciła szyderczo.

— Sama sobie znajdź! Skorzystaj z książki telefonicznej! — odwróciła się na pięcie, ale złapałam ją w ostatniej chwili.

— Auaaaa!!! — zaskowyczała, jakbym zrobiła jej krzywdę.

— Puszczaj mnie! To boli!!

— Och, na miłość boską! — wykrzyknęłam wiedząc, że przesadza: złapałam ją za ramię, coś takiego przecież nie boli, mimo to puściłam ją natychmiast, kiedy zaczęła jęczeć, zdumiona własną szybkością i agresywną reakcją wobec było nie było dziecka.

— Przepraszam, Lily — powiedziałam pojednawczo. — Nie chciałam zrobić ci krzywdy...

— Ty potworze! Prawie złamałaś mi rękę! — oskarżycielskim gestem wyciągnęła w moją stronę dłoń. Twarz miała bladą i napiętą. — Zresztą i tak jest już za późno. Maluch nie żyje i nie można mu pomóc, a ja ciebie nienawidzę!

W tym akurat momencie pojawiła się Violet, która zamarudziła przy zdejmowaniu butów, i usłyszawszy, że piesek nie żyje, wybuchnęła głośnym płaczem. Rowan zawołał na to z głębi domu:

— Co się, kurwa, znowu stało?

— Jej zapytaj! — piskliwym tonem odparła Lily, po czym biegnąc po schodach, dodała: — To ona jest tutaj szpiegiem!

W tej samej chwili poczułam czyjaś obecność za plecami. W drzwiach frontowych stała Angela.

Nie tyle weszła do domu, ile doń wtargnęła — wysoka, zażywna kobieta z masą złocistych loków na głowie, o zapadających w pamięć rysach i porażającym uśmiechu. Obrzuciła szybkim spojrzeniem rozgrywającą się scenę, przyjęła do wiadomości chaos i niesubordynację, do jakich doszło podczas jej nieobecności, i powiedziała:

— Dzień dobry wszystkim! — Miała donośny głos, nad którym świetnie panowała. Gdybym nie wiedziała, że jest Brytyjką, mogłabym ją posądzić o amerykańskie korzenie. — Zdaje się, że odsiecz przybyła na czas, co? — dodała, zdejmując płaszcz i ciskając go na pierwsze z brzegu krzesło i nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem.

Violet w okamgnieniu przestała rozpaczać po Maluchu i podbiegła do matki, żeby objąć ją w pasie i wykrzyknąć:

— Mamuś! Mamuś! Och, mamuś, wreszcie jesteś, tak bardzo cię Kocham!

— Dobrze, już dobrze, Violet, uspokój się... — Angela poklepała córkę po głowie i wyciągnęła rękę, żeby zmierzyć czuprynę Rowana, który z udawaną nonszalancją znalazł się u jej boku. — Jak się ma mój chłopczyk? — spytała. — Ciekawy, czy przywiozłam mu prezent?

Violet podskoczyła z podniecenia.

— Pre-zent! Pre-zent! — skandowała skacząc na jednej nodze. — Mamuś przywiozła mi prezent urodzinowy!...

Lily obserwowała całą scenę ze schodów, na których zatrzymała się w połowie drogi do swego pokoju, kiedy tylko usłyszała głos matki.

— Cześć, Lily!

— Cześć.

— Mamuś jest w domu, mamuś jest w domu!... — wniebowzięta Violet znów przytuliła się do dawno nie widzianej rodzicielki.

— Wystarczy, Violet! — rzekła stanowczym tonem Angela i oswobodziła się z uścisku dziecka, odsuwając je na bezpieczną odległość. — Uduś się, jeśli będziesz mnie tak ścisnąć.

Violet jakby cofnęła się o kilka lat w rozwoju i zaczęła seplenić:

— Mamuś psywiozła mi plezent.

— Na litość boską, Violet — ofuknęła ją Angela — zachowuj się jak na sześciolatkę przystało, bo inaczej nic nie dostaniesz! — Violet jednak była nie do opanowania. Gaworząc coś bez sensu, doskoczyła do matki, by znów ją objąć, Angela wszakże płynnym ruchem się wyśliznęła i zwróciła do Rowana: — Dasz mamie buziaka, Rowie? Tęskniłeś za mną troszkę?

Chłopiec się rozchmurzył i łaskawie nadstawił policzek, na którym Angela wycisnęła całusa. Violet widząc to aż się zachłysnęła.

— Ja też chcę buzi! — rozdarła się.

— Natychmiast się uspokój, Violet, albo wsiadam do samochodu i wracam do Londynu! — zagroziła Angela, na co dziewczynka zamarła z rozdziawioną buzią i szeroko otwartymi oczyma. Wyszczercząc się do mnie konspiracyjnie, Angela westchnęła:

— Jezu, co za koszmar!... Ty pewnie jesteś przyjaciółką Carli? Myślisz, że mam szansę na filiżankę kawy, zanim stąd uciekniesz?

— Naturalnie, zaraz wstawię wodę — odparłam. — A tak przy okazji, jestem Helen. Helen North.

— A ja jestem Angel Mortimer — zażartowała, przywołując nazwisko słynnej tenisistki z Devonu. — Miło mi cię poznać — powiedziała z uśmiechem, wyciągając do mnie dłoń.

Zauważyłam, że podobnie jak Daniel ma obezwładniający uśmiech i tak jak on — silny uścisk ręki. Musieli stanowić zjawiskową parę, kiedy byli wciąż razem — pomyślałam. — Ekstrawagancki

mąż i interesująca, choć nie piękna w tradycyjnym słowa znaczeniu żona, pełna werwy i animuszu, które potrafiły rozjaśnić brzydki listopadowy dzień...

Zgodnie z obietnicą zabrałam się do parzenia kawy, a Angel vel Angela wraz z dziećmi dotrzymwała mi w kuchni towarzystwa. Przetrzęsawszy zawartość swej okazałych rozmiarów aktówki wyjęła parę paczek, z których po jednej wręczyła Rowanowi i Violet, tej ostatniej mówiąc:

— Nie jest ozdobnie zapakowana, bo po prostu nie miałam na to czasu, Vi. — A kiedy dziewczynka rzuciła jej pytające spojrzenie swych ogromnych oczu, dodała: — Tak, wiem, że chciałaś tego okropnego plastikowego kuca, ale prawdę powiedziawszy nie miałam siły uganiać się po Regent Street w poszukiwaniu jakiejś przereklamowanej zabawki... Zresztą bawiłabyś się nim przez góra dwa dni, wiesz o tym. No więc jak kupowałam Rowiemu model, żeby mu nie było smutno, kiedy ty będziesz dostawać swój prezent urodzinowy, pomyślałam sobie, że może i ty zainteresujesz się majsterkowaniem... A gdyby okazało się to dla ciebie za trudne, zawsze możesz poprosić brata o pomoc, prawda, Rowie? Tobie to przecież świetnie idzie.

Violet rozrywała opakowanie z promiennym uśmiechem na twarzy, lecz skrzywiła się, kiedy zobaczyła zawartość. Mimo to podbiegła do matki, wdrapała się jej na kolana i ukrywszy buzię w obfitym biuście, stłumionym głosem powiedziała:

— Och, mamus, dziękuję! Angela się roześmiała.

— Wiedziałam, że ci się spodoba. A teraz bądź już grzeczną dziewczynką i idź do salonu, żeby mogła w spokoju napić się kawy. Potem może opowiem ci historyjkę albo się pobawimy, a ty zdasz mi relację z tego, co ostatnio się u ciebie działo...

Violet nie dała się prosić.

— Helen zabrała nas do... — zaczęła.

— Jedna z koleżanek Vi porzygała się na przyjęciu urodzinowym — wpadła siostrze w słowo Lily, która cały czas stała w drzwiach kuchni. — Zjadła za dużo cukierków ślazowych — wyjaśniła.

— Tak — Rowan poczuł się w obowiązku dodać szczegóły — rzygowiny były na całej podłodze i Helen musiała wszystko wyczyścić, zanim Tygrys się dobrał...

— Chwała Bogu, że mnie tu nie było! — Angela wydała westchnienie ulgi. — To musiał być koszmar. No, zmykajcie już do salonu składać swoje modele.

Rowan zaprotestował.

— Ale modele robi się w kuchni. W salonie są dywany, a my musimy używać kleju.

— W takim razie posklejacie je później. W telewizji leci teraz na pewno jakiś program edukacyjny — poddała kolejną sugestię, byle tylko pozbyć się dzieci, i żeby wydać się dobrą matką, upomniała: — Pamiętajcie chyba, że nie wolno wam oglądać nic innego, co? — Violet i Rowan posłusznie wyszli z kuchni, zabierając pudełka otrzymane od matki, ale Lily nadal stała w progu. Angela powiedziała do niej: — Tobie nic nie przywiozłam, bo przecież jesteś już za duża na prezenty.

— Jasne. Nic się nie stało — wzruszywszy ramionami Lily powlokła się za dwójką młodszego rodzeństwa.

Chwilę potem w salonie rozległ się trzask broni maszynowej, zastąpiony zaraz podnieconym głosem komentatora sportowego, który urwał w pół słowa, kiedy któreś z dzieci przełączyło kanał na wiadomości. Prezenterkę zagłuszyły krzyki towarzyszące walce o pilota, którą zdaje się jak zwykle wygrała Lily.

— Prawda, że są wspaniali? — zagadnęła mnie Angela.

— Tacy pełni życia i pomysłów. A ty masz dzieci, Helen? — Nie zdążyłam odpowiedzieć na żadne z pytań, gdyż Angela już kontynuowała swój monolog: — Zresztą to nieważne. Obawiam się, że przyjęcie Vi okazało się katastrofą, i tym bardziej się cieszę, że mnie ominęła ta wątpliwa przyjemność. Najwyższy czas, żeby Daniel zaczął wywiązywać się z roli ojca... — rozejrzała się po kuchni. — Czy przez przypadek masz tu gdzieś śmietankę? — a kiedy pokręciłam głową, zarządziła: — W takim razie poproszę z mlekiem i bez cukru. Mam nadzieję, że nie zrobiłaś jakiejś lury, co?

Podając jej filiżankę według instrukcji, powiedziałam:

— Przyjęcie się udało. Daniel zaaranżował piosenkorię i dzieciaki były zachwycone.

Angela wydeła wargi i zacmokała.

— Tak, założę się, że czuł się w swoim żywiole. Uwielbia się popisować. No a kiedy on świetnie się bawił, ja pracowałam jak dziki osioł do drugiej nad ranem...

— Czym się zajmujesz? — spytałam uprzejmie.

— Daniel nic ci nie mówił? — zrobiła obrażoną minę. — Ale z niego łajdak: myśli tylko o swojej karierze, jak typowy samiec. Od samego początku kopał pode mną dołki i nawet teraz nie potrafi przyznać, że to co robię, jest naprawdę ważne.

— A co takiego robisz?

— Z wykształcenia jestem psychoterapeutką — urwała i upiła łyk kawy, po czym skinęła głową z aprobatą. — Mmmm, jest dokładnie taka, jaką lubię — pochwaliła mnie i obdarzyła wspaiałomyślnym uśmiechem, pod którym można się było roztopić.

— Wciąż mam paru klientów, głównie takich, którzy wymagali dłuższej terapii (pracuję z nimi nad uzależnieniami), ale nieraz dają mi w kość, zwłaszcza że muszę sporo podróżować po Stanach. Widzisz, od jakiegoś czasu staram się skoncentrować na moich warsztatach na tematy kobiece.

— Tak?

— No, weźmy choćby ten, który odbyłam w ubiegłym tygodniu, zresztą jest najpopularniejszy. Zatyłowałam go: „Rozbroić winę”.

— Rany, a co to znaczy?

— Ni mniej, ni więcej, tylko to właśnie: rozbroić winę. Chodzi o to, że większość kobiet wlecze za sobą bagaż winy, której w ogóle nie powinny odczuwać. To uniemożliwia im normalne funkcyjono-

wanie, wiele z nich jest kalekami emocjonalnymi. Podczas moich warsztatów rozpakowujemy ten baż, a potem go wyrzucamy, tak żeby moje pacjentki mogły się wreszcie poczuć z siebie zadowolone i żeby przestały odczuwać wyrzuty sumienia z powodu wybranej drogi życiowej.

— To znaczy, że pomagasz ludziom wyzbyć się poczucia winy?

Angela niecierpliwie pokręciła głową.

— Każda kobieta musi się sama uporać ze swoją winą. Ja tylko wskazuję im drogę do samospelnienia i pomagam usunąć przeszkody.

— A z jakich powodów kobiety najczęściej czują się winne?

— Sama to powinnaś wiedzieć, Helen — obdarzyła mnie spojrzeniem swych wielkich szarozielonych i pełnych wyrazu oczu. Nie miała oporów przed patrzeniem komuś prosto w oczy, lecz ja poczułam się nagle skrępowana. Poczułam, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Czy to możliwe, że Angela (Angel, czyli anioł, jak się sama nazwała) posiadała zdolność przejrzenia kogoś na wylot? Upiła kolejny łyk kawy i ciągnęła: — Przecież jesteś kobietą. Wiesz, jak łatwo w nas wzbudzić poczucie winy, powód jest bez znaczenia. Można się czuć winną, bo się odeszło od męża albo uważa się własną karierę za ważniejszą od jego pracy czy też przedkłada się własne szczęście nad szczęście dzieci... Tego typu sprawy. Zdziwiłabyś się, jak bardzo moje warsztaty są popularne. Tydzień temu miałam spotkanie z moimi starymi pacjentkami, które co roku wymagają sesji odświeżającej ich pamięć, w przeciwnym razie dałyby się na powrót wciągnąć w bagno wyrzutów sumienia i działań wbrew sobie.

— Jak na przykład?

— Och, dałyby się spętać narzuconym obowiązkom, zaczęłyby znów robić wszystko dla innych, a nic dla siebie i generalnie tłamsiłyby swoje ja i swoją kreatywność.

Warsztaty na temat winy naprawdę mnie zaciekały.

— A czy mężczyźni także biorą udział w twoich warsztatach? — spytałam.

— Ależ skąd! — zaprzeczyła żywo. — Pamiętam, że paru się zapisało na pierwsze warsztaty, ale musiałam ich zniechęcić.

— A to czemu? Czyżby mężczyźni nie cierpieli z powodu winy?

— Nie, tego im nie mogę odmówić, ale z moich badań wynika, że sami sobie na to zasłużyli.

Niby dlaczego miałabym im pomagać?

— Ale przecież...

— Posłuchaj, Helen — przerwała mi. — Prawda jest taka, że mam w nosie męskie problemy. Im zawsze było łatwiej. Mnie interesują kobiety, takie jak ty i ja — uśmiechnęła się do mnie ciepło. — No, weź jako przykład mnie i Violet... Pewnie już zauważyłaś, że nie jesteśmy zbyt blisko. Oczywiście to nie jej wina, przynajmniej nie wyłącznie, chociaż musisz przyznać, że wyrosła z niej mała terrorystka.

Rzuciłam niespokojne spojrzenie w stronę drzwi; Angela nie zadała sobie trudu ściszenia głosu, kiedy wyrażała opinię o swym najmłodszym dziecku, a ja nie chciałam, żeby Violet usłyszała to, co mówi o niej matka. Na szczęście Vi siedziała przykuta do telewizora.

— To prawda, że chwilami wydaje się nadpobudliwa — powiedziałam ostrożnie.

— Sama widzisz. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę jej historię. Między mną i Danielem przestało się układać, jeszcze zanim Vi została poczęta: był zazdrosny o moją karierę i wolałby mnie widzieć jako gosposię, a ja po prostu nie byłam do tego stworzona. I nie chciałam mieć więcej dzieci. Violet poczęła się przypadkiem, rozważałam nawet aborcję, ale nie widziałam powodu, dla którego miałam ułatwiać Danielowi życie, toteż donosiłam ciążę. Przez pierwsze dwa lata jej życia ja i Daniel nieustannie ze sobą walczyliśmy. Z pewnością jeszcze się nie zorientowałaś, ale z niego potrafi być niezły potwór, kiedy coś idzie nie po jego myśli. Wreszcie któregoś dnia miarka się przebrała, nie mogłam więcej znieść takiego traktowania i postanowiłam go zostawić. Teraz już wiesz, dlaczego ja i Violet nie zdążyłyśmy się polubić. Muszę przyznać, że z początku źle się z tym czułam, w końcu jestem jej matką i niczym się nie różnię od innych kobiet. Udało mi się jednak nad sobą popracować. Nawiasem mówiąc to właśnie wtedy stworzyłam swój słynny Program Czterech Kroków, który stał się integralną częścią warsztatów. Odkąd pozbyłam się garbu winy, wiedzie mi się w życiu znacznie lepiej.

— Jakie cztery kroki? — nie zrozumiałam.

— Och, to taki skrót myślowy. W-I-N-A. W: weź się w garść; I: ilekroć poczujesz się winna, powiedz sobie, że jesteś samodzielną, niezależną jednostką mającą prawo do szczęścia; N: nie pozwól innym, a zwłaszcza mężczyznom, kontrolować swego życia; i wreszcie A: absolutnie nie rezygnuj z raz obranej drogi.

— A co to wszystko ma wspólnego z Violet? — zdziwiłam się.

— Jak to? — Angela wydawała się oburzona, że nie dostrzegam oczywistego jej zdaniem związku.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego masz kłopoty z nawiązaniem bliskiego kontaktu z własną córką.

— Cóż, jestem pewna, że to dla niej trudne, ale musi się z tym uporać sama, podobnie jak my wszystkie. Szanuję ją jako odrębną osobę i wierzę, że sobie poradzi, a przy tym nie czuję wobec niej wyrzutów sumienia, dzięki czemu uniknęła wielu ciężkich chwil, jakie przeżywają dzieci bardziej sfrustrowanych matek. Poczucie winy to przeżytek — zakończyła wykład.

— Zatem twoim zdaniem nikt nigdy nie powinien czuć się winny?

— Właśnie tak, Helen, pojętna z ciebie uczennica. — Spojrzała na mnie z uznaniem i obdarzyła zachęcającym uśmiechem, jakbym właśnie zdała test kwalifikujący mnie na jeden z jej warsztatów. —

Moim zdaniem wina to absolutnie negatywne uczucie, a ja zwyczajnie nie mam czasu na negatywne uczucia.

Powinam była dać spokój i zakończyć tę rozmowę, ale tak nie postąpiłam. Zamiast tego zadałam następne pytanie.

— A co z sytuacją, kiedy ktoś zrobił coś bardzo złego? Czy wtedy także nie powinien zawracać sobie głowy wyrzutami sumienia?

— Nie — powiedziała stanowczo. — Powinien spojrzeć na problem z dystansu. W naszym społeczeństwie kobieta, która porzuci własne dzieci, uważana jest za potwora. Moim zdaniem potrafi konsekwentnie dążyć do samospełnienia i daje dobry przykład innym kobietom, w tym własnym córkom. Jak więc widzisz, wszystko zależy od punktu widzenia. O tym właśnie mówi drugi krok mojego programu...

— Ale co z kimś, kto zabił? — wyrzuciłam z siebie, nim zdążyłam pomyśleć.

— Zabił? — powtórzyła zszokowana Angela. Zaraz jednak udzieliła odpowiedzi zgodnej z jej programem. — Jeśli zabójczynią była kobieta, to z pewnością był to wypadek albo efekt zespołu napięcia przedmiesiączkowego. Mam całą grupę kobiet cierpiących z powodu rzekomo złych czynów, jakich się dopuściły w okresie przedmiesiączkowym.

— A jeśli to nie był wypadek? Żadne tam napięcie przedmiesiączkowe? Tylko zwykłe morderstwo z zimną krwią?

Angela patrzyła na mnie ze zdumieniem w oczach, wreszcie się otrząsnęła i wzruszywszy ramionami, oznajmiła:

— W takim przypadku to pewnie przestępstwo i pole do popisu dla sądu, nie mnie o tym wyrokować. Niemniej gdyby kobieta przyznająca się do morderstwa zjawiła się na moich warsztatach, poleciłabym jej swój Program Czterech Kroków tak czy inaczej, gdyż muszę dbać o dobro pacjenta przede wszystkim. A poza tym... — urwała i uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo — za pieniądze, jakie płacą moje pacjentki, muszę być wobec nich lojalna. Moim zadaniem jest sprawić, by kobiety poczuły się lepiej bez względu na to, co zrobiły... Helen, czy zostało jeszcze trochę kawy?

Wróciwszy do swojego pokoju zdjęłam powłoczki z pościeli i złożyłam je w równą kostkę, po czym zostało mi niewiele do zrobienia, gdyż praktycznie nie miałam bagażu, jeśli nie liczyć szczoteczki do zębów, którą musiałam kupić w sklepie w Burdocku.

Kiedy później zeszłam do holu, Angela siedziała z dziećmi w salonie, skąd wciąż dochodził dźwięk przyciszonego teraz telewizora. Zatrzymałam się w drzwiach i ogarnęłam wzrokiem następującą scenę:

Rowan stał przy matce i pokazywał jej prawie ukończony model jachtu.

— Pomaluję go jutro, kiedy klej wyschnie — powiedział.

— Jest wspaniały — pochwaliła syna Angela. — Świetnie się spisałeś.

Violet stała nieopodal walcząc z pudełkiem kryjącym jej prezent, które przy każdym ruchu grzechotało, a gdy wreszcie dziewczynce udało się uchylić wieczko, całość wyprysnęła jej z rąk i rozsypała się po podłodze.

— No i popatrz, co zrobiłaś! — Angela nie omieszkała skarcić najmłodszej córki. — Ależ z ciebie niezdara!

— Mam to gdzieś! — wybuchnęła Vi. — I tak wcale nie chciałam się tym bawić...

— Głupia geś! — pogardliwie prychnął Rowan.

— Chrum, chrum — przedrzeźniała siostrę Lily.

— Już dobrze — zareagowałam automatycznie, wkraczając do salonu. Kucnęłam i zaczęłam zbierać z podłogi rozsypane miniaturowe części plastikowego jachtu. — Zaraz włożymy je z powrotem do pudełka...

Violet przyglądała mi się obojętnie, nie ruszywszy się z miejsca. Nagle jakby się ocknęła, zamrugała oczyma i posłała Lily przebiegłe spojrzenie.

— A my byliśmy dzisiaj w barze — oznajmiła. — To był pomysł Lily. Naopowiadała Helen, że możemy tam pojechać.

Angela raptownie odwróciła się w stronę najstarszej córki.

— Czy to prawda, Lily? — spytała.

— Eee — zaczęła dziewczynka. — To znaczy pojechaliśmy tam i w ogóle, ale...

Matka nie dała jej skończyć.

— Lily, ile razy wam mówiłam, jakie jest moje zdanie o takich miejscach?! Przecież wiesz, że nie wolno wam tam jadać! Potrzebujecie zdrowej żywności, a nie trocin, jakie tam serwują. — Angela przeistoczyła się w mgnieniu oka. Wcześniej poraziła mnie swym uśmiechem, teraz zmroziła chłodem. Nawet Lily wyraźnie się trzęsła. — Żadnych hamburgerów, żadnych ociekających starym tłuszczem frytek!! To wszystko przez tę Carłę, zawsze mówiłam, że ma na was fatalny wpływ. Nie znam nikogo, kto by tak jak ona uwielbiał barachło: bary szybkiej obsługi i opery mydlane!... — Skierowała swą przemowę do mnie: — Nawet nie wiesz, Helen, ile mnie kosztowało wyrwanie dzieci spod jej zgubnego wpływu. Wyobraź sobie, że tylko dlatego, że jej siostra występuje od czasu do czasu w telewizji, Carla uważała, że moje dzieci nie powinny odchodzić od telewizora! Ja pozwalałam im oglądać tylko programy edukacyjne albo przyzwoite bajki dla dzieci, ale ona za nic miała moje zdanie. A jeśli chodzi o bary, to można by pomyśleć, że była od nich uzależniona albo co gorsza, miała w nich udziały...

— Nie rozumiem, czemu wplątujesz w to Carłę — zaoponowałam. — Przecież to ja zabrałam je tam i to mnie powinnaś winić, jeżeli już kogoś musisz...

— Wcale nie winię Carli, tylko Lily. No właśnie, moja panno — skierowała groźne spojrzenie w jej stronę — jestem bardzo rozczarowana twoim zachowaniem. Bardzo, ale to bardzo — powtórzyła, marszcząc brwi. — Myślałam, czyby ciebie i Rowiego nie zabrać do Londynu na czas ferii, ale teraz

widzę, że na to nie zasługujecie. Spędzicie więc ferie z Violet u babci... Atrakcje stolicy tylko by się zmarnowały na dziewczynkę, która nie marzy o niczym innym, jak tylko żeby się szwendać po większych barach.

Niesprawiedliwość Angeli mną wstrząsnęła.

— Przystań się wyżywać na dziecku — powiedziałam. — To ja ich tam zabrałam.

— Ale Lily zna zasady i powinna była cię od tego pomysłu odwieść — nie ustępowała Angela.

— Być może uznała, że byłoby niegrzecznie odrzucić moje zaproszenie — broniłam dziewczynki.

— No, dobrze — ostentacyjnie westchnęła Angela. — Ten jeden raz mogę jej chyba wybaczyć...

Żal mi się zrobiło Lily, która najpierw obsztorcowana i upokorzona, teraz uśmiechnęła się przymilnie do matki. Angela nie miała zamiaru zrezygnować z wykładu na temat szkodliwości taniego jedzenia i telewizyjnej papki, toteż uznałam, że na mnie już czas. Wyrzałam po raz ostatni przez okno, żeby pożegnać wzrokiem zalew, skrzący się w promieniach popołudniowego słońca, po czym cichutko opuściłam salon, nie powiedziawszy nikomu „do widzenia”. Uznałam, że tak będzie najlepiej, jako że i tak nie miałam ich już nigdy więcej zobaczyć.

Idąc do swego samochodu minęłam na podjeździe sportowy wóz Angeli — istne cacko o kolorze w kolorze niebieski metalik, myśląc przy tym, że jego właścicielka musi nieźle zarabiać na warsztatach „odwiniających”, ale bynajmniej nie zasługuje na nadany samej sobie przydomek — w świetle tego jak się zachowała wobec własnych dzieci, z pewnością nie była aniołem ani nie miała anielskiej cierpliwości.

Zasiadłam za kierownicą i niemal automatycznie wrzuciłam lewy kierunkowskaz, żeby udać się w drogę powrotną do Londynu, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i skręciłam w prawo, w stronę wioski i morza. Zamieszanie spowodowane przyjazdem Angeli sprawiło, że całkowicie wyleciała mi z głowy płaczliwa wiadomość na sekretarce, którą zostawiła Janet.

Zastałam ją w progu domu; właśnie wychodziła, kiedy tam podjechałam. Już wysiadając zauważyłam, jak bardzo jest blada i wstrząśnięta.

— Och, Janet — powiedziałam. — Tak mi przykro. Lily przekazała mi twoją wiadomość o Maluchu. Co się stało?

— Nie wiem dokładnie — odparła ze smutkiem w głosie.

— Paul mi to próbował wyjaśnić, ale wiesz, jak to jest z medycznym żargonem, można się pogubić w tych wszystkich mądrych słowach. Nigdy wcześniej o niczym podobnym nie słyszałam, a nawet gdybym słyszała, to i tak niewiele bym zrozumiała. A zresztą teraz potrafię myśleć tylko o Maluchu... — Na twarzy wciąż miała ślady łez, a zawsze schludny koczek obsunął się jej z czubka głowy na bok, gdyż strapiona nie zauważyła, że parę szpilek się wymusnęło. — Najgorsze jest to, że wszystko

się stało tak nieoczekiwanie. Jeszcze w ubiegłym tygodniu był zdrow jak ryba, a teraz... Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Biedny Paul też strasznie to przeżył, może nawet bardziej niż ja, ale powiedział, że może tak będzie lepiej... Okazało się, że Maluch cierpiał bardziej, niż nam się wydawało, i raczej nie miał szans na wydobrzenie, a tylko by mu się pogarszało. Chciałam przy tym być, żeby go trzymać i pocieszać, kiedy Paul... — urwała i zaszlochala gwałtownie, nie próbując już powstrzymać łez. Odchrząknęła i podjęła: — Paul powiedział mi jednak, że Maluch już jest pod wpływem jakiegoś środka, który przestanie działać, nim tam dojadę, a wtedy wyczuje mój stres i wszystko stanie się jeszcze trudniejsze, więc lepiej zrobić to od razu... No i teraz jadę, żeby odebrać jego... żeby zabrać jego... to znaczy, żeby go przywieźć do domu.

— Chcesz mi powiedzieć, że Paul musiał uspić Malucha? — spytałam.

— Tak. Właśnie tak: musiał. Powiedział, że to dla jego dobra, a przecież Paul się na tym zna. Chodzi mi o to, że jest weterynarzem, a ja mu ufam. Weterynarz nie skrzywdziłby zwierzaka, prawda? Poza tym Paul jest taki wrażliwy...

— Tak, oczywiście — bąknęłam, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Ojej, gdzie są moje kluczyki? — wykrzyknęła zdenerwowana Janet. — Pewnie zostawiłam je na stole albo... Po prostu nie potrafię myśleć, sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Jesteś w szoku, Janet. Każdy by tak zareagował.

— Ojej — powtórzyła Janet. Uderzyłam się ręką w czoło.

— Że też o tym wcześniej nie pomyślałam! Zawiozę cię do Paula, nie mogę pozwolić, byś przechodziła przez coś takiego sama.

— Och nie, nie przejmuj się mną, proszę. Na pewno masz ważniejsze sprawy do załatwienia.

— Nic podobnego! — zaprotestowałam. — Janet, musisz mi pozwolić się tam podwieźć, inaczej będę się o ciebie martwić.

— No, jeśli jesteś pewna, że nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu.

— Ależ skąd, najmniejszego — zapewniłam ją.

— W takim razie... dobrze. Wiesz, Paul zaproponował, żeby poddać Malucha kremacji. Powiedział, że mogłabym rozsypać jego prochy na plaży, ale sama nie wiem... Wolę go przywieźć do domu, jeszcze ten jeden, ostatni raz, a potem...

— Spojrzała na mnie niepewnie. — Helen, naprawdę nie sprawi ci to kłopotu?

— Żadnego — otworzyłam drzwi pasażera i obeszałam samochód dookoła. Sadowiąc się za kierownicą, powiedziałam:

— Musisz być zdruzgotana.

— Cóż, tak, rzeczywiście tak właśnie się czuję... — odparła Janet mocując się z zapięciem pasa bezpieczeństwa. — Och, Carla, wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

Zapalałam właśnie stacyjkę i nie od razu wychwyciłam błąd. Kiedy dotarło do mnie, co powiedziała Janet, przeszły mnie ciarki i odwróciłam się do niej gwałtownie.

— O mój Boże — wymamrotała zmieszana Janet. — To znaczy Helen. Ale ze mnie gapa. Zupełnie nie wiem czemu... Przepraszam.

Wrzuciłam bieg i zwolniłam sprzęgło. Jechałam cały czas powoli, uważnie słuchając wskazówek Janet, jak dojechać do domu Paula, i rozkoszując się każdą chwilą, którą przeżyłaby Carla, gdyby... Uśmiechałam się w duchu, choć na zewnątrz przybrałam wyraz uroczystej powagi.

Radowałam się, że pustka powstała po śmierci Carli po raz pierwszy została zapełniona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mężczyzna ubrany w czarne wojskowe spodnie i sportowe buty wśliznął się do sali i skradał się po trzeszczących deskach. Za nim posuwał się ostrożnie jego towarzysz, starszy i tęższy, z małym wąsikiem. Obaj nie spuszczaali wzroku z Leonie Fanshaw. Ścięte na krótko włosy, mało twarzowy rozciągnięty dres, bose nogi — wszystko to sprawiło, że dziś nie pomyliłabym jej z Carłą, choć podobieństwo nadal było uderzające. W oczach miała ten charakterystyczny dla siostry niepokój. Trzymając w ręku wielką latarkę, zrobiła parę kroków do przodu, po czym się zawahała i odwróciwszy postąpiła tam, skąd przysła. Rozglądała się przy tym na boki, jakby czegoś szukała.

Pierwszy mężczyzna odezwał się głuchym głosem:

— Ukryj się gdzieś, doktorze, i bacznie ją obserwuj. Drugi zaś zapytał:

— Skąd wzięła świecę?

— Och, miała ją przy łóżku. Zawsze musi mieć pod ręką światło. Tak rozkazała.

Dobrze znałam te słowa, pamiętałam je jeszcze ze szkoły.

— Oczy ma jednak otwarte...

— Otwarte, ale nic nimi nie widzi.

Oglądając sztukę doznałam swego rodzaju olśnienia, i to nie tylko dlatego, że wypowiedane kwestie znałam na pamięć. Odtwarzająca lady Makbet Leonie, tak podobna do swej siostry, a zarazem od niej inna, przypomniała mi Carłę i jej nocne strachy w Grecji. I było jeszcze coś. Zamglony wzrok aktorki, błędne spojrzenie lunatyczki, gwarantujące, że ranek przyniesie zapomnienie. Czyżbym tak właśnie wyglądała wtedy, gdy zaatakowałam Carłę na szosie? Czyżbym miała otwarte, lecz niewidzące oczy? Przeszedł mnie dreszcz.

Wyjazd do domu Finchów nie przyniósł mi ukojenia, wręcz przeciwnie: zapragnęłam dowiedzieć się o Carli więcej. Odsunęłam się od własnej rodziny, by popaść w obsesję na punkcie krewnych Carli. Krótkie spotkanie z Danielem, zamiast wyjaśnić tajemnicę ich małżeństwa, sprowokowało tylko nowe pytania — mnie wydał się on całkiem miły, ale Janet powiedziała przecież, że Carla była w

związku z nim nieszczęśliwa, a Paul sugerował jeszcze gorsze rzeczy. Sam Daniel prawie nie wspominał o zmarłej żonie, w domu nie widziałam żadnych po niej pamiątek, zdjęć czy jakichkolwiek dowodów, że kiedykolwiek tam w ogóle mieszkała. Nie dawało mi spokoju wrażenie, któremu nie mogłam się oprzeć w domku Janet: to tam najsilniej odczuwałam nieobecność Carli.

Podczas snu i na jawie bezustannie o niej rozmyślałam. Tęskniłam za nią, pragnęłam z nią porozmawiać, wystarczyło mi usłyszeć jej imię, by równocześnie przejmowała mnie radość i smutek. Postanowiwszy dowiedzieć się więcej, skontaktowałam się z jej siostrą i umówiliśmy się na spotkanie w Salisbury, gdzie Leonie właśnie odbywała próby.

To ciekawe, że o ile dawniej zawsze uważałam lady Makbet za czarny charakter i cieszył mnie jej upadek i śmierć — wreszcie dostała, na co zasłużyła! — tak teraz, obserwując Leonie miotającą się po pustej sali, czułam tylko dojmujący żal.

— Przeklęta plamo, precz! precz, powiadam! — W szkole zawsze chichotaliśmy recytując ten fragment. Teraz słowa szkockiej królowej nie wywołały u mnie najłżejszego uśmiechu, za to zaciążyły mi kamieniem na piersi. — Ciągłe odór krwi; namaścić tę drobną dłoń wszystkimi wonnościami Arabii, a wciąż będzie ją czuć. — Równocześnie z aktorką przyjrzałam się swoim dłoniom, unosząc je do twarzy. — Och, och, och... — Leonie zawyła nieludzkim głosem, odrzuciła głowę do tyłu i rozpostarła ramiona dając wyraz przemożnej rozpacz, podczas gdy dwaj mężczyźni stojący w rogu przyglądali się jej z diabelską fascynacją. Miałam dość. Wstałam, żeby wyjść i poczekać na Leonie na zewnątrz, kiedy jej zwierzęcy okrzyk cierpienia przeszedł w przekleństwo zgoła nieszekspirowskie: — Cholera! Znów ta przeklęta latarka! — moment wcześniej rozległ się głuchy łoskot na deskach podłogi. — Ciekawe, jak mam udawać, że myję ręce, i trzymać to cholerstwo? Ze świeczką byłoby mi znacznie łatwiej. Wiem, Clark, że to ma być przedstawienie uwspółcześnione, ale ludzie wciąż używają świeczek, prawda? A może zabrakło ich w twoim sklepie, co?

Niski pękaty człowieczek poderwał się z krzesła ustawionego pod ścianą i zawołał:

— Za pierwszym razem świetnie ci poszło, Leonie!

— Wcale nie. Latarka jest za ciężka, Clark. Sam zobacz. Starszy aktor zaproponował kompromis.

— To może by wyjąć baterie? Wtedy powinna być lżejsza.

— Też mi rada! — prychnęła Leonie. — Bez baterii nie wydobędę z niej za wiele światła, prawda?

— No to może by użyć takiej ultracienkiej latarki? — włączył się drugi aktor. — Wiecie, no, laserowej...

— Malone życzył sobie takiej właśnie latarki — poirytowany reżyser machnął wręczonym mu przez Leonie urządzeniem. — Na tym to polega: latarka jest ciężka, gdyż symbolizuje wagę światła.

Ma być ciężarem dla lady Makbet podobnie jak oświecenie i wiedza o sobie samej, które doprowadzają ją w końcu do szaleństwa...

— Teraz już wiem, czemu ją bez przerwy upuszczam — poważnym tonem powiedziała Leonie.

— Po prostu nie mogę znieść tej całej nagłej iluminacji.

Podeszła do reżyserskiego krzesła i usiadłszy, zaczęła się przyglądać podeszwom stóp.

Trzej mężczyźni spoglądali na nią niespokojnie.

— Tylko nie kolejna drzazga, Lee! — wystraszył się Clark.

— Dwie, jeśli chodzi o ścisłość — padła burkliwa odpowiedź.

— W takim razie powinnaś nosić buty.

— Nie ma mowy — zaprotestowała żywo Leonie. — Stopy są kluczem do tej roli! Niby jak mam się wczuć w lunaticzkę, mając na nogach martensy?

— Szpilki? — zaproponował starszy aktor.

— Kapie? — podsunął młodszy.

— Och, dajcie spokój! — wykrzyknęła Leonie, obdarzając mężczyzn pogardliwym spojrzeniem. — Może jeszcze powiecie, żebym założyła odblaskowe sandały albo papucie z pomponem, co? Ciekawe, które waszym zdaniem bardziej by pasowały szkockiej królowej z czasów średniowiecza?

Wysoki aktor potarł nerwowo dłoń.

— Jedne i drugie, skarbie, ale jeśli mógłbym wybierać, doradziłbym ci papucie...

Napięcie wyraźnie zelżało. Leonie wybuchnęła śmiechem, który na ułamek sekundy ożywił w mojej pamięci Carlę, i wszyscy się rozluźnili. Reżyser nie miał innego wyjścia jak tylko się poddać.

— Przerwa na lunch — ogłosił. — Ciąg dalszy próby po południu. O drugiej mam godzinne spotkanie z Waźniakiem, więc możecie być z powrotem dopiero na trzecią.

— Super — ucieszył się wysoki aktor i sięgnął po paczkę papierosów. — To co, idziemy do pubu?

— Zaraz jak tylko wydobędę sobie z pięty tę belkę — jęknęła Leonie.

— Pomóc ci, skarbie? — zaoferował Clark.

— Nie, dziękuję — uśmiechnęła się sardonicznie. — Ostatnim razem, jak mi pomagałeś, straciłam niemal pół stopy i wiadro krwi.

— O, bo to była wyjątkowo wielka drzazga — odparł z godnością.

— Tak czy inaczej poradzę sobie sama — zapewniła go Leonie.

Zabrawszy kurtki i płaszcze, reżyser i obaj aktorzy opuścili salę, a za nimi wysypała się grupka kobiet i mężczyzn, także aktorów, jak przypuszczałam, którzy w milczeniu oglądali próbę, a potem z zaciekawieniem śledzili wymianę zdań. Leonie została sama, z ponurą miną wpatrując się w zranioną stopę.

Podeszłam do niej, żeby się przywitać.

— Dzień dobry. Jestem Helen North.

— Kto? — podniosła na mnie wzrok, a ja dojrzałam w niej Carlę i jednocześnie obcą kobietę.

— Helen North— powtórzyłam. — Dzwoniłam do pani wczoraj wieczorem i umówiliśmy się na lunch.

— A, Helen, oczywiście, już sobie przypominam. — Potrząsnęła głową. — Przez te próby wszystko inne umyka mi z pamięci. Przyjechałaś, zdaje się, aż z Londynu? — Leonie zarzuciła oficjalne formy, więc się do niej dostosowałam.

— Owszem — przytaknęłam. — Chciałabym z tobą porozmawiać o Carli.

Kiedy usłyszała imię siostry, przez twarz przebiegł jej skurcz — gniewu albo bólu, jednakże szybko nad sobą zapanowała.

— Tak, wiem. Masz jakiś konkretny powód?

Rozmawiając ze mną patrzyła na wykręconą stopę i uciskała ją raz po raz, choć chyba zaniechała operacji wyciągania drzazg.

— W pewnym sensie — odparłam. Jadąc z Londynu do Salisbury biłam się z myślami, jak rozegrać rozmowę z Leonie Fanshaw. Teraz powiedziałam: — Znałam Carlę zaledwie dziesięć dni. Po jej śmierci poczułam, że straciłam bliską przyjaciółkę, o której jednak niewiele wiedziałam. Naturalnie zrozumiałam, jeśli nie zechcesz ze mną o niej porozmawiać, ale...

— Dlaczego uważasz, że mogę nie zechcieć o niej rozmawiać? — zdziwiła się Leonie.

— Bo może ci to sprawić przykrość i... Nie dała mi skończyć.

— Jasne, że mówienie o niej sprawia mi przykrość — rzuciła nagle zezłoszczona — ale to nie powód, żeby przestać ją wspominać! Czemu nikt nie potrafi tego pojąć?!

— Przepraszam, nie chcia...

— Nie, nie — zreflektowała się Leonie. — To ja przepraszam. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Na ogół nikomu nie odgryzam głowy przy pierwszym spotkaniu. To wszystko przez te próby — tłumaczyła się.

— Paskudna rola — zauważyłam.

— Trafiłaś w sedno. Zazwyczaj grywam lżejszy repertuar, ale jakiś czas temu doszłam do wniosku, że poważna rola nie zaszkodzi w karierze, tyle że... — urwała na chwilę. — Nawet nie wiesz, Helen, jaka to mroczna postać. Zresztą cała sztuka unurzana jest w krwi i trupach i czasem wolałabym się znaleźć na planie „Snu nocy letniej” albo „Dźwięków muzyki”, prawdę mówiąc gdziekolwiek, byleby można się trochę pośmiać.

— Cóż, faktycznie „Makbet” nie jest zbyt śmieszny...

— Leonie się wzdrygnęła. — Ojej, przepraszam — złapałam się za usta. — Ale ze mnie gapa. Przecież nie wolno wypowiadać tytułu sztuki przed premierą.

Wzruszyła ramionami.

— Nie przejmuj się. Pech nas nie opuszcza od samego początku, a dopiero zaczęliśmy trzeci tydzień prób. Do tego te cholerne drzazgi! — poskarżyła się żałośnie. — Pewnie skończę z posocznicą albo gangreną...

— Chcesz, żebym na to rzuciła okiem? — wskazałam jej stopę.

— A co, czyżbyś była pielęgniarką?

— Niezupełnie, ale znam się na drzazgach...

— W porządku. Pod warunkiem że potem dasz się zaprosić na lunch. Bo chyba nie przyjechałaś tu aż z Londynu po to tylko, żeby zrobić mi pedikiur?

Kucnęłam przy niej i przyjrzałam się podeszwie jej lewej, niezbyt czystej stopy, zauważając przy tym, że Leonie jest niezwykle drobnej budowy ciała.

— O, już je widzę — powiedziałam — ale niewiele mogę zrobić bez środka odkażającego i czegoś ostrego. Jest tu w pobliżu apteka? — spytałam, podnosząc wzrok na Leonie.

— Wszystko co trzeba mam w torbie — poklepała leżący obok skórzany wór. — Drzazgi są tutaj na porządku dziennym, więc się zabezpieczyłam... Pójdziemy potem do pubu dołączyć do tamtych?

— Prawdę powiedziawszy, wolałabym porozmawiać w cztery oczy.

— Nie ma sprawy. — Zajrzała do torby i wyciągnęła z niej kolejno: tubkę ze środkiem odkażającym, igłę wyjałowioną nad ogniem i waciki kosmetyczne. Wręczywszy mi to wszystko, odchyliła się na krześle i wzdychając teatralnie, dodała: — Skalpel i sączki dla pielęgniarki, narkoza dla pacjentki. Obudź mnie, kiedy będzie po wszystkim.

Był piękny listopadowy dzień, rześki i słoneczny. Kupiliśmy parę kanapek i dwie butelki wody mineralnej, po czym zapakowałyśmy się w mój zaparkowany nieopodal samochód i pojechałyśmy na skraj miasta, gdzie zaczynały się podmokłe łąki. Tam wysiadłyśmy i spacerkiem ruszyłyśmy wzdłuż szerokiego kanału niemal stojącej wody. Od czasu do czasu schodziłyśmy na bok, żeby dać wolne przejście biegaczowi czy rowerzyście, ale na ogół w zasięgu wzroku nie było żywej istoty, jeśli nie liczyć kaczek i łabędzi.

Nie od razu zaczęłyśmy rozmawiać o Carli. Najpierw poruszyłyśmy parę neutralnych tematów, takich jak atrakcje turystyczne Salisbury, ostatnia sztuka wyreżyserowana przez Clarka Cartera czy film, który zeszłego wieczoru obejrzała Leonie. W końcu, po chwili ciszy, odwróciła się do mnie i zapytała:

— Dobrze znałaś moją siostrę?

— Na tym polega mój problem. — I widząc, że nie rozumie, o co mi chodzi, wyjaśniłam: — Znałam ją, ale praktycznie nic o niej nie wiedziałam. Wiesz, co mam na myśli?

Kiwnęła głową.

— To tak jak ja. Carla była moją siostrą, więc oczywiście ją znałam. Dorastałyśmy razem, różnica wieku między nami była niewielka, niecałe dwa lata, a jednak czasem się zastanawiam... — urwała i zaproponowała: — Może usiądziemy tutaj? Pięta mnie trochę boli.

— Ale gangrena się nie wdała? — upewniłam się niczym prawdziwa pielęgniarka.

— Jestem pewna, że nie — uśmiechnęła się do mnie Leonie.

Przysiadłyśmy na jednej z ustawionych wzdłuż kanału ławek, wystawiając twarze do jesiennego słońca. Do brzegu natychmiast podpłynęły kaczki, którym rzuciłam okruchy po mojej kanapce, po czym rozłożyłam ręce dając im do zrozumienia, że to wszystko, co dla nich mam. Pokręciły się jeszcze, kreśląc na wodzie kółka i ósemki, i w końcu odpłynęły rozczarowane.

Leonie podjęła wcześniejszą myśl:

— Czasami myślę, że wcale jej dobrze nie znałam, gdyż byłyśmy ze sobą zbyt blisko. — Odwróciłam się do niej i zobaczyłam, że oczy ma przymknięte, a na rzęsach błyszczą łzy. Milczałam czekając, aż powie coś więcej. — Chodzi mi o to, że kiedy człowiek spotyka kogoś nowego, przyjaciółkę czy przyjaciela, jest świadomy, że nic o nich nie wie, i zadaje sobie trud poznania ich. Tymczasem rodzinstwo zna się prawie od zawsze, brat czy siostra są stałym „elementem wyposażenia” i mało komu chce się ich poznać... Niejednokrotnie nawet się nie jest pewnym, czy się ich lubi. Do dnia, kiedy odejdą. Wtedy boleśnie odkrywa się, jak bardzo cały czas się ich kochało... — Otworzyła nagle oczy i rzuciła mi bystre spojrzenie. — Ale, Helen, przecież nie przyjechałaś tu po to, żeby wysłuchiwać mojego uzalania się. Czego naprawdę chcesz się dowiedzieć? Pokręciłam głową.

— Wystarcza mi, kiedy o niej mówisz. Widzisz, Carla i ja nie mamy wspólnych znajomych. Nie pozostał mi nikt, z kim mogłabym ją wspominać...

— Ale przecież odwiedziłaś Daniela i dzieci.

— Tak, ale oni o niej nie mówią... Spotkałam też Angelę czy Angel, nie mam pojęcia, jak naprawdę brzmi jej imię.

— Naprawdę nazywa się Angela, ale zaczęła używać imienia Angel, kiedy we własnym mniemaniu stała się znana. Carla jej nie znosiła.

— Jest szalenie despotyczna.

— Hmm... Carla mówiła, że Angela chciałaby kontrolować wychowywanie swoich dzieci bez konieczności ich widywania. I że na każdym kroku podważała jej autorytet.

— A Daniel? Czemu się na to godził?

— Och, nie wydaje mi się, żeby wiedział, co naprawdę dzieje się w domu. Bardzo pochłania go praca, a Angela potrafi być uosobieniem słodczy na pokaz. Zresztą od kiedy się rozeszli, nie spędzają wiele czasu razem; dziećmi zajmuje się albo Daniel, albo ona, rzadko kiedy robią to razem. Jednakże Daniel nadal zatrzymuje się w londyńskim domu Angeli. Carla była o to wściekła.

Nie odzywałam się przez chwilę, rozważając, czy mogę zadać następne pytanie.

— Parę osób pytało mnie, czy Carla w ciągu tych dziesięciu dni miała objawy depresji — zaczęłam z wahaniem. — Odniosłam wrażenie, że nie była wcale taka szczęśliwa, jak by się mogło wydawać, zwłaszcza od czasu poronienia...

— Powiedziała ci o tym? — spytała Leonie.

— Nie — pokręciłam głową. — Dowiedziałam się o tym od Janet, która uważa, że chodzą plotki, że to Daniel zmusił Carlę do przerwania ciąży.

— Co za bzdura! — skrzywiła się Leonie. — Tak jakby ktokolwiek mógł zmusić kobietę do aborcji... Carla wiedziała, że Daniel nie tryska entuzjazmem na myśl o czwartym dziecku, i była z tego powodu niezadowolona, ale do głowy by mi nie przyszło, że poronienie mogło być wywołane sztucznie. Jak tylko się dowiedziała, że jest w ciąży, przyjechała do mnie do Londynu na parę dni, ale niewiele czasu spędziłyśmy razem, gdyż niemal od razu skumpłowała się z córką mojej sąsiadki i zaczęła wychodzić w miasto z bandą szczeniaków tuż po maturze. Z tego co wiem, rozbijali się po klubach i pubach. Właśnie wtedy poroniła. Bardzo to przeżyła, winała się za śmierć dziecka, ale w szpitalu powiedzieli jej, że nie ma pewności, czy jej tryb życia w jakikolwiek sposób zaważył na losach płodu. Mógł, ale nie musiał, nie sposób to stwierdzić. Tak czy inaczej, ktokolwiek mówi, że to Daniel zmusił ją do zabiegu, musi być szalony. Znam go i wiem, że nie byłby do czegoś podobnego zdolny.

Wydało mi się podejrzanym, że Leonie broni Daniela tak zacięcie. Zastanowiło mnie, jaka może być tego przyczyna. Na głos powiedziałam jednak:

— „Pieśń dla Carli” była moim zdaniem przepiękna. Przypuszczam, że ciężko wam się nad nią pracowało, tak krótko po śmierci Carli...

— Nieprawda. To było dokładnie to, co powinniśmy byli zrobić. A Daniel jest tak wybitnym muzykiem, że... — nie dokończyła. — Utrata Carli nas połączyła, wspólnie przeżyliśmy i uczciliśmy jej odejście.

— To Daniel wpadł na pomysł, żeby wydać płytę? Potrząsnęła głową.

— Nie, jakoś tak samo wyszło. Początkowo muzyka i słowa były odrębne, tak jak w czasie pogrzebu.

— Pamiętam, grał wtedy na saksofonie... — wtrąciłam.

— Byłaś na pogrzebie? — zdziwiła się Leonie. — Nie przypominam sobie, żebym cię widziała, ale z drugiej strony było tam doprawdy mnóstwo ludzi. Ale wracając do „Pieśni dla Carli”. Chcieliśmy nagrać parę kaset i rozesłać je po krewnych i znajomych, zwłaszcza tych, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w pogrzebie. Pomysł, żeby połączyć muzykę i słowa, przyszedł nieco później i dopiero kiedy usłyszał o nim menedżer Daniela, wszystko nabrało tempa. Szczerze mówiąc, sami byliśmy zdziwieni sukcesem płyty... Mam nadzieję, że Carla nie miałaby nic przeciwko.

— Czyżbyś w to wątpiła?

Leonie zmieniła pozycję, odwracając się ode mnie. Widziałam, jak ściera z twarzy łzy, które spadły z rzęs na policzki, po czym kładzie dłoń na oparciu ławki, wciąż pozostając bokiem do mnie.

— Och, jestem przekonana, że podobałaby jej się sława, ale...

— Ale co?

Leonie westchnęła przeciągle.

— Widzisz, Carla była chorobliwie zazdrosna. Bardzo możliwe, że tam, gdzie teraz jest, złości się, że należna jej uwaga skierowana została na płytę i na mnie. To właśnie przez tę zazdrość tak mało się w ostatnich latach widywałyśmy. A ilekroć się widziałyśmy, zawsze kończyło się to kłótnią.

— Carla zazdrościła ci kariery? — spytałam.

— To niezupełnie tak — pokręciła głową Leonie. — Ona po prostu chciała mieć to co ja... — Łzy nadal płynęły jej po policzkach, jednakże ton głosu pozostał dziwnie twardy. — Ostatnimi czasy wbiła sobie do głowy, że zostanie piosenkarką i aktorką, co było śmiechu warte. Tak jakby dla mnie nie okazało się to wystarczająco trudne. Do tego zawsze wywoływała we mnie wyrzuty sumienia, że mnie się udało. Dlatego jej unikałam, chociaż teraz bardzo tego żałuję.

Przypomniały mi się gwałtowne oskarżenia, jakimi Carla mnie obrzuciła, kiedy ubzduriała sobie, że chce jej odbić Glena, chociaż ani mi to było w głowie, o czym przecież ją zapewniałam.

— Fakt, nie wydawała się zbyt pewna siebie i lubiła współzawodnictwo...

— To rodzinne, ale z Carłą było trochę inaczej. Usłyszałam gdzieś, że niektórzy ludzie niby mają ducha współzawodnictwa, ale w rzeczywistości robią wszystko, by przegrać.

— A dlaczego Carla miała tak twoim zdaniem postępować?

— Z przyzwyczajenia. Albo po to, by wzbudzić w innych poczucie winy czy współczucie... — Leonie otarła grzbietem dłoni świeże łzy. — A może dlatego, że zwycięstwo ją przerażało. Wiesz, Helen, sukces naprawdę potrafi być przerażający... — spojrzała na mnie głęboko osadzonymi, ciemnymi oczyma, które teraz błyszczały od łez albo z powodu emocji.

— Cóż, muszę ci uwierzyć na słowo — zażartowałam i natychmiast tego pożałowałam, gdyż Leonie miała tak smutny wyraz twarzy, że wszelkie krotchwile były zupełnie nie na miejscu. Przyjrzałam się jej i nagle zrozumiałam, że jest nie tylko smutna: ona była wystraszona, wręcz spanikowana. Leonie Fanshaw, słynna aktorka, pewna siebie i wymagająca wobec innych, gdzieś zniknęła. Powiedziałam więc cicho: — Przepraszam, to było z mojej strony nietaktowne.

Leonie jakby mnie nie usłyszała, zagłębiona we własnych myślach.

— Od jej śmierci jest mi jeszcze ciężiej. Kiedy żyła, miałam ją za utrapienie, ale teraz widzę, że stanowiła dla mnie balast, zaplecze, lustro, czy ja wiem, jak to nazwać... Odkąd jej nie ma, straciłam poczucie sensu tego, co robię, kierunku, w którym zmierzam. No a teraz ta przeklęta sztuka! Przychodzi mi do głowy, że nawet jeśli zdołam przejść przez próby, to nie wytrzymam do końca sezonu.

— Na pewno będzie ci łatwiej z każdym kolejnym przedstawieniem — podniosłam ją na duchu.
— Ta scena, którą dzisiaj ćwicyliście, naprawdę robi wrażenie.

— Tak sądzisz? — spojrzała na mnie z wdzięcznością, ale zaraz powrócił do jej oczu niepokój.
— Cały czas się boję. Nigdy w życiu żadna sztuka nie miała na mnie takiego wpływu. Zresztą przez prawie całą próbę udawałam...

— Udawałaś?

— Tak mówimy w teatrze, kiedy aktor poprawnie recytuje tekst i porusza się na scenie, ale jego postaci brak duszy. Jakby był maską, za którą zieje pustka — wyjaśniła obrazowo. — To się zdarza nawet starym aktorom, ale na ogół dopiero pod koniec długiego i męczącego sezonu. Nie słyszałam o wypadku, żeby udawać rolę w czasie pierwszych tygodni prób. Sama nie wiem, co mam z tym fantem począć...

— Ale skoro od strony widza wszystko wygląda w porządku, co za różnica?

— Olbrzymia — szepnęła i następne dwie duże łzy spłynęły po jej rzesach i przetartym przez poprzedniczki szlakiem rażno pomknęły w dół.

— Chyba nie myślisz, że to ma jakiś związek z Carlą? — spytałam z niedowierzaniem.

— Właśnie tak myślę! Po prostu nie potrafię się przełamać i odnosić kolejnych sukcesów, kiedy jej tu nie ma.

— Ale dlaczego?

Leonie odpowiedziała tak cichym głosem, że musiałam wyęczać słuch, żeby ją zrozumieć.

— Bo być może czuję się winna. — Milczałam. Sama obarczona winą za najcięższą zbrodnię czułam się zafascynowana czyjąś, a równocześnie byłam idealną powierniczką. Leonie nie odzywała się długo, tak że już pomyślałam, że nie powie nic więcej, ale wtedy właśnie rzekła: — Prawdziwym powodem, dla którego Carla i ja nie widywałyśmy się ostatnio, był Daniel.

— Daniel?! — powtórzyłam, zupełnie na to nie przygotowana.

— Nie zrozum tego źle. Nie mieliśmy romansu ani nic podobnego, ale Carla cały czas mnie o to podejrzewała, gdyż od samego początku uważałam jej pomysł, aby go poślubić, za delikatnie mówiąc, zły. Carla oczywiście oskarżała mnie, że chcę Daniela dla siebie, co naturalnie było bzdurą. Nie jestem typem kobiety, która ugania się za chłopakiem czy mężem własnej siostry. Jednakże Carla, gdy raz coś sobie ubzdurała, trzymała się tego jak rzep psiego ogona. No a Danielowi nie można odmówić, że jest przystojnym mężczyzną, do tego zdawał się mnie lubić, a to wystarczyło, żeby paranoja Carli padła na podatny grunt. Skończyło się na tym, że na wszelki wypadek przestałam do nich jeździć.

Nie uszło mojej uwagi, że Leonie powiedziała: „do nich”, nie „do niego”, zatem mogłam przypuszczać, że nie przestała widywać Daniela, tyle że nie odwiedzała go w domu.

— A dlaczego sprzeciwiałaś się ich małżeństwu?

— Bo to był zły pomysł, od początku do końca. Wszyscy poza Carłą widzieli, że Daniel wciąż jest zakochany w Angeli, mimo że przechodzili właśnie nieprzyjemny rozwód. No dobrze, może niezupełnie zakochany, ale z pewnością nie do końca odkochany. A Carla, jak to ona, na własną prośbę znów znalazła się w sytuacji, jaka uczyniła ją nieszczęśliwą. Czyż to nie typowe: zakochać się w facecie, który nie może cię uczynić szczęśliwą, bo wciąż wiele go łączy z ekszoną?

— Ale skąd możesz mieć pewność, że nie uczynił jej szczęśliwą? — zapytałam, pamiętając, jak szczerze zabrzmiały słowa Carli, że jej mąż wprost za nią przepada. Czyżby nie była to prawda, a jedynie to, co Carla chciała za prawdę uważać?

— Na pewno nie tak, jak by chciała czy zasługiwała. Ich związek od samego początku był niewyważony, a to musiało sprawić, że czuła się w nim nieszczęśliwa. Ale najdziwniejsze jest, że kiedy w ogóle chcę sobie przypomnieć szczęśliwą Carłę, nie potrafię. Co za straszna, niesprawiedliwa strata. Moja biedna Carla — rozplakała się Leonie. Powoli to, co mówiła o siostrze, zaczynało wyglądać na epitafium. Po chwili się uspokoiła i nawet do mnie uśmiechnęła. Jakby właśnie zrzuciła z siebie wielki ciężar. — Jesteś wdzięczną słuchaczką, Helen. Niestety nie wiem, czy na coś ci się przydałam z tą swoją gadaniną. A ty nie miałaś szansy nic mi powiedzieć o sobie. Rzuciłam okiem na zegarek.

— Tylko popatrz, która godzina. Reżyser mówił, że zaczniecie próbę o trzeciej, a już jest za dwadzieścia. Chodź, podwożę cię, i tak muszę tamtędy przejechać, żeby dostać się na główną drogę.

W samochodzie Leonie powiedziała zniecka:

— Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o Carli, powinnaś porozmawiać z Michaeliem, moim bratem. On zawsze był z nią bliżej niż ja...

Na drodze do Londynu nie było wielkiego ruchu. Jechałam automatycznie, w myśli przeżywając raz jeszcze rozmowę z Leonie Fanshaw.

Zdałam sobie sprawę, że ją polubiłam; poświęciła mi dużo swego czasu i powierzyła sekrety, dzięki którym dowiedziałam się o Carli znacznie więcej, niż kiedykolwiek mogłam mieć nadzieję. Niemniej zastanawiało mnie, z jakiego powodu Leonie otworzyła się przed mną, zupełnie jej obcą osobą.

Zerknęłam we wsteczne lustro. Patrzyły na mnie kojące oczy, stanowiące część zgrabnej miłej twarzy o zwykłych rysach. Byłam postrzegana jako ktoś, komu można zaufać, i to właśnie zrobiła Leonie, sugerując się moim wyglądem, sposobem mówienia i tym, że poczuła się w moim towarzystwie bezpiecznie, uważając, że może przy mnie zrzucić z siebie ciężar winy. A ja pozwoliłam jej w to wierzyć, ba, gorzej nawet: zachowywałam się tak, żeby ją w tym przekonaniu utwierdzić. Byłam przyjazna i współczująca, wykazywałam zrozumienie dla jej smutku i wyrzutów sumienia. Gdyby tylko Leonie wiedziała, że jestem osobą odpowiedzialną za śmierć Carli, nie zbliżyłaby się do mnie na kilometr, nie mówiąc o wspólnej jeździe samochodem, wycieczce nad kanałem i zwierzeniach.

Nagle się ocknęłam i zorientowałam, że minęła godzina, a ja nie zarejestrowałam nic z przejechanej drogi, jakbym „udawała”, że żyję, używając teatralnego określenia. Uderzyło mnie, jak bardzo jest ono właściwe w moim wypadku — cóż innego bowiem robiłam przez ostatnie pół roku? Właśnie udawałam, że żyję! Rozmawiałam i poruszałam się, ale za tą maską kryła się cały czas pustka, którą niegdyś zasiedlała Helen North.

Zanim się pożegnałyśmy, Leonie zapisała mi swój numer telefonu oraz numer jej brata, Michała — była pomocna do ostatniej minuty spotkania.

— Koniecznie się z nim skontaktuj — powiedziała. — Jestem pewna, że chętnie opowie ci o Carli. Wie o niej znacznie więcej niż ja.

Wracając do Londynu nie miałam najmniejszej ochoty się z nim kontaktować. Byłam oszustką, szalbierką, której ludzie w swej naiwności i dobroci ufali, i im więcej osób oszukałam, tym bardziej się nienawidziłam.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dwa tygodnie później, około siódmej wieczorem, w moim sterylnym i bezosobowym mieszkaniu zadzwonił telefon, kiedy akurat szykowałam się do wyjścia. Było to o tyle dziwne, że mój numer miały tylko dwie agencje pracy czasowej, z którymi podpisałam umowę, a mało kto dzwoni z biura o tej porze. Mimo to podniosłam słuchawkę.

— Halo? — powiedziałam ostrożnie.

— Helen? — spytał równie ostrożny głos, który natychmiast rozpoznałam.

— Przy telefonie — odparłam oficjalnie.

— Witaj, tu Daniel. Jestem przejazdem w Londynie i pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę wybrać się ze mną na koncert...

— Bardzo bym chciała, ale...

— Świetnie. W takim razie do zobaczenia za godzinę.

— Przykro mi, ale jestem dziś zajęta.

— Och — chwila ciszy i potem: — A nie możesz zmienić planów?

— Raczej nie.

— No to może jutro?

— Jutro wieczorem mi pasuje — odparłam.

— Myślałem o jakiejś wcześniejszej porze... Widzisz, muszę wrócić do domu po południu, z kolei z samego rana nagrywam, więc co byś powiedziała na lunch? Gdzie ty w ogóle pracujesz?

— W tej chwili nie pracuję — powiedziałam zgodnie z prawdą.

— Tym lepiej. Spotkajmy się więc przy wejściu na stację metra w Covent Garden, powiedzmy o pierwszej. Do zobaczenia!

Odłożyłam słuchawkę, myśląc, jakie życie jest przewrotne: po pół roku pustelniczego życia nagle miałam dwie propozycje na jeden i ten sam wieczór, co przypomniało mi o zasłyszanej niegdyś anegdocie o dwóch autach, które zderzyły się na samym środku Sahary.

Daniel Finch. Już samo jego nazwisko rozległo się echem w pustce mojego mieszkania, odbijając się od bieli ścian i przyspieszając mi tętno. Raz czy dwa niczym intruz zanurzyłam się na krótko w świat Carli, a teraz to jej mąż narzucał się mnie. Nie wiedziałam, czy jestem już gotowa, by spotkać się z nim na swoim własnym terytorium, niepokoiły mnie powody, dla których zdecydował się nawiązać ze mną kontakt i wysunąć to nieoczekiwane zaproszenie. W pierwszym odruchu pomyślałam, że zapewne uznał, iż warto podtrzymać znajomość z użyteczną opiekunką do dzieci, ale zaraz skarciłam się za nadmierny cynizm. Bardziej prawdopodobne było, że od Leonie dowiedział się, że wypytuję o Carlę, i postanowił przedstawić swoją wersję jej smutnej historii. Nie wykluczałam także możliwości, że chciał mi podziękować za udane przyjęcie urodzinowe i opiekę nad dziećmi w kryzysowym momencie. Pół roku temu przypisałabym mu bardziej osobiste motywy, ale obecnie nie podejrzewałabym żadnego mężczyzny o zainteresowanie tą ponurą osobą, jaką się stałam — o obciętych na zapalną włosach, bez cienia makijażu na bladej twarzy i w ciuchach bardziej przypominających worek pokutniczy aniżeli ubiór kobiety mającej chęć na flirt.

Nagle przyszła mi do głowy myśl, która dosłownie mnie zmroziła i sprawiła, że zatrzymałam się w pół kroku na środku pokoju, z przerażenia wstrzymując oddech.

Daniel nie chce mi podziękować ani opowiedzieć swojej wersji wydarzeń — myślałam. — Na pewno dręczą go pytania, na które bezskutecznie jak na razie szukał odpowiedzi i które teraz zechce zadać mnie... — Nawet jeśli unieszczęśliwił Carlę albo tylko nie potrafił dać jej szczęścia, i tak ma prawo wykazywać troskę i przejmować się tym, co jej się przytrafiło. Zresztą powszechnie wiadomo, że mężowie tyrani często bywają bardzo opiekuńczy, a ja nawet nie mam dowodu, że ją tyranizował, jeśli nie liczyć zeznania Angeli, któremu nie do końca powinnam ufać, gdyż byli małżonkowie lubią oczerniać swych ekspartnerów. Nagle z przeraźliwą jasnością zdałam sobie sprawę, jak wielki popełniłam błąd składając wizytę rodzinie Finchów. Następne spotkanie z Danielem może sprawić, że wrócić mu na pamięć wydarzenia z Grecji, niekonsekwencje w raporcie koronera, poplątane zeznania — ta nieszczęsna kraciasta koszula albo nie daj Boże Niemiec, który widział pływającą kobietę, kierującą się na pełne morze, a ubraną w granatową sukienkę, wyraźnie czymś zdenerwowaną, pytanie tylko: czym. W każdej chwili Daniel może mnie zapytać: „Helen, wiem, że policja zamknęła śledztwo, ale mnie wciąż dręczy parę drobiazgów... Może będziesz w stanie pomóc mi je wyjaśnić”.

Przez jakiś czas myślałam, że jestem już bezpieczna — teraz uprzytomniłam sobie, że strach przed wykryciem nigdy we mnie nie osłabł. Zmuszając się do ruchu, powiedziałam sobie stanowczo,

że będę się tym martwić jutro, teraz musiałam dokończyć przygotowania do spotkania z mężczyzną, z powodu którego odrzuciłam intrygujące zaproszenie Daniela. Wybierałam się poznać młodszego brata Carli i Leonie Fanshaw, Michaela.

Odkąd po raz ostatni spotkałam się z kimś na gruncie towarzyskim, upłynęło tyle czasu, że niemal wyszłam z wprawy. Wyprowadzona z równowagi myślą, że Daniel — albo ktokolwiek — może mnie podejrzewać, postanowiłam za wszelką cenę stwarzać pozory normalności. Najważniejsze to wyglądać jak zwykła, zabiegana kobieta.

Weszłam do łazienki i zerwałam z lustra zdjęcie Gór Skalistych, które tam przymocowałam zaraz po przeprowadzce. Na szczęście było to jedyne zwierciadło w mieszkaniu, toteż przez ostatnie miesiące z łatwością unikałam swego odbicia (w mieście po prostu patrzyłam prosto przed siebie albo pod nogi, unikając oglądania wystaw, w obawie że nad ekspozycją eleganckich butów czy kruchej porcelany dostrzegę młodą kobietę o wyglądzie uciekiniarki, bladą i śmiertelnie wystraszoną).

Tym razem jednak zmusiłam się, żeby się sobie przyjrzeć. To co zobaczyłam, przstraszyło mnie nie na żarty: podkrążone sińcami oczy sygnalizujące dziesiątki nieprzespanych nocy, wąska kreska ust, napięte mięśnie twarzy, ziemista cera... Zrobiło mi się siebie żal i przestałam się dziwić, że i w innych wywoływałam dotychczas potrzebę, by dodać mi otuchy. Musiałam coś z tym zrobić.

Wzięłam szybki prysznic i odszukałam kosmetyczkę z przyborami do makijażu, tę samą, którą miałam ze sobą w Grecji. Pierwsze, co wpadło mi w ręce po jej otwarciu, to odblaskowoniebieska kredka do powiek, którą Carla pożyczyła mi tamtego wieczoru. Nie miałam pojęcia, jakim cudem znalazła się w mojej kosmetyczce; być może Despina porządkując rzeczy Carli uznała, że kredka mnie przyda się bardziej. Trzymałam ją teraz dwoma palcami, jakby mnie parzyła, a w piersi narastało mi dobrze znane poczucie winy. Przed oczyma miałam obraz niebieskiego koloru na twarzy Carli, zlewającego się z siniakami, rozmytym tuszem i świeżą krwią.

Zaczekawszy, aż dłonie przestaną mi drżeć, stanęłam przed lustrem i zabrałam się do roboty. Najpierw nałożyłam grubą warstwę podkładu, potem sporo różu, żeby ożywić bladość skóry, a na to wszystko dałam jeszcze trochę sypkiego pudru. Ku czci Carli pociągnęłam dolne powieki jaskrawą kredką, którą stonowałam beżem na górnych. Przyczerniłam brwi i utuszowałam rzęsy. Na koniec zajęłam się ustami: podkreśliłam ich zarys ciemnoczerwoną konturówką i pomalowałam na najżywszy kolor, jaki mogłam znaleźć: szkarłatny. Kiedy wreszcie przyjrzałam się swojemu dziełu, byłam zdumiona. Zmianą, jaka się we mnie dokonała, a także tym, że podświadomie chciałam ostrzec każdego, kto by na mnie spojrział. Niestety, moje zabiegi przyniosły dokładnie odwrotny efekt: wyglądałam jak niegrzeczna dziewczynka, która dorwała się do toaletki swojej mamy — jak ktoś, kogo należy przytulić i pocieszyć raczej, niż skarcić czy się go obawiać. Nie miałam już czasu, żeby cokolwiek zmienić, więc machnęłam ręką, zwłaszcza że z Michaeliem chciałam spotkać się tylko ten jeden raz, wypić z

nim drinka i chwilę pogawędzić o siostrze. Zresztą on także na pewno nie miał zamiaru tracić całego wieczoru na rozprawianiu z nieznajomą.

— Rezerwację robiłem parę godzin temu — mówił. — To miejsce jest zbyt popularne, żeby zwlekać. Na szczęście kelnerzy mnie tu znają i zatrzymali dla nas najlepszy stolik.

Rozejrzał się dookoła, wyraźnie z siebie zadowolony. Nerwowym gestem poprawiłam sztucze leżące na śnieżnobiałym obrusie przy moim nakryciu, upominając się w duchu, żeby zachowywać się naturalnie i swobodnie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, kiedy pierś uciska potężny ciężar, a z wrażenia brak tchu. Cały czas myślałam, że z Michaeliem spotkam się w barze na drinka, tymczasem on od razu poinformował mnie, że zamówił stolik w restauracji obok. Najpierw się ucieszyłam, gdyż toczący się w leniwym tempie obiad w ekskluzywnej restauracji miał nam dać dużo czasu na rozmowę o Carli. Zaraz jednak przypomniałam sobie o Danielu i wyobraziłam, że obaj mężczyźni wcześniej się skontaktowali i każdy z nich chce zarzucić mnie swoimi pytaniami. Dyskretnie się przypatrywałam siedzącemu naprzeciwko mnie ciemnowłosemu mężczyźnie i nie potrafiłam go rozgryźć.

Nie ulegało kwestii, że jest bratem Carli, chociaż podczas gdy zarówno ona, jak i Leonie były szczupłe i ruchliwe, Michael prezentował się dostojnie ze swoją lekką tuszą i powolnością. Na swój sposób był przystojny, ale wszystkie jego najlepsze cechy za parę lat znikną w zwałach tłuszczu. Najbardziej jednak zdziwiło mnie, kiedy się dowiedziałam, że jest najmłodszy z całej trójki — ja dawałam mu znacznie więcej lat niż te, do których się przyznał.

Mówiąc o rodzinie, uśmiechał się łagodnie.

— Byłem pieszczoskiem wszystkich — powiedział mi w pewnym momencie. — Dzięki temu nie mam kłopotów w kontaktach międzyludzkich, po prostu z góry zakładałam, że inni mnie polubią, i rzeczywiście tak się dzieje. Oto siła pozytywnego myślenia!... Obie siostry za mną przepadały, zwłaszcza Carla, i nieraz żartowałem, że były dla mnie bardziej jak dodatkowe matki niż rodzeństwo. Jestem rozpieszczony do cna, jak już ci mówiłem. Leonie zaczęła rzadziej bywać w domu, zajęta karierą, ale Carla na szczęście okazała się prawdziwą domatorką. Spełniała każdą moją zachciankę — rozmarzył się — co nic a nic mi nie przeszkadzało, jak się zapewne domyślasz...

— Musieliście być ze sobą naprawdę blisko. Michael udał, że się zastanawia.

— No cóż, miała na moim punkcie fioła, to pewne, ale niech cię to nie dziwi, Helen, bo większość ludzi za mną szaleje. Urodziłem się z wyjątkowym jak na dzisiejsze czasy darem: z łatwością nawiązuję i podtrzymuję kontakty, zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami — mrugnął do mnie obwisłą powieką.

— I dlatego właśnie odnoszę takie sukcesy, choć oczywiście nie tylko dlatego. To, że jestem genialny, nic a nic mi nie przeszkadza — roześmiał się, a ja zmusiłam się do uśmiechu.

Michael przechodził sam siebie, żeby rozluźnić atmosferę, ja jednak miałam się cały czas na baczności. W trakcie jego beztraskiej gadaniny udało nam się złożyć zamówienie, a kiedy kelner odszedł, zadałam swoje pierwsze pytanie.

— Czy wiesz, że zdaniem wielu osób Carla była nieszczęśliwa?

— Nieszczęśliwa? — zdziwił się. — Nigdy bym jej tak nie określił. Ilekroć się widzieliśmy, wprost tryskała radością... No ale może było tak dlatego, że cieszyła się ze spotkania ze swym małym braciszkiem. Ja jeden nigdy jej nie zawiodłem. Mogła być ze mnie dumna: zostałem najmłodszym starszym kierownikiem w naszym biurze...

— Zatem twoim zdaniem nie była przygnębiona po poronieniu? — bezceremonialnie przerwałam jego przechwałki.

— Carla poroniła?

— Tak, w marcu tego roku. Nie wiedziałeś?

— Hmm... niech pomyślę. Tak, możliwe, że coś o tym wspominała, ale byłem wtedy strasznie zajęty. Zawsze przypadają mi w udziale najtrudniejsi klienci, dlatego że tak dobrze sobie radzę z ludźmi. Jak się teraz nad tym zastanawiam, to chyba rzeczywiście wiosną była jakaś nie w sosie, ale z powodu nawału pracy nie miałem dla niej czasu. Ale żeby poronienie? — pokręcił głową. — Fakt, że w sprawach antykoncepcji była dyletantką, mogła jednak zawsze użyć tej pigułki, którą bierze się po stosunku. No, doprawdy trudno mi znaleźć wytłumaczenie dla kobiety, która w obecnych czasach daje się zaskoczyć przez ciążę.

— Tyle że w wypadku Carli było na odwrót: ona marzyła, żeby zająć w ciążę, chciała tego dziecka i dlatego poronienie było dla niej takim ciosem — wytłumaczyłam mu.

— Tak, to mi przypomina biedną starą Carlę. Nieraz narozrabiała i potem się nad sobą użalała, no ale ileż można wysłuchiwać o czyichś kłopotach? Zresztą to niezdrowe tak o sobie gadać. Weź na przykład mnie, ja nigdy nie zawracam innym głowy swoimi problemami. Przypuszczam, że dlatego jestem tak lubiany. Poza tym mało co potrafi wyprowadzić mnie z równowagi... Ty, Helen, zdaje się jesteś do mnie podobna, co? — obdarzył mnie natarczywym spojrzeniem małych czarnych oczu, równie głęboko osadzonych jak oczy Carli, lecz znacznie przebieglejszych i bardziej wyrachowanych. — Mam wrażenie, że jesteś luzaczką, co to nie ma wielu problemów... No powiedz, mam rację? Wiesz, na ogół się nie myślę, pierwszorzędny ze mnie psycholog.

Zawahałam się z odpowiedzią. Michael przez większą część wieczoru zachowywał się jak typowy niegroźny bufon, ale od czasu do czasu przemycił w swym monologu uwagę, która sprawiała, że wewnątrz stawałam na baczność. Carla i Leonie, każda na swój sposób, były wybornymi aktorkami, może więc Fanshawowie mieli to w genach i Michael wcale nie był wyjątkiem?

— To ci się musi bardzo przydawać w pracy — zaryzykowałam ostrożną uwagę, którą Michael całkowicie zignorował.

— Tak, ciebie na przykład rozpracowałem, jak tylko cię zobaczyłem.

— Czyżby? Przytaknął.

— Wiesz, co sobie o tobie pomyślałem? Oto jest dziewczyna, która umie o siebie zadbać, dumna ze swej urody, taka, co to nie przejmuje się czymś, czego nie można zmienić. Mam rację?

— I co jeszcze? — zapytałam słabym głosem.

— Coś, co powinno cię zainteresować... — oparł się wygodnie i posłał mi domyślny uśmiech. — Jesteś dziewczyną, która lubi dobrą zabawę... Nie zrozum mnie źle, Helen, nie twierdzę, że jesteś płytka, tylko że nie przepuszczasz okazji dobrej zabawy. No i wreszcie nie wydaje mi się, żeby pierwsza lepsza rzecz mogła cię zdołować.

Roześmiałam się, lecz nie był to szczerzy śmiech.

— A jak opisałbyś Carlę? — zapytałam.

— To podchwytliwe pytanie. Carla to po prostu Carla, i już — powiedział.

Zastanowiłam się, czy zwodzi mnie celowo czy też nie chce spekulować. Na wszelki wypadek zmieniłam taktykę, dając mu pole do popisu w zakresie faktów, które zdaje się ukochał najbardziej.

— A czym się zajmowała po skończeniu szkoły?

— Och, tym i owym. Sama nie wiedziała, co chce robić. Oczywiście, że byłoby dla wszystkich lepiej, gdyby miała jasno wytyczony cel, tak jak ja. Widzisz, Helen, ja zaraz po maturze postanowiłam sobie, że zarobię dużo pieniędzy, a w wolnym czasie będę się świetnie bawił... No i tak się złożyło, że w firmie u wujka było akurat wolne miejsce, na które udało mi się wskoczyć...

Niedługo mi zajęło, by się zorientować, że na każde pytanie o Carlę dostawałam odpowiedź o Michaelu. Powoli zaczęłam się odprężyć: on nie grał bufona, był nim naprawdę, chyba że prześcignął w aktorstwie wszystkie gwiazdy Hollywoodu. Zyskawszy pewność, że jestem przy nim bezpieczna, zagadnęłam go o Daniela. Imię szwagra spowodowało, że Michael po raz pierwszy stracił węgę.

— Daniel to porządny człowiek — powiedział tylko i zaraz dodał: — Bardzo zdolny, rzecz jasna. Zupełnie nie rozumiem, czemu Carla wybrała się na urlop bez niego, przecież zawsze tak dobrze im się układało.

Od dłuższej chwili wiedziałam, że Michael przede mną nie udaje, niestety nie zamierzał też powiedzieć nic, co by mnie interesowało. Był po prostu jednym z tych ludzi, którzy są tak zaabsorbowani swoją osobą i własną ważnością, że umykało im wszystko, co ich nie dotyczyło. Przestałam go więc wypytywać o Carlę i zadałam parę grzecznościowych pytań na temat ubezpieczeń. W odpowiedzi usłyszałam, że cała branża ubezpieczeniowa miała się kiepsko, dopóki Michael R. Fanshaw nie pojawił się na scenie. W tym momencie spojrzałam ukradkiem na zegarek, żeby ocenić, czy wypada już położyć na stole swoją część należności za rachunek i się pożegnać.

Przy deserze jednak, popijając kawę i zajadając trafie, poczułam wstyd, że tak łatwo spisałam Michaela na straty — w końcu to mnie zależało na tym spotkaniu, a on był na tyle wspaniałomyślny,

że znalazł dla mnie czas. Nastrój zmienił mi się raptownie, kiedy pomyślałam: Kimże jestem, żeby gardzić tym człowiekiem? Poza tym nawet wtedy gdy opowiadał o sobie, dowiadywałam się o rodzinie Carli i o niej samej równie wiele, jak gdyby mówił bezpośrednio o swej zmarłej siostrze. A jakie znaczenie miało, że był zapatrzony w siebie i niezdolny dostrzec, jak śmieszne jest jego puszenie się przede mną? Przynajmniej nie był brutalem i w ataku szału nie zabijał ludzi. Kimże byłam, żeby czuć się od niego lepsza?

Przede wszystkim jednak był bratem Carli, która za nim — według jego własnych słów — przepadała. Spróbowałam spojrzeć na niego oczyma Carli, zobaczyć w nim to, co ona w nim kochała i ceniła. Wyobraziłam go sobie jako małego chłopca, drepczącego za siostrami — ładniutkiego tłuścioszka, niezbyt wrażliwego, ale otwartego i zgodnego; dziecko, które zniesie każdą zniewagę i nieprzyjemność, byle tylko pozostało w centrum uwagi.

Nagle zobaczyłam przed sobą innego Michaela — spowodowało to albo wino, którego sobie nie żałowałam, albo też zmiana w moim do niego nastawieniu. W dalszym ciągu monologował na swój temat, ale zaczął poruszać inne nuty.

— Skoro już o to pytasz, Helen, mogę ci powiedzieć, że jest mi strasznie ciężko, odkąd zmarła Carla. To straszne nie móc z nią porozmawiać, gdy mam jakieś problemy, a wyobraż sobie, że w tym samym czasie kiedy zginęła Carla, odkryłem, że kobieta, z którą się spotykałem, kręciła z kimś innym... zupełnie nie wiem, co w nim widziała, nawiasem mówiąc! To mój podwładny, na litość boską! Zrozumiałem, że nie była mnie warta, ale takie coś zawsze boli... Prawdę powiedziawszy, zupełnie się załamane, nawet praca mi nie idzie... Sam nie wiem, co się ze mną dzieje... A teraz na domiar złego w biurze szefowie mówią o redukcji personelu.

— To straszne — zareagowałam automatycznie. — Nie możesz o tym porozmawiać z Leonie?

— Oczywiście, że z nią rozmawiam, ale Leonie nigdy mnie nie rozumiała tak jak Carla. Poza tym z Carlą mogłem gadać godzinami, a Leonie jest zawsze okropnie zajęta... Ale nie myśl, że się za bardzo martwię, też jestem luzakiem, zupełnie tak jak ty.

Mnie nie wyglądał na luzaka, nie wtedy. Bardziej przypominał kogoś, komu ziemia usunęła się spod nóg. Po raz pierwszy pomyślałam, że Michaelowi naprawdę brakuje Carli, może nawet bardziej niż którejkolwiek innej osobie, z którą dotychczas rozmawiałam. Na początku tego spotkania uznałam, że jest na tyle gruboskórny, że nawet śmierć siostry nie mogła odcisnąć na nim piętna, a jednak chyba się pomyliłam. Nagle poczułam silną więź z tym zapasionym, żalonym człowieczkiem.

Z boleściwą miną potarł przez koszulę brzuch.

— Ostatnio miewam okropne bóle żołądka — oznajmił.

— Powinieneś pójść do lekarza — poradziłam mu. Uśmiechnął się ciepło i z ufnością powiedział:

— To samo mówiła mi Carla.

Później, kiedy staliśmy przed restauracją, a Michael machał parasolem na przejeżdżające takówki, zapytał:

— Wpadłabyś do mnie na... kawę czy drinka? Cokolwiek.

— Dobrze, Michael — odparłam — z miłą chęcią.

Do dzisiaj nie wiem, czemu się zgodziłam. Być może dlatego, że nie zniosłabym, gdyby na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia spowodowanego moim odrzuceniem (życie w samotności wyczuliło mnie na jej symptomy u innych ludzi). Być może po prostu tęskniłam za zwykłym, zwierzęcym dotykiem. Odnosiłam wrażenie, że od czasu gdy po raz ostatni ktoś mnie obejmował, upłynął wiek, a nie parę miesięcy.

A poza wszystkim wydawało mi się, że seks z Michaelem będzie nieskomplikowany. Brat Carli nie wiedział o mnie nic, chociaż był przekonany, że zna mnie na wylot, nie zawracał sobie głowy pytaniem mnie o cokolwiek — podobnie jak każdy, z kim ostatnio miałam do czynienia, co na swój przewrotny sposób było fascynujące. Michaelowi wystarczyło parę ogólników, z których zbudował sobie mój do cna fałszywy obraz, i to go zadowoliło. Zatem bzykał się z tą właśnie, wykreowaną w swojej głowie, osobą, nie zaś z prawdziwą Helen North.

Nie miałam nic przeciwko temu, a on, jak długo nie znał o mnie prawdy, był przede mną całkowicie bezpieczny. A że nie zamierzałam spotkać się z nim nigdy więcej, bezpieczni byliśmy oboje. Teraz jednak potrzebowałam bliskości, której odmawiałam sobie od powrotu z urlopu, utrzymując tylko sporadyczne kontakty z rodziną, żeby nie wzbudzać u nikogo podejrzeń, i nawet nie myśląc o flircie czy romansie, głównie dlatego, że nie mogłam sobie pozwolić na związek, w którym kusiłoby mnie, aby wrócić do swej pierwotnej tożsamości czy osobowości. Godzina czy dwie z Michaelem, chwilowa przerwa w samotności — jego i mojej — nie mogła skrzywdzić żadnego z nas. Wiedziałałam, że nie potrafię zastąpić mu Carli, przez parę godzin jednak mogłam zastąpić jego niewierną przyjaciółkę.

Takie były powody, choć teraz wiem, że od początku do końca były to powody niewłaściwe. O samym seksie lepiej nie wspomnę ani słowem.

Kiedy było już po wszystkim, a ja ubierałam się, żeby jak najszybciej od niego wyjść, Michael przetoczył się na plecy i spytał:

— No i jak było, Helen?

— W porządku.

— Tylko w porządku? — zmartwił się.

— W takim razie: było wspaniale.

Zachichotał jak zachwycony chłopiec.

— Wiedziałem! — odrzekł radośnie. — Umiem to poznać na miłę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daniel spóźniał się dziesięć minut. Gdyby nie pojawił się jeszcze przez parędziesiąt sekund, zrezygnowałabym i odeszła, gdyż przenikliwy wiatr wiejący jak zwykle u wejścia do stacji metra nic sobie nie robił z wysoko podniesionego kołnierza płaszcza. Zresztą trzęsłam się w równej mierze z zimna co z nerwów.

Wieczór z Michaeliem wyprowadził mnie z równowagi. W mieszkaniu znalazłam się dopiero o drugiej nad ranem, lecz mimo zmęczenia nie umiałam zasnąć, na krawędzi snu i jawy nękały mnie jeszcze gorsze niż zazwyczaj koszmary. Niecałe dwanaście godzin później, bez należytej porcji snu, umysł miałam ociężały, a przecież potrzebowałam całej swej inteligencji, żeby sprostać nadchodzącemu spotkaniu.

Zdrowy rozsądek od pierwszej chwili podpowiadał mi, żebym odrzuciła zaproszenie Daniela; zdawałam sobie sprawę, że moje dotychczasowe zachowanie może budzić podejrzenia, i tylko czekałam, kiedy Finchowie zaczną analizować moje motywy. Gdybym była mądrzejsza, dałabym sobie spokój ze światem Carli i w inny, bezpieczniejszy sposób zmagając się ze swymi demonami. Jednakże gdzieś na przestrzeni ostatnich miesięcy mój słynny rozsądek mnie opuścił, do tego stopnia, że stojąc na zimnie nie mogłam się doczekać spotkania z Danielem, choć równocześnie się go bałam. Najważniejsze wszakże było to, że Daniel stanowił ogniwo łączące mnie z Carlą, toteż trzymałam się go kurczowo jak diabeł dobrej duszy, bez względu na możliwe konsekwencje. Liczyło się tylko to, że rozmawiając o Carli wskrzeszam ją, a kto nadawał się na rozmówcę lepiej niż jej owdowiały mąż?

Nagle pojawił się przede mną Daniel w rozpiętym ciemnym płaszczu, którego poły trzepotały na wietrze.

— Chwała Bogu, że zaczekałaś — wysapał, z rozkojarzeniem nachylając się i cmokając mnie w policzek. — Spotkanie się przeciągnęło... No, jeśli mam być szczery, wcale się nie skończyło, tylko zmieniliśmy miejsce pobytu. Wszyscy przenieśli się do restauracji tu w pobliżu i powiedziałem, że przyprowadzę gościa. Co ty na to?

Zbyt zafrasowana, czy moje przywitanie wypadło tak naturalnie, jak je sobie zaplanowałam, nieuważnie śledziłam tok jego wypowiedzi, toteż nieco skołowana bąknęłam:

— Czemu nie?

— Wymusiłem na nich obietnicę, że podczas lunchu nie będziemy rozmawiać o sprawach służbowych. Wiem, że i tak będziesz się pewnie nudzić, ale z tego spotkania może wyjść naprawdę duży kontrakt...

— Jaki kontrakt? — zapytałam już nieco przytomniej.

— No tak, przecież ty nic nie wiesz — zreflektował się Daniel. — Pozwól, że naświetlę ci sytuację... „Pieśń dla Carli” okazała się znacznie większym sukcesem, niż mogłem się spodziewać, co na-

turalnie stanowi dobrą nowinę — wyjaśniał, wzięwszy mnie pod rękę. Nie mogłam nie zauważyć, że mówi i zachowuje się na pewno nie jak człowiek, który dopiero co usłyszał dobrą nowinę. — Jedna z europejskich wytwórni płytowych chce wydać niemieckojęzyczną wersję, oczywiście z głosem jakiejś niemieckiej aktorki w miejsce Leonie. Na razie zastanawiamy się, kto byłby najodpowiedniejszy, i cały ranek musiałem wysłuchiwać, jak mój menedżer i ta gruba ryba z wytwórni przerzucają się nazwiskami. Generalnie z doświadczenia wiem, że kontrakty z europejskimi wytwórniami to istne pole minowe, ale ten zapowiada się naprawdę obiecująco, a Jamie miał już z nimi wcześniej do czynienia... Oczywiście potrzebna będzie reklama, ale i tak... — urwał i się zamyślił, głęboka zmarszczka na czole stała się jeszcze wyraźniejsza.

Nagle, jakby właśnie sobie o tym przypomniał, zmienił temat i uściśnawszy mnie za ramię, powiedział:

— O, a przy okazji bardzo ci dziękuję za opiekę nad dziećmi. Były zachwycone.

— Doprawdy? — W myśli wyobrażałam sobie kłamstwa, którymi został nakarmiony. — Cieszę się ogromnie.

— To dziwne, ale niektórzy uważają je za zgraję łobuzów — ciągnął tonem dającym do zrozumienia, że ci co tak myślą, oczywiście się mylą, gdyż jego latorośle to grupka czarujących dzieciaków. — I naprawdę nie wiem czemu. Nawet Janet nie potrafi z nimi wytrzymać dłużej niż godzinę czy dwie. Ciebie jednak od razu polubiły, dobrze, że z wzajemnością.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek mówiła, że je lubię — pomyślałam. — I jeśli to, czym mnie potraktowały, miało być oznaką sympatii, to wolałabym nigdy się nie przekonać, jak okazują niechęć, zwłaszcza ta ich prowodyrka, Lily.

— Cóż, masz bardzo interesujące dzieci — zaryzykowałam dwuznaczny komplement.

Daniel przytaknął z entuzjazmem.

— Są wspaniałe, prawda? Och, wiem, że jestem nieobiektywny jako ich ojciec, ale co tam! — machnął ręką. — Jeśli tylko ten kontrakt wypali, chciałbym zabrać całą trójkę do Francji, urządzać im spływ barką po słynnych kanałach na południu albo coś równie atrakcyjnego. Muszę przyznać, że od czasu rozvodu zaniebdywaliśmy z Angielą kwestię wakacji, a do tego przemysł muzyczny jest szalenie wymagający, nie wspominając już o częstotliwości, z jaką skapują honoraria. Na ogół albo muszę zaciśkać pasa, albo mogę hulać do woli... — urwał, kiedy stanęliśmy pod restauracją. Zauważyłam, że jest nabita do granic, a przez otwarte drzwi wylewa się na ulicę harmider głosów i zapach potraw. — No, jesteśmy — oznajmił Daniel, po czym uśmiechnął się do mnie, dzięki czemu jego twarz w okamgnieniu odmłodziła.

Przypomniała mi się Angela, która za pomocą swego czarującego uśmiechu potrafiła dać mi do zrozumienia, że robi mi łaskę pozwalając, bym podała jej filiżankę kawy, i poczułam się nieswojo. W głębi duszy pragnęłam poznać sekret takiego uśmiechu. Ciekawe, czy Finchowie ćwiczyli go na sobie,

kiedy jeszcze byli małżeństwem, żeby wykorzystać go w trudniejszych czasach. Dlaczego jednak Daniel używał go wobec mnie? Natychmiast stałam się czujna.

Daniel tymczasem z uśmiechem kontynuował:

— Naprawdę mi przykro, że ci dwaj zepsują nam lunch, który zaplanowałam jako podziękowanie za to, co zrobiłaś dla mnie w przedostatni weekend. Szczerze mówiąc nie wiem, co bym bez ciebie zrobił...

Wszedł pierwszy, a ja podążając za nim odetchnęłam z ulgą, że nasze spotkanie zostało pomyślane jako zwykłe podziękowanie, a nie coś groźniejszego... Mogłam sobie pozwolić na odrobinę odprężenia i radować się, że mam okazję obserwować męża Carli w jego naturalnym środowisku, przynajmniej jeśli chodzi o pracę. Zdjęliśmy okrycia i maître d'hôtel zaprowadził nas do stolika. Siedzący przy nim dwaj mężczyźni podnieśli wzrok, kiedy do nich podeszliśmy. Starszy natychmiast zerwał się na równe nogi, młodszy niby też — dźwignął się z krzesła, lecz w pełni wyprostować się nie raczył.

— Helen, pozwól, że ci przedstawię Jamiego Frieda, bliskiego współpracownika mojego producenta, a to jest Bernard Schmidt z wytwórni płytowej „König”.

— Jestem zachwycony, że mogę panią poznać — rzekł Bernard, ujmując moją dłoń i pochylając głowę w uprzejmym pozdrowieniu.

Musiał dobiegać pięćdziesiątki, o czym świadczyły całkiem siwe włosy i głębokie zmarszczki, chociaż ubierał się wciąż po młodzieżowemu: w sweter i skórzaną kurtkę czy też marynarkę. Na opalonych dłoniach zauważyłam kilka złotych sygnetów, jednakże ogólne wrażenie było pozytywne: Bernard był atrakcyjnym mężczyzną.

Jamie Fried dla odmiany był w moim wieku, góra parę lat starszy, i prezentował się wyjątkowo oślizgłe. Miał długą, niemal przezroczystą twarz osadzoną na cienkiej pergaminowej szyi i wodniste oczka, które ledwie na mnie spojrzały. W dotyku był równie nieprzyjemny, na szczęście tylko musnął czubki moich palców.

— Cześć! — wymamrotał, siadając z powrotem na krześle.

Z początku towarzystwo, a zwłaszcza Bernard, starało się włączyć mnie do rozmowy, ale szybko wyszło na jaw, że po całym ranku spędzonym na dogadywaniu lukratywnego kontraktu ani im w głowie zmiana tematu na lżejszy.

— Pani też jest z branży? — zapytał mnie Bernard.

— Nie — mówiąc to dostrzegłam, że Daniel odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Jak gdyby także był zainteresowany odpowiedzią i nie chciał uronić ani słowa. Kiedy zaś poczułam na sobie jego wzrok, znów uderzyła mnie moja podła pozycja w jego życiu. Oszustka to mało powiedziane. Daniel zaprasza mnie na lunch, żeby podziękować mi za opiekę nad jego dziećmi, podczas gdy to ja pozbawiłam go żony! Zacisnęłam pięści pod stołem i niemal poczułam ciężar i ostre kandy kamienia, którym roztrzaskałam głowę Carli. A Daniel patrzy na mnie z zainteresowaniem! To było nieprzyzwoite. Jed-

nakże nie mogłam stamtąd po prostu odejść, musiałam odpowiedzieć, gdyż przy stole byli także Bernard i Jamie. — Jestem zatrudniona w agencji pracy czasowej. Głównie dostaję zlecenia jako sekretarka.

Nikłe zainteresowanie Jamiego moją osobą przysło jak bańka mydlana. W jego oczach widziałam pogardę: zwykła sekretarka. Pomyślałam o tych wszystkich latach, w czasie których walczyłam, by zostać kimś, o zawodzie, który wybrałam z powołania i musiałam wbrew sobie porzucić, wreszcie o sytuacji, w jakiej się znalazłam, gdzie byle chłystek mną pogardza, a ja marzę, żeby zapaść się pod ziemię.

— Ale jest pani muzykalna? — naciskał Bernard.

— Lubię słuchać muzyki, ale obawiam się, że to szczyt moich możliwości.

— Nie umniejszaj się — wtrącił szybko Daniel. — Helen jest za skromna, żeby przyznać, że świetnie jej idzie gra na nerwach.

— Umie pani grać na czym? — nie zrozumiał Bernard, którego znajomość angielskiego była chyba gorsza, niż myślałam.

Żart wydawał się zbyt skomplikowany, żeby go wyjaśniać, powiedziałam więc tylko:

— Tak, ale niezbyt dobrze.

— Potrzebuje tylko trochę ćwiczeń... — Daniel zachęcał mnie wzrokiem, żebym włączyła się do jego zabawy.

— To bez sensu. Nie mam za grosz talentu — rzekłam obojętnym tonem, co wyraźnie go rozczarowało.

Minęło jeszcze trochę czasu, a wszystkie moje odpowiedzi były wypowiedane równie bezbarwnym głosem bądź też nie były udzielane w ogóle, i Bernard przestał zadawać mi pytania, Daniel zaś zaniechał prób rozchmurzenia mnie. Tego właśnie chciałam. Bardzo mi odpowiadało, że uwierzył, iż jego druga żona spędziła ostatnie dni swego życia z taką nudziarą jak ja.

— Zamówię szampana — oznajmił w pewnej chwili Bernard. — Uczcimy przyszły sukces „Ein Lied für Carla”.

— Nachylił się przez stół i postanowił spróbować jeszcze raz:

— Była pani dobrą przyjaciółką Carli, prawda?

— Znałam ją, to wszystko — odparłam monotonnym głosem, który mnie samą zaczynał usypiać. — Parę dni znajomości to jeszcze nie przyjaźń.

Oczka Jamiego przeskoczyły z mojej twarzy na Daniela i z powrotem. Niemal słyszałam, jak jego mózg analizuje związek mój i Daniela i wreszcie wydaje werdykt: absolutne zero, które Daniel wykorzystuje pomiędzy prawdziwymi związkami, niebawem zostanie porzucona, tak jak na to zasługuje. Pogarda w jego oczach zwiększyła się o jeden stopień.

Kelner przyniósł szampana, napełnił kieliszki, które unieśliśmy w toaście za sukces niemieckojęzycznej wersji „Pieśni dla Carli”, i wszyscy z wyjątkiem mnie pociągnęli solidny łyk i jęli chwalić trunek. Ściśnięte gardło uniemożliwiało mi przelknięcie i mówienie. Wiedziałam, że to szaleństwo, iż właśnie ja — spośród wszystkich ludzi — zwracam uwagę na takie sprawy, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Bernard i Jamie, a nawet Daniel zredukowali Carlę do towaru, który można dobrze sprzedać, czerpiąc korzyść z jej śmierci.

Ze smutkiem myślałam, że kiedy Carla żyła, jej małżeństwo było chwiejne, a Daniel często czynił ją nieszczęśliwą, jeśli wierzyć temu, co mówiła Janet. Układało im się źle do tego stopnia, że Carla ostatnią noc spędziła z przygodnie poznanym mężczyzną, zamiast pojechać na urlop wspólnie z Danielem i cieszyć się urokami życia małżeńskiego. A teraz, kiedy jej zabrakło, niedobry mąż cudownie przeistoczył się w rozpaczającego wdowca, który — zupełnie niechcący oczywiście — zbija kokosy na swej żałobie. To co miało być prywatnym hołdem złożonym zmarłej żonie, stało się towarem jak każdy inny, który należy sprzedać i na transakcji zarobić, co Danielowi jak widać się udało.

— Znosi się na to, że twoje nagranie będzie hitem na wielu pogrzebach — stwierdził Jamie, jakby czytając w moich myślach, a Daniel przytaknął z zadowoloną, choć odpowiednio smutną miną. — Płyta wypełniła niszę na rynku, na którym prawdę powiedziawszy praktycznie nie ma konkurencji. Requiem stanie się klasyką jeszcze za naszego życia — słodził Jamie, a Daniel pęczniał z dumy.

Wreszcie podano jedzenie. Kelner opróżnił butelkę szampana, ponownie napełniając nasze kieliszki, po czym zabrał wiaderko z roztopionym lodem. Zamówione przeze mnie owoce morza zostały podane tak ładnie — wyglądały zupełnie jak motywy floralne na średniowiecznej tapecie, którą widziałam kiedyś w muzeum — że żal mi było naruszyć ich kompozycję; zresztą nie miałam apetytu. Mężczyźni wszakże nie narzekali na jego brak i zajadając się podanymi im przysmakami, wciąż dyskutowali o najważniejszej ich zdaniem aktorce, mającej zastąpić głos Leonie. Przysłuchiwałam się im jednym uchem.

— Rozmawiałem już o tym z naszym producentem — powiedział Bernard. — Obaj się zgadzamy, że muzyka w angielskiej wersji jest zbyt delikatna jak na europejski gust. Chcielibyśmy dodać trochę smyczków...

— Smyczki? — zdziwił się Daniel. — Wydawało mi się, że muzyka pozostanie nie zmieniona. Bernard potrząsnął głową.

— Musisz zrozumieć, że na kontynencie mamy inne przyzwyczajenia. Twoja wersja wyda się tam zbyt ludowa, wierz mi. Jeśli wzbogacimy muzykę o smyczki, efekt będzie doskonały i całość lepiej się sprzeda.

— Ależ właśnie o to mi chodziło, kiedy komponowałem ten kawałek, na tym polega jego istota: dźwięk ma być czysty.

— A co jest nieczystego w smyczkach? — oburzył się Bernard.

— Niby nic — odparł Daniel — tyle że za chwilę zażadasz chórów niebiańskich. Zdaje się, że to ja miałem być dyrektorem artystycznym tego projektu... — Daniel popatrzył wyczekująco na Jamiego.

— No... — zaczął Bernard, ale Jamie przejął od niego pałeczkę.

— Skoro już o tym wspomniałeś, Danielu, to rzeczywiście jakiś chórek by nie zaszkodził. Ludzie to lubią, a przecież sam wiesz, że można to bardzo ładnie zaaranżować. Przyznasz, że sam pomysł jest nieco ekscentryczny: muzyka i słowa... Takie coś się nie sprzedaje — pokręcił głową z powątpiewaniem. — Co innego gdyby zrobić z tego normalną piosenkę, zastanawiałeś się nad tym?

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — przerwał mu Daniel z pasją. — Całe piękno tego utworu polega na tym, że jest inny!...

Nie przestawali się kłócić. Nie chcąc ich słyszeć, skoncentrowałam się na zmianie kompozycji na moim talerzu: najpierw poukładałam krewetki od największej do najmniejszej, potem ułożyłam je w śmieszka. Odliczałam minuty do czasu, kiedy będzie mi wypadało wybąkać jakieś przeprosiny, wstać od stołu i sobie pójść, chociaż wiedziałam, że to szczyt hipokryzji, iż chcę bronić dobrego imienia Carli. Z niesmakiem przypominałam sobie uwagi, które poczynił Paul na temat burzliwego pożycia Carli i Daniela, i powoli zaczynałam rozumieć, w jaki sposób Daniel mógł być niebezpieczny dla innych — bynajmniej nie z powodu premedytacji czy okrucieństwa, lecz dlatego, że był zbyt przywiązany do własnej wizji, przez co tracił z oczu zadowolenie czy szczęście innych.

Z kieszeni Bernarda dobiegło głośnie bii-i-ip. Przeprosiwszy nas grzecznie, wyciągnął telefon komórkowy.

— *Yo*, Stefan — powiedział do aparatu z uśmiechem.

Już przy pierwszym słowie wiedziałam, w jakim języku rozmawia. Przysłuchiwałam się leniwie, rozkoszując się melodią i końcówkami, jakich moje ucho nie zaznało od miesięcy — chociaż wrażenie psuł nieco ciężki akcent Bernarda.

W miarę rozwoju rozmowy, nie dając nic po sobie poznać, zaczęłam przysłuchiwać się uważniej.

*

W tym samym czasie Daniel rozmawiał ze swym menedżerem.

— Jamie, musisz dopilnować, żeby w kontrakcie znalazła się klauzula o moim prawie do artystycznego weta, zapisana w stu procentach jednoznacznie. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś kombinował przy muzyce albo wprowadzał jakieś cholerne chórki, to by zniszczyło całą kompozycję. Ten utwór jest dla mnie zbyt ważny, wiesz o tym...

— Spokojnie, Daniel, wszystko będzie dobrze — zapewnił go Jamie.

Bernard zakończył rozmowę, zatrzasnął klapkę telefonu i schował go do kieszeni.

— Mój partner — wyjaśnił. — Bardzo był zadowolony, że nasze rozmowy posuwają się do przodu. Dziś po południu przefaksuje nam kontrakt, a nagrania mogą się zacząć nawet jeszcze w tym miesiącu.

— To świetnie — ucieszył się Jamie.

— Przepraszam — powiedziała, sięgając po sól. Ręką trąciłam kieliszek Daniela i resztkę szampana popłynęła na jego talerz. Chcąc ratować sytuację, rzuciłam się do przodu, żeby złapać kieliszek, lecz zamiast tego uderzyłam w brzeg talerza i małże w gęstym sosie wylądowały Danielowi na kolanach. — Ojej! — krzyknęłam.

— Rany boskie, Helen! — Daniel szarpnął się z całym krzesłem do tyłu, ale było już za późno.

— Tak mi przykro! — mówiłam, starając się zrobić porządek z jego spodniami za pomocą małej serwetki. Nachyliwszy się do Daniela, szepnęłam mu do ucha: — Na nic się nie zgadzaj. Zrozumiałam, co Bernard mówił przez telefon. Oni chcą cię oszukać...

— Co takiego? — spojrzał mi prosto w oczy i podjął grę. Wstał energicznym ruchem, strzepnął przyklejone resztki jedzenia i złapawszy mnie za rękę, z udawaną złością powiedział:

— Cholera, Helen, jak mogłaś być tak niezdarna?! Spójrz tylko, co zrobiłaś z moimi spodniami. Są do niczego!

— To się spierze — odparłam urażonym tonem. — Trzeba tylko najszybciej zmyć ile się da.

— W takim razie pomóż mi!

Bernard i Jamie odprowadzali nas zdumionym wzrokiem, kiedy odchodziliśmy ramię w ramię w stronę toalety, otoczeni przez co najmniej trzech zaaferowanych kelnerów. Daniel nie przestawał na mnie krzyczeć, a ja przepraszałam go potulnie, dopóki nie znaleźliśmy się na dole, przed parą drzwi z mało eleganckimi jak na taką restaurację tabliczkami z małym chłopcem i dziewczynką. Gdzieś po drodze zgubiliśmy kelnerów, na których Daniel także się wyżył, toteż byliśmy zupełnie sami.

— O co, do cholery, w tym wszystkim chodzi? — zapytał mnie Daniel, teraz naprawdę zły.

— Przecież ci powiedziałam. Chcą cię dosłownie obedrzeć ze skóry. Zrozumiałam wszystko, co Bernard mówił przez telefon.

— Nie wiedziałem, że znasz niemiecki — zauważył z przekąsem.

— To nie był niemiecki, tylko czeski — sprostowałam.

— I owszem, znam czeski, jeśli chcesz wiedzieć. Złość z niego wyparowała, górę wzięła ciekawość.

— Coś podobnego! — zagwizdał cicho. Nie byłam pewna, czy ta uwaga odnosi się do moich zdolności czy też raczej do niespodziewanych dla niego wiadomości dotyczących kontraktu.

— Od samego początku myślałam, że ma jakiś dziwny akcent, wcale nie jak Schubert... No więc może powiesz mi wreszcie coś więcej?

— Niewiele więcej wiem — przyznałam. — Ale na pewno mają zamiar cię oszukać i Jamie siedzi w tym po uszy. Bernard wyraźnie powiedział swemu partnerowi, że dwa tysiące załatwiły sprawę i że ty niczego nie podejrzewasz.

— Coś podobnego! — powtórzył Daniel i przyjrzał mi się badawczo. — Ale ty nie jesteś szpiegiem, Helen, co?

— No wiesz! — nie wydawał się przekonany, więc postanowiłam zrelacjonować mu rozmowę dokładniej. — Bernard nazwał cię głupcem i powiedział, że połknąłeś przynętę. Mówił też coś o tan-
tiemach i produkcji w drugiej fabryce, cokolwiek to miało znaczyć. Rozumiesz coś z tego?

— Może... — zastanawiał się przez chwilę. — I jesteś pewna, że Jamie jest w to zaangażowany?

— Absolutnie.

— Taak... Od początku nie miałem do niego zaufania. Przyszedł do firmy jakieś parę miesięcy temu, kiedy Harry, mój dotychczasowy menedżer, musiał pójść do szpitala. Muszę się z nim skontaktować i dowiedzieć, co się dzieje. Ciekawe, czy... — przerwał raptownie.

Bernard schodził wolnym krokiem po stopniach.

— Daniel, wszystko w porządku? — zapytał podchodząc do nas, wyraźnie zafasowany.

— Niezupełnie... — Daniel obrzucił starszego mężczyznę zimnym spojrzeniem. Już myślałam, że zażąda konfrontacji na miejscu, ale widać zmienił zdanie, gdyż wskazując na spodnie, powiedział niezadowolonym głosem: — Wyobraź sobie całą tę zimną wodę. Okropność!

— Zaraz podadzą ci nowe nakrycie. Zamówiłem też brandy, żebyś się rozgrzała.

— Chyba będziesz musiał ją wypić sam — gładko skwitował zabiegi Bernarda. — Mnie czeka dziś długa jazda do domu.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Bernard, otwierając drzwi z chłopczykiem. Na mnie nawet nie spojrzał: nie dość, że nudziara bez krztyny słuchu, to jeszcze niezdarą...

— Zajdę do dziewczynek — powiedziałam.

— Co za drań... — Daniel w zamyśleniu patrzył na zamknięte drzwi do męskiej toalety. — Helen, czy umiałabyś przetłumaczyć: „Weź sobie swój kontrakt i wsadź go tam, gdzie światło nie dociera”?

— Myślę, że tak, ale tłumaczenie mogłoby być niedokładne; pewnie użyłabym kolokwializmów...

— Im gorszy język, tym lepsza wersja — uśmiechnął się do mnie Daniel.

— Co zamierzasz? — spytałam go z dłonią na klamce.

— Nie wiem — rozłożył ręce. — Wciąż nie jestem pewien, o co w tym wszystkim chodzi... Na razie muszę się przebrać w czyste spodnie. Niech to szlag! — zaklął pod nosem.

Nie wiedząc, czy przeklina mokre nogawki czy oszukańczych kontrahentów, na wszelki wypadek zniknęłam w damskiej toalecie. Kiedy parę minut później wyszłam na korytarz, Daniel wciąż tam stał.

— Bernard poszedł na górę — oznajmił. — Moim zdaniem nie ma sensu do nich wracać. Zabierajmy się stąd.

— Świetny pomysł.

— Ale najpierw musimy zabić im klina. Mogłabyś w drodze do wyjścia powiedzieć coś po czesku? — poprosił. — Żeby dać im do zrozumienia, że wiesz, o czym gadał przez telefon. Niech się drań też trochę podenerwuje.

— Może to zdanie o kontrakcie i gdzie go sobie powinien włożyć? — zaproponowałam.

— Hmm... Bardzo bym chciał zobaczyć ich miny, ale lepiej zacznijmy od czegoś subtelniejszego.

— Jasne. Nie martw się, wiem, co im powiedzieć. Zdaj się na mnie.

Uśmiechnął się szelmowsko.

— Helen, mam w nosie, czy jesteś szpiegiem czy czarownicą. Już drugi raz ratujesz mnie z opresji i cię uwielbiam. Chodźmy!

Jego entuzjazm udzielił się i mnie. To było tak, jakbym grała, i nawet potrafiłam cieszyć się jego komplementami. Odczuwałam coś na kształt radości, zapominając o wątpliwościach i strachach, po prostu korzystałam z chwili.

Byliśmy już na sali. Daniel wziął mnie pod ramię i kiwając głową w stronę naszego stolika, powiedział:

— Popatrz, Bernard znów rozmawia przez telefon. Może uda ci się jeszcze coś zrozumieć. Nie odzywaj się, dopóki nie dam ci znaku...

Kiedy siadaliśmy na swoich miejscach, Bernard i Jamie nie dali po sobie poznać, że zauważyli moją obecność, posłali jedynie współczujące spojrzenie Danielowi, które tak ociekało fałszem, że nie mogłam się nadziwić, iż nie powzięłam co do nich podejrzeń znacznie wcześniej. Daniel rzeczywiście otrzymał nową porcję małży, moje krewetki w dalszym ciągu uśmiechały się do mnie z talerza. Bernard ruszał brwiami przepraszająco i kontynuował rozmowę przez komórkę, a Jamie leniwie zaciągał się papierosem. Z obrzydzeniem spostrzegłam, że filtr jest cały mokry od śliny.

Daniel przyglądał mu się jak lew obserwujący gazelę, która nagle okulała.

— Lubisz swoją pracę, Jamie? — zapytał jakby nigdy nic. Jamie wyjął mokry papieros z ust i wymamrotał:

— Podoba mi się w niej różnorodność wyzwania...

— Taak — rzekł Daniel przeciągle, a Jamie nagle poczuł się nieswojo.

Bernard wreszcie zakończył telekonferencję i odłożył aparat na stół.

— Przepraszam, Daniel. Na czym to skończyliśmy?

— O to samo miałem cię właśnie zapytać — odparł Daniel, rzucając mi pytające spojrzenie, na które uniosłam ręce, dając mu do zrozumienia, że ostatnia rozmowa Bernarda nie przyniosła nic nowego. — Kolej na ciebie, Helen — uśmiechnął się do mnie zachęcająco.

Upiłam łyk szampana i bąbelki momentalnie uderzyły mi do głowy. Czułam się jak przed skokiem z najwyższej trampoliny. Zaczerpnąwszy powietrza powiedziałam Herr Schmidtowi, po czesku, oczywiście, jak bardzo się cieszę, że go poznałam, po czym przesłam do omówienia innych spraw. Być może popełniłam jeden czy dwa błędy, ale nawet jeśli, to Bernard ich nie zauważył. Jego twarz zmieniała kolor z szybkością, której nie powstydziliby się kameleon; zanim skończyłam, był buraczkowy i zaplawał się z wściekłości. Darł się po czesku, ale tym razem go nie rozumiałam, gdyż rzucał mięsem, a takiego słownictwa z pewnością nie mogłam zasłyszeć raczkując u matczynych stóp. Widząc mój brak reakcji, odwrócił się do Daniela i zażądał informacji:

— Kim jest to babsko?

— To opiekunka moich dzieci — wymyślił na poczekaniu Daniel.

Jamie siedział jak sparaliżowany. Oczy miał wybałuszone, a z półotwartych ust zwisał mu zgasły papieros.

— To co, idziemy? — zapytał mnie Daniel.

— Pewnie.

Wstaliśmy równocześnie i zaczęliśmy sobie torować drogę przez zatłoczoną restaurację. Przy wyjściu musieliśmy zaczekać, aż ktoś poda nam płaszcze, i stojąc tyłem do sali, obserwowaliśmy w dużym lustrze, jak opuszczeni przez nas mężczyźni kłócą się zawzięcie.

Na zewnątrz uderzyło nas mroźne powietrze i hałas ruchu ulicznego, ale nic nie mogło przytępić radości Daniela.

— Cudownie! — wykrzyknął i jadowicie dodał: — Niech obaj się teraz wiją przez całą wieczność... — Tę ostatnią uwagę usłyszała wysiadająca właśnie z taksówki odziana w drogie futro kobieta i spojrzała na Daniela z obawą. Ten wszakże wzruszył tylko ramionami i objąwszy mnie, powiedział: — Helen, byłaś wspaniała. Nie dbam o to, co mu naopowiadałaś, grunt, że te dwa padalce nawet nie wiedzą, co ich dziabnęło. Chodź... — przytrzymał drzwi taksówki, które wyfutrzona damulka chciała zatrzasnąć, i położywszy mi dłoń na plecach, wepchnął mnie do środka. — Wskakuj — rzekł przy tym, a ja wiele się nie namyślając, poszłam za jego radą.

Daniel pochylił głowę, żeby zająć miejsce obok mnie, rzucając taksówkarzowi adres w Fulhamie.

— Dokąd jedziemy? — spytałam.

— Do domu Angie. Muszę zmienić spodnie, zanim zacznę roztaczać wonie jak na targu rybnym. To zajmie tylko chwilkę... Dowiedziałaś się czegoś z drugiej rozmowy naszego przyjaciela?

— Tylko tyle, że jego połowica ma dziś leczenie kanałowe zęba...

— Świetnie. Mam nadzieję, że będzie bolało. I że on też straci wszystkie zęby.

— Wyobraź sobie, obiecywał jej, że po dzisiejszych rozmowach w Londynie będą sobie mogli kupić ślizgacza, o którym od dawna marzyła, a także spłacić wszystkie pożyczki.

— Co za drań! — powtórzył Daniel w zamyśleniu. Nagle odwrócił się do mnie i zapytał: — Co mu naopowiadałaś? Chcę poznać każdy szczegół, nie omiń niczego.

— Dobrze. Ale pod warunkiem, że podrzucisz mnie pod stację metra.

— Śpieszy ci się gdzieś? Przecież nie tknęłaś jedzenia, musisz być głodna.

— Wcale nie — zaprzeczyłam.

— Na litość boską, Helen, przestań grać szarą myszkę. Jestem twoim dłużnikiem... Pozwól mi się tylko przebrać i będziemy mogli wreszcie pójść na ten lunch, na który cię zaprosiłem.

— Ale...

Chciałam protestować, powiedzieć mu, że jest ostatnią osobą na świecie, która mi cokolwiek zawdzięcza, ale pobudzona szampanem i szokiem konfrontacji z Bernardem pomyślałam: Do diabła z tym wszystkim! Skoro Daniel Finch uważa, że jest moim dłużnikiem, niech tak będzie! Przynajmniej dostanę to, czego chciałam: pobędę jeszcze trochę w świecie Carli. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czułam, że żyję, lecz wiedziałam, że efekt alkoholu i adrenaliny nie utrzyma się wiecznie — dlatego postanowiłam korzystać, póki się da.

Daniel chyba widział, co się ze mną dzieje, gdyż żartobliwie mnie przestrzegł:

— Uważaj, Helen, bo zaraz zaczniesz się dobrze bawić!

— Tak, ale tylko przez moment — odparłam, a on się uśmiechnął, biorąc moje słowa za żart.

Dom Angeli okazał się trzypiętrowym eleganckim szeregowcem położonym przy spokojnej uliczce w Fulhamie. Zaprosiwszy mnie do środka, Daniel powiedział, że jego ekszona wraz z dziećmi przebywa w Somersecie, u jej rodziców, toteż mogę się czuć jak u siebie. Poprosił, żebym zaparzyła nam kawę, podczas gdy on będzie się przebierał na górze.

— Kuchnia jest tam — wskazał ręką tył domu.

Robienie kawy dla niego i Angeli powoli wchodziło mi w krew. Jeżeli już nic innego, przynajmniej to jedno ich łączyło: pańskie przekonanie, że świat pełen jest ludzi, którzy tylko czekają, żeby podać im kawę albo wyciągnąć z tarapatów. W innej sytuacji ta cecha ich charakteru doprowadziłaby mnie do szewskiej pasji, w obecnej — grzecznie posłuchałam wydanego polecenia.

Hol domu i kuchnia pomalowane były na mocne kolory — czerwony i żółty, co od razu przywiodło mi na myśl niebieską żywość kuchni w domu Daniela. Pierwotnie uznałam, że był to wybór Carli, teraz jednak zastanowiłam się, czy przypadkiem nie „odziedziczyła” jej w spadku po Angeli. Z jakiegoś powodu nie spodobała mi się ta myśl.

Zorientowawszy się, co gdzie jest w bez pomyślunku porozwieszanych szafkach, zabrałam się do przygotowywania kawy, słysząc, jak na górze Daniel przemierza pokój tam i z powrotem, głośno rozmawiając przez telefon. Domyśliłam się, że udało mu się złapać Harry'ego, pechowego szefa Jamiego, toteż przygotowałam się na dłuższe czekanie. Nalałam sobie kawy do kubka przywiezionego przez kogoś z urlopu spędzonego za oceanem, na wyspie Martha's Vineyard, i przeszłam do salonu.

W porównaniu z resztą domu, którą na razie zobaczyłam, a która sprawiła na mnie wrażenie lekko zaniedbanej, choć rzucającej się w oczy z powodu zdecydowanych kolorów ścian, salon był spokojny i schludny. Przeważały w nim chłodne szarości i zieleń, a meble stały w karnym porządku. Ascetyczne biurko ustawione było pod największym oknem, parę regałów zasłaniało ściany, a punkt centralny pokoju tworzyła niewielka sofa i dwa fotele w półokręgu, na których zapewne zasiadali pacjenci Angeli — ci, co to wymagali dłuższej terapii z powodu, jak mówiła, uzależnień. Na półkach biblioteczeki zauważyłam kilka oprawionych fotografii pani domu — na każdej prezentowała się jak uosobienie sukcesu, ze swą wspaniałą blond fryzurą i uśmiechem sześć na dziewięć. Tu i ówdzie stały skromniejsze zdjęcia znanych osób z nagryzmołonymi dedykacjami sugerującymi, że Angela uratowała im życie albo przynajmniej postawiła na nogi. Na samym środku pokoju, na ławie z drewna klonowego, stał wielki portret Daniela i Angeli, obejmujących się i stykających kontrastującymi w barwie głowami (jego ciemna, jej jasna) i śmiejących się w stronę fotografa. Odniosłam wrażenie, że było to stosunkowo świeże zdjęcie, zrobione najwyżej parę lat temu, i po raz kolejny pomyślałam, że Daniel nie miał prawa wiązać swego życia z drugą żoną, póki nie rozszedł się na dobre z pierwszą — cóż z tego, że od dawna byli po rozwodzie! Dowodów na to, że pozostali blisko z sobą, miałam więcej: Daniel zatrzymał klucze do domu Angeli i przechowywał w jej garderobie swoje ubrania.

Czułam, jak opuszcza mnie euforia przeżyta podczas ostatnich minut w restauracji. Daniel wciąż chodził niespokojnie po sypialni, głośno rozmawiając przez telefon. Już wcześniej zwróciłam uwagę, że ma wyrazisty, miły głos, którego z przyjemnością można było słuchać nawet wtedy, gdy nie rozumiało się ani słowa z tego, co mówi, nawet gdy pobrzmiwała w nim złość czy rozdrażnienie. Powoli jednak ten monotony zaśpiew zaczynał mi działać na nerwy; z każdą chwilą stawał się coraz mniej atrakcyjny, coraz bardziej zaś przypominał fałszywy charme naciągacza.

Czekając, aż skończy rozmawiać i wreszcie zejdzie do salonu, zastanawiałam się, czy Carla tu z nim przyjeżdżała czy też była porzucana na pastwę jego dzieci z pierwszego małżeństwa, podczas gdy on, pan i władca, wybierał się na uroczne tête-à-tête ze swą eks... Po raz pierwszy na własnej skórze doświadczyłam, jak szalenie samotna musiała czuć się Carla, kiedy Daniel o niej zapominał i bez reszty poświęcał się czemuś innemu. Bądź komuś innemu... Nawet mnie — zupełnie obcej osobie, nie mającej zamiaru podtrzymywać z nim znajomości — takie traktowanie sprawiło przykrość, a co dopiero drugiej żonie, niepewnej swej pozycji. Carla w podobnej sytuacji musiała być zdruzgotana! — pomyślałam. Ja przynajmniej odniosłam z czasu spędzonego wspólnie z Danielem jakąś korzyść: pozor-

nie zapomniawszy o Carli, dowiedziałam się, jak mogła się czuć w związku z Danielem. Wiedza ta jednak równocześnie wprowadziła mnie w niepokój. Uznałam, że czas się pożegnać.

Wróciłam do kuchni, gdzie podlałam jeszcze suchotniczą zielistkę, po czym umyłam kubek po swojej kawie, nałożyłam płaszcz i przeszłam do holu. Stanąwszy u podnóża schodów, usłyszałam, jak Daniel mówi:

— Naprawdę sądzisz, że sobie pogrywają? W takim razie dajmy draniom nauczkę!

— Daniel! — krzyknęłam. — Wychodzę! Nie fatyguj się na dół, zamknę za sobą drzwi.

— Co takiego?! — odkrzyknął i nieco ciszej dodał do słuchawki: — Zaczekaj chwilę...

— Muszę już iść — powiedziałam głośno. — Kawa stoi na stole w kuchni. Na razie!

Otworzyłam drzwi frontowe, wyszłam na zewnątrz i pozwoliłam im się zatrzasać. Owionęło mnie przenikliwe listopadowe powietrze, toteż postawiłam kołnierz płaszcza, chcąc chronić uszy przed zimnem, i ruszyłam szybkim krokiem, tak dobrze wyćwiczonym podczas moich samotnych wędrówek ulicami Londynu.

To już był koniec — koniec życia w świecie fantazji. Na powrót znalazłam się w swoim własnym, jak najbardziej rzeczywistym życiu, wraz z którym w parze szła tajemnica i wina, i samotność. Puste mieszkanie, próżny żal, niepotrzebne życie. Byłam wiecznym tułaczem, pariasem, dla którego nie było nadziei, gdyż musiałam się trzymać od wszystkich na dystans, nie mogąc pozwolić sobie na luksus bliskości, z którą przecież wiązałyby się szczerłość, a jak tu mówić o szczerości, kiedy najważniejsza prawda o mnie musiała pozostać na wieki ukryta? Przypomniało mi się żartobliwie pytanie Daniela: „Ale ty nie jesteś szpiegiem, Helen, co?” i pozazdrościłam tym wszystkim agentom, których żony i najbliżsi nie mają pojęcia o wiedzionym pod ich nosem podwójnym życiu. Zaraz jednak uprzytomniłam sobie, jak wiele mnie od owych agentów różni: oni mają jakiś szczytny cel, wierzą w to, co robią, wreszcie czerpią otuchę z towarzyszy, z którymi mogą dzielić swe troski. Ja byłam skazana tylko na siebie — i na swą pamięć.

Otrząsając się z niemiłych myśli usłyszałam, jak jakiś mężczyzna woła za mną:

— Jezu, Helen, masz zamiar startować w maratonie czy co?!...

— A kiedy zadyszany zrównał się ze mną, dodał już cichszym głosem: — Przepraszam, że tak długo wisiałem na telefonie.

Odwróciłam się, zaraz jednak odetchnęłam z ulgą.

— Daniel...

— Czy coś się stało? — spytał, a ja dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że twarz mam mokrą od łez.

— To ten wiatr, zaproszył mi oczy — wytłumaczyłam się i zaraz zmieniłam temat. — Udało ci się dowiedzieć, co jest grane?

— Tak. Zdaniem Harry'ego ten cały Schmidt jest w zмовie z jakąś czeską fabryką, która chce wypuścić na rynek lewe kopie. My dostalibyśmy tantiemy tylko za niewielki ułamek legalnej produkcji, jaka miałaby miejsce w wytwórni w Niemczech. Ale nie mówmy już o tym! Te patafiany zabrały mi i tak zbyt wiele czasu... Taksy! — podniósł rękę i jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki przy krawężniku stanęła jedna z londyńskich żółtych taksówek. Daniel zachęcającym gestem otworzył drzwi.

— Nie zwracaj sobie mną głowy — rzekłam. — Kawalek dalej jest stacja metra.

— Ale ja obiecałem ci lunch...

— Naprawdę, Daniel, nie przełknęłabym ani kęsa.

— No dobrze. W takim razie pojedziemy do Muzeum Królowej Wiktorii i Księcia Alberta. Chcę ci coś pokazać.

— Co takiego? — spytałam.

— Zaczekaj, a zobaczysz — z uśmiechem pomógł mi wsiąść do taksówki.

Wcisnęłam się w najdalszy kąt tylnego siedzenia, przeklinając się w duchu, że znów nie udało mi się skutecznie zaoponować. Dlaczego nie potrafię się postawić, kiedy jestem z Danielem? — myślałam rozzłoszczona.

— Nie musisz wracać do Devonu? — zapytałam, żeby coś powiedzieć.

— Nagła zmiana planów — odparł. — Przenocuję u teściów w Somersecie, a rano zabiorę dzieci do domu. Ale, ale... Nadal nie wiem, jakim cudem tak płynnie władasz czeskim — popatrzył na mnie wyczekująco.

— Nie pytałeś mnie o to wcześniej — wykręcałam się bez przekonania.

— Teraz cię pytam — nie spuszczał ze mnie oczu.

— Cóż, skoro tak, odpowiedź jest krótka: mam to w genach. W oczach Daniela pojawiły się przekorne ogniki.

— Podobnie jak granie na nerwach? — zadał to pytanie z niewinną miną, ale zdradzały go roziskrzony oczy.

— Hmm — zawahałam się chwilę. — Można i tak to ująć.

Daniel wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem, który musiał być zaraźliwy, gdyż kiedy podjeżdżaliśmy pod muzeum, poczułam, że mięśnie mojej twarzy próbują ułożyć się w coś na kształt uśmiechu.

Spędziliśmy przeszło pół godziny oglądając wiekowe instrumenty muzyczne, po czym Daniel nagle przerwał pełną skupienia ciszę.

— Pokażę ci jeszcze jedną rzecz i znikamy stąd, obiecuję.

Ruszyłam za nim w stronę szerokich schodów, którymi weszliśmy na długą galeryjkę, gdzie wyeksponowane były najrozmaitsze, doprawdy przedziwne przedmioty z kutego żelaza — wymyślne

kraty i ozdobne kratki, cudaczne bramy i pancerne kufry, a nawet balkonowe balustrady o tak finezyjnej budowie, że ich pajęczne kształty zdawały się tańczyć w oczach oglądającego.

— Nigdy tu wcześniej nie byłam — przyznałam.

— Niewiele osób wie o tej wystawie — poinformował mnie szeptem Daniel. Rzeczywiście: wokół nas było zupełnie pusto, choć w innych częściach muzeum roiło się od ludzi mimo stosunkowo późnej pory. — Przychodzę tu od czasu do czasu w poszukiwaniu korzeni... Tutaj i do sali z instrumentami. Te wytwory ludzkich rąk — zatoczył wokół dłonią — przypominają mi o prawdziwej sztuce, kiedy ogarnia mnie zbyt ni entuzjazm w ńście szatańskim przemyśle, któremu zaprzedałem duszę.

— Tak to odbierasz? — zdziwiłam się. Pokiwał smutno głową.

— Niestety nie da się zarabiać na życie, co oznacza pisanie muzyczki do oper mydlanych i reklam, i się nie sprzedać. Na początku każdy oczywiście myśli, że zdoła oddzielić od siebie te dwie sprawy: zarabianie pieniędzy i tworzenie muzyki, ale nikomu się to nie udaje. Zawsze prędzej czy później wygrywa proza życia, a do człowieka dociera, że stał się jeszcze jednym wyrobnikiem... — Daniel zamyślił się. — Pewnie w to nie uwierzysz, ale był czas, kiedy mówiono o mnie: młody zdolny kompozytor. Mam dopiero czterdziestkę, ale nikt już o mnie nie powie ani: młody, ani: zdolny... — Podprowadził mnie do fikuśnej metalowej ławki i powiedział: — Na nich można siadać, wiesz? — Po czym usiadłszy, zachęcił mnie gestem, dodając: — Są nie tylko piękne, ale także wygodne.

Przysiadłam się obok.

— Jak tu cicho — zauważyłam.

— Tak sądziłem, że ci się tu spodoba — rzekł Daniel i się zadumał. Po dłuższej chwili znów przemówił, tym razem ostrożniej. — Hmm... Helen, Leonie mi wspomniała, że pytałaś ją o Carłę.

— Tak, trochę — odparłam asekuracyjnie. — Zrozum, spędziłam z nią prawie dwa tygodnie w Grecji, a tak mało o niej wiem...

— I chciałabyś wiedzieć więcej?

— Ha! Z początku tak mi się właśnie zdawało, teraz nie jestem już niczego pewna.

— To dlatego przyjechałaś do nas do Devonu, prawda? — drażył, obdarzając mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

— Przypuszczam, że tak. Przynajmniej był to jeden z powodów.

— A jakie były te inne?

— Ja... — zająknęłam się. W piersi mi waliło, choć przecież spodziewałam się, że prędzej czy później Daniela zainteresują moje motywy. Powinnam była się na tę chwilę przygotować, a jednak nie uczyniłam tego. — Byłam po prostu ciekawa — powiedziałam głuchym głosem, wpatrując się w zawieszoną na wprost bramę z kutego żelaza. Choć siedziałam do Daniela bokiem, byłam boleśnie świadoma jego białego we mnie wzroku.

Po chwili milczenia odezwał się cicho:

— Jest w tobie coś dziwnego, Helen, coś, czego nie potrafię rozgryźć, coś, co mi bardzo nie pasuje...

— Ścięłam włosy — odpowiedziałam, żeby odwrócić jego uwagę.

— Nie, to coś innego.

Wzruszyłam ramionami z udawaną nonszalancją.

— W takim razie nie wiem, o co ci chodzi.

Znów zapadła cisza; Daniel przetrwał w myśli to, co ode mnie usłyszał, nie przestając mi się przyglądać, jakby w mojej twarzy mógł znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Wreszcie, jakby doszedł do jakichś wniosków, wstał i odezwał się lżejszym tonem:

— Ale nie przestajesz mi pomagać... Wciąż się zastanawiam, jak bym sobie bez ciebie poradził podczas przyjęcia Vi. — Wydało mi się podejrzane, że tak nagle z inkwizytora przedzierzgnął się w uwodziciela. — A w restauracji przeszłaś wprost samą siebie! Do końca życia nie zapomnę wyrazu twarzy tego dupka, kiedy zagadałaś do niego po czesku. Byłaś wspaniała!

— Pyszenie przy tym bawiłam.

— To dobrze. Świetnie. Z dziećmi też ci się chyba nieźle układało?

— Dzieciaki są w porządku.

— Otóż, Helen... widzisz, zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś kiedyś znowu do nas przyjechać na parę dni... Rowan napomknął, że szkicowałaś nad zalewem, a możesz mi wierzyć, że jest to wymarzone miejsce dla artysty, zwłaszcza zimą.

— No, nie wiem... — zaczęłam niepewnie.

— Prawdę powiedziawszy — Daniel wpadł mi w słowo — myślałem o okolicy świąt czy Nowego Roku... Dzieciaki spędzają Boże Narodzenie z Angie i teściami, ale zaraz potem wracają do domu. Jedyne problemy, jakie przewiduję, to coroczny koncert z grupą ludzi, z którymi spotykamy się od czasów studiów. Obiecałem im, że wezmę udział w koncercie sylwestrowym w...

— Czyli potrzebujesz opiekunki do dzieci na sylwestra, czy tak? — zapytałam bez ogródek, odwracając się gwałtownie do Daniela.

Ze skruszoną miną przyznał:

— Impreza odbywa się w Aberdeen, nie dam rady obrócić tam i z powrotem w krócej niż trzy dni.

— Zatem potrzebujesz opiekunki nie tylko na sylwestra, ale także dzień przed i dzień po? — byłam zdumiona bezczelnością jego prośby.

— To znaczy, ja wiem, że proszę o bardzo dużo, ale... — płątał się niezręcznie, lecz mu przebrałam.

— Zgoda — rzekłam.

— Słucham? — Daniel zrobił wielkie oczy.

— Zgoda, zrobię to dla ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że... — zabrakło mu słów, a wyraz twarzy mówił sam za siebie.

Daniel musiał traktować mnie jak ostatnią deskę ratunku, na którą jednak nauczony doświadczeniem niezbyt liczył. Nie wątpię, że cierpliwość wszystkich jego krewnych i znajomych już dawno się wyczerpała, jeśli chodziło o opiekę nad jego diabelską trójką, toteż moja zgoda wprawiła go w zachwycone osłupienie. Wciąż patrzył na mnie rozanielonym ze szczęścia wzrokiem, kiedy dotarło do mnie, że muszę mieć dobry powód, by chcieć zajmować się cudzymi dziećmi w noc sylwestrową. Powiedziałam mu więc, nim mnie o to zapytał, że nienawidzę sylwestra w Londynie i że wypad na wieś to dla mnie atrakcja. On kurtuazyjnie odparł, że w takim razie muszę mu wyświadczyć tę grzeczność i zostać dłużej niż trzy dni. Ja równie uprzejmie zapewniłam go, że o tym pomyślę, choć w duchu od razu powzięłam postanowienie, że wyjadę zaraz po jego powrocie, gdy tylko pozwoli *savoir-vivre*.

Kiedy się zegnaliśmy, Daniel był zachwycony jak mały chłopiec, który dostał gwiazdkowy prezent w listopadzie. Nie mógł wiedzieć, że i ja poczułam wielką ulgę — częściowo dlatego, że prawidłowo, choć nieco cynicznie, odczytałam jego zaproszenie na lunch: faktycznie potrzebował opiekunki do dzieci i wpadłam mu w oko pod tym względem, nie zaś jako potencjalna podejrzana czy nie daj Boże narzeczona; poza tym bardzo się ucieszyłam, że otrzymałam jeszcze jedną szansę zanurzenia się w świat Carli.

Do domu szłam ponad godzinę, ale nie przeszkadzało mi to. W myśli przetrawiałam wydarzenia kończącego się dnia, z którego byłam bardzo zadowolona, mimo że nie miałam okazji zapytać Daniela o Carlę, co było moim pierwotnym zamiarem. Paradoksalnie samo jego towarzystwo sprawiło, że czegoś się o niej dowiedziałam. Choć nie miałam prawa osądzać Daniela, nie mogłam nie zauważyć, jak łatwo było poddać się jego urokowi i pozwolić sobą manipulować; zaczynałam więc rozumieć, dlaczego Carla zakochała się w nim bez pamięci i dlaczego skończyła jako nieszczęśliwa małżonka.

Biedna, biedna Carla — myślałam, maszerując szybkim krokiem w zapadającym zmierzchu. — Nie miała najmniejszej szansy na szczęście. Dorastała w potrzasku pomiędzy starszą siostrą, piękną, błyskotliwą i odnoszącą sukces za sukcesem, a młodszym bratem, który nie miał ani jednej dobrej cechy, lecz był przekonany o swej doskonałości i sprawił, że wszyscy w nią uwierzyli, co na jedno wychodzi albo nawet jest jeszcze gorsze. Jakby tego było mało, dorosłe życie spędziła stłamszona pomiędzy wielkim Danielem i równie wielką Angelą, z których każde było tak zaferowane swoją wielkością, że pewnie nawet nie zorientowali się, jaką krzywdę wyrządzają biednej, niemądrej Carli. I jak się tu dziwić, że nie była szczęśliwa albo że wręcz popadła w depresję? Sama mówiła, że wszyscy traktują ją jak pomiotło, a poznawszy jej rodzinę łatwo w to uwierzyć... Mówiła także, że czuje, iż się dusi — i z pewnością nie przesadzała, każdy w jej sytuacji tak właśnie by się czuł. Kiedy skarżyła mi się, że wszyscy ją wykorzystują, nie użalała się nad sobą, jak wcześniej myślałam, lecz mówiła szczerą, choć bolesną prawdę. Biedna Carla zdawała sobie sprawę ze swego położenia.

Wyjeżdżając w pojedynkę do Grecji musiała mieć nadzieję, że choć przez parę dni odżyje, będzie w centrum zainteresowania, na jakie zasługiwała, zamiast obumierać w cieniu innych. Jak żywo miałam w pamięci jej radosne podniecenie, kiedy stukając wysokimi obcasami czarno-złotych sandałków, ubrana w świetlistą żółtą sukienkę, zaczepiła Glena i Caddiego. „Glen jest mój, pamiętaj”, powiedziała mi potem, a ja teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego tak bardzo jej zależało, by wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak ona chciała. Kaprys losu jednak sprawił, że Glen wybrał mnie. Wściekłość Carli z tak błahego, jak mi się wtedy zdawało, powodu zdumiała mnie, gdyż nie wiedziałam o niej tego, co wiem teraz.

Naprawdę było mi jej żal. Nawet uciekwszy z domu, nie potrafiła przerwać swej złej passy.

L R

Część trzecia

DEVON, ANGLIA

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Boże Narodzenie tego roku przyszło nie białe, lecz deszczowe i wietrzne. Pod koniec grudnia cała południowa Anglia została nawiedzona przez gwałtowne burze i porywiste wiatry, tu i ówdzie rzeki wystąpiły z brzegów, toteż moja podróż do Devonu, którą podjęłam w przedostatni dzień roku, trwała dwa razy dłużej niż normalnie. Na miejscu zastałam szare niebo i równie szary zalew, spowite mgłą i deszczem.

Od czasu naszego „czeskiego lunchu” Daniel skontaktował się ze mną parę razy, zawsze ponawiając zaproszenie, bym przyjechała wcześniej bądź została dłużej — wyraźnie kołatały się w nim resztki poczucia przyzwoitości i nie chciał, żebym odniosła wrażenie, że jestem wykorzystywana. Ja wszakże nie czułam się w jego towarzystwie dobrze i odkąd dowiedziałam się o nim i Carli wystarczająco wiele, wołałam go unikać. Bardzo się więc ucieszyłam, kiedy w domu czekały na mnie tylko dzieci i Janet, sprawująca nad nimi opiekę do mego przyjazdu.

Przez dwa następne dni deszcz padał bez ustanku, toteż przyzwyczajona do ciągłego ruchu na świeżym powietrzu z trudem znosiłam zarówno zamknięcie w czterech ścianach, jak i przywiązanie do trójki diabolicznych dzieci, które musiałam zabawiać w domu bądź zawozić do kina i na basen, a w wolne dni także do ich mieszkających w okolicy przyjaciół. W tych rzadkich chwilach, które miałam dla siebie, próbowałam odkryć dalsze ślady Carli, lecz z marnym skutkiem. Jak na złość trwająca nieprzerwanie od wielu dni zła aura skończyła się równo ze świętami — drugiego stycznia wiatr się uspokoił, deszcz przestał padać i wypogodziło się ponure dotychczas niebo.

Być może wracający do pracy londyńczycy nie odczuli tej zmiany tak jak my na wsi, gdzie nagle zapachniało wiosną: na wzgórzach za domem radośnie pobekiwały owce, a na znów niebieskiej tafli teraz już spokojnych wód zalewu pływały dziesiątki przeróżnych ptaków, w większości nie znanych mi z nazwy, i wciąż dołączały do nich nowe, opadając z nieba niczym wielkie płatki spóźnionego śniegu. Nawet dzieci, przyzwyczajone przecież do uroków wiejskiego życia, z zadowoleniem powitały możliwość opuszczenia murów i prawie cały dzień spędziły na dworze, w ogrodzie i na plaży, zapominając, iż za punkt honoru postawiły sobie uczynić moje życie koszmarem. Nastął tymczasowy rozejm.

Rowan z entuzjazmem wymachiwał kijem do krykieta, który dostał w prezencie gwiazdkowym, za wszelką cenę pragnąc go wypróbować, w czym ku memu zdumieniu zechciała mu pomóc nie tylko Vi, lecz również Lily. Dzieci zajęły pozycje na kawałku trawy wiodącym w dół ku wodzie, a powłóczyący zreumatyzowanymi nogami Tygrys dołączył do nich w charakterze jedyne go widza. Mnie przypadła rola serwującego; Rowan i Lily na przemian odbijali piłkę, a Violet robiła za gracza atakującego, choć bez specjalnego powodzenia.

Ta prosta gra sprawiła mi wielką przyjemność; dobrze było móc skoncentrować się na zwykłym, nie wymagającym myślenia zadaniu — zrobić parę kroków w stronę brzegu „boiska”, odwrócić się twarzą do jednego z dzieci (jeśli był to Rowan, niecierpliwie uderzał czubkiem kija o ziemię, marszcząc brwi w skupieniu; jeśli Lily — beztróska machała kijem niczym rakieta tenisową, za co zawsze zbierała burę od brata) i złapawszy mocno piłkę zacząć biec, równocześnie odchylając dłoń z piłką do tyłu, a potem zataczając wielkie koło wyrzucić ją, niezbyt silnie, lecz i nie za słabo, żeby nie obrazić młodego gracza — jednym słowem w sam raz i celnie, żeby dziecko bez trudu odbiło małą twardą piłeczkę lecącą w jego kierunku.

Graliśmy pewnie z godzinę, lecz wcale się nie nudziłam i chętnie bym się bawiła dalej, pozwalając, by dopiero zmrok nam przerwał. Dzięki prostym, mechanicznym czynnościom wyzwoliłam się spod władzy czasu, ba, znalazłam się poza nim, nareszcie nie spętana wydarzeniami zapisanymi w kalendarzu mego życia.

To miał być mój ostatni dzień w domu Finchów. Spodziewałam się powrotu Daniela ze Szkocji najpóźniej wieczorem i zamierzałam wyjechać zaraz potem, nawet jeśli oznaczało to konieczność prowadzenia po ciemku. Postawiłam sprawę jasno jeszcze w trakcie uzgadniania z Danielem warunków mojego pobytu i nie myślałam zmieniać zdania, zwłaszcza że wszem wobec obwieściłam, iż nazajutrz rano w Londynie czeka mnie ważna rozmowa w sprawie pracy. Daniel nie protestował — raz, że nie czuł potrzeby nalegać, bym została, skoro i tak zgodziłam się zrobić to, o co prosił; a dwa, że z rzucanych mimochodem uwag Lily wywnioskowałam, iż wakacje po Carli (jakakolwiek była jej pozycja w tym domu) zostanie wkrótce zapelniony.

Jednakże stojąc na podmokłej trawie w połowie drogi między domem a zalewem nie myślałam o tym wszystkim; pozwoliłam, by gra zawładnęła mną bez reszty. Odebrać piłkę, przejść na brzeg „boiska”, odwrócić się, przebiec parę kroków, odgiąć rękę do tyłu i wyrzucić piłkę...

Jeśli nie liczyć mojego udziału w „czeskim lunchu”, po raz pierwszy od dawna potrafiłam się na czymś skoncentrować, co dawało mi nadzieję na przyszłość. Niestety moje życie w Londynie nadal było jedną wielką niewiadomą. Wiedziałam tylko tyle, że wieczorem opuszczę urokliwy dom nad zalewem i nigdy doń nie powrócę. Po paru tygodniach lub miesiącach dzieci o mnie zapomną: najpierw to, jak wyglądam, później moje imię, wreszcie sam fakt mego istnienia i że kiedykolwiek mnie poznały. Z goryczą pomyślałam, że nawet Carla, która przecież żyła z nimi znacznie dłużej, pozostawiła

bardzo nieliczne ślady — w moim wypadku nie będzie ich prawie w ogóle. Stanie się więc tak, jak sobie zamierzyłam, tak, jak powinno się stać.

Zatem niebawem opuszczę świat Carli — westchnęłam w duchu, zdając sobie sprawę, że przy tak niepewnej przyszłości liczy się dla mnie wyłącznie teraźniejszość. Całą sobą chłonełam więc otaczający mnie przestwór powietrza i wody, przenikliwe wrzaski dzieci, mecenie owiec; kontemplowałam twardość i okrągłość, i śmiertelność piłeczki dzierżonej przez krótką chwilę w dłoni, by zaraz ją wypuścić szerokim łukiem ponad głową...

Pac!

— Świetny strzał, Lily! — pochwaliłam dziewczynkę, mimo że jej chyba na tym nie zależało.

— Teraz ja! — krzyknął Rowan.

W pewnym sensie wpadłam w trans, opuściłam swoje ciało i poruszałam się lekko i zwiewnie jak muskający mą skórę wiatr. Nareszcie mi się udało! — myślałam. — Wreszcie stałam się niewidzialna! Przestałam być Helen North, obciążoną winą i żalobą, nie byłam także Carlą; udało mi się wpasować w przestrzeń, którą wypełniałaby Carla, gdyby żyła, tyle że ja byłam zaledwie cieniem, ulotną istotą wypełniającą powstałą po niej lukę.

To wszystko co mam — myślałam. — Potem nie będzie już nic.

— Łap! No łapże!

— Ale z niej niezdara!

Violet biegła, śmiesznie podrygując, ku nadlatującej piłce, wyciągnęła nawet rączki przed siebie, formując z nich miseczkę na wysokości piersi, lecz w ostatniej chwili stchórzyła i odskoczyła w bok, dłońmi zasłaniając twarz. Uderzona mocno przez Rowana piłka przeleciała centymetry od jej głowy, po czym spadła z plaskiem na trawę i potoczyła się w dół. Vi pokłusowała jej śladem. Nie dziwiłam się dziewczynce ani trochę, że w ostatniej chwili zrezygnowała ze złapania piłeczki, gdyż kiedy pochwyciła ją za pierwszym razem, niczego nieświadoma, od impetu uderzenia aż zakręciły się jej łyzy w oczach i długo potem dmuchała na palce, jakby przez moment trzymała nie kawałek plastiku, lecz rozgrzane do czerwoności węgle. Od tamtej pory za każdym razem dzielnie się przymierzała do złapania rzuconej przez któreś z rodzeństwa piłki, lecz każdorazowo wycofywała się z ostrożności, nie zważając na późniejsze drwiny.

— Och, Vi, ty naprawdę jesteś beznadziejna — zajęczał Rowan.

Violet dogoniła piłkę i biegiem wracała na „boisko”, lekko posapując ze zmęczenia.

— No to może przynajmniej umiesz nią rzucać? — podpuszczała siostrę Lily.

Violet jednak знаła swoje możliwości; odczekała do czasu, aż znalazła się jakieś cztery metry ode mnie, po czym delikatnym wyrzutem ramienia puściła piłkę w moją stronę. Musiałam podbiec do przodu, żeby ją schwytać, co Rowan oczywiście skwitował kolejnym jękiem.

— Świetny rzut, Vi — pochwaliłam udając, że nie zauważam reakcji jej brata.

Zachwycona pochwałą dziewczynka położyła dłonie na trawie, po czym zamajtała nogami w powietrzu, co jak zdążyłam się zorientować, było jej wersją stania na rękach. Stojąca na bramce Lily w odpowiedzi wykonała perfekcyjną gwiazdę, ale Rowan miał dość tych akrobatycznych popisów.

— Gotów! — krzyknął, niecierpliwie stukając kijem o ziemię.

Przeszłam na skraj naszego boiska, gdzie od pewnej chwili stała już Violet w bezpiecznej odległości od linii rzutu.

— Stąd będzie ci trudniej przejąć piłkę — zauważyłam.

— Wiem — wzruszyła ramionami — ale ja patrzę, czy nie jedzie już tatuś.

— O, jego jeszcze długo nie będzie — wycedził kwaśno Rowan.

— Jak przyjedzie, będzie już od dawna ciemno, a ty będziesz spała — dorzuciła Lily.

— Nieprawda — obruszyła się Violet. — Dzisiaj może przyjechać wcześniej... — urwała i z nadzieją wpatrzyła się we wstęgę szosy. — O, nawet słyszę samochód, to pewnie tatuś jedzie...

— To nie samochód, Vi, tylko traktor — pouczył młodszą siostrę Rowan, do mnie zaś krzyknął: — To co, gramy czy nie?

— Wszyscy gotowi? — spytałam.

Lily dopiero teraz przyjęła za palikami pozycję bramkarza.

— Tak! — odkrzyknęła przykucając.

Zaczęłam biec. Wzięłam zamach ręką, w której trzymałam piłkę, całą uwagę koncentrując na płaskiej części kija krykietowego — ignorując twarz trzymającego go chłopca, zapominając o stojącej za nim Lily, skupionej i zawziętej. W końcu wypuściłam piłkę z dłoni, zauważając jeszcze, jak Rowan śledzi jej lot i lekkim ruchem unosi kij. W chwili kiedy kij i piłka miały się spotkać w powietrzu, za plecami usłyszałam pisk Violet.

— To tatuś!! To on, to on, to on!... Wiedziałam, że do mnie przyjedzie!

Doszedł mnie charakterystyczny głuchy dźwięk, kiedy kij uderzył w piłkę (brawo, Rowan!), i okrzyk radości chłopca, ale tym razem nie widziałam jego mistrzowskiego uderzenia, gdyż odwróciłam się w stronę drogi. W tej samej sekundzie rozległ się trzeci głos, przeraźliwy i ostrzegawczy, który zawibrował mi pod czaszką.

— Helen, uważaj!

Eksplozja bólu w potylicy w tym samym momencie, kiedy w polu widzenia pojawiło się ubłoczone kombi Daniela. Ściągnięta strachem twarz kierowcy. Zatoka, dom, a potem niebo, błyskawicznie zmieniające się jedno w drugie, gdy odwracałam się w poszukiwaniu źródła tego ostrzegawczego krzyku.

— *Helen, uważaj!*

Gdzie ona jest? No, gdzie? — myślałam, kiedy miękka trawa wychodziła na spotkanie mojej twarzy, a ja nie ustawałam w wysiłkach, by dostrzec, skąd dochodził ten głos. Głos, który nie pasował do tego miejsca i czasu, głos z przeszłości. Głos z zaświatów.

Głos Carli.

— Carla? — wyszeptałam.

A potem był już tylko krzyk. Jej. Mój. Przerażonego dziecka. I ciemność zachodząca mi na oczy nieprzejrzystą zasłoną. I jeszcze więcej krzyków — złości i strachu. Głosy...

Wreszcie zapadła całkowita ciemność i cisza.

— Lily, przynieś poduszkę i koc z pokoju gościnnego... Vi, ja wiem, że chcesz pomóc, ale... Rowan, rozchmurz się, to nie była twoja wina, widziałem, jak to się stało. Nic jej nie będzie, uwierz mi. Na wszelki wypadek jednak i tak zadzwonimy po lekarza.

Daniel. Co on tu robi? — taka była moja pierwsza myśl, kiedy jak tonący z otchłani wynurzałam się z otaczających mnie ciemności. Znajdowałam się na pustej drodze. Słyszałam głosy i krzyki, najpierw jakiś męski głos, a potem Daniel zaczął mówić coś o poduszce. Gdybym tylko potrafiła otworzyć oczy, zorientowałabym się, co się dzieje, lecz nieopisany ból z tyłu głowy sprawiał, że odruchowo je zaciskałam. Mogłam jednak mówić. Musiałam się dowiedzieć...

— Carla...?

— Nie ruszaj się, Helen, wszystko będzie dobrze.

To Daniel, znowu. Skąd on się tutaj wziął?... Zarejestrowałam jakiś ruch. Kołysanie przywiodło mi na pamięć czasy dzieciństwa... Dotyk czyjegoś ubrania na moim policzku, obejmujące mnie czyjeś ramiona... Ktoś mnie niósł, bezradną niczym niemowlę. Wokół czaiło się niebezpieczeństwo, czułam jego gorzki smak w ustach. Chciałam podnieść głowę, lecz nie mogłam wykonać najlżejszego ruchu.

— Gdzie jest Carla? Gdzie ja...

— Wszystko będzie dobrze, Helen.

Wysiłek był zbyt wielki, na powrót zaczęłam tonąć w ciemności. To koniec — myślałam. — Nie ma dla mnie nadziei. Tyle że...

— Dochodzi do siebie?

— Odsuńcie się. Dajcie jej oddychać.

— To ty nie dajesz jej oddychać, jesteś większy od nas wszystkich — rozpoznaję ten oskarżycielski głosik. — Sam się odsuń...

— Cii, Lily.

Kiedy otwieram oczy, parę centymetrów przed sobą mam twarz Daniela. Czuję się, jakbym widziała go po raz pierwszy.

— Helen?

— Co się stało? — chcę wiedzieć.

— Uderzyła cię piłka od krykieta...

— Ach tak — mówię, nie bardzo rozumiejąc.

Położyli mnie na sofie w salonie. Pod głowę ktoś wsunął mi poduszkę, Daniel usiadł tuż przy mnie i nerwowymi ruchami palców wygładzał nierówności na przykrywającym mnie kocu. Lily i Violet wisiały na oparciu sofy i wpatrywały się we mnie zafascynowane. Poczułam duszność, napierało na mnie zbyt wiele ciał, zbyt wiele par oczu przyglądało mi się uważnie.

— Majaczy? — bardziej stwierdziła, niż spytała ojca Lily.

— Nie wydaje mi się — padła odpowiedź.

— Wymieniła imię Carli... Jak może ci się nie wydawać, że to majaki?

Violet sięgnęła rączką i poklepała koc na mojej piersi.

— Widziałaś wszystkie gwiazdy? — zapytała konspiracyjnym szeptem.

— Nie pamiętam — odparłam słabym głosem.

— Nie męcz jej, Vi.

— Nie pamięta — powtórzyła Lily. — A zatem amnezja. Pewnie nie pamięta nawet, kim jest, i będziemy musieli...

— Lily, bądź cicho! — skarcił córkę Daniel, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. — Helen, jak się czujesz? Zaraz ich odeślę do swoich pokojów i będziesz mogła odpocząć...

— Nie, nie trzeba — zaproponowałam, chcąc unieść się na łokciach, lecz tylko syknęłam z bólu.

— Zaraz poczuję się lepiej.

— Nawet się nie próbuj ruszać! — wystraszył się Daniel.

— Powiedz, bardzo cię boli?

— No...

— Przygotuję worek z lodem. Lily, Vi, chodźcie mi pomóc.

Daniel wstając musnął czubkami palców moje czoło, a ja poczułam się równie bezsilna jak wyłożone na stole sekcyjnym zwłoki. Jak Carla. Na tę myśl napięły mi się wszystkie mięśnie, adrenalina zaczęła wlewać się do żył. Przecież miało mnie tu nie być, kiedy przyjedzie Daniel — panikowałam w duchu. — Muszę stąd uciec, jak tylko ustanie ten łomot pod czaszką.

— Naprawdę, nie przejmujcie się mną — powiedziałam i po raz pierwszy lekko poruszyłam głową.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz — zapewnił mnie Daniel. — Ale na wszelki wypadek zadzwonię po lekarza.

— A Paul? — wtrąciła Lily. — Zawsze mówi, że dobry weterynarz jest prawie jak lekarz.

— Moim zdaniem Helen zasługuje na prawdziwego lekarza — ujął się za mną Daniel i popędził dziewczynki: — No, chodźcie już do kuchni.

One jednak zostały tam, gdzie były.

— Gdzie podział się Rowan? — zapytałam.

— Dąsa się, bo myśli, że będziesz się na niego gniewać — poinformowała mnie Lily.

— Niby dlaczego miałabym się na niego gniewać? Lily się uśmiechnęła i pokiwała głową.

— Wiedziałam! — oznajmiła. — Wstrząs mózgu i amnezja, bankowo — mrugnęła porozumiewawczo do Violet, po czym zwróciła się do mnie z troską: — Serio nic nie pamiętasz?

Zamknęłam oczy. Przypominałam sobie cały szereg szalonych wydarzeń rodem z koszmaru, wrzaski i strach. W moich wspomnieniach była Carla, i Daniel także, jednakże żaden z obrazów tłoczących się w moim mózgu nie miał prawa zaprowadzić mnie na sofę w obcym domu, gdzie dwie małe dziewczynki urządzałyby mi przesłuchanie. Kiedy uniosłam niechętnie powieki, dziewczynek było już cztery: dwie Lily i dwie Vi, stojące za oparciem sofy z poważnymi minami.

— Co? — spytałam nieprzytomnie.

— Pamiętasz przynajmniej grę w krykieta? — zadała mi pytanie podwójna Lily.

— Krykieta? — powtórzyłam bezmyślnie.

— A teraz już widzisz wszystkie gwiazdy? — dopytywała się podwójna Violet.

— Tylko jedną małą gwiazdkę — odpowiedziałam.

— Mówiłam ci — szepnęła Lily, chyba nie do mnie, choć nie mogłam tego stwierdzić na pewno, gdyż jej podwójna twarz nagle się rozplynęła w nicość. — Amnezja!... Jak masz na imię?

— Helen — odparłam automatycznie.

— Jaka Helen? — dobiegło mnie z mgły spowijającej oparcie sofy.

— Helen Markovic North.

— Markovic... Dziwne nazwisko.

— To nazwisko mojej matki — wyjaśniłam twarzyczce Lily, która równie nagle jak zniknęła, znów pojawiła mi się przed oczami, tak samo poważna i zafrasowana jak przedtem.

— Lily! — wydarł się Daniel. — Przestań dokuczać Helen i chodź mi pomóc!

Lily nie zwróciła na ojca najmniejszej uwagi. Widziałam ją coraz słabiej, słyszałam jednak aż nazbyt dobrze.

— Gdzie mieszkasz, Helen?

Podaliśmy swój adres, co sprawiło, że mars na czole tylko się jej pogłębił.

— A gdzie pracujesz? — dążyła.

— W klinice „Lepsze Czasy” przy Hampden Road. Pracuję tam od niepamiętnych lat.

— A wiesz, gdzie jesteś?

— Oczywiście, że tak. Jestem w... — urwałam w pół zdania.

Wiem, że jestem na sofie i że otaczają mnie dzieci, dwójka, a może trójka. Wiem, że w kuchni jakiś mężczyzna przygotowuje dla mnie worek z lodem na okład. Ale coś mi tu nie gra. Skąd w takim razie zapach żywicy i egzotycznych kwiatów? Skąd pewność, że wokół rosną drzewka oliwne, a w tle

szumi morze? Dlaczego pod gołymi ramionami czuję ucisk kamieni, pod nogami twardą nawierzchnię szosy? I przede wszystkim skąd to uczucie zagrożenia? Ogarnia mnie przejmujący strach, z ledwością łapię oddech. Pomocy! Zróbcie coś!... Muszę jej pomóc, nim będzie za późno! Carla...!

— Tato, chodź tu szybko!

— Tatooo!

— Nalegam, nie kłopotcie się o mnie. Po prostu oberwałam piłką w głowę. Rankiem będę czuła się świetnie.

Wpatrywał się we mnie wianuszek twarzy. Wciąż leżałam na sofie, tyle że w nieco wygodniejszej niż przedtem pozycji, z mnóstwem poduszek upchniętych za plecami i pod głową oraz z przykrótką dziecięcą kołdrą narzuconą na koc. W kominku płonęło solidne polano, a z wykuszowego okna rozciągał się widok na połyskującą różowo-miedziano wodę zalewu. Zapadała noc.

Znalazłszy się w centrum uwagi, poczułam narastającą panikę. Dlaczego tak mi się przyglądają? Czyżbym coś powiedziała, kiedy byłam nieprzytomna?

— Naprawdę już mi lepiej... — chciałam usiąść normalnie, lecz na podstawie czaszki zacisnęły mi się metalowe szczypce.

— Och... — opadłam na poduszki jęcząc z bólu.

— Wzywam lekarza — zdecydował Daniel.

— Nic dobrego z tego nie przyjdzie — zaproponował Paul. A ten skąd się tutaj wziął? — Kazał ci ją odwieźć na pogotowie, gdy jej najbardziej potrzeba wypoczynku. Jeśli coś by się działo, zawiozę ją prosto do szpitala.

— Nie rozumiem, skąd u ciebie ta pewność... — sceptycznie pokręcił głową Daniel.

— Znam te objawy — uspokoił go Paul — i zapewniam cię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Sam mogę przeprowadzić parę prostych testów, jeśli chcesz.

— Jak to dobrze, że akurat tędy przejeżdżałeś — odetchnęła z ulgą Janet. Ona też?

— Miałem zamiar sprawdzić, jak spisuje się stary Tygrys.

Z wysiłkiem uchyliłam powieki. Zobaczyłam siedzącą nieopodal Janet z Vi na kolanach. Dziewczynka ciasno oplótła szyję starej kobiety i spoglądała na mnie szeroko otwartymi oczyma — jednym słowem wyglądała jak zawsze. Kawałek dalej stała Lily, którą wciąż paliła ciekawość.

— A teraz pamiętasz, kim jesteś?

Uśmiechnęłam się z trudem.

— Chyba tak, Lily.

— Masz natychmiast przestać, Lily, słyszysz?! — zarządził Daniel zawstydzony zachowaniem córki.

— Ale przedtem nie pamiętała nawet własnego adresu — broniła się dziewczynka. — I powiedziała, że pracuje w klinice, chociaż tak naprawdę jest sekretarką na zastępstwa. — Lily nie miała za-

miaru dać za wygraną, jej nieubłagana wyliczanka wywołała u mnie nową falę paniki. Klinika? Co jeszcze im naopowiadałam? Czy powiedziałam im o Carli? O tym, jak zmarła? Wiem, że znów przeżyłam tamte wydarzenia, i obawiałam się, że w mgnieniu wykrzyczałam coś obciążającego. Czy to dlatego siedzą wokół mnie: żeby mnie sądzić? — Musimy wiedzieć, czy cierpi na amnezję — ciągnęła Lily ważnym tonem — gdyż w takim wypadku trzeba ją zmusić do chodzenia, aż zacznie sobie przypominać różne rzeczy.

— Tak się robi przy przedawkowaniu... — wtrąciłam.

— Co to znaczy: przedawkowanie? — zapytała Violet. Janet przytuliła ją i szepnęła:

— Niech cię o to główka nie boli, skarbie.

— Można powiedzieć, że Helen przedawkowała krykieta — zażartowała Lily.

Ojciec zgromił ją wzrokiem i wstając, rzekł dobitnie:

— Przeniosę cię do twojego pokoju, Helen, z tymi gałganami nigdy tutaj nie odpoczniesz...

— Proszę, nie!... — krzyknęłam, myśląc sobie, że kiedy zostaną sami, będą mogli mówić o mnie za moimi plecami. Skoro Lily ma zaraz powiedzieć, co jeszcze zdradziłam mającąc, lepiej, żeby i ja to usłyszała. — Nie chcę zostać sama! I nic mi nie jest, w końcu to tylko głupi ból głowy. Potrzebna mi aspiryna i coś do picia.

— Przyniosę ci — zaofiarowała się Lily. Paul także wstał.

— Zostań, Lily, mam w torbie trochę kodeiny, to jej bardziej pomoże. I szczerze mówiąc, Helen, na górze byłoby ci lepiej.

— Wolę zostać tutaj.

— Zaraz podam ci szklanekę wody — rozjemczo wtrącił Daniel.

Teraz już wszyscy stali na nogach. Janet delikatnie zsunęła Vi z kolan i spytała mnie:

— A może napijesz się herbaty?

— Herbaty? — powtórzyłam. Cały czas coś mnie męczyło, jednakże na wspomnienie o herbaty poczułam wyraźny niepokój. Pamiętałam oczywiście, jak starsze małżeństwo w hotelu Manolich autorytatywnie stwierdziło, że nie ma to jak herbata w chwili kryzysu, ale to nie mogło być to. Zaraz przypomniał mi się pogrzeb Carli. I sama Carla. Jakieś wspomnienie, które wypchnęłam na skraj świadomości. Tak, mój niepokój ma coś wspólnego z Carłą, uznałam. Wyteżałam umysł, żeby sprecyzować powód, lecz za każdym razem porażał mnie błysk i ból, a myśli rozpierzchały się w popłochu. Przyknełam oczy, wyczerpana. — Tak, herbata byłaby doskonała.

Janet zagarnęła dzieci i mówiąc coś do nich cicho, wyprowadziła z salonu. Zaraz potem ich głosy poniosły się echem po klatce schodowej i w holu. Opałam na poduszki, macając dłonią tył głowy i sprawdzając językiem dziwny posmak na podniebieniu, wdzięczna za chwilę ciszy. Nagle poczułam ruch powietrza tuż przy mojej twarzy. Rozwarłam powieki w tym samym momencie, kiedy ręka Paula wylądowała na moim czole, a właściwie nie tyle na czole, ile na oczach, jakby chciał ochronić mój

wzrok przed światłem. Mimo uporczywego bólu poruszyłam się, żeby go widzieć. Siedział na skraju sofy, wpatrując się we mnie z niewysłowioną troską.

— Biedna Helen — rzekł smutno. — Niezłego masz tam guza...

— Nic mi nie będzie — wzruszyłam ramionami i przy tym ruchu dostrzegłam nachylającego się do mnie z drugiej strony Daniela.

— Lily twierdzi, że majaczyłaś — oznajmił marszcząc czoło.

— Naprawdę? — zaciekawił się Paul i delikatnym gestem poprawił kosmyk włosów, który zsunął mi się na twarz.

Postanowiłam reagować, póki nie jest za późno.

— Lily przesadza... Wiecie przecież, jakie są dzieci... Daniel nie dał się na to nabrać.

— Słyszała, jak mówiłaś coś o Carli.

— O Carli?! — Paul się wyprostował i posłał Danielowi pytające spojrzenie.

— Cóż, to możliwe... — chciałam zmienić taktykę, ale nagle zaschło mi w gardle, dodałam więc tylko: — Naprawdę nie pamiętam.

— O Carli w ogóle czy też coś konkretnego? — Paul przewiercał mnie wzrokiem.

Nie chciałam na niego patrzeć, toteż zamknęłam znów oczy. Natychmiast zalała mnie fala wspomnień — niestety, gdy tylko chciałam któreś pochwycić, wymykało mi się perfidnie.

Zaczęłam mówić.

— Byłyśmy na szosie... Wtedy kiedy umarła, byłyśmy na szosie. — Wiedziałam, że nie powinnam tego nikomu zdradzać, lecz nie pamiętałam już dlaczego. — Byłyśmy razem.

— Byłaś z Carlą?! — Głos Daniela podniósł się o oktawę.

— Tak.

— Wtedy kiedy zginęła? — upewniał się Daniel.

— Tak... To znaczy... — nie dokończyłam, myśląc: Cokolwiek powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie... Nie pogrążaj się, upomniałam się w duchu.

— Ależ to nie ma sensu! — wybuchnął Daniel, wyraźnie zły.

— Przecież twierdziłaś, że poszłaś inną drogą. Kiedy zdarzył się wypadek, pływałaś, płynęłaś daleko w morze.

— Byłam tam. Ja... — Teraz płynęłam nie w morze, tylko prosto w paszczę lwa. Pod przykniętymi powiekami miałam wyciśnięty obraz wstającego na horyzoncie dysku słońca, które odbijało się krwistą czerwienią w tafli morza. Gdzieś tam znajdowała się Carla, a ja płynęłam wśród jej krwi. Już wiedziałam, co to za dziwny posmak mam w ustach. Kwaśny smak strachu.

— Ja... nie pamiętam nic więcej.

— Na litość boską, Helen, co ty właściwie chcesz nam powiedzieć?!

— Daniel, dość tych nerwów — wtrącił się Paul. — I zostaw ją w spokoju, nie widzisz, w jakim jest stanie? To nie najlepszy moment, żeby zadawać jej takie pytania! — stanął w mojej obronie niczym rycerz na białym koniu... rycerz w białym samochodzie...

— Ale... — Daniel się zachłysnął.

— Po prostu daj spokój, okej? — stanowczym tonem powstrzymał go Paul, po czym zwrócił się do mnie: — Już dobrze,

Helen. Odpoczywaj. Nie możesz się przemęczać... — brzmiał opiekuńczo, ale ja mu nie ufałam. Odwróciłam twarz i przed oczyma zobaczyłam blady pas obicia sofy. Znużona przymknęłam powieki.

— Herbata gotowa — oznajmiła Janet rzeźkim tonem, zarezerwowanym dla chorych i umierających. — Masz też trochę herbatników z czekoladą. Wcinaj, póki Rowan ich nie widzi, bo nie zostanie ani jeden...

Za Janet gęsiego szły Lily — z talerzem pełnym herbatników, i Violet — niosąc w obu dłoniach szklankę z wodą.

— Najpierw jednak zażyj kodeinę — odezwał się Paul. — Mam tu dla ciebie tabletkę... — podszedł do swej lekarskiej skórzanej torby i wyciągnął z niej małą buteleczkę, po czym przemierzył salon raz jeszcze i zatrzymał się przy mnie. Wszystkie jego ruchy były spokojne, wyważone, zachowywał się jak prawdziwy lekarz. Potrząsnął buteleczką i wysypał na dłoń jedną dużą tabletkę. Wyciągnął do mnie rękę, bardzo powoli i ostrożnie, jakby chciał nakarmić dzikie zwierzę, a ja popatrzyłam w twarz najpierw jemu, potem zaś rzuciłam szybkie spojrzenie na Daniela, który także bacznie mi się przyglądał. Nie potrafiłam nic odczytać z którejkolwiek twarzy, obaj mężczyźni byli dla mnie tajemnicą. Czyżby byli w zмовie? Ukartowali to wszystko, żeby mnie złamać i wyciągnąć prawdę o Carli? Musiałam jak najprędzej zrozumieć, co się dookoła mnie dzieje, lecz niestety byłam otepiała i powolna. — No, proszę — powiedział Paul zachęcająco.

Wzięłam od niego tabletkę. Wydawała mi się olbrzymia. Przyjrzałam się jej z bliska, żeby się upewnić, że to na pewno kodeina, a nie coś innego, coś, co Paul wspólnie z Danielem chcą mi zaaplikować, żeby uczynić mnie słabszą i podatniejszą na ich krzyżowy ogień pytań. Zachowuj się normalnie — napomniałam się.

— Dziękuję — uśmiechnęłam się słabo do Paula.

Daniel odebrał od Vi szklankę z wodą i mi ją podał. Wetknęłam tabletkę do ust, przesunęłam ją głęboko do tyłu, wiedząc, że wszyscy śledzą każdy mój ruch. Upiłam trochę wody i zmusiłam się do przełknięcia, ale tabletkę zaklinowała mi się w gardle i zaczęłam kasłać. Poza wydawanymi przeze mnie dźwiękami w salonie panowała cisza.

— Popij herbatą — zaproponowała Janet, podejrzenie uprzejma. — Może usiądziesz, będzie ci wtedy łatwiej przełykać...

— Dobrze — zgodziłam się potulnie, poprawiając za plecami poduszkę i wreszcie biorąc od Janet filiżankę. Po chwili przełożyłam ją do drugiej ręki.

— Przepraszam — zarumieniła się Janet. — Nie wiedziałam, że jesteś leworęczna.

— Nic się nie stało.

— Jesteś leworęczna? — zaciekawiała się Lily. — To znaczy rozmazujesz to, co napiszesz, tak jak moja koleżanka Marcia? Zawsze ma z tego powodu kłopoty w szkole.

— Czasami mi się to zdarza — przytaknęłam.

— Czasami zdarza ci się być leworęczną? — chciał wiedzieć Paul. — Czy też czasami rozmazujesz to, co napisałaś?

— To drugie. Leworęczna jestem od zawsze — odpowiedziałam zdziwiona taką liczbą pytań z tak błahego powodu.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy — rzekł Daniel podchodząc bliżej i przyglądając mi się jak jakiemuś dziwolągowi. — Nic nie zauważyłem.

Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Co za różnica, czy jestem lewo- czy praworęczna? — myślałam. — A może jednak? Może ma to jakieś znaczenie, którego jeszcze sobie nie uświadamiam? Najgorsze, że oni wszyscy zdawali się wiedzieć coś, o czym wiedzy ja byłam pozbawiona. Po raz kolejny odwróciłam głowę i przymknęłam oczy, uświadomiwszy sobie, że nie potrafię wytrzymać ich spojrzeń — dociekliwych, oceniających, wydających wyrok. Tylko czekali na właściwy moment, żeby się na mnie rzucić. Salon zamienił się w salę sądową, sofa w ławę oskarżonych, a oni... oni byli moimi sędziami. Nie umiałam już dłużej udawać, wiedziałam, że jeszcze chwila, a sama podpiszę na siebie wyrok. Postanowiłam więc ich zmylić. Zacisnąwszy powieki jęłam miarowo oddychać symulując sen, lecz nim się spostrzegłam, szmer ich zaniepokojonych głosów oraz trzaskanie ognia w kominku sprawiły, że usnęłam naprawdę.

...Jakimś sposobem dźwięki docierają do głębokiej podwodnej jaskini, w której się unoszę śpiąc. Jestem świadoma pulsującego bólu w czaszce, równocześnie bliskiego i odległego, jakby był integralną częścią mnie, zarazem wcale mną nie będąc — niczym narośl czy rak; nie potrafię się go pozbyć. Tak samo nie mam wpływu na to, co słyszę.

Wciąż jestem w domu Finchów, wokół trwa zwykła wieczorna krzątanina. Rejestruję pożegnanie Janet, parę minut po niej wychodzi Paul. Kiedy dzwoni telefon, odbiera Daniel, lecz niestety nie rozumiem, o czym mówi, choć raz czy dwa wpada mi w ucho moje imię. Nieco później rozlega się charakterystyczne podzwanianie talerzy i sztućców — ktoś przygotowuje kolację i ją podaje; odgłosy jedzenia i znów klekot naczyń, kiedy ktoś inny sprząta ze stołu. Krótka chwila ciszy, po której dochodzą mnie stłumione dźwięki pianina i fletu i wyraźniejszy szmer rozmów. Muzyka i słowa płyną w moją stronę falami; gdy ktoś przechodzi koło mnie, ścisza głos, lecz właśnie te szepty są najbardziej zrozumiałe.

— Co jej jest?

— Nic. Po prostu śpi. Daj jej spokój.

— Ale to nie była wina Rowana.

— Oczywiście, Vi. To był nieszczęśliwy wypadek.

— Carla też miała wypadek...

— Tak, ale tamten był o wiele gorszy. Helen nie umrze.

— Jesteś pewien, tatuś?

— Całkowicie.

Gdy wreszcie opuściłam przytulną jaskinię i wynurzyłam się na powierzchnię, znalazłam się w dyskretnie oświetlonym salonie; na kominku płonął ogień, a prócz tego zapalony był tylko jeden kin-kiet o przydymionym kloszu. Daniel siedział na fotelu nieopodal sofy, niczym strażnik czy ochroniarz, którego zmogło zmęczenie — spał z odchyłoną do tyłu głową i rękoma luźno zwisającymi z oparcia. Po paru sekundach zrozumiałam, co mnie obudziło: musiałam skorzystać z toalety. Podniosłam się więc do pozycji siedzącej i odsunęłam wąską i przykrótką kóldrę. Wszystkie czynności wykonywałam w zwolnionym tempie, gdyż po pierwsze nie chciałam budzić Daniela, a po drugie nie byłam w stanie poruszać się szybciej; w głowie wciąż mi boleśnie pulsowało, choć już nie tak silnie jak wcześniej. Zebrawszy siły, wykręciłam tułów i przerzuciłam nogi za siedzisko sofy, tak że stopy dotknęły podłogi, i zaraz poczułam, że jestem bez butów. Kto mi je zdjął? — pomyślałam. — Czyżby Daniel?...

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytał, czujnie otwierając oczy.

— Do toalety — odpowiedziałam.

— Dasz radę ustać?

— No pewnie — obruszyłam się na taką troskliwość. Jednakże to on miał rację. Nie zdążyłam się wyprostować, kiedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa, jakbym zamiast kości miała w nich watę. Na szczęście Daniel wykazał się refleksem i jego wyciągnięta w porę ręka uchroniła mnie od upadku. Mimo to powiedziałam: — Nie zwracaj sobie mną głowy, czuję się świetnie.

— Nie wątpię w to — odparł, wcale mnie nie puszczając, a ja byłam zbyt słaba, żeby wyzwolić się z jego uścisku.

Trzymał mnie mocno, gdy powłócząc nogami szłam do drzwi salonu i zawahawszy się chwilę, wybrałam krótszą trasę do znajdującej się na tyłach domu małej łazienki. Bałam się, że wejdzie tam razem ze mną, ale w ostatniej chwili pozwolił mi na odrobinę samodzielności, za co byłam mu głęboko wdzięczna siedząc na muszli klozetowej. Nadal czułam się kiepsko; wstając musiałam złapać się brzegu umywalki, język miałam wyschnięty na pieprz, w ustach dziwny, metaliczny posmak. Z trudem opryskałam twarz zimną wodą, po czym zaczerpnęłam parę głębokich oddechów i dołączyłam do czekającego na mnie Daniela, który z miejsca zawyrokował:

— Wyglądasz strasznie. Idziemy prosto do łóżka.

Zrobiło mi się duszno. Przeklinałam swoją słabość, która skazała mnie na jeszcze jedną noc w domu Finchów, podczas gdy ja pragnęłam znaleźć się od nich jak najdalej. Znalazłam się jednak w potrzasku.

— Chce mi się pić — wystękałam.

— Przyniosę ci, co tylko zechcesz, pod warunkiem że wreszcie się położysz... — I zanim się zorientowałam, Daniel lekko się pochylił, jedną ręką objął mnie za ramiona, drugą podłożył mi pod kolana, i uniósł z łatwością, jak gdybym nie była wiele cięższa od sześciolatniej Violet. — Jak to dobrze, że jesteś taka szczupła — powiedział, stawiając stopę na schodach wiodących do sypialni.

— Mogę iść sama — zaprotestowałam słabo. — Postaw mnie na ziemię.

— I tak jesteśmy już prawie na miejscu.

Nie miałam siły dłużej się opierać; przymknęłam powieki i przytuliłam policzek do jego szyi, po raz drugi tego dnia doświadczając miarowego kołysania jego kroków. A może było to kołysanie kroków mężczyzny, który wśród śródziemnomorskiej nocy wynosi na rękach kobietę z morskiej piany? A kobieta patrzy na niego z zachwytem, śmieje się radośnie i nie ma pojęcia o czyhającym w nieodległej przyszłości niebezpieczeństwie? Nagle, prawdopodobnie w wyniku wstrząśnienia mózgu, wydało mi się, że obserwuję Daniela i niesioną przez niego kobietę z bezpiecznego miejsca pod sufitem. Ale... zaraz!... ta kobieta ma kasztanowe włosy! Helen zamieniła się w Carlę. Helen North rozplynęła się w nicości, na którą w pełni zasługuje, a do świata żywych powróciła Carla Finch. Porządek został przywrócony, błąd naprawiony i tym razem nikt nie pozwoli, by wypadki wymknęły się spod kontroli. Tym razem będzie tak jak trzeba. Daniel i Carla dostali swoją drugą szansę...

Daniel wniósł mnie na piętro i do sypialni gościnnej, po czym zostawił mnie samą, bym się przebrała, chociaż w moim odczuciu — w świetle doznanego przeze mnie objawienia — zupełnie właściwe byłoby, gdyby został, kiedy się rozbierałam i wkładałam obszerny t-shirt służący mi za koszulę nocną. Niczym czuły mąż odczekał za drzwiami, aż wrócę z łazienki, i dopiero wtedy wszedł, żeby zaciągnąć zasłony i pomóc mi się wśliznąć do przyjemnie chłodnego łóżka.

— Przyszykuję ci coś do jedzenia — oznajmił wychodząc.

I wtedy czar prysł. Wraz z echem jego kroków minęła chwila szaleństwa, wszystko wróciło do normy, a ja poczułam, jak ogarnia mnie panika i pot występuje mi na całe ciało. Ja naprawdę sądziłam, że jestem Carlą! — myślałam. — Zaczynam wariować! Przez tyle miesięcy obawiałam się niebezpieczeństwa, które nadejdzie z zewnątrz, gdy tymczasem najgorsze niebezpieczeństwo tkwiło we mnie! Znajduję się na skraju obłądu!...

Nim zdążyłam się nad tym głębiej zastanowić, wrócił Daniel, niosąc szklanekę z wodą, kubek herbaty i pajdę chleba posmarowanego masłem orzechowym.

— Chciałabyś coś jeszcze? — spytał.

— Nie, to w zupełności wystarczy, dziękuję. Naprawdę nic mi nie dolega.

— Bezustannie to powtarzasz — rzekł, przysiadając na skraju łóżka. — Szkoda, że jakoś nie potrafisz ci uwierzyć. Nawet nie wiesz, jakiego stracha mi napędziłaś dziś przed południem! Nie ma to jak po powrocie do domu zastać nieprzytomną opiekunkę do dzieci. Do końca życia nie zapomnę, jak ta piłka wyrznęła cię w głowę... Naprawdę jest ci trochę lepiej?

— Muszę tylko odpocząć.

— Naturalnie, wyśpij się dobrze, już się stąd zabieram... — zapowiedział Daniel nie ruszając się z miejsca. Siedział parę chwil w milczeniu, oglądając czubki swoich palców, wreszcie znów się odezwał. — Dziwna jesteś, Helen...

Cała się spięłam.

— Jak to: dziwna?

— Nie oczekujesz wiele dla siebie... — mówił zamyślony

— ...ale nie jesteś też typem kobiety wycieraczki. Gryzie mnie, że nie umiem cię rozpracować.

— Nie ma we mnie nic dziwnego, Daniel.

— Czyżby? — popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

— Nie jestem w nastroju do rozmowy. Pogadajmy o tym rano, dobrze? — zaproponowałam przekonana, że rano już mnie tu nie będzie.

— Dobrze — zgodził się niechętnie i zaraz ponownie zapadł w milczenie. Miałam przymknięte oczy, ale i tak wiedziałam, że nie przestaje mi się przyglądać. Wcześniej nieraz mówiłam sobie, że bez przerwy muszę się mieć na baczności, że nie mogę, już nigdy i z nikim, czuć się swobodnie, jednakże w tamtej chwili opuściła mnie cała energia, dzięki której wprowadzałam to postanowienie w czyn. Została tylko słabość i strach, spotęgowane przedłużającą się ciszą i lustrującym wzrokiem Daniela. — Co się dzieje, Helen? — zapytał zniechęcony. — Wiem, że coś przede mną ukrywasz...

— Niczego nie ukrywam — zaprzeczyłam.

— Dlaczego więc płaczesz?

— Daniel, proszę cię, daj mi spokój. Głowa pęka mi z bólu, to wszystko. Nie ma we mnie żadnej tajemnicy.

Wstrzymałam oddech, czekając na jego reakcję. Najpierw usłyszałam przygnębione westchnienie, a chwilę później równocześnie zajęczały sprężyny i Daniel nachylił się, żeby złożyć na moim czołe delikatny pocałunek. Zadrzałam, czując jego suche i ciepłe wargi na swojej skórze. Bezwiednie zacisnęłam w pięści ukryte pod kołdrą dłonie i wcisnęłam głowę w poduszkę.

— Dobranoc, Helen — rzekł Daniel podnosząc się z łóżka.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zgasił światło i po cichu wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następnego ranka obudziłam się przytłoczona ciężarem snu. Głowa bolała mnie już znacznie mniej, lecz mimo to nie potrafiłam otrząsnąć się z przerażająco realnych majaków.

Sen był ten sam co zawsze, odkąd w ogóle zaczęłam miewać koszmary, choć pojawiła się w nim drobna zmiana, subtelnie wyostrająca torturę. Tym razem Carla i ja, szarpiąc się na szosie o poranku, miałyśmy towarzystwo. Jakaś postać obserwowała naszą walkę, stojąc na poboczu w cieniu drzew — byłam pewna, że rozpoznaję sylwetkę, chociaż już nie twarz, rozmytą i niewyraźną, jakby spowitą dymem. Kiedy podnosiłam kamień, który zaraz miał spaść na czaszkę Carli, spodziewałam się krzyku bądź ruchu, mającego na celu przeszkodzić mi w zabiciu przyjaciółki. W głębi duszy chciałam, żeby mi przeszkodzono: nigdy nie zamierzałam zrobić Carli krzywdy; niemal bez powodu owładnęło mną szaleństwo, które kierowało moją ręką wbrew mej woli. Nikt mi jednak nie przeszkodził i kamień wylądował na twarzy Carli, w tym delikatnym miejscu, nieco ponad okiem i odrobinę w bok, na linii brwi, a stojący na poboczu mężczyzna wystąpił o krok do przodu, tak że widziałam go całkiem wyraźnie, i zapytał:

— Odwalasz za mnie robotę, Helen?

Z początku wydawało mi się, że to Daniel, jednakże kiedy nie przestawałam się w niego wpatrywać, rysy twarzy zaczęły się zmieniać: stały się delikatniejsze, nos cieńszy, a usta wygiął okrutny uśmiech. Już wiedziałam, że to nie Daniel, tylko Paul.

— Brawo, Helen! — powiedział. — Nigdy nie lubiłem tamtej suki.

Tyle że ostatnie słowa wymówił nie Paul, ale znowuż Daniel, gdyż twarz, płynna niczym gumowa maska, na powrót się przeistoczyła.

Miałam przed sobą zmieniającą się raz po raz twarz, a może dwie twarze, które kurczyły się i rozszerzały, dopasowywały i przechodziły jedna w drugą, dopóki nie krzyknęłam:

— Dlaczego mi nie przeszkodzicie?! Powstrzymajcie mnie! Pomocy!!

Odpowiedzią na mój rozpaczliwy apel był śmiech. Teraz już dwaj mężczyźni stali na poboczu i rechotali.

Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Rozejrzawszy się pobieżnie, doszłam do wniosku, że jestem w domu Fincha, w Anglii, i że jest już jasno. Zatem to był tylko sen — pomyślałam. — Tylko zły sen... Mimo to wydawał się realniejszy, niż jakikolwiek sen ma prawo być! Dlaczego?

W rześkim porannym powietrzu głosy rozlegające się na podjeździe rozchodziły się z łatwością, a mnie przeszedł dreszcz, kiedy zdałam sobie sprawę, że to Daniel i Paul rozmawiają o... No właśnie — o czym? Któryś z nich wymienił moje imię, a ja poczułam, jak natychmiast dostaję gęsiej skórki. Muszę stąd zniknąć — postanowiłam. — Im szybciej, tym lepiej.

Wstałam i zaczęłam się ubierać, walcząc z ogarniającym mnie wyjątkowo silnym atakiem mdłości. Tylko spokojnie — mówiłam sobie w duchu. — Nie panikuj, a zaraz będziesz we własnym samochodzie i nigdy już tu nie wrócisz. Niestety każda, najbanalniejsza nawet czynność zabierała wieki i nim znalazłam się na parterze, wiedziałam, że nie ma mowy, bym odjechała o własnych siłach. Jakkolwiek szalona byłam, nie uśmiechało mi się narażać życie.

Tok własnych myśli spowodował, że zatrzymałam się w pół kroku, czując, jak ogarnia mnie większy niż zazwyczaj strach. Przypomniałam sobie tę chwilę na schodach, kiedy mi się wydawało, że Daniel niesie nie mnie, lecz Carlę. Byłabym skończoną idiotką, gdybym zignorowała tak jasne ostrzeżenie, jakie wysłał mi własny mózg! Stres minionych miesięcy plus pobyt w domu, w którym mieszkała Carla, w bliskości mężczyzny, którego kochała, plus silne uderzenie w głowę — wszystko to wydało owoce. Przechodziłam załamanie nerwowe.

Po prostu muszę się stąd wydostać, nim postradam zmysły — myślałam, skradając się do kuchni. — Mogę dać sobie jeszcze parę godzin na odzyskanie sił, ale najpóźniej wczesnym popołudniem powinnam się pożegnać i wyjechać...

Na szczęście kuchnia okazała się pusta, jeśli nie liczyć śpiącego Tygrysa (dzieci i być może Daniel także znajdowali się w pracowni na dole, jeśli mogłam wyrokować na podstawie dźwięków stamtąd dochodzących), toteż zrobiłam sobie filiżankę herbaty i przeszłam do salonu. Tam zasiadłam w jednym z przepastnych foteli ustawionych przy oknie i zgodnie z powziętym postanowieniem skoncentrowałam się na odzyskiwaniu sił.

Medytację przerwała mi Janet, która weszła do salonu jakieś pół godziny później, niosąc ukończony portret Carli. Przypomniałam sobie, że będąc u niej w gościnie nieopatrznie złożyłam obietnicę, iż przy okazji i ja pokażę jej swoje prace, ale jako że nie miałam siły ruszyć się z miejsca, żeby przynieść z góry szkicownik, ograniczyłam się do skomplementowania jej obrazu. Komplementy były szczere, gdyż obraz prezentował się bardzo dobrze, choć gwoli prawdy — nie genialnie. Janet udało się uchwycić charakterystyczną dla Carli kombinację zuchwałości i wrażliwości, choć już nie gorączkową energię, z jaką ja nieodłącznie ją kojarzyłam. Carla popatrywała na mnie z opartego o pianino portretu i znosiłam jej wzrok tak długo, jak długo w pokoju obecna była Janet; kiedy jednak wyszła do kuchni, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty, szybko zmieniłam pozycję, tak żeby w moim polu widzenia znalazło się okno i falujące za nim stalowoszare wody zatoki. Niewiele to pomogło, gdyż nadal czułam nienaturalną obecność Carli, jak gdybym spotkała się z nią po raz pierwszy od jej śmierci, i nic dziwnego, że powrót Janet do salonu przywrócił mi spokój — na tyle, na ile było to możliwe w sytuacji, gdy wciąż prześladowały mnie oderwane sceny z dręczącego mnie nad ranem koszmaru.

Przez jakiś czas bez zarzutu wywiązywałam się z obowiązku zabawiania gościa, tak kierując rozmową, bym wreszcie mogła zadać nurtujące mnie pytanie:

— Janet, powiedz mi, proszę, o Paulu... Na przykład, czy ma dziewczynę?

— Jeśli nawet, to skrzętnie to przede mną ukrywa. Ale nie wydaje mi się, żeby już przestał rozpaczać po śmierci żony.

— Nie miałam pojęcia, że był żonaty. A jaka ona była, ta jego żona?

Janet zmarszczyła czoło.

— Właściwie to nie wiem. Wyjechała zaraz po tym, jak ja się tu sprowadziłam, ale wszyscy zawsze powtarzali, że byli wyjątkowo niedobraną parą, no i nikogo jej wyjazd nie zdziwił... — Popatrzyłam na nią pytająco, więc wyjaśniła: — Przede wszystkim była od niego starsza, poza tym nigdy tutaj nie pasowała. Paul jednak był zdruzgotany, kiedy go opuściła i wróciła do środkowej Anglii, do tego stopnia, że nie było w okolicy osoby, która by się o niego nie martwiła. Często u mnie wtedy bywał i pamiętam, że mniej więcej w czasie kiedy on zaczął się godzić z jej odejściem, ona wzięła i umarła, no i biedny Paul załamał się na dobre.

— Była chora?

— Na serce, jak się okazało. Oczywiście krążyły różne plotki... — zerknęła w stronę uchylonych drzwi i zniżyła głos.

— Wiesz, Helen, Burdock to bardzo mała miejscowość i taka tragedia stanowiła wymarzoną pożywkę dla plotkarzy, ale możesz mi wierzyć, że życie Paula było wtedy nie do pozazdroszczenia.

— Aż takie były te plotki? — zdziwiłam się uprzejmie.

— Och, gorsze niż w najgorszym brukowcu! — Janet wzniosła oczy do nieba. — Wyuzdany seks i takie tam... Nie znam szczegółów, bo zawsze wychodziłam, kiedy ludzie zaczynali plotkować o Paulu, no wiesz, z lojalności wobec niego. Uważam, że to wystarczająco straszne przeżycie stracić żonę, po co jeszcze mu dokładać rozpowiadając, że była dziwką? Ale to ciekawe, bo sprawiała wrażenie takiej cichej, szarej myszki, co to nie ma przyjaciół... jeśli nie liczyć Angeli, rzecz jasna.

— Żona Paula przyjaźniła się z Angelą? — tym razem zdziwiłam się naprawdę.

— Tak mi się zdaje... — Janet się skrzywiła, jak zawsze, kiedy w rozmowie wypływał temat Angeli.

— Oj, chyba za nią nie przepadasz, co? — uśmiechnęłam się ze zrozumieniem.

— Masz rację. Nie znam osoby bardziej zadufanej w sobie, samolubnej, egoistycznej... och... — przerwała, kiedy do salonu wszedł Daniel.

— Czyżbyście rozmawiały o mnie? — wyszczerzył się, puszczając oko.

— Jakbyś zgadł!

Widząc go, Janet się rozpromieniła, dając wszem wobec do zrozumienia, po czyjej jest stronie. Obserwowałam oboje uważnie. Daniel chwalił portret, którego nigdy wcześniej nie widział, a Janet wprost zaczęła świecić własnym światłem — z dumy i szczęścia.

— Jak się dziś czujesz? — Daniel zwrócił się do mnie.

— Znacznie lepiej — odpowiedziałam.

— To dobrze — ucieszył się. — Mam nadzieję, że się wyspałaś... Dzieci wysłałem do pracowni, skoro tylko zaczęły rano hałasować, żeby cię za wcześnie nie obudziły.

— Dziękuję — uśmiechnęłam się blado. — Myślę, że po południu będę mogła zbierać się do domu.

Daniel popatrzył na mnie powątpiewająco.

— Hmm... Może lepiej zaczekaj do jutra.

— Widziałeś się dzisiaj z Paulem? — zapytałam.

— Tak, wpadł sprawdzić, jak się miewasz, ale powiedziałem mu, że wciąż odsypiasz wczorajsze wrażenia... Jakoś nie mam przekonania do amatorskiej medycyny, bez względu na szlachetne pobudki nim kierujące.

— Ale przecież Paul ma prawdziwy dar! — wtrąciła oburzona Janet. — Ma rękę do zwierząt, a wiem, co mówię, bo leczył moje psy, no i świetne podejście do ludzi; zeszłej zimy zaoszczędziłam majątek, kiedy za darmo zajął się moim sztywnym karkiem.

— W takim razie jesteś bardziej wyrozumiała niż ja — stwierdził Daniel sucho i ponownie zwrócił się do mnie: — Helen, nie chciałem ci zawracać głowy, ale niestety nie udało mi się skontaktować z twoją agencją...

— Agencją? — powtórzyłam tępo.

— No, w sprawie tej rozmowy kwalifikacyjnej, którą miałaś na dziś umówioną. Naprawdę wolałbym cię nie martwić, ale boję się, że jak się na nią nie stawisz, zostanie to źle odebrane i...

— O mój Boże! — wykrzyknęłam. — Na śmierć o tym zapomniałam!

I rzeczywiście, wymyślona na poczekaniu rozmowa kwalifikacyjna zupełnie wyleciała mi z głowy pośród wczorajszego zgiełku. Prawdziwym strachem napawało mnie jednak co innego: skąd Daniel wytrzasnął nazwę agencji, dla której pracowałam? Czyżby od dłuższego czasu węszył wokół mnie?

— Lily słyszała, jak mówisz, że mieści się przy Hampden Road, ale w informacji telefonicznej powiedzieli mi, że na całej ulicy nie ma ani jednej agencji pracy czasowej, jest za to wiele gabinetów lekarskich. Kiedy wymieniłem nazwę „Lepsze Czasy”, operatorka podała mi numer jakiejś kliniki...

— Zadzwoń tam? — spytałam, ukrywając niepokój.

— Od razu — przytaknął Daniel. — Na początku nie bardzo mogłem się dogadać z recepcjonistką, która jak się okazało, pracuje tam od zaledwie paru tygodni, ale w miarę wymiany zdań twoje nazwisko zaczęło jej coś mówić. W pewnym momencie stwierdziła, że jesteś ich byłą terapeutką, na co ja powiedziałem, że moja córka Lily jak zwykle coś pokręciła, i od tamtej chwili do końca rozmowy nie potrafiliśmy już dojść do ładu.

— Tak mi przykro — wydukałam, zdając sobie sprawę, że o mały włos zostałabym nakryta. Aby więc odwrócić uwagę Daniela, wyrzuciłam z siebie potok słów: — Ojej, z mojego powodu niepo-

trzebnie zadałeś sobie tyle trudu, ale uwierz mi: naprawdę nie wiem, skąd Lily wytrzasnęła tę nazwę... Teraz, jak mi już o tym spotkaniu przypomniałeś, czym prędzej sama do nich zadzwonię i wszystko załatwię — oznajmiłam na jednym wydechu, w myślach katując się wspomnieniem dzieciennego testu na amnezję, który przeprowadziła na mnie Lily. Musiałam jej wtedy nieopatrznie udzielić szczerych odpowiedzi... Pytanie, ile prawdy wyjawiałam?

— Nie musisz nigdzie iść — rzekł Daniel. — Przyniosłem ci telefon bezprzewodowy.

Wzięłam od niego słuchawkę i szybko wybrałam znajomy numer. Oczekałam parę sygnałów, które równocześnie rozbrzmiewały w moim pustym londyńskim mieszkaniu, i przyciskając głośnik do ucha, powiedziałam:

— Dzień dobry, mówi Helen North. Niestety nie będę mogła wziąć udziału w dzisiejszej rozmowie kwalifikacyjnej... Nadal jestem w Devonie... Wczoraj miałam mały wypadek i chyba wciąż cierpię od skutków wstrząśnienia mózgu. Nie, nie, to nic poważnego, na pewno mi przejdzie za dzień czy dwa. Jedyne kłopot polega na tym, że nie zabrałam ze sobą ich numeru telefonu i muszę prosić, żebyście skontaktowali się z nimi i przeprosili w moim imieniu. Oczywiście, dam znać zaraz po powrocie do Londynu. Bardzo dziękuję, do widzenia. — Nie odsuwając słuchawki od ucha, kciukiem poszukałam przycisku rozłączającego rozmowę, lecz zanim go nacisnęłam, usłyszałam dziwne kliknięcie. Co to mogło być? Czyżbym miała nieproszonego świadka mojego monologu?

Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, gdyż do pokoju wsunęła się Lily.

— Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej — powiedziała, unikając mojego wzroku.

— O wiele lepiej, Lily, dziękuję, że pytasz — ja z kolei nie spuszczałam z niej wzroku. Lekkim skinieniem głowy dała mi do zrozumienia, że łaskawie przyjęła moje podziękowanie, po czym przybrała tajemniczy wyraz twarzy i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie w stronę portretu Carli, stanęła obok ojca, cały czas trzymając ręce w kieszeniach spodni. Widząc, jak na jej twarz wypływa dziwny uśmiešek, uznałam, że na mnie już pora. Podniosłam się z fotela, siłą woli ignorując niemiłe kołysanie, i stanowczym głosem oznajmiłam: — Prawdę mówiąc, czuję się już na tyle dobrze, że pójdę na górę się spakować i zaraz potem ruszę w drogę powrotną. Tym sposobem nie będę musiała jechać po ciemku.

— Ani się waż, Helen! — Daniel złapał mnie za ramię, nim doszłam do drzwi. — Ledwie trzymasz się na nogach!

— Ależ skąd! — zaprzeczyłam. — Czuję się świetnie.

Daniel się skrzywił.

— Naprawdę mam już tego dość. Słyszę twoje zapewnienia od wczoraj, podczas gdy ty słaniaasz się jak nowo narodzone kocię!

— Tak czy inaczej decyzja należy do mnie — rzekłam twardo, oswobadzając się z uścisku Daniela.

Drugą ręką szperałam w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. Chwilę potem trzymałam je tryumfalnie w lewej dłoni — ale tylko przez moment. Odtrącony Daniel błyskawicznym ruchem sięgnął do przodu i pochwycił mnie za nadgarstek, a kluczyki jakimś cudem znalazły się w jego ręku.

— Nigdzie nie pojedziesz — powiedział zadowolony.

Ogarnęła mnie panika. Dlaczego Daniel chce mnie zatrzymać? — myślałam gorączkowo. — Czyżbym wymamrotała coś obciążającego, kiedy byłam nieprzytomna? A może podejrzewał mnie od samego początku i celowo mnie tu zwabił, żeby mógł odkryć prawdę o mnie i o Carli?

Zebrałam resztki sił, wyprostowałam się i unosząc zadziornie podbródek, szczerknęłam wyzywająco:

— Jak śmiesz! Natychmiast oddaj mi kluczyki!

— Nie! — odwarknął i przez moment zanosilo się na kłótnię stulecia, ale nagle rysy Daniela złagodniały, a on powiedział już spokojniej: — Popatrz tylko na siebie, Helen. W takim stanie nie dałabyś rady włączyć i pokierować kosiarki do trawy, o samochodzie nie wspominając.

— Pozwól, że ja o tym zadecyduję. Poproszę o swoje kluczyki — wyciągnęłam po nie rękę.

Daniel zmiękł.

— No dobrze, już dobrze. Tylko się nie denerwuj. Obiecuj mi jednak, że...

— Nie będę ci składać żadnych obietnic! — przerwałam mu bezceremonialnie, wciąż trzymając wyciągniętą rękę.

Wreszcie poczułam w palcach miły dotyk metalu.

— Po prostu nie używaj ich do jutra, dobrze, Helen? — poprosił. — W obecnym stanie stanowisz zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla innych kierowców. — I zapewne po to, by jego słowa do mnie dotarły i wywarły pożądany skutek, dodał ze smutnym uśmiechem: — Mogłabyś kogoś zabić... — Choć dysponowałam już kluczykami, a samochód stał zaraz za drzwiami frontowymi, nie ruszyłam się z miejsca, uderzona słowami Daniela niczym obuchem. „Mogłabyś kogoś zabić...”, pomyślałam przysiadając na najbliższym krześle. Dlaczego to powiedział? Ocknęłam się szybko z zadumy i z trudem skoncentrowałam na tym, co mówił obecnie: — Nawet jeśli tobie nie zależy na własnym życiu, nam na nim zależy... Widzisz, przyzwyczailiśmy się do twojej obecności, prawda, Lily?

Uniosłam wzrok, żeby na nią spojrzeć, lecz udało mi się zobaczyć tylko jej plecy, gdyż dziewczynka stała teraz tyłem, całym swoim drobnym, kanciastym ciałem dając do zrozumienia, że wcale a wcale nie zgadza się z ojcem.

*

Przespałam prawie całe popołudnie i choć obudziłam się znacznie silniejsza marząc tylko o wyjeździe stamtąd, Danielowi raz jeszcze udało się mnie namówić, bym pozostała do następnego dnia. Wprost wychodził ze skóry, żeby mi dogodzić, nalegał, abym odpoczywała, kiedy on z dziećmi będzie

przygotowywał kolację, a ja nie miałam sumienia mu odmówić. Zostałam więc w salonie, próbując czytać książkę, moje myśli jednak wędrowały ku innym sprawom. Głównie ku Danielowi, jeśli mam być szczerą. Znałam go już na tyle, by wiedzieć, że zachowuje się miło wyłącznie wtedy, gdy czegoś chce, toteż starałam się rozgryźć, jaki tym razem kieruje nim motyw. Oczywiście pragnęłam, żeby był równie niewinny jak poprzednio i najlepiej żeby dotyczył jego potrzeb w zakresie opieki nad dziećmi. Właśnie, dzieci, zupełnie o nich zapomniałam...

— Nie przeszkadzam, Helen? — zaszczebotała Lily, wszedłszy do salonu i przysiadłszy naprzeciwko mnie.

— Ależ skąd, Lily. O co chodzi? — Uśmiechałam się, lecz w środku byłam cała spięta.

— Och, to nic ważnego... — wdzięcznym ruchem założyła kosmyk włosów za ucho, po czym złożyła dłonie na podolku.

— Rozmawiałam z matką dziś rano.

— Z Angelą? — zdziwiłam się. — Zdaje się, że miała być w Stanach.

— Moja mama woli, jak się na nią mówi Angel — pouczyła mnie dziewczynka.

— W takim razie: Angel miała być, zdaje się, w Stanach — powtórzyłam znużona.

— Widzisz, że to imię pasuje do niej o wiele bardziej? — Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, milczałam więc, aż Lily wzruszyła ramionami i podjęła: — To prawda, poleciała do Nowego Jorku na sylwestra, ale od wczoraj jest w Londynie, oczywiście zmęczona po podróży i rozstrojona zmianą czasu. Mimo to zamierza tu jutro przyjechać.

— Doprawdy? — Przetraszałam pamięć w poszukiwaniu najlżejszej wzmianki Daniela o rychłym przyjeździe jego pierwszej żony, bez skutku wszakże. — A co z waszą szkołą?

— Szkoła zaczyna się pojutrze. — Lily była wyraźnie zła, że tego nie wiem. — A mama chce z nami pobyć... z nami wszystkimi — podkreśliła. — Żebyśmy znów mogli być pełną rodziną.

— A ojciec o tym wie?

— Ojciec też tego pragnie — odpowiedziała wymijająco Lily. — Zawsze tego pragnął w głębi ducha. Bez przerwy powtarzał, że rozwód to był ich największy błąd... — Postanowiłam zachować taktowne milczenie, pozwalając Lily się wygadać, a ona skorzystała z okazji i ciągnęła w ten charakterystyczny dla każdej starej małej sposob: — Ich małżeństwo było burzliwe, to prawda. No wiesz, razem źle, ale osobno też niedobrze... Na szczęście ostatnio oboje wydorośleli, jakby kłopoty na powrót ich do siebie zbliżyły.

— Czy to... hmm... Angel powiedziała ci to wszystko?

— Tak — padła krótka odpowiedź. — Mama mówi, że przewartościowała pewne sprawy. Kiedyś małżeństwo wydawało się ją pętać niczym kaftan bezpieczeństwa — uśmiechnęłam się pod nosem słysząc, jak dwunastoletnia dziewczynka powtarza słowo w słowo zasłyszane od matki sformułowania,

nie rozumiejąc ich znaczenia — gdyż tatuś nie respektował jej potrzeby spełnienia się... Ale teraz chce mu dać drugą szansę. Zresztą zawsze uważała, że nadal byłiby ze sobą, gdyby nie Carla.

— Jak to? — zainteresowałam się.

— No więc — tłumaczyła mi Lily — Carla pojawiła się w złym momencie i od razu zagieła na tatusia parol. Mama nazwała ją ćmą lecącą do płomienia świecy... wiesz, co to znaczy, prawda?

— Hmm — odchrząknęłam, kryjąc uśmiech. — Nie jestem pewna, lepiej mi wyjaśnij.

Lily westchnęła na moją niedomyślność.

— Carla to ćma, gdyż była zwyczajna i nudna, a tatuś to płomień, bo jest taki wspaniały i nieprzewidywalny, i Carla od samego początku nie miała najmniejszej szansy, no i zobacz, jak skończyła: opaliła sobie skrzydełka...

Oburzona tak lekceważącym wyrażaniem się o śmierci Carli, powiedziałam:

— Ćmy to nierzadko piękne stworzenia, Lily, i z całą pewnością nie bywają nudne!

— Te, które ja widziałam, były bardzo nieciekawe — wzruszyła ramionami dziewczynka i kontynuowała przerwany wywód: — Tatuś był z Carlą szczęśliwy, mimo jej zwyczajności, bo przez pewien krótki czas miał dosyć przepychu i podniet, ale prawdę powiedziawszy, ich związek był skazany na niepowodzenie. Jedyną liczącą się w życiu tatusia kobietą jest Angel. Łączy ich powinowactwo dusz; być może w poprzednim wcieleniu byli kochankami albo coś w tym stylu i dlatego muszą być teraz razem. Sama więc widzisz, że żadna inna kobieta nie ma najmniejszych szans — zakończyła Lily patrząc mi prosto w oczy. — Wiesz, że kiedy tatuś jest w Londynie, to wciąż nocuje w domu mamy, a kiedy ona przyjeżdża tutaj, śpią w jednym łóżku? Od śmierci Carli, oczywiście... Tak sobie pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

O, założę się, że od samego początku chciałaś mi o tym powiedzieć — pomyślałam gorzko, uważając się w duchu nad Carlą, której pozycję u dzieci notorycznie podkopywała Angela. Nieważne było, jak bardzo się Carla starała, chociażby wybierając prezent dla Lily, jej starania zawsze były zbywane wzruszeniem ramion, a prezenty wyśmiewane — dlatego tylko, że pochodziły od niej. Skądinąd chlubna lojalność wobec matki sprawiła, że dzieci postrzegały Carlę jako natręta i dawały jej to do zrozumienia na każdym kroku.

— Lily — zaczerpnęłam głęboko tchu. — Rozumiem, co próbujesz mi powiedzieć, ale nie wydaje mi się, żeby to było ładnie z twojej strony mówić takie rzeczy o własnych rodzicach. Poza tym mogę cię uspokoić, że między mną a twoim ojcem nie ma zupełnie nic, i nigdy nie będzie, z rozmaitych powodów. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że jutro wracam do Londynu i prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkamy.

— A co? Nie podoba ci się?

— Darzę go sympatią, ale tylko jako przyjaciela. Lily zrobiła śmieszny minę.

— Tere-fere. Każdy tak mówi, ale to oznacza tylko, że... sama wiesz co... jeszcze się nie zdarzyło.

— I w naszym wypadku nigdy się nie zdarzy. Obiecuję ci.

— To dobrze — ciągnęła Lily — bo ty i tatuś nie macie ze sobą wiele wspólnego. Przede wszystkim tatuś nienawidzi ludzi, którzy opowiadają kłamstwa... — oderwała ode mnie wzrok i wpatrzyła się w czubki swoich butów.

A więc to ona podsłuchiwała rozmowę z „agencją” — pomyślałam. Właściwie powinnam była być na nią zła, ale złościłam się na siebie, że dałam się przyłapać na takim małym, bzdurnym kłamstewku, od którego lawina prawdy bierze zwykle początek. Byłam także wściekła na Angelę za to, że karmi własną córkę takimi bzdurami i podjudza ją przeciw wszystkim wokół. Na Lily nie potrafiłam się gniewać, podziwiałam za to jej upór, odwagę i zdrowy rozsądek; biedna dziewczynka robiła co mogła, żeby odnaleźć krzytną sensu w pokreconym związku pomiędzy rozwiedzionymi rodzicami i by ich połączyć, choćby wbrew ich woli. Nie wydawało mi się, by miała odnieść w tej mierze sukces, lecz z uwagi na nią żywiłam nadzieję, że Daniel i Angela potrafią dostrzec i docenić wysiłki najstarszego dziecka. Gdybym znajdowała się w nastroju bardziej przyjaznym wobec świata i ludzi pokroju Angeli, byłabym trzymała za Lily kciuki, a jej rodzicom życzyła szczęścia na nowej drodze życia, jednakże moja wspaniałomyślność nie poszła tak daleko. Nie potrafiłam się pogodzić z tym, że działania Lily czy samej tylko Angeli doprowadzą do tego, że Finchowie będą w przyszłości już zawsze postrzegać Carlę jako kobietę, która „od samego początku nie miała najmniejszej szansy”. Wiedziałam, że Carla zasługiwała na więcej.

Mimo to postanowiłam uspokoić Lily.

— Jutro stąd wyjeżdżam i nigdy, przenigdy nie wrócę.

— Aha — wyraźnie się na tę informację rozluźniła i nawet przestała wyglądać jak zmniejszona kopia matki, a zaczęła znów przypominać małą dziewczynkę. — Widzisz, Helen, ja cię nawet lubię. Jesteś całkiem miła, na swój sposób oczywiście, ale nie należysz do rodziny.

— Wiem.

Przyglądając się Lily, zauważyłam, że prowadzi wewnętrzną walkę. Nagle podjęła decyzję i zaproponowała:

— Zagrasz z nami w schronisko po kolacji?

— W schronisko?

— To gra planszowa, którą sama wymyśliłam. Tatuś mi trochę w tym pomógł — przyznała po chwili. — To naprawdę świetna gra.

Wiedziałam, że propozycja Lily to coś więcej niż zwykłe zaproszenie do wspólnej gry. Dziewczynka przyjęła do wiadomości moją obietnicę ustąpienia pola i wyciągnęła rękę do zgody.

— W takim razie, Lily, z miłą chęcią z wami zagram — przyjęłam warunki rozejmu.

Zaraz po kolacji Daniel zaprosił mnie do swej pracowni, żebym wysłuchała kawałka muzyki, nad którym zaczął pracować.

— Powstał na kanwie „Pieśni dla Carli”, ale będzie od niej bardziej rozbudowany i chciałbym, żebyś to ty była pierwszą osobą, która usłyszy jego roboczą wersję, gdyż tak wiele ci zawdzięczam.

Lily znów się naburmuszyła.

— Co na przykład?

— Och, gdyby nie Helen — poinformował córkę Daniel — ugrzązłbym w tym środkowoeuropejskim kontrakcie i wypruwał sobie żyły, żeby kto inny nabił sobie kabzę. Helen pomogła mi ich przejrzeć i wtedy właśnie postanowiłem dać szansę swemu własnemu projektowi.

— Co oznacza mniejsze pieniądze, ale większą artystyczną niezależność? — spytała Lily z przekąsem.

— Otóż to! — Daniel nie zauważył albo udał, że nie zauważa ironii w jej głosie. — A skoro Helen wydatnie mi pomogła obciąć zyski, równie dobrze może pomóc ocenić, czy artystyczna niezależność była tego warta.

— Z przyjemnością, ale trochę później — rzekłam. — Obiecałam Lily, że po kolacji pogramy w schronisko.

Daniel poczuł się chyba rozczarowany moją odmową, jednakże kiedy w ucho wpadła mu nazwa gry, oczy mu się zaświeciły.

— Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz — przestrzegł mnie żartobliwie.

— Ty też możesz z nami pograć, tato. Co pięć psów, to nie cztery.

Daniel zgodził się z entuzjazmem sugerującym, że wprost nie może się doczekać, by zobaczyć, jak jego pociechy rozszarpują mnie na strzępy, i bardzo niechętnie odszedł do telefonu, kiedy Lily rozkładała planszę na podłodze tuż przy kominku. Widząc, jak wychodzi z salonu, wypuściłam z płuc powietrze, nieświadomie wstrzymywane w jego obecności. Czułam się wyczerpana przebywaniem w tym samym co on pomieszczeniu i z ulgą powitałam możliwość pozostania tylko z dziećmi, co było nie do pomyślenia podczas poprzedniej wizyty.

— Trudno! — Lily filozoficznie skwitowała wyjście ojca. — Tygrys będzie musiał opuścić pierwszą kolejkę.

— Tygrys?

— Zaraz wszystko wyjaśnię.

Schronisko faktycznie było grą o psach. Na olbrzymiej planszy wiło się sześć ścieżek, z których każda rozpoczynała się polem „Start”. Na jednym z nich było napisane: „Urodzony wśród Cyganów”, na drugim znowuż: „Znaleziony na skraju autostrady” i tak dalej. Celem gry było dotrzeć przed innymi graczami do któregoś z pól końcowych, opisanych następująco: „Gwiazda cyrku”, „Pies przewodnik”, „Pies policyjny” i wreszcie „Piesek domowy rodziny Finchów”. Mniej więcej pośrodku planszy znaj-

dowało się zgrupowanie pól oznaczonych napisem „Schronisko” i gdy stanęło się pionkiem na którymkolwiek z nich, należało podnieść z kupki kartę, jakich wiele przygotowała uprzednio Lily, zapewne w pocie czoła. Głosiły one: „Zamknięty o suchym pysku w pustym domu — tracisz kolejkę” albo „Zraniony w wybuchu na lotnisku — cofasz się o trzy pola” bądź też: „Zdobywca medalu na wystawie — zyskujesz dodatkowy rzut kostką”. Pionkami były miniaturowe pieski: dwie porcelanowe ozdóbki, które wiele przeszły i zdobyły dumne przezwiska Beznosy i Trójnogi; plastikowy pies pasterski; mała broszka w kształcie psa myśliwskiego i wreszcie gliniana główka Tygrysa, wykonana przez Lily jeszcze w przedszkolu i pomalowana później na czarno-pomarańczowo. Zasady były dosyć proste i takąż byłaby cała gra, gdyby nie podpunkty regulaminu istniejące wyłącznie w umyśle Lily. Po którejś kolejce nie tylko Rowan zaczął podejrzewać, że zmieniały się one zgodnie z jej widzimisię.

— Jak to? — spytałam oburzona, gdy Lily poinformowała mnie z kamienną twarzą, że muszę zawrócić Beznosego do azylu tylko dlatego, że wyrzuciłam czwórkę.

— Ponieważ cztery to para dwójek — wyjaśniała z bezgraniczną cierpliwością. — A para dwójek oznacza: cofnij się o cztery pola.

— To w takim razie czemu ty się nie cofnęłaś, jak wyrzuciłaś dwie dwójki? — zapytał podchwytliwie Rowan.

— Dlatego że — Lily przewróciła oczyma — tamte dwie dwójki wypadły na zielonym polu. Nie mów, że znów zapomniałaś szczegółowe zasady związane z parami... — skarciła brata, do mnie zaś powiedziała: — A twoje są na różowym, więc cofasz się o cztery pola i kropka.

— Ale przecież wszystkie pola Helen są różowe — zauważył przytomnie Rowan. — Czyli zasady są niesprawiedliwe.

— Gdzie tam! — zaprzeczyła Lily. — Jeśli Helen wyrzuci parę dwójek, cofa się o cztery pola; ty o dwa, jeśli wyrzucisz parę jedynek, bo twoje pola są niebieskie; a gdyby mnie się zdarzyło wyrzucić parę trójek, cofnę się aż o sześć pól, gdyż moje pola są zielone. Rozumiecie już? — potoczyła po nas wzrokiem i zgromiła Vi: — Po co bez przerwy podnosisz swojego pieska? Jak mamy z tobą grać, jeśli twój pionek częściej jest w twojej buzi niż na planszy?!...

— Przepraszam, Lily — potulnie wybąkała Violet, schodząc z obłoków na ziemię. — Już go kładę tam, gdzie stał. To znaczy tutaj... — zamyśliła się. — A może tu? Zresztą co za różnica. Chętnie wrócę do azylu i dotrzymam Helen towarzystwa. Hau, hau, jak się masz, Beznosy?

Czułym gestem przytuliłam Violet. Gra wciągnęła mnie do tego stopnia, że zapomniałam o bożym świecie i związanym z nim ciągłym napięciem, całą uwagę koncentrując na zawiłościach objaśnianych przez Lily zasad.

— Rany, Vi, ty naprawdę jesteś beznadziejna! — sapnął Rowan. — Gra się po to, żeby wygrać, a nie siedzieć w azylu!... Czyja teraz kolej?

— Moja — odpowiedziała szybko Lily.

— Zaraz, zaraz — uniosłam rękę w proteście, nie pozwalając, by ogarnął mnie historyczny śmiech. — Skoro ja rzucałam kostką ostatnia, teraz wypada kolej na Vi.

— Ależ ona właśnie wykorzystała swój ruch, wracając do azylu, a ty i Rowan musicie przecze-kać jedną kolejkę, więc mnie wolno rzucać kostką dwa razy, chyba że za pierwszym razem wyrzucę parę szóstek. Wtedy będę miała nie dwa, tylko trzy rzuty, ale gdybym nie daj Boże wyrzuciła trzy podwójne szóstki z rzędu, będę musiała wrócić na start i... — urwała i wpatrzyła się we mnie szeroko otwartymi oczami. — Co cię tak śmieszy, Helen?

— Twoja gra. To właściwie nie gra, tylko jakiś koszmar. To znaczy bardzo mi się podoba i w ogóle, ale... — nie dokończyłam, gdyż znów wybuchnęłam głośnym śmiechem.

Lily przyglądała mi się niepewna, czy ma ulec ogólnej wesołości czy też raczej zachować powagę i ocalić resztki godności. W tym samym czasie Rowan ściągnął swój pionek z planszy i najwyraźniej zamieniwszy go w wyobraźni w samochód wyścigowy, objeżdżał nas dokoła, wydając głośne dźwięki przypominające warkot silnika. Violet zaś jak zwykle skorzystała z okazji, żeby zaznać nieco kontaktu fizycznego, i uklękła naprzeciw mnie, tak że niemal stykałyśmy się nosami.

— Podobasz mi się, kiedy się śmiejesz — oznajmiła przyglądając mi się z bliska i robiąc przy tym zabawnego zeza. — Chyba jeszcze nigdy nie widziałam, jak się śmiejesz! Szkoda, że zawsze jesteś taka smutna... — Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny, śmiech zamarł mi na ustach. Zatraciwszy się w zwariowanej grze Lily, na parę chwil zapomniałam o wszystkich dręczących mnie koszmarach, które teraz spadły na mnie z podwojoną siłą. Vi dostrzegłszy tę nagłą zmianę zaczęła gładzić mnie po włosach, zakładać krótsze kosmyki za uszy. — Nie bądź smutna, Helen — powiedziała cicho, pocierając noskiem o mój policzek. — Tak bardzo cię lubię i chcę, żebyś była szczęśliwa.

— Co ty opowiadasz, Vi — obruszyłam się, odzyskawszy zdolność mówienia.

— Ale to prawda. Kiedy się śmiejesz, masz błyszczące oczy i takie śmieszne zmarszczki o tu, w kącikach.

— Och...

— Płaczesz? To przeze mnie? Powiedziałam coś złego? — zaniepokoiła się Violet. — Nie przejmuj się głupią grą Lily, nikt oprócz niej samej nigdy w nią nie wygrał.

Chciałam ją odepchnąć i przytulić równocześnie. Kiedy podniosłam zapłakane oczy, zauważyłam stojącego w drzwiach Daniela. Przyglądał się bacznie całej scenie, na czole rysował mu się potężny mars, jakby po raz pierwszy dostrzegł coś, co go nieoczekiwanie zadziwiło. Czym prędzej odwróciłam wzrok, żałując, że nie wiem, od jak dawna tam stoi.

Muzyka okazała się dziwna, przykuwająca uwagę. Wcześniej słyszałam tylko jego „Pieśń dla Carli” i jedno czy dwa tła dźwiękowe reklam, z których się utrzymywał, toteż nie byłam przygotowana na aż tak skomplikowaną kompozycję. Siedzący przy pianinie Daniel wydobywał z tego zdawałoby się prostego instrumentu niezwykłą wielość dźwięków, równocześnie objaśniając, kiedy wejdzie wiolon-

czela, kiedy smyczki albo obój z surdyną. Powietrze wibrowało od nut, które zaciekle walczyły o pierwszeństwo, przydając muzyce charakteru fascynującego zagrożenia, a pomiędzy nie wpleciona była spokojna melodia „Pieśni dla Carli” — znajoma i obca zarazem niczym czyjś obraz odbity w rzece — od czasu do czasu ginąca wśród natłoku basów, by zaraz znów odezwać się czystą nutą. Pierwszy fragment kończył się nagle urwanym dwuznacznym akordem, a cisza, która po nim zapadła, była wprost naładowana elektrycznością.

Daniel oderwał palce od klawiszy, odwrócił się do mnie i zapytał:

— No i?

Stałam po przeciwnej stronie salonu, przy kominku, pełna wahania i niepokoju. Z pewnością nie miałam ochoty na to małe tête-à-tête z Danielem, cóż z tego jednak, skoro na moje protesty, że jestem zmęczona i muszę się wyspać przed czekającą mnie z rana podróżą, bezceremonialnie stwierdził, że jeśli nie wykończyły mnie trzy rundy szalonego schroniska Lily, tym bardziej nie zaszkodzi mi krótki koncert w jego wykonaniu. Wtedy wołałam się z nim nie sprzeczać, teraz zaś żałowałam swej potulności, gdyż po prostu nie mogłam podzielić się z nim głębią przeżyć, które wywołała we mnie jego muzyka.

— Mówiłam ci przecież, że słoń mi na ucho nadepnął, ale jeżeli koniecznie chcesz znać moje zdanie, ten fragment wydał mi się całkiem ładny — powiedziałam beznamiętnym tonem.

— Ładny? — zmarszczył brwi rozczarowany. Zapadła cisza, w której dał się słyszeć porywisty wiatr wiejący od zalewu.

— Ładny? — powtórzył, a ja rozpoznałam w jego głosie kielkujący gniew.

— A jak to idzie dalej? — zapytałam.

Westchnął i odwróciwszy się na powrót do klawiatury, poprawił stojące nad nią nuty.

— Kontrastowo — odparł. — Starąłem się połączyć ponadczasowość muzyki sakralnej z ulotnością współczesnej, choć zdaję sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie taki zabieg: łatwo tu o hybrydę, w której nie będzie cienia ponadczasowości ani ulotności. Nie chodziło mi też o swingującego Bacha, jeśli wiesz, co mam na myśli, ani o łatwo wpadającą w ucho pieśń religijną. W następnym kawałku spróbowałem scalić typowy chorał gregoriański z lekko bluesowym brzmieniem... W moim odczuciu tylko te dwa rodzaje muzyki, choć spętane dość rygorystycznymi zasadami, są w stanie oddać tęsknotę za niemożliwym... Zresztą sama posłuchaj i powiedz mi, co myślisz. — A do siebie po cichu dodał: — Tylko nie, że jest to ładne, na litość boską!

Koncentrował się przez chwilę, trzymając czubki palców na klawiaturze, po czym zaczął grać. Już po pierwszych kilku taktach wiedziałam, że jego obawy są nieuzasadnione — muzyka była naprawdę odświeżająca i naprawdę łączyła w swej prostocie chorał gregoriański ze starym dobrym bluesem, z małą domieszką czegoś, co pochodziło wyłącznie od Daniela.

„Sama posłuchaj i powiedz mi, co myślisz”, rzekł do mnie, ale ja stojąc i przysłuchując się, jak gra, wiedziałam, że nie mogę powiedzieć, co myślę, ani jemu, ani komukolwiek innemu, gdyż to nie muzyka zrobiła na mnie największe wrażenie, lecz człowiek ją grający. Przyglądając mu się, myślałam, jak łatwo byłoby stracić głowę dla Daniela Fincha — jak łatwo i jak trudno zarazem, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Zrobiłam parę kroków i przysiadłam na oparciu krzesła stojącego nieopodal pianina, tak by mieć lepszy widok na profil pochłoniętego grą Daniela, który zdawał się nie pamiętać o bożym świecie. Czułam, jak (pomimo wszystko!) ogarnia mnie dziwne uczucie szczęścia, kiedy przeszłość i przyszłość przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, a liczyła się tylko chwila obecna i mężczyzna, który grał wyłącznie dla mnie. Mogłam na niego patrzeć do woli, bez ryzyka, że zostanę na tym przyłapana; mogłam obserwować każdą zmianę na jego twarzy, zawsze idącą w parze ze zmianą w rytmie czy natężeniu muzyki; mogłam śledzić jego gibkie palce i silne dłonie, patrzeć na zaciśnięte usta, kiedy wydobywał trudniejszy dźwięk, wreszcie pobiec za jego niewidzącym wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie nieco ponad i poza pianinem, gdzie zapewne istniała muzyka w najczystszej, niedoścignionej postaci...

„Sama posłuchaj i powiedz mi, co myślisz” — niemal roześmiałam się przypomniawszy sobie jego słowa, kiedy wszystko o czym myślałam, związane było mniej lub bardziej luźno z erotyką, za to nic, ale to zupełnie nic z muzyką. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni tak się czułam. Pewnie wtedy, gdy...

Nie pozwoliłam się tej myśli uformować w mojej głowie, jednakże nie potrafiłam zapobiec naglej zmianie nastroju, gdy na powrót ogarnęło mnie dobrze znajome poczucie zagrożenia. Przeklinałam się za swą naiwność, za to, że straciłam z oczu to, co naprawdę ważne.

Całymi miesiącami cierpiałam z powodu pustki, którą pozostawiła po sobie na tym świecie Carla, ba! popadłam na tym punkcie w obsesję. Idąc brzegiem nieodległej plaży i walcząc z szalejącą wichurą wyobrażałam sobie, że stawiam kroki dokładnie tam, gdzie ona by je stawiała, gdyby tylko żyła. Mieszkając w tym domu, w każdej chwili byłam świadoma, że jestem tu, gdzie ona niegdyś była, widzę, co ona widziała, nawet robię to, co ona zwykła była robić i co bez wątpienia nadal by robiła, gdyby jej życie nie zostało przerwane na greckiej szosie o poranku. To prawda, wielką ulgę przyniosła mi informacja, że Carla nie była biologiczną matką dzieci Fincha, gdyż w takim wypadku nikt nie zdołałby jej zastąpić, podczas gdy macochą umiałabym zostać nawet ja. Jak jednak mogłam przeoczyć najoczywistszy fakt ze wszystkich? Ten mianowicie, że wypełniając puste miejsce po Carli, zastępując ją, prędzej czy później musiałam zbliżyć się do Daniela?

Czyli zrobić coś, czego absolutnie, pod żadnym pozorem zrobić mi nie było wolno.

W powietrzu wciąż rozbrzmiewał urwany akord pełen tęsknoty, kiedy Daniel oderwał dłonie od klawiszy i powoli wracał stamtąd, gdzie muzyka istnieje w swej doskonałej postaci.

— A teraz? — zapytał, spojrzawszy wprost na mnie.

Niczego bardziej nie pragnęłam, jak tylko powiedzieć mu, że to co zagrał, było piękne, do granic przepelnione uczuciem, zarazem liryczne i stanowcze, jednakże w ustach miałam sucho. Nie chcąc się zdradzić z wrażeniem, jakie wywarła na mnie jego kompozycja, wzruszyłam lekko ramionami i wbiłam wzrok w podłogę.

— Hmm... — odezwała się w końcu. — Czy mi się wydaje, czy pobrzmiewały tam delikatne folkowe nutki? Ale podobało mi się — dodałam szybko, widząc jego zraniony wzrok.

— I to wszystko, co masz do powiedzenia?

— No widzisz? Mówiłam ci, że powinieneś zapytać fachowca, a nie pierwszej lepszej dyletantki...

— Ale to na twojej opinii mi zależy!

— A to dlaczego? — zapytałam szybciej, niż zdążyłam pomyśleć. Nigdy nie powinnam była zadawać tego pytania.

— Ponieważ jesteś jedynym łącznikiem z Carłą, ze światem takim, jaki był, zanim odeszła. I dlatego, że podejrzewam, iż wiesz więcej, niż zdradzasz...

— O co ci chodzi?

— Och, daj spokój, Helen! Widzę to po twoich oczach, czułem i wtedy, gdy słuchałaś muzyki...

— Cóż, musisz więc wiedzieć i to, że mogę mówić tylko za siebie, nie za Carłę.

— Oczywiście, wiem o tym — zdawał się poirytowany. — Tyle że choć raz mogłabyś wyrazić swoje zdanie, a nie grać wioskowego głupka!

Postanowiłam zakończyć tę rozmowę.

— Nie rozumiem, czemu tak się denerwujesz — powiedziałam wstając. — Przecież mówiłam ci, że moim zdaniem oba kawałki są bardzo ładne. A teraz, jeśli pozwolisz...

— Siadaj, na miłość Boga! — krzyknął zapalczywie. — To jeszcze nie koniec. Następny fragment to piosenka. Zwykła, porządna piosenka z wyrazistą melodią, dokładnie taka, jakie lubiła śpiewać Carla. Słuchaj!

Usiadłam, lecz nie potrafiłam skupić się na muzyce, w głowie rozbrzmiewały mi wypowiedziane przed chwilą słowa: „taka, jakie lubiła śpiewać Carla”. Carla. Któż by inny? W ostatecznym rozrachunku zawsze chodzi o Carłę, prawda? — pomyślałam, równocześnie zdając sobie sprawę, że mimo wszystko to ona wygrała i właśnie teraz bierze na mnie rewanż. W jakiś sposób pokierowała moimi krokami, doprowadziła mnie do tego miejsca i porzuciła radując się moim cierpieniem wynikającym z tego, że Daniel jest tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Miałam go w zasięgu ręki, lecz musiałam się odeń odwrócić, jeśli nie chciałam postąpić według niemal biblijnego „zabić żonę, uwieść wdowca”, a wiedziałam, że tego nie chcę, gdyż wszystko, co od śmierci Carli robiłam, miało na celu pomniejszenie mojej zbrodni, nie zaś jej spotęgowanie.

Daniel zaczął grać. Piosenka rzeczywiście była cikliwa, w sam raz do tańca pościelowy. Potrafiłam sobie wyobrazić gardłowy, seksowny wokal Carli na podstawie tego, co usłyszałam tamtego wieczoru, kiedy siedzieliśmy na zewnątrz oświetlonej latarniami greckiej tawerny. Teraz jednak dysonans stanowiła mina Daniela, który miał chmurną twarz grając pogodną, liryczną melodię, zapewne dlatego, że i on nie mógł się opędzić od wspomnień o Carli, tym bardziej iż musiał ją pamiętać w podobnych sytuacjach, gdy to ona siedziała na moim miejscu, wysłuchiwała pierwszych wersji jego melodii i śpiewała mu do wtóru. Jedno prowadziło do drugiego, uwodzicielska muzyka Daniela i pełen namiętności głos Carli z pewnością nie raz zawiodły ich wprost do łóżka. Przed oczyma stanęły mi sceny, jakie się musiały rozgrywać wieczorową porą w tym salonie i na górze, w ich sypialni. Widziałam, jak Daniel zatrząskuje pokrywę pianina, okręca się na krześle i wyciąga rękę do Carli, a ona naturalnym ruchem wślizguje się w jego ramiona. Czułam jego pocałunki na jej wargach, zrazu niecierpliwe, później delikatne i czułe, wreszcie nieopanowane i gwałtowne. Byliśmy tam wszyscy: Carla i Daniel, i ja... Zastanawiałam się, czy zdarzyło im się kochać w salonie — tutaj, na macie przed kominkiem albo na sofie o bladym płóciennym obiciu czy na biało-niebieskim pasiastym dywanie, czy też zawsze wykradali się po cichu na górę, żeby broń Boże nie obudzić dzieci, i zapadali się w łóżko w sypialni, której nie dane mi było dotychczas zobaczyć. Nie mogłam nie wybiec myślą do przodu, do tego momentu, kiedy Daniel przestanie grać i okręci się na stołku, wyciągając do mnie dłoń — czy i my będziemy się kochać? I gdzie?

Oczywiście nic podobnego nie miało się zdarzyć. Ani tego dnia, ani kiedy indziej.

— No więc? — zapytał, kiedy zaległa cisza.

Podniosłam się z oparcia krzesła i odeszłam parę kroków w stronę kominka.

— Chciałabym wiedzieć, jak to się kończy.

— Niestety wciąż pracuję nad zamykającym fragmentem...

— Mimo to chciałabym go usłyszeć.

— No dobrze — poprawił się na stołku i zmarszczywszy brew, zawiesił dłonie nad klawiaturą.

Nagle opuścił je i spojrzał na mnie. — Helen... — zaczął i urwał.

— Po prostu to zagraj, proszę — powiedziałam cicho.

Jeszcze przez chwilę się wahał, wreszcie przybrał pozycję pianisty i dotknął klawiszy. W tym co grał, dało się słyszeć niepokój przebijający z pierwszego fragmentu, harmonię drugiego i proste, tańeczne dźwięki trzeciego, wszakże nie było tam łatwego pojednania — powiedziałabym raczej, że różnice pozostały wyraźne, gdyż kompozytor celowo zachował indywidualność poszczególnych motywów, upatrując w nich przyszłej jedności, do której wszakże zmierzał z wystudiowaną cierpliwością. Zauważyłam, że Daniel parę razy rzucił w moją stronę szybkie spojrzenie.

Ty biedny głupcze — pomyślałam. — Wydaje ci się, że oto spotkałeś drugą Carlę, kogoś, kto poznał cię, od razu znalazł się pod twoim urokiem i będzie do twojej dyspozycji, gdy tylko prze-

brzmi muzyka. Nawet jeśli się nie mylisz co do dwóch pierwszych spraw, między nami nigdy do niczego nie dojdzie, a to dlatego, że zrobiłam to, co zrobiłam, i jestem, jaka jestem. A ty nigdy się nie dowiesz, jak bardzo z twego powodu cierpię.

Nagle ogarnęła mnie złość: z jakiej racji mam sobie odmawiać jedynej prawdziwej przyjemności, której pragnę bardziej niż czegokolwiek w życiu? Ktoś powie: to wstyd iść do łóżka z mężem własnej ofiary, ale dlaczego miałabym się tym przejmować, skoro od dawna wiem, jakiego pokroju osobą jestem? Przecież poznałam się aż do bólu w Grecji i nic mnie już nie zdziwi i tym bardziej nic nie odmieni przeszłości ani nie przywróci Carli do życia. Po cóż więc to udawanie? Tak naprawdę nic i nikt nie może mnie powstrzymać przed wyciągnięciem ręki po to, czego pragnę.

A poza tym Carla na nic lepszego nie zasłużyła. Dostała Daniela i co? Nie chciało jej się o niego walczyć z Angelą — zamiast zmierzyć się z problemami, zwyczajnie od nich uciekła, szukając żalnego odwetu w nocy spędzonej z obcym facetem poznanym podczas urlopu. Gdyby wykorzystwała swoją szansę, nadal by żyła! Że też zawsze musiała wszystko spać! — myślałam gniewnie. — Po co mnie prowokowała? Gdyby mnie nie zaatakowała, nigdy bym jej pierwsza nie uderzyła; nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłam, a tam, w Grecji, działałam w obronie własnej! Sama się o to prosiła i dostała to, na co zasłużyła. A skoro przez nią znalazłam się aż tutaj, zaszłam tak daleko, nie miałam najmniejszego zamiaru się cofać i rezygnować z tego, co mogłam dostać! Kiedy za chwilę Daniel przestanie grać i wyciągnie do mnie rękę, nie odmówię mu — postanowiłam. — Nie ma mowy! Będę się z nim kochać tak, jak jeszcze nigdy wcześniej się nie kochałam, a kiedy następnego ranka w domu pojawi się Angela, będę z nią walczyć do upadłego i zrobię wszystko, by Daniel został przy mnie. Pragnęłam go i nie zamierzałam się nim z nikim dzielić.

W tym czasie muzyka zaczęła się niemal niedostrzegalnie zmieniać. Teraz wiem, że powinnam była go wtedy powstrzymać, w tym krótkim momencie, zanim powrócił motyw „Pieśni dla Carli”, nim znajoma, poukładana melodia wzięła górę nad roztrzepotanymi fragmentami. Powinnam była, ale tego nie uczyniłam i tym razem kiedy muzyka ucichła, poczułam się obnażona, wystawiona na jego łaskę i przepelniona niewyobrażalną żalnością.

— Hmm? — zwrócił na mnie pytające spojrzenie.

— Bardzo ładne — powiedziałam, starając się mówić obojętnym tonem, niestety głos mi się załamał i wypadło to dosyć dziwnie. — Jestem przekonana, że odniesiesz wielki sukces.

— Cholera, Helen! Dobrze wiesz, że nie o tego rodzaju opinię mi chodzi!

Wstał zdecydowanym ruchem i zaczął przemierzać pokój w moją stronę, nie spuszczać ze mnie oczu. Widząc, jak się do mnie zbliża, powtarzałam sobie w duchu, że muszę zabrać się i odejść, nim nie będę mogła zrobić kroku, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Chcąc zachować resztki godności, a może zdrowego rozsądku, powiedziałam:

— No widzisz, opinia dyletantki jest nic niewarta!

— Czyżby? — był wyraźnie zły. — W takim razie może podzielisz się ze mną opinią na temat czegoś, na czym się znasz, Helen, co? — Stał zaledwie paręnaście centymetrów ode mnie, a przestrzeń między nami aż iskrzyła od niewidzialnych wyładowań. — Ciekawe, czy znasz się na tym?... — Zamarłam w bezruchu, a kiedy Daniel zaczął się nachylać w moją stronę, zamknęłam oczy.

W tym ułamku sekundy jak nigdy przedtem pragnęłam zamienić się w Carlę, choćby na godzinę, jedną ceną godzinę, po której wreszcie mogłabym stąd odejść na zawsze, przestać żałować, cokolwiek to było, czego żałowałam, i nigdy go więcej nie zobaczyć. Wystarczyłoby mi sześćdziesiąt minut, podczas których wierzyłabym, że jestem Carlą.

Wargi Daniela napierały na moje, jego ramiona objęły mnie ciasno, a ja myślałam, że to nie przydarza się mnie — i z pewnością nie Carli — lecz komuś innemu, komuś, kogo tak naprawdę nie ma, choć nie wiem, jak mogłam tak myśleć, gdy po raz pierwszy od miesiący czułam się tak żywa, tak pełna uczuć i świadoma doznań płynących z ciała. W końcu zaczęłam odpowiadać na jego pocałunki, poniekąd wbrew sobie, bardziej jednak dlatego, że niczego bardziej w tamtej chwili nie pragnęłam. Czując moją reakcję, pocałował mnie znowu, zarazem delikatnie i szorstko, i kiedy już byłam pewna, że namiętność weźmie nad nim górę, położył mi na barkach swoje silne dłonie i odsunął od siebie na długość ramienia. Powoli otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą jego uśmiechniętą dumnie twarz, typową dla mężczyzny, który właśnie coś sobie udowodnił.

— Kiedy spotkamy się w Londynie? — spytał.

— Słucham? — chwilę czy dwie zabrało mi, nim dotarło do mnie znaczenie jego słów.

— Na górze śpi trójka dzieci, a ja mam pewne zasady. Przykro mi.

Nie wyglądał jednak, jakby mu było przykro, wręcz przeciwnie: był z siebie bardzo zadowolony. W przeciwieństwie do mnie. Zmieszana do granic odsunęłam się od niego i stanęłam twarzą do kominka, na którym dogasały ostatnie polana, wydzielając sporo ciepła i dając miłą czerwonawą poświatę. Na zewnątrz jednak dalej hulał wiatr, a mnie nagle przejął dreszcz.

— Nie musi ci być przykro. Rozumiem to — powiedziałam głucho.

— No tak, teraz będziesz na mnie zła.

— Ależ skąd!

— Naprawdę się nie gniewasz? W takim razie kiedy się spotkamy?

Zawahałam się i wzięłam głęboki oddech, czując, jak tętno wraca mi powoli do normy. Aby zyskać na czasie, przejechałam dłońmi po krótko przystrzyżonych włosach, niby poprawiając fryzurę, a w rzeczywistości starając się uporządkować wzburzone myśli. Piękna fatamorgana już się rozplywała w nicość, którą faktycznie była. Uświadomiłam sobie, że nieomal doprowadziłam do katastrofy: gdybym pozwoliła Danielowi się pokochać, niewinna obsesja, jaką było stąpanie po śladach Carli na tym padole, zniszczyłaby mnie do szczętu, wypaliła do cna. Powiedziałam więc:

— Nie spotkamy się.

— Co takiego? — tym razem to on nie rozumiał. — Dlaczego nie, na rany Chrystusa?

— Och, z mnóstwa powodów — odparłam. — Dostyc trudno to wyjaśnić, ale uwierz mi na słowo: nic by z tego nie wyszło.

— Skąd ta pewnośc? A poza tym powiedziałem tylko, że chcę się z tobą zobaczyć, przecież nie ma w tym nic złego, prawda? Zresztą parę minut temu nie widziałaś nic złego i w czym innym, więc...

— Popełniłam bład — przerwałam mu. Oczywiście Daniela niebezpiecznie się zwięzły.

— Helen, opowiadasz głupstwa!

— Po prostu czuję...

Nie pozwolił mi skończyć.

— To przez Carłę, prawda? — Na dźwięk jej imienia poczułam, jak brakuje mi powietrza w płucach, nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Być może nie musiałam, gdyż wyraz twarzy mówił za mnie wszystko. Daniel zrobił dwa kroki, żeby znaleźć się bliżej mnie, i raptownie przystanął.

— Właściwie dlaczego nigdy o niej nie rozmawiamy? — zapytał ze złością.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy... — zaczęłam, lecz on mnie nie słuchał.

— Chciałbym o niej porozmawiać, lecz nie wiem jak. To wszystko było takie nieoczekiwane i niejasne...

— Wiem, wyraziłeś to w swej kompozycji.

— Staralem się — westchnął i z lekkim wahaniem, nie patrząc na mnie, dodał cicho: — Jednakże nie wszystko da się wyrazić muzyką. Na przykład nie sposób zawrzeć w niej poczucia winy... — podniósł na mnie wzrok, badając, jak zareaguję na te słowa. Za oknami wiatr cały czas przybierał na sile, tak że Daniel musiał mówić głośniej. — Może właśnie nadszedł dobry moment, żeby sobie to i owo wyjaśnić. Przede wszystkim kwestię żalu. Bóg jeden wie, że mam czego żałować, ale nie ma to nic wspólnego z tobą. Ani jeśli już o tym mowa, z tobą i ze mną.

— To bez znaczenia. I tak by się nam nie udało.

— Podaj mi choć jeden powód.

— Nie mogę, Daniel — pokręciłam smutno głową.

— No dalej, wyrzuć to z siebie. Albo przynajmniej powiedz coś o sobie.

— Naprawdę nie ma wiele do powiedzenia...

— Gówny prawda! — zdenerwował się. — I dobrze o tym wiesz.

Rzeczywiście wiedziałam. Aż nazbyt dobrze pamiętałam inną, podobną rozmowę, w której stwierdziłam, że wciąż jeszcze jestem niezapisaną kartą, na co w odpowiedzi usłyszałam wzgardliwe: „Może ci się wydaje, że jesteś tajemnicza jak Mona Liza, co?”

Zebrałam się w sobie i zakomunikowałam:

— Posłuchaj mnie uważnie, Daniel. Ta wymiana zdań do niczego nie prowadzi. Wyjadę stąd tak czy siak i co najważniejsze, nie chcę cię więcej widzieć. To chyba proste, prawda?

— Nie dla mnie — obruszył się. — I ostrzegam cię, Helen, że jak się zaprę, potrafię być bardzo uparty.

To mi dało do myślenia. Po pierwsze nie do końca rozumiałam, czemu tak nagle zaczęło mu na mnie zależeć, pod drugie zaś zaniepokoiłam się, czy zdołam przeciwstawić się jego uporowi. Rozpaczyliwie próbowałam znaleźć wyjście z powstałej sytuacji, zanim wymknie się ona spod kontroli, lecz zamiast możliwych rozwiązań do głowy przychodziły mi tylko fragmenty zdań wypowiedzianych przez Carlę w tawernie Ianniego: „I to twoje udawanie niezdobytej księżniczki... Najstarszy numer na świecie!...” Czyżby miała rację? Czyżbym podświadomie pragnęła Glena od samego początku, podobnie jak teraz Daniela, i tworzyła sztuczne problemy po to, by ich do siebie przyciągnąć? Na tym polegała moja gra?

Dotychczas starannie unikałam wzroku Daniela, by nie mógł nic wyczytać w moich oczach, teraz jednak spojrzałam mu prosto w twarz i zimnym, wystudiowanym głosem powiedziałam:

— Naprawdę przykro mi to mówić, Daniel, ale po prostu nie jesteś w moim typie.

Oczy mu się zwięziły, jakbym chlusnęła w niego jadem.

— A kto jest w twoim typie? Ten amerykański chłoptaş, którego poznałaś w Grecji?

— O, na przykład.

— I Michael Fanshaw?

Zachwiałam się jak pod wpływem uderzenia. Jakim cudem Daniel się dowiedział o nocy spędzonej u brata Carli?

— Każdy może się pomylić...

— No to może powiesz mi — sztydził — jaki dokładnie jest ten twój typ?

— Nie twoja sprawa!

— Nawiasem mówiąc dzwonił tu dziś rano. Widzisz, wyleciało mi z głowy. A może nie chciałem, żebyś o tym wiedziała.

— Michael? — przeraziłam się nie na żarty.

Daniel pokręcił głową.

— Amerykanin. Ten drugi, ciemnowłosy, ten, z którym była Carla...

— Caddie? — Gardło miałam ściśnięte ze strachu. Jaki mógł być powód, że Caddie po tylu miesiącach zdecydował się skontaktować z Danielem?

— Chyba tak się przedstawił. Powiedział, że przyleciał do Londynu na Nowy Rok i że chciałby się z tobą spotkać... Obiecałem, że ci przekażę wiadomość.

Nadając głosowi obojętne brzmienie, powiedziałam:

— Chętnie go znów zobaczę. Był całkiem miły.

— W przeciwieństwie do mnie?

— Tak.

— Wiesz co, Helen? Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Kiedy wreszcie przestaniesz przede mną udawać?

O mój Boże — myślałam coraz bardziej spanikowana. — Dlaczego to musi być takie trudne? Wiedziałam jednak, że nie mogę się teraz odsłonić, że muszę ciągnąć swoją grę, wyjechać, tak jak to zapowiedziałam, i nigdy, przenigdy tu nie wrócić.

— Zdaje się — odezwałam się po chwili milczenia — że nigdy nie mówiłam ci, co wydarzyło się tamtej nocy. Może powinieneś się wreszcie dowiedzieć...

— Zbytek łaski. Wiem wszystko od Paula.

— Od Paula? — głos mi się załamał, na powrót załała mnie fala paniki. — Co takiego ci powiedział?

— Po co wyciągasz to właśnie teraz?

— Ponieważ uważam, że powinieneś poznać prawdę o mnie!

— Czyżby? — zapytał z dziwnym uśmiechem. — A jeśli już ją znam?... Paul powiedział mi, że ty ich poderwałaś, że siedziałaś na skraju mola i udawałaś, że szkicujesz, strzelając wokół oczami, chociaż Carla nie miała ochoty na nowe znajomości. Paul odniósł wrażenie, że przyłączyła się do was tylko dlatego, żeby nie wybuchła kłótnia.

Byłam zszokowana. Zaraz zaczęłam się zastanawiać, ile Paul mógł wtedy widzieć i dlaczego karmił Daniela wypaczoną wersją wydarzeń.

— No więc sam widzisz — powiedziałam, odzyskawszy głos. — Sprowadziłam twoją kryształową żonę na manowce...

— Nie przesadzaj, Carla była dorosła i nikt jej do niczego nie zmuszał. Poza tym wakacyjny romans to jeszcze nie przestępstwo.

— Tak uważasz? — popatrzyłam na niego z nowym zainteresowaniem. — Co jeszcze powiedział ci Paul?

— Wieczorem widział was wszystkich w tawernie. Ponoć ty i Carla nieźle się urzęnęłyście... Słyszał, jak w pewnym momencie proponujesz wyprawę po ciemku do domku chłopców, i przelotnie się zastanawiał, czyby nie wyrwać Carli z twoich szponów, zanim wepchniesz ją do łóżka któremuś z tych młokosów, ale ostatecznie postanowił się nie wtrącać.

— Dawno ci o tym wszystkim opowiedział?

— Jeszcze w Grecji, nazajutrz po tym, jak zginęła Carla. Mieliśmy trochę czasu do zabicia — uśmiechnął się smutno na tę niezamierzoną grę słów — gdyż ważyły się losy śledztwa... Zdaniem tamtejszej policji niektóre obrażenia Carli wyglądały tak, jakby została zaatakowana — mówiąc to, obserwował mnie uważnie, a ja wiele bym dała, żeby wiedzieć, dlaczego nagle zdecydował się poruszyć ten bolesny temat — lecz w końcu przyjęto wersję wypadku. Paul zarzekął się, że Carla od samego początku była niechętnie nastawiona do twojego planu i że zmusiłaś ją, żeby z wami poszła.

— Paul ci to wszystko powiedział? — zapytałam z niedowierzaniem. Daniel przytaknął skinieniem głowy. — A to skurwiel!

— A ja rzekłbym raczej, że nagiął nieco prawdę, żeby oszczędzić moje uczucia... — Daniel odchrząknął, lecz w jego głosie wciąż wyczuwało się silne wzruszenie. — Jak się zapewne domyślasz, to nic miłego dowiedzieć się, że w ostatnią noc swego życia żona gziła się z jakimś dupkiem.

No tak — pomyślałam, w duchu przyznając Danielowi rację. — To dlatego Paul kłamał, za co należała mu się tylko wdzięczność. Jako że na własnej skórze doświadczył śmierci żony i musiał sobie radzić z nieprzyjemnymi plotkami, o czym mówiła mi Janet, nie chciał, by Daniel przechodził przez coś podobnego, i właśnie dlatego powymyślał obciążające mnie kłamstwa. Nie przewidział, że opinia Daniela o mnie może mieć kiedykolwiek jakieś znaczenie dla kogokolwiek z nas. Postanowiłam to wykorzystać.

Podeszłam do pianina i zerknąwszy na nuty, jednym palcem zaczęłam uderzać w klawisze, wydobywając z instrumentu dźwięki „Pieśni dla Carli”.

— Chcesz posłuchać, co było dalej? — spytałam.

— A powinienem? — po raz pierwszy w jego głosie usłyszałam niepewność, więcej nawet: strach.

— Sądzę, że tak — odparłam. — Paul powiedział ci szczerą prawdę: urlop się kończył i chciałam zaszaleć, podczas gdy Carla myślała już tylko o powrocie do domu, gdyż zaczęła tęsknić za tobą i dziećmi. Ostatnie, co ją interesowało, to podryw. Ja jednak postanowiłam się zabawić i potrzebowałam do tego Carli, toteż przekonywałam ją i połam tak długo, aż wreszcie się zgodziła. Zanim udaliśmy się do domku chłopców, poszliśmy jeszcze na plażę, popływać na golasa, i możesz sobie wyobrazić, jak niezadowolona była Carla (mimo morza alkoholu, który wypijała, pozostała równie pruderyjna jak na trzeźwo!). Całą drogę marudziła, a potem nie chciała się rozebrać i wejść do wody, ale ja miałam jej fochy w nosie i zwyczajnie rzuciłam się do wody, a Glen i Caddie zaraz za mną. Zupełnie zapomniałam, że z Carli jest kiepska pływaczka, i sama wypłynęłam hen w morze, a chłopcy dotrzymywali mi dzielnie kroku, tak że w końcu swawoliliśmy daleko od brzegu. Wtedy właśnie usłyszeliśmy krzyki Carli, która też w końcu postanowiła popływać, tyle że jak to ona natychmiast spanikowała, z powodu głębokości, ciemności i wina. Mówiłam chłopcom, że jej przejdzie i żeby się nie martwili, ale Caddie i tak popłynął do niej.

W trakcie mojej opowieści Daniel podszedł bezszelestnie do pianina i stojąc po jego drugiej stronie, oddychał ciężko.

— Dlaczego mi to mówisz? — spytał podejrzliwie.

— Po prostu uważam, że powinieneś wiedzieć — rzuciłam lekko, ciesząc się w duchu, że Paul wymyślając swe kłamstwa dał mi do ręki wyśmienitą broń. Sama zaczynałam już wierzyć w opowiadaną wersję wypadków. — Wprawdzie nie widziałam z bliska, co się z nimi potem działo, ale potrafię

sobie wyobrazić: Carla była pijana, myślała, że tonie, bała się i czepiała Caddiego, który ją w jej mniemaniu uratował. Poszli do domku i pewnie uprawiali seks, ale kiedy zjawiliśmy się tam ja i Glen, było już po wszystkim. Carla była zdenerwowana, nalegała, żebyśmy od razu wracały do hotelu, ja jednak powiedziałam jej, że będzie musiała trochę poczekać. Wiedziałam, że nie odważy się ruszyć sama, zbytnio bała się ciemności.

— Zatem czekała, podczas gdy ty pieprzyłaś się z blondynem?

— Jasne, ani mi było w głowie zmieniać pierwotny plan. — Zapadła długa cisza. — No, może tylko pod jednym względem. Najpierw zrobiłam to z Glenem, a potem z Caddiem. Rozumiesz, chciałam się wyszaleć. — Widziałam, jak dłonie Daniela zaciskają się w pięści, jakby szykował się, by mnie uderzyć. Nie poruszył się jednak. Kontynuowałam więc: — A później z oboma naraz.

Chwila ciszy.

— I z Carłą? — padło wreszcie ciche pytanie.

— Nie, jej z nami nie było. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie, ale wiem, że w którymś momencie legła na łóżku w drugim pomieszczeniu, to znaczy w kuchni. Nie wydaje mi się, żeby zdawała sobie sprawę, co dzieje się w pokoju obok. Dopiero kiedy robiło się jasno, weszła do sypialni i stanęła jak wryta na widok naszej trójki w skotłowanej pościeli. Zdaje się, że zaproponowałam jej, żeby do nas dołączyła, choć nie jestem na sto procent pewna... W każdym razie Carla dostała histerii i jak głupia wybiegła z domku i na drogę. No i wpadła pod ciężarówkę, bo zalana łzami nic nie widziała i niewiele słyszała przez te swoje szloch... Teraz już wiesz, czemu ja także się winię o jej śmierć — zakończyłam.

— Chryste, Helen! — Daniel uderzył pięściami w wieko pianina. — Dlaczego mi to robisz?

Popatrzyłam na niego z udawanym zdziwieniem.

— Po prostu mówię ci prawdę, Daniel.

— Nie! — krzyknął zapalczywie. — To nie było tak! Nie w ten sposób... Kłamiesz!

— Tak myślisz? Przecież tam byłam, widziałam wszystko. Pogódź się z faktami, Daniel, nawet jeśli ci się nie podobają.

— Jesteś chora, Helen. Byłoby mi cię żal, gdyby nie ta nienawiść w tobie... Boże — westchnął — jaki trzeba mieć umysł, żeby wymyślić takie ohydztwa?

Zbyłam go wzruszeniem ramion i przeszłam do sedna.

— Cały czas myślałeś, że przyjechałam tutaj dla ciebie, prawda? Myliłeś się jednak. Jestem tu wyłącznie z powodu Carli: musiałam się dowiedzieć, dlaczego od ciebie uciekła. I teraz już wiem.

— Jesteś odrażająca! — stwierdził, a ja w duchu odetchnęłam: Oho, jad zaczyna działać, udało mi się! Na jego twarzy malowała się odraza wymieszana z bólem i choć poczułam ucisk w piersi, cieszyłam się, gdyż dzięki temu wszystko było prostsze.

— Myśl, co chcesz, ja i tak odchodzę.

— Więc zabieraj się i jedź! — postąpił w moją stronę, lecz zatrzymał się w pół kroku, wysiłkiem woli panując nad ciałem.

— Wynoś się! Zejdź mi z oczu, zanim cię zabiję!

W mieszkaniu byłam o trzeciej nad ranem. Powitał mnie chłód, pustka i smutek. W głowie mi łupało od wpatrywania się w drogę i reflektory nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów, miałam mdłości i tylko ostatkiem sił, nawet się nie rozbierając, wsunęłam się do łóżka i wtuliłam twarz w zimną poduszkę.

Po upływie nieokreślonego czasu pod zamkniętymi powiekami zaczęły mi się przewijać obrazy, coś jakby film, tyle że wszystko było stokroć realniejsze. Po dziś dzień nie umiem określić, czy to był sen czy jawa.

Jak zawsze znalazłam się na szosie, wokół panowała niczym nie zmacona cisza i świat nabierał konturów w świetle wschodzącego słońca. Gdzieś z tyłu Carla wołała: „Helen, zaczekaj na mnie!”

Przystanąłam i czekałam, aż mnie dogoni. Wydawała mi się wyższa, niż ją zapamiętałam, górowała nade mną i emanowała z niej jakaś groźba. Zaczęłyśmy się kłócić i w którymś momencie uderzyłam ją, na co ona rzuciła się na mnie, pryskając kropelkami śliny i paznokciami sięgając do moich oczu. Wczepiona we mnie zasłaniała mi widok na drogę, tak że robiąc następny krok potknęłam się i upadając, pociągnęłam ją za sobą. Poczułam strach; Carla była w amoku. Ułamek sekundy zajęło jej wymacanie na szosie kamienia, który natychmiast spadł na moją głowę. Zrozumiałam, że muszę się bronić — muszę z nią walczyć, zwinęłam więc dłoń w pięść i na oślep wyrzuciłam ją przed siebie, trafiając Carlę tuż pod okiem. Krzyknęła z bólu i odtoczyła się na bok, wypuszczając z dłoni kamień, który ucapiałam szybciej, niż zdążyłam pomyśleć, błyskawicznie odsunęłam się od niej, po czym wzięłam zamach i ją uderzyłam. Głowa Carli trzasnęła o nawierzchnię, pojawiła się krew. Uderzałam ją raz po raz, krzycząc: „Nie, nie, nie!” Nagle: „Helen, uważaj!” Jej krzyk i mój krzyk, zlewające się w przeraźliwy dźwięk przywodzący na myśl syrenę okrętową bądź alarm.

Dzwonek telefonu. Krzyk i dzwonek.

Dzwonek do drzwi.

Z trudem wybudziłam się i usiadłam na łóżku, nieprzytomnie rozglądając się wokół. Byłam mokra od potu i dyszałam, ciężko łapiąc powietrze. Stojący na szafce nocnej budzik wskazywał 8.45.

Znów rozległ się dzwonek. A więc to mi się nie śniło — pomyślałam. — Ktoś naprawdę dzwoni do drzwi.

Niech sobie pójdzie — poprosiłam w duchu.

Przerywany sygnał przeszedł w ciągły, jakby intruz nie odrywał palca od przycisku. Wyśliznęłam się spod kołdry i ruszyłam w stronę drzwi frontowych, a dzwonek nie przestawał wwiercać mi się w mózg.

— Idę już, idę! — krzyknęłam.

Otworzyłam drzwi na oścież.

— Cześć, Helen. Cieszysz się, że mnie widzisz?

Na progu, okutany w gruby zimowy płaszcz i z walizką w dłoni, stał Caddie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Nie bój się, nie zamierzam się do ciebie wprowadzić — oznajmił Caddie stawiając walizkę w przedpokoju i zdejmując płaszcz. — Jestem w drodze na lotnisko, dziś po południu wracam do Stanów.

— I pomyślałeś sobie, że wpadniesz zapytać mnie o zdrowie? — zażartowałam z ironią.

— Helen — w jego głosie pobrzmiwały ostrzegawcze nutki — musimy porozmawiać. Zjawiłem się tak wcześnie, ponieważ nie wiem, gdzie pracujesz, i chciałem cię złapać przed wyjściem z domu.

— Dzisiaj i tak mam wolne — poinformowałam go.

— A czuję się wprost świetnie.

— Tym lepiej. Zaoszczędzi ci to kłopotu i przekonywania szefa, że dostałaś nagłego bólu brzucha.

— Ale... — zaczęłam protestować przeciwko takiemu bezceremonialnemu traktowaniu.

— Dość tego. Gdzie możemy usiąść?

Poczułam strach. Ten Caddie, który przede mną stał i wydawał polecenia, tak bardzo się różnił od młodego mężczyzny, którego znałam w Grecji. Był zarazem szczuplejszy, bardziej zdecydowany i mniej delikatny. Ubrany w elegancki ciemny garnitur, nieco tylko jaśniejszą koszulę ze stojącym kołnierzykiem, bez krawata, ale w wypolerowanych na wysoki błysk trzewikach wyglądał jak typowy japiszon, od jakich roi się Ameryka; kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, miał na sobie tylko luźne szorty i pasiasty t-shirt, które wyraźnie pogrubiały jego sylwetkę, a wąska, lisia twarz także nie przydawała mu uroku, tak że w porównaniu z pszenicznowłosym Glenem wydawał się wtedy o wiele mniej ciekawy. Jego nieoczekiwane wtargnięcie sprawiło, że przypomniały mi się wieczory spędzane nad przystanią, gra w bilard, przerywana po to tylko, by pociągnąć łyk piwa lub ugryźć kawałek pizzy, i poczułam dojmujący żal, jak gdyby kobieta, której sprawiały przyjemność tamte zwykłe czynności, odeszła na zawsze, nie wiedząc nawet, że odchodzi, oraz dlatego że już nigdy żadna prosta czynność nie będzie w stanie przynieść jej radości.

...Wciąż otumaniona przez sen boję się tego, co przyniesie rozmowa z Caddiem. Jemu zebrało się na zwierzenia, ja za wszelką cenę muszę pozostać czujna, rozegrać to właściwie. Przede wszystkim muszę grać na czas; zaczynam więc od neutralnego, oczywistego w takiej sytuacji pytania.

— Od dawna jesteś w Anglii? — przecieram zaspane oczy.

— Od tygodnia — mówi Caddie. — Mój kuzyn żenił się w hrabstwie Derby, na wesele ściągnęła cała rodzina, a ja uznałem, że to doskonała okazja, żeby zobaczyć się także z tobą, wymienić najświeższymi informacjami.

— Jak mnie znalazłeś? — zadaję kolejne naturalnie brzmiące pytanie.

— Przez Fincha — wyrzucił z siebie, jakby to nazwisko paliło go żywym ogniem.

— Tak, wspominał mi, że dzwoniłeś...

— To przeze mnie się pokłóciliście?

— Jak to: pokłóciliśmy?

— No, kiedy do mnie wczoraj wieczorem zadzwonił, był nieźle wkurzony. Nie mam zamiaru powtarzać ci, co mi o tobie naopowiadał, możesz wierzyć na słowo, że zachowywał się jak prawdziwy psychopata. Ale pewnie się tego spodziewałaś, skoro go wystawiłaś.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — jego słowa wywołują we mnie niepokój.

— Czyżbyś jeszcze nie wiedziała? — odpowiada pytaniem na pytanie, przypatrując mi się z wyraźną pogardą w błyszczących oczach.

Nagle dociera do mnie, dlaczego tak dziwnie się czuję w jego obecności: Caddie jest zły, co tam zły! on wprost tryska gniewem. Wygląda jak człowiek, w którym ten gniew rósł od dłuższego czasu, może nawet od wielu miesięcy. Od opuszczenia Grecji. Muszę nad nim jakoś zapanować, przejąć kontrolę nad sytuacją.

— Słuchaj, Caddie — mówię, zagłębiając palce w skołtunione włosy. — Późno wczoraj wróciłam, ty zerwałeś mnie z łóżka skoro świt. Przede wszystkim muszę wziąć prysznic i napić się kawy. Może poszedłbyś do kawiarni, jest tuż za rogiem, i dał mi trochę czasu, żebym się ogarnęła, a potem możemy rozmawiać do woli. Co ty na to?

— O nie, Helen. Nie ma mowy. Nie pozwolę ci, żebyś znowu zabawiła się moim kosztem!

— Dlaczego miałabym się zabawiać twoim kosztem?

— Zaraz do tego dojdziemy.

— O czym ty mówisz? — powtarzam bezradnie.

Caddie rozgląda się, podchodzi do wieszaka i starannie odwiesza płaszcz, po czym wchodzi do saloniku i zajmuje miejsce na czymś, co z grubsza można nazwać fotelem.

— Mnie się nie śpieszy — mówi. — Odśwież się, zaczekam.

— Zaczekasz?! No, ja myślę, że zaczekasz! — wykrzykuję z pasją. — Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, co? Budzisz mnie, wpychasz mi się do mieszkania, a teraz mówisz mi, co mogę i czego nie mogę robić!

— Przestań się zgrywać, nie jestem w nastroju.

— Słuchaj no... — zaczynam, ale przerywa mi w pół słowa.

— Nie, to ty mnie posłuchaj, Helen! — podrywa się z fotela i przyskakuje do mnie. — Jeśli o mnie chodzi, możemy porozmawiać o wszystkim zaraz!

Porozmawiać o czym? — myślę spanikowana, na głos zaś mówię:

— Nie, czekaj... — Nie wiem jeszcze, co mnie czeka, ale instynktownie wolę to odwlec. — Daj mi dziesięć minut, dobrze? Rozgość się, zrób sobie kawy — macham ręką w stronę kuchni. — Postaram się być gotowa jak najszybciej...

Złapałam pierwsze z brzegu ubrania i wycofałam się do łazienki, gdzie trzęsącymi się z emocji rękoma zdjęłam wczorajsze ciuchy i odkręciłam kurki z wodą. Caddie wie — myślałam wchodząc pod prysznic i wykręcając całe ciało tak, żeby gorący strumień dosięgnął każdej części mego ciała. Równocześnie starałam się opracować strategię, ale ta jedna, uporczywa myśl („Caddie wie!”) nie pozwalała mi na to. Byłam pewna, że w Grecji niczego nie podejrzewał, a to oznaczało, że od tamtej pory zdążył sobie wszystko poukładać i że teraz, poznawszy prawdę o mnie, wie także, co naprawdę stało się z Carlą.

To dziwne, ale perspektywa bliskiego zdemaskowania wcale mnie nie przerażała, przynajmniej nie tak, jak zawsze się tego obawiałam. Co więcej, czułam ulgę, przetaczającą się przeze mnie fala za falą, jakby składała się z cząstek materii. Po tylu miesiącach izolacji tęskniłam do chwili, kiedy wreszcie ktoś spojrzy mi w oczy i dostrzeże prawdziwą Helen. Gdybym wyznała mu wszystko — całą swoją winę, wątpliwości i pomieszenie — och, mój Boże, cóż to byłby za luksus!

Otrzeźwiałam, kiedy woda zrobiła się chłodniejsza. Uświadomiłam sobie, że nie stać mnie na ten luksus, bez względu na to, jak bardzo jest kuszący, i wystraszyłam się, że pragnę rozgrzeszenia tak rozpaczliwie, że o mały włos stałabym się nieostrożna. Caddie jako spowiednik! — prychnęłam w duchu na swą głupotę.

— Z pewnością nie dochowałyby tajemnicy spowiedzi i wkrótce cały świat dowiedziałby się o mojej zbrodni. Jedyne, co mogę zrobić, co muszę zrobić, to przekonać go o swej niewinności. Carla zmarła w wyniku potrącenia przez ciężarówkę — powtarzałam jak mantrę. Nie było potrzeby odchodzić od oficjalnej, prawdziwej — poprawiłam się natychmiast — wersji. Śledztwo umorzono. Sprawa jest zamknięta.

Włożyłam szare spodnie i grafitowy sweter i z łazienki wychodziłam z zamiarem walki do upadłego. Nie jesteś niczemu winna — przekonywałam się. — Caddie to stary znajomy, który zachowuje się nieco dziwnie, nie przejmuj się... Przechodząc przez przedpokój rzuciłam okiem na lustro, z którego popatrzyło na mnie moje odbicie: blada twarz bez cienia makijażu, lekko tylko zaczerwieniona od gorącej pary, wilgotne, opadające strąkami włosy. Pożałowałam, że nie prezentuję się lepiej.

Kiedy weszłam do saloniku, Caddie stał przy oknie i wyglądał na wysoki ceglany mur naprzeciwko, jakby w oczekiwaniu na mnie chodził niecierpliwie w tę i z powrotem i w pewnym momencie zatrzymał się tam na dłużej.

— Zrobiłeś sobie kawę? Odwrócił się na dźwięk moich słów.

— Znalazłem tylko to rozpuszczalne paskudztwo.

— O tym właśnie mówię. I gdzieś powinno być mleko w proszku.

— Wiesz co, Helen, chyba zrezygnuję z kawy. — Po chwili z podziwem przyglądał się, jak dosypuję trochę zbrylonego kremowego proszku do czarnej jak smoła kawy i mieszam łyżeczką.

— Zanim do ciebie przyszedłem, próbowałem wymyślić, w jakiego rodzaju mieszkaniu mieszkasz...

— No i...?

— I nie spodziewałem się czegoś takiego — potoczył wzrokiem po pustych białych ścianach, pustych półkach, pustym wnętrzu, w którym nie było dosłownie nic, co mogłoby cokolwiek powiedzieć o mnie jako osobie. — Słyszałem wprawdzie o minimalizmie, ale to mi zakrawa na... — wzruszył ramionami. — Musisz tu niewiele bywać.

— Przecież to mój dom — powiedziałam niepotrzebnie, gdyż Caddie tylko popatrzył na mnie z niedowierzaniem i pokręcił głową. Musiałam napomnieć się w duchu, żeby zachowywać się normalnie, podtrzymywać luźną rozmowę, która by w żaden sposób nie sugerowała mojego niepokoju czy jakiejś tajemnicy. Radosnym tonem zapytałam więc: — A co słyszać u Glena?

— Chyba wszystko u niego w porządku — odparł. — Nie widzimy się wiele... — wydawało mi się, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

— I się nie myliłaś. Glen był moim najlepszym przyjacielem. Do czasu ostatnich wakacji. Niby nic konkretnego się między nami nie zepsuło, a jednak oddaliliśmy się od siebie — powiedział ze smutkiem.

Rzuciłam banalne:

— To niedobrze — byle tylko ukryć narastający strach.

Ze sposobu, w jaki Caddie mówił o końcu jego przyjaźni z Glenem, wyraźnie wynikało, że traktuje to znacznie poważniej i co gorsza wini za stratę przyjaciela mnie. Nawet przez moment nie spuszczał ze mnie oczu, a mnie z kolei z trudem przychodziło wytrzymać jego wzrok. Wreszcie odstawiłam kubek z kawą i zmusiłam się, by spojrzeć mu prosto w twarz.

— Naprawdę cię nie rozumiem, Helen. Jak to jest, że potrafisz patrzeć na mnie bez drgnienia powieki po tym, co zrobiłaś w Grecji.

Na plecach poczułam strumyki potu, ziemia uciekła mi spod nóg, lecz nie spuściłam wzroku.

— O co ci dokładnie chodzi? — spytałam.

— Był tego wart, Helen? Kochałaś go chociaż?

— Glena? — zapytałam zdezorientowana.

— Nie Glena, ty idiotko, tylko pieprzonego męża Carli.

— Daniela? Nie wiem, o czym mówisz.

— Jezu, ty nigdy nie przestajesz udawać, co? Ale ja stąd nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, co się naprawdę stało. — Zrobił parę kroków w moją stronę i nagle zaczęłam się bardzo, ale to bardzo bać. Górował nade mną wzrostem i siłą, twarz miał wykrzywioną złością i mogłam przypuszczać, że znajduje się o włos od użycia przemocy fizycznej. — Posłuchaj mnie uważnie, Helen — rzekł z powagą. — Sześć godzin życia spędziłem jako podejrzany o morderstwo pierwszego stopnia, będąc w obcym kraju i nie mając pojęcia, dlaczego ktoś mnie w ogóle podejrzewa. O morderstwo, o którym nawet jeszcze nie słyszałem, że do niego doszło. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest? — Pokręciłam głową. — No to ci powiem. Takie doświadczenie zmienia całe dalsze życie. A przynajmniej zmieniło moje. Wcześniej zawsze uważałem, że prawo jest po to, by chronić ludzi takich jak ja. Kurwa — wybuchnął — przecież ja studiuje prawo, a mimo to, mimo że nic mi nie można zarzucić, podejrzewano mnie o morderstwo!

— Ale przecież to była pomyłka — wtrąciłam cicho, bezwiednie odsuwając się od niego. — Carla zginęła w wypadku.

Udał, że mnie nie słyszy.

— Wynik pierwszych, pobieżnych oględzin zwłok w szpitalu wykazał, że Carla nie żyła, zanim uderzyła w nią ciężarówka — ciągnął. — A to mogło oznaczać tylko jedno: że ktoś ją zabił. I dlatego policja wsiadła na mnie. Oczywiście ja wiedziałem, że tego nie zrobiłem, ale moja wiedza gównie ich obchodziła, wiesz? Tyle że teraz ja wiem, że tamtego dnia był jeszcze ktoś, kto wiedział o mojej niewinności... — urwał, czerpiąc radość z mojego strachu, i dopiero nasyciwszy się nim po chwili dokończył: — Tą osobą byłaś ty, Helen.

— Oczywiście, Caddie, zawsze wierzyłam, że nie byłbyś zdolny popełnić morderstwa, i tak też się okazało. W szpitalu się pomylili. Carla zginęła w wypadku.

— Przestań łąć! — wykrzyknął. — Pamiętam każdą sekundę z tych sześciu godzin! Wtedy ważyły się moje losy: mogłem zostać oficjalnie oskarżony albo nie. Od tego czasu setki razy, minuta po minucie, analizowałem tamte wydarzenia i wiesz co? Zawsze wychodziło mi, że strasznie dziwnie się wtedy zachowywałaś, choć rzecz jasna wszyscyśmy się dziwnie zachowywali i było to całkiem zrozumiałe, a jednak w twoim zachowaniu było coś, co od samego początku nie dawało mi spokoju. A właściwie nie w zachowaniu, ile w spojrzeniu. Patrzyłaś na mnie, jakbyś czuła się winna.

W ustach mi zaschło i kiedy się odezwałam, z gardła wydobył się nieprzyjemny skrzek.

— To śmieszne, Caddie. — Odchrząknęłam. — Byłam zszokowana i miałam kaca, jak my wszyscy. Niby czemu miałam czuć się winna?

— Bo cały czas dobrze wiedziałaś, co naprawdę przytrafiło się Carli. Wystarczyło, żebyś otworzyła usta i to powiedziała, ale nie, ty patrzyłaś na mnie i milczałaś. Pozwoliłaś, żebym się wił i srał ze strachu, żebym przeszedł całe piekło tam i z powrotem, i nic, ale to zupełnie nic nie zrobiłaś, żeby mi pomóc.

— Nie, Caddie. Ja o niczym nie wiedziałam. Przysięgam.

— Zamknij się! — ryknął na mnie, aż się cała skuliłam. — Potrafiłbym jeszcze zrozumieć, dlaczego milczałaś. Po prostu się bałaś, podobnie jak ja, strach to bardzo ludzka rzecz. A potem jakaś szycha się wtrąciła i umorzyła śledztwo i wszyscyśmy wrócili do domu, chociaż ja nigdy o tym wszystkim nie zapomniałem, nawet na chwilę. I przez cały ten czas najbardziej mnie wkurzało... — zawiesił głos — ...to, że mnie wystawiłaś celowo. Pamiętasz tę koszulę, którą znaleziono koło jej ciała? M o j ą koszulę? Całą zaplamioną krwią Carli? Zabrałaś ją z naszego domku i zaniosałaś tam, żeby policja od razu mnie przytknęła. Jak sobie o tym pomyślę, chce mi się rzygać!

— Mylisz się! — zaprzeczyłam.

— Nie, to ty cały czas łżesz! — krzyżąc, złapał mnie za ramiona i przycisnął do ściany. Czułam, jak jego palce zgniatają mi ciało.

— Caddie, przestań! — wołałam. — Oszalałeś? Puść mnie!

Był tak blisko, że niemal stykaliśmy się twarzami. Choć podświadomie chciałam się bronić, zmusiłam mięśnie do rozluźnienia; wiedziałam, że Caddie w takim stanie, w jakim się znajduje, nie panuje nad sobą i łaknie walki, a był ode mnie większy i o wiele silniejszy. Gdyby poczuł opór, jego furia tylko by eskalowała, miałam więc nadzieję, że kiedy poczuje pod rękoma bezwład, dojdzie do opamiętania. Oboje dyszeliśmy ciężko, poza tym panowała absolutna, pełna napięcia cisza. Wciąż czułam jego dłonie na swoich ramionach, ale zauważyłam, że powoli opuszcza powieki, zasłaniając czarne, pałające nieskrywaną nienawiścią oczy, po czym zwiesza głowę. Patrzyłam na jego przedziałek, widziałam każdy włos z osobna i modliłam się, żeby się uspokoił i wreszcie mnie puścił.

Stało się to tak nagle, że się zachwiałam, kiedy zabrał ręce i odszedł parę kroków. Staął na środku pokoju i spojrzał na mnie spode łba.

— Mogłem cię zabić — powiedział głuchym głosem. — Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie zdarzyło. Nikomu nigdy nie zrobiłem krzywdy.

— Ani ja, Caddie. Musisz w to uwierzyć.

— Och, wierzę ci. Inni zrobili to za ciebie. — Opadł na fotel, daleko ode mnie i od pokusy, by uczynić mi coś złego. — Sam nie wiem, po co tu przyjeżdżałem... Nie ma wielkich szans, żeby wznowić śledztwo, ale niedobrze mi się robi, kiedy sobie pomyślę, że obojgu wam ujdzie to na sucho.

— Obojgu? — popatrzyłam na niego, nie wiedząc, o czym mówi.

— No, tobie i twojemu kochasiowi Finchowi — wyjaśnił. — Wcześniej nie byłem stuprocentowo pewien, ale kiedy usłyszałem od niego, że spędziłaś z nimi Nowy Rok, wszystko nagle zaczęło mi pasować. Właściwie powinienem do niego pojechać i plunąć mu w twarz.

— Ale Daniel nie ma z tym nic wspólnego! Nie możesz go w to wplątywać!

Caddie poderwał się na równe nogi, gniew zawrzał w nim na nowo.

— Dlaczego wciąż go bronisz?

— Wcale go nie bronię!

Nim zdążyłam zrobić unik, znów wpijał mi paznokcie w ramiona.

— Ty przekłeta idiotko! Czy wiesz, co on o tobie wygadywał wczorajszego wieczoru?

— Nie chcę tego słuchać!

— Ten człowiek cię nienawidzi, gdyby mógł, wyprąłby z ciebie flaki, a ty go bronisz i kłamiesz dla niego?!

— Ale on nie ma z tym nic wspólnego! — powtórzyłam, także podnosząc głos. Znajdowałam się na granicy hysterii.

— Skąd to wiesz?

— Jego tam nawet nie było!

— A ty byłaś?

— Tak!

— I widziałaś, co się stało?

— Tak.

— I wiesz, kto zabił Carlę?

— Tak...

— Kto? — zażądał odpowiedzi.

— Ja... ja nie mogę ci tego powiedzieć.

— No pewnie, że nie! Ponieważ Carlę zabił Finch, a ty go kryjesz! Prawdopodobnie mu w tym pomogłaś. Tak właśnie było? A może nawet go wyręczyłaś, co? Teraz, jak już wiem, jaka z ciebie idiotka... Tak, to ty zabiłaś Carlę i... — urwał raptownie, wpatrując się w moją twarz. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że dyszę jak po długim i ciężkim biegu. Pomyślałam też, że pewnego dnia Caddie będzie wyśmienitym prawnikiem, być może najlepszym w Stanach, dzięki swemu wyczuciu na każdy najdrobniejszy nawet gest i mimikę. Mogłabym przysiąc, że wyraz mojej twarzy nie zmienił się ani na jotę, a jednak Caddie popatrzył na mnie i sam nie wierząc, że to co mówi, jest prawdą, rzekł: — To ty zabiłaś Carlę. — Te słowa, wypowiedziane po raz pierwszy głośno, sprawiły, że zabrakło mi tchu. Cisza się przedłużała. — Zabiłaś Carlę? — Nadal nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Caddie, widząc moją reakcję, puścił mnie i pozwolił opaść na krzesło. Już spokojniej zapytał: — Helen, chcesz mi powiedzieć, że naprawdę ty ją zabiłaś?

Zdobyłam się na ledwie słyszalny szept.

— Carla zginęła w wypadku. Wjechała w nią ciężarówka.

— Czy to Finch cię do tego namówił?

— Daniel? Skądże — wyprowadziłam go z błędu. — Daniela poznałam po śmierci Carli, na plaży, ty i Glen byliście świadkami. Nigdy nie byliśmy kochankami. I nigdy nie będziemy.

„Ten człowiek cię nienawidzi, gdyby mógł, wyprułby z ciebie flaki...” — przypomniałam sobie słowa Caddiego, ale przestało mi już na czymkolwiek zależeć.

— Nie wierzę ci — oznajmił Caddie. — Nie wierzę, że to ty zabiłaś Carlę. — Wzruszyłam ramionami: co za różnica, w co wierzy Caddie. I co sobie myśli. Dusiałam to w sobie zbyt długo. Wszystko straciło znaczenie. — Helen, musisz mi powiedzieć, co tam naprawdę się stało.

— Dlaczego muszę?

— Ponieważ ta sprawa gnębi mnie od miesiący. Zrozum, studiuje prawo, jeśli ta sprawa wypłynie w przyszłości, moje życie się rozpadnie, a ja nawet nie będę wiedział z jakiego powodu. Czuję się bezsilny i to mnie zjada: nie umiem się skoncentrować, nie ma mowy o nauce, potraciłem wszystkich przyjaciół. Powoli zaczynam przez to wariować.

Bezwiednie mu przytaknęłam. Znałam te objawy. Ogarnął mnie spokój, tak głęboki, że poczułam go nawet w szpiku kości.

Już podczas ostatniej, burzliwej rozmowy z Danielem podświadomie zdawałam sobie sprawę, że w moim życiu nie ma nikogo ani nic, co by się liczyło. Rozejrzałam się teraz po straszącym pustką mieszkaniu, jakby w nim nikt nigdy nie mieszkał, i po raz pierwszy zastanowiłam się: Czy to jest to, o co walczę? Cóż mam właściwie jeszcze do stracenia? Od ponad pół roku tkwię w więzieniu, jakie sama dla siebie stworzyłam. Nic nie może być od tego gorsze.

— Usiądź, Caddie — odezwałam się spokojnie. — Zaraz wszystko ci powiem.

Caddie potrafił słuchać. Siedział naprzeciwko mnie, niczym posąg z założonymi na piersi potężnymi ramionami, i nie spuszczał oczu z mojej twarzy, kiedy wyrzucałam z siebie prawdę. Od czasu do czasu jak rasowy prawnik zadawał pytanie, które zmuszało mnie, bym zagłębiła się w szczegóły — pominięte przeze mnie bezwiednie bądź celowo.

Ja zaś mówiłam i mówiłam. Po miesiącach duszenia wszystkiego w sobie sama możliwość usłyszenia prawdziwej wersji wydarzeń, możliwość podzielenia się nią z drugą osobą, wywołała u mnie stan bliski euforii. Okazało się, że prawda, podobnie jak tlen, w dużych dawkach działa jak narkotyk. Byłam przekonana, że atmosferze zwierzeń sprzyjało ponure zimowe przedpołudnie panujące za oknem i wciskające się w każdy kąt mieszkania, toteż kiedy Caddie w pewnym momencie wstał, żeby zapalić światło, powstrzymałam go. Cienie przeszłych wydarzeń lepiej się czują w ciemności. Kiedyś, także po ciemku, zawierzyłyśmy sobie z Carlą swe najskrytsze tajemnice, ja opowiedziałam jej o Gabrieli, wręczając jej tym samym broń, której użyła w chwili zazdrości. Teraz, ukryta za zasłoną mroku, wracałam do wydarzeń, jakie prześladowały mnie od przeszło pół roku.

Powiedziałam mu więc, że Carla wymknęła się z domku zaraz za mną i ruszyła moim śladem, że pokłóciłyśmy się na szosie i że w złości uderzyłam ją kamieniem — jednakże to nie usatysfakcjonowało Caddiego. Zażądał, bym zaczęła od samego początku, aby mógł zrozumieć motyw mojego postępowania. Cóż miałam robić? Wyjawiłam mu powody, dla których udałam się na samotny urlop,

naświetliłam nieprzyjemności, na jakie narażona jest kobieta podróżująca w pojedynkę i jakie faktycznie stały się moim udziałem, wreszcie opisałam ulgę wynikającą ze spotkania Carli. Tak się rozkręciłam, że zrelacjonowałam mu wszystko po kolei od momentu, kiedy ją poznałam — także te wydarzenia, których nie mógł nie pamiętać. Jak Carla poderwała jego i Glena, wspólnie spędzony wieczór, wreszcie to, co stało się później. Choć przyszło mi to z trudem, wyjaśniłam mu, do czego piła Carla mówiąc, że jestem *femme fatale*, i wyznałam, że przez to nie mogłam się kochać z Glenem. No i w ten sposób doszłam do najważniejszego: że zaczekałam, aż zacznie się rozwidniać, po czym opuściłam domek i udałam się z powrotem do hotelu, wybierając drogę wzdłuż wybrzeża. Że Carla podążyła moim śladem. Że zaczęłyśmy się szarpać. Że w którymś momencie upadłyśmy, a ja straciłam przytomność. I że kiedy się ocknęłam, w dłoni miałam kamień, a rękę przerzuconą w poprzek ciała Carli. I że ona już nie żyła.

— Ale nie pamiętasz, że to ty ją zabiłaś?

— Prawdopodobnie usunęłam to ze świadomości. Słyszałam, że tak właśnie postępują ludzie, którzy popełnili jakiś straszliwy czyn.

— Hmm... — zastanowił się Caddie. — W większości wypadków zwyczajnie kłamią.

— Ja nie kłamię, Caddie.

— Mów dalej — zachęcił mnie, nie zwracając uwagi na ostatnią deklarację.

Patrzył na mnie obojętnym wzrokiem: nie był już zły, chyba też mnie nie oceniał, ale nie widziałam w jego oczach współczucia. Wcześniej zapewnił mnie, że chce usłyszeć prawdę, lecz nie złożył obietnicy, że zachowa ją dla siebie ani że pomoże mi się wykaraskać z kłopotów. Postanowiłam odsunąć od siebie wszelkie myśli o przyszłości i skupić się na jak najdokładniejszym opowiedzeniu swojej historii.

— Od tamtego czasu — podjęłam — śniłam o tym każdej nocy. To znaczy tak to pamiętam: że śniło mi się, iż raz po raz uderzam kamieniem głowę Carli. Jakbym była w stanie przyznać się do tego, nawet sama przed sobą, wyłącznie we śnie, kiedy świadomość miałam wyłączoną.

— Czasem — wtrącił Caddie — mózg używa snów, żeby uporać się z czymś, co nie daje mu spokoju, jak gdyby chcąc znaleźć wytłumaczenie dla czegoś, czego nie sposób wytłumaczyć na jawie... Czy te sny były zawsze takie same?

Zastanowiłam się nad tym.

— Nie. Nie zawsze ofiarą była Carla. Śniło mi się także, iż zabijam kogoś innego — wzdygnęłam się wypowiadając te słowa.

— Zdarzały ci się napady agresywności? — Caddie obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

— Nie, nigdy.

— A chciałaś komuś zrobić krzywdę?

— Nie, nie wydaje mi się, ale to również mogłam wypchnąć ze świadomości, prawda?

— Wróćmy do tego, co się stało w Grecji. Kiedy już zdałaś sobie sprawę, że Carla jest martwa, co zrobiłaś?

— Wpadłam w panikę. Byłam tak przerażona, że nie potrafiłam rozsądnie myśleć. Cisnęłam kamień w krzaki i zabrałam się do ściągania Carli z drogi, pewnie chciałam i ją schować w gęstwinie porastającej pobocze. Wtedy usłyszałam nadjeżdżającą ciężarówkę i...

— Helen — przerwał mi Caddie. — Co ty wyprawiasz ze swoimi dłońmi?

— Słucham? — nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

— No, to — wykonał gest, jakby przerzucał piłeczkę z jednej ręki do drugiej. — Czy zawsze tak robisz, kiedy jesteś zdenerwowana?

— Chyba nie...

Umilkłam i bezwiednie powtórzyłam gesty, na które zwrócił mi uwagę Caddie, równocześnie uświadamiając sobie, co je spowodowało. Opowiadałam o odrzuceniu kamienia w krzaki i chcąc zilustrować swoje słowa, wykonałam parę ruchów, gdyż kiedy się ocknęłam, kamień tkwił w mojej prawej dłoni, a ja najpierw przełożyłam go do lewej i dopiero wtedy rzuciłam jak najdalej od siebie. Zrobiłam tak, gdyż byłam leworęczna.

— Co jest, Helen?

— Nie wiem... Coś tu nie gra.

— Co takiego?

— Przecież jestem leworęczna — odparłam zamyślona.

— No i co z tego?

— A kamień znajdował się w mojej prawej ręce, wtedy gdy odzyskałam przytomność... — ciągnęłam, usilnie starając się połączyć fakty — ...zatem musiałam zabić Carlę za pomocą prawej ręki, tyle że...

— Ale dlaczego miałabyś to zrobić? — zdziwił się Caddie.

— Nie mam pojęcia — przyznałam.

— Może zmuszano cię do używania prawej ręki, kiedy byłaś dzieckiem? — podsunął Caddie.

— Nie.

— Jest jeszcze jedno wytłumaczenie — przyjrzał mi się z uwagą. — Możesz być oburęczna.

— Nie, to też nie to.

— W takim razie było to przemyślane działanie — stwierdził wstając.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pamiętasz, mówiłem ci, że celowo podłożyłaś moją kraciastą koszulę, żeby wszyscy pomyśleli, że to ja zabiłem Carlę.

— Przyznaję, że pożyczylam twoją koszulę, i podejrzewam, że zsunęła mi się z ramion, kiedy uciekałam. Byłam zbyt przestraszona, żeby zwrócić na to uwagę...

— Nie o tym mówię — przerwał mi obcesowo. — Wygląda na to, że ktoś inny zabił Carlę, po czym umieścił kamień w twojej dłoni, żeby zwalić winę na ciebie. — Wpatrywałam się w Caddiego, starając się zrozumieć, do czego zmierza. W uszach tętniło mi z narastającego podniecenia. Caddie zapytał mnie nagle:

— Z której strony głowy Carla miała ranę?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Jeszcze raz musiałam sobie przypomnieć wygląd jej twarzy, krew, kurz i kredkę do powiek wymieszane ze sobą w potwornej masce pośmiertnej — widok, który wolałabym na zawsze wyrzucić z pamięci.

— Z lewej. Uderzono ją w lewe oko i skroń.

— Czyli uderzył ją ktoś praworęczny.

— Albo ktoś, kto posłużył się prawą ręką, żeby...

Caddie nie pozwolił mi skończyć.

— Helen — powiedział łagodnie. — Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to nie ty zabiłaś Carlę?

Ogarnęło mnie uczucie nieważkości.

— Ale kto inny mógł chcieć ją zabić?

— Finch! — rzekł Caddie z mocą. — Kiedy ginie żona, podejrzanym numer jeden jest mąż albo kochanek.

— Ale... — chwiałałam się na nogach i z trudem łapałam powietrze. — Ja wiem, że to ja ją zabiłam.

— Niby skąd?

— No a te wszystkie sny?

— Nie umiałaś znaleźć wytłumaczenia dla faktów, więc włączyła się twoja podświadomość... No, Helen, musisz przyznać, że Finch zachowywał się podejrzanie: żona zostawia go na dwa tygodnie, on zaczyna jej szukać dopiero po tygodniu, po dziesięciu dniach przylatuje za nią do Grecji, ale nawet wtedy nie spotyka się z nią od razu, tylko czeka do następnego dnia, kiedy małżonka jest już sztywna. Czy wierzysz, że przeleciał taki szmat drogi tylko po to, żeby spędzić z nią ostatni dzień urlopu? Widzisz w tym choć krztynę sensu? Jeśli naprawdę chciał załatać to, co się między nimi popsuło, powinienem był wyjść po nią na lotnisko w Anglii, z wielkim bukietem róż i butelką szampana...

— Twierdzi, że nie wiedział, kiedy Carla wróci...

— Może twierdzić, co chce. Nie wierzę w ani jedno jego słowo!

— No i zamierzał się z nią spotkać tamtego wieczoru...

— Więc czemu się nie spotkał? — ostro przerwał mi Caddie.

— Był zmęczony, bał się, że rozmowa przeistoczy się w kolejną kłótnię. Postanowił zaczekać do rana.

— Doprawdy? — Caddie uderzył w ironiczny ton. — Nie miej do mnie pretensji, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć... Zmęczony, też coś! Może jeszcze mi powiesz, że ma świadka, który widział, jak wczesnym wieczorem wraca do pokoju hotelowego? Jestem pewien, że poprosił w recepcji, żeby mu nie przeszkadzano, bo chce się wypaść, i poinformował, że po męczącej podróży samolotem będzie musiał zażyć tabletkę nasenną... A potem wysliznął się z pokoju i poszedł tam, gdzie jak wiedział, mógł zastać

Carłę. Właściwie powinno mi być go żal. Ciekawe, jak długo się nam przyglądał? Nic dziwnego, że w pewnym momencie wpadł w szal, ogarnęła go niepoohamowana zazdrość, jak to zwykle bywa w takich wypadkach.

— Ale, Caddie, nie masz żadnego dowodu, że to on ją zabił! — zaprotestowałam.

— W takim razie kto? Kto nam zostaje, jeśli z grona podejrzanych wykluczyć ciebie i Fincha?

— No, choćby... — urwałam i nieprzytomnie potoczyłam wokół spojrzeniem. Wciąż byłam oszołomiona na samą myśl, że mimo wszystko być może nie jestem morderczynią. No dalej, kto tam jeszcze plątał się wtedy po wyspie? — To mógł być choćby Paul.

Caddie prychnął.

— Ten znajomy Fincha, który dał mu znać, gdzie jest Carla. I jaki on miał, twoim zdaniem, motyw?

— Śledził ją. Wiem, że cały czas się go bała. — Zapaliłam się do nowej wersji wydarzeń. — On mi powiedział, że to dlatego, iż mógł na nią donieść Danielowi, ale przecież mogło być inaczej.

— Nadal bronisz Fincha, Helen?

— A ty masz tylko swoje domysły! — wybuchnęłam.

— Będiesz prawnikiem, powinienes wiedzieć, że aby kogoś oskarżyć, trzeba mieć solidne dowody.

— Żeby oskarżyć, zgoda, ale nie żeby rzucić podejrzenie. I założę się, że mordercą jest Finch.

— Ale był jeszcze ten grecki szczeniak, co to wszędzie za nami łąził.

— Jaki znowu grecki szczeniak? — zdziwił się Caddie.

Powiedziałam mu pokrótce o moich przeżyciach z zezowatym donżuanem, ale Caddie wzruszył tylko ramionami.

— Mało prawdopodobne, tacy na ogół pozostają przy bezpiecznym podglądaniu.

— No to wciąż w grę wchodzi ja. Skąd mamy mieć pewność, że jestem niewinna?

— Z jakiegoś powodu przestałem cię podejrzewać... — Caddie rzucił okiem na zegarek. — Rany, lepiej będę się zbierał, jeśli mam zdążyć na samolot.

— Już idziesz? — wystraszyłam się. — Ale przecież dopiero zaczęliśmy rozmawiać.

— Niestety, mojego biletu nie można zamienić na inny lot. Nie planowałem naszego spotkania, po prostu minionej nocy pomyślałem, że skoro tyle się wycierpiałem i wciąż nie daje mi spokoju dla-

czego, równie dobrze mogę zaryzykować i się z tobą zobaczyć. I nie żałuję tego... Odezwę się, jak tylko dotrę do domu — obiecał.

— Zaczekaj — powiedziałam. — Odwiozę cię na lotnisko. Dokończymy naszą rozmowę w samochodzie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć — mamrotałam, szukając kluczyków i wkładając płaszcz. — Dlaczego uważasz, że jestem niewinna?

Nieoczekiwanie Caddie się uśmiechnął.

— Popatrz w lustro, Helen. Nie wyglądasz na morderczynię.

Caddiego podwiozłam na lotnisko nie z dobroci serca ani nawet z wdzięczności, że dzięki niemu promyk nadziei rozjaśnił moją więzienną celę, tylko z czystej pragmatyczności: był mi potrzebny. Bez niego czułam się nierzeczywista i rozmyta, wystarczyło mi zamknąć się na chwilę samej w łazience, by natychmiast osaczyły mnie wątpliwości. Siedząc koło niego w samochodzie niemal byłam w stanie uwierzyć, że być może to nie ja zabiłam Carlę. „Niemał”, gdyż nie mogłam sobie pozwolić na luksus całkowitego uwierzenia w swoją niewinność — przynajmniej do czasu, aż zyskam stuprocentowe dowody. Wiedziałam, że gdybym musiała stawić czoło poczuciu winy po raz drugi, niechybnie doprowadziłoby mnie to do obłądu.

Jechaliśmy wzdłuż North Circular, powoli zbliżając się do ronda i mozolnie przeciskając przez korki uliczne, które jednak były znacznie mniejsze niż w godzinach szczytu. Było parę minut po dwunastej, a mimo to wszystkie auta miały włączone światła przeciwmgielne, taki ponury zrobił się dzień.

— Opowiedz mi o Finchu — poprosił w którymś momencie Caddie. — Jaki on jest?

— Nie znam go zbyt dobrze — odparłam. — Nie wierzę jednak, by to on zabił Carlę.

— Dlaczego? Człowiek, który zabił, nie ma tego wypisanego na czole — stwierdził Caddie. — Mordercą zostaje na ogół przeciętny gość, po tym jak ktoś wyprowadzi go z równowagi. Nagle coś się w człowieku przełamuje i bierze nad nim górę dotychczas ukryta agresja. No a przyznasz chyba, że widok żony popijającej w towarzystwie obcego faceta, wyprowadziłby z równowagi nawet świętego.

— Pewnie tak.

— Lecz wolałabyś, żeby to nie on okazał się winny? Podoba ci się ten cały Finch?

— Nic między nami nie ma — zapewniłam Caddiego szybko.

— Nie o to cię pytałem, Helen. Westchnęłam głęboko.

— Tak, myślę, że mi się podoba. Jest naprawdę uroczy, kiedy mu to pasuje. Jest także bez wątpienia oddanym ojcem i świetnym muzykiem. Teraz pracuje nad dużą kompozycją, czymś w rodzaju requiem poświęconego Carli... — urwałam i Caddie nie nagabywał mnie więcej, sądząc, że koncentruję się na bezkolizyjnym przejechaniu ronda, podczas gdy ja milczałam, ponieważ nagle dotarło do mnie, że jeśli to Daniel zabił Carlę, jego „Pieśń dla Carli” i requiem, nad którym właśnie pracuje, stanowią najbardziej cyniczne i pełne hipokryzji kompozycje w historii muzyki. Przeszedł mnie dreszcz, gdy w pamięci zadźwięczały mi jego słowa: „Nie wszystko da się wyrazić muzyką. Na przykład nie

sposób zawrzeć w niej poczucia winy..." Z namysłem powiedziałam: — Paul kiedyś nazwał Daniela furiatem czy jakoś podobnie...

— Wygląda na to, że Paul miał rację.

— Chyba że... — zastanowiłam się. — Chyba że chciał rzucić na Daniela złe światło.

— Bo to on sam zabił Carlę? — Caddie się roześmiał.

— Naoglądałaś się za dużo filmów, Helen. Paul nie miał motywu.

— Albo my go nie znamy — zauważyłam.

Opuściliśmy już rondo, lecz wciąż kręciliśmy się w kółko, tworząc teorie i jedna po drugiej puszczając je w niepamięć jako nieprawdopodobne. Caddie skrupulatnie wyłożył wszystkie powody, dla których Daniel mógł chcieć pozbyć się Carli — począwszy od morderstwa z premedytacją, na zbrodni w afekcie skończywszy. Ja zbijałam zimne argumenty prawnika, wyciągając najlepsze cechy charakteru Fincha, choć znałam też jego wady. W żaden sposób nie potrafiłam wyobrazić sobie Daniela jako mordercy.

— Ale z łatwością uwierzyłaś, że to ty jesteś morderczynią — wytknął mi brak logiki Caddie.
— Dlaczego?

— Wydawało mi się, że widziałam niezbity dowód na to, że właśnie ja pozbawiłam Carlę życia.

— Zatem gdybyś znalazła bezsprzeczny dowód, że zrobił to Finch...

— Wtedy pewnie bym uwierzyła w jego winę.

Znalezienie dowodu na to, że Daniel jest mordercą, równałoby się odzyskaniu własnego życia — pomyślałam. — Coś bym przy tym straciła, coś ważnego, lecz nie ważniejszego od spokoju ducha i przyszłości.

Kiedy wjeżdżaliśmy na teren lotniska, zaczął padać deszcz ze śniegiem. Zatrzymałam się na wielopoziomowym parkingu, wykupując krótki postój, i wysiadłam razem z Caddiem, żeby towarzyszyć mu przy odprawie bagażu.

— Została mi jeszcze godzina — rzekł Caddie, kiedy trzymał już w ręku kartę pokładową. — Chodźmy coś zjeść.

Zamówiliśmy jedną porcję ryby z frytkami i dwa piwa. Wydarzenia ostatnich godzin sprawiły, że ja straciłam apetyt, Caddie zaś wręcz przeciwnie; jedząc powiedział mi, że tak rzadko bywa w Anglii, iż po prostu musi się najeść angielskich potraw na zapas, i wsuwał, aż mu się uszy trzęsły.

— Zatem nie masz zamiaru wrócić i stanąć oko w oko z Danielem? — spytałam.

— Raczej nie... — Poczułam ulgę. — Teraz już wiem, co naprawdę wydarzyło się w Grecji. Przez cały ten czas najbardziej dręczyło mnie, że mnie wystawiłaś, a potem obserwowałaś, jak się męczę, i nawet nie kiwnęłaś palcem, żeby mi pomóc. Z czymś takim nie umiałbym sobie poradzić, do końca życia wyrzucałbym sobie, że zaufałem komuś, kto mnie zdradził, i nieważne, że znaliśmy się zaledwie parę dni — uprzedził moje wątpliwości. — Nie potrafiłem znieść myśli, że tak bardzo się co

do ciebie pomyliłem, mało tego: nie potrafiłem nikomu więcej zaufać. Ale jeśli zrobił to Finch, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Pewnie, że chciałbym, aby go ukarano, ze względu na Carlę, ale nie będę rozpaczał, jeżeli nic w tym celu nie zrobię. Cała ta sprawa przestaje mnie dotyczyć i dlatego mogę z tym żyć.

— Jakie masz plany?

— Wracam do domu. Nadrabiam zaległości na studiach, a trochę się tego nazbierało od początku roku akademickiego. Poszukam Glena i powiem mu, czego się tutaj dowiedziałem...

Nigdy go nie spytałem, czy uwierzył w moją winę... nigdy o tym nie rozmawialiśmy, po prostu nie potrafiliśmy się na to zdobyć, to był zbyt niebezpieczny temat.

— Sądzisz, że Glen mógł w ciebie zwątpić?

Caddie od dłuższej chwili mówił ze wzrokiem wbitym w monitor informujący o wywoływanych lotach.

— Muszę już iść — powiedział i wstał zarzucając sobie na ramię mały plecak.

— Odprowadzę cię do bramki.

Kiedy szliśmy zatłoczonym holem, Caddie odwrócił się do mnie i zapytał:

— A ty, Helen? Co ty teraz masz zamiar zrobić?

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

Szliśmy coraz wolniej, jakbyśmy chcieli odwlec moment rozstania. Przy bramce Caddie się odezwał:

— Zadzwoń, gdy tylko dotrę do domu — obiecał. — Nie podejmuj pochopnych decyzji. Prawdę powiedziawszy, wolałbym, żebyś nic nie robiła, dopóki nie porozmawiamy o tym wszystkim więcej.

— Dobrze — odrzekłam. Dręczyło mnie jednak coś innego.

— Naprawdę uważasz, że Glen mógł w ciebie zwątpić?

Caddie zamarł z ręką w kieszeni, do której sięgnął po paszport i kartę pokładową.

— Policja mnie przesłuchiwała. Spędziłem z Carlą ostatnią noc jej życia. Byłem ostatnią osobą, która ją widziała. Nikt nie wiedział, co między nami naprawdę zaszło tamtej nocy, ani ty, ani Glen... — Celniczka wyciągnęła rękę po jego dokumenty, Caddie wręczył je, po czym odwrócił się do mnie i położywszy mi dłonie na ramionach, przytulił szorstki policzek do mojej twarzy.

— Sama musisz to rozwiązać, Helen. W teorii jest czterech podejrzanych: grecki podglądacz, Paul Waveney, Daniel Finch i ja.

— Nagle wyszczerzył w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. — Żartowałem, Helen. Do usłyszenia! — powiedział i odszedł sprężystym krokiem w stronę czekającego nań samolotu.

Silne opady śniegu gdzieś w świecie spowodowały, że wiele lotów zostało odwołanych lub przynajmniej znacznie opóźnionych. Halę odlotów okupowały całe rodziny, gnieźdząc się na plastik-

wych krzeselkach i obitych pluszem kanapach, tu i ówdzie trafiał się leżący na ziemi mężczyzna o ogorzalej cerze, zwinięty w pozycji embrionalnej. Przyglądałam się im i zastanawiałam, co mam ze sobą począć. Nie śpieszyło mi się wcale, żeby opuścić ten anonimowy tłum i zimny budynek, z których czerpałam dziwny spokój. Odpowiadała mi także atmosfera zawieszenia — wszyscy z takich lub innych powodów znajdowaliśmy się w swoistym czyścicu: nareszcie byłam jedną z wielu.

Ponury dzień ustąpił wieczorowi. W barze wypiałam filiżankę herbaty, po czym udałam się do toalety, gdzie po raz pierwszy od nocy spędzonej z Michaelem uważnie się sobie przyjrzałam w lustrze. Byłam blada i miałam podkrążone oczy, z twarzy przebierało zmęczenie i napięcie... Nigdzie jednak nie dostrzegłam śladów winy. Caddie powiedział, że kiedy zobaczę swoje odbicie, zrozumiem, że nie jestem morderczynią. Ale powiedział także, iż mordercy nie chodzą z wypalonym na czole znamiem. Czyż mogłam więc wierzyć, że mój wygląd ma jakiegokolwiek znaczenie?

Wciąż czułam się jak na lekkim rauszu. Spuściłam wzrok i uszczypnęłam się w prawą rękę tak silnie, że aż łzy zakręciły mi się w oczach — musiałam się upewnić, że nie śnię. Przez ponad pół roku sądziłam, że jestem winna śmierci Carli, teraz mogłam mieć nadzieję, że zabił ją kto inny i że obie — Carla i ja — stałyśmy się ofiarami jej mordercy. Mogłam mieć nadzieję, lecz nie pewność... W głowie mi się kręciło, straciłam rozeznanie, kim naprawdę jestem. Moja osobowość zmieniała się z sekundy na sekundę w zależności od tego, w co w danym momencie chciałam wierzyć.

Postanowiłam trzymać się faktów. Carla była martwa, zanim uderzyła w nią ciężarówka. Śmierć nie nastąpiła więc w wyniku wypadku, ktoś musiał ją zabić. Być może tym kimś byłam ja: w końcu przez ponad pół roku tak właśnie myślałam, a nie jest łatwo nagle zmienić o sobie zdanie — przynajmniej nie wtedy, gdy trzeba to zrobić po raz drugi w ciągu sześciu miesięcy. Caddiemu było łatwiej: on zawsze wiedział, że nie zabił Carli, musiał się tylko przyzwyczaić do myśli, że ja także nie miałam z tym nic wspólnego, że nie zabiłam jej ani z własnej woli, ani za poduszczeniem Daniela; bez większego trudu przyjął do wiadomości, że ze współniczki Daniela przeistoczyłam się w jego ofiarę. W moim wypadku jednak stawka była zbyt wysoka, żebym mogła zdać się na domysły i przeczucia — ja po prostu potrzebowałam poznać prawdę. Niestety, abym wreszcie mogła uwierzyć w swoją niewinność, musiałam odkryć rzeczywistego mordercę. Tylko dowiadując się, co faktycznie wydarzyło się w Grecji, miałam szansę odzyskać wiarę w siebie i wrócić do normalnego życia.

Doszedłszy do tego wniosku, długą chwilę siedziałam w bezruchu, bezmyślnie przyglądając się starowince z różańcem w ręku. Miała lekko skośne, skryte w setkach zmarszczek oczy, szczelnie zamknięte, gdy mamrotała zdrowaśki, przesuwając palcami po kolorowych koralikach. Gdybym mogła, poprosiłabym ją, żeby odmówiła modlitwę i za mnie — w końcu zamierzałam odzyskać własną duszę...

Wstając pomyślałam, że Caddie miał rację: skoro to nie ja zabiłam Carłę, zostało czterech podejrzanych — niemożliwe, żeby jej śmierć spowodował jakiś przechodzień, ktoś, kogo nawet nie zna-

łyśmy. Zezowaty donzuan, Paul, Daniel i Caddie. Ten ostatni nalegał, bym nie czyniła żadnych kroków, nie omówiwszy ich wcześniej z nim samym, jednakże po pierwsze znajdował się teraz wysoko w powietrzu, a po drugie nie ufałam mu. Być może jego żartobliwe słowa, którymi uraczył mnie przed udaniem się do samolotu, były niczym więcej jak żartem właśnie, próbą rozluźnienia atmosfery i sprawienia, bym na wszystko spojrzała z dystansu — kto wszakże mógł mi zagwarantować, że tak właśnie było? Znalazłam się zupełnie sama w nowym, szalonym świecie, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje, i gdzie nikomu nie można w pełni ufać, nawet samej sobie. Niespodziewana wizyta Caddiego zaczęła mi się nagle jawić jako część spisku uknutego przeciwko mnie, a zasadzonego na blefach i podwójnych blefach. Mimo to, wychodząc z terminalu, wstąpiłam do budki telefonicznej i wybrałam numer telefonu, który podał mi Caddie, i nagrałam wiadomość, uznawszy, że ktoś musi wiedzieć, co zamierzam zrobić.

Na zewnątrz panował przenikliwy ziąb, metal drzwi samochodu niemal parzył mi dłonie. Kiedy wyjeżdżałam z terenu lotniska, było parę minut po północy.

Dojechawszy do trasy M4, zignorowałam znaki wskazujące Londyn — i dom — i skręciłam w stronę Bristolu, kierując się na południowy zachód.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wiedziałam już, gdzie go znajdę.

Jechałam przedzierając się przez ciemność i gęstniejący śnieg, z sercem przepelnionym nadzieją. Podsunęta przez Caddiego myśl, że zakrwawiony kamień znalazł się w mojej prawej dłoni za sprawą prawdziwego mordercy Carli, była wprost obezwładniająca. Wciąż jeszcze bałam się w to uwierzyć, nie chcąc przeżyć rozczarowania, równocześnie jednak w duchu zanosilałam modły dziękczynne: To chyba nie ja! Nie ja ją zabiłam! Dzięki ci, Boże! Spraw, by to był kto inny, ktokolwiek, byle nie ja! Jeśli taka Twa wola, może to być nawet Daniel, nie dbam o to, po prostu mnie z tego wyciągnij!

Tuż przed czwartą zjechałam na pobocze, zgasilałam silnik i się zdrzemnęłam, dopóki nie obudziło mnie panujące w samochodzie zimno. Parę kilometrów dalej zatrzymałam się przy całodobowym barze dla kierowców ciężarówek, gdzie zamówiłam kubek gorącej mocnej kawy i talerz tostów ociekających masłem. O ósmej trzydzieści stałam naprzeciwko szkoły w Burdocku.

Był akurat pierwszy dzień nowego semestru. Kilkoro dzieci przyszło do szkoły na piechotę i teraz uganiało się po boisku za wirującymi płatkami śniegu, gdyż na ziemi było go zbyt mało, by ulepić choćby jedną porządną śnieżkę. Jakies piętnaście minut później zaczęły nadjeżdżać samochody: najpierw kilka pordzewiałych kombi, w których oprócz młodej matki i dziecka w wieku szkolnym obojętnie tkwił na tylnym siedzeniu fotelik dla malucha; chwilę potem parę prowadzonych przez kobiety w średnim wieku wozów terenowych, z których wysypywały się gromadki dzieci od pierwsza-

ków wzwyż, wszystkie zakutane w grube okrycia i różnobarwne szaliki. Wreszcie, mniej więcej gdy było minutę do dziewiątej, na podjeździe pojawił się ubłocony samochód, który od razu rozpoznałam. Wsiadł z niego Daniel, a zaraz za nim Rowan i Vi, którzy pochłaniali całą jego uwagę, tak że nie zauważył zaparkowanego nieopodal małego auta z siedzącą w nim kobietą. Przyglądałam się, jak Rowan biegnie w stronę boiska, ani razu nie odwróciwszy się do ojca i siostry, i przyłącza się do żywo dokażujących tam kolegów. Kiedy odprowadziłam go wzrokiem, spojrzałam na Vi, która wydała mi się o wiele mniej entuzjastyczna: podskakiwała wprawdzie koło samochodu, ale jakoś tak mało radośnie, a gdy zajrzała do podanego jej przez Daniela niebieskiego plecaczka, wyraźnie się zmartwiła. Coś do niej zagadał, a ona w końcu podniosła na niego oczy, przejechała po buzi wierzchem rękawiczki, po czym niechętnie przeszła przez szkolną bramę. Przygarbiony z powodu zimna i wiatru Daniel stał obok samochodu tak długo, jak długo dzieci były na dworze, podczas gdy coraz gęstsze płatki śniegu przyklejały mu się do włosów i kurtki. Wreszcie ostatni uczeń wkroczył do budynku szkoły, a Daniel wsiadł do samochodu i zawrócił w stronę domu. Po krótkiej chwili przekreśliłam kluczyk w stacyjce i ruszyłam jego śladem.

— Co ty tu, u diabła, robisz?

Przeżyłam swoiste *déjà vu* — nie tak dawno temu zadałam podobne pytanie Caddiemu.

— Musimy porozmawiać, Daniel — powiedziałam.

— Wcale tak nie uważam — odparł burkliwie. — Nie mamy o czym rozmawiać, Helen. Zabieraj się stąd. Zostaw mnie i moją rodzinę w spokoju.

— Odejdę, przyrzekam, ale wcześniej muszę poznać prawdę.

— A mnie się wydawało, że już raz wygarnęliśmy sobie prawdę prosto w oczy...

Z bliska, w zimnej, jasno oświetlonej kuchni, dostrzegłam, jak bardzo smutna jest twarz Daniela. Przecinały ją głębokie bruzdy, pod oczyma straszły wielkie sińce od niewyspania. Finch przedstawiał obraz nędzy i rozpacz — nieogolony, w starym wystrzępionym swetrze. Z oczu wyzierała mu nienawiść do mnie. Przemknęło mi przez głowę, czy podobnie wyglądał, kiedy ogarnięty niepohamowaną złością podnosił rękę na Carlę...

— Posłuchaj, Daniel — zaczęłam. — Naprawdę mi przykro, że naopowiadałam ci wtedy tych bzdur. Chciałam, żebyś przestał mnie lubić i... o mój Boże — westchnęłam — nigdy nie sądziłam, że to będzie takie trudne. — Uleciały gdzieś wszystkie starannie dobrane podczas podróży tutaj słowa. Wiedziałam, że powinnam czuć przed nim strach, lecz jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to jak sprawić, by przestał mnie nienawidzić. — Daniel, zrozum... Wiem, jak bardzo jesteś na mnie zły, ale musisz mi pozwolić coś wyjaśnić. Czekać, zrobię nam kawy i poroz...

Wyszarpnął mi czajnik z ręki. Na nic moje próby odwrócenia jego uwagi od sedna sprawy, podobnie jak chęć zajęcia się czymś bez konieczności patrzenia mu prosto w twarz.

— Helen, zdaje się, że czegoś nie rozumiesz. — Zaczerpnął oddech i wyskandował: — Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie chcę, żebyś robiła mi kawę. Nie chcę, żebyś była w mojej kuchni ani tym bardziej w moim życiu. Wynoś się, ale już.

Wszystko to powiedział nie podnosząc głosu — nie musiał, nienawiść jest równie czytelna, gdy wyrażona szeptem.

— Daniel... — spróbowałam raz jeszcze, i tym razem na mnie krzyknął:

— Won!

— Nie! — odpowiedziałam mu krzykiem. — Muszę z tobą porozmawiać! Jasne, możesz mnie wyrzucić albo zatkać sobie uszy, ale ja będę do ciebie wracać dopóty, dopóki nie zgodzisz się mnie wysłuchać! Lepiej więc pozwól mi mówić teraz, a przyrzekam ci, że zostawię cię w spokoju do końca życia.

— Czy ty się naprawdę spodziewasz, że uwierzę choć w jedno twoje słowo?

— Musimy porozmawiać o Carli — wyrzuciłam z siebie, nie zrażona jego niechęcią.

— A to dlaczego? Czyżby mało ci było szkód, jakich narobiłaś do tej pory? — spytał z bólem w głosie.

— Nigdy nie zamierzałam... nigdy nie chciałam niczyjej krzywdy.

— Cóż, jakoś trudno dać temu wiarę — rzekł z sarkazmem.

— Wiem, że popełniłam błąd okłamując cię co do wydarzeń, które miały miejsce w Grecji. Wtedy wydawało mi się to doskonałym pomysłem, jedynym sposobem, by zakończyć wszystko między nami raz na zawsze, ale okazało się, że nawet w kłamstwie jestem nieporadna i głupia...

— Daruj sobie tę samokrytykę, Helen. Byłaby wruszająca, gdyby nie to, że tylko tracisz swój cenny czas. Chryste, jak mam cię przekonać, że to wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia? Chcę tylko, żebyś sobie poszła.

— Ale Carla...

— Carla była moją żoną, wiesz? Cokolwiek między nami się popsuło, dotyczyło wyłącznie mnie i jej i nie miało nic, ale to nic wspólnego z tobą! — wybuchnął. — A teraz się wy...

— Nie! Teraz ty mnie posłuchaj! — wrzasnęłam, z mocą waląc dłońmi o blat stołu. — Naprawdę musimy porozmawiać, ty i ja! Nie mam innego wyjścia jak tylko dowiedzieć się, co tam się wtedy stało. — Zdesperowana rzuciłam: — Carla została zamordowana!

Przez ułamek sekundy patrzył na mnie zszokowany, zaraz się jednak roześmiał.

— No, ładnie, Helen. Prawie mnie nabrałaś. Brawo! Co jeszcze wymyślisz? Co jeszcze roi ci się w tym twoim małym podłym mózdzku? Carla zamordowana, dobre sobie! Ciekawe, jak do tego doszłaś? Widziałaś, jak ktoś przekupywał tego biednego kierowcę ciężarówki, żeby ją przejechał? Tak właśnie było? — szydził.

Zupełnie stracił panowanie nad sobą, darł się na całe gardło, zaciskając dłonie w pięści, lecz ja się go nie bałam.

— Carla nie żyła, kiedy uderzyła w nią ciężarówka — powiedziałam cicho. — Taki był raport koronera i dlatego policja wszczęła śledztwo.

— Tak, tak — zbył mnie machnięciem ręki. — A potem je umorzyli, bo zdali sobie sprawę, że popełnili pomyłkę i mimo wszystko był to zwykły nieszczęśliwy wypadek. Nie zapominaj, Helen, że ja tam byłam, policjant przyszedł do mnie i tak właśnie mi powiedział. No, a teraz zabieraj swoje kłamstewka i siebie samą i wynoś się z mojego domu! — zakończył.

— Daniel, ja nie kłamię, nie tym razem. Wiem, że to nie ciężarówka zabiła Carlę. To niemożliwe, bo ja tam byłam...

— Podobnie jak ja... Zignorowałam go.

— Byłam na tamtej drodze, Daniel. Byłam z Carlą, kiedy to się stało. Widziałam ją martwą, leżącą na szosie, na długą chwilę przed tym, jak ta przekłeta ciężarówka w ogóle nadjechała!

Daniel wpatrywał się we mnie z kamienną twarzą. Czułam, że w płucach brak mi powietrza; nigdy nie zamierzałam mu tego powiedzieć wprost, jednakże kiedy uparcie odmawiał rozmowy ze mną, zagalopowałam się i chcąc przykuć jego uwagę, wywaliłam fakty kawa na ławę. Zresztą wszystko było lepsze od ciągłej niepewności.

Milczenie ciągnęło się niemiłosiernie, wreszcie przerwał je Daniel.

— Kolejne kłamstwa, Helen? Po co? Przecież wszyscy wiedzą, że poszłaś nie drogą, tylko ścieżką na skróty. Czułaś się podle po małej orgietce poprzedniej nocy i postanowiłaś zmyć z siebie brudy w morzu. Pamiętasz? Tak zeznałaś na policji. Nie było cię nawet na łądzie, kiedy zginęła Carla... — zastanowił się nad czymś. — A może wtedy także kłamałaś, co?

— Nie mogłam powiedzieć policji, co się naprawdę stało — odrzekłam wymijająco.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ... — urwałam, zdając sobie sprawę, że zabrnęłam za daleko, żeby uniknąć ryzyka. Najważniejsze jednak było, żeby udało mi się przekonać Daniela, iż mówię prawdę. Ledwie słyszalnym szeptem dokończyłam: — Ponieważ myślałam, że to ja ją zabiłam.

— Co takiego?! — wytrzeszczył na mnie oczy.

No, przynajmniej udało mi się go zainteresować — pomyślałam. — Może nawet za bardzo... Zaczynałam się bać.

— Wtedy wydawało mi się to jedynym sensownym wytłumaczeniem wszystkiego, co się stało, ale... Teraz nie jestem już tego taka pewna.

— Biedna Helen — mruknął patrząc na mnie zimno. — Ty rzeczywiście masz bzika.

— Przysięgam, że teraz mówię samą prawdę.

— Dziewczyno, ty byś nie rozpoznała prawdy, nawet gdybyś w niej tonęła. Skoro faktycznie byłaś z Carłą, kiedy to się stało, i sądzisz, że to ty ją zabiłaś, dlaczego mi o tym opowiadasz? Mogę sprawić, że trafisz za kratki...

— Dlatego, że przestałam tak sądzić. Nie wierzę, żebym to ja zabiła Carłę! — Po raz pierwszy z pełną mocą dotarło do mnie znaczenie tych słów. Tak, tak właśnie było: nie wierzyłam, bym to ja ją zabiła. Poczułam się lekko jak balon wypełniony helem, w oczach wezbrały mi łzy. — Widziałam się wczoraj z Caddiem, długo o tym wszystkim rozmawialiśmy i uważam, że Carłę ktoś zabił. Ktoś inny — dodałam.

— A dlaczego nie ty? — Daniel obserwował mnie spod oka, starając się zdecydować, czy mówię mu prawdę czy też nie. — Co się tak nagle zmieniło?

— Choćby to, że podczas wczorajszej rozmowy z Caddiem uświadomiłam sobie, że kamień, którym zabito Carłę, znajdował się w mojej prawej ręce, kiedy się ocknęłam... — zawiesiłam głos, czekając na jakąś reakcję z jego strony, lecz Daniel zachował milczenie. — Chodzi o to — wyjaśniłam — że jestem leworęczna i ktoś próbował mnie zrobić...

— Ale kto mógłby chcieć śmierci Carli?

— Tego nie wiem — na chwilę wstrzymałam oddech ze strachu — ale jestem pewna, że nie żyła już, gdy wjechała w nią ciężarówka — powtórzyłam.

— Chryste! — sapnął Daniel. — No dobra, Helen, wygrałaś. Opowiedz mi wszystko od początku. Tyle że — popatrzył na mnie groźnie — jeśli znów mnie okłamujesz, klnę się na Boga, skręcę ci kark!

Jego groźba sprawiła, że po krzyżu przeszły mi ciarki. Starając się, by wypadło to naturalnie, zrobiłam parę kroków w stronę drzwi, tak żeby dzieliła nas spora przestrzeń i duży kuchenny stół. Siadając na krześle, uspokajałam się bawiąc się w kieszeni kluczykami do mojego samochodu.

Nie spuszczałam wzroku z jego twarzy, gdy zaczęłam mówić:

— Od rozmowy z Caddiem odtwarzałam tamte wydarzenia dziesiątki razy. Wiem, że ktoś nas tamtej nocy śledził. Carla była o tym przekonana, kiedy na chwilę zatrzymaliśmy się w samym środku oliwnego zagajnika, a później ja słyszałam, jak ktoś daje nurka w odległej części plaży. Pamiętam, że pomyślałam, iż to Caddie albo Glen, i zdziwiłam się, że któryś z nich się na to porwał, nie znając dobrze plaży i zatoki, ale zaraz o tym zapomniałam, bo usłyszałam całą trójkę przy brzegu. Jestem jednak pewna, że żaden z nich nie przepłynąłby takiej odległości w tak krótkim czasie...

Daniel próbował mnie przyłapać na niekonsekwencji.

— Skoro to było takie dziwne, dlaczego o tym zapomniałaś? — spytał.

— Bo Glen mnie chwilę potem pocałował. Poza tym byłam pijana, nie do końca mogłam wierzyć własnym zmysłom. No i przede wszystkim nie spodziewałam się zagrożenia.

— I co się dalej działo, w tej twojej nowej wersji? — przynaglił mnie Daniel.

— Glen i ja poszliśmy do domku. Carla i Caddie już tam byli, kochali się w sypialni...

Czułam, że Daniel nie spuszcza ze mnie oczu, chłonąc każde moje słowo, mimo wcześniejszego sceptycyzmu. Wcześniej liczyłam, że uda mi się go czymś zaszokować, dzięki czemu przestałby się mieć na baczności i zdradził się gestem czy słowem, teraz jednak już wiedziałam, że jestem zupełną amatorką i nie ma na to najmniejszych szans. Będąc z nim sam na sam, znajdowałam się w poważnym niebezpieczeństwie, a mimo to poczucie zagrożenia sprawiało mi satysfakcję. Cokolwiek się stanie — myślałam — nie ja zabiłam Carłę. Dreszczyk, który odczuwałam, był mi miły, gdyż stanowił zaledwie nikłe echo tego, co przeżywałam wcześniej, szarpana przez demony własnej psychiki. Nie cofnęłam się więc i po raz drugi w ciągu doby opowiedziałam o wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci Carli i tak drastycznie zmieniły moje życie. Na szczęście nie musiałam wdawać się w szczegóły, tak jak to było konieczne podczas rozmowy z Caddiem — Daniel zadawał bardzo mało pytań, dzięki czemu na przykład udało mi się zatrzymać dla siebie powód kłótni z Carłą, wypadek z Gabrielem, jak również to, dlaczego ostatecznie nie poszłam do łóżka z Glenem. Tę ostatnią informację skróciłam do stwierdzenia, że do niczego między nami nie doszło, chociaż spaliśmy na jednym materacu. W końcu doszłam do momentu, w którym się rozwidniło i opuściłam domek, a Carla za mną. Nie mogłam niestety pominąć faktu, że się posprzeczałyśmy i że ją uderzyłam, a potem ona się na mnie rzuciła z wrzaskiem, a ja...

— No, Helen, czemu tak nagle przerwałaś?

— Bo dalej nic nie pamiętam. Ja...

Przyłożyłam dłoń do czoła. Nie wiedziałam, czy to dlatego, że opowiadałam tę historię po raz drugi w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, czy też z tego względu, że tym razem dane mi ją było opowiedzieć prawie jednym ciągiem — tak czy inaczej znów znalazłam się w Grecji i żywiej niż kiedykolwiek przedtem ponownie przeżywałam tamte wydarzenia. W ustach miałam posmak kaca, chciało mi się pić, pękała mi głowa i czułam, jak narasta we mnie wściekłość, która znalazła ujście, kiedy uderzyłam Carłę, widziałam jej ściągniętą szokiem twarz, wyraz wahania w oczach, nim rzuciła się na mnie z impetem, a gdy padałam na ziemię, usłyszałam głos — jej, mój, jakiegoś dziecka — wi-brujący przerażeniem głos, krzyczący: „Helen, uważaj!”

Pocierałam najpierw czoło, potem tył głowy, w którym nagle poczułam potworny ból. Pamiętam, że cały czas składałam go na karb gigantycznego kaca, teraz jednak zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem... Czy Carla nie dostrzegła za mną kogoś, kto nagle wyłonił się z krzaków porastających pobocze drogi, i czy przeraźliwym krzykiem nie ostrzegła mnie przed tym kimś, kogo ja nawet nie zauważyłam, a kto jednym uderzeniem w głowę pozbawił mnie przytomności? Po to, żebym nie była świadkiem tego, co zamierzał zrobić Carli. A także po to, bym stała się kozłem ofiarnym...

Znów ciemność zachodziła mi na oczy, zupełnie tak, jak to się działo wtedy na szosie o poranku, a wraz z tą ciemnością wróciły głosy i krzyki, które słyszałam i zapamiętałam, lecz zaraz po odzy-

skaniu przytomności uznałam za wytwór wyobraźni: rozdzierający krzyk wystraszonej Carli, wrzask jakiegoś mężczyzny, jęki i sapanie towarzyszące ich walce, wreszcie ciężkie stękanie, kiedy ciągnął mnie po szorstkiej nawierzchni i układał tak, by moja ręka znalazła się na ciele Carli.

O mój Boże! A ja cały czas myślałam, że...

— Helen, co się dzieje? — Głos Daniela wyrwał mnie z maligny.

Odruchowo odsunęłam się od niego jeszcze bardziej.

— Ona próbowała mnie ostrzec — jęknęłam. — Chciała mi pomóc...

— Kto? O kim ty mówisz? Masz na myśli Carle? Pokiwałam głową.

— Widziała go i starała się mnie ochronić — powiedziałam przez łzy.

— Helen, na miłość boską, co ty bredzisz? Kogo ona mogła widzieć?

Milczałam. Nie mogłam Danielowi zaufać. Nie mogłam n i k o m u zaufać. Gdybym tylko była zaufała Carli... — wyrzucałam sobie, z bólem przyjmując do wiadomości, że jedną z ostatnich, a być może ostatnią rzeczą, jaką Carla zrobiła, była próba ostrzeżenia mnie przed niebezpieczeństwem.

Dotychczas postrzegałam ją jako kogoś, kto mnie zaatakował i kto stał się moją ofiarą. Teraz po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może ocaliła mi życie.

Płakałam nie tylko z powodu Carli. Nawet nie głównie z jej powodu — przede wszystkim płakałam z ulgi i z radości, gdyż historia, którą od tej pory miałam opowiadać, kiedy przyjdzie do wspomnień na temat jej śmierci, nie wiązała się już ze wstydem ani poczuciem winy.

Nareszcie mogłam przestać odczuwać wstręt do samej siebie.

Kiedy podniosłam zapłakane oczy, Daniel wpatrywał się we mnie z natężeniem. Dźwignęłam się na nogi, wiedząc, że nie chcę znajdować się w tym samym co on pomieszczeniu, a tym bardziej nie chcę wyzywać do walki mężczyzny, którego Caddie słusznie oskarżył o śmierć Carli. Szaleństwem było przeżyć ostatnie koszmarne miesiące po to tylko, żeby narazić się na niebezpieczeństwo z rąk szaleńca — nagle odzyskałam chęć, i co ważniejsze: powody do życia.

Zaczerpnęłam głęboko tchu i starając się nadać głosowi normalne brzmienie, powiedziałam:

— Tylko spokojnie, już sobie idę, Daniel. Teraz oboje wiemy tyle samo.

Odwrociłam się do drzwi, lecz nim sięgnęłam klamki, on znalazł się przede mną, blokując mi wyjście.

— Helen, nie możesz tak po prostu odejść... — Musiał dostrzec przerażenie malujące się na mojej twarzy, gdyż zmienił ton i z uśmiechem dodał: — To znaczy, wykaż trochę wrażliwości, co? Pojawiasz się tutaj znienacka, opowiadasz takie rewelacje i chcesz ot tak zniknąć? Teraz faktycznie będziemy musieli poważnie porozmawiać... Bo jeśli nie jesteś najbardziej przekonującą wariatką w dziejach i mówisz prawdę, oznacza to, że pozostało nam jeszcze obmyślić, co z tą prawdą począć. Masz ochotę na kawę? Jechałaś pewnie całą noc, przez gołoledź i zawieje śnieżne i takie tam... — machnął

ręką w kierunku okna. — Nie dziwię się, że ledwo się trzymasz na nogach. Pozwól, że wezmę twój płaszcz... Idź do salonu, a ja zaraz do ciebie dołączę.

Cały czas się uśmiechał — kiedy się nade mną użalał, brał ode mnie płaszcz, sięgał po czajnik i zapalał gaz na kuchence — czarując, jak to tylko on potrafił, bylebym tylko sobie nigdzie nie poszła. Zawahałam się. Przed chwilą wyłożyłam przed nim wszystkie swoje karty, nie otrzymując nic w zamian. Oczywiście, że zdrowy rozsądek mówił mi, że powinnam się Daniela bać, jednakże ciekawość zwyciężyła.

— Dobrze — odezwałam się wreszcie. — Zostanę, ale nie na długo. Nie chciałabym, żeby mnie na tym odludziu zasypało.

— Ależ naturalnie — zgodził się skwapliwie. — Nic się nie martw, słuchałem wcześniej prognozy pogody: zapowiadają odwilż.

Przeszłam więc do salonu, który wydał mi się zaniedbany i zakurzony, i wyjrzałam na zalew. W czasie kiedy rozmawialiśmy, śnieg przestał padać; na ziemi niewiele się go utrzymało, ot tyle tylko, żeby powlec krajobraz cieniutką warstwą bieli, spod której przezierały zielone i brązowe plamy — w zależności od tego, czy patrzyło się na pola czy na muł, odkryty przez odpływ. Jedynie rzeka, wąska i szara, zdawała się niezmieniona pod ciężkim od chmur niebem. Zastanawiałam się, czy Daniel domyślił się prawdziwej przyczyny mojego niepokoju. Czy to dlatego wyprosił mnie z kuchni, kiedy on rzekomo przyrządzał kawę? Czy ciekawość to rzeczywiście pierwszy stopień do piekła, z którego nie ma odwrotu?

— No to — podskoczyłam na dźwięk jego głosu, kiedy wszedł do salonu niosąc dwa kubki z kawą — skoro masz rację i Carla faktycznie została zamordowana, kto ją twoim zdaniem zabił?

Nie uszło mojej uwagi małe słówko: „skoro”.

— Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć — oznajmiłam.

— Ale musisz kogoś podejrzewać — na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały. Choć usta miał rozciągnięte w uśmiechu, jego oczy pozostały zimne i twarde niczym diament. Może mi się wydawało, ale chyba błysnęło w nich wyrachowanie. Rozsiadł się na jednym z foteli i z udawaną nonszalancją powiedział:

— Grecka policja podejrzewała Caddiego. Myślisz, że to mógł być on?

— Nie można tego wykluczyć — rzekłam ostrożnie.

— Opowiedz mi o nim — poprosił.

— O ile mi wiadomo, to przeciętny student prawa rodem z Pensylwanii. Trudno go sobie wyobrazić w roli mordercy... — w tej samej chwili wróciły mi na pamięć wydarzenia, które zeszłego ranka rozegrały się u mnie w domu. Caddie sam przyznał, że mało brakowało, a by mnie zabił, ale powiedział także, iż nigdy wcześniej podobny napad wściekłości mu się nie zdarzył. Z drugiej strony były to

tylko słowa, podczas gdy ja doświadczyłam jego gwałtowności. Wzruszyłam ramionami. — Wiem o nim tylko to, co sam mi powiedział.

— Zdaje się, że Carla miała chrapkę na jego kolegę... Sądziś, że Caddie mógł być zazdrosny? Pokręciłam głową.

— Caddie upatrzył sobie Carlę i z tego co zauważyłam, dostał, czego chciał.

— Zatem ty wylądowałaś w łóżku z blondynem przez przypadek?

— Można tak powiedzieć.

— I tak właśnie wygląda twoje życie, Helen? Zdajesz się na przypadek?

— Mieliśmy mówić o Carli, nie o mnie.

— Przecież cały czas o niej mówimy... — Daniel wstał i podszedł do kominka. — Wciąż nie mogę w to uwierzyć! Dlaczego, u Boga Ojca, ktoś miałby zamordować Carlę?

W moich uszach jego pytanie wypadło jakoś blade, jakby tylko udawał zatroskanego męża czy raczej wdowca. Nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że w takich sytuacjach to właśnie mąż jest najbardziej podejrzany. Uważaj, Helen — powiedziałam sobie w duchu. — Rozegraj to mądrze. Łatwo udzielać sobie dobrych rad, trudniej się do nich zastosować, kiedy strach ścisza gardło żelazną obręczą.

— Caddie wspomniał, że mordercą jest na ogół ktoś, kto dobrze zna ofiarę.

— Jak na przykład Caddie?

— Nie tylko on ją znał...

— Kto inny więc?... Paul?

— Czemu nie? Co o nim wiesz?

— Na szczęście niewiele. Gdybym miał jakiś wybór, nie widywałbym go w ogóle, ale miejscowi się nad nim rozplývają, bo przygarnia różne przybłędy. Ot, weźmy choćby Janet: ona uważa, że Paul jest wspaniały. Pamiętam, że Carla chciała go kiedyś zaprosić na obiad, ale się postawiłem. Angela też go nie znosiła... No, ale ona przyjaźniła się z jego żoną... Prawdę mówiąc, Sylwia była jej pacjentką przez parę miesięcy, toteż nie zdziwiłbym się, gdyby jako terapeutka nabrała nieco jednostronnej wizji ich małżeństwa.

— Rozmawiałaś o tym z Angką? — spytałam.

— Pewnego razu bardzo jednoznacznie się o nim wyraziła... Powiedziała, jeśli dobrze pamiętam, że Paul to dziwak i zboczeniec i że nie chce, by kręcił się koło naszych dzieci.

— Jesteś pewien, że użyła słowa „zboczeniec”?

— Wiem, że to dosyć mocne określenie, ale pamiętaj, że wyrwałem wypowiedź Angeli z kontekstu. Przeżywaliśmy wtedy burzliwy okres w naszym małżeństwie i Angela miotała inwektywy pod adresem wszystkich mężczyzn, w tym oczywiście mnie, więc nie brałem poważnie każdego jej słowa. Ale i tak nie zgodziłem się, żeby Rowan czy Lily pomagali mu w tym jego prowizorycznym schroni-

sku, a zapraszał dzieciaki kilkakrotnie. No i kiedy zauważyłem, że Carla go chyba polubiła, przekazałem jej ostrzeżenie Angeli.

— I posłuchała? — zaciekawiłam się.

— Skądże! Stało się dokładnie na odwrót. Carla była przekonana, że Angie robi wszystko, by zamienić jej życie tutaj w piekło, i powiedziała nawet, że Angela celowo obrzydza jej Paula, bo nie chce, by się z kimkolwiek tutaj zaprzyjaźniła.

— Hmm... Chyba ją trochę rozumiem. Sama zauważyłam, że Angela wychodziła z siebie, żeby podkopać autorytet Carli u dzieci.

Daniel wzruszył ramionami.

— Może. Wracając do tematu: mamy dwóch podejrzanych, Caddiego i Paula. Chowasz jeszcze kogoś w zanadrzu?

— Był jeszcze grecki chłopak, który się na mnie wziął — oznajmiłam i pokrótce opisałam mu swoje perypetie w pierwszych dniach urlopu, kończąc stwierdzeniem, że pomimo wszystko nie wierzę, żeby to on zabił Carłę.

— Mnie też wydaje się to z lekka nieprawdopodobne... Ale nie możemy go wykluczyć. — Popatrzył na mnie z uwagą.

— Jeśli mówisz prawdę, a pamiętaj, że twoje słowa to wciąż trochę mało, i Carla faktycznie nie zginęła w wypadku, sprawcą mogła być jedna z trzech osób.

— Czterech — poprawiłam go.

— Czyżby był ktoś jeszcze?

Milczałam, a on mi się przypatrywał czekając na odpowiedź, aż w końcu zrozumiał, co oznacza przedłużająca się cisza. Przez twarz przemknął mu cień, a mnie w tym samym momencie ścisnęło w piersi.

— Uważasz, że to ja zabiłem Carłę — bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Ależ skąd! — zaprzeczyłam szybko, zbyt szybko, jakbym za wszelką cenę chciała zagłuszyć swoje wątpliwości. — Tyle że kiedy spojrzeć na wszystko teoretycznie, jest to możliwe, podobnie jak to, że zginęła z mojej ręki... Nawiasem mówiąc, twoje zachowanie wydawało się nieco podejrzane. Przyleciałeś tam na dwa dni przed jej powrotem, a potem jej unikałeś. Spotkanie zaplanowałeś na drugi dzień, kiedy już nie żyła...

— Chryste, to czyste szaleństwo! — Daniel złapał się za głowę.

— A to co opowiedziałam ci wcześniej, nie było nim? Wtedy jednak powiedziałeś, że nie wierzysz w moje wymysły, w to wszystko, co rzekomo działo się pomiędzy mną, Glenem i Caddiem. Skąd brałeś tę pewność, skoro cię tam nie było?

Zaśmiał się gorzko.

— Powiedziałem tak, bo kiepska z ciebie kłamczucha, Helen. A teraz naprawdę nie wierzę, że podejrzewasz mnie, iż zabiłem własną żonę! To prawda, być może przestałem ją kochać, być może nigdy nie kochałem jej tak, jak ona tego chciała, ale na rany Chrystusa, była moją żoną! Zależało mi na niej. Nigdy nie życzyłem jej śmierci.

Nawet nie próbował się bronić. Nie wiedziałam tylko, czy dlatego, że uznał moje podejrzenia za bezpodstawne i śmiechu warte, czy też nie umiał wymyślić żadnej przyzwoitej wymówki.

— Ale nie zauważyłeś, jak bardzo jest nieszczęśliwa...

— Cóż to, Helen, zabawiasz się w terapeutkę? Uważasz, że nie mam wyrzutów sumienia? Sądzisz, że nie zabolalo mnie, gdy dowiedziałem się, że była ze mną tak nieszczęśliwa, iż wolała spędzić ostatnią noc swego życia pieprząc się z zupełnie obcym facetem? Najgorsze zaś, że posiadałem tę wiedzę za późno, kiedy już nic nie można było zrobić... Naprawdę myślisz, że świetnie się z tym wszystkim czuję?

Zaskoczyło mnie to, co usłyszałam w jego głosie. Jeszcze bardziej zaskoczyła mnie moja zdolność do wykrywania prawdy.

— Ty wciąż jesteś na nią zły — szepnęłam.

— Oczywiście, że jestem na nią zły! — odwarknął Daniel. — Jestem na nią wściekły od czasu, kiedy umarła. Na siebie rzecz jasna też, ale przede wszystkim na nią! Czy to cię dziwi? Gdyby tylko znalazła w sobie odwagę, żeby powiedzieć mi, o co jej chodzi, może bym przestał być takim egoistycznym draniem i ona nigdy nie pojechałaby na ten przeklęty urlop. Ale nie, nie pisnęła mi o niczym nawet słówkiem! Wszem wobec rozpowiadała, jaka to jest ze mną nieszczęśliwa, ale kazała im przysięgać, że nic mi nie powtórzą. A teraz co rusz ktoś mi o tym mówi, t e r a z , kiedy jest o wiele za późno! — ukrył twarz w dłoniach. Po chwili, już spokojniejszym głosem, dodał: — Mnie Carla zawsze wydawała się zadowolona z życia.

— Może udawała przed tobą, żeby cię nie martwić. Bardzo się liczyła z twoim zdaniem, nie chciała cię zawieść, a ty niestety nie potrafiłeś wyciągnąć do niej ręki, kiedy miała kłopoty...

— Jak na przykład?

— Czy na przykład cieszyłeś się, kiedy poroniła? — wypaliłam.

— Co takiego?!

— Oznajmiłeś jej, że nie chcesz mieć więcej dzieci.

— Carla ci to powiedziała? — zapytał cicho.

— Nie, nigdyśmy o tobie nie rozmawiały, jeśli nie liczyć ostatniego wieczoru, kiedy pokazała mi zdjęcie twoje i dzieci. Ale inni mówią...

— Jacy inni?

— Nieważne. W każdym razie ktoś wspomniał nawet, że to ty zmusiłeś ją do przerwania ciąży.

— Chryste! — Podszedł do sofy i przysiadł na samym brzeżku, opierając łokcie o kolana i nachylając się do przodu. Z jakiegoś powodu przypomniało mi się nasze spotkanie w muzeum przed paroma tygodniami. — Czasami naprawdę nienawidzę tej dziury! — powiedział zapalczywie. — Istotnie, kiedy Carla oznajmiła mi, że spodziewa się dziecka, nie wpadłem w zachwyt. Przez cały okres narzeczeński, a nawet potem, w pierwszych miesiącach małżeństwa, zapewniała mnie, że nie chce mieć dzieci, a ja jej jak głupek wierzyłem! Co było do przewidzenia, w pewnym momencie całkowicie zmieniła nastawienie, zaczęła się oglądać za niemowlętami w wózkach i przebąkiwać coś o tym, jakie to wyjątkowe przeżycie być rodzicem, ale ja złożyłem wszystko na karb jej kulejącej kariery i robiłem co mogłem, żeby odwrócić jej uwagę od rozmnażania, bo nie ukrywam, że perspektywa zostania ojcem po raz czwarty mnie przerażała. Nie mogłaś nie zauważyć, że mam już troje dzieci, które są szalenie absorbujące, zwłaszcza że ich matka częściej bywa za oceanem niż z nimi. Tyle że w przeciwieństwie do tego, co ty i plotkarze z tej dziury mówicie, starałem się wykrzesać z siebie entuzjazm, dla dobra Carli. Ani razu nie wspominałem o aborcji, a kiedy Carla poroniła, byłem u jej boku i pocieszałem ją, jak umiałem... — Odwrócił się w moją stronę i wbił we mnie płonący wzrok. — Zadowolona?

— Jak sam powiedziałeś wcześniej, to co się działo pomiędzy tobą i Carłą, dotyczy wyłącznie ciebie i jej i nie ma nic, ale to nic wspólnego ze mną.

— I tu się mylisz!

— Jak to? — spojrzałam na niego z uwagą, w duchu oceniając odległość dzielącą mnie od samochodu.

Popatrzył na mnie z politowaniem.

— Bo chociaż wtedy wydawało mi się, że nie chcę mieć więcej dzieci, teraz wiem, że chętnie przeszedłbym przez to wszystko raz jeszcze, dla kogoś, na kim mi zależy... — zawiesił głos.

— Niestety, w chwili obecnej nie ma w moim życiu nikogo takiego. — Odczekał parę chwil, żeby znaczenie jego słów w pełni do mnie dotarło. — Carla instynktownie czuła, że nie mam nic przeciwko kolejnemu dziecku, lecz wiedziała także, iż nie chcę, by to ona je urodziła. Nie kochałem jej. Oczywiście podobała mi się i darzyłem ją sympatią, zależało mi na niej i prawdopodobnie łudziłem się, że to, co do niej czuję, wcześniej czy później przerodzi się w prawdziwą miłość. Nigdy się tak jednak nie stało. Teraz to już naturalnie nie ma żadnego znaczenia, ale Carla cały czas o tym wiedziała i dlatego była taka nieszczęśliwa, ja zaś cały czas miałem świadomość, że nie jest ze mną szczęśliwa, a mimo to podtrzymywałem iluzję, że wszystko między nami jest w porządku, gdyż nie było nic, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, aby ją uszczęśliwić. To właśnie dlatego od dnia jej śmierci zjadają mnie wyrzuty sumienia. Lubilem ją wystarczająco, by przejmować się, iż nie potrafię pokochać jej tak, jak na to zasługiwała, niestety nie na tyle jednak, by móc ją w ogóle pokochać. Nie ma gorszej tortury, niż dbać o kogoś na tyle, by cierpieć z powodu niemożności pokochania go tak, jak na to zasługuje.

— I co? Może mam się nad tobą litować, bo nie potrafiłeś uczynić Carli szczęśliwą?

— Nie, nie oczekuję tego... — Daniel powoli podniósł się do pozycji stojącej. — Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie ja ją zabiłem.

— Czy to coś zmieni? — spytałam.

Daniel stał na tle kominka, z rękoma założonymi na piersi, i przyglądał mi się natarczywie. Przez dłuższą chwilę milczał, a kiedy wreszcie przemówił, zupełnie zmienił temat.

— Nie bałaś się przyjechać tu i stanąć ze mną oko w oko?

— Chciałam wiedzieć...

— Chryste, Helen, i naprawdę wierzyłaś przez te wszystkie miesiące, że to ty ją zabiłaś? — Skinęłam głową. — I dlatego tu wtedy przyjechałaś?

— Tak. Musiałam się dowiedzieć, kim ona była. Jaka była, jakie prowadziła życie, z kim je dzieliła...

— Zawsze się zastanawiałem... — zaczął i urwał raptownie, uciekając spojrzeniem w bok. Po-
dążyłam za jego wzrokiem i popatrzyłam w okno. Na dworze wciąż padał śnieg, ale znacznie rzadszy
niż przedtem; płatki opadały ku ziemi niechętnie, w ostatniej chwili się unosząc i płynąc w powietrzu,
by znów dotknąć podłoża i znowu umknąć w górę. — Wiesz co, Helen? — podjął nagle i nim zdąży-
łam cokolwiek powiedzieć, ciągnął: — Myślę, że jesteś szalona. Poznałaś Carlę przypadkiem, wielkim
ciosem była dla ciebie jej śmierć i nigdy tak naprawdę się nie pozbierałaś... Dostałaś na jej punkcie
obsesji. To dlatego tutaj przyjechałaś, żeby wkraść się w nasze życie. Zawsze się zastanawiałem, dla-
czego nic nie chcesz w zamian, ale teraz widzę, że się myliłem. Ty chciałaś wszystko; chciałaś stać się
Carlą.

— To nie tak — zaprotestowałam, wciąż patrząc w białoszary świat za oknem. Zahipnotyzowa-
na wirującym tańcem śnieżynek byłam bliska uwierzenia w wersję Daniela. Żeby oprzytomnieć, bole-
śnie wbiłam sobie w dłonie paznokcie. — Jestem pewna, że to nie było tak... — rzekłam wstając, gdyż
nagle poczułam, że grozi mi niebezpieczeństwo, choć nie umiałabym sprecyzować, z której czy raczej
z czyjej strony. — Lepiej już pójdę.

— Już? Czyżbym tak łatwo zdołał cię przekonać, że to nie ja zamordowałam Carlę? I co teraz
zrobisz, ciekaw jestem...

— Może zamienię parę słów z Paulem.

— Na miłość boską, Helen, nie zachowuj się jak kompletna idiotka! — wybuchnął Daniel. —
Nie możesz jeździć po wszystkich i pytać, czy to nie oni przypadkiem zabili Carlę!...

— Nie mam zamiaru pytać go wprost — broniłam się.

— Zresztą nic innego mi nie pozostaje.

— Nieprawda. Mogłabyś zostać tutaj, razem powinniśmy coś wymyślić.

— Nie, Daniel — pokręciłam głową. — Muszę to zrobić po swojemu. I sama.

— Nadal mi nie ufasz? Chryste, to jakieś szaleństwo — westchnął ciężko. Kiedy szedł w moją stronę, jego kroki zagłuszał biało-niebieski dywan. — Jak możesz myśleć, że potrafiłbym na nią podnieść rękę?

— A jednak ktoś to zrobił.

— Nie ja! — krzyknął, lecz zaraz rozciągnął usta w uśmiechu. Przybrał perswadujący, dobrotliwy ton. — No, Helen, pozwól mi sobie pomóc... — Uświadomiłam sobie, że moment, kiedy mogłam bezpiecznie opuścić dom Daniela, minął. Teraz miałam na ramionach jego dłonie, czułam, jak pod wpływem jego dotyku podnoszą mi się włoski na karku. — Czemu tak długo wszystko przede mną ukrywałaś? Po co kłamałaś?...

— Myślałam, że to ja jestem winna jej śmierci. — Stał tak blisko mnie, że w nozdrza uderzył mnie ostry zapach jego ciała: mieszanka mydła, kawy i potu spowodowanego napięciem.

— Chciałam, żebyś mnie znienawidził.

— Prawie osiągnęłaś swój cel, to ci muszę przyznać. Po tym co mi ostatnio naopowiadałaś, przez parę dni zachodziłem w głowę, o co w tym wszystkim chodzi i jaka jest twoja rola. I wiesz co, Helen? Doszedłem do wniosku, że nie wiem o tobie nic, jeśli nie liczyć twojej wyjątkowej zdolności do nauki języków obcych. Chwilami się zastanawiałem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak czuję się bliższy tobie niż ludziom, których znam od lat...

Jego dłonie były na moich plecach, delikatnie, lecz stanowczo przyciągały mnie do niego.

— To prawda, nie znasz mnie.

Zdziwiło mnie, że poczucie niebezpieczeństwa nagle nabrało znamion seksualnych.

— Owszem — przytaknął — lecz teraz przynajmniej wiem, czemu wydawałaś się taka smutna. Nie uwierzysz, ale chwilami twoja obecność sprawiała mi ulgę właśnie dlatego, że byłaś jeszcze smutniejsza ode mnie. Dostyc miałem ludzi, którzy na siłę starali się mnie rozweselić, jednakże gdy pewnego razu zobaczyłem, jak się chichrasz w towarzystwie dzieci, zapragnąłem poznać i tę stronę twojej osobowości...

Serce mi waliło. W czasie gdy do mnie mówił, jego ręce zawędrowały na moje biodra, ja wszakże położyłam mu dłonie płasko na piersi, by w każdej chwili móc go od siebie odepchnąć. Niczego bardziej nie pragnęłam, jak uwierzyć w każde wypowiedziane przez niego słowo, uznając, że płynie z głębi jego duszy, a zarazem niczego się bardziej nie bałam, jak właśnie uwierzyć mu. Zaufać.

— Nie, Daniel — powiedziałam słabo.

— Nadal mi nie ufasz — rzekł, wypuszczając mnie z objęć.

— Sama nie wiem — wzruszyłam ramionami i odwróciłam się, żeby odejść, on jednak schwytał mnie za nadgarstek, zmuszając do pozostania w miejscu.

— I co z nami będzie, Helen? — zapytał.

— Sama nie wiem — powtórzyłam.

— Ale ja wiem — uśmiechnął się. — I po raz pierwszy mam nad tobą przewagę.

Nachylił się lekkim ruchem i musnął moje usta.

— Zdaje się, że masz zasady dotyczące dzieci i obcych kobiet w domu — zdobyłam się na ironię.

— Zasada nie obowiązuje, kiedy dzieci nie ma w domu. A teraz jesteśmy sami...

Zamarłam, nie ważąc się głośniej odetchnąć. Przypomniałam sobie pytanie Carli: „Na co zwracasz uwagę w nowo poznanym mężczyźnie, Helen? Ja przede wszystkim patrzę na usta i biodra...” Rozumiałam już, dlaczego zakochała się w Danielu. Wiedziałam także, z jakiego powodu jej go odbieram, podobnie jak kiedyś Glena. Zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawę, lecz nie dbałam o to. Spojrzałam Danielowi prosto w oczy.

— Jeśli pocałujesz mnie jeszcze raz, zostanę — szepnęłam.

Ujął moją głowę w obie dłonie, odchylił mnie lekko do tyłu, po czym złożył na moich wargach niespieszny pocałunek, który wywołał we mnie eksplozję pożądania. Nagle wszystko przestało się liczyć — wszystko z wyjątkiem tego, by poddać się chwili i całującemu mnie mężczyźnie. Jeśli prawda o nim była szokująca, na razie nie chciałam jej znać. Wygięłam ciało w łuk, drżąc z podniecenia i dopasowując się do jego kształtów, on zaś w odpowiedzi objął mnie ciasno ramionami i przytknąwszy policzek do mojej twarzy, westchnął przeciągle.

— Pójdiesz ze mną na górę? — zapytał.

— Tak — odparłam.

Nagle poczułam, jak jego uścisk staje się lżejszy. Odsunął mnie od siebie i z poważną twarzą upewnił się:

— Teraz?

— Tak — musiałam odchrząknąć, żeby to krótkie słowo zabrzmiało wyraźnie.

Kiwnął głową z zadowoleniem i wolną ręką otworzył drzwi. W holu zauważyłam, że migocze lampka automatycznej sekretarki, i przelotnie zastanowiłam się, czy Caddie odebrał moją wiadomość i co by sobie o mnie pomyślał, gdyby wiedział, co właśnie zamierzam zrobić. Boże — przestraszyłam się. — Co ja właściwie robię? Czy już zupełnie postradałam zmysły?

Być może powiedziałam to na głos, gdyż Daniel przystanął i zapytał:

— O co chodzi?

— Nie wiem... Ja chyba...

— Helen, przestań wreszcie walczyć, bronić się. Po prostu daj się ponieść chwili... — pocałował mnie znowu.

Ogarnęło mnie takie uczucie, jakiego się doświadcza, kiedy pozostaje się pod wodą zbyt długo, a potem jednym ruchem wynurza na powierzchnię, gdzie czeka na człowieka oślepiające światło dnia. Byłam oślepiona, brakowało mi tchu, cieszyłam się, że żyję.

— Nie przestawaj — szepnęłam w jego usta. — Och, proszę, nie przestawaj...

— Nie mam takiego zamiaru — zapewnił.

Wszystko będzie dobrze — przemknęło mi przez myśl. Jednakże zmartwiałam, gdy u dołu schodów Daniel puścił mnie przodem. Ostatni raz czułam się tak, kiedy... kiedy... Przed oczyma miałam mały domek położony kawałek od plaży, Carlę, która z podłym uśmieszkiem weszła do kuchni po szklankę wody...

„Nie usnęłam na wieczność...”

Ile to razy chodziłam po tym domu, czując obecność Carli w każdym pomieszczeniu, jakby zostawiła po sobie smugę zapachu? A jednak nigdy nie widziałam jej sypialni, pokoju, który dzieliła z Danielem i w którym się z nim kochała. Miejsca, gdzie być może czuła się natrętem, „tą drugą”, która zajęła pozycję Angeli. Nieoczekiwanie zmierzałam tam, krok po kroku, stopień po stopniu, powoli zdając sobie sprawę, że tam właśnie czyha na mnie największe niebezpieczeństwo.

Zatrzymałam się raptownie, odwróciłam do Daniela z paniką wymalowaną na twarzy i przyciągnąwszy go do siebie, poprosiłam:

— Tutaj. Kochaj się ze mną tutaj.

Pocałowałam go namiętnie, po czym na chwilę się odeń odsunęłam, żeby zdjąć przez głowę sweter i zsunąć buty, i znów wpiłam się w niego ustami. Równocześnie starałam się stłumić w sobie wątpliwości i ściągnąć resztę ubrania. W pierwszym ułamku sekundy wyczułam jego wahanie i zaskoczenie, lecz szybko się opanował — przypuszczam, że dostarczyłam mu już tylu powodów do zdziwienia, że jeszcze jeden nie robił większej różnicy. Być może mój nagły wybuch namiętności był mu na rękę, gdyż sam także miał dosyć niepewności, która niczym fatum wisiała od początku nad naszym związkiem. Oddał mi pocałunek i delikatnie kładąc mnie na schodach, nakrył dłonią moje palce szarpące za pasek spodni. Pomógł mi się do końca rozebrać i kiedy poczułam jego dotyk, wszystkie wątpliwości wyparowały w jednej chwili — zbyt długo byłam zamknięta w celi swego umysłu, zbyt długo odmawiałam ciału należnych mu przyjemności. Postanowiłam pożegnać się ze swym smutkiem i wyrzutami sumienia.

Daniel uśmiechnął się zadowolony, gdy wydałam z siebie głośny krzyk rozkoszy i ulgi, po czym wziął mnie na ręce i zaniósł do sypialni. Leżąc na jego niezasłanym łóżku, miałam w nosie, czy wcześniej spał w nim cały harem, jaki los spotkał każdą żonę z osobna i gdzie się teraz znajdowały. Liczyło się tylko to, że Daniel i ja znaleźliśmy się w miejscu, gdzie przeszłość nie ma znaczenia.

Na tym właśnie polega piękno — i niebezpieczeństwo — seksu. Daje on iluzję, że kontakty międzyludzkie są tak naprawdę proste. Kiedy czas uległ zawieszeniu, łatwo mi przyszło uwierzyć, że nic nie jest istotne oprócz zmysłu dotyku, pieszczot przez nas wymienianych, wreszcie przyjemności, jaką się nawzajem obdarzaliśmy; unosząc się na falach rozkoszy, chętnie wierzyłam, że ważna jest tylko jedność naszych ciał, w której zawiera się cała prawda o świecie i o nas samych; dając i biorąc my-

ślałam, że w ten sposób najlepiej się poznamy i wyjaśnimy to wszystko, co wyjaśnienia wymagało. Odsunęłam od siebie wszelkie pytania i podejrzenia, fakty dotyczące jego rodziny i mego położenia, przeszłość i przyszłość, i to co pozostało mi wciąż zrobić. Pozwoliłam się uwieść Danielowi i zapomnieniu.

Ta iluzja trwała, kiedy leżeliśmy obok siebie bez tchu, w pełni zaspokojeni. Daniel trzymał mnie w ramionach, a ja zaciskałam mocno oczy, by nie patrzeć na tę sypialnię, w której znalazłam się po raz pierwszy. Za wszelką cenę chciałam wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Przecież przeżyłam pół roku swego życia, będąc przekonana, że zamordowałam drugą ludzką istotę — jakie mogło mieć znaczenie, co uczynił Daniel? Skoro potrafiłam żyć z taką wiedzą o sobie, powinnam także móc żyć z nią, gdyby dotyczyła Daniela — myślałam. Wystarczyło muśnięcie jego palców, ciężar jego ciała na moim, jego ruch we mnie w odwiecznym rytmie, a moje poszukiwania dobiegły kresu. Fakty przestały się liczyć.

Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, zamiast rozglądać się po nie znanym mi pokoju, spojrzałam za okno, gdzie płatki śniegu wirowały w szarzejącym świetle dnia, co nasunęło mi pragnienie, byśmy zostali tutaj zasypiani na dzień czy dwa, a może na cały tydzień, i odizolowani od reszty świata. Przyknuwszy powieki wyobraziłam sobie dzieci, którymi zaopiekowano by się w szkole z powodu zamieci i gołoledzi, głuche linie telefoniczne i — oczywiście — nieustającą miłość z Danielem, która przyniosłaby mi wyczekiwaną ucieczkę od napięcia i dylematów, jakimi naszpikowane było ostatnio moje życie.

Zerknęłam na Daniela spod rzęs: wydawało się, że śpi.

Wyśliznęłam się ostrożnie z jego objęć i schyliwszy się po koszulę, którą wcześniej rzucił na podłogę, nałożyłam ją na ramiona i podeszłam do okna. Zalew majaczył pośród lecącej z nieba nieprzerwanej bieli. Czyżby rzeczywiście miało nas zasypać? Czy świat wstrzyma oddech, by nie popsuć tej magicznej chwili?

— Helen? — Odwróciłam się od okna. Podparty na łokciu Daniel przyglądał mi się z uwielbieniem. — Wracaj do łóżka — powiedział, a ja bez wahania posłuchałam. Chwilę potem leżałam u jego boku, a on poprawiał okrywającą nas kołdrę. — Masz zimne piersi — szepnął, nakrywając moją skórę swą ciepłą dłonią. — Oj, chyba będę je musiał rozgrzać inaczej...

Z wrażenia wsunęłam się głębiej pod pościel. Ma taki delikatny dotyk — myślałam. — To niemożliwe, by kogoś zamordował. Z drugiej jednak strony to czyste szaleństwo oczekiwać, że odkryje się prawdę o kimś, idąc z nim do łóżka. — Nie mogłam pozwolić, żeby przeszłość wtargnęła i tutaj, niszcząc moje szczęście. — Przestań o tym myśleć! — nakazałam sobie w duchu.

— Skoncentruj się na doznaniach, wyłącz umysł...

Obcałowywał właśnie moje powieki, kiedy nagle odsunął się ode mnie i powiedział:

— Zanim zabierzemy się do tego od nowa, muszę się ogolić. Ale jeszcze wcześniej musimy uzgodnić, jak odkryć prawdziwego mordercę Carli. A przedtem ty musisz opowiedzieć mi o sobie.

— Ale najpierw ty musisz mnie pocałować...

— Pod warunkiem że zaczniesz mówić. Jeden całus za każdy fakt o tobie. Chcę się o tobie dowiedzieć wszystkiego: jaki jest twój zawód, czy dużo podróżowałaś, gdzie mieszka twoja rodzina, co lubisz najbardziej...

— To — odparłam, oddając mu pocałunek. Zaraz jednak spoważniałam. — Po co te pytania, Daniel? Co za różnica, kim jesteście i jak zarabiamy na życie. Czy to, co przeżywamy, nie wystarczy?

— Daj spokój, Helen. Zwodzisz mnie od samego początku... No dobrze — westchnął przeciągle, udając, że się poddaje

— masz dla zachęty — pocałował mnie znowu — ale teraz już zacznij mi o sobie mówić. — Zanim zdążyłam zaprotestować ponownie, zapytał: — Słyszałaś?

— Nie.

— Wydawało mi się, że słyszę samochód. Cholera, to pewnie Janet przywiozła Lily do domu.

— To Lily nie jest w szkole?

— Dziś i jutro nie — odparł, dając mi ręką znak, bym była cicho.

Na dole trzasnęły drzwi. Chwilę potem na schodach zatupotały kroki, ktoś pchnął drzwi do sypialni i rozległ się kobiecy głos. Nie należał jednak ani do Janet, ani tym bardziej do Lily.

— Co tu się, do kurwy nędzy, wyrabia? — spytała Angela.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Cokolwiek by Angeli zarzucić, miała niesamowite wyczucie czasu. Albo intuicję, do której by się pewnie jako wyemancypowana współczesna kobieta za nic w świecie nie przyznała. Bez cienia wahania wtargnęła do sypialni — postawne, beżowoblond uosobienie wściekłości. Bezwiednie nakryłam głowę kołdrą, ponieważ przypominając sobie, że Angela zdążyła mnie zauważyć, jak również większość mojej garderoby rozrzuconej na schodach.

— Kim jest ta suka?! — rzuciła do Daniela.

— Nie twój zasrany interes! — odwarknęła. — I po coś tak wcześnie przyjechała? Miałaś być dopiero po południu.

— Uznałam, że lepiej wyjadę rano, żeby mnie po drodze nie zasypało — wyjaśniła przestając krzyczeć i przybierając ton, jakim rozmawia się o pogodzie. Zaskoczyło mnie, że tak świetnie nad sobą panuje. — I dobrze zrobiłam. Wiesz, kochanie, nie jadłam śniadania i umieram z głodu. Może coś nam przyrządzą?

— Helen i ja wychodzimy na lunch do pubu — oznajmił Daniel zimno.

— Czekaj, czekaj, czy Helen to nie ta zdzirowata przyjaciółka Carli, co to się za tobą ostatnio ugania z wywieszonym jęzorem?

— Angela, zejdz na dół. Porozmawiamy, kiedy się ogarnę.

— Jak chcesz. Ale jej ma tu nie być za pięć minut. Na wypadek gdybyś zapomniał: to jest także moja sypialnia. Pięć minut — powtórzyła, po czym rozległ się stukot obcasów i trzaśnięcie drzwi. Nie wystawiając głowy spod kołdry słyszałam, jak schodzi po stopniach, zatrzymuje się, po czym rzuca czymś w stronę drzwi sypialni. Zapewne moimi butami.

— O co jej chodziło?

Daniel siedział już na brzegu łóżka, przedramiona miał oparte na kolanach.

— Niech ją szlag! — wycedził. — Po cholere ją tu przywiało?

— Co miała na myśli mówiąc, że to jest także jej sypialnia? — dopytywałam się.

Daniel westchnął przeciągle, nachylił się i objawszy mnie za szyję, przyciągnął do siebie.

— Skarbie, Angela i jej fochy to nasze najmniejsze zmartwienie. Musimy zastanowić się, co począć z mordercą Carli.

— My?

— Przecież wiesz, Helen, że chcę ci w tym pomóc... — urwał i spojrzał na mnie z filuternym błyskiem w oku. — To znaczy, pod warunkiem że przestałaś mnie wreszcie podejrzewać. — Patrzył prosto na mnie i widziałam w jego oczach wyłącznie niewinność, uczciwość i prawdę. Och, Daniel, pomyślałam, czy kiedykolwiek będę w stanie oprzeć się twojemu urokowi? Nie odpowiedziałam mu, uśmiechnęłam się tylko, co zrozumiał właściwie. Wstał i zaczynając się ubierać, mówił dalej: — Obie-

caj mi, że nie będziesz szukać konfrontacji z Paulem. Jeśli Carłę faktycznie zamordowano, istnieje ryzyko, że zrobił to Paul, a to oznacza, że może być niebezpieczny.

„Jeśli” — Daniel wciąż mi nie ufał. Zapominając o wcześniejszych uniesieniach, postanowiłam zachować czujność.

— Wyobraź sobie, że sama na to wpadłam.

— Nie pyskuj! Zrozum, że nie mogę pozwolić, byś wystawiła się na niebezpieczeństwo.

— Tu masz drugą — podałam mu skarpetkę, której szukał.

— To miłe, że się o mnie troszczysz.

Z dołu zaczęły dochodzić dźwięki, jakby ktoś wrzucał (dosłownie!) porcelanę do zlewu.

— Szlag — zaklął Daniel. — Angie się niecierpliwi. — Hmm, ciekawe w takim razie, jak się zachowuje, kiedy jest zła, pomyślałam. W kuchni rozległo się jeszcze parę huków, którym towarzyszył silny damski głos, śpiewający arię toreadora z „Carmen”. Daniel oznajmił: — Zejdę zobaczyć, o co jej chodzi.

— Czy to nie oczywiste? — zapytałam z przekąsem.

— Otóż nie, nie w wypadku Angie. Z nią nigdy nic nie wiadomo... — szybkimi ruchami kończył zapinać guziki przy koszuli.

Usiadłam na łóżku, podciągając kolana pod brodę, i po raz pierwszy rozejrzałam się po pokoju. Ściany były pomalowane na białą, rolety w oknach miały jasny odcień, na podłodze leżała zwykła klepka parkietowa, przykryta paroma małymi chodnikami, pościel także była niewyszukana: w marynarskie paski.

— Kto urządził ten pokój? — zapytałam. — Angela czy Carla?

Daniel pochylił się i pocałował mnie w czubek nosa.

— Nie sądź po pozorach — powiedział, po czym dodał: — Angie wyprowadzając się stąd zabrała większość mebli. Ja pomalowałem ściany na białą, na dobry początek. Kiedy pojawiła się Carla, proponowałem, żeby zmienić kolor, ale ona twierdziła, że podoba jej się tak, jak jest... — Podążył wzrokiem za mną. — Tak, pościel też ja wybrałem. Podoba ci się? — zapytał od drzwi. Nie uzyskawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i przestrzegł: — Nie śpiesz się... Chwilę mi zajmie, nim udobrużam Angie, a potem pójdziemy na lunch.

— Przestało padać?

— Nawet jeśli nie, zawsze możemy się przejść do pubu.

Nie dlatego pytałam, ale postanowiłam nie drażnić tematu. Na dole dźwięki przybierały na sile — Angela zaczęła sobie akompaniować na garnkach. Daniel zbiegł po schodach, żeby ratować swoją zastawę, ja zaś pozbierałam resztę ubrań ze stopni i zamknęłam się w łazience. Chociaż Daniel radził mi się nie śpieszyć, zdecydowałam się na szybki prysznic zamiast kąpieli. Perspektywa znalezienia się w pułapce z powodu silnych opadów śniegu przestała mi się nagle podobać. Za wszelką cenę musiałam

opuścić dom Daniela. Po tym wszystkim, co przeżyłam w ostatnich miesiącach, nie mogłam pozwolić, by tak marna przeszkoda, jak śnieg, fochy Angeli czy Daniela chęć niesienia mi pomocy, odwiodła mnie od mego pierwotnego planu.

Owinięta ręcznikiem i z wciąż mokrymi włosami przemknęłam przez przedpokój w stronę sypialni, lecz zatrzymałam się u szczytu schodów — z dołu dobiegały coraz donośniejsze głosy Daniela i Angeli. Starając się rozróżnić słowa, ze smutkiem pomyślałam, że Violet nie raz musiała stać w tym samym miejscu co ja teraz i ze ściągniętą strachem twarzą przysłuchiwać się pyskówkom rodziców, i ogarnęła mnie złość. Wściekła na nich oboje przemierzyłam resztę przedpokoju i szczelnie zamknęłam za sobą drzwi do sypialni. Ubrałam się pośpiesznie i podeszłam do okna, żeby ocenić warunki pogodowe. Śnieg rzeczywiście przestał prószyć, ale napadało go tyle, że cały krajobraz stał się bardziej jednolity i przeważała w nim biel. Uznałam, że najrozsądniejszym krokiem byłoby natychmiast ruszyć w kierunku Londynu — zanim drogi staną się nieprzejezdne.

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawiłam, lecz zamiast jakiejś swojej zapomnianej rzeczy dostrzegłam złoto-czarno-czerwony prostokąt, stojący na komodzie obok sterty książek. Była to mała drewniana ikona, którą Carla kupiła dla Daniela tego samego dnia, kiedy poznałyśmy Glana i Caddiego.

Podeszłam do komody i wzięłam ikonę do ręki, po czym przysiadłam na brzegu łóżka, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Nie ulegało wątpliwości, że była jedną z wielu wyprodukowanych w jakiejś fabryczce czy manufakturze i sprzedawanych potem naiwnym turystom, którzy szukali pamiątki z wakacji. Wszakże ta była jedyna w swoim rodzaju, gdyż to Carla wybrała ją na prezent dla Daniela, on zaś przywiózł ją z Grecji i ustawił na poczesnym miejscu w sypialni, jako swoiste memento po żonie.

Uzmysłowiłam sobie, że śledząc cienie Carli przeszłam długą drogę — aż do łóżka Daniela. Aż do tego momentu, kiedy on i jego była żona drą ze sobą koty piętro niżej, podczas gdy ja wszystko słyszę. Pomyślałam, że pewnie nie tylko Vi była świadkiem ich awantur, ale Carla również.

Wydało mi się, że słyszę głos Carli. Oczywiście to echem odbijały się słowa Leonie, którą słyszałam na pogrzebie i potem kilkakrotnie w radiu, jednakże tym razem, kiedy tak siedziałam na małżeńskim łożu Daniela i trzymałam w dłoni małą ikonę, którą Carla dla niego kupiła, byłam niemal święcie przekonana, że słyszę Carłę:

*Nad mogiłą tą nie stój w żałobie,
Nie usnęłam na wieczność w swym grobie.
Jam teraz wiatrem, co dmie we wsze strony
Jam miriadami błysków, jakimi skrzą lody...*

Och, Carla — pomyślałam. — Jaka ja jestem strasznie głupia. Umknęło mi najważniejsze... Od czasu mojej pierwszej wizyty w domu Daniela starałam się odkryć prawdę o tym, co naprawdę się wydarzyło, tylko ze względu na siebie, na własny wewnętrzny spokój.

Nagle opuściły mnie wyrzuty sumienia, jakie czułam kochając się z Danielem i rada nierada przysłuchując się jego kłótni z eksmałżonką, od której nigdy nie udało mu się wyzwolić. Nagle Daniel stał się w tym wszystkim najmniej istotny. To była sprawa wyłącznie pomiędzy mną i Carłą. Ktoś ją zamordował, toteż należy go znaleźć i doprowadzić pod sąd. Ze względu na nią.

Podjąwszy decyzję, odłożyłam ikonę na miejsce i wyszłam z pokoju.

Schodząc wolno po stopniach nastawiłam uszu. Moją uwagę przykuły pierwsze słowa, jakie usłyszałam po wyjściu z sypialni, i natychmiast poczułam się lepiej. Postanowiłam się nie śpieszyć.

— Przeinaczyłaś znaczenie moich słów — mówił Daniel. — Nigdy nie twierdziłem, że chcę, byś z powrotem się do mnie wprowadziła. Przypominam ci, że jesteśmy rozwiedzeni od trzech lat. Między nami koniec.

— Od dwóch i pół — poprawiła go jak zawsze skrupulatna Angela. — Ja z kolei przypominam tobie, że zawsze powtarzałeś, iż żałujesz, że się rozeszliśmy. Wspaniałomyślnie zgadzam się dać ci jeszcze jedną szansę...

Daniel wpadł jej w słowo.

— Tak, święta prawda, nie chciałem rozwodu. Ale to było kiedyś. Zbyt wiele się od tamtego czasu wydarzyło, zbyt wiele zmieniło.

— Co na przykład?

— Na przykład pojawiła się Helen.

— Co takiego? Co ty wygadujesz?! Ta dziewczyna jest nikim. Słuchaj, Daniel, znam cię nie od dziś, więc daruj sobie swoje sztuczki, dobrze? Wykorzystujesz jej osobę jako wymówkę, gdyż strach cię obleciał na myśl, że miałbyś się na powrót poważnie zaangażować w nasz związek. Jak zwykle wycofujesz się, gdy przychodzi co do czego. Tym razem jednak nie ustąpię, nie zniechęcisz mnie w ten sposób...

— Mylisz się, Angie — powiedział Daniel spokojnie. — Jeśli mi na kimś zależy, to na Helen, nie na tobie.

— Tobie? Zależy? Na niej? Koń by się uśmieł. Jak długo ją znasz? Tydzień, dzień czy może tylko parę godzin? Jak w ogóle możesz mówić, że ci na niej z a l e ż y ?

— Nic ci do tego.

— Czyżby? Z tego co opowiada Lily, wnioskuję, że z tej Helen jest niezła kłamczucha. W takich teraz gustujesz? I ile o niej wiesz, oprócz tego rzecz jasna, jaka jest w łóżku? Wiesz może, czego w życiu dokonała, gdzie pracuje? Wiesz o niej cokolwiek?

— Właśnie mam zamiar poznać ją lepiej.

— Jezu, Daniel, wprost nie potrafię uwierzyć, że jesteś aż tak nieodpowiedzialny. Wiesz o niej mniej niż nic, a mimo to zapraszasz ją do domu, gdzie ma dostęp do moich słodkich dzieci. Jeśli już musisz korzystać z pomocy opiekunki, zrób to tak, jak robią ludzie dorośli: przez agencję. Tam dostaniesz referencje, wywiad policyjny, będziesz miał pewność, że dziewczyna ma odpowiednie kwalifikacje! Ależ z ciebie sknera, Daniel. Wolisz pieprzyć za darmo opiekunkę, a może bzykaniem chcesz wyprosić zniżkę?...

Uznałam, że czas się pokazać. Angela stała tyłem do wejścia, całą uwagę poświęcając obrzucaniu Daniela inwektywami i płukaniu imbryka na kawę. Wyglądała jak zawsze nieskazitelnie, ze starannie ułożonej fryzury nie wymknął się nawet jeden kosmyk, co nasunęło mi myśl, że musi być przyzwyczajona do podobnych awantur. Dla odmiany Daniel wyglądał jak chmura gradowa.

Kiedy się zorientowali, że do nich dołączyłam, każde zareagowało inaczej: Angela straciła na ułamek sekundy kontenans, co natychmiast wykorzystał Daniel.

— Jesteś niesmaczna, Angie. Lepiej powiedz, co ci naprawdę leży na wątrobie... Czyżby znów rzucił cię Raoul?

Angela zachwiała się jak pod wpływem ciosu, niemal wypuszczając imbryk z rąk. Zaraz jednak przywołała się do porządku i odrzuciwszy głowę do tyłu dla lepszego wrażenia, lodowatym tonem oznajmiła:

— Niesmaczne, Danielu, jest to, co robisz. Po co wywlekasz nasze prywatne sprawy przed obcymi?

Tak zręcznie odwróciła kota ogonem, że prawie się roześmiałam.

Daniel ucieszył się na mój widok.

— Gotowa na wycieczkę do pubu?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż znów odezwała się Angela.

— A moje dzieci? Przyjeżdżam taki kawał drogi specjalnie po to, żeby spędzić z nimi ostatni dzień ferii, a ty wysyłasz je z domu, żeby gzić się z jakąś flądą!

— Dość tego! — uciał ostro Daniel. — A dla twojej informacji: dzisiaj jest pierwszy dzień szkoły.

— Ale przecież mówiłeś, że szkoła zaczyna się w środę...

— Dzisiaj jest środa — syknął.

— Jezu. To wszystko przez tę różnicę czasu. Musiałam gdzieś nad Atlantykiem zgubić wtorek.

— Lily zaczyna szkołę jutro — poinformował ją Daniel — ale dziś jest zajęta. Musi na ostatnią chwilę przygotować jakiś projekt z zajęć plastycznych, o którym zupełnie zapomniała w czasie ferii. Z samego rana zabrała Tygrysa i poszła do Janet z prośbą o pomoc.

— Biedactwo. Ma problemy, bo żaden z ciebie ojciec. Ale to się zmieni. Teraz, kiedy już jestem z powrotem w domu... — zawiesiła głos i obdarzyła mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

— Helen, zdaje się, że nadszedł czas, byś się pożegnała.

Daniel odwrócił się do niej plecami i cichym głosem powiedział do mnie:

— Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, cały czas się nad nią zastanawiam. Mam znajomego ekspolicjanta, zadzwonię do niego później i dowiem się, co należy zrobić, żeby uzyskać dostęp do raportu z sekcji zwłok. Musimy być bardzo ostrożni, nie chcemy wzbudzić niczyich podejrzeń...

— O czym ty mówisz? — wtrąciła się zaniepokojona Angela.

— To sprawa między mną i Helen — wyjaśnił Daniel.

— Sekcja zwłok, fuj! — wzdrygnęła się w odpowiedzi.

— Cały rano chodzi za mną złe przeczucie, a ty teraz zaczynasz gadać o sekcji zwłok. Chcę, żeby dzieci były w domu. Zaraz. Coś wisi w powietrzu, coś jest nie tak... Jako ich matka czuję, że są w niebezpieczeństwie.

— Lily jest u Janet, a pozostała dwójka w szkole. To dwa najbardziej niebezpieczne miejsca w okolicy — szydził Daniel.

— Nie wyśmiewaj się z matczynego instynktu, Daniel — upomniała go Angela i teatralnie łąpiąc się za podbrzusze, dodała: — Kiedy tutaj mnie ściska, wiem, że coś im grozi. Musisz po nich pojechać i przywieźć bezpiecznie do domu.

— Za żadne skarby nie zrobię z siebie pośmiewiska i nie wyciągnę Vi i Rowana z lekcji tylko dlatego, że ty sobie nagle przypomniałaś, co to znaczy być matką.

— W takim razie jedź chociaż po Lily. Chcę ją wziąć w ramiona.

W tym momencie do rozmowy wtrąciłam się ja.

— Chętnie po nią pojedę, i tak planowałam odwiedzinę u Janet. Jestem pewna, że jak tylko Lily się dowie, że przyjechałaś do domu, rzuci wszystko i zabierze się z powrotem ze mną... — starałam się nadać głosowi przyjemne brzmienie, ale nie wydaje mi się, żeby Angela zwróciła uwagę na moje wysiłki.

— Helen... — zaczął Daniel.

— A potem — przerwałam mu — pojedę prosto do Londynu, zanim zupełnie zasypie drogi. Przecież są jeszcze telefony, możesz do mnie później zadzwonić.

Nagle wiedziałam dokładnie, co chcę zrobić, i na pewno nie było to współuczestniczenie w kłótni mojego nowego kochanka z jego eksmałżonką. Poza tym chciałam mieć swobodę ruchów. Jak dotychczas przekonałam się, że niezależność to jedyny plus przymusowej samotności.

Angela była zachwycona łatwością, z jaką pokonała przeciwniczkę — czyli mnie — i aby uczcić swój tryumf, wrzuciła kolejny talerz do zlewu.

— Jajka na bekonie, kochanie? — zaszczebotała. — Przysmak Aniołów będzie gotowy za pięć minut.

Daniel nie odezwał się ani słowem, rzucił jej tylko wściekłe spojrzenie i podążył za mną do holu i dalej, na zasypany śniegiem podjazd. Na dworze panował taki ziąb, że musiałam postawić kołnierz.

— Nie chcę, żebyś jechała — powiedział. — Nie tak... — pokręcił bezradnie głową.

— Zrozum, Daniel, muszę. Za nic nie chcę być tutaj, kiedy dzieci wrócą; po co mają słyszeć, jak nawzajem obrzucamy się błotem?

— Angie niedługo sobie pojedzie — zapewnił mnie. Popatrzyłam znacząco na walizki piętrzące się na tylnym siedzeniu zgrabnego sportowego wozu, który Angela zaparkowała tak, że przewidywałam poważne kłopoty z wycofaniem mojego samochodu.

— A mnie się wydaje, że przyjechała na dłużej.

— To niemożliwe. Nigdy nie lubiła tego domu... Naprawdę nie wiem, co w nią wstąpiło.

— To sprawa między wami, Daniel. Zadzwoń z domu.

— A ja obiecuję, że skontaktuję się z tym znajomym z policji i wspólnie obmyślimy jakiś plan.

— Dobrze.

Kiedy rozmawialiśmy, poprawiał mi kołnierz płaszcz; czułam na szyi jego zimne palce. Cały czas czoło przecinał mu potężny mars, wreszcie się jednak rozchmurzył i nachyliwszy się lekko, pocałował mnie w usta. Ten dotyk — jego wargi na moich, ciepło z nich emanujące — sprawił, że bliska byłam tego, by machnąć ręką na niezależność i swobodę ruchów.

Z ociąganiem oderwałam się od niego i wkładając kluczyk do zamka, powiedziałam:

— Do widzenia, Daniel.

— Helen... — zaczął coś mówić, lecz nie usłyszałam nic więcej, gdyż zatrzasnęłam za sobą drzwi samochodu.

Uważając, by nie zadraskać idealnego lakieru na wozie Angeli, wycofałam z podjazdu. Przyrzekałam sobie w duchu, że się nie obejrzę, pokusa jednak była zbyt silna. Kiedy wyjechałam już na koleiniastą drogę, zanim widok przesłoniły mi ośnieżone wieczne zielone żywopłoty, rzuciłam okiem we wsteczne lusterko. Daniel wciąż stał przed domem, miał poważną, jakby zmartwioną czymś minę i uniesioną rękę. W geście pożegnania?

Droga, która prowadziła do domu Janet, była oblodzona i pokryta warstwą świeżego śniegu. Jechałam ostrożnie, nie myśląc więcej o Danielu i Angeli, gdyż postanowiłam na razie nie zaprzętać sobie nimi głowy. Mimo to zdziwiło mnie, że z taką łatwością przyszło mi wypchnąć z myśli Daniela. Może to dlatego, że mam tyle innych spraw na głowie — stwierdziłam w duchu.

Ciało wciąż miałam lekkie, w umyśle niepodzielnie panowała euforia, a jednak obawiałam się poddać temu uczuciu. Ostatnie miesiące coś we mnie zmieniły, coś bardzo ważnego. Znajome punkty odniesienia uległy zniszczeniu, straciłam rozeznanie w tym, co jest prawdą, co jest rzeczywiste, a co nie. Teraz wszystko wydawało mi się rozmyte i niepewne. Dlatego właśnie wołałam działać sama...

Czułam, jak przepelnia mnie energia i stanowcza chęć, by pozostawić kłamstwa za sobą, odkryć ziarno prawdy w gąszczu niewyjaśnionych faktów. Po pierwsze: co stało się z Carłą?

Zmierzając w stronę domu Janet, ponownie przestudiowałam znane mi fakty: przede wszystkim nie uważałam się już za sprawcę śmierci Carli, przestałam także podejrzewać Caddiego, a młody Grek od samego początku był najmniej prawdopodobnym podejrzanym. Kiedy popatrzyłam na wszystko trzeźwo, bez emocji, musiałam przyznać rację Caddiemu: jeśli rozpatrywać sprawę z punktu widzenia motywu, nadal głównym podejrzanym był Daniel. Oczywiście nie chciałam tego przyjąć do wiadomości, ale to chyba w zaistniałej sytuacji było normalne — nikt nie chce przyznać, że człowiek, z którym się właśnie uprawiało miłość, mógł być zabójcą własnej żony. Mimowolnie się wzdrygnęłam: tak czy inaczej zdradziłam Carłę, pytanie tylko: ile razy? Miałam nadzieję, że tylko raz.

Być może to jednak nie Daniel ją zabił — rozmyślałam. Mógł to być ktoś inny, na przykład Paul. Sam przyznał, że ją śledził, podając wprawdzie logiczny powód, który wszakże mógł być zwykłym wymysłem, jego wersją historii. Pamiętałam, że powiedział mi, że Daniel bywa nieobliczalny, ale przecież mógł w ten sposób osłaniać siebie. Nadszedł czas, bym dowiedziała się od Janet czegoś więcej o Carli czy może raczej o tym, co mówiła. Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół mógł mieć kolosalne znaczenie.

Zwolniłam i hamując pulsacyjnie zatrzymałam auto przed domem Janet. Na tle czystego białego śniegu budynek raził pożółkłą i przybrudzoną farbą, odłazącą od elewacji całymi płatami, i w ogóle sprawiał przygnębiające wrażenie. Zauważyłam, że ceglaste kombi stoi na zwykłym miejscu, z tyłu domu. Wsiadłszy z ciepłego wnętrza samochodu, podeszłam do drzwi frontowych i zapukałam.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukałam głośniejsze. Wsluchując się, czy ze środka dochodzą jakieś oznaki życia, zwróciłam uwagę, że dosyć gruba warstwa śniegu, która spadła od rana, skutecznie tłumi wszelkie dźwięki. Nawet głośny normalnie ryk fal podczas przypływu zdawał się głuchy i z jakiegoś powodu złowróżbny. Wiatr przybierał na sile, niosąc od zalewu kropelki wody, które pewnie zamarzały w powietrzu, gdyż frunąc kreśliły na piasku plaży wymyślne wzory, łącząc się z podniesionym podmuchami śnieżnym puchem. Ptaki, zazwyczaj krzykliwe i liczne, pochowały się gdzieś, kryjąc przed mrozem i nadchodzącą nocą. Powoli zmierzchało. Powoli zaczynałam rozumieć.

Zapukałam po raz trzeci. Ostatni.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Wyglądało na to, że Janet i Lily zrobiły sobie przerwę, odrywając się od zajęć plastycznych, bądź też projekt Lily był już gotowy. Przypuszczałam, że albo udały się na spacer po plaży, albo Janet postanowiła odprowadzić Lily do domu. W tym drugim wypadku nie minęłabym ich jadąc tutaj, gdyż ścieżkę oddzielało od drogi pasmo wydm.

Pozostało mi mieć nadzieję, iż są na plaży, gdyż niechętnie zrezygnowałabym tego dnia z możliwości zdobycia informacji. Chroniąc twarz przed wiatrem, zesłam wąską ścieżką w stronę plaży i wysiliwszy wzrok, dostrzegłam na samym brzegu samotną postać z truchtającym u jej stóp psem. Żwawym krokiem pokonałam dzielącą nas odległość, jako że wołanie przy tym wietrze nie miało większego sensu.

— Janet!

— Helen! Co za miła niespodzianka — przywitała mnie uśmiechem na zaróżowionej od zimna twarzy. — A słyszałam, że wróciłaś do Londynu.

— Gdzie jest Lily? — od razu przeszłam do sedna. — Daniel wspominał, że spędza dzień u ciebie. Czyżby poszła już do domu?

— Myślę, że tak. Szybko uporałyśmy się z jej projektem i już miałyśmy udać się w drogę do domu Finchów, w dwójkę, żeby było jej raźniej, kiedy nagle wpadł z wizytą Paul... Przywiózł jakąś homeopatyczną mieszankę dla Wielgusa, na jego reumatyzm, i Lily zapytała, czy Tygrysowi też by pomogła, i... — Janet wyglądała na zawstydzoną, kontynuowała jednak. — Kiedy Paul zaproponował, że zabierze Tygrysa na badanie i zrobi kilka testów u siebie, Lily bardzo się ucieszyła... Wiem, że Daniel żywi jakieś uprzedzenia wobec Paula, ale szczerze mówiąc to chyba wina Angeli. Paul to naprawdę złote serce i przecież nikomu nie stanie się krzywda, jeśli Lily... — urwała nagle.

— Lily pojechała z Paulem? — upewniałam się. — O której?

— Może godzinę temu, może troszkę wcześniej. Która jest teraz?

— Parę minut po drugiej.

— Och, w takim razie pojechali przeszło dwie godziny temu... — Janet zmarszczyła czoło, przypominając sobie kolejność wydarzeń. — Tak, kiedy wychodzili ode mnie, było dokładnie wpół do dwunastej, pamiętam, bo wiem, co akurat leciało w radiu. Lily była naprawdę bardzo podekscytowana tym, że Paul wreszcie zbada biednego starego Tygrysa, a ja nie widziałam w tym nic złego. Ale... może lepiej nie mówić nic Danielowi?... Zajdziesz do mnie na lunch?

Byłyśmy już pod domem. Wielgus stał pod drzwiami z nosem wciśniętym w szparę i gdy tylko Janet przekręciła klucz w zamku i je uchyliła, dał susa do środka, szukając ciepła po długim spacerze.

— Wejść, ale tylko na chwilę, nie mogę zostać długo. Muszę jednak zadać ci parę pytań, a potem od razu chcę wyruszyć z powrotem do Londynu.

— Zapowiadali, że drogi będą przejezdne, ale z prognozami nigdy nie wiadomo.

Weszłam do środka i niemal natychmiast napotkałam oczy Carli, patrzące na mnie z portretu opartego o wiklinowe krzesło. Zatrzymałam na chwilę wzrok na jej wąskiej, oprawionej chmurą kasztanowych włosów twarzy i aż mnie zatchnęło. „Dlaczego tak długo?” pytała, spoglądając na mnie oskarżycielsko. „Na litość boską, Helen, pośpiesz się!”

Janet paplała coś, włączając czajnik i wyciągając bochenek chleba, żeby przygotować nam kanapki, ja jednak nie słyszałam nic z tego, co mówiła.

— Janet — przerwałam jej — pamiętasz jeszcze te plotki o żonie Paula po tym, jak umarła?

— Tak, ale wspominałam ci przecież, że to były naprawdę paskudne plotki. Z pewnością nie chcesz słuchać takich brudów. Każdy może robić, co chce, we własnym domu, pod warunkiem że...

— Janet, proszę. Musisz mi powiedzieć. To naprawdę ważne.

— A to czemu?

— Nie mogę ci teraz tego wyjaśniać. Zdaje się, że wspomniałaś wtedy coś o wyuzdanym seksie — podpowiedziałam.

— Tak — przyznała — ale...

— O co dokładnie chodziło?

Zauważyłam, że Janet patrzy na mnie z niesmakiem.

— Posłuchaj, moja droga, ja nigdy nie słucham takich rzeczy, ale czasem człowiek po prostu coś usłyszy mimochodem — zastrzegła się świętoszkowato. — No cóż, słyszałam, że... Ale i tak jestem pewna, że to wszystko nieprawda, ludzie potrafią być wredni, na pewno o tym wiesz, i bez wątplenia chodziło o coś innego... — Już miałam jej przerwać i poprosić, żeby po prostu wyrzuciła to z siebie, kiedy wreszcie powiedziała: — Słyszałam, że jego żona się udusiła.

— W jaki sposób?

— Helen, naprawdę, musisz mnie pytać o takie rzeczy? No wiesz, to miało coś wspólnego ze skórą i...

— Coś takiego jak skórzana maska albo kaptur? Janet się spłoniła.

— Tak, chyba tak. Teraz, jak o tym pomyślę, przypominam sobie, że ludzie mówili coś o otworach do oddychania i że udusiła się własnymi wymiocinami... uch, pomyśl tylko, co za obrzydlistwo, aż mi się robi niedobrze! Uwierz mi, to nie jest temat, jaki się lubi poruszać, kiedy się mieszka samej na takim odludziu...

— Czy mogę skorzystać z twego telefonu?

— Oczywiście, ale nie roz...

— Dziękuję.

Pośpiesznie wybrałam numer domu Daniela. Na szczęście linia nie była zajęta, sygnał odzywał się w odstępach przedzielanych przerwami, z których każda dłużyła mi się w nieskończoność. No już, odbierzcie go! — poganiałam ich w duchu, wyobrażając sobie, jak tam, u Finchów, dzwonek rozlega się w pustym holu, podczas gdy Daniel i Angela w innej części domu rozmawiają podniesionymi głosami i go nie słyszą. Gdzie oni są, do licha? — zastanawiałam się. — Jest jeszcze za wcześnie, żeby pojechali po dzieci do szkoły. Może poszli na spacer albo...

Nagle przed oczyma stanęła mi scena, jaka na pewno rozgrywała się tam teraz. Daniel i Angela nie poszli na żaden spacer, zwłaszcza że Angela — dając głowę — nie lubi spacerów, a już na pewno nie w taką pogodę. „Zostaw, niech dzwoni”, mówi teraz.

Oboje są na górze, w sypialni, gdzie zaledwie przed paru godzinami ja i Daniel... „To jest także moja sypialnia”, powiedziała wtedy. I zaraz po tym jak wyszłam, zaciągnęła Daniela do łóżka, żeby wypędzić z sypialni wspomnienie o mnie i pokazać Danielowi, do kogo tak naprawdę należy i na kim powinno mu zależeć.

— Helen, czy coś się stało? — spytała mnie Janet.

— Niewykluczone — odparłam, odkładając słuchawkę. Uczucie grozy rozpełzało się po całym moim ciele. Kiedy

Angela dawała popis uczuć macierzyńskich, byłam zdeglustowana, teraz jednak uznałam, iż być może faktycznie coś przeczuwała. Przecież ekszona Paula była pacjentką Angeli i możliwe, że podzieliła się z nią wiedzą o swym byłym małżonku, która to wiedza była powodem, iż Angela za żadne skarby nie chciała, by Paul kręcił się koło jej dzieci. A teraz Lily jest w domu Paula...

— Proszę — Janet podała mi kubek — napij się kawy, to ci dobrze zrobi. Opowiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi, a ja otworzę jakąś konserwę i...

— Nie ma na to czasu, Janet. Pojadę do Paula, odbiorę Lily i zawiozę ją prosto do domu. Ty zaś łap za słuchawkę i tak długo dzwoń do Daniela, aż się dodzwonisz i powiesz mu, że pojechałam po Lily do Paula.

— Czy to konieczne? Na pewno będzie się na mnie gniewał, a przecież w tym, że Lily pojechała z Paulem, nie ma nic złego.

— Janet, posłuchaj mnie uważnie: musisz to zrobić! Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, wszystko wytłumaczę ci później. Obiecuj mi, że nie odłożysz słuchawki, dopóki nie uzyskasz połączenia i nie przekażesz wiadomości.

— No dobrze, obiecuję, ale...

Nie słyszałam dalszych obiekcji Janet, gdyż byłam już za drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dom Paula położony był około pięciu kilometrów od Burdocku, w głębi łądu. Jechałam tam tą samą trasą co za pierwszym razem, gdy wspólnie z Janet udałyśmy się odebrać ciało Malucha, i byłam pewna, że nie przegapię charakterystycznego budynku łączącego w sobie cechy modernistyczne i klasyczne w postaci cegły i szkła. Tak jak się spodziewałam, kiedy tylko wyjechałam na prostą, rzucił mi się w oczy czerwono-przezroczysty sześcian, stojący na skraju pól uprawnych w niejakim oddaleniu od reszty domostw. Przyspieszyłam uświadomiwszy sobie, że Lily jest sam na sam z — prawdopodobnie — mordercą, do tego w miejscu, gdzie nikt nie usłyszy jej wołania o pomoc. Dwukrotnie wpadłam w poślizg na oblodzonej drodze, każdorazowo jednak udało mi się odzyskać panowanie nad kierownicą, po czym na chwilę ograniczałam prędkość, by zaraz ponownie docisnąć pedał gazu.

Na betonowym podejździe stała ciemnozielona terenówka Paula. Przyjrzawszy się jej uważnie, doszłam do wniosku, że stoi tam już od pewnego czasu: dach i maskę miała pokrytą równomierną warstwą śniegu, a na podjazd prowadziły niewyraźne ślady opon, ginące pod świeżymi płatkami. Widok tego samochodu wywołał we mnie wspomnienie pogrzebu Carli — Paul ustawił się wtedy tuż za mną i wysiadłszy podszedł do mnie i zastukał w szybę. Jego zainteresowanie uznałam wówczas za przejaw współczucia; teraz wiedziałam, że kierowało nim co innego: chciał mnie wy badać, dowiedzieć się, dlaczego pojawiłam się na pogrzebie i ile pamiętam z wydarzeń w Grecji. Rozmawiając ze mną oceniał, w jakim stopniu stanowię dla niego zagrożenie.

Pół roku temu byłam dlań całkowicie niegroźna, lecz teraz... cóż, teraz sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Zaciągnęłam hamulec ręczny i wyłączyłam silnik. W głowie rozległy mi się echem słowa Daniela: „Na miłość boską, Helen, nie zachowuj się jak kompletna idiotka! Nie możesz jeździć po wszystkich i pytać, czy to nie oni przypadkiem zabili Carlę!...” Zastosowałam się przynajmniej do pierwszej części jego rady — nie zamierzałam jeździć po wszystkich. Przeczucie przywiodło mnie tutaj i z każdą chwilą zyskiwałam większą pewność, że aby rozwiązać zagadkę śmierci Carli, należy wyciągnąć na światło dzienne prawdziwą przyczynę, z powodu której zmarła ekszona Paula. A także odkryć tożsamość niedoszłego kochanka Carli, tego, o którym opowiedziała mi w noc zwierzeń, lubującego się w skórzanych akcesoriach. Jeśli chodzi o drugą część rady Daniela, uspokajałam siebie i jego, powtarzając w duchu, że wcale nie mam zamiaru pytać Paula o cokolwiek ani tym bardziej go oskarżać — powiem po prostu, że przyjechałam po Lily, gdyż w domu zjawiała się Angela i chce pilnie widzieć córkę. Zamienię z nim góra dwa zdania, po czym zabiorę Lily i odwiozę ją do domu.

Chociaż plan był teoretycznie prosty, i tak się panicznie bałam. Zmusiłam się, by wysiąść z samochodu, czując, że nogi mam jak z waty, a tętno nierówne i przyspieszone. Nim ruszyłam dalej, wzięłam kilka głębokich oddechów, gdyż za wszelką cenę chciałam sprawiać normalne wrażenie; naj-

ważniejsze było, żeby Paul niczego się nie domyślił. Musiałam go przekonać — swoim wyglądem i zachowaniem — że nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania, że w dalszym ciągu nic nie wiem ani nie podejrzewam. Wyłącznie wtedy mnie i Lily nic się nie stanie.

Tylko spokojnie — mówiłam sobie idąc w stronę drzwi frontowych. — Jesteś znajomą rodziców Lily. Poprosili cię, żebyś po drodze wpadła do Paula i zabrała Lily do domu. Zabawisz u niego parę minut i za chwilę obie będziecie bezpieczne w twoim samochodzie.

Koło drzwi był przycisk dzwonka, ale kiedy go nacisnęłam, nie rozległ się żaden dźwięk. Zapukałam więc donośnie i niemal natychmiast usłyszałam cienki głosik Lily.

— Paul, ktoś puka. Ja otworzę! — Z ulgą wypuściłam powietrze, bezwiednie wstrzymywane od dłuższej chwili. Być może się myliłam, być może za nagłym pojawieniem się Paula u Janet nie kryło się nic złowróżbnego. Dlaczego zaraz musi stać się najgorsze? Drzwi gwałtownie się otworzyły. — A, to ty — powiedziała bez entuzjazmu, co mnie bynajmniej nie zdziwiło: znałam ją już na tyle, by wiedzieć, że nie ma w zwyczaju ukrywać swych prawdziwych uczuć za maską uprzejmości. Na ramieniu trzymała rudego kociaka, do którego cmokała i szczyrzyła zęby, kiedy jednak jej wzrok padł na mnie, mina jej zrzędła. — Co ty tu robisz?

Z tyłu domu doleciał wysoki męski głos.

— Lily, kto przyszedł?

— To tylko Helen — padła odpowiedź.

— Helen? Przecież powinna być w Londynie. Postanowiłam przejąć inicjatywę.

— Angela przyjechała do domu — zaczęłam starając się, by zarówno moje słowa, jak i ton trafiły do kryjącego się w czeluściach domu mężczyzny, jak i stojącej w progu dziewczynki.

— Nie może się doczekać, by zobaczyć Lily, i dlatego postanowiłam po nią wpaść.

— Jej imię brzmi Angel — burknęła Lily. — Może byś to wreszcie zapamiętała?

— Postaram się — rzekłam ugodowo. — To co, jedziemy?

— Musimy zaczekać na Tygrysa... — poinformowała mnie.

— Paul przeprowadza właśnie zabieg. Wyobraź sobie, że jest jedynym człowiekiem w całej Anglii, który to potrafi! — przyglądała mi się uważnie. — Był na szkoleniu aż w Kalifornii, a leczenie polega na czymś elektromagnetycznym... Chcesz popatrzeć?

— Nie, Lily, nie teraz. Nie ma zbyt wiele czasu.

Nagle w wąskim holu wyrósł Paul.

— Helen, czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Wyłoniwszy się z jednego z tylnych pokoi, wycierał ręce w krwistoczerwony ręcznik, który potem odrzucił na torbę lekarską stojącą na niskim stoliku. Wyciągnął do mnie dłoń, a ja wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w jego odsłonięte przedramiona i cienkie nadgarstki. Niczym robot podniosłam ramię, pozwalając, by jego palce dotknęły moich. Skoro wszystko było w porządku i Lily nic nie

groziło, dlaczego wzdrygnęłam się pod tym dotykiem? Nie miałam czasu, by to roztrząsać. Musiałam zachowywać się normalnie, przywitać się, powiedzieć:

— Witaj, Paul. Przepraszam za najście, ale Angela przysłała mnie po Lily — zdobyłam się nawet na porozumiewawczy uśmiech, mający dać do zrozumienia, że z Angelą nie ma żartów.

— Doprawdy? — odwzajemnił uśmiech, który wydał mi się równie fałszywy jak mój własny. — Ale wiesz, Lily świetnie się bawi — dopiero teraz cofnął swoją dłoń, a ja czym prędzej się odsunęłam. — Prawda, Lily?

Kiedy na nią spojrzałam, chcąc ją telepatycznie ponaglić, zobaczyłam, że wtula twarz w futerko kociaka.

— Ma na imię Iskierka — oznajmiła. — Później zapytam tatusia, czy mogę ją zatrzymać. Iskierka ma brata, który nazywa się Popiołek i jest cały szary, ale tak samo słodki. Wiesz, że oboje zostali przez kogoś podpaleni? Patrz, Iskierka wciąż jest osmalona, o, tutaj... Nikt się nimi wcześniej nie opiekował.

Po raz pierwszy uprzytomniłam sobie, że Lily to jeszcze dziecko. Mimo dwunastu lat, nad wiek poważnego słownictwa i nieskrywanej agresji nadal była małym dzieckiem.

Musiałam reagować stosownie do okoliczności.

— No to może Iskierka pojedzie z nami? Jestem pewna, że gdy Daniel ją zobaczy, zakocha się w niej bez pamięci i pozwoli ci ją zatrzymać. Może się nawet zgodzi, by Paul przywiózł jej brata...

— Och, tak nie można — wtrącił Paul. — Nawet nie zdajesz sobie sprawy, Helen, jaka to poważna decyzja: wziąć odpowiedzialność za zwierzę. Ojciec Lily będzie potrzebował trochę czasu, żeby się nad tym dobrze zastanowić.

— W takim razie musimy go jak najszybciej zapytać — powiedziałam pośpiesznie. — Chodźmy już, Lily... Angel naprawdę nie może się doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczy. Wydaje mi się, że ma dla ciebie jakąś niespodziankę — dodałam bez zastanowienia. — Gdzie twoja kurtka?

Od pewnej chwili rozglądałam się wokół, by zlokalizować wszystkie rzeczy, jakie mogła tu ze sobą przywieźć, jak gdybym potrafiła w ten sposób przyśpieszyć nasze wyjście. Nagle mój wzrok padł na purpurowy ręcznik, spod którego wciąż wystawała skórzana torba lekarska. Była duża, wielkości małej walizki albo sporego tornistra, tyle że bardziej obła w kształcie, cała czarna, z połyskującym metalowym zapięciem na szczycie. Wiele bym dała, żeby dowiedzieć się, co w niej jest — pomyślałam.

Musiałam wpatrywać się w nią o ułamek sekundy za długo, gdyż kiedy podniosłam wzrok, napotkałam uważne spojrzenie Paula. Na twarz wypłynął mu krwisty rumieniec, a powietrze między nami nagle zawibrowało od tajonej wrogości.

— Lily, jesteś gotowa do drogi? — ponowiłam pytanie.

— Po co ten pośpiech? — Paul podszedł do dziewczynki i położył jej dłoń na ramieniu. — Tygrys jest jeszcze w trakcie zabiegu, nie można go ot tak sobie przerwać. Najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli to ja odwiozę Lily do domu, powiedzmy za jakąś godzinę.

— To zły pomysł, Paul. Wiesz, jaka jest Angela. Chce wszystko natychmiast.

Lily wyśliznęła się spod ręki Paula.

— W takim razie — powiedziała z wyraźnym ociąganiem — lepiej będzie, jak pojedę z Helen. Mama może się obrazić, zwłaszcza że przywiozła prezent. Widziałaś co to, Helen?

— Tak, ale pamiętaj, że to ma być niespodzianka, nie wolno mi puścić pary z ust. Na pewno ci się spodoba. No, to zbierajmy się, nie wiadomo, kiedy pogoda znów się pogorszy.

— A co z Tygrysem? — zapytał nagle Paul.

Lily ukucnęła i ostrożnie postawiła kociaka na podłodze.

— Dokończysz zabieg kiedy indziej — zdecydowała.

— Nie gniewaj się, Paul.

— Tak nie można... — Mówił niby do Lily, cały czas patrzył jednak na mnie. — Zabieg jest w kulminacyjnym punkcie, nie wolno go przerywać. To mogłoby zaszkodzić Tygrysowi, bardzo poważnie zaszkodzić — zakończył, zwięźając oczy w szparki.

Całą siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie uciekać wzrokiem w stronę stojącej nieopodal skórzanej torby.

— Daniel może go odebrać jutro rano — zaproponowałam.

— Co?! — wykrzyknęła Lily. — Ależ nie możemy go tutaj zostawić samego!

— A to dlaczego? — Wzrok Paula prześliznął się nad głową Lily. — Nie ufasz mi?

Po plecach przebiegły mi zimne ciarki. Lily pociągnęła nosem.

— Będzie mu smutno samemu — połykała łzy. — Musimy go zabrać ze sobą.

— Nic się nie martw, Lily, pojedzie z nami. Dobrze się nim zajmę. Chyba ci o tym nie mówiłam, ale mam spore doświadczenie w opiece nad chorymi ludźmi, a przecież zwierzęta niewiele się od ludzi różnią... — nadałam swemu głosowi najbardziej przekonujący ton, na jaki potrafiłam się zdobyć. W myśli zaś powtarzałam: No, Lily, rusz się wreszcie! — Położymy go ostrożnie na tylnym siedzeniu i całą drogę będziesz tuż koło niego.

— No dobrze — zgodziła się laskawie.

Paul wciąż patrzył nad jej głową, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

— To bardzo niebezpieczne — oznajmił, a ja wzdrygnęłam się na jego słowa, zastanawiając się, czy mówi o przerwaniu zabiegu Tygrysa czy też o czymś zupełnie innym...

— Ale... — zaczęłam, lecz nie pozwolił mi dokończyć.

Podniósł do góry dłoń, jakby dając do zrozumienia, że ma już dosyć tego przekomarzania się, po czym obwieścił:

— Pojadę z wami i będę miał oko na Tygrysa. Weźmiemy twój samochód, Helen.

— Ale jak potem wrócisz do domu? — zaoponowałam. W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko.

— Nie odmówisz staremu znajomemu podwiezienia, co, Helen? — spytał z niewinną miną.

Zmartwiałam. Sam na sam z Pauliem w samochodzie, w zapadających ciemnościach, z pewnością nie należało do mego pierwotnego planu. A teraz, kiedy podejrzewa, że ja go podejrzewam o związek ze śmiercią Carli... Nie ma mowy! Muszę zabrać stąd Lily i sama też trzymać się z dala od niebezpieczeństwa — główkowałam usilnie, jak się wymigać od jego propozycji, i wreszcie mnie olśniło: Daniel. Kiedy dostarczę Lily całą i zdrową do domu, na miejscu będzie czekał Daniel i już on coś wymyśli. A poza tym zawsze mogę Paulowi obiecać podwiezienie i nie dotrzymać słowa. Najważniejsze, że Daniel mnie zrozumie, w końcu sam nalegał, bym na siebie uważała.

Minęło zaledwie parę uderzeń serca, toteż odpowiedziałam jakby nigdy nic:

— Jasne, że nie. Twój dom i tak jest po drodze.

— No to wszystko ustalone! — Paul niemal zatarł ręce. — Chodź, Lily, pomożesz mi z Tygrysem. Zabieg go pewnie otepił, więc chyba będziemy musieli go nieść...

— Nic nie szkodzi — zapewniła dziewczynka.

Paul posłał w moją stronę spojrzenie i wciąż na mnie patrząc, wziął do prawej ręki czerwony ręcznik, przełożył go do lewej, po czym złapał za rączkę torby lekarskiej. Wreszcie odwrócił się i udał na tył domu, a Lily podreptała posłusznie za nim.

— Przygotuję w samochodzie miejsce dla Tygrysa! — krzyknęłam za nimi.

Na zewnątrz było jeszcze zimniej niż poprzednio. Niebo zakrywały ciężkie ołowiane chmury, zapowiadające ponowne opady śniegu, i tylko na zachodzie widniała smuga światła, w miejscu, gdzie słońce szykowało się do spoczynku. Zerknęłam na zegarek — trzecia z minutami, i zakląłam: nim dojadę do domu Finchów, Daniel pewnie wyjedzie po dzieci, a to oznaczało, że z Pauliem będę musiała uporać się sama. Ani trochę mi się to nie uśmiechało. Powinam jechać tak, żeby spotkać się z Danielem po drodze — pod szkołą, na szosie albo w najgorszym wypadku pod domem.

Wciąż jeszcze nie miałam planu, kiedy Paul zatrzasnął drzwi frontowe i nie zawracał sobie głowy zamykaniem ich na klucz z powodu przelewającego mu się przez ręce Tygrysa, który wydawał się zażenowany całą sytuacją. Lily sunęła za nimi jak cień, z ważną miną dźwigając wielką torbę lekarską. Na szczęście zabrała kurtkę i szalik.

Przytrzymałam tylne drzwi, żeby Paul mógł położyć Tygrysa na rozłożonym przeze mnie kocu. Zauważyłam, że bardzo się stara, by nie urazić zwierzęcia, ruchy miał powolne i delikatne i przez moment zwątpiłam w swoje wcześniejsze podejrzania. Jak mogłam sądzić, że te zgrabne długie palce, te dłonie przynoszące zwierzętom ulgę, byłyby w stanie uderzyć człowieka i odebrać mu życie? Jednakże jeśli to nie był on, to kto?... Spokój ducha, którego doświadczałam od zaledwie kilku godzin, uzależ-

niony był od przekonania, że to nie ja, Daniel czy ktokolwiek inny, ale Paul Waveney zamordował Carlę. Cień wątpliwości i na powrót znalazłam się w koszmarze, niepewna siebie i innych.

Musiałam się dowiedzieć prawdy, bez względu na konsekwencje.

— No już, Tygrysku — zaszcebiotała Lily. — Jeszcze trochę i twoje stare połamane gnaty będą w domu...

Pewnie mi się wydawało, ale pies jakby przewrócił oczyma, kiedy Lily po raz dziesiąty poprawiała na nim koc. Czarna skórzana torba stała na zasypanym śniegiem podejździe, podczas gdy Paul wrócił do drzwi frontowych, by jednak zamknąć je na klucz. Kiedy podchodził z powrotem do samochodu, jego usta się uśmiechały, oczy zaś były zimne jak stal. Nie zmieniając wyrazu twarzy, schylił się i podniósł torbę.

— Lily, usiądź koło Tygrysa — poinstruował. — Ja i Helen siądziemy z przodu.

Choć na dworze było przeraźliwie zimno, a Paul nie miał na sobie płaszcza, na jego czole migotały kropelki potu. Ja z kolei cała drżałam i nawet już siedząc w samochodzie, miałam kłopoty z trafieniem kluczykiem do stacyjki.

— Brrr... — wstrząsnęłam się teatralnie, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że dygoczę z innego powodu. — Ale pogoda!

Paul spojrzał na mnie z ukosa. Siedział skurczony na fotelu pasażera, torbę trzymając na kolanach i obejmując ją troskliwie.

Włączyłam silnik i odczekawszy chwilę, zaczęłam wycofywać z podjazdu, kiedy z tyłu rozległ się krzyk:

— Helen, zaczekaj! Zatrzymaj się! Byłabym zapomniała...

— Co się stało?

— Mój projekt... Zostawiłam go w domu Paula.

— Zabierzesz go kiedy indziej. — Wrzuciłam jedynekę i kurczowo uchwyciłam się kierownicy. Tylko parędziesiąt centymetrów dzieliło mnie od drogi. — Twój ojciec podjedzie jutro do Paula i go zabierze.

— Ale ja muszę go jutro oddać! Pani z plastyki mnie zamorduje, jeśli go nie przyniosę. Zatrzymaj ten cholerny samochód!

— Ale, Lily...

— Przecież nigdzie nam się nie śpieszy, Helen — do rozmowy wtrącił się Paul, kładąc dłoń na kierownicy, tak że jego palce musnęły moje. — Poza tym to zajmie tylko chwilę.

— Tak, tak, masz rację — zatrzymałam samochód wpadając w lekki poślizg. — Trochę się denerwuję, bo nie wiem, jakie będą drogi, a muszę dziś wrócić do Londynu.

— Nic się nie martw — pocieszył mnie. — Jeśli rzeczywiście będzie kiepsko, przenocujesz tutaj. — Na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały. — Czekaj, Lily. Pójdziemy po twój projekt razem, przecież zamknąłem drzwi na klucz...

Chwilę potem byli już w domu, ja zaś siedziałam bez ruchu, nie wypuszczając kierownicy z rąk. W piersi mi waliło. Czy ja naprawdę oszalałam? — pytałam się w duchu. — Czy to możliwe, że ten miły szczupły mężczyzna, który tak dba o zdrowie zwierząt i przejmuje się bzdurnymi projektami nastolatka, dopuścił się haniebnego czynu? Jak mogę wierzyć, że Carla zginęła z ręki człowieka, dla którego opieka nad kotem to poważne zobowiązanie? Moje podejrzenia nie trzymały się kupy!

Opuściłam głowę na kierownicę i wtedy w oko wpadła mi stojąca na podłodze czarna lekarska torba; Paul musiał ją tam postawić wychodząc z samochodu. Jej widok spowodował, że przypomniała mi się poufna rozmowa z Carłą, kiedy w ciepłą noc zwierzałyśmy się sobie nawzajem. Powiedziała mi wtedy, że kiedy „Mark” ją całował w domku znajomych w Walii, zakrył jej oczy ręką, sięgając do czarnej skórzanej torby, z której coś wyciągnął, coś przypominającego kaptur czy maskę, i próbował jej to włożyć na głowę. Nagle zrozumiałam, że to wcale nie był Mark i że rzecz nie działa się w Walii — Carla zmieniła imiona i nazwy nie po raz pierwszy, na tym polegała nasza zabawa: mogliśmy sobie wyznać prawie wszystko, byle w sposób uniemożliwiający zidentyfikowanie prawdy. Teraz ta właśnie prawda uderzyła mnie jak obuchem: Carla mówiła o Paulu i o willi jego ciotki na greckiej wysepce.

Sięgnęłam w dół i złapałam torbę. Na dworze zapadła już zupełna szarówka, więc z zewnątrz nie było widać, co robię, jednakże i tak cały czas rzucałam niespokojne spojrzenia w stronę domu, równocześnie starając się otworzyć dziwne metalowe zapięcie. Po którejś z kolei nieudanej próbie z paniką pomyślałam, że pewnie do torby jest kluczyk, i w ustach mi zaschło — z przerażenia i rozczarowania. Jeszcze raz zerknęłam na drzwi. Zamknięte. Parę chwil wcześniej ponaglałam Lily, żeby znalazła swój projekt jak najszybciej i wróciła do samochodu, teraz błagałam ją w duchu, żeby się nie śpieszyła. Zaczynający znów padać śnieg przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

W przypiływie frustracji złapałam zapięcie obiema rękoma i mocno ścisnęłam. Odskoczyło z głośnym „klik!” Nie odrywając wzroku od wciąż zamkniętych drzwi wejściowych, lewą ręką gmerałam we wnętrzu torby. Palcami wyczuwałam szkło i plastik, buteleczki, kartoniki i strzykawki, gumowe rurki, wreszcie na samym dnie natrafiłam na foliówkę, w której znajdowało się coś płaskiego i miękkiego, jak złożony w kostkę ręcznik czy mała gąbka.

Czym prędzej wydobyłam foliówkę na wierzch, otworzyłam ją i wyjęłam jej zawartość. Na podłokiu wylądował mi ciemny miękki przedmiot, w dotyku przypominający nie nadmuchany balonik. Początkowo myślałam, że to fikuśna portmonetka albo mieszek, ale zaraz rękoma wyczułam otwory, w miejscu gdzie mogłyby się znaleźć czyjeś oczy i usta...

Oblał mnie pot. Zarazem ze strachu i z ulgi.

Tymczasem uchyliły się drzwi frontowe; pierwsza z domu wyłoniła się uśmiechnięta Lily, niosąc coś pod pachą i paplając bez ustanku do Paula, podczas gdy on po raz drugi w ciągu zaledwie paru minut zamykał zamek na klucz. Nie starczyłoby mi czasu, żeby starannie złożyć skórzany kaptur i wsunąć go do foliówki; wrzuciłam więc obie rzeczy oddzielnie, zatrzasnęłam zapięcie, które na szczęście łatwiej się zamykało, niż otwierało, i wyprostowałam się na fotelu.

Położyłam ręce na kierownicy w tej samej chwili, kiedy Paul naciskał klamkę najpierw tylnych, potem przednich drzwi.

— Wskakuj, Lily — ponaglił ją pogodnie, pomagając jej się usadowić koło Tygrysa. Wtedy zauważył stojącą na podłodze przy przednim siedzeniu torbę i twarz wykrzywiła mu się w grymasie niepokoju. Podążyłam za nim wzrokiem i między metalowymi klamrami zapięcia dostrzegłam przytrzaśnięty kawałek folii. Nasze oczy znów się spotkały.

Nie sprawdziwszy nawet, czy Lily siedzi wygodnie, zatrzasnął z impetem drzwi. Przerażliwy wrzask rozdarł powietrze, z rodzaju tych, które wydaje tylko zranione dziecko lub zwierzę.

— O Boże! — Paul, nagle poszarzały na twarzy, szarpnął drzwi i uwolnił dłoń Lily. Dziewczynka, łkając z bólu i szoku, opadła plecami na Tygrysa. — O Boże! Co ja zrobiłem najlepszego!

Paul stał jak słup soli, wstrząśnięty rozmiarem krzywdy, jaką wyrządził niewinnemu dziecku, ja jednak w ułamku sekundy znalazłam się na zewnątrz i gołymi rękoma zbierałam z betonu lodowaty śnieg.

— Lily — otworzyłam drzwi z drugiej strony i podałam jej nad psem garść śniegu — podnieś rękę wysoko, o tak — pomogłam jej położyć dłoń na tylnej półce. Zauważyłam, że palce ma zmasakrowane. Leciało z nich sporo krwi, a jeden czy dwa wydawały się złamane. — Śnieg ukoji ból w dłoni. Musimy ją tylko całą dobrze zakryć...

Lily drżała jak w febrze i najwyraźniej nie rozumiała, co do niej mówię, a nawet chciała wyrwać rękę z mojej. Dwukrotnie musiałam jej powiedzieć, co robię i dlaczego, i kiedy już miała mi pozwolić prowizorycznie opatrzyć sobie zranioną dłoń, spojrzała na nią i na widok zmiądzonych palców dziko wrzasnęła.

— O Boże! — powtórzył Paul. — Pójdę po lód.

— Nie! — zaprotestowałam, po czym ostrożnie zamknęłam tylne drzwi i zajęłam miejsce za kierownicą, od razu włączając silnik. — Nie ma na to czasu. Trzeba ją odwieźć do domu!

— Nie możemy tego zrobić! — darł się, żeby przekrzyczeć wrzaski Lily. Zignorowałam go całkowicie i nie dbając, że koła mogą stracić przyczepność, ruszyłam do przodu, jedną ręką sięgając do drzwi pasażera, aby je zamknąć. Zanim mi się to jednak udało, Paul uchwycił się ich mocno i mimo że samochód zaczynał nabierać prędkości, wgramolił się do środka. — Skręć w lewo! — krzyknął, kiedy zjeżdżałam na drogę. — Zawieziemy ją do szpitala.

Lily zawodziła i jęczała na przemian.

— Jedziemy prosto do domu — skręciłam w prawo dla poparcia swoich słów.

— Jedź szybciej! — przynaglał mnie Paul. — O Boże! Co ja najlepszego zrobiłem. Biedne dziecko! Nie mogę tego znieść!

— Nie mogę jechać szybciej! Drogi są oblodzone.

Nachylałam się nad kierownicą, wpatrując się w mrok i wirujące w świetle reflektorów śnieżynki, za wszelką cenę starając się nie słyszeć płaczu Lily. Wiedziałam, że muszę ją dowieźć do domu, gdzie ktoś udzieli jej właściwej pomocy.

— Jej dłoń jest zupełnie strzaskana... — Paul był naprawdę przejęty. — Wprost nie mogę uwierzyć, że to przeze mnie. Ona musi trafić do szpitala.

— Nie!!

— Jak możesz być aż tak nieczuła?

— Wiem, co robię.

Paul zakrył uszy rękoma i kiwając się w tył i w przód, prosił:

— Przestań! Przestań płakać! Nie zniosę tego dłużej!

Czułam ostry zapach jego potu.

— Paul, weź się w garść! Nie pomożesz Lily, jeśli i ty zaczniesz histeryzować.

— Właśnie, muszę jej pomóc — bełkotał.

Tygrys zaczął wyć do wtóru. Od tego hałasu pękały mi bębenki.

— Trzymaj się, Lily — powiedziałam głośno, żeby mnie usłyszała. — Jeszcze góra dziesięć minut i będziemy w domu. Dostaniesz coś przeciwbólowego.

W odpowiedzi Lily zaczęła płakać jeszcze rozpaczliwiej.

— Dziesięć minut! — Paul był przerażony. — Ona nie wytrzyma dziesięciu minut! — Odwrócił się do tyłu i zaczął mówić wprost do niej: — To był wypadek, Lily. Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy, musisz mi uwierzyć. Dlaczego tak na mnie patrzysz? O co ci chodzi?

— Paul, przestań krzyczeć. Ona się ciebie boi.

— Och, Helen, zrób coś, żeby ona przestała na mnie patrzeć. Ja tego nie zniosę...

— Zawsze możesz wysiąść z samochodu — zauważyłam przytomnie.

— O Boże! Tak mi przykro... Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Znów się odwrócił, nie panując nad swymi ruchami, i potracił mnie, tak że niemal zjechałam z drogi.

— Uważaj! — wrzasnęłam na niego. — Wiercisz się i wiercisz!

Paul jednak nie zwracał na mnie uwagi. Wciąż mamrotał pod nosem, błagając Lily o wybaczenie.

— Boże, Lily. Naprawdę mi przykro. Przepraszam cię. Nie widziałem twojej ręki, to był wypadek, nic nie mogłem zrobić... Nie patrz tak na mnie, proszę. To nie moja wina! — Nagle jego głos stał

się donośniejszy, już nie był proszący, ale pełen złości. — Czemu się tak na mnie gapisz? Mówię ci przecież, że nic nie mogłem na to poradzić. Nie zniosę tego dłużej!...

— Paul, na litość boską — próbowałam przemówić mu do rozsądku. — Dziecko jest w szoku, nie ma się czemu dziwić. Daj jej spokój, nie pogarszaj sytuacji!

Lily wpadła w histerię, płakała i krzyczała na przemian — z bólu i strachu przed Paulem.

— Przestań! — Paul zmienił pozycję, tak że klęczał na siedzeniu pasażera, rękoma sięgając na tylne siedzenie. — Słyszysz, co do ciebie mówię? Masz natychmiast przestać! Przestań! Przestań!! Przestań!!!

W pewnej chwili przelazł przez siedzenie, tylko nogi miał na fotelu, i nagle zapadła cisza. Która była o wiele gorsza od wcześniejszych krzyków.

— Coś ty jej zrobił?! — zwolniłam pedał gazu i obejrzałam się do tyłu.

Paul trzymał obie ręce wyciągnięte daleko przed siebie i zakrywał nimi twarz Lily. Widziałam tylko jej czoło i brodę; oczy, nos i usta miała całkowicie zasłonięte. Wróciłam spojrzeniem na drogę i w tej samej chwili usłyszałam kolejny wrzask. Paul szarpnął się do tyłu, przeklinając.

— Ugryzła mnie! — obrócił się twarzą do mnie. — Widziałaś, co ta mała bestia zrobiła? Ugryzła mnie w rękę!

Lily także krzyczała, głośniejsze niż kiedykolwiek przedtem, a jej histeria była zupełnie nie do opanowania.

Musisz zawieźć ją do domu — powtarzałam sobie. — Skoncentruj się na jeździe. Równocześnie modliłam się, żeby Daniel był w domu.

— Już wiem... — Paul również wydawał mi się na skraju hysterii. To co mówił, nie miało wiele sensu. — Wiem, jak ją uciszyć. Jak przerwać ten nieustanny krzyk. Muszę to zrobić, bo nie mogę tego wytrzymać.

Rzuciłam spojrzenie w bok i dostrzegłam, że nagle na kolanach Paula pojawiła się jego torba. Już gmerał przy jej zapięciu, kiedy puściłam jedną ręką kierownicę i zrzuciłam ją na podłogę.

— Nawet o tym nie myśl, Paul. Lily to nie jakiś zwierzak. Byliśmy półtora kilometra od miasteczka.

Paul jakby nie zauważył tego, co zrobiłam. Po prostu nachylił się i ponownie podniósł torbę, cały czas mamrocząc do siebie.

— Trzeba ją uciszyć. Wiem, jak to zrobić. Nie będzie więcej hałasu. Zapanuje spokój. Zakryję jej też oczy. — Znowu uklęknął i przez oparcie fotela zaczął macać po omacku tylne siedzenie. Krzyk Lily wzmógł się na sile. Paul ryknął: — Uspokój się, ty dziwko! To nie będzie bolało!

— O mój Boże! — dołączyłam do ogólnego harmideru.

Zahamowałam gwałtownie. Zorientowałam się, mimo ciemności, że jesteśmy niecałe pół kilometra od krzyżówki wiodącej do domu Finchów. Przekręciłam się na fotelu i sięgnawszy ręką, otwo-

rzyłam tylne drzwi. Zaświeciła się sufitowa lampka, wydobywając z mroku wykrzywioną przerażeniem twarz Lily. Oczy miała pociemniałe od płaczu i szoku. Paul złapał ją za włosy i ciągnął do siebie, a ona wiła się i miotła, starając się uwolnić z jego uchwytu.

— Przestań, Paul! — nakazałam mu.

— Ale ona na mnie patrzy!

— Masz bzika!

W tym momencie Lily znów krzyknęła i zaczęła szlochać.

— Ona musi przestać!

Robiłam co mogłam, żeby go od niej odepchnąć, ale Paul nie ustępował mi siłą. Waliłam go dłońmi po ramionach, żeby ją puścił, a on opędzał się ode mnie i łapał mnie za nadgarstki. Lily patrzyła na nas oboje, zafascynowana i przerażona jednocześnie, i przez te parę chwil nie pamiętała o bólu.

Wykorzystałam swoją szansę. Oswobodziwszy rękę z uchwytu Paula, nakryłam jego twarz dłonią i odpychając go od siebie, zawołałam:

— Lily, wysiadaj! Teraz. Jesteśmy prawie w domu. Paul jest szalony, nie pozwól mu się dotknąć! Wysiadaj i biegnij ile sił w nogach! — Zebrała się w sobie, żeby protestować, a może na nowo wybuchnąć płaczem, ja wszakże nie dałam jej dojść do słowa. — No, Lily, już. Pędem!

Otrząsnęła się i przełknęła ciężko ślinę, po czym przebiegła wzrokiem od mojej twarzy do miejsca, gdzie powinna się znajdować twarz Paula, gdybym jej nie zasłaniała ręką, która nawiasem mówiąc już mi słabła, i z powrotem, po czym podjąwszy nagle decyzję, przelazła przez opatulonego kocem Tygrysa i dała nurka w ciemność.

Widziałam, jak upada, podpierając się zdrową dłonią wstaje i już się zbiera do biegu, kiedy nagle odwróciła się i zawyła:

— Tygrys!

— Biegnij do domu, Lily!

Zawahała się. Serce mi się ścisnęło, że muszę ją zostawić samą w takim miejscu, niemniej sięgnęłam do klamki i pociągnęłam drzwi, żeby je zatrzaskać, odcinając jej drogę powrotną.

— Pójdę z nią, uciszę ją! — Paul oswobodził twarz z mojej dłoni, okręcił się na kolanach i zaczął macać w poszukiwaniu klamki swoich drzwi.

— Nie! — krzyknęłam, ruszając z piskiem opon.

Tak jak podejrzewałam, nie odważył się wyskoczyć z jadącego samochodu, i dobrze, gdyż najważniejsze było odciągnąć go od Lily. Wrzuciłam wsteczny bieg, zrezygnowałam, zawróciłam na śliskiej wąskiej drodze i pojechałam w stronę, z której przed chwilą przyjechaliśmy.

— Dokąd jedziesz?

— Odwożę cię do domu.

— A Lily?

— Jej rodzice się nią zaopiekują.

— O Boże — po raz setny westchnął Paul, kuląc się przy drzwiach.

Po wcześniejszym pandemonium teraz w samochodzie panowała nieznośna cisza. Na zewnątrz też było spokojnie, bo choć jechaliśmy główną drogą, ruch uliczny zamarł z powodu śniegu. Oczywiście, że wolałabym znaleźć się na ruchliwej, dobrze oświetlonej ulicy, po której ciągnęłyby sznury samochodów, a na chodnikach spacerowałyby przechodnie. Na tym odludziu nikt nie mógł mi pomóc. Wokół rozpościerały się egipskie ciemności, które nagle przecięły silne światła ciężarówki. W tej krótkiej chwili, zanim nas minęła, zauważyłam, że Paul przygląda mi się z natężeniem, lekko pieszcząc dłońmi skórzany kaptur, którego nie wypuścił z rąk.

Nagle powiedział:

— Nie potrafię znieść widoku cierpienia.

— Lily nic nie będzie.

— Ale patrzyła na mnie, jakby...

— Do wesela się zagoi.

— Twoim zdaniem zrobiłem to specjalnie.

— To był nieszczęśliwy wypadek.

Po tej dziwnej wymianie zdań zapanowało milczenie. Zbliżaliśmy się do skrzyżowania, na którym powinnam skrócić w stronę domu Paula.

— Skręć tutaj w lewo — usłyszałam. Zamiast wykonać ruch kierownicą, docisnęłam pedał gazu i zmieniłam bieg na wyższy.

— Hej! — krzyknął zdumiony, wykręcając szyję, żeby zobaczyć, jak droga wiodąca do jego domu znika w tyle za nami. Wkrótce po obu stronach szosy ciągnęły się puste pola upstrzone łątami śniegu, niknące w ciemności wieczoru. Tęskniłam do światła. Do światła, ludzi i sklepów. Ciekawe, jak daleko jest najbliższe miasto, pomyślałam. I czy jest w nim posterunek policji? Albo chociaż szpital? Albo warsztat samochodowy otwarty do późna czy całodobowy minimarket? Cokolwiek, jakiegokolwiek miejsce, przy którym mogłabym się zatrzymać i mieć pewność, że ktoś mnie wreszcie widzi.

— Zatrzymaj się tutaj. O, tu jest wystarczająco szeroko, żebyś zawróciła. — Nie zmieniając prędkości minęłam kolejną drogę odgałęziającą się donikąd. — Przegapiłaś! — poskarżył się. — Co się z tobą dzieje? Poza tym prowadzisz za szybko. Przed chwilą widziałem znak parkingu, zatrzymamy się tam. Cholera, Helen, przecież powiedziałem ci, żebyś zwolniła.

— Spieszę się po coś.

— Po co?

— To nie ma znaczenia.

— O czym ty, do licha, mówisz? Masz natychmiast zwolnić, słyszysz?

— Nie.

— Co znaczy: nie?

Na to nie potrafiłam udzielić odpowiedzi. Paul także zamilkł, nie przestawał się jednak bawić leżącym mu na kolanach kawałkiem skóry, który przy każdym poruszeniu wydzieliał dziwny zapach.

— Co robisz? — wskazałam gestem jego dłoń.

Tym razem to on zignorował moje pytanie, nie zaniechał jednak nerwowych ruchów. Nachyliłam się do przodu i wysiliłam wzrok w poszukiwaniu najdrobniejszego i choćby najbardziej odległego źródła światła: urządziłby mnie nawet nadjeżdżający z naprzeciwka samochód, o farmie nie wspominając. Cokolwiek, byle nie ta czarna pustka. Nie znałam tej drogi, nigdy jeżdżąc po tutejszej okolicy nie znajdowałam się tak długo na odkrytym terenie, bez ani jednego drzewa. Poczułam, jak ogarnia mnie panika: czyżbym w zdenerwowaniu pomyliła skrzyżowania i zamiast w głąb łądu i do jakiegoś miasta zmierzała w kierunku opustoszałych bagien ciągnących się w stronę morza? Dłonie mi spotniały.

— Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić, wiesz? — oznajmił Paul cicho. — Chciałem tylko zakryć jej oczy. Nikt nie może tak na mnie patrzeć, widok cierpienia jest ponad moje siły. A z tymi drzwiami to był naprawdę wypadek. Później pragnąłem tylko sprawić, żeby przestała cierpieć... — Poprawił się na fotelu i choć nie mogliśmy sobie patrzeć prosto w oczy, odwrócił się do mnie, zanim podjął. Jedną nogę podkurczył pod siebie, wygiął w moją stronę tułów i znalazł się tak blisko, że trzymany przez niego skórzany kaptur muskał mnie w ramię. — Zauważyłaś kiedy, Helen, jacy spokojni są ludzie po śmierci? Zresztą zwierzęta także. Najpiękniejszy jest moment, gdy wreszcie przestają walczyć, poddają się i odnajdują ukojenie... Zawsze jestem dumny, jak uda mi się im w tym dopomóc. Mało kto mnie jednak rozumie. Och, ten i ów jest wyrozumiały, jeśli chodzi o zwierzęta, mówi się nawet o tym, że usypiając psa czy kota można ulżyć ich doli, nikt wszakże nie stosuje tej samej zasady w stosunku do ludzi. To niesprawiedliwe. A przecież tak samo jest to akt łaski. I w ogóle nie boli... — Urwał, łapczywie chwytając powietrze. Był wyraźnie podniecony, z twarzy, gdy rzuciłam mu szybkie spojrzenie, wyzierało mu napięcie, jakby się nie mógł czegoś doczekać. Nagle uniósł dłoń z kapturem. — Zwolnij — nakazał. — Trzeba go wypróbować na tobie.

— Nie!

— Zwolnij, mówię!

— Dlaczego, Paul? — Przed sobą widziałam majaczące światła i ten widok dodał mi odwagi.

— Dlaczego zamordowałaś Carłę?

— Powiedziała ci o wszystkim, prawda? Wiedziałem, że prędzej czy później komuś o tym opowie. Śmierć Sylwii była nieszczęśliwym wypadkiem, ale i tak było w niej wiele piękna. Żałuj, że nie widziałas jej twarzy... — rozmarzył się. — Tchnął z niej taki spokój, że aż się popłakałem. Ludzie boją się śmierci, a nie powinni, bo to jak przejście przez wąskie drzwi do wspaniałego ogrodu. Zresztą sama zobaczysz, musisz mi tylko zaufać, Helen.

Czubkami palców dotknął mojego policzka. Przy następnym oddechu wciągnęłam zapach skóry i czegoś jeszcze, czegoś kwaśnego i jakby rozkładającego się... Złapał mnie z tyłu za głowę, zaczął napierać na mnie całym ciałem. Niewiele myśląc wcisnęłam hamulec do oporu i energicznie strząsnęłam Paula z siebie. W którymś momencie kierownica wysliznęła mi się ze spoconych rąk i samochodem zarzuciło. Światła nadjeżdżających aut pojawiały się nie z przodu, lecz z boku, kiedy sunęliśmy w stronę pobocza i dalej do rowu. Paul zaklął siarczyście, kiedy siła odśrodkowa rzuciła nim o drzwi, i chwilę potem jeszcze raz, dosadniej, gdy całym swoim ciężarem przygniotłam jego twarz do szyby. Na policzku poczułam dotyk ohydnej, śmierdzącej skóry, lecz nie mogłam nic na to poradzić, gdyż samochód właśnie zaczął koziołkować i dopiero po nieskończonej długiej chwili zatrzymał się w miejscu, lądując na boku. Byłam uwięziona pomiędzy kolumną kierownicy a drzwiami, a do tego przygniatało mnie ciało Paula.

— Kurwa, kurwa — mamrotał, starając się przybrać wygodniejszą pozycję, wrażając mi łokieć w oko, palec w usta, dłoń w zgięcie szyi. W tle szumiał silnik i Tygrys skomlał ze strachu, ale nie mogłam nic poradzić ani na jedno, ani na drugie, ponieważ nie potrafiłam się ruszyć, ściśnięta między Paulem i powyginanym metalem.

— Nic nie widzę — sapał. — Nie widzę!

Kolanem przygniół mi zebra, kiedy próbował otworzyć drzwi pasażera, które z racji ustawienia wozu znajdowały się nad nami. Wreszcie udało mu się je uchylić i jakimś cudem zaświeciła się lampka sufitowa, będąca teraz lampką boczną, a ja w mgnieniu oka zrozumiałam, dlaczego Paul skarżył się na ślepotę. Przez czoło, tuż nad brwiami, biegła mu olbrzymia, ziejąca rana (musiał się nadziać na szkło z lusterka wstecznego) i krew zalewała mu oczy.

— Jestem ślepy. Przez jakąś głupią kurwę. Muszę się stąd wydostać — bełkotał.

Napiął wszystkie mięśnie i wypchnął drzwi na zewnątrz, i natychmiast zaczął się do nich podciągać. Obcasem zgniół mi ucho, ale i tak wciąż słyszałam rozpaczliwe skowytanie Tygrysa. Owionęło mnie mroźne powietrze i parę płatków śniegu osiadło mi na twarzy, tak że natychmiast otrzeźwiałam zdając sobie sprawę z grozy sytuacji. Nie byłam w stanie się ruszyć. Znajdowałam się w kupie złomu. Gdzieś niedaleko mnie wyciekała benzyna. A ja nie mogłam nawet wyłączyć silnika! Wystarczy iskra i spłonę tutaj żywcem — pomyślałam. — O mój Boże, pomóż mi, wyciągnij mnie stąd...

Zaczęłam się rzucać, lecz zaraz uświadomiłam sobie, że jestem uwięziona w kilku punktach. Ręce. Kolana. I nic co robiłam, nie mogło mnie oswobodzić.

— Pomocy! — krzyknęłam. — Na pomoc!!

Wykręciłam szyję, żeby zobaczyć, gdzie podział się Paul.

Z początku trudno mi się było zorientować, gdyż wszystko znajdowało się nie na swoim miejscu. Potem oślepiły mnie światła wielkiej ciężarówki, jadącej wprost na nas. Była cała ustrojona kolorowymi lampkami jak ciuchcia w wesołym miasteczku i wyjechała wprost z czarnego nieba. Wreszcie

dostrzegłam sylwetkę mężczyzny, oświetloną od tyłu potężnymi reflektorami, który chwiał się i zataczał, jakby był pijany jak szewc, zaskoczony jak królik na drodze bądź kompletnie ślepy. Pewnie na czworakach wygramolił się z rowu, do którego wpadliśmy, i wyglądało na to, że zamierza przejść na drugą stronę drogi, wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. Krzyknęłam, by go ostrzec, lecz nim wydobyłam z gardła dźwięk, który bardziej przypominał charkot, ciemna sylwetka, delikatna i lekka niczym marionetka, wyrzuciła ręce w górę w tym samym momencie, kiedy olbrzymia rozpędzona masa światła nieubłaganie się do niej zbliżała. Ułamki mikrosekundy później ktoś poderwał niewidzialne sznurki i marionetka zatańczyła, podskoczyła przecięta oślepiającym promieniem i wisząc w powietrzu, zniknęła. Rozpłynęła się w mroku. Zapiszczały hamulce, zawył klakson i rozległ się głuchy odgłos, taki jak wtedy, gdy ciało uderza o metal.

Uderzenie musiało być tylko jedno, lecz ja słyszałam ten odgłos wciąż i wciąż, jakby był powtarzany raz za razem.

Plask.

Plask.

Plask.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W izbie przyjęć powiedziano mi, że wyjątkowa ze mnie szczęściara, a ja nie miałam sumienia wyprowadzać z błędu przemilego i kompetentnego personelu, który nie mógł przecież wiedzieć, że minione pół roku spędziłam w przeświadczeniu, iż jestem morderczynią. Nikt oprócz mnie nie wiedział, jaką cenę zapłaciłam za przeżyty na greckiej wyspie koszmar — a była nią utrata własnej osobowości, dobrze zapowiadającej się kariery i wszystkich bliskich mi osób. Postrzegano mnie po prostu jako niedoszłą ofiarę wypadku samochodowego, która o mały włos straciłaby życie, kiedy jej samochód wpadł w poślizg i wypadł z drogi, kilkakrotnie koziołkując w dół zbocza, cudem przy tym nie wybuchając. Kręcono nade mną głowami, jakie to miałam szczęście, że wjechałam do rowu, a nie na przeciwległy pas ruchu, gdzie niechybnie doszłoby do kolizji czołowej, w której zginęłabym i ja, i Paul...

Może jednak to oni mieli rację, może faktycznie los uśmiechnął się do mnie, oślepiając Paula. Gdyby był widział, toby nie wszedł pod koła rozpędzonej ciężarówki, ale z pewnością dokończyłby swego dzieła... Skórzany kaptur nie ucierpiał w wypadku, w przeciwieństwie do mnie — zaklinowanej pomiędzy pociętymi drzwiami a kolumną kierownicy. Właściwie byłam na jego łasce i niełasce i tylko temu, że panicznie się wystraszył i za wszelką cenę chciał wydostać się z samochodu, zawdzięczam życie. Zostawił mnie samą we wraku, dał się przejechać i dopiero zszokowany kierowca ciężarówki wezwał pogotowie. Czekaając, aż przyjedzie ekipa z potrzebnym sprzętem, mającym mnie uwolnić z

potrzasku, popadłam w otępienie — zarówno z powodu szoku, jak i niskiej temperatury — i nie wiedziałam, czy jest mi po prostu zimno, czy może umieram, czy też mam przetrącony kręgosłup i dlatego nic nie czuję, i już nigdy nie poczuję.

Przez cały ten czas śnieg padał nieprzerwanie, pokrywając białą warstwą karoserię i wnętrze samochodu, mnie samą, trawę rosnącą w rowie i znajdującą się na wyciągnięcie ręki, gdybym tylko potrafiła nią ruszyć, na kitle sanitariuszy i ramiona skulonego przy szoferce ciężarówki niemłodego mężczyzny, który nie przestawał wykrzykiwać: „Nic nie mogłem poradzić! On wylazł mi wprost pod koła!”, co w ogólnym rozgardiaszu było niemal niezrozumiałe i równie dobrze mogło zostać wypowiedziane po grecku.

Jeden z ambulansów ruszył, gdy wciąż tkwiłam uwięziona jak sardynka w puszcze.

— Dlaczego on odjeżdża? — zawołałam. — Zabiera Paula do szpitala?

Jakaś kobieta w odblaskowożółtym kasku nachyliła się nade mną i z miejscowym akcentem powiedziała uspokajająco:

— Tylko się nie denerwuj, kochanie. Twój przyjaciel niestety nie przeżył wypadku...

O czym ona mówi? — pomyślałam. — Jaki przyjaciel? Kilka chwil trwało, nim zrozumiałam. Paul.

— To nie był mój przyjaciel — poinformowałam ją. — Próbował mnie zabić!

Żółty Kask wymienił szybkie spojrzenie z Białym Kitem. No tak, oczywiście uznali, że mającą, ale ich priorytetem było dopilnować, bym zachowywała się spokojnie do momentu, w którym wreszcie ktoś mnie uwolni, i dlatego puścili moją dziwną uwagę mimo uszu. Równie dobrze mogli się nie kłopotać: dowiedziawszy się, że Paul nie żyje, poczułam nieziemski spokój. Nagle wszystko było proste. Choć nie mogłam się poruszyć, wiedziałam, że otaczający mnie dobrzy ludzie zajmą się mną troskliwie, pomogą mi się stąd wydostać, podejmą właściwe decyzje i zawiadomią kogo trzeba, wreszcie odwiozą mnie do szpitala, gdzie zostanę wyleczona. Nie musiałam się już ukrywać, uciekać, wątpić w samą siebie. Koniec — pomyślałam. — To już naprawdę koniec... Nie ja zabiłam Carlę. Daniel także tego nie uczynił. Zrobiło mi się lekko na duszy, choć moje ciało tkwiło w prawie tonowej kupie metalu.

W euforycznym stanie pozostałam jeszcze, kiedy pakowano mnie na nosze i włączywszy syrenę odwożono do szpitala. Pod grubą warstwą koców odzyskiwałam czucie w kończynach, a to oznaczało ból. Ból tak silny, że wyparł wcześniejsze uniesienie. Za wszelką cenę starałam się zachować przytomność i gdy wieziono mnie na izbę przyjęć, przed drzwiami szpitala zauważyłam znajomo wyglądający samochód. Daniel. Moja pierwsza myśl była taka, że dowiedział się o wypadku i przyjechał mnie zobaczyć, lecz natychmiast wyparła ją druga: Lily potrzebowała pomocy lekarskiej. Tak czy inaczej zaraz go zobaczę — cieszyłam się.

— Proszę powiedzieć Danielowi Finchowi, że mnie przywieziono — zwróciłam się do sanitariusza pchającego nosze.

— To ktoś z personelu?

— Jego samochód tam stoi — skinęłam głową, co przypłaciłam spazmem bólu.

— Proszę się nie nadwerężać, zajmiemy się wszystkim w swoim czasie. Na razie musimy panią przebadać.

— Ale Daniel... — nie ustępowałam.

— Pani rodzina zostanie poinformowana tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Ale on jest tutaj, do cholery!

Idący przy moim wezglowiu Żółty Kask ponownie rzucił sanitariuszowi konspiracyjne spojrzenie.

— No, no — zacmokała jak do niemowlęcia, klepiąc mnie po dłoni. — Wszystko będzie dobrze.

Nosze zatrzymały się dopiero za zieloną zasłonką, otaczającą specjalnie wydzieloną ciasną część izby przyjęć. To tam po raz pierwszy usłyszałam, że jestem szczęściarą. Nie miałam ani jednej złamanej kości, żadnego uszkodzonego narządu wewnętrznego, tylko parę stłuczeń, skaleczeń i siniaków i być może naciągnięte ścięgna szyi. Tam też dowiedziałam się, jak mało szczęścia miał Paul, jeśli za szczęście w ogóle można poczytać to, że zginął na miejscu.

— Nie zdążył nic poczuć — oznajmiła młoda pielęgniarka, która przyniosła mi gorącą herbatę i bez przerwy poprawiała okrywający mnie koc.

Tym razem trzymałam język za zębami i nie podzieliłam się informacją, że moje współczucie dla Paula jest z oczywistych względów przytępione, jako że tuż przed wypadkiem próbował mnie ku swej uciezce zabić. Po co miałam się zdradzać, zwłaszcza że wykluczono możliwość wstrząśnienia mózgu.

Nikt z postronnych nie zrozumie, przez co przeszłam; mogłam liczyć wyłącznie na Daniela. Gdzież on się, do diabła, podziewa?! — piekliłam się w duchu czując, jak narasta we mnie pragnienie, by z nim porozmawiać, kiedy tak siedziałam opatulona kocem i z filiżanką w dłoni, sama jak palec, gdyż dobrotliwa pielęgniarka gdzieś sobie poszła. Zza zielonej zasłonki dochodziły typowe dla izby przyjęć odgłosy: rozziewający płacz małego dziecka, niewyszukane przekleństwa pijaka... Wyteżałam uszy, lecz mimo to Daniela ani Lily nie słyszałam. Być może pojechali już do domu — zmartwiłam się — albo są w innym pomieszczeniu i nie mają jak się dowiedzieć, że mnie tu przywieziono.

Właśnie próbowałam, ignorując przyprawiający o mdłości ból, przerzucić stopy na ziemię, żeby dać drapak z zielonej namiotowej celi, kiedy w zasłonce pojawiła się szpara, a w niej głowa Daniela.

— Chryste, Helen! Co się stało? Nic ci nie jest? — patrzył na mnie poważnym, uroczystym wzrokiem.

Z ulgą zaniechałam prób ucieczki i opadłam na poduszki.

— Chyba nie — odparłam. — Tak przynajmniej wszyscy mi mówią.

— Bogu niech będą dzięki. — Podeszedł do mojego łóżka, starannie zasunąwszy zasłonkę.

— Zobaczyłam twój samochód przed wejściem i miałam zamiar cię poszukać.

— Lily wciąż tu jest... Po drodze widzieliśmy wypadek, ale nawet do głowy mi nie przyszło, że to ty...

— Jak ona się czuje? — przerwałam mu.

— Jest bardzo wstrząśnięta. Ma trzy złamane palce i mnóstwo sińców i otarć. Wygląda to koszmarnie i strasznie ją boli, ale wyliże się z tego.

— Wiem, że to okropne, że tak ją zostawiłam na drodze, ale musiałam ją odseparować od Paula. Wpadł w szal... — Przypomniałam sobie jego słowa: „Trzeba ją uciszyć. Wiem, jak to zrobić... Zakryję jej też oczy” i „Nikt nie może tak na mnie patrzeć”. — Wyobrażam sobie, że napędził jej niezłego stracha. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Przestań, Helen. Jesteś ostatnią osobą, która powinna za coś przepraszać. — Przysiadł na brzegu łóżka. — Zdaje się, że uratowałaś życie mojej córki.

— Biedactwo, naprawdę wiele przeszła. Daniel pokiwał głową.

— Wciąż jest w szoku. Cieszymy się, że nie doszło do niczego gorszego... — urwał i popatrzył na mnie. — Helen, wyszedłem od niej tylko na chwilę, obiecałem, że zaraz zabiorę ją do domu. Powiedz w paru słowach, co się stało.

Zdałam możliwie suchą i krótką relację. Oczywiście wspomniałam o skórzanym kapturze i o tym, że moim zdaniem należy go połączyć ze śmiercią Sylwii i z wydarzeniem, o którym opowiedziała mi Carla, a które rzekomo rozegrało się w Walii.

— Zaplanował sobie wszystko tak, by podejrzenia padły na ciebie — wyjaśniałam. — To dlatego wstrzymał się z atakiem do czasu, kiedy ty przyleciałaś na wyspę. Z drugiej strony ani na chwilę nie przestał się obawiać, że Carla zwierzyła się komuś, mnie na przykład, toteż gdy w ostatnim momencie nadarzyła mu się sposobność, by zwalić winę na mnie, skwapliwie z niej skorzystał.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę myślałaś, że to ty zabiłaś Carłę.

Pokiwałam smutno głową.

— Ale tak właśnie było. Dopiero Caddie uzmysłowił mi parę faktów...

— Cud, że nie postradałaś zmysłów, Helen. Zastanowiłam się nad jego słowami.

— Kto wie, czy tak się właśnie nie stało... przynajmniej w pewnym sensie.

Daniel ujął mnie za obandażowaną rękę.

— Chciałbym cię przytulić — powiedział — ale boję się, że cię gdzieś urażę.

Poczułam dławiący ucisk w piersi — mieszaninę wzruszenia, nadziei, obawy, miłości i fizycznego bólu.

— Faktycznie, lepiej mnie nie dotykaj.

Przez długą chwilę milczeliśmy; Daniel wciąż trzymał moją rękę, wpatrywał się w śnieżnobiały opatrunek i nad czymś rozmyślał. Nagle, jakby podjął decyzję, delikatnie położył moją dłoń na kocu, mówiąc:

— Dzwoniłem już do Janet i obiecała, że po ciebie przyjedzie i zabierze do siebie. Wydaje mi się, że tak będzie lepiej, na pewno wolisz unikać Angeli, póki tu jest. Jutro zaś...

— Jutro wracam do Londynu — wpadłam mu w słowo.

— Mam wiele do zrobienia.

— Pewnie tak — skinął głową i spojrzał na mnie uważnie.

— Helen...

— Tak?

— Przepraszam. Uwierz mi, wolałbym cię nie zostawiać samej, ale Lily mnie potrzebuje i nie mogę jej zawieść — wpatrywał się w moją twarz, szukając na niej oznak wybaczenia.

— Rozumiesz to, prawda?

— Tak, Daniel — powiedziałam matowym głosem. — Doskonale to rozumiem.

— Mogę cię chociaż pocałować, zanim wyjdę?

— Nie. Nie teraz... — Miałam na myśli: nigdy. Wstał z ociąganiem i podszedł do wyjścia.

— No to do widzenia, Helen. Będziemy w kontakcie.

— Do widzenia, Daniel. — Chociaż się pożegnaliśmy i nie było nic więcej do dodania, Daniel nie wychodził. Twarz miał zapadniętą w sobie i pokreśloną zmarszczkami zmęczenia, tak że nie miałam sumienia się nań gniewać, choć Bóg mi świadkiem, że nie brakowało mi powodów do gniewu. Większość z nich wiązała się z głodem, który we mnie rozbudził i który tylko on mógł zaspokoić, cóż z tego jednak, skoro właśnie mnie zostawiał. Nie mogłam o tym myśleć, jeśli nie chciałam się przed nim rozplakać. — Do widzenia, Daniel — powtórzyłam.

Zagrzechotały żabki, zasłonka została rozsunięta na całą szerokość i przy. łóżku pojawiła się uśmiechnięta starszawa pielęgniarka, oznajmiając:

— Dzwoniła pani przyjaciółka. Już po panią jedzie.

— To dobrze — powiedziałam bezbarwnie, przemykając wzrokiem po pielęgniarce w poszukiwaniu Daniela. Zobaczyłam tylko jego plecy, kiedy szybkim krokiem przemierzał korytarz idąc do Lily. Patrzyłam za nim tak długo, aż zginął mi z oczu w tłumie ludzi kłębiącym się na ostrym dyżurze.

Pielęgniarka zajrzała do jakichś papierów, wzięła ode mnie pustą filiżankę i poprawiając wolną ręką koc, zapytała:

— Czy to pani jest tą szczęściarą z dzisiejszej kraksy?

Wciąż patrzyłam w miejsce, gdzie Daniel zniknął mi z oczu, i pod powiekami szczypało mnie od wzbierających łez. Z piersi wydobył mi się ni to szloch, ni to śmiech i w tamtej chwili sama nie wiedziałam, czy się śmieję czy płaczę. Zapewne robiłam jedno i drugie.

— Czy ja wiem? — Wreszcie pożegnałam się na dobre z winą i wyrzutami sumienia. Niestety utraciłam też Daniela. — To się dopiero okaże.

W samotności oczekiwałam przyjazdu Janet i kiedy się wreszcie zjawiała, zaróżowiona od mrozu, wstrząśnięta i podekscytowana, gotowa wysłuchać całej historii z pierwszej ręki, byłam na powrót spokojna i opanowana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Londyn od wielu dni dusił się w letnim upale.

Po zakończeniu ostatniej tego popołudnia sesji z pacjentem zamknęłam drzwi gabinetu na klucz i przebrałam się w kupioną zaledwie wczoraj garsonkę. Była uszyta ze szlachetnego płótna, z jedwabnymi wstawkami, barwy kości słoniowej. Materiał przyjemnie chłodził ciało, a elegancki krój wydobywał najlepsze cechy mojej sylwetki — kiedy przejrzałam się w lustrze, wyglądałam równie dobrze, jak się czułam. Na stopy wsunęłam parę szykownych sandałów, których cena wołała o pomstę do nieba, lecz rekompensowała to ich wygoda. Przeczesalam jeszcze włosy, które od zimy zdążyły odrosnąć (sięgały mi niemal ramienia), i poprawiłam makijaż.

— Bierze pani ślub? — zapytał mnie portier, gdy wychodziłam z budynku.

— Nie tego wieczoru — odparłam. — Dziś czeka mnie bardziej kameralne przyjęcie.

Portier wyszczerzył zęby w przyjaznym uśmiechu.

— Byle towarzystwo dopisało — rzucił jeszcze za mną. — Dobrej zabawy!

— Dziękuję! — odrzyknęłam, nie odwracając się.

Szłam zatłoczonym chodnikiem i właściwie już się dobrze bawiłam. Cieszyło mnie, że jestem ładnie ubrana i że wyglądam atrakcyjnie, choć wieczorem miałam pozostać widzem. Było to moje pierwsze samotne wyjście w miasto od miesiący i miałam zamiar dopilnować, by takie pozostało, a ubiór, fryzura i makijaż były drugorzędne, o tyle że stanowiły uzewnętrznienie przepełniającego mnie optymizmu i energii, jakie odrodziły się we mnie w ciągu minionego półrocza.

W sam raz okazja do uczczenia.

Wieczór zapowiadał się naprawdę wyjątkowo, gdyż to właśnie dzisiejszej nocy mijała pierwsza rocznica śmierci Carli. Okazało się, że nawet żałoba może być luksusem, co zrozumiałam dopiero, gdy mój szczerzy żal przestał być obciążony pomieszaniem i wyrzutami sumienia. Nareszcie mogłam opłakiwać kobietę, za którą — pomimo jej rozlicznych wad — tęskniłam od czasu do czasu, znów żyjąc pełnią swego prawdziwego życia.

Wróciwszy do Londynu po wypadku z Paulem, skontaktowałam się z moim dawnym pracodawcą, który z radością przyjął mnie z powrotem. Byłam tak zachwycona odzyskaniem swego wcześniejszego stanowiska, że minęło parę miesięcy, nim się zorientowałam, że coś jest nie tak. Myślałam, że wystarczy odnaleźć nici mego starego życia i nie wypuszczając ich z rąk, robić to co przedtem, jednakże myliłam się. Zbyt się zmieniałam wskutek wydarzeń, które nastąpiły od pamiętnej nocy w Grecji; nie byłam już tą samą osobą, która nieroztropnie wybrała się na samotny urlop po rozstaniu z Mike'em Barrettem. Zresztą nie tylko mnie było trudno: moi współpracownicy mnie nie poznawali, nie rozumieli, czemu zachowuję się inaczej, a ja z kolei nie mogłam im pozwolić, by irytowali mnie dobrodusznymi uwagami w stylu: „Gdzie się podziała dawna Helen?”

Otóż dawna Helen była historią. I nie zamierzała się powtórzyć.

Wystarczyło, że pół roku życia spędziłam myśląc, że jestem morderczynią, i niczego nie zmienił tu fakt, że wreszcie przejrzałam na oczy i zdobyłam dowody, że przez cały ten czas byłam w błędzie. To co się liczyło, dotyczyło czego innego: mojej wiary w to, że mogłam kogoś zabić. Odkrycia w sobie cech umożliwiających odebranie komuś życia. Być może tkwią one w każdym, nie wiem. W moim wypadku sprawiły, że powrót do poprzedniego życia okazał się niemożliwy.

Zaczęłam więc rozglądać się za inną pracą i ku własnemu zdumieniu bardzo szybko ją znalazłam. Och, wynagrodzenie było nieco niższe, ale za to perspektywy rozwoju zawodowego znacznie większe, do tego nowi ludzie, nowe wyzwania i dużo podróży, jednym słowem szansa, by zacząć od nowa.

Moje nowe miejsce zatrudnienia miało jeszcze jedną zaletę — znajdowało się o rzut kamieniem od mieszkania Miriam, do którego przeprowadziłam się natychmiast po powrocie z Devonu, gdyż nie wyobrażałam sobie, że spędzę choć jedną noc w sterylnej białej celi, jaką dla siebie stworzyłam. Na szczęście Miriam i ja pomagałyśmy sobie nawzajem: ja potrzebowałam przytulnego domu, ona, z racji częstych wycieczek, kogoś, kto karmiłby jej koty i podlewał kwiatki, a także witał ją po powrocie z wojaży.

Tylko jednej Miriam się zwierzyłam, nie tając niczego. Reszcie przyjaciół i mojej dziwacznej rodzinie powiedziałam, że przeżyłam załamanie nerwowe, po tym jak byłam świadkiem tragicznej śmierci poznanej na urlopie koleżanki. Niedomówienie? Cóż, nie do końca.

Drugą osobą na świecie, która знаła prawie całą prawdę, był Daniel, ale z nim miałam znacznie mniej do czynienia. Spotkaliśmy się nazajutrz po wypadku i uzgodniliśmy, że wyciąganie na jaw prawdy o Paulu do niczego nie prowadzi. Raport koronera na temat śmierci Sylwii, do którego udało nam się własnymi kanałami dotrzeć, nie był jednoznaczny — zgon mógł nastąpić równie dobrze w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, wyuzdanych praktyk seksualnych albo czyjegoś chorego działania, mającego na celu ukarać ją lub przestraszyć. Jakikolwiek był faktyczny powód, nie ulegało wątpliwości, że to Paul zabił swoją eksmałżonkę, a zorientowawszy się, że rzucił na siebie cień po-

dejrzenia zabawiając się z Carlą, postanowił zamordować także ją. Jaki jednak sens miało wywlekanie tego na światło dzienne? Co by to dało? Znacznie ważniejsze wydawało się nam chronienie Lily, a to oznaczało podanie do ogólnej wiadomości uproszczoną wersję wypadków, które doprowadziły do śmierci Paula.

Zatem podczas przesłuchania zeznałam, że na drodze panowały katastrofalne warunki jazdy, samochód wpadł w niekontrolowany poślizg, a Paul — ogłuszony wypadkiem i czasowo pozbawiony wzroku, stracił orientację i wyszedł wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. Nawet koroner zaświadczał, że ani ja, ani tym bardziej kierowca ciężarówki nie ponosimy odpowiedzialności za jego śmierć. Nie byłam pewna, czy uściło to wyrzuty sumienia nieszczęsnego kierowcy, ja jednak mogłam zapewnić każdego, że moje sumienie jest czystsze niż kiedykolwiek przedtem.

Do wspomnianego przesłuchania doszło w ponury marcowy dzień. Kiedy wychodziliśmy z komisariatu, Daniel zaproponował, byśmy zaszli do położonego naprzeciwko pubu na drinka i kanapki. Powinam mu była wtedy odmówić, ale nigdy nie umiałam powiedzieć „nie” Danielowi. Udało mi się przynajmniej nie powiedzieć wiele o sobie; głównie mówił Daniel, opowiadając o dzieciach i o postępujących pracach nad jego „Requiem”. Przy pożegnaniu, właśnie tak, jak się tego obawiałam, zapytał, czy nie moglibyśmy się znów spotkać.

— Angie poleciała do Stanów. Na dobre — powiedział. — Od samego początku wiedziałem, że to zrobi. Dajmy sobie jeszcze jedną szansę, Helen, co?

Zebrałam się w sobie i oznajmiłam mu, że nasz związek nie ma przyszłości. Żegnając się z nim na szarym, betonowym parkingu nieopodal komisariatu, po jego minie widziałam, że o moją odmowę wini koszmar, który przeżyłam w minionych miesiącach, jak również to, że on chcąc nie chcąc był częścią tego kosmaru, a ja dla spokoju ducha muszę oddzielić przeszłość grubą kreską. Zresztą nieważne, jak to sobie tłumaczył, grunt, że zaakceptował moją decyzję.

Przeplakałam całą powrotną drogę do Londynu, ryzykując, że spowoduję następny wypadek, jednakże były to łzy smutku, nie żalu. Zrozumiałam, że nie żałuję swej decyzji, którą postrzegałam jako samoobronę; nie mogłam sobie pozwolić, by znów wkroczyć w świat Carli, poza tym zbyt absorbowało mnie budowanie nowego życia, w którym nie było miejsca na związek z mężczyzną działającym na mnie jak mało kto, od kiedy skończyłam siedemnaście lat, ale obarczonym trójką trudnych dzieci i eksmałżonką lubującą się w manipulowaniu innymi. Śliniłam się na samą perspektywę romanisu z nim, lecz nie tego naprawdę chciałam, za bardzo mi też na Danielu zależało, by go zwyczajnie wykorzystać. Dlatego nie podałam mu swego nowego adresu ani w żaden sposób nie ułatwiłam kontaktu ze mną — tak było lepiej dla nas obojga.

Caddie i ja wymienialiśmy od czasu do czasu wiadomości. Parę tygodni po wypadku wysłałam mu mail informujący o śmierci Paula, między wierszami dając do zrozumienia, że sprawa jest zamknięta. Z jego odpowiedzi wywnioskowałam, że raczej stawiał na Daniela i zmartwiło go, że się po-

mylił, ale i tak wyraził nieskrywaną radość, że wszystko się wreszcie skończyło. Wiosną otrzymałam od niego krótką wiadomość, że świetnie mu idzie na studiach i że z Glenem planują wspólny wyjazd. Potem kontakt się jakby urwał i podejrzewam, że tak już zostanie.

Mając do zabicia pół godziny, wysiadłam z metra na stacji Embankment i dalej przeszłam spacerkiem. Po drodze, tuż przed stacją kolejową Charing Cross, zauważyłam wciąż otwartą mimo późnej pory klimatyzowaną herbaciarnię, weszłam więc do środka i zamówiłam mrożoną herbatę. Plan na dzisiejszy wieczór miałam opracowany w najdrobniejszych szczegółach: z dużym wyprzedzeniem zarezerwowałam w kompleksie South Bank nad Tamizą miejsce na końcu sali koncertowej, tuż przy przejściu, żeby niezauważona mogła wśliznąć się już po zgaszeniu świateł.

Popijając orzeźwiająca herbatę, wyciągnęłam z torebki i rozłożyłam na stole wycinki prasowe, żeby przeczytać je raz jeszcze, choć znałam każde słowo na pamięć. Obu artykułom towarzyszyła fotografia, chociaż ktoś niewtajemniczony mógłby pomyśleć, że każda przedstawia inną osobę. Ta z „The Evening Standard” wyglądała na zrobioną dobre dziesięć lat temu, widniał na niej ciemnowłoso, zabójczo przystojny Daniel, w którym mogły podkochać się podlotki. „The Guardian” zamieścił znacznie świeższe zdjęcie, stanowiące zupełny kontrast w porównaniu z młodszą wersją modela: na nim Daniel był poważny i szalenie męski, od razu widać było, że trzeba się z nim liczyć. Tak się składało, że o tym właśnie pisano w jednym i drugim artykule.

Czy istnieje dla muzyka życie po tym, jak skomponował motyw przewodni popularnej telenoweli? Na to pytanie odpowie nam Daniel Finch dziś wieczorem, podczas swego premierowego wykonania „Requiem”. Po niespodziewanym sukcesie „Pieśni dla Carli”, przejmującej, lecz trafiającej w gusta maluczkich, Finch stara się udowodnić, że nigdy nie przestał być prawdziwym artystą.

I:

Dwadzieścia lat temu Daniela Fincha okrzyknięto najbardziej utalentowanym młodym muzykiem swego pokolenia. Później dał się poznać jako wyśmienity rzemieślnik, produkujący hurtowo tło dźwiękowe do reklam. Czy uda mu się dzisiejsza próba przekonania melomanów, że nigdy nie zdradził ósmej muzy?

I tak dalej w tym stylu.

Kiedy kilka tygodni wcześniej wpadła mi w oko zapowiedź koncertu w South Bank, ani chwili się nie wahałam: od razu złapałam za słuchawkę, żeby zarezerwować bilet. Nie zrobiłam tego tylko dlatego, że byłam to winna pamięci Carli. Przede wszystkim ten dzień, pierwsza rocznica jej śmierci, miał szansę stać się granicą. Mogłam wreszcie zostawić za sobą przeszłość, ostatecznie pożegnać się z kobietą, która tak bardzo namieszała w moim życiu, uwolnić się od ludzi, z którymi przecięłam ścieżki za jej sprawą. Przygotowując się duchowo do tego wydarzenia, zdawałam sobie sprawę, że dla mnie będzie to więcej niż koncert, toteż zbierałam siły, by z odwagą i podniesionym czołem po raz ostatni zanurzyć się w świat Carli. Wiedziałam, że potem czeka mnie już tylko przyszłość.

W South Bank byłam dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści jeden, parędziesiąt sekund później stałam w foyer przed salą koncertową nazwaną od imienia słynnego kompozytora Henry'ego Purcella i obserwowałam wlewający się do jej wnętrza tłum widzów. Obawiając się, że ktoś mnie może rozpoznać, przeszłam do recepcji, gdzie chcąc nie chcąc zaopatrzyłam się w program wieczoru. Kiedy go otworzyłam, moim oczom ukazało się artystyczne, lecz kiepsko powiększone zdjęcie Carli. Patrzyłam na jej twarz i na pamięć wracały mi wspomnienia rosnącej między nami zażyłości, którą tak brutalnie przerwała katastrofa.

Odwróciwszy się zauważyłam, że część foyer jest oddzielona aksamitnym sznurem, a wisząca na nim tabliczka głosi: MIEJSCE ZAREZERWOWANE. PROSIMY NIE WCHODZIĆ. Domyśliłam się, że Daniel zaplanował przyjęcie po zakończonym koncercie, licząc na sukces, i zaniepokoiłam się, czy faktycznie go odniesie. Pamiętałam wciąż naszą rozmowę, jaką odbyliśmy w Muzeum Królowej Wiktorii i Księcia Alberta, otoczeni przez wymyślne dzieła ludzkich rąk, i jego obawy, czy po tym jak zaprzedał duszę muzycznemu diabłu w postaci komercji, kiedykolwiek ją odzyska. Ścisnęło mnie w dołku, kiedy pomyślałam, że jego reputacja w świecie muzyki poważnej, być może nawet cała jego zawodowa kariera, zawisała na włosku i zależy od tego, jak zostanie przyjęte dzisiaj „Requiem”.

Z zamyślenia wyrwało mnie głośnie klaskanie. Spojrzałam w stronę drzwi wiodących na salę i zauważyłam, że światła już przygasły, zatem nadszedł właściwy moment, bym niepostrzeżenie się wśliznęła na swoje miejsce. Niestety, jak tylko przestąpiłam próg, zorientowałam się, że cały mój misterny plan wziął w łeb — wejście znajdowało się z przodu sali, pomiędzy sceną a pierwszym rzędem krzeseł po lewej. Pomimo to nie zrezygnowałam, opuściłam tylko głowę i przemknęłam do tyłu, łudząc się, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Usiadłszy rozejrzałam się dyskretnie wokół, ale na szczęście zobaczyłam same nieznajome twarze; tuż obok mnie na przykład siedział zupełnie mi nie znany starszy mężczyzna o pociągłej, sokolej twarzy. Nie mam się czego obawiać — uznałam. — Daniel wraz z rodziną i przyjaciółmi z pewnością siedzi z przodu, w otoczeniu przedstawicieli prasy.

Odprężyłam się więc i przygotowałam na muzyczną ucztę.

Znów wybuchły oklaski, wywołujące Daniela na scenę. Miał na sobie białą marynarkę, a pod nią swobodną, nie zapiętą pod szyją jasną koszulę, co w całości nadawało mu stylowy, lecz niewymuszony wygląd. Bładość ubrania podkreślała jego ciemną karnację i niemal czarne włosy. Przez moment wbijał wzrok w publiczność, marszcząc przy tym czoło, jakby się koncentrował, po czym zwrócił się w stronę orkiestry. Muzycy podnieśli nań oczy, czekając na sygnał. Na widowni dał się słyszeć szmer podniecenia, po którym zapadła absolutna cisza. Muzyków było może z dwunastu i przeważającą większość stanowili perkusiści. Paru trzymało instrumenty, jakie widziałam w pracowni Daniela, a jeden czy dwóch zamierzało grać, byłam tego pewna, na czymś, co zostało wykorzystane podczas urodzin Vi i zaaranżowanej wówczas piosenkorii. Przypomniałam sobie słowa Daniela: „Helen świetnie idzie gra na nerwach” i się uśmiechnęłam.

Teraz podniósł dłoń i popłynęła muzyka. Po kilku pierwszych taktach wiedziałam już, że to co słyszę, nie ma nic wspólnego z kompozycją, którą zagrał mi na początku stycznia. Niepokojące, donośne dźwięki, przenikliwe i gwałtowne, przejmujące do szpiku i poprzetykane krótkimi interwałami ciszey, całkowicie atonalne. Zerknęłam ukradkiem na mojego sąsiada, żeby sprawdzić jego reakcję, i się zdumiałam. Oczy miał przymknięte, brwi uniesione, a na twarzy wyraz błokiego zachwytu. Cóż, widać coś mi umknęło albo byłam jeszcze mniej muzykalna, niż mi się zdawało.

Czując się zawiedziona, ba, oszukana nawet, spojrzałam na program, który cały czas trzymałam w ręku. Dowiedziałam się z niego, że grana kompozycja nosi tytuł „Archetyp” i powstała, gdy Daniel był jeszcze studentem. Ponoć to właśnie dzięki temu kawałkowi zyskał miano młodego zdolnego. W uwagach napisano: „Utwór cechują dysonans, kanciastość i humor”. Znow rzuciłam okiem na starszego pana, który — nadal pogrążony niemal w ekstazie — uśmiechał się teraz znacząco. Westchnęłam, myśląc, że muszę być zupełnie pozbawiona poczucia humoru... Nie licząc na cud, zagłębiłam się w lekturę programu i doczytałam się, że „Requiem” rozpocznie się dopiero po przerwie, około dwudziestominutowej.

Kakofonia dźwięków wreszcie ustała, widzowie zaczęli bić brawo i nie zdziwiło mnie ani trochę, że mój sąsiad meloman robił to z wyjątkowym entuzjazmem, powstrzymując się tylko od gwizdania i tupania nogami. Aplauz trwał i trwał, ale nawet kiedy wreszcie publiczność opuściła salę, ja dla bezpieczeństwa odczekałam jeszcze trochę, nim wyszłam do foyer. W duchu uznałam, że po drugiej części roztropniej będzie wymknąć się, nim przebrzmia brawa.

Wyszłam na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wciąż było jasno, a niebo porażało błękitem jak rzadko kiedy w Londynie. W taki piękny letni wieczór jak ten nawet betonowy bunkier kompleksu kulturalnego miał pewien urok i pod kawiarnianymi parasolami było pełno ludzi. Ci, którzy podobnie jak ja opuścili salę koncertową, wachlowali się wymiętymi programami, przechadzali i gawędzili, i ogólnie rzecz biorąc miło spędzali czas. Szukając cienia i samotności wypuściłam się dalej niż przeciętny widz raz po raz zerkający na zegarek, żeby nie przegapić początku drugiej części koncertu. Oparłam się o szeroki betonowy parapet i spojrzałam na Tamizę, po której pływało sporo łodzi; South Bank mijala właśnie okazałych rozmiarów statek wycieczkowy. Odmachałam rozbawionym turystom i odwróciłam się, by wolnym krokiem wrócić na koncert.

To się nazywa wycucie czasu! — pomyślałam, wślizgując się na miejsce w tym samym momencie, gdy Daniel zajmował swoje przed orkiestrą. Nim wzniósł batutę, nachylił się do przodu i powiedział parę niesłyszalnych z tej odległości słów, zapewne zagrzewając swych muzyków. Uśmiechnęli się do niego i unieśli instrumenty, a ja zauważyłam, że podczas przerwy dokonano na scenie pewnych zmian i teraz Daniel miał przed sobą orkiestrę z prawdziwego zdarzenia. Wśród instrumentów pojawiły się wiolonczele i skrzypce, i flety, z perkusji zaś zostały tylko dwa bębny i parę talerzy. Cisza niepostrzeżenie przeszła w otwierający kompozycję motyw, przenosząc mnie w czasie i przestrzeni.

Znów znajdowałam się w domu Finchów, był burzliwy styczniowy wieczór, a Daniel siedział przy pianinie i dla mnie grał.

Planując dzisiejszy wieczór zapomniałam o najważniejszym: przygotować się na wrażenie, jakie wyrze na mnie „Requiem”. Myślałam tylko o tym, by nie zostać dostrzeżoną, i naiwnie uważałam, że koncert zakończy pewną część mego życia, nie pamiętając wręcz fizycznych doznań, jakie towarzyszyły słuchaniu muzyki Daniela. A prezentowana teraz publicznie kompozycja była mi dobrze znana, rozpoznawałam motywy, przedstawione mi niegdyś przez Daniela; jedyną różnicą było, że nuty zostały wyczelowane podczas wielu miesięcy ciężkiej pracy. To co słyszałam teraz, było dojrzalsze i jeszcze bardziej nasycone ekspresją, zawierało niepewność, ból i grozę po przedwczesnej śmierci Carli. „Nie wszystko da się wyrazić muzyką. Na przykład nie sposób zawrzeć w niej poczucia winy”, powiedział kiedyś Daniel, a mimo to dołożył starań, by w jego kompozycji znalazło się to wszystko, i jeszcze więcej.

Podczas jednego z fragmentów, tego o bluesowym odcieniu i nieco przypominającego pieśń gregoriańską, który wręcz prosił się o kontralt Carli do wtóru, łzy zaczęły mi spływać po twarzy. Płakałam jeszcze, gdy ostatnie dźwięki „Requiem” przebrzmiały, a publiczność zgotowała Danielowi owację na stojąco. Wcześniejszy zamiar opuszczenia sali przed zapaleniem świateł spalił na panewce, gdyż byłam porażona muzyką i uczuciami, jakie we mnie wywołała. Na szczęście nikt nie zwracał na mnie uwagi, wszyscy skoncentrowani byli na postaci Daniela, który niezgrabnymi płytkimi ukłonami dziękował za brawa i gestami dawał do zrozumienia, że sukces w dużej mierze zawdzięcza zdolnym instrumentalistom. Ci rewanżowali się uśmiechem i oklaskami, jemu zwracając główny zaszczyt.

Wreszcie brawa ucichły, dyrygent i orkiestra opuścili scenę i zapłonęły światła. Podekscytowani widzowie zbierali się do wyjścia, dzieląc się wrażeniami z koncertu. Ja jednak wciąż nie czułam się na siłach, by zrobić choć krok, toteż przepuściłam starszego pana, który mijając mnie musiał dostrzec moją zapłakaną twarz, bo rzucił:

— Aż tak kiepskie, co?

— Wręcz przeciwnie. Wspaniałe. Absolutnie zdumiewające. Wzruszył ramionami, komentując:

— Sentymentalna papka, ot co. No, ale o gustach się nie dyskutuje... — ruszył szybkim krokiem, wyraźnie rozczarowany.

Zostałam z tyłu sali do czasu, aż ostatni widz wyszedł, a zaproszeni na przyjęcie Daniela goście przeszli do wydzielonej części foyer. Swoistą przyjemność sprawiało mi obserwowanie z bezpiecznego miejsca znajomych sylwetek zmierzających ku wyjściu. Byli tam wszyscy. Najbardziej rzucała się w oczy — jak zwykle — Angela, wysoka i prosta jak struna, z grzywą złocistych loków na głowie. Żona bumerang — gorzko pomyślałam — wróciła, by zemścić się na rywalce. Na premierę wybrała długą, lejącą suknię koloru, jakżeby inaczej, błękitny metalik, z odkrytymi plecami i ramionami, tak że strój trzymał się na niej wbrew prawom grawitacji, i każdym ruchem okazywała, iż dzieli z mężem jego

wszelkie przeszłe i przyszłe sukcesy. Zauważyłam też dzieci, ubrane schludniej, niż kiedykolwiek przedtem je widziałam. Lily i Rowan ociągali się z wyjściem, zerkając w stronę zostawionych na scenie instrumentów i pokazując sobie niektóre palcami, a Violet podskakiwała na jednej nodze, jak to miała w zwyczaju, starając się przyciągnąć czyjaś — czyjąkolwiek uwagę.

Oczywiście przybyła też Leonie Fanshaw, subtelniejsza i bardziej dystygowana wersja Carli. W minionych tygodniach wiele o niej czytałam w gazetach: ponoć zrezygnowała z grania w „Makbecie” w saliburskim teatrze po zaledwie trzech przedstawieniach i wylądowała na leczeniu w prywatnej klinice, w co potrafiłam uwierzyć, patrząc teraz na nią. Była wyraźnie szczuplejsza i bledsza od czasu naszego ostatniego spotkania, w przeciwieństwie do swego brata Michaela, który wydał mi się jeszcze grubszy i ślamazarniejszy, niż kiedy go poprzednio widziałam. Zastanowiłam się przelotnie, czy w końcu stracił pracę, tak jak się tego obawiał. Czy to możliwe, że porażki i poplątanie Carli, kiedy jeszcze żyła, zapewniały dwójce jej rodzeństwa sukces? Czy też zupełnym przypadkiem było, że obojgu powinęła się noga właśnie wtedy, gdy jej zabrakło?... Rzuciła mi się w oczy także okrągła i promieniejąca uśmiechem twarz Janet, jak również kilka innych, które zapamiętałam z moich wizyt w Burdocku.

W końcu sala była zupełnie pusta, a moje oczy suche. Ogarnęło mnie poczucie spełnienia. Idąc tutaj, miałam nadzieję, że wieczór je przyniesie, i tak właśnie się stało: wydarzenia minionego roku zostały zamknięte ładną klamrą, a ja zyskałam więcej, niż kiedykolwiek mogłam przypuszczać.

Czas już iść.

Nie miałam przed kim się ukrywać, toteż bez strachu zeszłam w dół, w stronę sceny i wyjścia. Pusta i przepełniona ciszą sala sprawiała dziwne wrażenie, zwłaszcza w kontraście z szumem dochodzącym wciąż z foyer. Na ziemi w przejściu leżał porzucony przez kogoś program, czarno-białym zdjęciem do góry. Wydało mi się niewłaściwe stąpnąć nawet na tak niewyraźną twarz Carli, toteż schyliłam się, by podnieść folder, i robiąc to, kątem oka zauważyłam coś niebieskiego pod jednym z foteli. Bładoniebieski pluszowy kucyk.

— Zaraz go znajdziemy! — usłyszałam za sobą kobiecy głos, który natychmiast rozpoznałam. — Nie mógł daleko odbiec... — Wyprostowałam się i napotkałam wzrok Janet. — Och, to przecież Helen! — wykrzyknęła. — W pierwszej chwili cię nie poznałam! Wyglądasz wspaniale!

— Witaj, Janet — odezwałam się przez ściśnięte gardło i podając jej zabawkę, spytałam: — Te go szukałaś?

— Ma tego kuczka niecały dzień, to prezent od Daniela, i już zdążyła zgubić go trzy razy! Cud się stanie, jeśli dojedzie z nami do Devonu... Idziesz na przyjęcie?

— Nie — odparłam. — Właśnie wychodziłam. Muszę wracać do domu.

— Szkoda — zmartwiła się Janet. — Muzyka była boska, prawda?

Przez chwilę wymienialiśmy opinie na temat „Requiem”, potem zaczęliśmy rozmawiać o zdrowiu Wielgusa i w końcu o pogodzie. Kiedy uznałam, że grzecznościom stało się zadość, pożegnałam się i skierowałam do wyjścia, ze spuszczoną głową mijając rozentuzjasmowany tłum kłębiący się za aksamitnym sznurem.

Na dworze było jeszcze cieplej i bardziej wilgotno niż wcześniej, zapowiadało się na burzę. Niebo się zaciągnęło i na tle ciemnoszarych chmur pokazała się świetlista błyskawica. Chwilę potem rozległ się pomruk grzmotu.

Ucieszyłam się; burza bardzo pasowała do mego nastroju.

Opuszczając kompleks South Bank pomyślałam, że „Requiem dla Carli”, ostatni, spóźniony prezent dla żony od Daniela, uczynił ją nieśmiertelną; pamięć o niej będzie trwać tak długo, jak długo żyć będzie skomponowana dla niej muzyka. Przypomniałam też sobie wszystkie moje wysiłki, które po powrocie do Anglii podjęłam, aby dowiedzieć się czegoś o kobiecie, którą znałam zaledwie dziesięć dni, i zastanowiłam się, czy wiem o niej więcej niż wtedy, kiedy spędzałyśmy miło czas na greckiej wysepce. Przecież od samego początku czułam, że Carla nie jest pewna siebie, że rozpaczliwie pragnie grać pierwsze skrzypce i że dlatego właśnie ucieka w świat fantazji... Później poznałam tylko parę suchych faktów, które bynajmniej nie zachwiały tamtego o niej wrażenia.

Jak zresztą można poznać prawdę o kimś, skoro nie zna się samego siebie? — zapytywałam się w duchu. Przed oczyma wyobraźni migwały mi obrazy: Carla w tawernie, chichocząca Carla, Carla szczęśliwa, gdy śpiewała na plaży i późni spacerowicze oklaskiwali jej występ. Carla zazdrosna i jadowita — taka też była, lecz nie miało to już znaczenia. Pewnego razu powiedziała: „Doprawdy, Helen, czasami straszna z ciebie żołą” i być może się nie myliła. Być może zdarzało mi się być żołą, jednakże z całą pewnością nie byłam morderczynią.

Carla stała się nierozzerwalną częścią mnie. Może to właśnie jesteśmy winni naszemu zmarłemu: pozwolić im żyć w nas, w naszej pamięci i tęsknocie; kochać ich i darzyć szacunkiem, wspominać od czasu do czasu i uronić za nimi łzę, lecz w końcu dać im odejść. Carla mnie odmieniła, wpłynęła na bieg mego życia, zwracając je na inne tory, ale nie była już więcej zawadą.

Pożałowałam, że mam na stopach te piękne, lecz niepraktyczne sandaalki. W taką noc jak ta chciałoby się przemierzyć zalane deszczem ulice na bosaka, pozwalając emocjom spłynąć w dół ciała i wsiąknąć w ziemię. Kolejna błyskawica, następny grzmot, całkowicie niegroźny, jak to zwykle bywa podczas letnich burz, kiedy to co się dzieje na niebie, bardziej przypomina pokazy fajerwerków aniżeli przejaw potęgi Natury. Szłam bulwarem wzdłuż rzeki, zastanawiając się, czy skrócić w stronę stacji metra. Mogłabym wrócić do domu — Miriam miała się zjawić po dziesiątej, i opowiedzieć przyjaciółce o koncercie...

— Helen! — usłyszałam. — Helen, zaczekaj! — Odwróciłam się i zobaczyłam biegnącego za mną Daniela, bez marynarki, w mokrej koszuli, machającego do mnie rękami. — No, wreszcie... —

wysapał dogoniwszy mnie i zaraz zaczął mi robić wyrzuty. — Czemu mnie nie uprzedziłaś, że będziesz na koncercie? — Nagle się opamiętał i powiedział: — Chryste, tak się cieszę, że cię widzę. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty.

— Janet ci powiedziała?

Pokręcił głową.

— Vi pochwaliła się, że znalazła swego kucyka i że to ty pomogłaś go odnaleźć. Janet tylko dodała, że właśnie się z tobą minęła w wyjściu. Musiałem się zdać na intuicję, chcąc znaleźć ciebie. Tak się cieszę, że mi się udało! — Uniósł ramiona, jakby chciał mnie objąć, w ostatniej chwili zawahał się jednak i zamachał na przejeżdżającą taksówkę. — Chodźmy stąd — poprosił, po czym otworzył drzwi, równocześnie rzucając kierowcy adres. Charlotte Street.

— Ale co z twoimi gośćmi? — zapytałam.

— Z gośćmi? — powtórzył. — A co mnie obchodzą jacyś goście? Te hałaśliwe szakale nie potrzebują mojej obecności, żeby się świetnie bawić... — A kiedy taksówka ruszyła, ostro pracując wycieraczkami, żeby nadążyć za strumieniami wody lejącymi się z nieba na przednią szybę, dodał: — Naprawdę nie chcę tam być, kiedy będą na mnie wieszać psy. Wolałbym już łupać kamienie na pustyni, aniżeli spędzić z nimi więcej czasu niż to konieczne.

— Czyżbyś miał doświadczenie w łupanu kamieni? — spytałam, wciąż nie mogąc uwierzyć, że siedzę z Danielem w taksówce, która wiezie nas tam, gdzie kazał się zawieźć. W nieznane.

— Wyglądasz olśniewająco — powiedział, ignorując moje pytanie. — Nigdy cię nie widziałem tak odstrzelonej.

— Cóż, zmieniłam się od zimy.

— Wyłącznie na lepsze. Wypiękniałaś.

— Dziękuję. — Poczulałam się dziwnie słuchając tych wszystkich komplementów, postanowiłam więc zmienić temat. — Jaki werdykt zapadł w sprawie „Requiem”?

— Na to jeszcze za wcześnie... — Przesunął się nieco, żeby było mu wygodniej na mnie patrzeć. — Oczywiście są tacy, którzy uważają, że to dno, inni jednak sądzą, że stworzyłem arcydzieło. Nie mam nic przeciwko żadnej z tych opinii, bardziej martwiłoby mnie, gdyby mówiono: takie sobie. Nie znoszę przeciętniactwa! Już wolę być koszmarny niż nudny.

— Och, „Requiem” na pewno nie było nudne.

— To dobrze.

— Ale siedzący koło mnie mężczyzna stwierdził, że to sentymentalna papka.

— Twój znajomy? — Daniel odetchnął, kiedy zaprzeczyłam. — A tobie jak się podobało?

— Moim zdaniem było wspaniałe — powiedziałam szczerze. Daniel wyglądał na zadowolonego z siebie. — I sprawiło, że się popłakałam...

— To świetnie.

— Ale chyba nie zrozumiałam tej pierwszej kompozycji. Prawdę mówiąc, wcale mi się nie podobała.

— I nic dziwnego. To młodzieńcze wycieczki, eksperymentalne i dawno przestarzałe. Wtedy oczywiście wydawało mi się, że dokonam przełomu we współczesnej muzyce poważnej, ale teraz rumienię się na myśl, jak okropnie odtwórcze było to, co skomponowałem... Niestety, producent koncertu nalegał, by to zagrać. No, już jesteśmy na miejscu — poprosił taksówkarza, by się zatrzymał.

Kiedy płacił za przejazd, odezwała się:

— Daniel, wiem, że musisz wrócić do Angeli i dzieci...

Oczy mu błyszczały, gdy ująwszy mnie za ramię, prowadził do drzwi restauracji.

— To ty nic nie wiesz? — zdziwił się. — Angie wyszła za Raoula parę tygodni temu. Pewnie zauważyłaś siedzącego koło niej niskiego, pękatego, ociekającego forszą łysola. Jest maklerem w Nowym Jorku, a do Londynu przyjechał z nową małżonką na kilkudniowy miesiąc miodowy. Angeli w ogóle by na koncercie nie było, gdyby nie dzieci; to one ją namówiły.

— No więc musisz wracać do dzieci, będą się o ciebie martwić.

— Dzieci doskonale wiedzą, gdzie jestem, bo im powiedziałem, nim za tobą wybiegłem. Dzisiejszy wieczór spędzą w apartamencie Raoula przy Eaton Square, jakżeby inaczej — sarknął — a pojutrze lecą do Stanów na cały miesiąc. Angie mówi, że Raoul pragnie, by się z nim zaprzyjaźniły, a gdzieś indziej zawiązuje się trwałe przyjaźnie, jak nie w luksusowym kompleksie wypoczynkowym na Long Island... Mnie łaskawie zezwolono zobaczyć się z nimi jutro podczas lunchu, żeby uściskać je na pożegnanie... No, dosyć rozmowy o nich. Umieram z głodu, a że nie cierpię jadać w restauracjach sam...

— Och, więc to tylko dlatego...

— Nie, Helen, nie tylko dlatego. Przede wszystkim mamy sporo czasu do nadrobienia.

— Ale...

— Żadnego „ale”, Helen. Wybiegłem za tobą jak wariat prosto w deszcz, gdyż była to doskonała wymówka, by uwolnić się od nieciekawego towarzystwa, i nie przyjmuję twojego „nie”. Jesteś moim alibi i właściwie dlaczego nie mielibyśmy spędzić miłego wieczoru? — Do kelnera zaś powiedział: — Tak, ten stolik pod oknem będzie w sam raz. I od razu poprosimy butelkę szampana. — Prowadząc mnie do stolika, wyjaśnił: — Szampana wypijemy za sukces „Requiem”, nie ma nic wspólnego z naszym spotkaniem, wiesz o tym, Helen, prawda?

— Hmm... A może tym sposobem chcesz mnie przekonać, żebym znów zajęła się twoimi dziećmi?

— Nie tym razem, moja droga. Przez najbliższy miesiąc w domu będziemy tylko ja i Tygrys. Uprzedzam jednak, że opieka nad Tygrysem też nie jest łatwa.

— No dobrze — uległam w końcu i zajęłam miejsce na krześle, które wysunął dla mnie Daniel.
— Skoro na pewno nie chcesz mnie usidlić...

— Naprawdę tak myślałaś? Że będę chciał się do ciebie wprosić po kolacji? Na kawę? Może nawet zostać na noc albo jeszcze lepiej: spędzić z tobą resztę życia? Nie bądź zadufana w sobie, Helen. Przecież ja o tobie właściwie nic nie wiem... No, jest już szampan.

— Ostatnim razem, jak piliśmy szampana, zalałam ci spodnie.

— Rzeczywiście... — Nagle przybrał poważny wyraz twarzy. — Chryste, to było całe wieki temu.

— Zaledwie pół roku.

— Tak, ale to było wyjątkowo długie pół roku...

— Wypijmy za „Requiem” — zaproponowałam, by przerwać smutne wspomnienia.

Wznosząc toast nie spuszczał oczu z mojej twarzy.

— Dlaczego mnie unikałaś, Helen? Czy to przez Angie?

— Przez nią również.

— Mieszkała u mnie przez niecały tydzień, a byłaby jeszcze krócej, gdyby nie to, że Lily potrzebowała matki. Z drugiej strony, te parę dni sprawiło, że ostatecznie się przekonaliśmy, że między nami nic już nie ma. Angela zawsze myślała, że to przez Carlę nie udało nam się uratować naszego małżeństwa, ale prawda jest taka, że oddaliliśmy się od siebie, na długo zanim poznałem Carlę. No, ale nie mówmy już o tym. Przeszłość nie ma znaczenia.

— Nie? W takim razie co ma znaczenie?

— Ty.

— Ja?

— Tak, Helen. Ty. Chcę się o tobie dowiedzieć wszystkiego: skąd pochodzisz, gdzie jest twoja rodzina, ilu miałaś mężczyzn, na czym polega twoja praca, co lubisz, a czego nie znosisz, jakie są twoje ulubione miejsca. I całej reszty.

Zawahałam się. Oczekiwałam, że usłyszę głos Carli: „Daniel jest mój...” i „Najstarszy numer na świecie!”, jednakże nic takiego się nie stało. Tam, gdzie wcześniej bez przerwy słyszałam jej głos, wreszcie zapanowała cisza.

— Jednym słowem wszyściusieńko? — upewniłam się.

— Wszyściusieńko — potaknął Daniel.

— Ale to zajmie strasznie dużo czasu.

— Im więcej, tym lepiej.

— I możesz się trochę zdziwić...

Daniel oparł się wygodnie, założył ręce na piersi i wpatrzył się we mnie ubóstwionym wzrokiem.

— No, Helen, dalej. Zadziw mnie.

I tak właśnie zrobiłam.



L R